

Robertowi Susannowi,
mojemu ojcu, który byłby zrozumiał,
oraz Irvingowi, który rozumie
Jacqueline Susann

Przełożyła z angielskiego Anna Olszewska-Marcinkiewicz
Wydawnictwo ..Książnica'
Tytuł oryginału Once is not enough

PROLOG

On

Zawojował scenę teatralną w 1945 roku: Mikę Wayne — urodzony zwycięzca. Znany był jako najlepszy gracz w kości w amerykańskim lotnictwie wojskowym, a trzynaście tysięcy dolarów w gotówce, które miał przy sobie, sprawiły, że legenda stała się faktem.

Nie miał jeszcze dwudziestu lat, gdy stwierdził, że giełda i show business to dwie największe gry hazardowe świata. Kiedy skończył dwadzieścia siedem lat, opuścił lotnictwo, a że miał bzika na punkcie dziewcząt, wziął się za show business. Kwotę, którą dysponował, pomnożył w ciągu pięciu gorących dni w Akwedukcie, uzyskując sześćdziesiąt tysięcy. Pieniądze te zainwestował w show na Broadwayu, dzięki czemu stał się jego współproducentem. Spektakl odniósł sukces, Mikę natomiast ożenił się z Vicki Hill, najpiękniejszą chórzystką.

Vicki chciała być gwiazdą, toteż dał jej tę szansę. W 1948 roku zrobił swój pierwszy musical i w głównej roli obsadził żonę, a mimo to odniósł ogromny sukces. Krytycy chwalili jego wdech teatralny w obsadzie pozostałych znakomitych aktorów, trafny dobór książki, której i tak nic nie mogłoby zepsuć, oraz chwytliwą muzykę. Wszyscy jednak twierdzili zgodnie, że Vicki była mniej niż odpowiednia do tej roli. Kiedy show zszedł z afiszy, Mikę posłał ją „na emeryturę”. („Trzeba umieć odejść od stołu, mała, gdy się zaczyna przegrywać. Dostałaś ode mnie swoją działkę, teraz ty daj mi syna”).

W dzień Nowego Roku 1950 dała mu córkę. Nie namyślając się zbyt długo, nazwał ją January, a kiedy pielęgniarzka podała mu dziewczynkę, obiecał jej cichutko, że podaruje jej kiedyś cały świat.

Gdy miała dwa lata, witał się najpierw z nią, a dopiero potem z żoną.

Kiedy skończyła cztery — wyjechał do Kalifornii i wyprodukował swój pierwszy film.

Po ukończeniu przez nią pięciu lat zrobił w ciągu jednego roku dwa kasowe filmy i otrzymał nominację do Oscara.

Gdy była sześciolatką, otrzymał Oscara, a jego imię łączono z wieloma pięknymi dziewczętami. (To właśnie wtedy jego żona zaczęła pić i wzięła sobie kochanka).

Kiedy zaś miała siedem lat, nazwał swój prywatny samolot jej imieniem i pochował żonę, która zmarła próbując usunąć ich nie narodzonego syna. I tak pozostali tylko we dwoje.

Próbował jej to wszystko wytłumaczyć w drodze do szkoły z internatem w Connecticut.

— Teraz, kiedy mama odeszła, nauczą cię w tej luksusowej budzie, jak zostać uroczą damą.

— A dlaczego ty nie możesz mnie tego nauczyć, tatusiu?

— Ponieważ dużo podróżuję, a poza tym małe dziewczynki muszą być uczone przez damy.

— Tatusiu, a dlaczego mamusia umarła?

— Nie wiem, kochanie. Może dlatego, że chciała być kimś.

— Czy to źle?

— Tylko wtedy, kiedy nie jesteś kimś, bo to cię zżera.

— A czy ty jesteś kimś, tatusiu?

— Ja? Ja jestem superkimś — odpowiedział ze śmiechem.

— Więc i ja będę kimś — odparła.

— Jasne, ale zanim zostaniesz kimś, musisz stać się wytworną damą.

Toteż zaakceptowała szkołę panny Haddon, ilekroć zaś Mikę był w Nowym Jorku, zawsze spędzali razem weekendy.

Jego sława rosła. Tak jak wszyscy dobrzy hazardziści wiedział, kiedy pomóc swemu szczęściu, a kiedy się wycofać. Znany był z tego, że potrafił jednym zakładem odwrócić bieg rzeczy. Raz stracił swój samolot od jednego rzutu kośćmi, ale odszedł od stołu z szerokim uśmiechem, gdyż wiedział, że i tak nadejdzie jego dzień.

Gdyby zaś go spytać, kiedy szczęście się od niego odwróciło, podałby dokładną datę.

Rzym, 20 czerwca 1967 roku.

Dzień, w którym dowiedział się o swej córce...

Ona

Gdyby zapytać January, kiedy szczęście odwróciło się od niej, nie

potrafiłaby odpowiedzieć, ponieważ myślała o sobie jedynie jako o j e g o córce, a to było najwspanialszą rzeczą na świecie.

Od początku uznała, że szkoła panny Haddon jest czymś, „przez co trzeba przejść”. Wszystkie dziewczęta były serdeczne i dzieliły się na dwie kategorie: starsze uwielbiały Elvisa, młodsze natomiast stanowiły „świętą Lindy”. Lindy, czyli Lindy Riggs, uczennicy. Miała szesnaście lat, umiała śpiewać i tańczyć, a jej niebywały entuzjazm był głośny i zaraźliwy. Wiele lat później January, natrafiwszy na stare szkolne fotografie, była zaskoczona podobieństwem Lindy do Ringa Starra. Wówczas jednak, gdy Linda była nie kwestionowaną gwiazdą w szkole panny Haddon, nikomu nie przeszkadzały jej rzadkie zmierzwione włosy, szeroki nos i ciężki srebrny aparat na zębach. Było oczywiste, że Linda po skończeniu szkoły zostanie gwiazdą komediową musicali na Broadwayu.

Ostatniego roku, który spędziła w szkole, Linda grała główną rolę w szkolnej adaptacji sztuki Aniu, sięgnij po spluwę. Gdy rozpoczęto próby, Linda wybrała ośmioletnią January na swą „specjalną małą przyjaciółkę”. Oznaczało to, że dziewczynka dostąpiła zaszczytu usługiwania jej oraz dawania sygnału do rozpoczynania kwestii lub piosenki. Choć January nigdy nie należała do „święty Lindy”, była z tego bardzo zadowolona, gdyż większość rozmów ze starszą koleżanką koncentrowała się wokół „i??” Wayne'a. Linda była jego zagorzałą wielbicielką. Czy January zaprosiła go na szkolne przedstawienie? Czy przyjedzie? Musi przyjechać. Czyżby Linda nie wiedziała, że January dostała się do chóru?

Przyjechał, a po przedstawieniu January mogła zobaczyć, jak wielka gwiazda przedstawienia Aniu, sięgnij po spluwę przeobraża się, w chwili gdy Mikę Wayne ścisnął jej rękę, w zaczerwienioną, jękającą się uczennicę szkoły średniej.

— Czyż nie była wspaniała? — spytała później January, kiedy udali się na spacer.

— Była beznadziejna. Ty w chórze bardziej rzucałaś się w oczy niż ona we wszystkich swoich kwestiach.

— Ależ ona jest tak utalentowana.

— Jest tłustą, brzydką babą.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

Kiedy Linda odebrała dyplom i odeszła, w szkole zrobiło się naraz pusto. Następnego roku piękna dziewczyna imieniem Angela grała główną rolę w szkolnym przedstawieniu, ale wszyscy byli zgodni, że to „nie Linda”.

Dwa lata później Linda znowu znalazła się w centrum uwagi szkoły panny

Haddon, gdy jedna z dziewcząt wpadła do holu krzyżąc i machając egzemplarzem magazynu „Gloss”. W stopce redakcyjnej znalazły wydrukowane małą czcionką nazwisko: Linda Riggs — młodszy redaktor. Cała szkoła była niesamowicie poruszona, tylko January doznała w głębi serca rozczarowania. A co z Broadwayem?

Ojciec nie był tym wcale zdziwiony.

— Zabawne, że udało się jej zostać dziewczynką na posyłki w piśmie z modą kobiecą.

— Była przecież niezwykle utalentowana — upierała się January.

— Utalentowana na miarę szkoły panny Haddon. Ale mamy rok 1960 i pełno dziewcząt o urodzie Liz Taylor czy Marilyn Monroe. I wiesz co? Szlifują bruki marząc o najmniejszej choćby roli. Nie mówię, że uroda to wszystko... ale zawsze pomaga.

— A czy ja będę piękna?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu i ujął w palce pukiel jej ciężkich brązowych włosów.

— Będiesz więcej niż piękna. Masz brązowe oczy swojej matki.

Aksamitne oczy to pierwsza rzecz, która mi się u niej spodobała.

Nie powiedziała mu, że ma raczej jego oczy. Przy smagłej cerze i czarnych włosach były niezwykle niebieskie. Nigdy nie potrafiła przywyknąć do jego wyjątkowej prezencji i elegancji. Podobnie odczuwały to jej szkolne koleżanki, których ojcowie byli wiecznie zapracowani, nie ogoleni, martwili się utratą włosów lub posady, kłócili często z żonami i besztali młodsze dzieci. Natomiast January podczas weekendów spędzanych razem z ojcem w Nowym Jorku widziała zawsze przystojnego mężczyznę żyjącego wyłącznie po to, aby sprawiać jej przyjemność.

Właśnie te wspólne weekendy były przyczyną, dla której January nie miała chęci wiązać się ze swoimi szkolnymi koleżankami żadnymi siostrzanymi przyjaźniami. Oznaczałoby to bowiem świąteczne obiady w domach przyjaciółek, a w rewanżu okazjonalne noclegi u niej. A January nie miała bynajmniej ochoty dzielić się z kimkolwiek tymi weekendami. Zdarzało się oczywiście, że ojciec wyjeżdżał do Europy lub na Wybrzeże, jednak te soboty i niedziele, które musiała spędzać samotnie, były w pełni rekompensowane wspólnymi weekendami. Sobotnimi porankami, kiedy pod szkołę zajeżdżała limuzyna i uwoziła ją do Nowego Jorku... do wielkiego narożnego apartamentu, który ojciec wynajmował na stałe w hotelu Plaża. Kiedy przyjeżdżała, jadł zwykle śniadanie. Sekretarka sporządzała jeszcze jakieś notatki, asystent producenta informował o kasie z ubiegłego tygodnia, szef od reklamy

prosił o akceptację sloganu, bez przerwy dzwoniły telefony, czasami trzy naraz. W chwili gdy ona wchodziła do pokoju, cały ten ruch zamierał, tak jakby ktoś odwoływał alarm, ojciec zaś przytulał ją mocno. Jego płyn po goleniu pachniał sosną, a mocny uścisk dawał poczucie całkowitego bezpieczeństwa.

Jadła lunch, podczas gdy on wydawał pośpiesznie ostatnie dyspozycje. Nigdy nie przestawało jej to fascynować — jego matactwa, staccato poleceń w rozmowach międzymiastowych przez telefon. Skubała jedzenie i wpatrywała się weń, usiłując wyryć w pamięci sposób, w jaki trzyma słuchawkę pomiędzy ramieniem i uchem, robiąc jednocześnie notatki... i ciepłe uczucie, które ją przeszywało w chwili, gdy wśród tego całego zamętu rzucał jej szybkie spojrzenie i mrugał porozumiewawczo.

Oznaczało ono: „Nieważne, czym się zajmuję, i tak stale myślę o tobie”. Natomiast po lunchu nie było już żadnych telefonów, nikt nie przeszkadzał. Reszta jego dnia należała wyłącznie do niej.

Czasami zabierał ją do Saksa i kupował wszystko, co wpadło im w ręce. Innym razem chodzili na łyżwy na Rockefeller Plaza (z reguły siedział w środku sącząc drinka, a ona ćwiczyła z instruktorem). Jeżeli pracował akurat nad nowym przedstawieniem, wpadali na próby, aby im się przyjrzeć. Oglądali wszystkie spektakle na Broadwayu, czasami chodzili i na poranne, i na wieczorne widowiska. Wieczór kończyli zwykle u Sardiego, gdzie zajmowali specjalnie dla nich zarezerwowane miejsce pod karykaturą ?i???

Nienawidziła natomiast niedziel. Bez względu na to, ile uciechy mieli podczas niedzielnego brunchu*, nad całym dniem ciążyło widmo wielkiej czarnej limuzyny, która czekała, by zabrać ją do szkoły. Wiedziała, że musi jechać, aby on mógł powrócić do swych telefonów i produkcji.

Ulubionymi spektaklami ?i??? były zawsze jej urodziny. Gdy kończyła pięć lat, wynajął mały cyrk i zaprosił na przedstawienie całą grupę z przedszkola. Matka jeszcze wówczas żyła — nieokreślona kobieta o wielkich, brązowych oczach, która siedziała z boku i obserwowała wszystko bez większego zainteresowania. Na szóste urodziny urządził kulig do Zielonej Tawerny w Central Parku, gdzie z worem zabawek czekał Święty Mikołaj. Innym razem był magik lub teatrzyk kukielkowy.

* brunch — rodzaj późnego śniadania połączonego z lunchem (przyp. tłum.).

Ósme urodziny spędzili jednak już tylko we dwoje. Były to jej pierwsze urodziny po śmierci matki. Wypadły właśnie w czasie weekendu i samochód, jak zwykle, zabrał ją ze szkoły panny Haddon do hotelu Plaza.

Z powagą przyglądała się, jak ojciec otwierał butelkę szampana i nalewał jej ćwierć kieliszka.

— To najlepszy gatunek, dziecinko — podniósł swój kieliszek. —

Zdrowie mojej damy... Jedynej, jaką będę kiedykolwiek kochać.

W ten sposób poznał ją z Dom Perignonem i kawiozem.

Potem doprowadził ją do okna i pokazał przelatujący właśnie nad miastem noworoczny sterowiec. Zamiast napisu: „Szczęśliwego Nowego Roku”, lśniły na nim wielkie czerwone litery: „Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, January!”

Od tego czasu Dom Perignon i kawior pojawiały się tradycyjnie przy każdej ważniejszej okazji.

Na trzynaste urodziny zabrał ją do Madison Square Garden. Kiedy przybyli, w wielkim namiocie panował mrok, pomyślała więc, że się spóźnili. Wziął ją za rękę i wprowadził do środka. Dziwne, ale przy wejściu nie było bileterów, żeby wskazać im miejsce... żadnej asysty żadnych ludzi, świateł. Sprowadził ją z rampy w przepastne ciemności pustego ogrodu. Wszystko było niesamowite, gdy tak szli ręka w rękę... w dół... w dół... w głąb ogrodu. Zatrzymali się i Mike powiedział cicho: — Wyraź życzenie, kochanie, wielkie życzenie, ponieważ stoisz akurat w miejscu, gdzie stali najwięksi mistrzowie: Joe Louis, Sugar Ray, Marciano. — Podniósł jej rękę, tak jak to robi sędzia po wygranym meczu, i naśladując jego nosowy głos zaintonował: — A teraz panie i panowie przedstawiam... mistrza wszechwag... pannę January Wayne... która właśnie dziś stała się nastolatką. — Następnie dodał: — To znaczy, że jesteś teraz w wadze ciężkiej, dziecinko.

Zarzuciła mu rękę na szyję, a on pochylił się, by pocałować ją w policzek, lecz w ciemnościach dotknął jej ust... w tym momencie tablice świetlne rozbłysły napisami „Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, January”.

Na nakrytym już stole znajdował się kawior i szampan. Kelner czekał w pogotowiu, a orkiestra grała i śpiewała Sto lat. Później muzycy zaczęli wykonywać wiązanek jej ulubionych melodii musi-calowych. Pili szampana, po czym Mike wyciągnął do niej rękę i zaprosił do tańca. Z początku była zdenerwowana, ale po kilku okropnie niezgrabnych krokach przytuliła się do niego i nagle poczuła się tak, jakby tańczyli razem przez całe życie. Gdy poruszali się w takt muzyki, szepnął: — Stajesz się damą. Pewnego dnia pojawi się

chłopiec, najważniejszy na świecie... weźmie cię w ramiona, tak jak ja teraz, a ty poznasz wówczas, co znaczy miłość.

Nic nie odrzekła, ponieważ wiedziała, że już jest w ramionach jedyne

mężczyzny, którego jest w stanie kochać.

Gdy kończyła szkołę panny Haddon, Mikę kręcił właśnie film w Rzymie. Nie miała mu za złe, że nie przyjechał na zakończenie roku. Sama też by najchętniej opuściła tę całą ceremonię, ale przesłuchiowano ją i została wytypowana do wygłoszenia mowy pożegnalnej, toteż nie miała wyjścia. Miała natomiast dojechać do niego, do Rzymu, na wakacje. Znalazła także wymówkę, aby nie iść do college'u.

— Tatusiu, całe życie spędzam w szkole.

— Ale college jest ważny, kochanie.

— Dlaczego?

— No, żeby się wiele nauczyć, poznać właściwych ludzi, przygotować się do... psiakrew, nie wiem. Wiem tylko, że tak trzeba. A dlaczego inne dziewczęta idą do college'u?

— Ponieważ nie mają takich ojców jak ty.

— No dobra, a co chcesz robić?

— Może być aktorką...?

— No, jeżeli chcesz być aktorką, to tym bardziej musisz się przedtem kształcić.

Podjęli więc decyzję. Po skończeniu zdjęć w Rzymie Mikę miał w planie kolejny film, w Londynie. Udało mu się zapisać ją na jesienny semestr do Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych. Nie była zachwycona tym pomysłem, nie była nawet pewna, czy rzeczywiście chce być aktorką... Na razie jednak jechała do Rzymu! Była jeszcze końcowa uroczystość, przez którą musiała przebrnąć. Na głowie miała biret, a pod togą niebieską jedwabną sukienkę. Bilet lotniczy i paszport leżały w torebce, a bagaże spoczywały już w kufrze limuzyny, która czekała przed szkołą. Należało jedynie wygłosić mowę, odebrać dyplom i — w nogi!

Nareszcie po wszystkim. Już torowała sobie drogę pomiędzy rzędami krzesel, odbierała gratulacje od rodziców swych koleżanek, przepychała się przez ścianę płaczących pożegnań, obietnic, że będą pisać do siebie. „Do widzenia! Do widzenia!” Zrzucić togę, cisnąć biret pannie Hicks z sekcji dramatycznej. „Do widzenia! Do widzenia!” Do limuzyny i na lotnisko Kennedy'ego.

Lot boeingiem 704, pierwsza klasa w połowie pusta, ona zaś zbyt podekscytowana, aby skoncentrować się na jedzeniu lub oglądaniu filmu. Godziny kartkowania czasopism, drzemania na jawie i sączenia coca-coli, i wreszcie lądowanie... Siódma rano czasu rzymskiego, a tam on z kilkoma ważniakami na samej płycie lotniska... obok prywatnego samochodu. Z samolotu w jego ramiona, w ramiona najfantastyczniejszego

mężczyzny na świecie... mężczyzny, który należy do niej.

Długi czarny samochód zawiózł ich do odprawy celnej... ostemplowano jej paszport... weszli do zatłoczonej hali portu lotniczego, gdzie na jej bagaż czekało dwóch przystojnych włoskich chłopców w obcisłych ciemnych garniturach.

— Nie mówią po angielsku, ale fajne z nich dzieciaki — powiedział Mike, wręczając obu po kilka szeleszczących banknotów. — Zabiorą twój bagaż do hotelu.

Potem podprowadził ją do długiego, niskiego czerwonego jaguara. Dach był opuszczony i Mike uśmiechnął się, widząc jej nie skrywaną radość.

— Myślę, że będzie znacznie zabawniej, gdy pojedziemy sami. Wsiądź, Kleopatro — wraczasz właśnie do Rzymu.

Tak oto w słoneczny czerwcowy ranek ujrzała po raz pierwszy Rzym. Wiał łagodny wietrzyk, a poranne słońce opromieniało jej twarz. Sprzedawcy powoli podnosili stopy w swych sklepach. Młodzi chłopcy w fartuchach zaczęli czyścić chodniki przed kawiarniami. Czasami, gdzieś w dali, jakiś klakson zatrąbił nieśmiało, cichy klakson, który później, gdy ruch uliczny osiągnie swój szczyt, zleje się z innymi w jedno głośne crescendo. Mike zatrzymał samochód na postoju przed małą restauracyjką.

Natychmiast wybiegł z niej właściciel, uściskał go i uparł się, że osobiście przyrządzi im jajka i parówki z gorącymi rogalikami, które właśnie piekła jego żona.

Miasto rozbrzmiewało już gwarem, gdy dotarli na Via Veneto, gdzie stał hotel Excelsior. January przyglądała się małym kawiarenkom po obu stronach ulicy, turystom usiłującym popijać mocną kawę i czytającym „New York Timesa” oraz paryską „Tribune”.

— To jest Via Veneto? — spytała January. Mike uśmiechnął się szeroko.

— Tak, właśnie tak. Wybacz, że nie udało mi się ściągnąć tu Sophii Loren, aby się przed tobą przespacerowała. Tak naprawdę to mogłabyś siedzieć na Via Veneto przez rok i byś jej nie zobaczyła, spotkasz natomiast w ciągu godziny wszystkich Amerykanów, którzy są w mieście.

Była przytłoczona wielkością apartamentu w hotelu Excelsior. Ozdobne marmurowe kominki, jadalnia, dwie duże sypialnie — był to niemalże pałac.

- Zostawiłem ci pokój, którego okna wychodzą na ambasadę amerykańską — powiedział Mike. — Myślę, że tutaj nie będzie ci tak przeszkadzał hałas uliczny. — Potem wskazał bagaże, które właśnie przyjechały. —

Rozpakuj się, wykup i połóż spać. Około czwartej przyślę po ciebie samochód, możesz przyjechać do studia i razem wrócimy do domu.

— A czy nie mogę od razu pojechać z tobą? — spytała. Uśmiechnął się.

— Posłuchaj, nie chcę, abyś była zmęczona pierwszego wieczoru w Rzymie. Tak się składa, że nie jadamy tu obiadu przed dziewiątą, a nawet i dziesiątą.

Ruszył do drzwi i zatrzymał się na chwilę. Popatrzył na nią i pokiwał głową.

— Wiesz co? Jesteś naprawdę diablo piękna.

Gdy przyjechała do studia, jeszcze nie skończyli kręcić. Stała z tyłu i w mroku przyglądała się pracy. Rozpoznała Mitcha Nelsona, amerykańskiego aktora, którego prasa okrzyczała nowym Garym Cooperem. Z kamienną twarzą i prawie nieruchomymi wargami grał scenę miłosną z Melbą Delitto. January widziała Melbę wyłącznie w zagranicznych filmach. Była bardzo piękna, ale miała zły akcent i kilka razy się pomyliła. Za każdym razem Mike podchodził do niej z uśmiechem, mówił kilka uspokajających słów i zaczynał scenę od początku. Po piętnastym ujęciu krzyknął: — Kopiować!

Studio rozbłysło światłami. Gdy Mike zobaczył córkę, na jego twarzy pojawił się uśmiech przeznaczony wyłącznie dla niej. Przecisnął się przez rozgadany tłum w studiu i otoczył ją ramieniem.

— Jak długo tu stoisz?

— Od jakichś dwunastu ujęć. Nie wiedziałam, że jesteś także reżyserem.

— Wiesz, to pierwsza rola, w której Melba musi mówić po angielsku.

Pierwsze dni to były niewypały. Myliła się... reżyser wrzeszczał na nią po włosku... ona krzyczała na niego... on darł się jeszcze głośniej... ona wybuchała płaczem. To oznaczało godzinę zwłoki na nowy makijaż plus kolejne pół godziny na przyjęcie przeprosin reżysera. Doszedłem do wniosku, że zaoszczędzę mnóstwo czasu i pieniędzy i wreszcie dostanę przyzwoite ujęcie, jeżeli od czasu do czasu podejde, uspokoje babkę i zapewnię ją, że świetnie sobie radzi.

W tym momencie zbliżył się do nich energicznym krokiem młody Włoch.

— Skończyłem pracę dwie godziny temu, ale zostałem, ponieważ bardzo chciałem poznać pana córkę.

— January, to jest Franco Mellini — przedstawił Mike. Młody człowiek miał niewiele ponad dwadzieścia lat. Mówił z obcym akcentem, był wysoki i wyjątkowo przystojny.

— No dobra, Franco, przedstawiłem cię, a teraz spływaj. Ton, jakim zostało to wypowiedziane, był szorstki, ale Mike

patrzył na chłopca z uśmiechem, gdy ten odchodził, grzecznie się uprzednio skłoniwszy.

— Ten dzieciak ma tylko małą rólkę, ale może stąd odejść z nazwiskiem — powiedział. — Znalazłem go w Mediolanie, gdzie rozglądałem się za plenerami. Pracował jako piosenkarz i jednocześnie barman w knajpie. Ma wrodzony talent. To niesamowite, jak potrafił oczarować każdą babkę w naszej ekipie, nawet Melbę. — Mikę pokiwał głową. — Tak, tak, gdy spotkasz uroczego Włocha, miej się na baczności.

Szli ramię w ramię. Studio opustoszało i January czuła, że spełniły się wszystkie jej marzenia. Była to chwila, za którą zawsze tęskniła, o której zawsze marzyła. Iść obok niego, być częścią jego życia, jego pracy, dzielić jego problemy.

Nagle Mikę powiedział: — Ale, ale, zarezerwowałem dla ciebie wejście w moim filmie, niewiele, zaledwie parę słów. Hej — usiłował wyrwać się z jej objęć — dusisz mnie!

Później, gdy przedzierali się przez niebywały ruch uliczny, Mikę opowiedział jej o swych kłopotach z filmem — o obawach Melby przed angielskim, o jej niechęci do Mitcha Nelsona, o barierze językowej pomiędzy nim i częścią zespołu. Ale najbardziej narzekał na zatłoczone ulice. January siedziała, słuchała i cały czas powtarzała sobie, że to nie sen, ona naprawdę tu jest, to nie sobota, nie będzie limuzyny, która ją jutro zabierze od niego... tak jak dziś będzie z nim dzień po dniu, a tłok na ulicach mógłby być dla niej zawsze... była w Rzymie z Mikiem... byli tylko we dwoje!

Kiedy wreszcie dotarli do hotelu, ujrzała kolejnego szczupłego, przystojnego młodzieńca, który czekał w holu z wielkimi pudłami. Zastanowiło to January. Co oni wszyscy robią, że są tak szczupli? Czyżby nie dojadali?

— To jest Bruno — powiedział Mikę, gdy uśmiechnięty chłopak szedł za nimi do apartamentu. — Pomyślałem, że możesz mieć za mało ubrań, więc wysłałem go kilka dni temu po zakupy. Robi sprawunki dla wielu ważniaków. Weź to, co ci się przyda, albo zatrzymaj wszystko. Idę pod prysznic, a potem zamierzam podzwonić do Stanów, to znaczy jeżeli uda mi się dogadać z telefonistką. Czasami nie możemy przebrnąć przez „pronto”. — Pocałował ją w policzek. — Do zobaczenia o dziewiątej. Czekał już na nią, gdy weszła o dziewiątej do salonu. Zagwizdał z cicha. — Maleńka, wyglądasz wystrzałowio — zamilkł na chwilę i dodał z uśmiechem: — No, no, powinienem raczej powiedzieć, że bijesz na głowę wszystkie najlepsze modelki.

— To znaczy, że jestem po prostu zbyt płaska u góry — wybuchła śmiechem. — Właśnie dlatego zachwyciłam się tym ciuchem. Jest obcisły i dzięki temu wyglądam w nim...

— Fantastycznie — odpowiedział.

— Wzięłam tylko tę suknię, spódnicę, kilka bluzek i żakiet.

— To wszystko? — Potem wzruszył ramionami. — Może sprawi ci więcej uciechy, jeżeli sama poodnajdujesz te małe, ukryte sklepiki, o których opowiadają wszystkie babki. Poproszę Melbę, aby doradziła ci, gdzie je znaleźć.

— Nie jestem tu po to, żeby kolekcjonować ciuchy. Chcę się przyglądać, jak robisz film.

— Chyba żartujesz? Jezus Maria, maleńka! Masz siedemnaście lat i jesteś w Rzymie! Przecież nie chcesz sterczeć na tym rozgrzanym planie filmowym?

— Właśnie tego chcę. Chcę też to małe wejście, które mi obiecałeś. Roześmiał się.

— Może i będziesz aktorką, w każdym razie zaczynasz mówić, jakbyś już nią była. No, ale teraz musimy iść, umieram z głodu.

Udali się do restauracji w starej dzielnicy Rzymu. January podziwiała wiekowe budynki, ciche uliczki. Weszli do lokalu zwanego „U Angelina”. Obiad podano przy świecach, na renesansowej werandzie. Byli nawet muzycy chodzący między stolikami. Cały wieczór wydawał się piękny i nierealny. Usiadła wygodnie i przyglądała się, jak Mikę nalewa jej wina. Spełniło się jeszcze jedno z jej największych marzeń: była sama z Mikiem w tym bajecznym miejscu, nalewał jej wina, kobiety patrzyły na niego z podziwem, lecz on należał tylko do niej. Żadne telefony go od niej nie oderwą, żadne czarne limuzyny nie przyjadą, aby ją stąd zabrać. Patrzyła, jak zapala papierosa.

Właśnie kelner nalewał im kawy, gdy do restauracji weszli Franco z Melbą. Mikę zaprosił ich gestem do stolika i zamówili nową butelkę wina. Melba zaczęła opowiadać o jednej ze swych scen w filmie. Ilekroć uciekało jej jakieś angielskie słowo, co zdarzało się dość często, tylekroć pomagała sobie gestem.

Franco, wyraźnie tym rozbawiony, zwrócił się do January: — Mówię bardzo słabo po angielsku. Czy mi pomożesz?

— No, ja...

— Twój ojciec... on cały czas mówił o tobie. Liczył godziny do twego przyjazdu.

— Naprawdę?

— Oczywiście. Tak jak ja liczyłem godziny do naszego spotkania dziś wieczorem. — Wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni. Cofnęła ją i zwróciła się w kierunku ojca, lecz on szeptał akurat coś Melbie do ucha. Aktorka chichotała i ocierała się o niego policzkiem. January odwróciła głowę, ale Franco tylko się uśmiechnął: — Może miłość nie potrzebuje słów?

— Myślę, że twój angielski jest doskonały — odparła sztywno. Starła się nie patrzeć na rękę Melby spoczywającą na udzie ojca.

— Och, nauczyłem się go od żołnierzy amerykańskich — zaśmiał się Franco. — Gdy ojciec zginął na wojnie, moja matka była bardzo młoda... molto bella... nie знаła angielskiego, ale szybko się nauczyła. Potem nauczyła i mnie. Wujkowie byli dobrzy dla mojej mamy. Teraz jest gruba i wysyłam jej pieniądze, bo nie ma już żołnierzy amerykańskich, pozostał tylko Franco.

January odetchnęła z ulgą, gdy Mike poprosił o rachunek. Położył na stole zwitek banknotów, dając sygnał do zakończenia kolacji, i wówczas wszyscy wstali. Popatrzył z uśmiechem na January.

— No, dziecinko, myślę, że za bardzo tobą zawładnąłem. Poza tym piękna, młoda dziewczyna powinna spędzić pierwszy wieczór w Rzymie z młodym, przystojnym Włochem; przynajmniej tak piszą we wszystkich scenariuszach filmowych, które realizowałem.

Mrugnął do Franca, potem otoczył ramieniem Melbę i wszyscy wyszli z restauracji. Przez chwilę stali na wąskiej brukowanej ulicy.

— No dobra, Franco — powiedział Mike — pozwalam ci, żebyś pokazał mojej małej trochę nocnego życia w tym mieście, ale bez przesady. Ostatecznie będziemy tu wszyscy jeszcze dwa miesiące.

Potem wziął Melbę za rękę i zaprowadził do samochodu. January patrzyła, jak odjeżdżają. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że nie mogła w to uwierzyć. Ojciec odjechał, a ona stała na obcej rzymskiej ulicy z młodym, przystojnym Włochem, zafundowanym jej przez "i???" Wayne'a.

On zaś wziął ją pod rękę i poprowadził ulicą do małego samochodu. Wcisnęli się do środka i Franco zręcznie manewrując zaczął się przepychać przez tłum pojazdów zalewających ulicę. January przez cały czas milczała. W pierwszym odruchu chciała go poprosić, aby odwiózł ją do hotelu. Ale co potem? Siedzieć tam i czekać... i zastanawiać się, co oni robią? N i e. Niech o n siedzi, czeka i martwi się, co ona robi. Odszedł od niej... zostawił ją z tym chłopakiem. W porządku. Niech wie, co się wówczas czuje.

— Po Rzymie — odezwał się Franco — należy jeździć tylko małym

samochodem.

Jechali przez kręte uliczki i wreszcie zatrzymali się przed barem z lodami.

— Idziemy na dół — powiedział Franco i gdy wydostali się z auta, poprowadził ją w dół ciemnymi, ciasnymi schodami.

— Spodoba ci się... to najlepsza dyskoteka w Rzymie.

Cały budynek wyglądał tak, jakby był gotów do rozbiórki, aż nagle weszli do przepastnego pomieszczenia wypełnionego parami wirującymi w takt ryczącej muzyki, wśród psychodelicznych świateł. January odniosła wrażenie, że Franco zna tu każdego, łącznie z kelnerem, który zaprowadził ich do doskonałego stolika we wnęce. Franco zamówił wino, a potem wbrew jej woli, zaciągnął ją na parkiet. Była zakłopotana, gdyż nie знаła nowych tańców. Rozejrzała się wkoło. Wszystkie dziewczęta jakby falowały nie zważając na swych partnerów. Zdawało się, że cały parkiet jest pokryty mnóstwem larw, które się wiją... wyginają... skręcają. Nigdy nie tańczyła w ten sposób. W ciągu ostatniego semestru nie chciała chodzić na randki, ponieważ Mikę był w Nowym Jorku i z nim spędzała wszystkie weekendy.

Franco wyśmiał jej obawy. Muzyka była bardzo rytmiczna. Prowadzona przez partnera zaczęła tańczyć powoli, niepewnie. Franco pokiwał zachęcająco głową: jego uśmiech dodawał pewności i wyrażał aprobatę. Po chwili poruszała się tak samo jak inne dziewczęta. Franco kiwał głową, jego ręce kreśliły w powietrzu jakieś figury, biodra falowały. Zaczęła naśladować jego kroki. Rytm muzyki narastał... po chwili tańczyła w kompletnym zapamiętaniu. Gdy muzyka umilkła, padli sobie zmęczeni w objęcia. Franco odprowadził ją do stolika; spragniona, wypła jednym haustem pełen kieliszek wina. Franco zamówił całą butelkę i ponownie napełnił jej kieliszek. Kilku znajomych Franca podeszło do ich stolika i wkrótce zebrała się tam spora grupa młodych ludzi. Zaledwie kilkoro z nich mówiło po angielsku, ale wszyscy prosili ją do tańca, miło się uśmiechając; nawet dziewczęta sprawiały wrażenie serdecznych i przyjacielskich. Naprawdę bawiłaby się znakomicie, gdyby nie dręcząca myśl o Melbie i ojcu. Widziała, w jaki sposób Mikę patrzył na Melbę, jak spotykały się ich oczy. Wypiła jeszcze jeden kieliszek. Melba nic nie znaczyła dla ojca, była jedynie gwiazdą w jego filmie, a on chciał, żeby była zadowolona. Czy nie wyjaśnił, że właśnie dlatego podchodził do niej pomiędzy ujęciami i szeptał coś do ucha? Ale o czym jej wówczas mówił? Wypiła jeszcze

jeden duży łyk wina i skinęła przyzwalająco głową kolejnemu przystojnemu chłopakowi, który poprosił ją do tańca. Muzyka wręcz

ryczała, January poruszała się dokładnie tak jak inne dziewczęta. (Czy Melba i ojciec siedzą gdzieś teraz razem i słuchają dobrej muzyki, muzyki dla zakochanych? Tylko we dwoje, w jakimś zacisznym miejscu ze skrzypkami?) Przestała nagle tańczyć i zeszła z parkietu. Chłopak pospieszył za nią, paplając po włosku i pytając machając rękoma. — Powiedz mu, że jestem po prostu zmęczona — poprosiła Franca. Usiadła i patrzyła, jak rozmawiają po włosku. Chłopak przestał marszczyć brwi, uśmiechnął się, wzruszył ramionami i poprosił do tańca inną dziewczynę.

O pierwszej po północy cała paczka zaczęła się rozchodzić. January zastanawiała się, czy Mikę może być już w domu. Czy się martwi, że nie ma jej o tak późnej porze? A może jeszcze nie wrócił? Skończyła swoje wino i sięgnęła po butelkę, ale była pusta. Franco natychmiast zamówił następną, lecz kelner przecząco pokręcił głową. Rozpoczęła się gwałtowna wymiana zdań. W końcu Franco wstał i rzucił pieniądze na stół.

— Zamykają, idziemy gdzie indziej. Ruszyła za nim.

— Gdzie wszyscy chodzą o tej porze? — spytała. — Myślę o ludziach, którzy nie chcą jeszcze wracać do domu. Czy jest jakieś miejsce... no, coś jak „P.J.” w Nowym Jorku...

— Och, myślisz o jakimś lokalu, gdzie nocą wszyscy się schodzą? Tylko Amerykanie spotykają się tak późno, Włosi kładą się z kurami i nie łążą po nocnych klubach. Wolą domowe życie towarzyskie.

— Ale... — zatrzymała się, gdy wyszli na ulicę. Oznaczało to, że — być może — Mikę też właśnie wraca do domu.

— Coś ci powiem — zaczął Franco — chodźmy do mnie. Mam to samo wino.

Zwrócił się do pary, która stała z nimi na ulicy: — Vincente i Maria, wy też chodźcie.

Vincente pokręcił głową, mrugnął porozumiewawczo i odszedł obejmując swoją dziewczynę.

Franco zaprosił January do samochodu.

— Myślę, że lepiej będzie, jeżeli także pojedę do domu — powiedziała.

— Świetnie się bawiłam, Franco... słowo daję. Było naprawdę bardzo przyjemnie.

— Nie, musimy się jeszcze napić, inaczej twój tata pomyśli, że marny ze mnie chłopiec do towarzystwa, jeżeli odwiozę cię tak wcześnie do domu.

— Naprawdę tym jesteś? Chłopcem do towarzystwa? Najętym przez mojego ojca?

Jego twarz pociemniała. Wcisnął pedał gazu i maleńki samochodzik zaczął

mknąć przez ulice, pochylając się na boki, gdy Franco brał z przerażającą prędkością zakręty.

— Franco, zabijemy się, zwolnij, proszę. Czy cię obraziłam?

— Tak. Nazwałaś mnie żigolakiem.

— Nie... naprawdę, ja tylko żartowałam. Zatrzymał samochód w małej bocznej uliczce.

— Posłuchaj, musimy wyjaśnić jedną rzecz. Twój tata jest ważną osobistością, ale ja jestem dobrym aktorem. Jestem świetny w filmie. Widać to na kopiach roboczych. Zeffirelli chce, żebym wziął udział w próbnym czytaniu scenariusza jego najnowszego filmu... Dostanę tę rolę, zobaczysz. W filmie twojego ojca właściwie skończyłem zdjęcia, toteż wcale nie potrzebuję uprawiać żadnej polityki. Zabrałem cię dziś wieczór, ponieważ jesteś piękna. Chciałem się z tobą zobaczyć, bo twój tata tyle mówił o tobie. Nie bardzo mu wierzyłem, zanim cię nie zobaczyłem dzisiaj ... och... wówczas się przekonałem...

— W porządku, Franco — rzekła ze śmiechem — ale jeszcze jedno: nie ma już dzisiaj żigolaków. I musisz nauczyć się nie być tak drażliwym.

— A jak byś nazwała mężczyznę, który jest kupiony? — spytał. Wzruszyła ramionami.

— Prawdziwego mężczyzny nie można kupić... ani utrzymać. Tych, którzy są utrzymywani... myślę, że nazywa się ich utrzyman-kami, fagasami, przystojniaczkami z plaży, męskimi dziwkami.

— Nie jestem męską dziewczyną.

— Nikt nie powiedział, że jesteś. Ruszył, ale jechał powoli.

— W Neapolu, gdzie się urodziłem, nauczono nas, że trzeba walczyć, gdy chce się coś mieć — kobiety, pieniądze, nawet aby utrzymać się przy życiu, ale kobiety nie mogą nas kupić. Jesteśmy maschio. — Na jego twarzy pojawił się uśmiech. — No dobra, przebaczę ci, jeżeli dasz się zaprosić na lampkę wina.

— Ale...

— Jeżeli nie wstąpisz do mnie na wino, pomyślę, że jesteś ze mną wyłącznie po to, aby sprawić przyjemność ojcu.

— No dobrze, lecz tylko jeden kieliszek.

Jechali krętymi uliczkami po kocich łbach, mijali potężne budynki z ciemnymi podwórzami. W końcu zatrzymali się przed okazałym starym domem.

— Kiedyś była tu prywatna rezydencja bogatej sędziwej damy — poinformował Franco. — Raz zatrzymał się tu nawet Mussolini ze swą kochanką. Teraz dom trochę podupadł, toteż podzielono go na mieszkania.

January szła za nim przez ciemne podwórze z potrzaskanymi marmurowymi ławkami i rozbitą, nieczynną marmurową fontanną. Franco włożył klucz w masywne dębowe drzwi.

— Wejdz, proszę, to moje mieszkanie. Niezbyt schludne, ale przyjemne, prawda?

W salonie współczesny rozgardiasz przedziwnie kontrastował ze stylową architekturą wnętrza. Wysokie sufity, zniszczone marmurowe podłogi, sofa zarzucona gazetami, poniewierające się blaszane popielniczki, maleńka kuchnia pełna brudnych naczyń i uchylone drzwi do sypialni, gdzie stało rozgrzebane łóżko. Tak właśnie mieszkał, w typowym kawalerskim bałaganie.

W ogóle nie był speszony wyglądem swego mieszkania. Pstryknął magnetofon i nagle zewsząd popłynęła muzyka. Braki w umeblowaniu uzupełniał sprzętem grającym.

Oglądała gzymy i piękny marmur, podczas gdy on otwierał butelkę wina.

— Ten sam gatunek, który piliśmy w dyskotecze — powiedział podchodząc do niej z kieliszkiem.

Potem podprowadził ją do kanapy i zrzucił gazety na podłogę, robiąc w ten sposób miejsce, aby mogła usiąść. Z kanapy wystawały pakuły i kilka sprężyn, ale gdy się odezwał, w jego głosie wyczuła dumę.

— Wszystkie te meble podarowali mi przyjaciele.

— Ta kanapa jest wspaniała — odparła — gdybyś ją jeszcze naprawił i... Wzruszył ramionami.

— Kiedy będę wielkim gwiazdorem umebluję moje mieszkanie jak należy. Może...

— Może?

— No wiesz, jak zostanę gwiazdorem, przyślą po mnie, abym pojechał do Ameryki. Przecież to tam są prawdziwe pieniądze, nie?

— Melba Delitto jest wielką gwiazdą, a nigdzie nie wyjechała.

— Melba i tak jest już bardzo bogata — powiedział ze śmiechem. — Poza tym ma już trzydzieści jeden lat... za stara, aby wyjechać.

— Ale przecież dorobiła się tutaj.

— Tak, ale na kochankach. Miała wielu kochanków... wiele brylantów.

Oczywiście, że nieźle zarobiła na filmach, ale znacznie lepiej na kochankach. Widzisz, z kobietami jest inaczej. Na przykład twój tata dopiero co podarował jej dużą spinę z diamentami. January wstała.

— Myślę, że lepiej będzie, jak już pójdę do domu.

— Dopiero co przyjechałaś, nie wypijaś jeszcze wina. Otworzyłem całą butelkę.

— Franco, robi się późno i... Pociągnął ją z powrotem na kanapę.

— Najpierw wypij wino — podał jej kieliszek.

Popijała powoli. Ręka Franca zsunęła się z oparcia sofy na jej ramiona. January udawała, że tego nie zauważa, ale czuła jej ciężar, jakby ręka Franca żyła własnym życiem. Palce zaczęły igrać na jej karku. Z trudem przełknęła jeszcze parę łyków, a potem wstała.

— Franco, naprawdę chcę już wracać. Wstał również i wyciągnął do niej rękę.

— Chodź, zatańczymy. Coś w starym stylu.

— Naprawdę nie chcę...

Objął ją, mocno przytulił i zaczął powoli tańczyć. Czuła siłę jego ciała... twarde wybrzuszenie w spodniach. Przyciskał ją do siebie, gdy poruszali się w takt muzyki. Jej sukienka była cienka jak gaza. Pocałował ją — język Franca rozchylił jej wargi. Próbowwała się uwolnić z uścisku, ale przytrzymał jej głowę jedną ręką, a drugą zaczął pieścić piersi. Znowu starała się wyrwać, lecz jej wysiłki tylko go rozbawiły. Potem jednym szybkim ruchem uniósł ją, poszedł z nią do sypialni i delikatnie rzucił na rozesełane łóżko. Zanim zdołała się poruszyć, uniósł jej sukienkę i zabrał się do ściągania majtek. Krzyknęła, gdy poczuła jego ręce na nagich pośladkach. Spojrzał ze zdziwieniem.

— Co jest? Co się stało?

Zerwała się obciągając sukienkę. Była zbyt wściekła, aby płakać.

— Jak mogłeś! Jak mogłeś!

Pobiegła do salonu, złapała torebkę i rzuciła się do drzwi. Skoczył za nią i zagroził jej drogę.

— January, czy coś jest nie tak?

— Czy coś jest nie tak! — zawołała ochryple. — Zapraszasz mnie na wino, a potem usiłujesz zgwałcić.

— Zgwałcić? — wytrzeszczył oczy. — Chciałem się tylko z tobą pokochać.

— Dla ciebie oczywiście to jedno i to samo.

— Jak to „jedno i to samo”? Gwałt jest przestępstwem. Kochanie się jest wtedy, gdy dwoje ludzi pragnie się nawzajem. Przecież zgodziłaś się tu przyjść, nie?

— Na wino... i... no, myślałam, że zrobiłam ci przykrość...

— Być może jestem zbyt gwałtowny — powiedział — ale ty zachowujesz się jak zepsuta amerykańska dziewczyna.

— Cóż, jestem amerykańską dziewczyną.

— No tak, ale jesteś też córką maschio, a to duża różnica. Wiesz, mówi

się, że amerykańskie dziewczęta mają swoje zasady. Na pierwszej randce może taka pozwoli pocałować się na dobranoc. Na drugiej troszkę obmacywania. Na trzeciej możliwe, że pozwoli na więcej dotykania i obmacywania, ale nigdy nie kocha się przed czwartą... no, może piątą randką. I amerykańscy chłopcy przestrzegają tych zasad. Ale Mikę Wayne ma własne zasady, myślałem, że jego córka będzie taka sama.

— Myślałeś... jak powiedziałeś... Myślałeś, że pójde z tobą do łóżka!

— No właśnie — powiedział ze śmiechem — właśnie tak. Przyszedł tutaj na wino, tańczyłaś ze mną. Bardzo to naturalne i miłe. Potem idzie się do łóżka. — Pochylił się i pogłaskał jej piersi. — Zobacz, jakie masz twarde sutki. Czuć to przez sukienkę. Twoje cudowne piersiątko bardzo pragną Franca, nawet jeżeli ty go nie chcesz. Dlaczego nie pozwolisz mi ich popieścić?

Odepchnęła jego ręce.

— Franco, zabierz mnie do domu.

Ale on pochylił się i zaczął ją całować. Broniła się zaciekle, kopała, ciągnęła za włosy, Franco zaś śmiał się z jej wysiłków, jakby stanowiły jakąś część gry. Założył jej ręce na plecy i przytrzymał jedną dłonią, druga zaś próbował rozpiąć suwak z tyłu sukni. W panice pomyślała z ulgą, że jest to, na szczęście, tylko sześciocalowy zamek. Szarpał i szarpał, potem zaś sięgnął od dołu i podciągnął sukienkę na głowę January. Ręce jej się zaplątały, a materiał przytłumił krzyki. Nie miała stanika, toteż nagle poczuła na piersiach jego usta i pomimo wściekłości, dziwne podniecenie w kroczu. Wsunął rękę pod majtki i wcisnął między jej uda.

— Zobacz, moja mała January, jesteś mokra z miłości... czekasz na mnie...

W nagłym przypiływie furii udało jej się jednak wyrwać i włożyć na oślep sukienkę. Gdy ją obciągała, wykrztusiła przez łzy: — Proszę... proszę, pozwól mi odejść.

— Dlaczego płaczesz? — jego zdziwienie było szczere. Próbował znowu ją objąć, ale krzyknęła. — January, o co chodzi? Będę dobrym kochankiem. Proszę, zdejmij ubranie i chodź do łóżka. — Zaczął nerwowo szarpać sprzączkę paska i ściągnął spodnie. Patrzył z chłopięcym uśmiechem, jakby przymilał się upartemu dziecku.

— No spójrz, jak bardzo cię pragnę. No proszę, popatrz. — Stał naprzeciw niej w krótkich spodenkach.

Starala się nie patrzeć... ale... czuła się jak zahipnotyzowana. Franco uśmiechał się skromnie.

— Franco jest jak ogier, będziesz zadowolona, chodź — wyciągnął ręce

— pokochajmy się. Przecież twoje ciało wrywa się do mnie. Dlaczego chcesz odmówić nam tej przyjemności? — Ujął jej ręce i wepchnął sobie w spodenki. — Zobacz, jak bardzo cię pragnę. Nie widzisz, że to musi się stać?

— Nie... — było to błagalnie połączone z jękiem. — O Boże, nie tak. Popatrzył zdezorientowany. Potem spojrział w stronę sypialni.

— Myślisz o łóżku? Posłuchaj, nigdy nie kochałem się na tych prześcieradłach. Jedynie tam spałem.

— Proszę, proszę, pozwól mi odejść.

Łzy przesłoniły jej oczy. Objęła się rękami w geście samoobrony i starała się na niego nie patrzeć. Franco przyjrzał się jej dokładnie, wyciągnął rękę i dotknął policzka, jakby nie wierzył łzom. Na jego twarzy pojawiło się zdziwienie.

— January... kochałaś się już kiedyś? — spytał cicho. Pokręciła przecząco głową.

Przez chwilę milczał. Potem podszedł do niej, wygładził sukienkę i otarł łzy z twarzy.

— Przepraszam — szepnął. — Nie miałem pojęcia. Ile masz lat? Dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa?

— Siedemnaście i pół.

— Mama mia! — Walnął się w czoło. — Wyglądasz na tak... tak doświadczoną... tak... jak mówią Amerykanie, na luzie. Córka 'i???' Wayne'a dziewicą! — Znowu uderzył się w czoło.

— Proszę, zabierz mnie do domu.

— Już się robi.

Włożył spodnie, chwycił koszulę i marynarkę, otworzył drzwi, wziął ją za rękę i poprowadził przez ogród do samochodu. Jechali w milczeniu pustymi ulicami. Nie odezwał się, dopóki nie dojechali do Via Veneto.

Wtedy spytał: — Masz kogoś w Stanach?

— Nie. Odwrócił się do niej.

— Pozwól więc mi... och, nie dzisiaj... nie jutro... dopóki sama nie zechcesz. Nie dotknę cię, dopóki sama nie poprosisz, obiecuję. — Gdy milczała, dodał: — Nie wierzysz mi?

— Nie.

— Słuchaj, cudowna mała amerykańska dziewico — zaśmiał się Franco.

— W Rzymie jest pełno pięknych Włoszek — aktorek, modelek, mężatek. Wszystkie chcą Franca. Ścielą mu nawet łóżko, gotują, przynoszą wino. A wiesz dlaczego? Ponieważ Franco jest wspaniałym kochankiem. Kiedy więc Franco chce się z tobą umówić i obiecuje, że nic ci nie zrobi, musisz

mu uwierzyć. Ha, nie potrzebuję walczyć, by się kochać, wszędzie tego pełno. Ale ciebie chcę przeprosić, zacznijmy wszystko od początku, jakby nic się nie stało.

Milczała, nie chciała nic mówić, by go nie rozzłościć, byli już blisko hotelu. Pragnęła jedynie wydostać się z tego samochodu i uciec od niego.

— Szkoda, że mnie nie chcesz — powiedział cicho. — Zwłaszcza dlatego, że jesteś dziewicą. Wiesz, moja mała January, kiedy dziewczyna po raz pierwszy oddaje się mężczyźnie, nie zawsze jest to przyjemne... dla niej lub dla mężczyzny. Chyba że mężczyzna jest mistrzem, że jest superdelikatny. Byłbym bardzo czuły, wziąłbym cię tak ostrożnie uszczęśliwiłbym cię, dałbym ci nawet pigułkę.

Mówił tak poważnie, iż lęk powoli zaczął ją opuszczać. Najdziwniejsze było to, że w jego mniemaniu nie uczynił nic złego.

— Zepsułem dziś wszystko—kontynuował.—Walczyłem z tobą, bo myślałem, że to część twojej gry. Kiedyś pewna Amerykanka zmusiła mnie, abym ją gonił po całym apartamencie hotelu Hassler, a potem zamknęła się w sypialni. Gdy zbierałem się do wyjścia, zawołała: „Nie, Franco. Musisz wyważyć drzwi i porwać na mnie ubranie.” — Kolejny raz palnął się w czoło, szczerząc zęby w uśmiechu. — Próbowalaś kiedyś wyważyć drzwi we włoskim hotelu? Istna stal. W końcu sama musiała je otworzyć. Znowu ją goniłem, a potem porwałem na niej ubranie. Guziki... koronki... rajstopy porozrywane... wszystko w strzępach... to było szaleństwo... kochaliśmy się całą noc. Wyszła za wielkiego amerykańskiego gwiazdora, dlatego nie powiem, jak się nazywa. On też lubi kochać się w ten sposób. Widzisz, jestem dżentelmenem, nigdy nie mówię, z kim śpię. To by nie było fair, prawda?

Poczuła, że się uśmiecha. Natychmiast przywołała się do porządku i zaczęła patrzeć przed siebie. To był obłęd. Ten człowiek dopiero co próbował zderzyć z niej ubranie, chciał ją zgwałcić, a teraz prosił, aby chwaliła jego dawne wyczyny.

Musiał wyczuć jej nastrój, gdyż uśmiechnął się i poklepał ją po rękę gestem niemalże protekcyjnym.

— Jeszcze mnie poprosisz, January, żebym się z tobą pokochał, wiem o tym. Do tej pory widoczne są pod sukienką twoje stwardniałe sutki. Masz duży temperament.

Przysłoniła rękami piersi; powinna nosić stanik, wcześniej nie zdawała sobie sprawy, że sukienka jest tak cienka.

— Nie jesteś nadmiernie rozwinięta u góry — powiedział przymilnie. — Podoba mi się to u ciebie.

— Franco, przestań!

Jeszcze jedno znajome klepięcie się w czoło.

— Ho, ho, jak córka ?i??' Wayne'a może być taką świętoszką?

— Nie jestem świętoszką. — Nareszcie poczuła się bezpieczna. Wjeżdżali właśnie na podjazd hotelu Excelsior.

— Jestem jutro wolny — powiedział wyskakując z samochodu i otwierając drzwi. Pomógł też wydostać się January. — To co, zobaczymy się?

— Nie.

— Dlaczego? Nie jesteś chyba zła?

— Nie jestem zła? Franco, potraktowałeś mnie jak... jak...

— Jak piękną kobietę — powiedział z uśmiechem. — Coś ci powiem: śpij dobrze, a jutro zadzwonię i spędzimy razem cały dzień. — Podniósł rękę.

— Nie dotknę cię, przysięgam. Przejedziemy się moim motocyklem, pokażę ci Rzym.

— Nie.

— Zadzwonię jutro, ciao.

Odwróciła się i weszła do opustoszałego hotelu. Była prawie trzecia w nocy. Mikę będzie szalał... prawdopodobnie czeka i niecierpliwie przestępuje z nogi na nogę. Nie, nie powie mu prawdy. Powie tylko, że nie chce znowu zostać skazana na towarzystwo Franca, że trochę się do niej przystawiał.

Myślała o tym jadąc na górę skrzypiącą windą z zaspanym windziarzem. Włożyła w zamek ogromny klucz. Mikę nie spał; zobaczyła pod drzwiami snop światła. Weszła do pokoju.

— Mikę... — rozejrzała się wokoło. Drzwi jego sypialni były zamknięte, a na biurku leżał zwitek banknotów i kartka przyciśnięta lampą:

„Czekałem do drugiej, księżniczko. Mam nadzieję, że bawiłaś się dobrze. Śpij długo; pamiętaj, że sklepy mają przerwę między pierwszą a czwartą, możesz więc pozwiedzać miasto wczesnym popołudniem. Odwiedź Hiszpańskie Schody. Facet imieniem Axel Muthe miał tam kiedyś dom, w którym trzymał przybłąkane zwierzęta. Mieszkał tam również niejaki Keats. Możesz obejrzyć jego mieszkanie. Po czwartej pójdz na Via Sistina. Melba mówi, że jest tam trochę fajnych sklepów.

Jeżeli wydasz wszystkie pieniądze, zawsze możesz kazać przesłać sprawunki do hotelu. Zapłaci się przy odbiorze. Śpij dobrze, aniołku. Kochający tata."

Przyglądała się liścikowi... potem zamknęła drzwi jego sypialni. A więc spał! Wcale się o nią nie martwił! Widocznie nawet nie przyszło mu

do głowy, że Franco mógłby odważyć się być wobec niej tak natarczywy. Weszła do sypialni. Część złości już z niej wyparowała. Jeżeli czekał do drugiej, to znaczy, że wrócił do domu około pierwszej... może wcześniej. Prawdopodobnie więc rzeczywiście poszli z Melbą tylko na małego drinka przed snem, nic więcej. Wielki romans był jedynie w głowie Franca. Melba była stara... no, stara jak na gwiazdę filmową, miała ponad trzydziestkę, potrzebowała snu. Nie mogła sobie pozwolić na siedzenie z Mikiem do późna, zbyt dbała o karierę.

Przeszła do łazienki i puściła wodę do wanny. A co z brylantową spinką? Jak to co? Mikę zawsze dawał swym gwiazdom kosztowne prezenty. Oczywiście... to wszystko było jedynie wymysłem Franca. Cały ten wieczór wydawał jej się snem. Zdjęła ubranie i zaczęła przyglądać się swym piersiom. To rzeczywiście się wydarzyło. Franco dotykał ich, całował je, jego palce były między jej udami. Weszła do wanny i zaczęła się gwałtownie szorować.

Gdy położyła się już później do łóżka, w obcym pokoju, stwierdziła, że jest całkiem rozbudzona. Wpatrywała się w nikły zarys drzwi sypialni... Za nimi był salon, a dalej drzwi, za którymi spał Mikołaj. Och, Boże, gdyby mogła tam się wśliznąć i wtulić w jego ramiona, tak jak robiła, gdy była mała i miała zły sen. A właściwie dlaczego nie miałyby tego zrobić i opowiedzieć o tych wszystkich strasznych rzeczach, które jej się dziś przydarzyły, pozwolić, by ją mocno objął i powiedział, że wszystko będzie dobrze? Przecież nadal był jej ojcem. Dlaczego teraz byłoby w tym coś złego? A jednak wiedziała, że nie może tego zrobić. Czy dlatego, że tak bardzo chciała czuć jego ciało przy swoim? Tak, ale w przyjemny sposób. Pragnęła poczuć uspokajającą siłę jego ramion. Chciała pocałować go w policzek, zwłaszcza tam, gdzie zarysowuje się dołek. Pragnęła usłyszeć, jak mówi: „Wszystko w porządku, kochanie.”

Nie było w tym nic złego. Wstała cichutko z łóżka i otworzyła drzwi. Przeszła przez wielki salon i nacisnęła delikatnie klamkę u drzwi jego sypialni; odemknęły się bez trudu. Z początku widziała tylko ciemność, stopniowo zaczęła dostrzegać nikły zarys łóżka. Ruszyła na palcach wzdłuż ściany do łóżka, odsunęła prześcieradło i wśliznęła się pod nie. Czysta pościel po jej stronie łóżka była zimna i sztywna. Zaczęła się powoli przysuwać do niego, wyciągnęła rękę, ale dotknęła drugiej zimnej, sztywnej poduszki. Łóżko było puste!

Usiadła i zapaliła nocną lampkę. Łóżko było zasłane, prześcieradła czyste. Nie było tu ?i???! Wstała i wróciła do salonu. Popatrzyła na list i pieniądze.

Wszystko, co Franco powiedział, było prawdą — Mike był z Melbą. Tylko dlaczego nie napisał jej prawdy, czemu kłamał, że nie kładł się do drugiej? Podeszła do biurka i jeszcze raz przeczytała kartkę. Ależ nie napisał, że nie kładł się do drugiej, tylko że czekał do drugiej. Oczywiście czekali z Melbą do drugiej, a potem wyszli razem. Na pewno teraz właśnie się kochają.

Wróciła do sypialni. Mike miał święte prawo być z Melbą. Dlaczego tak ją to irytowało? Przecież zawsze miał dziewczyny, ale i tak kochał tylko ją, ich miłość była ponad seksem. Ludzie idą do łóżka bez miłości. Zwierzęta też kopulują, a przecież się nie kochają. Parzą się tylko, tak jak jej pudliczka, którą miała jako pięcioletnia dziewczynka. Pies ją pokrył, a suka potem nawet nie spojrzała na niego. Miała szczeniaki... kochała je, aż skończyły trzy miesiące. January była ogromnie zdziwiona, gdy matka powiedziała, że trzeba oddać małego pudelka, ponieważ dla suki przestał już być jej synem, stał się po prostu jedynie psem. Tym samym jest Melba dla ?i?? — osobą, z którą można uprawiać seks.

Położyła się do łóżka i próbowała zasnąć. Objęła poduszkę tak, jak często czyniła w szkole, gdy czuła się samotna. Nagle odepchnęła ją. Poduszka była zawsze symbolem ?i??, dodawała otuchy. Mike zaś obejmował teraz Melbę. Musi przestać myśleć w ten sposób. A cóż w końcu innego robił przez te wszystkie lata po śmierci matki? Tylko że January nigdy przy tym nie było. No dobrze, teraz tu była. Musi go nauczyć, że jest już dorosła, że może być dla niego wspaniąłą towarzyszką, wsparciem. Tak długo był samotny i przywykł do tego, że szuka towarzystwa byle kogo.

Gdy wreszcie usnęła, miała dziwne, chaotyczne sny. Śniło jej się, że była w wesołym miasteczku na Coney Island, gdzie ojciec zabrał ją, gdy była całkiem mała. Obecnie jednak cała Coney Island trzęsła się od ryku dyskotekowej muzyki. Spojrzała w krzywe zwierciadło i zaczęła chichotać. Z początku była wysoka i smukła... potem stała się niska i przysadzista. Nagle ujrzała ponad swym ramieniem Melbę, twarz Melby jednak nie była zniekształcona — była piękna. Melba się śmiała, jej twarz rosła i rosła, aż w końcu przesłoniła całe lustro. Śmiała się bez przerwy. Potem January usłyszała śmiech Franca; jego twarz była w lustrze, razem z twarzą Melby. Oboje pokazywali palcami groteskowo skróconą postać January i zanosili się od śmiechu. Dlaczego krzywe zwierciadło sprawiło, że ona wyglądała tak śmiesznie, a Melba i Franco pozostawali piękni? Rozejrzała się za Mikiem — był na strzelnicy. Melba podeszła do niego i położyła mu rękę na udzie.

— Tatusiu — zawołała January — chodź, zabierz mnie stąd! Ale on

zaśmiał się tylko i odpowiedział: — Poproś Franca, żeby ci pomógł. Poza tym strzelam, by zestrzelić wszystkie gliniane kacuszki i fajki. Robię to dla ciebie, kochanie. Wygrywam wszystkie nagrody, aby złożyć je u twych stóp.

Mówiąc to nie przestawał strzelać. Za każdym strzałem trafiał w dziesiątkę i wówczas dzwonił dzwoneczek.

Otworzyła oczy. Coney Island wraz z wesołym miasteczkiem zniknęły. Plama światła słonecznego przedarła się przez zasłonę na dywan. January rozbudziła się na dobre, dopiero wówczas dotarła do jej uszu przenikliwa kakofonia dźwięków słynnego rzymskiego ruchu ulicznego. Różnego typu klaksony wykrzykiwały swe żądania — sopranem, metalicznym głosem, basem. Przez te wszystkie dźwięki przebijał się jeszcze jeden — dochodził z telefonu stojącego w salonie. Potykając się wybiegła z sypialni.

Marmurowy zegar na kominku wybijał cicho godzinę — jedenasta.

January podniosła słuchawkę.

— Tu Franco — zawołał wesoły głos.

Odłożyła słuchawkę. Potem zadzwoniła po pokojową i poprosiła o kawę. Drzwi do sypialni ojca były uchylone, lampka na nocnym stoliku stała nadal zapalona, tak jak ją zostawiła. Wyłączyła ją, a potem, w przypiływie nagłego impulsu, rozgrzebała pościel. Nie chciała, by pokojowa wiedziała, że Mikę nie wrócił na noc. Oczywiście, że to śmieszne. Było prawdopodobnie wiele nocy, podczas których nie korzystał z tego łóżka. A może było używane... razem z Melbą.

Telefon zadzwonił ponownie. Miała nadzieję, że to Mikę. Musi mówić tak, jakby nic się nie wydarzyło. Będzie wesoła albo zaspana. Tak, zaspana, jakby spędziła naprawdę cudowny wieczór. Podniosła słuchawkę.

— Mówi Franco. Rozłączono nas.

— Och... — nawet nie próbowała ukryć rozczarowania.

— Głupia telefonistka, rozłącza nas.

— Nie, to ja odłożyłam słuchawkę.

— Dlaczego?

— Bo nie piłam jeszcze kawy i... — przerwała na chwilę. — Ojej, a dlaczego miałabym tego nie robić?

— Ponieważ jest piękny dzień i chcę cię gdzieś wyciągnąć. Pojedziemy na lunch w zaciszne miejsce.

— Posłuchaj, Franco — zaczęła bełkotać nerwowo — to, co wczoraj zrobiłeś, było... było okropne i nie chcę cię już więcej widzieć.

— Ale wczoraj nie wiedziałem, że jesteś dzieckiem. Dziś będę cię traktował jak dziecko, dobrze?

— Nie.

— No ale przecież wściekasz się, gdy traktują cię jak piękną kobietę.

Posłuchaj, dwie godziny pucowałem swoją hondę. Jest teraz przepiękna. I wiesz co? Nie pojedziemy do żadnego zaciszego miejsca. Pojedziemy do Doneya, tak jak zwykli turyści. Posiedzimy na świeżym powietrzu, postawię ci kawę, a potem wybierzemy się na przejażdżkę. Ciao — odłożył słuchawkę, zanim zdążyła odpowiedzieć.

Nie doczekała się zamówionej kawy, toteż gdy Franco zadzwonił z holu, doszła do wniosku, że równie dobrze może iść z nim do Doneya.

Ostatecznie musi gdzieś wypić tę kawę. Zgarnęła pieniądze, które zostawił jej Mikę, ale po chwili je odłożyła. Zawołała pokojówkę i kazała jej natychmiast sprzątnąć sypialnię. Niech Mikę martwi się po powrocie, czy spała tu dzisiejszej nocy!

Nie można było zbyt długo gniewać się na Franca. Zamówił dla niej kawę i świeże rogaliki; był serdeczny i wesoły. Chyba pół Rzymu przystawało przy ich stoliku, aby z nim pogadać. Bezgraniczny entuzjazm Franca powoli topił jej rezerwę. Już po chwili śmiała się razem z nim i cieszyła śniadaniem. Ten pogodny, niefrasobliwy chłopak sprawiał, że zapomniała niemalże o Francu z ubiegłego wieczoru. Domyśliła się, że chce ją w ten sposób przeprosić i sprawić jej przyjemność. Stwierdziła, że zwiedzanie razem z nim miasta może być dużą frajdą. Chyba podświadomie miała ochotę przejechać się z nim na motocyklu, gdyż włożyła kombinezon. Jego honda była jasnoczerwona. Podał jej ogromne gogle i poprosił, by usiadła za nim.

— Tym razem ty musisz się do mnie przytulić — powiedział ze śmiechem.

Ostrożnie jechał w tłumie innych pojazdów, pokazywał kościoły i ważniejsze budynki.

— W przyszłym tygodniu obejrzymy Watykan — powiedział. — Zabiorę cię też do kilku kościołów. Musisz zobaczyć marmurowe dzieła Michała Anioła.

Po jakimś czasie opuścili miasto i skierowali się na Via Appia. Franco nie przyspieszał; chciał, by przywykła do siodełka, do wiatru rozwiewającego jej włosy i chłodzącego twarz. Pokazywał ważniejsze wille, ruiny, a nawet dom jednej z gwiazd filmowych. Potem przyspieszył i ruszył wijącą się wiejską drogą. W końcu zatrzymali się przed małą, rodzinną gospodą.

Wszyscy, łącznie z poszczekującym psem, witali z ożywieniem Franca, mówili do niego po imieniu, uśmiechali się promiennie do January.

Wynieśli chleb, ser i czerwone wino.

— Via Appia to starożytna droga do Neapolu — powiedział Franco. — Musimy się tam wybrać któregoś dnia, na Capri również. Jutro jestem na planie, ale na Capri zabiorę cię w niedzielę. Zobaczysz Lazurową Grotę — cmoknął palce — och, tyle jest jeszcze miejsc godnych obejrzenia. Gdy ruszyli później w kierunku motocykla, Franco objął ją po przyjacielsku ramieniem. Mieli już wsiadać, kiedy January zwróciła się nagle do niego: — Franco, chcę, abyś wiedział, że to był bajeczny dzień. Naprawdę cudowny. Bardzo ci dziękuję.

— Dziś wieczór zabiorę cię na obiad do fantastycznego lokalu. Czy jadłaś kiedyś małże Posillipo?

— Nie, ale nie mogę dzisiaj pójść z tobą na obiad.

— Dlaczego? Przecież obiecałem, że cię nie dotknę.

— Nie o to chodzi. Ja... chcę być z ojcem.

— Z kim?

— Z ojcem. Nie widziałam go od wczoraj.

— Okay, zobaczysz się z nim teraz, gdy wrócisz do domu, a o dziewiątej pójdziesz ze mną na obiad.

— Chcę zjeść obiad z ojcem.

— Może twój tata ma inne plany — powiedział Franco wsiadając na motocykl.

— Nie, jestem pewna, że będzie chciał pójść ze mną na obiad.

— Zanim tu przyjechałaś, zawsze zabierał na obiad Melbę.

— Ale teraz jestem tutaj.

— I myślisz, że tak co wieczór będziesz chodziła z tatą na obiad? — Z twarzy Franca znikł uśmiech.

— Być może. Uruchomił silnik.

— Wsiadaj, już wszystko rozumiem.

— Co rozumiesz?

— Żadna dziewczyna nie chce jadać ze swoim tatą. Masz inną randkę.

— Franco, na miłość Boską, nie mam żadnej randki. Złapał ją za nadgarstek.

— A więc idziemy razem na obiad, tak jak mówiłem.

— Nie. Puścił jej rękę.

— Wsiadaj — warknął. — Zabiorę cię do domu. Ha, a ja, głupi, uwierzyłem w bajeczkę o dziewicy. Teraz już wiem wszystko, po prostu nie lubisz i nie rozumiesz Franca. Ruszyli wiejską drogą. Jechali szybko i motocykl podskakiwał na wybojach i kamieniach. Parę razy mało jej nie zrzucił. Przywarła do niego, gdy skręcili w Via Appia. Przejżdżał właśnie autobus z grupą japońskich

turystów; motocykl przechylił się na bok, ocierając się prawie o jego koła. Kierowca rzucił im kilka przekleństw, Franco pogroził mu pięścią i ruszył szybciej. January krzyczała, żeby uważał, ale jej głos zagłuszał ryk silnika i wiatr. Była na dobre przestraszona. Franco jechał z furją. Błagała, aby zwolnił, dopóki nie ochrypła. W końcu jedyne, co mogła zrobić, to przywrzeć do niego i się modlić. Gdy wzięli zakręt, January zobaczyła naprzeciwko dwa wymijające się samochody. Franco również je zauważył i usiłował zjechać z drogi. Wydawało się, że motocykl jak koń stanął dęba, i January poczuła, że leci w powietrzu. Zanim straciła przytomność, w ułamku sekundy uświadomiła sobie ze zdziwieniem, że nie poczuła wcale bólu, gdy jej ciało uderzyło w kamienny mur.

Otworzyła oczy, zobaczyła ojca... dwóch ojców... trzech. Zamknęła je, ponieważ wszystko się rozmazywało. Próbowwała dosięgnąć "i???", ale ręka ciążyła jak ołów. Ponownie otworzyła oczy; jak przez mgłę zauważyła nikły zarys swej nogi na wyciągu i wówczas przypomniała sobie wypadek — dziką jazdę i biały kamienny mur. A teraz była w szpitalu ze złamaną nogą. Ten wypadek może zepsuć całe wakacje. Na szczęście żyje. Teraz potrafią tak unieruchomić nogę, że można chodzić w gipsie, prawda? Próbowwała się poruszyć, lecz miała wrażenie, że całe jej ciało jest zabetonowane. Zmusiła się do kolejnego otwarcia oczu, ale pod wpływem światła zaszyły łzami. Dlaczego jej ciało jest takie napięte? Dlaczego nie ma czucia w prawej ręce? O Boże, a może to coś więcej niż złamana noga?

Mike stał w drugim końcu pokoju i rozmawiał z kilkoma lekarzami, obok krzątała się pielęgniarka. Wszyscy szeptali. January chciała, aby Mike wiedział, że już nie śpi. Zawołała: — Tatusiu... — Spróbowała jeszcze raz. Wydawało jej się, że krzyczy, ale nikt się nie poruszył, nikt nawet nie drgnął. Krzyczała, ale z jej ust nie wydobywały się żadne dźwięki. Krzyczała, ale jej usta się nie poruszały, słowa ginęły gdzieś w środku! Próbowwała poruszyć lewą ręką... skurczyła palce i nagle wszystko się rozmazało w miękkim, szarym śnie.

Gdy znowu otworzyła oczy, w odległym kącie pokoju paliło się nikłe światelko, pielęgniarka czytała jakieś czasopismo. Była zatem noc.

Odemknęły się drzwi — ojciec zaczął szeptać z pielęgniarką. Zwolnił ją i przysunął krzesło do łóżka, pogłaskał January po rękę.

— Nie martw się, kochanie, wszystko będzie dobrze.

Starła się poruszyć wargami, napinała każdy mięsień, lecz z jej ust nie wydostało się żadne słowo.

— Powiedzieli mi — mówił dalej Mike — że nie będziesz mnie widziała,

nawet jeżeli otworzysz oczy, ale oni nie wiedzą wszystkiego. Wyjdiesz z tego... dla mnie!

Wyjść z tego! O czym on mówi? Musi mu powiedzieć, że będzie zdrowa, złamana noga się zrośnie. Czuła się okropnie, sprawiła mu tyle kłopotu, prawdopodobnie zmarnował cały dzień zdjęć tylko dlatego, że Franco stracił dziś nad sobą panowanie. Ale to śmieszne, że Mikę jest tak zmartwiony. Tylko dlaczego ona nie może mówić? Skurczyła palce lewej ręki, udało się! Spróbowała ją podnieść, to też się udało. Mikę patrzył przed siebie. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia. Skoczył na równe nogi.

— January! PIEŁĘGNIARKA! Och, maleńka... poruszyłaś się!

Poruszyłaś ręką! PIEŁĘGNIARKA!

Próbowała mu powiedzieć, że czuje się dobrze, ale nagle odniosła wrażenie, że spada w przepaść... i że próbuje nią zawładnąć gęsty, szary sen. Nie chciała spać, walczyła z nim. Nagle pokój zapełnił się ludźmi. Zobaczyła, że podchodzi do niej dwóch biało ubranych mężczyzn. Jeden z białych fartuchów uniósł jej prawą rękę i puścił, by opadła, a drugi wkłuł w nią igłę. Zobaczyła to raczej, niż poczuła. To dziwne... nic nie poczuła. Drugi lekarz wkłuł igłę w lewą kostkę. Ojej! To odczuła. Potem zaś zapadła w szary sen.

Gdy otworzyła ponownie oczy, zobaczyła duży słój z jakimś płynem wiszący nad jej kostką. Lekarzy już nie było, a nad nią pochylał się ojciec.

— Kiwnij głową, jeżeli mnie rozumiesz, kochanie. Spróbowała. O Boże! Czyżby przywiązali jej głowę? Ciężka jak kamień.

— Zamrugaj oczami, January. Jeżeli mnie rozumiesz, daj znać oczami. Zamrugowała.

— Och, kochanie — oparł głowę na jej ramieniu. — Obiecuję ci, że wszystko będzie dobrze.

Poczuła na szyi wilgoć. Łzy? Jego łzy? Nigdy w życiu nie widziała, by Mikę Wayne uronił choć jedną łzę; nikt nie widział. A teraz płakał nad nią! Nagle przez jedną chwilę poczuła się tak szczęśliwa, jak jeszcze nigdy dotąd. Nie martwiła się o rękę ani nogę. Kochał ją... Tak bardzo troszczył się o nią. Wyzdrowieje... zrobi to bardzo szybko i spędzą jeszcze razem lato... o kulach... w gipsie... nieważne jak.

Wyciągnęła rękę, by go pogłaskać po głowie, ale zupełnie jej się poplątało wycucie odległości i zamiast jego, dotknęła swojej głowy. Była jak kamień! Mikę wstał, twarz miał opanowaną. Zobaczył, że jej lewa ręka wędruje w stronę głowy.

Jej głowa! Co się stało? Może poraniła sobie także twarz? Ogarnęła ją panika, gwałtowny atak mdłości poruszył jej żołądek, lecz zmusiła się, by dotknąć twarzy.

Natychmiast pojął ten gest pełen rozpacz.

— Twarz jest w porządku, maleńka. Musieli ogolić ci głowę, ale włosy odrosną.

OGOLILI JEJ GŁOWĘ!

W oczach January wyczytał panikę. Wziął jej rękę i uściśnął.

— Posłuchaj, powiem ci wszystko wprost, ponieważ czeka cię poważna walka. Ciebie i mnie, a więc podam ci końcowe wyniki. Masz pękniętą czaszkę i wstrząs mózgu. Musieli cię operować, żeby upuścić trochę krwi. Bali się zakrzepu czy czegoś w tym rodzaju. Teraz jest już dobrze, operacja udała się znakomicie. Poza tym masz złamany kręgosłup — dwa kręgi, ale to też wyleczą. Masz także coś, co nazywają podwójnym złamaniem nogi. Cała jesteś w gipsie, dlatego nie możesz się ruszać. Z powodu wstrząsu mózgu nie możesz poruszać prawą ręką, ale mówią, że to minie. — Próbował się uśmiechnąć. — Poza tym jesteś w doskonałej formie. — Pochylił się i pocałował ją w policzek: — Nie masz pojęcia, jak to wspaniale, że możesz na mnie patrzeć. Tak naprawdę patrzysz na mnie po raz pierwszy od dziesięciu dni.

DZIESIĘĆ DNI! To już dziesięć dni, od kiedy spadła z motocykla!

Czy Franco też został ranny? Jak długo jeszcze tu pozostanie? Znowu spróbowała się odezwać, z ust jednak nie wydobyły się żadne słowa.

Mike przytrzymał jej rękę i powiedział: — To efekt wstrząsu mózgu, kochanie. Zraniłaś tę część głowy, która rządzi mową. Nie wpadaj jednak w popłoch, wszystko ustąpi, obiecuję ci.

Chciała mu powiedzieć, że wcale nie wpada w popłoch. Póki był razem z nią, poty wszystko było dobrze. Pragnęła też dodać, żeby wracał do studia, miał przecież film do skończenia. Chciała, by wiedział, że dopóki tworzą drużynę, dopóki wie, że zobaczy go codziennie wieczorem, że ją kocha i myśli o niej, dopóty nic nie może stanąć jej na drodze. Zaczęła drapać zawzięcie palcami lewej ręki. Chciała, by dano jej ołówek, musiała mu to wszystko przekazać. Łzy rozczarowania popłynęły jej po twarzy — potrzebowała ołówka, a on tego nie rozumiał.

— Pielęgniarka! — zawołał. — Proszę przyjść, prędko! Chyba córka bardzo cierpi.

Tatusiu, nic mnie nie boli, dajcie mi tylko ołówek!

Pielęgniarka była sztywno wykrochmaloną sprawnością. January poczuła ukłucie igły w rękę i zaczęło się w nią sączyć odrętwienie. Usłyszała głos

ojca dobiegający z daleka.

—Odpocznij, maleńka, wszystko będzie dobrze...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wrzesień, 1970

Mikę Wayne przybył na lotnisko Kennedy'ego i wszedł do saloniku przeznaczanego wyłącznie dla VIP-ów. Hostessa, która go powitała, była przekonana, że ma do czynienia z gwiazdorem filmowym. Mikę wyglądał na osobę, którą często widzimy, ale jesteśmy pewni, że nigdy jej nie spotkaliśmy.

— Czy samolot Swissair, lot numer siedem, przybędzie planowo o piątej?
— spytał wpisawszy się do książki gości.

— Zaraz sprawdzę — powiedziała, obdarowując go jednym ze swych najserdeczniejszych uśmiechów. Odpowiedział również uśmiechem, ale doświadczenie podpowiedziało jej, że jest to tylko grzecznościowy uśmiech mężczyzny, który ma inną dziewczynę. To na pewno ona przylatuje lotem numer siedem. Jest to prawdopodobnie któraś z tych szwajcarsko-niemieckich piękności, które zalewają ostatnio rynek i zabierają chleb amerykańskim stewardesom.

— Pół godziny opóźnienia. Przylot jest planowany na piątą trzydzieści — powiedziała uśmiechając się przeprasząco.

Skinął głową i podszedł do jednego ze skórzanych foteli stojących przy oknie. Dziewczyna odczytała to, co nabazgrał w książce gości. Michael Wayne. Słyszała gdzieś to nazwisko i знаła jego twarz, nie mogła sobie tylko przypomnieć skąd. Może był bohaterem jakiegoś serialu telewizyjnego, jak na przykład ten cudowny facet z ???i??, którego oglądała zawsze w sobotnie wieczory, ilekroć nie miała właśnie randki? Był starszy od mężczyzn, z którymi się zwykle spotykała. Miał chyba ponad czterdziestkę. Ale dla pana Michaela Wayne'a, o niebieskich oczach Paula Newmana, bez trudu zapomniwałyby o dzielącej ich różnicy wieku. Uczyniła jeszcze jedną próbę i podeszła do niego z plikiem czasopism, lecz pokręcił głową i nadal obserwował samoloty obsługiwane na płycie lotniska. Westchnąwszy wróciła za biurko. Nic z tego! Ten facet musi mieć naprawdę coś na głowie.

Mikę Wayne miał niejedno na głowie. Wracała! Po trzech latach i trzech miesiącach szpitali i leczenia wracała nareszcie do domu. Dzień, w którym rozbiła się na motocyklu, był początkiem jego spadania w dół. Pierwszym niepowodzeniem była kłapa filmu z Melbą. Całą winę wziął na siebie, ale

mając dziecko niemalże w kawałkach, trudno martwić się spaghetti westernem. A rokowania lekarzy były przygnębiające. Z początku żaden chirurg nie dawał mu nadziei, że January będzie mogła znowu chodzić. Paraliż był wynikiem wstrząsu mózgu i wymagał natychmiastowej fizykoterapii. Przez wiele tygodni Mikę studiował zdjęcia rentgenowskie, elektroencefalografy, zdjęcia kręgosłupa, z których oczywiście nic nie rozumiał.

Sprowadził dwóch chirurgów z Londynu i sławnego neurologa z Niemiec. Orzekli to samo, co słyszał już od rzymskich sław: że odkładanie fizykoterapii zmniejsza szansę poprawy. Nie można jednak było nic zrobić, zanim nie zrosły się połamane kości.

Większość czasu spędzał w szpitalu. Do studia chodził tylko po to, aby sprawdzić, czy wycięto wszystkie sceny, w których grał Franco. Nie kupił historyjki chłopaka, że to January prosiła go, by jechał szybciej. Gdy spytał o to córkę, nie zaprzeczyła ani nie potwierdziła prawdziwości jego słów. Wyrzucił go jednak całkowicie, po czym kazał reżyserowi pociąć i zmontować film. Pragnął jedynie czym prędzej wydostać się z Rzymu i zabrać ze sobą January.

Niestety, w trzy miesiące po wypadku January była jeszcze częściowo w gipsie i nie mogła mówić. Rzymska premiera filmu miała druzgocące recenzje i była słabym interesem. W Nowym Jorku wywalono film z hukiem po tygodniu z liczącego się kina, skąd powędrował wprost na ostatnie miejsca na afiszach na Czterdziestej Drugiej Ulicy. Europejska prasa nazwała "i???" Wayne'a jedynym człowiekiem, który potrafi pozbawić Melbę Delitto seksapilu.

Mikę próbował podejść do całej sprawy filozoficznie. Każdemu wcześniej czy później zdarza się jakaś wpadka. I tak przyszła dość późno; jego dobra passa trwała nieprzerwanie od 1947 roku. Wytłumaczył to sobie i prasie. Gdy jednak siedział przy łóżku córki, pewna natrętna myśl nie dawała mu spokoju jak jątrząca się rana: czy to tylko jedno niepowodzenie, czy może po prostu szczęście się od niego odwróciło?

Miał jeszcze nakręcić dwa filmy dla Twentieth Century Fox, z których zyski mogły pokryć straty nieudanego obrazu zrobionego w Rzymie. Nie wyobrażał sobie, by kolejny film również się nie udał. Była to historia szpiegowska — ekranizacja doskonałego bestselleru. Główne zdjęcia rozpoczęto w październiku w Londynie. Mikę leciał na każdy weekend do Rzymu i zmuszał się, by wejść do sali szpitalnej z pogodnym uśmiechem, takim, jakim witała go zawsze January. Nie widząc żadnej poprawy, starał się nie popadać w przygnębenie. Wyjdzie z tego!

Musi jej się udać!

Na osiemnaste urodziny sprawiła mu niespodziankę. Udało jej się przy pomocy terapeuty zrobić kilka mozolnych kroków o kulach. Prawa ręka była już w lepszym stanie, lecz January ciągle powłóczyła prawą nogą. Powoli wracała jej mowa. Czasami jeszcze zaciniała się lub jąkała przy jakimś słowie, ale Mikę wiedział, że to tylko kwestia czasu. Co, do cholery! Skoro będzie mogła mówić i normalnie używać prawej ręki, to co mogło hamować poprawę stanu nogi? Przecież nie wstrząs mózgu? Jej uśmiech był promienny i zwycięski. Włosy jej już odrosły, były krótkie i kosmate. Wyglądała jak drobny chłopczyk. Mikę czuł suchość w gardle, gdy próbował się uśmiechnąć. Osiemnaście lat i tyle straconych miesięcy. Wkrótce potem musiał jechać do Stanów, by dokręcić kilka scen pościgowych w Nowym Jorku i San Francisco. Później czekał go montaż i nagranie muzyki w Los Angeles. Wiązał z tym obrazem wielkie nadzieje; czuł przedsmak sukcesu. Powodzenie filmu w dziwny sposób kojarzył z powrotem January do zdrowia. Tak jakby założył się sam ze sobą — jeżeli film wygra, January szybko wyzdrowieje.

Nowojorską prapremierę połączono z wielką imprezą charytatywną. Światła reflektorów, mnóstwo wielkich sław, Barry Gray uwijający się przy robieniu wywiadów z ważniakami. Publiczność biła brawo i śmiała się we właściwych momentach. Gdy rozbłysły światła, szefowie wytwórni wyszli z nim spomiędzy rzędów krzeseł. Było poklepywanie po plecach, uśmiechy. Dopiero potem, na bankiecie w Americana, usłyszeli o pierwszych złych recenzjach telewizyjnych. Wszyscy byli zgodni, że to nic nie szkodzi. Najważniejsza była opinia „New York Timesa”, lecz o północy dowiedzieli się, że „Times” wykończył film. (To właśnie wtedy szefowie studia opuścili przyjęcie). Sid Goff, szef reklamy wytwórni, wieczny optymista, zlekceważył to.

— Kto czyta „Timesa”? Dla filmu liczy się jedynie „Daily News”. Dwadzieścia minut później usłyszeli, że „Daily News” dał filmowi tylko dwie gwiazdki. Sid Goff nadal był jednak dobrej myśli.

— Słyszałem, że facet z „Post” był nim zachwycony. Poza tym najważniejsze jest to, co się mówi o filmie.

Niestety, ani recenzja „Post”, ani opinie ustne nie były przychylne. Finanse stały słabo, lecz Sid Goff wciąż był pełen otuchy.

— Zaczekaj, aż pójdzie po kraju, ludzie będą nim zachwyceni, a tylko to się liczy.

Film jednak spotkał się z chłodnym przyjęciem w Chinese w Los Angeles, kulał w Detroit, w Chicago był kompletnym niewypałem, a Filadelfia i

inne większe miasta odmówiły umieszczenia go w kinach pierwszej kategorii.

Mike nie mógł w to uwierzyć. Tak był pewien tego filmu! Dwa niepowodzenia, jedno po drugim. Stał twarzą w twarz ze starym przesądem ludzi show businessu, że nieszczęścia chodzą trójkami — śmierć, katastrofy lotnicze, trzęsienia ziemi i... klapy filmowe. Oczywiście szefowie wytwórni myśleli podobnie, gdyż każdy, do kogo dzwonił, miał akurat jakieś spotkanie albo „wyszedł właśnie z biura”. O wszystkim przesądziła decyzja z Nowego Jorku: na trzeci film „i??” przeznaczono tylko dwa miliony dolarów (łącznie z kosztami reklamy).

Z tak śmieszną sumą nie miał co zaczynać, chyba że zaangażowałby aktorów, których nazwiska dawno już się nie liczyły, a reżyserię powierzyłby zupełnie nieznanemu facetowi lub takiemu, który ma na swym koncie kilka knotów. Nie miał zresztą wyboru. Musiał zrobić ten film; był on częścią kontraktu. Miał umowę na trzy filmy. No cóż, skoro tak go załatwiono, nie pozostało mu nic innego, jak nakręcić czym prędzej swój trzeci, z góry skazany na niepowodzenie, film, a potem rzucić wszystko, wrócić do Nowego Jorku i zrobić wystrzałowy show na Broadwayu. Im więcej o tym myślał, tym większego nabierał przekonania, że jego powrót na Broadway będzie wielkim wydarzeniem. Pieniądze nie będą problemem. Do licha, sam dofinansuje przedstawienie. Był przecież wart kilka milionów. Co przy tym znaczyło kilkaset tysięcy dolarów? Musiał jedynie trafić na ciekawy scenariusz.

W takim właśnie nastroju latem 1968 roku zabrał się za trzeci film. W doskonałym humorze leciał do Rzymu, aby zobaczyć się z January. Gdy ujrzał jednak, jak kuśtyka w jego stronę nadal powłócząc nogą, po raz pierwszy uderzyła go myśl, że może jego córka już nigdy nie będzie chodzić normalnie. Jej promienny uśmiech i ożywienie zwiększyły jeszcze ogarniającą go rozpacz. Chciała wiedzieć wszystko o jego najnowszym filmie. Dlaczego obsadził nieznaną twarz? Kto gra główną rolę? Kiedy będzie mogła przeczytać ostateczny scenariusz? Zmuszał się, by wymyślać z entuzjazmem, który nie przychodził mu łatwo, zabawne historyjki i opowiadać najnowsze ploteczki. Ukrywał przed nią paniczny strach i narastającą wściekłość, które znalazły ujście dopiero wtedy, gdy pozostał sam z lekarzami. Dlaczego pieprzyli, że jej stan ulega ciągłej poprawie? Co znaczyły wszystkie pomyślnie sprawozdania, które mu wysyłali przez ostatnie miesiące? Nie polepszyło jej się ani na jotę!

Przyznali mu rację, że jej stan nie poprawia się tak szybko, jak się spodziewali. Musi jednak pojąć, że nie można było rozpocząć

fizykoterapii we właściwym czasie. Potem podali mu fakty. Stan January jeszcze się poprawi, ale zawsze będzie utykać, a być może będzie zmuszona posługiwać się nawet laską.

Tego wieczoru poszedł z Melbą Delitto na szaleńczą popijawę, którą zakończyli w jej apartamencie. Biegał po pokoju, wściekał się na lekarzy, szpital i beznadziejność całej sytuacji.

Melba próbowała go uspokoić.

— Mike, uwielbiam cię. Nie winię cię nawet za to wielkie fiasko mojego filmu, ale teraz znowu wypuściłeś kolejnego knota. Nie możesz pozwolić, aby tragedia córki zrujnowała całe twoje życie. Następny film musi być wreszcie dobry.

— Co chcesz, żebym zrobił? Żebym zabrał się do roboty i zapomniał o niej?

— Nie chcę, żebyś zapomniał, ale masz przecież własne życie. Nie można walczyć z wiatrakami.

Wściekłość sprawiła, że wytrzeźwiał. Właściwie całe jego życie było walką z wiatrakami. Matka odeszła, gdy miał trzy lata. Ojciec, Irlandczyk, zawodowy bokser, zmarł od udanego ciosu jakiegoś trzeciorzędnego smarkacza. Dorastał w południowej Filadelfii, zmuszony sam zarabiać na swe utrzymanie. Gdy skończył siedemnaście lat, zaciągnął się do lotnictwa wojskowego, gdyż wszystko było lepsze od świata, który znał. Potem była wojna, znalazł się w samym jej środku, widział, jak jego koledzy, z którymi mieszkał i spał, padali obok od kul, i zastanawiał się, dlaczego to o n i dostali, a nie on. Oni mieli rodziny, które czekały na ich powrót, rodziny i dziewczyny, które pisały do nich długie listy i przysyłały paczki żywnościowe. W takich sytuacjach z czasem rodzi się w człowieku myśl, że może tamtych trafiła przeznaczona jemu kula, bo jest coś, co musi być zrobione — przez niego i on ma wrócić, by to zrobić. Mike czuł, że dawano mu szansę — szczęśliwy traf, aby dokonał tego, co niemożliwe. Musiał się z tego wywiązać, żeby gość, który dostał jego kulę, zrozumiał. Mike nie był religijny, lecz wierzył, że trzeba spłacać swe długi. Zawsze miał taką filozofię.

— Mój dzieciak będzie chodzić — powiedział cicho. Melba wrzuszyła ramionami.

— Więc pojedź do Lourdes, a jeżeli chcesz naprawdę wydać kupę forsy, zawieź ją do Kliniki Cudów.

— Co to takiego?

— Klinika w Szwajcarii, w odległym zakątku Alp. Jest bardzo droga, ale mają fantastyczne osiągnięcia. Znam kierowcę, który rozbił się

w rajdzie Monte Carlo. Mówiono mu, że do końca życia będzie sparaliżowany. Pojechał do Kliniki Cudów i sprawili, że może chodzić. Następnego dnia Mikę poleciał do Zurychu, a stamtąd pojechał samochodem do rozległego dworku ukrytego daleko w górach, aby spotkać się z doktorem Petersonem, wątłym mężczyzną, który nie wyglądał na człowieka będącego w stanie dokonać choćby najmniejszego cudu.

Daremny trud, jeszcze jedna ślepa uliczka. Skoro jednak już tu był, obszedł z doktorem Petersonem całą klinikę.

Zobaczył starych ludzi po wylewach, którzy walcząc z kulami i klamrami, machali wesoło doktorowi na powitanie. Potem wszedł za doktorem do sali pełnej małych dzieci — wszystkie śpiewały. Na pierwszy rzut oka zdawało mu się, że jest świadkiem zwykłego koncertu, dopiero po chwili pojął, że każde dziecko z czymś walczy. Niektóre z nich miały rozszczepione podniebienia, inne nosiły aparaty słuchowe, jeszcze inne były z paraliżem twarzy. Wszystkie jednak uśmiechały się i wydawały jakieś dźwięki. W oddzielnym skrzydle kliniki umieszczone były dzieci, które urodziły się kaleki na skutek zażywania przez matki thalidominy*. Opanowywały sztukę korzystania ze sztucznych kończyn z uśmiechem i cieszyły się każdym, choćby najmniejszym postępem w używaniu uciążliwych protez. Mikę czuł, że zmienia się jego nastrój. Z początku nie bardzo rozumiał; potem uderzyło go, że nie spotkał nigdzie śladu rozpaczycy. Wszędzie widział starania, by osiągnąć cel. Walkę o to, co niemożliwe.

— Proszę spojrzeć — wyjaśniał doktor Peterson — każdą chwilę poświęcamy na terapię, walkę o poprawę. Mamy tu chłopczyka, który wpadł pod traktor na farmie i stracił obie ręce. Nauczył się grać protezami na gitarze. Co wieczór organizujemy koncerty, czasami wystawiamy sztuki lub balety — wszystko to jest częścią terapii. Nie mamy tu natomiast ani telewizji, ani radia.

— Dlaczego odcinacie się od świata? — spytał Mikę. — Czy nie czują się odgradzeni odeń wskutek swego kalectwa?

Doktor Peterson tylko się uśmiechnął.

— Klinika jest sama w sobie światem. Jest światem, w którym pacjenci pomagają sobie nawzajem. Wiadomości ze świata zewnętrznego pokazują wojny, strajki, zanieczyszczenia, wyuzdanie. Jeżeli

* Thalidomina, thalidomid — używany niegdyś środek uśmierzający ból, uspokajający i nasenny, który u kobiet ciężarnych powodował poważne deformacje płodu (przyp.tłum.)

ludzie zdrowi nim się nie cieszą, dlaczego nasi pacjenci mieliby walczyć z przeszkodami nie do pokonania, by do niego wrócić? Czyż dziecko, które urodziło się bez nóg i ciężko pracowało pół roku, aby postawić dwa pierwsze kroki, nie może się zniechęcić widząc przemoc lub apatię ludzi, którzy urodzili się o wiele szczęśliwsi od niego? Tak, Klinika Cudów jest światem nadziei i woli wyzdrowienia. Mikę słuchał doktor zadumany.

— Ale nie widziałem tu nikogo, kto pasowałby do mojej córki. Wszyscy są tu albo bardzo starzy... albo bardzo młodzi.

— A kto do niej pasuje w sali szpitalnej w Rzymie?

— Nikt, ale przynajmniej nie otacza jej choroba i kalectwo. Doktor Peterson spojrział z namysłem.

— Czasami widok kogoś bardziej dotkniętego przez los pomaga szybciej wyzdrowieć. Przyjeżdża do nas chłopiec bez jednej ręki i widzi drugiego, który w ogóle nie ma rąk. Naraz okazuje się, że brak jednej ręki to jeszcze nie koniec świata. Natomiast chłopiec bez obu rąk czuje się bardzo dumny, mogąc pomóc chłopcu bez nóg. Na tym to wszystko polega.

— Jeszcze jedno pytanie, doktorze. Jak pan myśli, czy naprawdę potrafi pan pomóc mojej córce?

— Przede wszystkim muszę się zapoznać z przebiegiem choroby i sprawozdaniami opiekujących się nią lekarzy. Nie przyjmujemy nikogo, komu nie moglibyśmy pomóc, a i wówczas nie możemy obiecać całkowitego wyleczenia.

Trzy tygodnie później Mikę wynajął samolot i przywiózł January do Kliniki Cudów. Nie oszczędzał jej. Powiedział, co zastanie na miejscu, i opisał stan niektórych pacjentów. W każdym razie przynajmniej tutaj ma szansę dojść do zdrowia. Ukrył przed nią tylko to, że doktor Peterson ma pewne zastrzeżenia, czy uda się ją całkowicie wyleczyć.

Najbliższa wieś znajdowała się w odległości pięciu mil od kliniki. Mikę zameldował się w gospodzie i pozostał tam przez tydzień, aby zobaczyć, jak January zniesie przeprowadzkę. Jeśli nawet poczuła wstręt, nie pokazała tego po sobie. Jej uśmiech był zawsze promienny i chwaliła wszystkich w klinice.

Wrócił na Wybrzeże, gdzie zajął się swym ostatnim filmem. Był oczywiście niewypałem; nic nie mogło go uratować. W tym czasie Mikę jednak zaczął już robić reklamę wokół swego „powrotu na Broadway”. Rozdzwoniły się telefony — agenci, aktorzy, reżyserzy. Co noc zaszywał się w swym bungalowie w hotelu Beverly Hills i czytał scenariusze. Przeglądał teksty uznanych autorów, debiutantów, amatorów. Czytał wszystko, łącznie z odbitkami szczotkowymi nowych książek. Do

Szwajcarii leciał z teczką wypchaną różnymi tekstami. January była w klinice od dwóch miesięcy. Mówiła już doskonale, prawa ręka była tak mocna jak przedtem, tylko jej noga wciąż stanowiła problem. Chodziła znacznie lepiej, ale nadal wyraźnie utykała.

W grudniu film był już gotowy. Mikę wycofał się zostawiając reżyserowi montaż i nagranie dźwięku. Przeprowadził długą rozmowę ze swym doradcą finansowym. Sprzedał samolot i trochę akcji, nie zdecydował się jednak zwolnić apartamentu w hotelu Plaža.

Dzień przed Świątami Bożego Narodzenia poleciał do Szwajcarii, płacąc 500 dolarów nadwagi za trzy walizy wyładowane zabawkami dla dzieci.

Przywiózł January gramofon i albumy płytowe z przebojami musicalowymi z ostatnich dziesięciu lat.

Jej dziewiętnaste urodziny obchodzili w małej salce restauracyjnej w gospodzie. January opowiadała o albumach, chwaliła bardzo płyty, żałowała, że nie może obejrzeć tegorocznych premier musicali na Broadwayu. Potem spoważniała, pochyliła się i dotknęła ręki "i??".

— Coś ci powiem. Następnym razem, gdy przyjedziesz, będę mogła z tobą zatańczyć. Obiecuję ci.

— Spokojnie — zaśmiał się Mikę — dawno już nie tańczyłem.

— No to zacznij ćwiczyć — odparła — będę czekać. — Potem uśmiechnęła się. — Nie myślę oczywiście o jakichś dyskotekowych bzdurach, ale może spokojny walczyk? Ostatecznie jest o co się bić, nie? Pokiwał głową i próbował się uśmiechnąć. Właśnie tego dnia odbył długą rozmowę z doktorem Petersonem, którego również martwił brak poprawy w nodze. Proponował, by sprowadzić z Londynu sławnego chirurga ortopedę na konsultację.

Kilka dni później Mikę spotkał się z doktorem Petersonem i Sir Arthurem Rylanderem, angielskim chirurgiem. Sir Arthur, obejrzawszy zdjęcie rentgenowskie, stwierdził, że kość nogi nie zrosła się prawidłowo.

Jedynym ratunkiem było ponowne złamanie nogi i poprawne jej złożenie. Gdy tylko Mikę powiedział jej o tym, January nie zastanawiała się ani chwili.

— Oczywiście, niech ją łamią. Zawsze twierdziłam, że noszenie gipsu w Alpach jest bardzo szykowne. Czy nie zrobiłeś takiego filmu, w którym główna bohaterka siedzi w ubraniu po nartach i wygląda prześlicznie?

— Zrobiłem trzy takie filmy — zaśmiał się Mikę — i wszystkie moje bohaterki wyzdrowiały, pamiętasz?

Operacji dokonano w szpitalu w Zurychu; dwa tygodnie później January była z powrotem w Klinice Cudów. Wszyscy, którzy mogli pisać, złożyli

na gipsie swoje autografy. Jej niebywała dzielność sprawiła, że Mike wracał do Stanów z nową energią. Każdy, kto miał tyle odwagi, zasługiwał po powrocie na wszystkie skarby świata. Nic go teraz nie powstrzyma. Pojechał na Wybrzeże, zlikwidował biuro w Twentieth Century Fox i udał się na wyścigi konne do Santa Anita. Postawił na fuksa, który przybiegł pierwszy i Mike wygrał pięć tysięcy dolarów. Nie był tym nawet zaskoczony, gdyż wiedział, że jego zły los się odwrócił. Tej nocy przeczytał scenariusz autorstwa jakiegoś nieznanego pisarza i wiedział już, że znalazł wreszcie swoją sztukę. Postanowił, że sam ją sfinansuje. Powrócił do Nowego Jorku, kazał założyć dodatkowe telefony w swym apartamencie w hotelu Plaža, wynajął drogie biuro w Getty i zwołał konferencję prasową. Michael Wayne znowu był na Broadwayu! Przez następne miesiące eksplodował wprost szaloną energią. Dyskusje ze scenografami, reżyserami, aktorami, wywiady u Sardiego, udział w rozmowach w telewizji, krótkie obiady w Danny's Hide--a-Way, by odprężyć się z komikami, przypadkowe na pozór wizyty w radiu, które kończyły się siedzeniem przez pół nocy z Johnem Nebelem w jego programie. Powrót Wayne'a wytworzył wokół niego aureę wielkiego gwiazdora. Zawsze był lubiany przez prasę. Wszystkich wokół zarażał swym entuzjazmem i zniewalał „nieokrzesanym” wdziękiem. Wraz z rozpoczęciem prób zaczął słać January codzienne raporty. Otrzymała scenariusz, wycinki z prasy, pisał o przebiegu prób, informował ją na bieżąco o postępach nad „ich” przedsięwzięciem. Pomiął jedynie wiadomość o pewnej aktoreczce, która wprowadziła się do niego już po pierwszym tygodniu prób.

Premiera odbyła się w październiku w Filadelfii. Opinie na temat sztuki były podzielone. Wprowadzono pewne poprawki, w wyniku których aktoreczka straciła swe dwie najlepsze sceny i przestała z nim rozmawiać. Następnie wystawiono sztukę w Bostonie, gdzie otrzymała doskonałe recenzje. Trzy tygodnie później, przy głośnych owacjach publiczności i druzgocących recenzjach, odbyła się nowojorska premiera. Dziennikarze stwierdzili jednomyślnie: „niemodna... ciężka... źle obsadzona”. Autor utworu powiedział w programie telewizyjnym, że Mike zmienił jego oryginalną koncepcję, gubiąc przy tym cały mistycyzm utworu. Dziewczyna stwierdziła w telewizji, że ów twórca jest geniuszem, Mike zaś zniszczył jego d; (Wyniosła się właśnie z hotelu Plaža i zamieszkała z pisarzem.)

Mike nie zgodził się na zdjęcie przedstawienia. Porobił cięcia w obsadzie i zmniejszył do minimum gąże. Sypnął kolejne dwieście tysięcy dolarów na

reklamę na autobusach i w metrze, całostronicowe reklamy w „New York Timesie”, wzmianki w radiu i telewizji, całostronicowe ogłoszenia w czasopiśmie fachowych i tygodniku „Variety”. W gazetach prowincjonalnych zamieścił całostronicowe ogłoszenia z pochlebnymi opiniami z prasy bostoriskiej, po czym rozesłał zaproszenia i urządził wielką popijawę, jak zwykle, gdy wypuścił nowy hit. Potem pojechał do Szwajcarii i pochwalił się January, że sztuka jest wystrzałowa i będzie grana w nieskończoność. Dodał, że będzie miał co najmniej trzy trupy teatralne na objazd po kraju.

Dwa miesiące później, po długiej rozmowie z księgowym, zmuszony był zdjąć przedstawienie. Pomimo recesji sprzedał większość akcji i udał się do Szwajcarii na dwudzieste urodziny January. Wkroczył do kliniki jak triumfator, obładowany, jak zwykle, mnóstwem prezentów.

Poczuł się zupełnym zwycięzcą, gdy January weszła do holu recepcyjnego bez kul i bez śladu utykania. Kroki odmierzała jeszcze powoli, ale szła! Zacisnął zęby i z trudem przełknął ślinę. Była cholernie piękna z tymi wielkimi brązowymi oczami i włosami opadającymi na ramiona.

Już po chwili ściskali się, mówili i śmiali jedno przez drugie. Później, gdy jedli obiad w gospodzie, January spytała: — Dlaczego mówiłeś, że przedstawienie było takim hitem?

— Bo było... dla mnie. Dla publiczności miało zbyt dużą klasę.

— Ale włożyłeś w nie własne pieniądze...

— Więc?

— No wiesz, twoje ostatnie trzy filmy też zrobiły klapę.

— Kto to powiedział?

— „Variety”.

— Skąd, do diabła, wzięłaś „Variety”?

— Sam je zostawiłeś, gdy byłeś tu ostatnio. Dał mi je doktor Peterson, bo sądził, że będzie ci jeszcze potrzebne. Pochłonęłam je jednym tchem.

Dlaczego powiedziałaś mi, że to był taki hit?

— Bo był... w Bostonie, ale zapomnij o sztuce. Porozmawiajmy lepiej o ważniejszych sprawach. Doktor mówił, że za pół roku będziesz mogła opuścić klinikę.

— Tatusiu—pochyliła się ponad stołem w jego stronę i popatrzyła mu w oczy — pamiętasz? Kiedy skończyłam trzynaście lat, powiedziałaś, że ten wieczór jest wyjątkowy. Dziś przestałam być nastolatką, mam już dwadzieścia lat, jestem już dużą dziewczyną. Wiem, że za klinikę płacisz miesięcznie ponad trzy tysiące. Erik, ten mały chłopczyk, który nauczył mnie grać na gitarze, musiał wyjechać, bo było tu dla niego

za drogo. Myślę więc, że...

— Jediną rzeczą, o jakiej powinnaś myśleć, jest twój powrót do zdrowia.

— A co z pieniędzmi?

— Do licha, zbiłem forszę na tych filmach, które tak zjechało. Miałem procent od sprzedanych biletów. Nie ma sprawy, kochanie.

— Szczerze?

— Szczerze.

Wracał na lotnisko gotów walczyć z wiatrakami. Niepokoila go rozmowa z doktorem Petersonem. („Panie Wayne, musi pan myśleć z jak największą troską o przyszłości córki. January jest piękna i zarazem bardzo niewinna. Mówi o karierze aktorskiej, co jest zrozumiałe, zważywszy na pana zawód. Powinien pan jednak zdawać sobie sprawę, jaką opieką była otoczona w naszej klinice. Musi spokojnie wrócić do waszego świata — nie może być do niego wrzucona.”)

Myślał o tej rozmowie, gdy siedział już w samolocie. Może uda mu się stworzyć dla niej wspaniały świat. Gdy w pewnej chwili wjechali w burzę, przemknęła mu przez głowę szalona myśl, że wszystkie problemy mogłaby rozwiązać katastrofa lotnicza, dopóki nie przypomniał sobie, że spieniżył polisę ubezpieczeniową.

Jedynym wyjściem był jakiś kasowy film. Może po trzech nieudanych kłątwa z niego opadła. Powrócił do Los Angeles, znowu zaszył się w hotelu Beverly Hills i zaczął przeglądać scenariusze i scenopisy. Ku własnemu zaskoczeniu prawie natychmiast znalazł taki, który mu odpowiadał. Jego autor nie napisał żadnego hitu przez ostatnie dziesięć lat, ale w latach pięćdziesiątych miał jeden wystrzałowy film za drugim, toteż Oscarami mógł podpierać meble. Scenariusz miał wszystko: wątek wielkiej miłości, akcję, gwałtowną scenę pościgową. Spotkał się z autorem i zapłacił mu tysiąc dolarów za prawo do utworu na miesiąc.

Potem udał się do szefów wielkich wytwórni filmowych, ale ku swemu wielkiemu zdziwieniu nie potrafił wydebić od nich żadnych pieniędzy ani wzbudzić zainteresowania scenariuszem. Wszędzie słyshał tę samą odpowiedź: że w przemyśle filmowym jest bessa — scenariusz nic nie znaczy. Gdyby miał powieść — bestseller, -to może... Studia są teraz zavalone różnymi scenariuszami.

Odnosił wrażenie, że w wytwórniach ogarnęła wszystkich panika.

Wszędzie były jakieś zmiany, jedni szefowie odchodzili, na ich miejsce przychodzili nowi. W niektórych wytwórniach nawet nie poznawał ludzi. Czołowe niezależne wytwórnie filmowe również odmówiły mu pomocy finansowej. Czuli, że Mikę nie jest już koniem, na którego się stawia, a i

autor scenariusza zdążył wypaść z obiegu. Pod koniec miesiąca zmuszony był zrezygnować z prawa do scenariusza. Trzy dni później dwaj dwudziestoletni smarkacze, którzy objawili się dopiero rok temu, złapali jego scenariusz i natychmiast otrzymali pieniądze od czołowej wytwórni. Wrócił do Nowego Jorku szukając w panice jakiegoś zajęcia.

Zainwestował sto tysięcy w show, który jeden ze sławnych producentów miał właśnie w próbach. Problemy zaczęły się dopiero, gdy aktor grający główną rolę odszedł w drugim tygodniu prób. Przedpremierowe przedstawienia na prowincji były jednym wielkim koszmarem: osiem tygodni hysterii, przepychanek, zmian w obsadzie i w końcu decyzja producenta — zdjąć przedstawienie.

Po tym niepowodzeniu Mikę przez kolejne dwa miesiące topił pieniądze w serialu telewizyjnym. Pracował z autorami, sam płacił za odcinek pilotowy, wydał w sumie trzysta tysięcy dolarów. Sieci telewizyjne obejrzały serial, ale „spasowały”. Teraz jedyną szansą na odzyskanie części pieniędzy było puszczanie go jako jednoczęściowego filmu w sezonie letnim.

Kilka tygodni później poszedł na prywatny pokaz filmu, do którego scenariusz utracił. Pokój projekcyjny był pełen młodych, zarośniętych mężczyzn, ubranych w podkoszulki na ramiączkach, ukazujące włosy pod pachami. Dziewczeta też nosiły ubrania na ramiączkach, nie miały staników, a ich włosy były albo poskręcane w stylu afro, albo długie i pozlepiane. Mdlilo go, gdy oglądał film. Zniszczyli taki wspaniały scenariusz. Koniec był na początku, w środku pełno retrospekcji, nieostre obrazy, scena miłosna sprawiała wrażenie snu psychodelicznego kręconego ręczną kamerą — po prostu gównem w typie cine-ma-verite. Oczywiście, że musieli tak nakręcić z tymi bestiami, które były dziś aktorami. Nie spotykało się już pięknych twarzy Greta Garbo czy Janette Crawford i takich aktorów, jak Clark Gable lub Cary Grant. Dziś świat należał do brzydkich. Wszystko teraz było takie, czego Mikę nie mógł pojąć.

W tydzień później udał się na przedpremierowy pokaz filmu na Osiemdziesiątej Szóstej Ulicy. Spotkał tam ten sam tłum co w studiu: małolaty z college'u, młodzi żonaci pracownicy reklamy. Publiczność wiwatowała.

Po trzech tygodniach była uroczysta premiera i film pobił wszelkie rekordy kasowe w całym kraju. Dla „i???” był to prawdziwy wstrząs. To znaczyło, że nie wie już, co jest dobre, a co złe. Nie na dzisiejszym rynku. Jeszcze trzy lata temu kręcił hity, wytwórnie wierzyły w niego, a co

ważniejsze — on sam wierzył w siebie. Pojął, że nadszedł czas, aby zejść ze sceny. Mikę Wayne był bez grosza. Jakże wszystko się zmieniło w tak krótkim czasie! A przecież on wyglądał tak samo, myślał tak samo. Może tu leżało sedno sprawy? Nie nadażał za wszystkimi zmianami, za nagością, sztukami i filmami bez akcji, modą na uniseks. No cóż, miał pięćdziesiąt dwa lata, przeżył wspaniałe czasy. Pamiętał, jak chodziło się po Broadwayu bez strachu, że ktoś cię napadnie. Znał Nowy Jork z jego nocnymi klubami i pięknymi dziewczętami, a nie kina pornograficzne i gabinety masażu. Najbardziej jednak martwiło go to, że właśnie do takiego świata wracała January.

Siedział w salonie dla VIP-ów i patrzył w szare niebo. Leciła do domu poprzez to ołowiane błoto. Zawsze obiecywał jej jasny, czysty świat. Do licha, przecież dotrzymał swej obietnicy.

Uśmiechnięta hostessa pojawiła się znowu. Poinformowała, że samolot ze Szwajcarii już ląduje. Mikę zarządził, aby January spotkała się na lotnisku ze szczególną uprzejmością. Specjalny urzędnik czekał, by ją przeprowadzić przez odprawę celną. Co mogłoby mieć, u licha, do oclenia dziecko, które spędziło trzy lata w szpitalu?

Wyszedł z poczekalni nie zauważywszy nawet, że hostessa podbiegła, aby się z nim pożegnać. Normalnie próbowałby ją oczarować, ponieważ była ładną dziewczyną. Ale tym razem Mikę Wayne był po raz pierwszy w życiu naprawdę przerażony.

Zauważył ją, gdy weszła do holu portu lotniczego. Psiakrew, nie mógłby jej przegapić. Wysoka, opalona, o długich wijących się włosach.

Zwróciłby na nią uwagę, nawet gdyby nie była jego córką. Mężczyźni oglądali się za nią, ale ona zdawała się tego nie zauważać. Obok dreptał niski człowieczek, z trudem nadażając za jej długimi krokami, gdy szła i przeczesywała wzrokiem lotnisko. Nagle dostrzegła „i??”, już trzymała go w mocnym uścisku, całowała, śmiała się i płakała jednocześnie.

— Och, tatusiu, wyglądasz super. Czy zdajesz sobie sprawę, że nie widzieliśmy się od czerwca? Wspaniale! To cudowne być znowu w domu... znowu z tobą.

— Wyglądasz doskonale, dziecinko.

— Ty też!! I... och, to jest pan Higgens — odwróciła się i przedstawiła niskiego mężczyznę. — Był dla mnie tak miły. Nie musiałam nawet otwierać torby i...

Mikę uściśnął rękę celnikowi, który niósł za January małą torbę podręczną.

— Jestem bardzo wdzięczny, panie Higgens. — Wziął od niego torbę. —

Czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie jest reszta bagażu mojej córki?
Poproszę, aby go zabrano do samochodu.

— To wszystko, panie Wayne. Było mi bardzo miło. Tak się cieszę, że mogłem panią poznać, panno Wayne. — Uścisnął im ręce i zniknął w tłumie.

— Czy to wszystko? — spytał Mikę wskazując niewielki neseser.

— Tak. Mam na sobie najlepszy ciuch. Podoba ci się? — Stała i okręciła się w koło. — Kupiłam go w Zurychu. Powiedziano mi, że teraz wszyscy noszą kombinezony. Ten zamszowy kosztował trzysta dolarów.

— Jest prześliczny. Ale... — nadal patrzył na maleńką torbę. — Nie masz więcej ubrań?

Pytanie "i?" wyraźnie ją rozbawiło.

— Och, moja torba jest nimi wyładowana. Mam tam trzy pary dzinsów, dwie wyblakłe koszule, kilka swetrów, trampki i och... jeszcze fantastyczną kusą koszulę nocną, którą dostałam w Zurychu. Gdyby nie zabrakło mi pieniędzy, dokupiłabym do niej szlafroczek. Poza tym małym wyjątkiem jestem przygotowana na każdą ewentualność.

— Ubraniem zajmiemy się jutro.

Ruszyli do wyjścia. January wsunęła mu rękę pod ramię.

— W samolocie widziałam tyle różnych długości spódnic. Powiedz mi, Mikę, co ludzie noszą?

— Mikę? — popatrzył na nią. — A gdzie się podział tatuś?

— Jesteś zbyt wspaniały, aby nazwać cię tatusiem. Wiesz, że jesteś wspaniały? Lubię twoje baczki i ich siwiznę.

— Są całkiem białe. A ja jestem starszym panem.

— Co za dzień. Hej, spójrz, ta dziewczyna ma na sobie strój indiański. Wygląda, jakby grała w sztuce lub coś w tym rodzaju. Z tą opaską, warkoczami i z tym wszystkim.

— Chodź, przecież wiesz, jak dziwacznie wszyscy się dziś ubierają.

— A skąd mam wiedzieć? Większość mych przyjaciół nosiła szlafroki. Stał i popatrzył na nią.

— Święty Boże, to prawda. Żadnej telewizji... niczego.

— Niczego.

Wyszli z lotniska. Mikę podprowadził ją do samochodu.

— No cóż, dziś wszyscy ubierają się tak, jakby szli na bal przebierańców. Oczywiście mówię o dzieciakach w twoim wieku.

January już go nie słuchała. Wpatrywała się w samochód, po czym wydała cichy gwizd.

— Ho, ho. Ale mnie zaskoczyłeś.

— Przecież już jeździłaś limuzynami.

— Spędziłam w nich chyba całe życie, ale to nie jest po prostu limuzyna. To jest rzeczywiście coś super. — Posłała mu uśmiech aprobaty.

— Srebrny rolls-royce. Piękne dziewczęta powinny jeździć tylko takimi. Wsiadła i pokiwała głową.

— Przepiękny... nawet uniform szofera pasuje do obicia... Telefon, barek... wszystko, co niezbędne, gdy jest się Mikiem Wayne'em. — Nagle złapała go za szyję — Och, tatusiu... tak się cieszę ze względu na ciebie.

— Oparła się wygodnie, gdy samochód ruszał powoli z lotniska. Potem westchnęła. — Jak wspaniale być tu z powrotem. Gdybyś wiedział, ile razy marzyłam o tej chwili. Nawet wówczas, gdy nie miałam nadziei, że moje marzenie kiedykolwiek się ziści, śniłam, że

i dę w twoje objęcia, że jesteśmy razem w Nowym Jorku. A teraz wszystko jest tak, jak to sobie wyśniłam. Nic się nie zmieniło.

— Mylisz się, kochanie. Wiele się zmieniło. Zwłaszcza Nowy Jork. January wskazała ruch uliczny, gdy limuzyna wślizgnęła się na drogę szybkiego ruchu.

— To się nie zmieniło. Kocham to wszystko: ruch, hałas, tłok, nawet smog. To takie wspaniałe po tym sterylnym szwajcarskim śniegu. Nie mogę się doczekać, kiedy pójdziemy do teatru. Chcę chodzić po alei Szuberta, widzieć sznur ciężarówek wyjeżdżających z Times Building. Pragnę, aby moje piękne czyste płuca wypełniły się bez reszty spalinami.

— To na pewno cię czeka, ale najpierw mamy tyle zaległości do nadrobienia.

Przytuliła się do niego.

— Oczywiście, nadrobimy. Chcę usiąść przy naszym stoliku u Sardiego... nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę Hair... chcę spacerować Piątą Aleją, oglądać ciuchy. Ale dziś wieczór pragnę uczestniczyć w ceremonii jedzenia kawioru i picia szampana. Wiem, że to nie moje urodziny, ale musisz przyznać, że jest po temu piekielna okazja. Przede wszystkim jednak chcę wiedzieć wszystko o twoim wielkim hicie.

— O moim hicie? A któż ci o tym powiedział?

— Nikt, ale przecież wiem, jak działasz. Gdy w lecie otrzymałam z Hiszpanii te wszystkie widokówki, w których napomykałeś o swym nowym wielkim pomysle... cóż, wiedziałam, że to będzie film. Bałeś się o nim pisać, żeby nie zapeszyć. No a teraz, kiedy widzę to wszystko...

— machnęła ręką. — No, opowiedz mi o nim. Patrzył na nią uważnie, tym razem bez uśmiechu.

— Najpierw ty powiesz coś mnie. Czy nadal jesteś najbardziej elastyczną

dziewczyną na świecie? Ponieważ zastaniesz wiele zmian i...

— Jesteśmy razem — przerwała. — Dopóki to się nie zmieni, dopóty inne rzeczy są bez znaczenia. Powiedz mi teraz, czy to film, czy sztuka? Czy mogę z tobą pracować? Wszystko jedno, co będę robić. Mogę być statystką, asystentką, gońcem...

— Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że jest wiele ciekawszych rzeczy w życiu niż teatr i stanie w moim cieniu?

— Wymień choćby jedną.

— No, na przykład znaleźć odpowiedniego chłopaka, wyjść za mąż i uczynić mnie dumnym dziadkiem.

— To jeszcze nieprędko — odrzekła ze śmiechem. — Posłuchaj, obok ciebie siedzi dama, która spędziła ostatnie trzy lata na nauce mówienia i chodzenia. — Wyciągnęła rękę i z czułością dotknęła jego twarzy. — Och, Mike — wydała pełne szczęścia westchnienie — chcę robić wszystko, o czym zawsze marzyliśmy, że będziemy razem robić.

— Czasami zmieniamy nasze marzenia — powiedział. — A raczej powinienem powiedzieć: rozmieniamy je na drobne.

— Doskonale, co masz na myśli?

— No, jak wiesz, byłem w Hiszpanii — zaczął powoli. — Ale nie w sprawie filmu.

— Serial telewizyjny? — spytała. — To właśnie to, mam rację? Wyjrzał przez okno. Każde jego słowo było wyważone.

— Miałem w życiu kilka całkiem niezłych posunięć, a to jest chyba najlepsze z nich wszystkich. Czeka cię wiele niespodzianek. Dziś będziesz mogła...

— Nie, Mike. Proszę cię, żadnych niespodzianek dziś wieczór

— przerwała. — Będziemy tylko my i szampan. Żebyś wiedział, ile miesięcy marzyłam, że będę z tobą w naszym apartamencie w hotelu Plaža, będziemy wyglądać na park, patrzeć na moje stare wzgórze życzeń i wznosić toasty...

— Nie chcesz mieszkać w hotelu Pierre?

— A co się stało z Plażą?

— Burmistrz Lindsay przeznaczył je dla gołębi. Uśmiechnęła się, ale zobaczył w jej oczach rozczarowanie.

— Widok jest prawie taki sam — powiedział szybko — ale obawiam się, że będziesz musiała zapomnieć o wzgórzu życzeń.

Zawładnęli nim pijacy i narkomani na spółkę z wielkimi psami, które zrobiły sobie tam ubikację. Teraz wszyscy mają olbrzymie psy. I nie hodują ich wcale dla zabawy, lecz dla obrony. — Wiedział, że mówi za

dużo. Zamilkł i zapatrzył się na horyzont, na niejednolite piękno domów spowitych smogiem. W maleńkich kwadracikach okien zaczęły się jarzyć światełka. Wieczór w Nowym Jorku.

Wjechali do Nowego Jorku i przed oczu zniknęła im panorama miasta. Wmieszali się w nowojorski ruch. Kiedy jechali Sześćdziesiątą Ulicą, Mikę zawołał do kierowcy: — Stań przed tym sklepem z papierosami, na rogu naprzeciw Bloomingdale'a.

Gdy zatrzymali się, Mikę wyskoczył z samochodu, nim kierowca zdążył wysiąść i otworzyć mu drzwi.

— Zabrakło mi papierosów — zawołał. Potem, zwracając się do szofera, dodał: — Nie możesz tu parkować w drugiej linii. Pojedź z panną Wayne wokół budynku. Zanim wrócicie, będę z powrotem.

Czekał już na rogu, gdy wrócili okrążywszy gmach. Wsiadł do samochodu paląc papierosa. Po namyśle podsunął jej paczkę.

— Palisz?

— Nie — pokręciła głową. — Udało się?

— Co takiego?

— Zatelefonować.

— Gdzie?

— Och, Mikę — powiedziała ze śmiechem — przecież tutaj w barku jest cały karton papierosów.

Zacisnął zęby.

— No dobra. Gdzie według ciebie dzwoniłem? Wsunęła mu rękę pod ramię.

— Zamówić kawior i szampana. Wyczytałam z twojej twarzy, że zapomniałeś.

— Może zapomniałem o wielu rzeczach — westchnął. Położyła mu palce na ustach.

— Powiedz mi tylko, czy dobrze zgadłam.

— Tak, dobrze.

— Mikę, nie martw się. O niczym nie zapomniałeś — powiedziała miękko.

Gdy otworzyła oczy, miała wrażenie, że jest nadal w klinice. Jednak ciemność pokoju była obca, widziała inne zarysy mebli. Wróciła świadomość i przypomniała sobie, że jest w swej nowej sypialni w hotelu Pierre. Zapaliła nocną lampkę. Północ. To znaczy, że spała zaledwie dwie godziny. Przeciągnęła się i rozejrzała po pokoju. Był naprawdę piękny i wcale nie wyglądał na sypialnię hotelową. Cały apartament był luksusowy i wielki, większy od tego, który Mikę miał

dotychczas. Mikę wyjaśnił, że hotel wynajmuje na stałe apartamenty i niektórzy goście hotelowi podnajmują swoje. Ludzie, do których ten należał, mieli naprawdę dobry gust. Gdy przyjechała, salon wyglądał przepięknie. Blask świec, schłodzony kawior i szampan, a wiele pieter poniżej aksamitna ciemność parku. Wznosili toasty, jedli kawior i nagle w pewnym momencie, za ledwie po jednym kieliszku szampana, poczuła senność. Mikę natychmiast to zauważył.

— Posłuchaj, maleńka, tutaj mamy dopiero dziewiątą, ale w Szwajcarii jest druga lub trzecia w nocy. Idź prosto do łóżka. Ja jeszcze trochę się przejdę... Kupię gazety, obejrzę telewizję i też położę się wcześniej.

— Ale nie zdążyliśmy porozmawiać o tobie, o tym, co robisz... o wszystkim.

— Jutro. — Jego głos był twardy. — Spotkamy się w salonie o dziewiątej, zjemy razem śniadanie i wreszcie się nagadamy.

— Ale, Mikę...

— Jutro. — Znow ta dziwna nuta w jego głosie. Jak cięcie nożem. Nowy, nieznan, twardy ton. Właśnie w ten sposób zwrócił się do fotografa, który pstryknął im dziś w holu zdjęcie. Sprawiał wrażenie bardzo miłego młodego człowieka. Poszedł za nimi do windy i spytał: — Proszę mi powiedzieć, panie Wayne, jak się czuje pańska córka będąc...

Nie zdążył dokończyć pytania. Mikę wepchnął January do windy i warknął: — Wynoś się. Nie mam ochoty na żadne wywiady na poczekaniu.

January myślała teraz o tym wydarzeniu. Było to tak niepodobne do ojca! Reklama była dla niego zawsze sposobem na życie. Gdy miała dziewięć lat, znaleźli się oboje na okładce ogólnokrajowego czasopisma. Zresztą żal jej było tego młodego człowieka. Jej pytanie ojciec zbył tylko wzruszeniem ramion.

— Może to przez ten Rzym? Zresztą nie lubię, jak faceci robią ci na własne ryzyko zdjęcie, które może ukazać się wszędzie, w każdym tanim piśmidle. Jestem za autoryzowanymi wywiadami i pozowaniem do zdjęć ilustrujących wywiad, natomiast nie lubię, gdy facet wyskakuje na mnie z ciemnego kąta.

— Ależ on czekał w holu i wyglądał bardzo sympatycznie.

— Zapomnij o tym. — Znowu ten chłodny ton kończący wszelką rozmowę.

Potem otworzył szampana. Gdy podniosła swój kieliszek i powiedziała: — Za nas — potrząsnął głową.

— Nie, twoje zdrowie. Nastał twój czas. Ja jestem tu tylko po to, aby

patrzeć, jak go wykorzystujesz.

Leżała w ciemnej sypialni. Miała jeszcze przed sobą całą noc. Powinna spróbować zasnąć. Rozbudziła się jednak na dobre i chciało jej się pić, jak zawsze po kawiorze. Zsunęła się z łóżka i przeszła do łazienki. Woda w kranie była ciepława. Postanowiła wrócić do łóżka i zapomnieć o pragnieniu. Przekręciła gałkę radia stojącego przy łóżku na stację grającą non stop albumy płytowe. Już zapadała w sen, gdy zaczęła się przerwa na reklamy i entuzjastyczny głos spikera zaczął wychwalać nową dietetyczną coca-colę. Sposób, w jaki namawiał na ten cholerny napój, sprawił, że nagle po prostu musiała wypić szklankę zimnej wody!

Wstała z łóżka. Pamiętała, że w apartamencie jest duża kuchnia. Powinna tam znaleźć lód. Ruszyła do drzwi, ale się zatrzymała. Nie miała szlafroka, a ubrana była w krótką, prześwitującą koszulę nocną. Ostrożnie uchyliła drzwi sypialni i zawołała: — Tatusiu!

Salon był pusty, wyszła więc na palcach. Spoglądała w czeluści mrocznej jadalni — wielkiej pieczary — w długi korytarz za kuchnią. Mike powiedział, że mieszczą się tam pokoje dla służby. Apartament był pusty. Podeszła do drzwi sypialni i zapukała, a potem je otworzyła. Pusto. Przez ułamek sekundy odżyło wspomnienie Rzymu... i Melby. Nie, nie zrobiłby jej tego. Nie podczas pierwszej nocy w domu. Na pewno poszedł na spacer i spotkał przyjaciół.

Weszła do kuchni. Lodówka była pełna coli, 7-Up, piwa imbirowego, różnych gatunków dietetycznej wody mineralnej bez cukru. Wyjęła colę i wlała sobie do szklanki, a potem przeszła spokojnym krokiem do salonu. Stała i zapatrzyła się na park. Iskrzące się światełka nadawały mu świąteczny blask. Trudno uwierzyć, że w tych miękkich ciemnościach można się czegoś bać.

Nagle usłyszała trzask. To ojciec wkładał klucz do zamka. W pierwszym odruchu chciała podbiec i ucałować go na powitanie. Spojrzała jednak na swoją nocną koszulę. Szaleństwem było kupować coś tak krótkiego i przezroczystego, ale po trzech latach flanelowych piżam w klinice przejrzysta koszula była symbolem. Częścią powrotu zdrowia... i odjazdu. No cóż, powie mu, żeby zamknął oczy i pożyczył jej jeden ze swoich szlafroków.

Drzwi się otworzyły i January usłyszała kobiecy głos. Mój Boże, był z kimś! W popłochu rozglądała się po długim salonie. Gdyby chciała wrócić do sypialni, musiałaby przejść przez przedpokój i wejść prosto na nich. Najbliższe drzwi prowadziły do sypialni i wpadła tam, gdy oni wchodzili właśnie do salonu. Sypialnia była ciemna.

— O Boże... gdzie jest światło? — macała ścianę w poszukiwaniu kontaktu.

— Mike, przecież to kompletny absurd, żebym zakradała się tutaj jak złodziej. — Głos kobiety był wyraźnie rozdrażniony. — W końcu ona nie jest już dzieckiem.

— Dee—głos ?i??? był twardy, a zarazem przymilny. — Musisz to zrozumieć. Trzy lata planowała, jak spędzi ten pierwszy wieczór. Kobieta westchnęła.

— A ja, według ciebie, jak się czułam, gdy zadzwoniłeś prosząc, abym się wyniosła? Po tylu staraniach z mojej strony... Zorganizowałam najlepszy kawior, odpowiedni szampan. To miał być mój „wieczór poznania January", a w zamian za to odprawia się mnie jak pierwszą lepszą chórzystkę. Dzięki Bogu, udało mi się złapać Davida. Siedzieliśmy godzinami w tym barze w hotelu Shareton. Jestem pewna, że wyciągnęłam go z ramion jakiejś ślicznotki.

— Chodź — powiedział miękko Mike.

Nastąpiła cisza. January była pewna, że się całują. Nie wiedziała, co robić. Nie powinna tak stać w ciemnościach i podsłuchiwać. Gdyby tylko miała szlafrok!

Tymczasem ojciec odezwał się łagodnie: — Jem jutro z January śniadanie. Chcę z nią odbyć długą rozmowę, zanim się spotkacie. Uwierz mi... miałem rację postępując dziś w ten sposób.

— Ale, Mike...

— Żadnych „ale", chodź, zmarnowaliśmy już dziś zbyt wiele czasu.

— Mike, potargalesz mnie — zaśmiała się kobieta. — Czy mógłbyś być tak dobry i przynieść mi torebkę? Zostawiłam ją na stoliku przy wejściu. January stała bez ruchu; szli do sypialni. Drzwi się otworzyły i pokój zalała nagle fala światła, gdy kobieta przekreśliła wyłącznik w ścianie. Przez ułamek sekundy wpatrywały się w siebie. January nie wiedziała, czemu kobieta wydała jej się dziwnie znajoma. Była wysoka, szczupła, miała lekko siwiejące włosy i wyjątkowo piękną skórę. Kobieta pierwsza doszła do siebie i zawołała: — Mike, chodź tutaj! Zdaje się, że mamy towarzystwo.

January ani drgnęła. Nie podobał jej się dziwny, opanowany uśmiech na twarzy kobiety. Sprawiała wrażenie kogoś, kto doskonale panuje nad sytuacją i ma już z góry zaplanowany następny ruch.

Pierwszą reakcją ?i??? było zdziwienie. Potem w jego oczach pojawiło się coś, czego jeszcze nigdy nie widziała — irytacja. Gdy się odezwał, jego głos był chłodny.

— January, co ty tutaj, do licha, robisz, myszkujesz po pokoju?

— Ja... ja wzięłam sobie colę — wyciągnęła rękę w kierunku salonu, gdzie zostawiła szklankę.

— To co w takim razie robisz tutaj po ciemku i b e z szklanki? — spytała kobieta.

January popatrzyła na ojca licząc, że przerwie tę koszmarną scenę. On jednak stał obok kobiety i czekał na odpowiedź. January czuła suchość w przełyku.

— Usłyszałam drzwi... i głosy... — Słowa z trudnością przechodziły jej przez gardło. — Nie mam szlafroka, więc wpadłam tutaj.

Po raz pierwszy spojrzeli na przezroczystą koszulę. Ojciec prędko poszedł do łazienki i wrócił z jednym ze swych szlafroków, który rzucił jej nie patrząc. Wciągnęła go z trudem i ruszyła do drzwi. Dogonił ją cichy, kobiecy głos.

— Zostań na chwilę, January. Mikę, nie pozwolisz chyba córce odejść nie przedstawivszy nas sobie.

Stała tyłem, czekając, aż ją wreszcie wypuszczą.

— January — głos ojca wydawał się nagle znużony — to jest Dee.

January zmusiła się, aby skinąć kobiecie lekko głową.

— Och, Mikę — kobieta wsunęła mu ramię pod rękę — chyba nie tak powinienes mnie przedstawić.

Mikę popatrzył na córkę i powiedział cicho: — January... Dee jest moją żoną. Pobraliśmy się w ubiegłym tygodniu.

Słyszała, że składa im gratulacje. Nogi ciążyły jej jak z ołowiu, ale jakimś cudem udało jej się wyjść z pokoju... przez salon... do bezpiecznego zacisza sypialni. Dopiero tam nogi zaczęły pod nią drżeć, wpadła do łazienki i gwałtownie zwymiotowała.

ROZDZIAŁ DRUGI

1

Resztę nocy przesiedziała przy oknie. Nic dziwnego, że kobieta wydała jej się znajoma. Nie była to zwyczajna Dee, tylko Deirdre Milford Granger, nazywana często szóstą najbogatszą kobietą świata! Był to oczywiście frazes, który wymyślił kiedyś pewien dziennikarz, ale przyłgnął do niej na stałe, choć tak naprawdę nikt nie wiedział, czy była szóstą, czy sześćdziesiątą. Dziewczęta w szkole panny Haddon zawsze żartowały z tego tytułu, ilekroć jej zdjęcie pojawiło się w gazecie lub czasopiśmie. W tamtych dniach jej małżeństwa stale były w centrum uwagi prasy; najpierw

z pieśniarzem operowym, potem z pisarzem, a następnie ze słynnym projektantem. W czasach młodości January małżeństwo to stworzyło „Vogue”. Cztery lata później projektant zginął w wypadku samochodowym w Monte Carlo. Kronikarskie zdjęcia Deirdre z pogrzebu ukazywały ją w ciężkiej żałobie. Zalewając się łzami twierdziła, że zmarły był jej jedyną miłością, i przysięgała, że już nigdy nie wyjdzie za mąż. Niestety, zmieniła widać zdanie.

To raczej Mikę był sprawcą tej odmiany! Oczywiście! To właśnie ona była tym jego nowym, wspaniałym pomysłem. Te widokówki z Hiszpanii... Dee miała dom w Marbelli — widziała jego zdjęcie w „Vogue”. Posiadała też rezydencję w Palm Beach, gdzie trzymała czterdzieścioro służby — January wiedziała o tym wszystkim z „La-dies' Home Journal”. Był też jacht w Cannes — gazety podały tę informację przy okazji wizyty Karli u Dee nad morzem. Karla zrezygnowała z filmu w 1960 roku i prowadziła nawet bardziej pustelnicze życie niż Greta Garbo czy Howard Hughes. Tyle, przy okazji jej pobytu na jachcie, napisał „Time”. Wszystkie dziewczęta w szkole panny Haddon szalały za tą polską aktorką. W 1963 roku największej sławy przysporzył January fakt, że ojciec zaproponował wielkiej Karli milion dolarów w zamian za powrót do filmu. Karla nigdy nie przyjęła jego oferty ani też mu nie odmówiła, sama jednak propozycja przydała Mike'owi rozgłosu. Później ojciec przyznał się January, że jednym z jego wielkich marzeń było po prostu poznać słynną gwiazdę. Teraz prawdopodobnie ją pozna, a może już został jej przedstawiony?

Tak więc ten nowy wspaniały plan ?i??? to Deirdre Granger! Była piękna urodą porcelanowych lalek, ale wydawała się krucha i bez życia. Czy Mikę mógł ją naprawdę pokochać? Sprawiała wrażenie osoby tak chłodnej i niezdolnej do okazywania uczuć! Być może właśnie to go tak zafascynowało, Mikę zawsze uwielbiał podejmować wyzwania. January siedziała przy oknie, dopóki pierwszy promień słoneczny nie przedarł się poprzez ciemności nocy. Obserwowała, jak czarne niebo staje się szare. Wiedziała, że światło słoneczne zaczyna pełzać po wierzchołkach wysokich budynków przy Piątej Alei. Wokół panowała cisza, noc przechodziła w dzień.

Włożyła dzinsy, sweter, trampki i wymknęła się po cichu z apartamentu. Windziarz powitał ją skinieniem głowy połączonym z ziewnięciem. Recepcjonista podniósł głowę ze znużoną obojętnością. Mężczyzna w kombinezonie, zmywający podłogę w holu, przerwał na chwilę, by ją przepuścić.

Nowy Jork spowijał jeszcze półmrok. Puste, wyludnione w szarym świetle poranka ulice wydawały się zadziwiająco czyste. January ruszyła w kierunku hotelu Plaża. Przez chwilę stała wpatrując się w okna narożnego apartamentu, a potem przeszła na drugą stronę ulicy i wkroczyła do parku. Niechlujna kobieta w męskim płaszczu grzebała w pojemniku na śmieci. Nogi, dwa razy grubsze z powodu opuchlizny, miała zawinięte w brudne szmaty. Pijacy spali na ławkach, wokół na ziemi wałały się puste butelki po alkoholu. Niektórzy spali skuleni na trawie. January powędrowała szybko w kierunku zoo i stojącej w tyle karuzeli. Słońce przebijało się właśnie przez warstwę smogu, próbując oczyścić niebo. Minęli ją odziani w bluzy sportowe dwaj mężczyźni uprawiający jogging. Gołębie zaczęły się zbierać w gromadki na trawnikach w poszukiwaniu śniadania. Podbiegła do niej wiewiórka i nadstawiła łapki, a jej bystre oczka domagały się orzeszka. Pierzchła, gdy January wzruszyła ramionami i pokazała puste ręce. Trzy Murzynki przejeżdżające na rowerach pomachały jej układając palce w znak pokoju. January nie przerywała marszu. Pijacy zaczęli się powoli poruszać. Do parku weszła kobieta z podstarzałym jamnikiem na rękach. Postawiła go ostrożnie na trawie i powiedziała:—No, maleńki, zrób psi, psi.—Ani kobieta, ani pies nie zwrócili uwagi na January. Pies się załatwił, kobieta go pochwaliła, wzięła z powrotem na rękę i wyszła z parku.

Pijacy zaczęli już podnosić się na nogi, ci, którzy jeszcze się zataczali, korzystali z pomocy innych. Nagle park ożył. Wszędzie pojawiło się mnóstwo psów. Jakiś człowiek, dorabiający wyprawdaniem psów na spacer, miał ich sześć, a każdy był innej rasy. Pojawił się mężczyzna ze sznaucerem i kobieta w papilotaach z tłustym co-cker-spanielem na smyczy. Park, który wydawał się aksamitny w ciemnościach nocy, był teraz niesympatyczny i brudny. Światło słoneczne eksponowało puszek po piwie, potłuczone butelki i papiery po kanapkach. Wiatr targał drzewami, a westchnienia liści spadających, by skończyć życie, wydawały się rozpaczliwe i ciche w porównaniu z czkającym parskaniem wielkich autobusów. Słysząc było klaksony, walenie, gwizdy — monolityczny potwór budził się do życia.

Teraz do parku zaczęły nadciągać dzieci w spacerówkach, popychanych przez blade i znużone młode matki. Czasami jakiś pies przywiązany do wózka włókł się smętnie, patrzył zazdrośnie i wspominał przyjemniejsze dni, kiedy to on był w centrum uwagi całej rodziny. Pokazały się też inne wózki, w których spał niemowlak, a dwulatek siedział niebezpiecznie wysoko na obrzeżu, podczas gdy matka pchała ich z trudem w kierunku

placyku zabaw.

Potem do parku wkroczyła brygada z Piątej Alei — potok wielkich angielskich wózków z niemowlakami skrytymi pod kocykami powleczonymi w czysty jedwab z wyszytymi inicjałami. Niańki w sztywnych uniformach podwoziły te połyskujące pojazdy do pobliskich ławek, na których zbierały się, by plotkować, w czasie gdy ich mali podopieczni smacznie spali. January spoglądała na dzieci z zazdrością. Takie maleńkie kruszynki, a wszystkie czują się w parku jak u siebie. Każde z nich należy do tego miasta, ma tożsamość, imię i dom.

Wędrowała bez celu, aż nagle znalazła się na wprost wzgórza życzeń. Taki mały pagóreczek, a przecież kiedyś, gdy była mała, wydawał jej się ogromną górą. Kiedy miała pięć lat, wspinała się z trudem na sam szczyt. Ojciec uniósł wówczas jej rękę w geście zwycięzcy i powiedział: „Teraz to wzgórze jest twoje. Zamknij oczy i wyraż jakieś życzenie, a na pewno się spełni.” Wyszeptała cichutko, że chciałaby mieć nową lalkę. Ojciec wziął ją do Rumpelmayera na gorącą czekoladę, a gdy już wychodzili, kupił największą lalkę, jaka była w sklepie. Od tego dnia nazwali to wzniesienie wzgórzem życzeń. Teraz pagórek wyglądał nago i brzydko. Zaczęła wspinać się na jego szczyt, rozgarniając nogami martwe liście. Usiadła, podciągnęła kolana pod brodę, objęła je rękami i zamknęła oczy. To dziwne, ale wszystkie odgłosy życia — hałas uliczny, psy szczekające w oddali — przybierały tu na sile.

Nagle usłyszała szelest liści; ktoś nadchodził. Stały jej przed oczami wszystkie opowiadania o brutalnej przemocy. Może ten ktoś ma nóż. Siedziała bez ruchu. Jeżeli nie otworzy oczu, być może zaraz będzie po wszystkim — szybko i bezboleśnie.

— January! — Obok stał ojciec. Wyciągnął rękę, a ona zerwała się na nogi. — Już trzeci raz w ciągu ostatniej pół godziny wracam na to wzgórze. Podejrzywałem, że tu przyjdiesz. — Wziął ją za rękę i wyprowadził z parku. Przeszli na drugą stronę ulicy i Mikę zatrzymał się przed Essex House. — Dają tu całkiem niezłą kawę. Chodź, zjemy śniadanie.

W milczeniu usiedli w bezbarwnej sali. Przed nimi stały nie tknięte jajka. Nagle Mikę odezwał się: — No dobrze, wrzeszcz, wściekaj się, ale powiedz coś wreszcie.

Zaczęła mówić, lecz pojawił się starszy kelner pytając, czy coś jest nie tak z jajkami.

— Nie, nie jesteśmy głodni — odparł Mikę. — Proszę je zabrać i zostawić tylko dzbanek z kawą. — Czekał, aż kelner odejdzie, i zwrócił

się do January. — Dlaczego park? Mój Boże, dlaczego? Mogli cię zabić.
— Nie mogłam usnąć — odparła.
— A kto mógł! Nawet Dee musiała wziąć dodatkowy proszek nasenny. Nikt nie wybiera się jednak na spacer po Nowym Jorku o świcie. Siedziałem całą noc czekając na nadejście dnia. Wypaliłem w tym czasie dwie paczki papierosów...
— Nie powinieneś był — powiedziała bezbarwnie. — Papierosy ci szkodzą.
— Wiesz co, nie martw się o moje zdrowie, dobra? Chryste Panie, jak zobaczyłem, że twój pokój jest pusty... mało nie oszalałem. Dee obudziła się właśnie, gdy dzwoniłem na policję. Uspokoila mnie mówiąc, że prawdopodobnie poszłaś na spacer, aby wszystko przetrawić. Wtedy wpadło mi do głowy, że możesz być na wzgórzu. Nic nie odpowiedziała. Pochylił się więc i chwycił ją za rękę.
— January, proszę. Przedyskutujmy to.
Gdy nadal milczała, popatrzył na nią i powiedział cicho: — Proszę, nie pozwól, abym cię błagał.
— Wcale wczoraj nie myszkowałam ani nie szpiclowałam.
— Wiem, byłem po prostu zaskoczony i zły na siebie, nie na ciebie. Ja...
— zastanowił się i zapalił następnego papierosa — chciałem ci napisać o Dee.
— Och, Mike, dlaczego tego nie zrobiłeś?
— Bo do ostatniej chwili nie byłem pewien, czy faktycznie się z nią ożenię- Kiedy gazety zaczęły pisać, że się spotykamy, bałem się, że to do ciebie dojdzie. Dziękowałem Bogu za doktora Petersona i jego zasadę odcinania swych pacjentów od świata. Czułem, że o tym muszę ci powiedzieć osobiście. Chciałem, abyś się o niej dowiedziała w drodze z lotniska, kiedy jednak zaczęłaś mówić o tym, jak długo czekałaś, że chcesz być tylko ze mną... na Boga, czułem, że liczysz, iż spędzisz swój pierwszy wieczór tak, jak sobie zaplanowałaś. Dlatego zatelefonowałem do Dee, prosząc, by wyszła. Sądziłem, że powiem ci o tym dziś przy śniadaniu.
— Kiedy się w niej zakochałeś?
— Kto tu mówi o miłości? — patrzył jej prosto w oczy. — Posłuchaj i zapamiętaj, że jedyną babką, którą kiedykolwiek kochałem i będę kochał, jesteś ty!
— A więc dlaczego? Dlaczego?
— Ponieważ byłem skończony.
— O czym ty mówisz?
— Byłem skończony. Po trzech latach kompletnych kiksów nie mogłem

wy dębić ani centa na sfinansowanie sztuki nawet w jakimś teatrze poza Broadwayem. Na Wybrzeżu traktowali mnie jak za-dżumionego. Wówczas otrzymałem z kliniki wspaniałe wieści. Pisali, że wypuszczają cię we wrześniu. Jezu, nadeszła chwila, której perspektywą oboje żyliśmy... a ja byłem splukany. Wiesz, gdzie zastała mnie ta wiadomość? Na Wybrzeżu, gdzie żyłem na kocią łapę z Tiną St. Claire.

— Grała kiedyś w twoim filmie.

— Tak, zaangażowałem ją, gdy miała siedemnaście lat. Beztalen-cie, ale piękna. Nadal nie wykazuje talentu, niemniej gra w jakimś serialu telewizyjnym, który jest w pierwszej dziesiątce i jeszcze długo będzie grany. Tina ma wielki dom pełen służby i pochlebców. A wśród nich ja — pochlebca numer jeden. Czemu nie? Posiadała przyjemny dom, świetnie zaopatrzony bar, zaś moim jedynym zadaniem było jej służyć. — Przerwał na chwilę. — To ohydne, żeby ojciec rozmawiał w ten sposób z córką, lecz nie ma czasu na próby generalne. Muszę dać ci scenariusz — surowy. — Zgasił papierosa. — No dobra, a więc siedziałem nad basenem u Tiny, smażyłem się na słońcu, chiński służący serwował mi drinki, sauna dla relaksu. Miałem wszystko, czego potrzeba mężczyźnie, z wyjątkiem gotówki. Jest lipiec. I otrzymuję wiadomość, że możesz wrócić we wrześniu. Jak już powiedziałem, siedzę tam, opalam się i zastanawiam, co robić. I mam!... Tej nocy Tina poddała mi świetny pomysł. Ta cała impreza w starych świątłach reflektorów już dzisiaj nic nie znaczy, ale od czasu do czasu ci ludzie

zdobywają się na wysiłek i ja, jak osioł, idę z nią, jako jej eskorta, po czerwonym dywanie, a ona usiadłszy w swoim fotelu przytula się do mnie i zaczyna mówić, że nie wie, co by zrobiła, gdybym od niej odszedł.

Opowiada, jak trudno jest znaleźć mężczyznę, że nie kochała się przez miesiąc, zanim nie przyjechałem. I nagle mówi: „Doskonale prezentujemy się razem. Mam wystarczająco dużo pieniędzy dla nas dwojga. Co myślisz o małżeństwie? Będę miała chociaż pewność, że nie pojedę sama w przyszłym roku na rozdanie nagród Emmy”. Popatrzył gdzieś obok córki.

— Wówczas uświadomiłem sobie, że muszę brać, co jest pod ręką. Tina nie skończyła jeszcze trzydziestki, a chciała mnie utrzymywać. Poczuję się jak w filmie *Bulwar Zachodzącego Słońca*, tyle że na opak.

Następnego dnia zająłem swoje stałe miejsce na basenie i próbowałem wszystko przemyśleć. Jeżeli mam być na czyimś utrzymaniu, nie będą to z pewnością posiłki i basen u Tiny St. Claire. Jeśli to ma być ostatni port, do którego zawinę, to muszę pójść na dno pierwszą klasą. Zacząłem myśleć: Barbara Hutton miała męża, nie wiedziałem nic o Doris Duke, baronowa

de Fallon była bestią. I wówczas pomyślałem o Deirdre Milford Granger. Spotkaliśmy się kiedyś, w czasach mojej prosperity, i pamiętałem, że była przystojna mimo przywiedłej nieco urody.

Przerwał na chwilę.

— Miła historyjka, co? Przynajmniej mówię prosto z mostu, nie opowiadam w stylu: „Spotkałem tę babkę i zakochałem się w niej do szaleństwa, zrezygnowałem więc z kariery, by uczynić ją szczęśliwą”. O, nie, uknułem cały plan. Dowiedziałem się, że jest w Marbelli. Sprzedałem wszystko, co miałem — samochód, zegarek Patek Philip-pe, ostatnie akcje IBM, w sumie dało mi to czterdzieści trzy tysiące dolców. To był wielki rzut kostką i położyłem wszystko na jedną szalę. Pojechałem do Marbelli, aby zalecać się do tej kobiety. — Na myśl o tym zmarszczył brwi. — Nie wiedziałem, że od pierwszego dnia miała mnie na oku. Siedziała wyprostowana i rozgrywała wszystko na spokojnie. Wydawałem po dwadzieścia dolców na napiwki dla kierowników sali i pokrywałem osiemsetdolarowe rachunki w nocnych klubach za tabuny jej przyjaciół. Minęły trzy tygodnie, a ja nie miałem nawet okazji, żeby zbliżyć się do niej na tyle, by pocałować ją na dobranoc. Nie mogłem z nią zostać sam, by spędzić wieczór przy świecach, gdyż wszędzie chodziliśmy paczką. W ciągu dnia mieszałem dla wszystkich drinki i patrzyłem, jak gra w tryktraka. Kiedy już zaczynałem wątpić, przyjechałem do jej willi w porze koktajlu, będąc pewien, że jak zwykle zastanę tam tłumy ludzi. Była sama. Podała mi

drinka i powiedziała: „Mike, lepiej zdecyduj się i poproś mnie o rękę, ponieważ masz na koncie zaledwie dwa tysiące sześćset dolarów.”

— Uśmiechnął się na widok miny January. — Tak, tak, dobrze znała moje saldo bankowe, co do centa. Potem dodała: „Przede wszystkim chciałabym, żebyś wiedział, że nigdy nie poprę finansowo żadnego twojego filmu czy sztuki. Czy wobec tego nadal chcesz, abym została twoją żoną?” — Zapalił kolejnego papierosa. — Och, jest jeszcze lepiej — powiedział próbując zdobyć się na ponury uśmiech. — Kiedy już moja dama uświadomiła mi, jak bardzo gardzi show businesssem i wszystkim, co za nim stoi, wygłosiłem różne żelazne kwestie, jak: „Posłuchaj, Dee, być może z początku o tym myślałem, ale teraz naprawdę się w tobie zakochałem. Chciałbym wystawić na Broadwayu trzy kasowe przedstawienia, ponieważ wówczas mógłbym prosić cię o rękę.” — Przerwał na chwilę. — Czy nie robi ci się od tego niedobrze? Bo mnie tak... od samego powtarzania.

— Mów dalej — powiedziała January. — I co? Czy ci uwierzyła?

— No cóż, trzeba przyznać, że nie trzymała się ściśle scenariusza. Nie wdzięczyła się, nie udawała skromnisi. Nie można jej odmówić oryginalności. Uśmiechnęła się tylko i powiedziała: „Posłuchaj, ?i??” Wayne. Gdyby udało ci się wystawić te trzy kasowe przedstawienia, na pewno nie zechciałbyś się więcej ze mną umówić”. — Przerwał zadumany.

— Nie wiem, co to jest. Ma jakieś uprzedzenia do show businessu. Może kiedyś rzucił ją jakiś aktor? Albo to tylko snobizm? W każdym razie musiałem obiecać, że po ślubie nigdy nie wrócę do mojego zajęcia. Tak więc ja siedziałem, a ona decydowała o wszystkim. Zanim się zgodziłem, opowiedziałem o tobie, ale oczywiście też już wszystko wiedziała.

Wyjaśniłem, że twoja przyszłość jest dla mnie najważniejsza. Gdy się ze mną zgodziła, to już było załatwione.

— Gdzie odbył się ślub? — spytała.

— Pobraliśmy się po cichu i w sekrecie pod koniec sierpnia w Londynie. Oczywiście wieści szybko się rozeszły i zaczęły się przyjęcia na naszą cześć. Hrabiny, jakieś osobistości z domieszką krwi królewskiej, kasowe międzynarodowe modelki i na dokładkę, gratis, kilka prawdziwych księżniczek. To świat, w którym wszystkie kobiety są szczupłe, piękne i bez ikry, mężczyźni zaś bez jaj, a angielski jest ich drugim językiem. Takie same tłumy otaczają Dee również w Nowym Jorku. Nikt z nich nie gra w golfa — ich gra to tenis, remik zaś jest dobry dla wieśniaków — oni grają w tryktraka. Ot, i cała historia. Masz jeszcze jakieś pytania?

— Tylko jedno. Czy oboje stajemy co piątek w ogonku i otrzymujemy nasze kieszonkowe?

Ich oczy się spotkały i Mikę spytał: — Gdzie nauczyłaś się ranić tak boleśnie?

Walczyła ze łzami, lecz wytrzymała jego spojrzenie.

— No cóż, przecież to prawda. Dee utrzymuje cię i robi to, jak powiedziałeś, w dobrym stylu.

— Robi to w wielkim stylu — jego głos był twardy. — Zatrudniła mnie jako dyrektora w jednej ze swych firm. Oczywiście tylko formalnie. Co, u diabła, mogę wiedzieć o nieruchomościach lub tankowcach? Ale podpisuję raz w tygodniu jakieś papiery i wszyscy moi podwładni zachowują się tak, jakbym był niezbędny. — Potem dodał z uśmiechem: — Każdemu mężczyźnie potrzebna jest świadomość, że może codziennie pójść do biura. Nie masz pojęcia, jak to zajmuje czas. Wchodzę, zamykam drzwi i moja sekretarka myśli, że jestem zajęty. Siedzę w swoim gabinecie i czytam różne pisma fachowe, a środa jest wielkim dniem — ukazuje się „Variety”, co pochłania mi całe przedpołudnie. Potem zjeżdżam na dół do

biura maklerskiego, które znajduje się w tym samym budynku, każe oczyścić sobie buty i udaje się do klubu Friars na lunch i partyjkę remika. Oczywiście otrzymuję pensję — tysiąc tygodniowo. Zwykłem wydawać więcej na napiwki, niemniej to wspaniałe życie. Mam apartament w Nowym Jorku, domy, szofera... mam wszystko, co chciałby mieć każdy mężczyzna.

— Przestań — jęknęła — przestań, na Boga! Przepraszam za to, co powiedziałam. Wiem, że zrobiłeś to dla mnie. — Czuła łyzy w przełyku, lecz zmusiła się, by mówić dalej: — Czy nie wystarczyłoby nam małe mieszkanie? Może dostałabym jakąś pracę?

— Co byś robiła?

— Może grałabym, a nawet pracowałam dla producenta... czytałabym scenariusze.

Pokręcił głową.

— Cały business się zmienił. Niektórzy czołowi dramaturdzy odmawiają dziś pisania dla teatru. A po co mieliby się wysilać? Wypruć przez dwa lata z siebie flaki po to, by jakiś facet z „Timesa” wykończył sztukę w ciągu jednej nocy? Oczywiście, są tacy jak Neil Simon, który rzadko ma wpadki, i nawet największe gwiazdy biją się, by zagrać w jego sztuce. Jasne, że jest jeszcze off Broadway, a nawet off off Broadway, lecz to już inna cywilizacja. Nic o niej nie wiem, ale nie tego chciałbym dla ciebie.

— A czego chcesz dla mnie? — spytała spokojnie.

— Chciałbym ci dać cały świat.

— I myślisz, że mi go dałeś, żeniąc się z Deirdre Granger?

— W każdym razie na pewno daję ci nowy, jasny świat, w którym ludzie nie mówią wyłącznie o teatrze i wpływach do kasy. Posłuchaj, show business powinien być dla ciebie wspaniałym deserem, czymś, co może cię bawić przez kilka wieczorów w tygodniu, nie powinien jednak stanowić treści twego życia. Poza tym widziałas go zawsze wyłącznie oczami córki „i???” Wayne'a. Gdy wchodziłaś ze mną za kulisy, oglądałaś tylko garderoby wielkich gwiazd, a nie zwyczajne, pełne przeciągów, na trzecim piętrze w Baltimore czy Filadelfii. Widziałas wyłącznie sukces, kochanie, jasną stronę życia. Nic więc dziwnego, że show business jest twoim światem, lecz czy pokazałem ci kiedykolwiek inny?

— Dlaczego miałabym chcieć innego świata? Kochałaś przecież show business, wiem, że kochałaś.

— Ojej, tak samo kochałem konie, kochałem hazard, jakim jest robienie przedstawień i filmów, miałem pociąg do pieniędzy, sławy, babek. Słuchaj, nie myślisz chyba, że zabierałem cię co sobota do teatru, ponieważ tak go

kochałem? Do licha, brałem cię tam, ponieważ nie bardzo wiedziałem, co jeszcze mógłbym z tobą robić. Nie złość się — dodał widząc, że poczerwieniała — ale co, według ciebie, może robić mężczyzna z małą dziewczynką w weekendy? Nie prowadziłem żadnego życia towarzyskiego, spotykałem się tylko z babkami, z którymi żyłem oczywiście na kocią łapę. Niektóre były rozwódkami i miały dzieci w twoim wieku, które wołały na mnie wujku. Mogłoby to tobą nieźle wstrząsnąć, co? Mój Boże, to niebywałe, że wyrosłaś na tak doskonałą dziewczynę, bo ja na pewno nic ci nie dałem. Teraz wszystko się zmieniło. Mogę w końcu dać ci szansę zakosztowania innego życia. Proszę jedynie, byś spróbowała żyć w ten sposób.

— To znaczy w jaki?

— Zobacz, jak żyją inni ludzie. Poznaj przyjaciół Dee. Spróbuj. Jeżeli nie zechcesz, to znaczy, że zmarnowałem czas.

Zdobyła się na uśmiech.

— Oczywiście, postaram się.

— Daj również szansę Dee, to wspaniała babka. Naprawdę nie wiem, do czego mogę jej być potrzebny.

— Prawdopodobnie do tego samego, do czego byłeś potrzebny Tinie St. Claire — odparła January — i Melbie Delitto, i wszystkim swoim dziewczynom.

Pokręcił głową.

— Seks nie jest dla Dee najważniejszy — popatrzył zamyślony

— mam wrażenie, że chce ode mnie czegoś więcej. Może partnerstwa... jedności... chce być częścią całości. Niewiele wiem o takim życiu.

Proszę jeszcze raz, daj Dee szansę. Gdybyś zobaczyła, ile trudu sobie zadała, aby zorganizować dzisiejszy obiad. Zaprosiła też swego kuzyna, Davida Milforda, by ci towarzyszył.

— Czy David Milford jest również jednym z sześciu najbogatszych ludzi świata?

— Nie, to ojciec Dee miał wielkie pieniądze i...

— I zmarł, gdy Dee miała dziesięć lat — przerwała January. — A pół roku później młoda i piękna matka Dee popełniła samobójstwo, bo nie mogła przeboleć straty męża. Och, tatusiu, w szkole panny Haddon wszystkie czytałyśmy historię życia Dee, ilekroć brała ślub. Czasopisma nazywały ją „samotną małą księżniczką” szukającą wiecznie szczęścia. — Przerwała.

— Brzmi to paskudnie, nie chciałam, żeby tak wyszło. Być może wypadłam z obiegu przez ostatnie trzy lata, ale Deirdre Milford Granger w szkole panny Haddon była niemalże instytucją. Matki niektórych

dziewcząt znały kogoś, kto z kolei znał ją. Tak więc rosłam wiedząc o niej prawie wszystko, oczywiście poza tym, że kiedyś wyjdzie za mojego ojca. Mike słuchał w milczeniu. Potem skinął na kelnera i poprosił o rachunek. January próbowała się uśmiechnąć.

— Przepraszam cię, Mike — powiedziała miękko i dotknęła lekko opuszkami końce jego palców. — Powiedz mi teraz coś o Davidzie. Poznałeś go?

— Och, widziałem go wiele razy — odrzekł powoli. — Jest przystojny, przed trzydziestką. Dee nie miała własnych dzieci. Jej matka i ojciec Davida byli rodzeństwem. Milfordowie nigdy nie doszli do wielkich pieniędzy. Och, powodzi im się dobrze, a w zasadzie bardzo dobrze. — Zapłacił rachunek. — David pracuje w biurze maklerskim i zajmuje się finansami Dee. Jego ojciec jest prawnikiem i ma własną firmę. David jest głównym spadkobiercą Dee i...

— Świetnie — powiedziała cicho January. — A więc zrobiłeś transakcję związaną — dla ciebie dziewczyna, chłopak dla mnie.

Oczy ??? zablęskły gniewem.

— Doskonale! Możesz być pewna, że przede wszystkim jesteś moją córką, zawsze będziesz dla mnie największą wygraną. Po pierwsze, nie przypisałem ci Davida. Myślę, że on sam wie najlepiej, kogo chce poślubić, byłbym jednak cholernym kłamcą, gdybym nie przyznał, że liczę, iż dzięki Dee będziesz miała okazję poznać kogoś z klasą. David ma na pewno mnóstwo przyjaciół, których ci przedstawi. Może w ten sposób spotkasz kogoś, kto ci się naprawdę spodoba, za kogo w końcu wyjdiesz za mąż. Bardzo chciałbym mieć już wnuka, może dwoje, a nawet troje. Oczywiście, że bym tego pragnął. Powiem ci natomiast, czego bardzo bym nie chciał: abyś skończyła jako kobieca wersja mojej osoby.

— To bardzo niedobrze — powiedziała cicho — ponieważ właśnie nią jestem i co więcej, zawsze tego chciałam.

— Dlaczego? — Było to prawie warknięcie. — A jakim to ja jestem przykładem? Nigdy w życiu nie byłem uczciwy wobec kobiet. Zamierzam jednak być fair wobec Dee. Nadchodzi czas, abym zaczął spłacać moje długi, a mam ich w stosunku do ciebie bardzo dużo.

Przez chwilę milczała. Potem powiedziała patrząc w przestrzeń: — Wszystkie długi wobec mnie całkowicie spłaciłeś. Może powinnam dać nam obojgu więcej szczęścia? Mogliśmy spróbować razem. —

Uśmiechnęła się i dodała: — Ale to już przeszłość. Jestem pewna, że polubię Davida Milforda i zrobię wszystko, co tylko w mojej mocy, żeby go oczarować, aby przedstawił mnie swoim wspaniałym przyjaciołom. Tak

więc, przede wszystkim, muszę sobie kupić na dziś coś szalowego.

Nagle przerwała.

— Nie martw się. Wszystko jest przygotowane. Nie, nie tak jak myślisz.

— Sięgnął do kieszeni i wyciągnął kartkę. — Pójdiesz do tego banku i spytasz o pannę Annę Cole. Musisz podpisać parę rzeczy, gdyż są dla ciebie pieniądze w depozycie. W każdej chwili możesz otworzyć tam rachunek bieżący.

— Mike, nie chcę...

— To nie są pieniądze Dee — rzucił oschle. — Twoja matka umierając zostawiła niewielką polisę ubezpieczeniową — piętnaście tysięcy dolarów. Zachowałem je w depozycie dla ciebie. Bogu dzięki, że to zrobiłem... bo jeszcze i przez to musiałbym przejść. Łącznie z odsetkami i wszystkim powinno tam czekać na ciebie mniej więcej dwadzieścia dwa albo dwadzieścia trzy tysiące. A więc idź i wykup całego Bonwita i Saksa. Szli ulicą i zatrzymali się przed hotelem Pierre. Oboje spojrzeli podświadomie w okno, jakby spodziewali się ujrzeć tam Dee. Mike tylko się zaśmiał.

— Gdy wychodziłem, zażyła jeszcze jeden proszek nasenny. A poza tym i bez tego rzadko wstaje przed południem. Och, tu jest klucz do naszego apartamentu. Jesteś zameldowana, zawsze więc sprawdź w recepcji, czy nie ma dla ciebie wiadomości.

January roześmiała się tylko.

— Mike, jesteś w Nowym Jorku jedyną znaną mi osobą, może więc powinieneś przekazać mi jakąś informację.

— Nie muszę. Myślę, że już wszystko wiesz. Odwrócił się i wszedł do budynku.

ROZDZIAŁ TRZECI

Wróciła do hotelu całkiem wykończona. Dochodziła czwarta, ona zaś miała przy sobie tylko jedno duże pudło, a nawet i ten zakup nie przyszedł łatwo. Zupełnie nie miała pojęcia, co włożyć na dzisiejszy obiad u Dee. U Bergdorfa ekspedientka powiedziała jej, że mini jest już niemodne, teraz nosi się m i d i . Z kolei w południe, gdy dziewczęta wyszły tłumnie z biur na lunch, Piątą Aleję zalał potok m i n i , a nawet s u p e r m i n i . Na Lexington Avenue ujrzała indiańskie opaski, dzinsy, spodnie spinane tuż pod kolanami i długie spódnice babuni. Wyglądało to jak maskarada. W końcu zdecydowała się na długą pstrokatą spódnicę i czerwoną dzersejową

bluzkę, które zobaczyła na manekinie w oknie wystawowym Bloomingdale'a. Ekspedientka zapewniła ją, że strój będzie odpowiedni na każdą okazję.

Weszła do hotelu i dla kaprysu zatrzymała się w recepcji pytając, czy nie ma dla niej wiadomości. Ku jej zdumieniu recepcjonista podał aż dwa paski papieru. Podtrzymując pudło między brodą a ramieniem, przywołała windę i zaczęła je studiować. Jedna informacja przyszła o trzeciej, druga o wpół do czwartej. Obie zawierały prośbę, by zadzwoniła pod ten sam numer telefonu do hotelu Plaža i poprosiła o wewnętrzny trzydzieści sześć. Spojrzała na nazwisko na formularzach — adresowane były do niej. Uśmiechnęła się nagle. Oczywiście... zapewne pod tym numerem mieściło się w hotelu Plaža biuro "i??".

Gdy weszła do apartamentu, pokojówka odkurzała właśnie małe nefrytowe słoniątka na kominku. W dziennym świetle salon wyglądał jeszcze piękniej. Słońce igrało na złożonym obramowaniu pokrywy pianina. Było tam mnóstwo zdjęć. Rozpoznała amerykańskiego senatora, Nurejewa, ambasadora i cudowną twarz Karli. Postąpiła nieładnie i przeczytała dziecinny gryzmoł skreślony spłowiałym już atramentem: „Deirdre, na pamiątkę — Karla”. Przyglądała się wystającym kościom policzkowym, przepięknym oczom. Pokojówka podeszła i wyjaśniła: — Z lewej strony stoją trzej książęta i radża. January skinęła głową.

— Patrzyłam na Karłę.

— Tak, jest bardzo piękna — przyznała pokojówka. — A przy okazji, nazywam się Sadie. Cieszę się, że panią poznałam, panno January.

January uśmiechnęła się do niej. Kobieta miała około sześćdziesięciu pięciu lat i wyglądała na Skandynawkę. Jasne, wypłowiałe włosy zaczesywała w maleńki koczek, jej twarz była czysta i błyszcząca, sylwetka szczupła, koścista i silna.

— Panna Deirdre prosiła, abym powiesiła pani ubranie. Pozwoliłam sobie poukładać inaczej w pani szufladach. Kiedy przyjadą pozostałe bagaże?

— Nie przyjadą — odpowiedziała January — mam tylko to, co pani widziała. Doszedł jeszcze ten strój od Bloomingdale'a.

— Zaraz go odprasuję. Panna Deirdre wyszła, ale gdyby pani czegoś potrzebowała, przy łóżku jest przycisk. Ma połączenie z kuchnią i moją sypialnią, usłyszę go więc, gdziekolwiek będę. Nie wiedziałam, czy pani pali, toteż na wszelki wypadek poukładałam we wszystkich kasetkach papierosy. Proszę powiedzieć, jeżeli ma pani jakiś ulubiony gatunek.

— Nie, dziękuję. Myślę, że wezmę kąpiel i odpocznę.

— Jeżeli będzie pani miała jakieś życzenie, proszę koniecznie zadzwonić. Zostawiłam również w pani pokoju najnowsze żurnale. Panna Deirdre sądziła, że mogą się pani podobać. Powiedziała coś w tym rodzaju, że ma pani dużo do nadrobienia.

Potem Sadie wzięła pudło od Bloomingdale'a i wyszła. Nie minęła sekunda, gdy wpadła z powrotem do pokoju.

— Aha, o szóstej przychodzi Ernest. Może będzie pani go potrzebowała.

— Ernest?

— Fryzjer panny Deirdre, przychodzi co wieczór o szóstej.

W tym momencie January przypomniała sobie o kartkach, które wciąż trzymała w ręku. Poszła do sypialni, rzuciła się na łóżko i podała telefonistce numer. Po trzech dzwonekach odezwała się centrala. January poprosiła grzecznie o wewnętrzny trzydzieści sześć.

Przerwa, trzask i inny głos: — Biuro panny Riggs.

— Czyje? — January aż usiadła na łóżku.

— Kto mówi? — zapytał zirytowany głos.

— January Wayne. Kim jest panna Riggs?

— Och, jestem sekretarką panny Riggs. Jedną chwilę, panno Wayne, dzwoniłiśmy do pani. Już łączę.

Znowu trzaski, a za chwilę przeciągłe: — January, czy to naprawdę ty? — Głos był bardzo ugrzeczniwy, arystokratyczny, przymilny i opanowany. January próbowała jakoś go umiejscowić.

— Kto mówi? — spytała.

— Dobry Boże, January. To ja, Linda. Linda Riggs!

— Linda? Linda ze szkoły panny Haddon?

— Oczywiście, a myślisz, że jest jakaś inna Linda Riggs?

— Cudownie. No, to już tyle lat. Jak się masz, Lindo? Jak mnie znalazłaś? Co porabiasz?

— Powinam spytać cię o to samo — śmiała się Linda. — Ale po kolei. Dlaczego twój ojciec potraktował tak pogardliwie Keitha Wintersa?

— Keitha?

— Keitha Wintersa, fotografa.

— Masz na myśli wczorajszy wieczór? (O Boże, czy to było zaledwie wczoraj?)

— Tak. Wysłałam go, by zrobił ci zdjęcie do naszego czasopisma.

— Jakiego czasopisma?

Zaległa cisza, a potem Linda odezwała się z nutką irytacji w głosie: — No cóż, wiesz przecież, że jestem redaktorem naczelnym magazynu „Gloss” i...

— Redaktorem naczelnym!

— January, gdzie ty do licha byłaś? W ubiegłym miesiącu miałam wspaniałe wejście w programie "i???" Douglasa. Następnym razem mam wystąpić u Merva Griffina.

— Ojej, byłam w Europie i...

— Przecież wszyscy wiedzą, ile zrobiłam dla tego czasopisma. Jestem jednym z najmłodszych i najbardziej znanych redaktorów naczelných na świecie. Nie jestem oczywiście Helen Gurley Brown, ale „Gloss” to też nie „Cosmopolitan”. Potrzeba mi tylko trochę czasu, a zrobię z „Glossu” najlepszą rzecz na rynku.

— To cudownie, Lindo. Pamiętam, jak skończyłaś szkołę; miałam wtedy dziesięć lat. Wszystkie oszalałyśmy, gdy zobaczyłyśmy, że jesteś tym... no...

— Młodszym redaktorem — pomogła jej Linda. — W szkole panny Haddon mogło to robić wrażenie, ale to tylko oznaczało niewolniczą pracę. Mój Boże, po szesnaście godzin dziennie ganiałam po mieście. Tropiłam biżuterię nadającą się na kolumnę z modą, parzyłam kawę dla fotografów, biegałam na posyłki dla ludzi z działu artystycznego, zwracałam kolczyk pozostawiony gdzieś przez szefa rubryki z modą. I to wszystko za siedemdziesiąt pięć dolarów tygodniowo. Tylko wiesz, jak się ma osiemnaście lat, to wszystko wydaje się dobrym żartem. Spałam po cztery godziny na dobę i jeszcze miałam siłę chodzić co wieczór na dyskotekę do Le Club. Czuję się zmęczona na samą myśl o tym. A propos, ile masz lat?

— W styczniu skończę dwadzieścia jeden.

— No tak, zgadza się. Ja mam dwadzieścia osiem. To śmieszne, jak to się teraz zrównało. Myślę o wieku. Kiedy miałam szesnaście lat, a ty około ośmiu, nie byłam nawet pewna, czy jesteś człowiekiem. To znaczy, jeśli dobrze pamiętam, byłaś jedną z tych smarkul, które wszędzie w szkole za mną łąziły.

— Myślę, że tak — nie widziała potrzeby, by uświadamiać Lindę, iż nigdy nie należała do jej świty.

— Dlatego wysłałam Keitha Wintersa do hotelu. Gdy dowiedziałam się od Celebrity Service, że wracasz z Europy, pomyślałam, że zamieszczę w „Glossie” twoje zdjęcie z ojcem wraz z miłą historyjką o tym, jak młoda dama "i???" Wayne'a spotyka jego nową damę. Twój ojciec naprawdę przeraził Keitha, ale zdjęcie wyszło dobrze. Jesteś albo bardzo fotogeniczna, albo też stałaś się prawdziwą zabójczą pięknnością. Słuchaj, może wpadłabyś do mnie jutro... powiedzmy około trzeciej. Wymyślę jakiś

artykuł i zrobimy trochę dobrych zdjęć.

— Cudownie będzie się z tobą spotkać, nie wiem, tylko co będzie z artykułem.

— Porozmawiamy o tym jutro. Wiesz, gdzie jest budynek Mosler? Na Pięćdziesiątej Drugiej, niedaleko Madison. Zajmuję trzy piętra na samej górze. Kieruj się do nadbudówki. Do zobaczenia jutro. Ciao.

January napelniła wannę wodą, weszła do niej i zamknęła oczy. Nawet nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo była zmęczona. Myślała o Lindzie, tak brzydkiej, pełnej entuzjazmu, energicznej. Teraz Linda była... no cóż, mówiła jak osoba, która wiele znaczy. January czuła się bardzo zmęczona, usypiała. Miała wrażenie, że spała zaledwie małą chwilę, gdy usłyszała cichy szept Sadie: — Panno January, proszę się obudzić.

Usiadła, woda była letnia. O Boże, już szósta.

— Panna Deirdre mówi, że czas, aby zaczęła się pani ubierać do obiadu

— wyjaśniła Sadie. — Wyprasowałam pani sukienkę i powiesiłam w szafie w sypialni.

Gdy Dee zapukała do niej i wsunęła się majestatycznie, January była już ubrana. Przez chwilę patrzyły na siebie w milczeniu. Potem January z zakłopotaniem wyciągnęła rękę.

— Moje gratulacje. Obawiam się, że wczoraj o tym zapomniałam. Dee przyłożyła policzek do policzka January.

— Myślę, że nikt z nas nie powiedział zbyt wiele wczorajszej nocy. Nie był to najlepszy sposób na poznanie się.

— O Boże...

— Co się stało? — spytała Dee.

— Zapomniałam kupić szlafrok!

— Zatrzymaj szlafrok ?i??'?' — zaśmiała się Dee — ślicznie w nim wyglądałaś. Niektóre kobiety prezentują się wprost fantastycznie w męskich szlafrokach. Niestety, ja do nich nie należę.

January stwierdziła, że Dee jest o wiele atrakcyjniejsza, niż jej się z początku wydawało. Dziś jej włosy, przyprószone lekko siwizną, były uczesane w stylu dziewczyny Gibsona. January wiedziała, że ogromne brylanty, które Dee miała w uszach, są prawdziwe. Wyglądała bardzo kobieco w czarnych szarawarach. January zaniepokoiła się, czy jej kolorowa spódnica jest odpowiednia.

Dee cofnęła się i taksowała ją wzrokiem.

— Podoba mi się... Myślę tylko, że przydałoby się trochę biżuterii.

— Zadzwoń na Sadie, a ta natychmiast się zjawia.

— Przyniesź szkatułkę z biżuterią.

Sadie powróciła z wielką skórzaną kasetką i Dee zaczęła przymierzać January złote łańcuchy. Uparła się, żeby włożyła złote kolczyki w kształcie kółek. („Doskonale pasują do twojej opalenizny. Wyglądasz w nich jak Cyganka.”)

January czuła się przytłoczona czterema łańcuchami, wisiosem z nefrytu w kształcie figi i lwim zębem oprawionym w złoto. Dee pochwaliła się, że sama zabiła tego lwa podczas safari.

— Podoba mi się twój makijaż — powiedziała, gdy podeszła bliżej.

— To twoje własne rzęsy! Fantastyczne! Zachwyca mnie sposób, w jaki wy, młode dziewczyny, malujecie sobie usta. Jakby nie było na nich szminki. A twe włosy... cóż, są przepiękne. Dziś osiągnęłyście to, że nosicie je długie i proste. Gdy ja byłam w twoim wieku, strzygłam włosy i miałam trwałą ondulację zgodnie z tą cholerną włoską modą. To było istne szaleństwo we wczesnych latach pięćdziesiątych. Zawsze mówiłam Ginie, że miałabym chęć ją zabić za wylansowanie tej mody. Moje włosy były zawsze proste i przez to spędziłam chyba połowę życia w lokówkach pod szuszkami. A teraz są modne długie, proste włosy... Ale cóż, trudno pozwolić sobie, by opadały do ramion, gdy się już skończyło trzydzieści pięć lat. Przynajmniej mnie trudno to sobie wyobrazić, choć Bóg mi świadkiem, Karla nie zmieniła fryzury, od kiedy była osiemnastolatką.

— Jaka ona jest?

Dee wzruszyła ramionami.

— Karla jest jedną z moich najstarszych i najdroższych przyjaciółek, choć tylko Bóg raczy wiedzieć, dlaczego tyle lat znoszę jej ekscentryzm.

— W szkole panny Haddon — powiedziała January — wszystkie oglądałyśmy w telewizji jej filmy. Według mnie jest nawet lepsza od Greta Garbo czy Marleny Dietrich, ponieważ porusza się jak tancerka. Wyobraź sobie, mieć na tyle odwagi, by odejść z filmu mając czterdzieści dwa lata i nigdy do niego nie wrócić!

Dee zapaliła papierosa.

— Karla nigdy nie dbała o karierę filmową. Zawsze mówiła, że się wycofa, gdy tylko zgromadzi odpowiednio dużo pieniędzy. Jeszcze do dziś trzyma pierwszą dziesięciocentówkę, którą zarobiła!

— A gdzie jest teraz? — spytała January.

— Podejrzewam, że już wróciła do miasta. Powinna niebawem znaleźć czas i zadzwonić. Ma apartament na East River View. Wspaniały budynek, ale poza kilkoma dobrymi obrazami, które dostała w prezencie od przyjaciół, i paroma dywanami — również prezentami, jej mieszkanie jest prawie nieumeblowane. Karla jest chora, gdy musi wydać pieniądze.

Miała przyjechać do Marbelli. Twój ojciec był rozczarowany, wiem, jak bardzo chciał ją poznać. Mój Boże, od lata bez przerwy była w rozjazdach. Tej wiosny biedny David był uziemiony, gdyż ciągle musiał nam gdzieś asystować. Karla właściwie nigdzie się nie włóczy, ale kocha balet. Nadal trzyma się swych starych zwyczajów z czasów, gdy grała w filmie — o siódmej na nogach, cztery godziny ćwiczeń baletowych, długie spacery i do łóżka o dziesiątej. Chodzi czasami na obiad z kimś z bliskich przyjaciół i uwielbia oglądać telewizję. W gruncie rzeczy gdybyś ją bliżej poznała, stwierdziłabyś, że jest dość ponura. No i są jeszcze te jej zniknięcia, jak na przykład w czerwcu: wyjeżdża rzucając jedynie „do zobaczenia”. Tak między nami mówiąc — Dee ściszyła głos — myślę, że pojechała poprawić sobie twarz. Ostatnio zaczęła jej już trochę wiotczeć. Bóg nie pozwoli, aby coś naraziło na szwank tę polską konstrukcję, która jest nieśmiertelna.

January wybuchnęła śmiechem. — Teraz naprawdę zaczynam się denerwować przed spotkaniem z Davidem.

— Na Boga, czemuż to?

— Jeżeli David ma już dość robienia ci grzeczności i asystowania Karli, to zabawianie mnie dopiero będzie dla niego prawdziwą męką.

Dee uśmiechnęła się tylko.

— Mój mały głuptasku, spójrz lepiej w lustro. Karla jest po pięćdziesiątce, a David ma dwadzieścia osiem lat. — Zgasła papierosa. — No, czas, bym sprawdziła, co robi twój ojciec. Znając go, domyślam się, że na pewno ogląda wiadomości w telewizji i nawet jeszcze się nie ogolił. Dlaczego mężczyźni tak bardzo nienawidzą golenia się dwa razy dziennie? Kobiety przecież co najmniej tyle razy robią makijaż. Aha, jeszcze jedno, powiedziałam wszystkim, także Davidowi, że byłaś w Szwajcarii w szkole, w Instytucie Międzynarodowym; to ekskluzywna uczelnia.

— Ale dlaczego?

— Znasz francuski, prawda?

— Tak, ale...

— Zaufaj mi, kochanie. Nie ma sensu poruszać tematu wypadku.

Dlaczego ktoś ma myśleć, że masz uszkodzony mózg? Niektórzy robią się nieprzyjemni, gdy tylko usłyszą, że ktoś był w sanatorium. A przecież chcemy, abyś poznała właściwe osoby i prowadziła szczęśliwe życie. Dlatego nie powinniśmy robić z siebie upośledzonych jakąś chorobą z przeszłości.

— Ale przecież wstrząs mózgu i połamane kości nie są chorobą...

— Moja droga, wszystko, co ma jakikolwiek związek z mózgiem,

odstrasza ludzi. Pamiętam Kurta... Już miałam za niego wyjść, gdy powiedział mi, że ma w głowie stalową płytkę po wypadku na nartach. — Wzdrygnęła się. — Nie mogłam po prostu znieść myśli, że będę dotykać głowy, w której jest kawałek metalu. Wszystko to za bardzo kojarzyło mi się z Frankensteinem. A poza tym jeżeli ktoś ma kawałek stali w mózgu, to cóż... jej ucisk m u s i w końcu coś spowodować. Zrób więc, jak ci radzę, kochanie. A teraz... poprosiłam Davida, żeby przyszedł dwadzieścia minut wcześniej. Zostań u siebie, dopóki nie przyjdzie. Dam ci znać, kiedy będziesz mogła się zjawić. Trzeba mieć zawsze odpowiednie „wejście”. Ruszyła do drzwi, ale jeszcze się odwróciła.

— Zakochasz się w Davidzie. Wszystkie kobiety się w nim kochają. Nawet Karla widzi w nim coś więcej niż rozrywkę, a ona nie zakochuje się zbyt łatwo. Nie pozwól, aby jego uroda zabiła cię z nóg. Rozegraj to spokojnie i z wdziękiem, który na pewno masz. W końcu twój ojciec posiada go nawet w nadmiarze. — Otworzyła drzwi, ale zatrzymała się w chwili, gdy January miała właśnie opaść na skraj łóżka. — Nie, nie rób tego, nie wolno siadać. Pognieciesz spódnice, a na wejściu trzeba wyglądać bez zarzutu. No, muszę uciekać, Ernest czeka, żeby jeszcze podlakierować mi włosy. Ty zaś pozostań tutaj... dopóki nie nadejdzie czas, byś poznała Davida.

ROZDZIAŁ CZWARTY

O wpół do siódmej David Milford wpadł do swego mieszkania, aby się przebrać. Wcisnął wtyczkę elektrycznej golarki do gniazdko. Do cholery, tak bardzo nienawidził Dee. Mimo to czegokolwiek kuzynka Deirdre zapragnęła, wszystko otrzymywała. W pełni pojął jej potęgę, gdy dostał awans na wiceprezesa w firmie Herbert, Chasin i Arthur. W okresie recesji, gdy wiele przedsiębiorstw maklerskich podupadało, o n awansował. Miał też zapewnioną przyszłość w swej firmie — oczywiście dopóki zajmował się akcjami Dee. Do diabła z Dee! Do diabła też z ojcem za to, że nie miał własnego majątku. Nie, nie chciał tego powiedzieć. Bądź co bądź ten stary człowiek naprawdę ciężko pracował, żeby osiągnąć sto pięćdziesiąt tysięcy rocznego dochodu, ale mając matkę, która musiała mieć własne dziesięciopokojowe mieszkanie przy Piątej Alei, trzy służące i dom w Southampton... cóż, trudno się dziwić, że dla Davida już nic nie pozostanie w spadku. Nikt nie zamierzał zresztą gromadzić pieniędzy, skoro kuzynka Dee miała ich tyle, że starczało dla wszystkich.

Małżeństwo Dee z Mikiem Wayne'em było dla nich szokiem. Matka

wpadła w jedną ze swych największych hysterii — trzy dni łoż i librium. Poprzedni mężowie Dee nigdy nie stanowili dla nich zagrożenia; wszyscy byli w tym samym typie — dobrze wychowani i zupełne zera. Mike Wayne nie był jednak zerem, a jego przeszłość wskazywała, że swe romantyczne związki miał zawsze z dziewczynami o połowę młodszymi od Dee. Najbardziej jednak niepokoiło Davida to, że nie było „rytuału spisywania testamentu”. Zajmował się tym ojciec. Dee miała coś, co rodzina nazywała żartobliwie „luźnym testamentem”. Przed każdym ślubem przychodziła zawsze do biura ojca ze swym przyszłym mężem i sporządzała nowy testament, w którym zapisywała nowemu panu młodemu ogromny majątek. Pisemne potwierdzenie tego faktu małżonek otrzymywał w prezencie w dniu ślubu. Następnego dnia Dee zachodziła ponownie do biura, tym razem już sama, i spisywała nowy testament, w którym pozostawiała swemu mężowi symboliczną kwotę, jeżeli jeszcze będzie jej mężem w chwili jej śmierci.

Dee była już żoną „i???” od miesiąca, a jego nazwisko jeszcze nie figurowało w jej „luźnym testamencie”. Obecnie David, jego ojciec i Cliff (młodszy brat matki, który również pracował w firmie prawniczej) byli egzekutorami jej majątku. Każdy z nich dostałby jedynie z kilkoma milionami, a gros pieniędzy przechodziło na konto Fundacji Granger, której prezesem miał zostać David z pensją stu tysięcy rocznie.

Oczywiście Dee trzymała się świetnie. Mając pięćdziesiąt lat nie jest się jeszcze starą, niemniej ona nie miała poważnych szans, by dożyć złotego wieku. Prasa od lat publikowała obszerne sprawozdania o stałych nawrotach jej choroby. Z początku były omdlenia, których przyczyn, według wyników badań, należało się dopatrywać w szmerach w sercu i chronicznym wysokim ciśnieniu (nie chciała jednak zrezygnować z silnych pigułek odchudzających i upajała się swą wybitnie modną chudością). Było też kilka operacji, kobiece przypadłości i „grypa”, która o mało nie zabiła jej kilka lat temu (w rzeczywistości przedawkowała środki nasenne po jakimś tajemniczym zawodzie miłosnym). Dziwne, lecz David nigdy by nie posądzał Dee o desperackie uczucia. Ale czemu nie? Sam też nigdy by nie pomyślał, że jest zdolny doznawać prawdziwych emocji.

Wyciągnął wtyczkę golarki z gniazdka i wklepał w twarz trochę płynu po goleniu. Powinien spojrzeć na to z weselszej strony. Może na razie Mike, sądząc z testamentu, nie odgrywał roli głównodowodzącego? Może jest naprawdę zakochany w Dee i nie dba o jej pieniądze? Do licha, dopóki Wayne nie stanie się chciwy, dopóty starczy pieniędzy dla całej rodziny. Kłopot jedynie w tym, że ma córkę, która wszystko komplikuje. Nikt nie

wiedział nawet o jej istnieniu do czasu, aż Dee zadzwoniła tydzień temu mówiąc: — Davidzie, kochanie, Mikę ma boską córkę, która przyjeżdża lada dzień. Musisz mi pomóc i trochę się nią zająć. Cieszyłabym się wiedząc, że dba o nią ktoś, kto jest mi bliski. Uważałabym, że robisz mi wielką przysługę.

Przysługę! To był rozkaz.

Jeszcze raz zaklął cicho. Do cholery, tak bardzo nienawidził Dee. Ale, do licha, ostatnio nienawidził wszystkich i wszystkiego. Wszystkich i wszystkiego, co trzymało go z dala od Karli.

Karla! Przez chwilę stał i przyglądał się swemu odbiciu w lustrze. To chyba niemożliwe. On, David Milford, był kochankiem Karli!

Chciał wykrzyknąć to całemu światu, zatrzymywać obcych ludzi na ulicy i mówić o tym. Wiedział jednak, że naczelną zasadą, obowiązującą w ich związku, jest absolutne milczenie.

Karla! Gdy miał czternaście lat, masturbował się przed jej fotografią. Koledzy mieli swe szafki zarzucone podobiznami Doris Day, Marilyn Monroe, Avy Gardner i innych zachwycających dziewczyn lat pięćdziesiątych, dla niego jednak zawsze liczyła się tylko Karla. Mając siedemnaście lat poszedł po raz pierwszy do łóżka z małą dziewczynką o końskiej twarzy i włosach Karli. Potem przez wiele lat często szukał dziewczyn, które miały w sobie coś z Karli. Dopiero gdy dojrzał, zaczął je brać takimi, jakie są za ich indywidualny urok, i obraz Karli osłabł, stając się czymś w rodzaju mistycznego marzenia.

A później, osiem lat temu, natrafił w gazecie na zdjęcie Karli na jachcie Dee. Natychmiast napisał do Dee namiętny list błagając, by go jej przedstawiła. Zignorowała wówczas jego prośbę, David jednak nigdy nie pominął okazji, by ponawiać nalegania, ilekroć tylko spotkał się z Dee. Aż nagle tej wiosny, gdy już się niemalże zniechęcił, Dee zwróciła się do niego niedbale: — Aha, Davidzie, Karla jest w mieście. Czy nie miałbyś nic przeciwko temu, żeby zabrać nas na balet?

Tego pierwszego wieczoru zachowywał się jak idiota.

Przez cały dzień nic nie zrobił w biurze, a gdy wpadł do domu, trzy razy zmieniał garnitur, zanim zdecydował się, w którym będzie mu najlepiej. A potem parę zdawkowych słów prezentacji, mocny uścisk dłoni Karli...

Zdawał sobie sprawę, że stoi gapiąc się na tę wspaniałą twarz, słuchał niskiego głosu, który tyle razy dochodził do niego z ekranu. Tego wieczoru poruszał się jak w transie nie mogąc pojąć, że siedzi obok niej, niezdolny skoncentrować się na balecie nie będąc w stanie zrozumieć, jak Dee może zachowywać się tak obojętnie w obecności tej wspaniałej kobiety. Być

może, gdy ktoś ma tyle pieniędzy co Dee, niewiele jest go w stanie poruszyć. Dla Dee nawet Karla była jeszcze jedną „zabawną” istotą, którą zamyka się w srebrnych ramkach, by dołączyła do ekskluzywnej galerii na pianinie.

Następnego dnia przesłał Karli trzy tuziny róż. Na wizytówce widniał numer telefonu do biura; David dopisał na niej jeszcze swój zastrzeżony numer domowy. Zadzwoiła w ostatniej chwili, gdy już wychodził z pracy. Spokojny, niski głos dziękował mu za pamięć, ale prosił stanowczo, by nigdy więcej tego nie robił, ponieważ jest uczulona na kwiaty. Właśnie je odesłała ze swą służącą. Gdy zaczął się jąkać, wybuchnęła śmiechem i powiedziała: — Zapraszam pana w rewanżu na drinka. Proszę być u mnie dzisiaj o piątej.

Trząś się jak uczeń, gdy naciskał dzwonek. Otworzyła mu sama i przywitała go rozkładając ramiona.

— Mój młodzieńcy wielbiciel. Wejdz, proszę, wejdz i przestań się tak denerwować, ponieważ chcę, żebyś mnie dziś kochał.

Mówiąc to, wprowadziła go do swego mieszkania. Choć nie mógł oderwać wzroku od jej twarzy, był świadomy pustej przestrzeni pokoju. Kilka obrazów, telewizor, duża kanapa, kominek na drewno, który sprawiał wrażenie nigdy nie używanego, schody prowadzące prawdopodobnie na piętro — ale przede wszystkim w całym pomieszczeniu nie czuł żadnego śladu osobowości Karli. Sprawiało niemal wrażenie „wypożyczonego” przez nią. Przez chwilę patrzyli na siebie, potem Karla wyciągnęła ręce i w tym momencie zniknął uczeń. A kiedy ich ciała były blisko siebie, David zrozumiał nagle różnicę pomiędzy seksem a kochaniem. Tego późnowiosennego popołudnia jedynym jego życzeniem było zadowolić ją. A kiedy już to uczynił, jego własna satysfakcja, o dziwo, wydawała się jeszcze intensywniejsza.

Dopiero później, gdy leżeli razem, Karla podała mu „reguły” — Dee nigdy nie może się dowiedzieć. „Jeśli chcesz mnie nadal widywać, nikt nie może o tym wiedzieć.” Oczywiście zgodził się. Przytulił ją mocno, zapewniając o swym przywiązaniu. Słyszał, że mówi: — Jak tylko zechcesz, Karlo. Wiedz, że jestem w tobie zakochany.

Głos drżał jej lekko, gdy westchnąwszy powiedziała:

— Mam pięćdziesiąt dwa lata; jestem za stara na miłość... i o wiele za stara dla ciebie.

— Mam dwadzieścia osiem, nie jestem już chłopcem. Roześmiała się tylko.

— Dwadzieścia osiem lat i tak bardzo przystojny. — Poglaskała go po

policzku. — Bardzo jesteś młody, ale... może będzie nam jakiś czas dobrze ze sobą. To znaczy jeżeli będziesz się odpowiednio zachowywał.

— Jak chcesz, żebym się zachowywał?

— Już ci powiedziałam. Musisz mi jeszcze obiecać, że sam nie będziesz próbował skontaktować się ze mną. Nie dam ci numeru mojego telefonu i nie wolno ci tu też przychodzić bez zaproszenia.

— Jakże więc będę się z tobą widywał?

— Zadzwoń, gdy będę cię chciała. I nie wolno ci mówić o miłości. Nie możesz sobie wyobrażać, że jesteś we mnie zakochany, bo będziesz bardzo nieszczęśliwy.

— Obawiam się — odpowiedział David z uśmiechem — że to się stało, gdy miałem czternaście lat... — Przerwał. Do licha, nie powinien podkreślać różnicy wieku, ale Karla tylko się uśmiechnęła.

— Kochasz tę Karłę, którą widziałeś w kinie. Nie znasz prawdziwej Karli. Przytulił ją mocno. Doznawał uczucia dziwnego podniecenia, gdy czuł na swym ciele dotyk jej małych płaskich piersi i o dziwo, wcale mu nie przeszkadzało, że Karla prawie ich nie ma. Jej ciało było silne i jędrne — ciało tancerki. Czytał, że wcześniej zaczęła ćwiczyć w Polsce balet, że w czasie wojny musiała uciekać do Londynu, gdzie od razu trafiła do filmu, i o tym, jak do tej pory ćwiczy przy drążku po cztery godziny dziennie. Wielokrotnie zmieniała studio z powodu fotografów, którzy dowiedziawszy się, gdzie ćwiczy, czekali, by ją złapać. Słyszał również, że we wczesnych latach hollywoodzkich była lesbijką. Przypomniał sobie to wszystko, gdy trzymał ją w ramionach. Ale te historie były tylko częścią legendy tajemniczej kobiety, którą do dziś wszędzie ścigali fotografowie. W tamtej chwili wydawało mu się jednak, że Karla należy całkowicie do niego. Jej żarliwość i namiętność były tak młodzieńcze! Przywarła do niego, gdy się kochali, ale kiedy było już po wszystkim, kurtyna opadła i powróciła Kar-la-legenda.

To było ostatniej wiosny. Spędzili razem cudowny miesiąc, miesiąc, w czasie którego włóczył się bez celu, czując, że wszystko jest nierealne z wyjątkiem spotkań z Karłą. Miesiąc, podczas którego budził się co dzień rano nie bardzo wierząc, że ten cud zdarzył się właśnie jemu. Było też przygnębienie spowodowane tym, że nie mógł do niej zadzwonić, że w porze lunchu posyłał po kanapki, by nie przegapić jej telefonu, że męczył się cały dzień nad pracą i rozmowami, dopóki w końcu nie zadzwoniła. Aż pewnego dnia nie było telefonu. Starał się nie wpadać w panikę. Być może nie czuła się najlepiej, może miała okres? Do licha, czy pięćdziesięciodwuletnie kobiety mają jeszcze okres?

Na drugi dzień zobaczył w gazetach znajome zdjęcie — Karla na lotnisku Kennedy'ego chowająca przed fotoreporterami twarz. Wyjeżdżała do Europy. Dokładny cel podróży — nieznany. Próbował to sprawdzić na liście rezerwacji, ale oczywiście kupiła bilet posługując się innym nazwiskiem. Pewien przedsiębiorczy reporter twierdził, iż wie od sprzedającego bilety, że poleciała do Ameryki Południowej. Była to oczywiście tylko spekulacja. Odjechała — to wszystko, co David wiedział. Gdy zadzwonił tego wieczoru do Dee, starał się mówić obojętnie. Rozmawiał z nią o akcjach, pogodzie, o planach Dee związanych z pobytem w Marbelli, a gdy w końcu odważył się wspomnieć o zniknięciu Karli, Dee tylko się roześmiała.

— Och, drogi chłopcze, zawsze tak robi. Karla nigdzie nie chce zapuścić korzeni. Dlatego jej mieszkanie jest prawie nie umeblowane. Gdyby było zbyt przyjemne, to mogłaby poczuć, że naprawdę tam mieszka.

— Czy zawsze była taka?

Głos Dee wydawał się znudzony.

— Zawsze. Poznałam Karłę w Kalifornii, była wtedy u szczytu sławy. Moim mężem był wówczas Emery i właśnie wytwórnia Karli zakupiła jego książkę. Emery oczywiście szalał, by ją poznać; do dziś wiele osób to robi, ale możesz sobie wyobrazić jakie to wówczas było szaleństwo. No cóż, Emery miał znajomego reżysera, który z kolei znał Karłę, i pewnego wspaniałego dnia, rzecz jasna specjalnie dla Emery'ego, Karla pojawiła się na niedzielnym brunchu. To było gdzieś w pięćdziesiątym czwartym, Karla była wtedy piękna i u szczytu sławy. Muszę przyznać, że jej wejście wszystkich zelektryzowało. Była aż do bólu nieśmiała... — Dee parsknęła śmiechem i David wyczuł, że temat zaczyna ją wciągać. — Zwróciła się tego dnia w moją stronę, ponieważ ma zwierzęcy instynkt, i on jej podpowiedział, że jestem jedyną osobą w pokoju, która nie jest pod jej wrażeniem. Chyba ją to rozbawiło. Byłam dla niej miła z uwagi na Emery'ego. W tydzień później zaprosiła nas do siebie na drinka. — Dee westchnęła. — Mówimy tu o Falcon's Lair, Sokolim Leżu. To było właśnie coś takiego. Nie w eleganckiej dzielnicy Beverly Hills, ale gdzieś wysoko, na zapomnianych przez Boga wzgórzach, otoczony dwudziestostopowym kamiennym murem, który sama kazała wybudować. Dom był w zasadzie nie umeblowany, wyglądał tak, jakby się do niego dopiero co wprowadziła. Przysięgam, że w holach były jeszcze paki, a przecież mieszkała tam już od pięciu lat. Nikt nie widział reszty domu, ale podejrzewam, że poza salonem i sypialnią, pozostałe pokoje były puste. Karla nie nakręciła filmu według książki Emery'ego. Wiele lat później, gdy

byłam już z nim po rozwodzie, Karla natomiast wycofała się z filmu, spotkałyśmy się i zaprzyjaźniły. Kluczem do jej osobowości są trzy „S” — jest skryta, skąpa i słaba na umyśle! Dopiero gdy to sobie uświadomisz, możesz powiedzieć, że rozumiesz Karłę.

Potem Dee wyjechała do Marbelli, a David próbował wyrzucić Karłę z pamięci. Wrócił do swych dziewcząt, z którymi się wcześniej spotykał. Związał się z Kim Voren, wspaniałą holenderską modelką. Kochała go, ale orzekła, że jest niezadowolającym i egoistycznym kochankiem. To go przeraziło. Zawsze był dobrym kochankiem, lecz gdy myślał o Karli, może czegoś brakowało jego kochaniu. Na domiar złego nadeszły niepokojące wieści o małżeństwie Dee, które wywołały w całej rodzinie panikę i przywołały go do rzeczywistości. Dee była ich zabezpieczeniem, Karla wyjechała i musiał wrócić do codziennych interesów.

Teraz jego uwagę pochłoneła wyłącznie praca. Roztoczył cały swój czar nad Kim i po kilku dniach dziewczyna ochoczo zmieniła opinię na temat jego kochania. Gdy już unormował swe sprawy, był niemalże zadowolony z bezpieczeństwa, które dawała mu pewność, że wie, co przyniesie kolejny dzień. Żadnych dzikich uniesień, ale też brak bolesnych upadków. Żadnego siedzenia i wyczekiwania, aż zadzwoni jego prywatny telefon w biurze.

I właśnie osiem dni temu, w samym środku ożywionej debaty handlowej — telefon. Niski głos z ciężkim akcentem. Wróciła! Dziesięć minut później dzwonił do jej drzwi. Gdy go witała, nie mógł ukryć zdumienia. Wyglądała tak, jakby wyszła z jednego ze swych wczesnych filmów — zaledwie na trzydzieści lat! Wspaniała twarz Karli nie miała śladu zmarszczek, skóra na policzkach była napięta. Zaśmiała się chwyciwszy go za rękę.

— Nie mam zamiaru opowiadać ci, że Karla była na długim wypoczynku — rzekła. — Powiem ci prawdę: tak bardzo byłam już zmęczona moją twarzą, która nie pasowała do mocnego ciała, że musiałam coś z nią zrobić. Pewien wspaniały człowiek w Brazylii...

Nie zadzwoniła jeszcze do Dee i prosiła go, by zachował w tajemnicy jej przyjazd.

— Nie jestem jeszcze gotowa na jej pytania o twarz ani na jej plotki z przyjaciółmi.

Było tak, jakby nigdy nie wyjeżdżała. Widywali się codziennie — albo odwiedzał ją o piątej w jej mieszkaniu, albo chodzili na przedstawienia baletowe lub zagraniczne filmy, po czym wracali do niej i szli do łóżka.

Potem przechodzili do kuchni i oglądali telewizję jedząc befsztyki, które razem przyrządzali. Karla nie trzymała żadnej służby — nie zносиła obcych wokół siebie. Służąca przychodziła co kilka dni o dziewiątej i wychodziła w południe.

Karla uwielbiała telewizję, w każdym pomieszczeniu miała odbiornik. Nie interesowała się aktualnościami, nienawidziła wojny. Filmy wojenne przyprawiały ją o dreszcz grozy. David wiedział, że przeżyła drugą wojnę światową w okupowanym kraju. Nigdy nie chciała o tym mówić i David nie nalegał. Nie miał ochoty przypominać jej, że w trzydziestym dziewiątym, gdy Polska znalazła się pod okupacją, jego nie było jeszcze na świecie.

Skończył się ubierać i popatrzył na zegarek. Szósta czterdzieści pięć. Przeszedł do salonu i przygotował sobie kieliszek martini. Za niecałą godzinę powinien być u Dee, aby poznać tę pasierbicę, którą odziedziczyła. Dopiero wczoraj zaskoczyła go zaproszeniem na obiad. Gdy powiedział o nim wieczorem Karli, uśmiechnęła się tylko i wyjaśniła, że rozumie.

— Nie martw się, zaproszę jutro kogoś ze starych przyjaciół, by zjadł ze mną twój befsztyk.

Nie zadzwoniła dzisiaj, gdyż nie było powodu. Prosiła, by ją odwiedził następnego dnia o zwykłej porze. Gdyby tylko mógł do niej zatelefonować! To było najbardziej frustrujące w ich związku. Jak mógł być mężczyzną, skoro musiał siedzieć jak chora z miłości dziewczyna i czekać na jej inicjatywę? Usiadł wygodnie i sączył powoli drinka, czując dziwny niepokój. Nie był pewny, co go bardziej dręczy — czy to, że nie zobaczy jej dzisiaj, czy też świadomość, że nie wydawała się tym wcale zmartwiona. Teraz męczyła go szalona rozpacz, uczucie, które było mu zupełnie nie znane, dopóki nie poznał Karli. Gdyby tylko mógł zadzwonić i powiedzieć, jak bardzo mu jej brak, że może obiad skończy się wcześniej i mogliby jeszcze dziś być z sobą. Przełknął drinka. To nie do zniesienia, że nie może nawet do niej zadzwonić! Była na tyle przewidująca, że usunęła z telefonu tabliczkę z numerem. To by jej zdaniem ogołociło ich związek z intymności. Jaka intymność! Kochał się z nią, a jej było z nim dobrze. Tylko on był zaangażowany emocjonalnie, ona miała to gdzieś. Ale nieważne. Żył jedynie po to, aby być razem z nią, i właśnie dziś wieczór on musiał odwołać spotkanie z powodu Dee. Dee nie miała pojęcia, co znaczy odwołać coś takiego. Niech to diabli, ależ nienawidzi tej Dee!

Nadal w ponurym nastroju nacisnął dzwonek u drzwi apartamentu

kuzynki. Otworzył mu Mario, szofer Dee i zarazem jej lokaj, gdy była w Nowym Jorku. Powitał go Mike, a Mario zajął się szykowaniem martini. — Dee poprawia jeszcze włosy — powiedział Mike. — Co wieczór przychodzi tu jeden z tych faciów w obcisłych spodniach.

W tym momencie drzwi się otworzyły i do pokoju wpłynęła majestatycznie Dee. Podstawiła Mike'owi policzek, który pocałował z obowiązku, a potem popłynęła do Davida i powiedziała mu, że doskonale wygląda. Z kolei David pocałował ją w policzek i powiedział, iż ona też ślicznie wygląda, po czym usiadł na brzeжку kanapy i wdał się w grzecznościową pogawędkę z Mikiem. Cały czas zastanawiał się jednak, gdzie — do licha — podziewa się córka.

Weszła do pokoju, gdy kończył już prawie martini. Słyszał, że odpowiada na słowa prezentacji i zadaje stereotypowe pytania: „Jak udała się podróż? Czy odczuwa różnicę czasu, o której wszyscy opowiadają?” Zdawał sobie sprawę, że wpatruje się w nią jak idiota. Dobry Boże! Ta dziewczyna była naprawdę świetna.

Słyszał siebie, jak obiecuje zabrać ją do Le Club, Maxwell's Plum, Dały's Dandelion, do tych wszystkich miejsc, których jeszcze nie znała. O Boże, powiedział nawet, że załatwi bilety na Hair. Zapalił papierosa i zaczął myśleć, jak zdoła się wyplątać z tych wszystkich przyrzeczeń, które przed chwilą złożył. Mówił z nerwów. Brakowało mu odwagi, gdyż nie spodziewał się czegoś takiego. Usiadł wygodnie i starał się myśleć racjonalnie. Okay, January była wyjątkowo piękną młodą dziewczyną, ale to jednak nie Karla. Ale co będzie, gdy pewnego dnia Karla znowu wyjedzie? To też musi wziąć pod uwagę. Karla była szaleństwem w jego życiu.

Nagle zdał sobie sprawę, że gapi się bezmyślnie. Musiał koniecznie coś powiedzieć.

— Czy grasz w tryktraka? — spytał.

— Nie, ale chętnie się nauczę — odpowiedziała January.

— To świetnie. Uczenie cię sprawi mi wielką przyjemność.

Skończył drinka. Wspaniale! Teraz będzie ją uczył grać w tryktraka!

Powinien zamknąć buzię i spokojnie popijać martini. Postanowił uczynić konwersację bardziej bezosobową i zaczął opowiadać o turniejach tryktraka w Las Vegas, Londynie i Los Angeles. Dee była rodzinną mistrzynią, zawsze dobrze jej szło. Słyszał, że mówi o rozgrywkach, zakładach... Nagle przerwał. Miał wrażenie, że January nic nie obchodzi tryktraka i słucha tylko przez grzeczność. Coś podobnego! Był kochankiem Karli, a ta młoda dziewczyna wprawiała go w zakłopotanie. To wszystko

przez ten jej niebywały chłód, ten grzeczny uśmiezek, który powodował, że David paplał jak kompletny idiota.

Zadzwoił dzwonek u drzwi i Mario zaanonsował dwie pary, które przybyły razem. David przyłapał się na tym, że wyraził zgodę na jeszcze jedno martini. Wiedział, że nie powinien, ale dziewczyna zbijała go z pantafelku. Zauważył, z jaką nonszalancją poznawała się z nowymi gośćmi. I ciągle ten jej bystry uśmiech...

Spostrzegł również, że w centrum jej zainteresowania znajduje się ojciec. Jej wzrok wędrował za nim i od czasu do czasu mrugali do siebie, jakby dzielili się sobie tylko znanym dowcipem.

Goście Dee prawili January przesadne komplementy. Przyjmowała je spokojnie, lecz David był pewny, że nie robią na niej większego wrażenia.

Nagle uderzyła go myśl, że może on też nie robi na niej specjalnego wrażenia. To było nowe doznanie, jak wówczas, gdy ta Holenderka powiedziała mu, że nie jest nadzwyczajny w łóżku. Czyżby pozwalał Karli pożerać się żywcem, odzierać ze swej osobowości? Przez resztę wieczoru wzmógł wysiłki, by odsunąć od siebie myśli o Karli i skoncentrować uwagę na January. Im dłużej trwał ten wieczór, tym większy ogarniał go niepokój, że być może wcale jej nie zainteresował. W rzeczywistości napawał ją wielkim niepokojem. Po całej „akcji sprzedaży” przez Dee January była przygotowana na to, że David nie spodoba się jej od pierwszego wejrzenia, a tu, wręcz przeciwnie, ujrzała wspaniałego młodego mężczyznę, który wcale nie wyglądał na zadufanego w sobie. January na ogół nie gustowała w blondynach, ale włosy Davida były ciemnobrązowe z rozjaśnionymi słońcem pasemkami. Był opalony i miał brązowe oczy.

Tak, David jej się naprawdę podobał, a ten półuśmiezek, który go tak denerwował, był swego rodzaju maską. W istocie bolały ją już mięśnie twarzy od patrzenia, jak ojciec odgrywa rolę „męża Dee”. Wszyscy — przyjaciele Dee, nawet kelnerzy i maitre d'hotel — swoją postawą dowodzili, że Dee jest dla nich nadal Deirdre Milford Granger, a Mikę tylko jej nowym mężem.

Poszli na obiad do Raffles, restauracji z dyskoteką opodal hotelu Pierre. Dee rozsadziła gości wokół wielkiego, okrągłego stołu; Mikę trafił między dwie panie: jedną była niejaka Rosa Contabla, Hiszpanka w średnim wieku, której towarzyszył młody jugosłowiański artysta wspierany przez nią finansowo; druga kobieta, niezbyt ładna i o sporych gabarytach, miała wielkie diamenty i potężnego męża. Siedział po lewej ręce January i uznał, że wypada zabawiać ją rozmową. Opowiadał nie kończącą się historię o

ich ranczu w Montanie. Z początku udawała zainteresowanie, dopóki nie stwierdziła, że wykrzykniki w stylu „rzeczywiście?” albo „to bardzo zajmujące” w zupełności mu wystarczają. Toczyły się krótkie, urywane rozmowy, wymieniano wspomnienia z wakacji i snuto plany na zimę. Rosa jechała na bezkrwawe safari do Afryki, a potężna dama twierdziła, że jest zbyt zmęczona sezonem w East Hampton, aby nawet myśleć o zimie. Wszyscy pytali Dee, kiedy dokona otwarcia pałacu zimowego w Palm Beach. — W listopadzie mam zamiar luźno potraktować stałych gości. Muszą zrozumieć, że będziemy się szybko zbierać na wszystkie turnieje tryktraka. Oczywiście zawsze tam będziemy w czasie świąt. January na pewno odwiedzi nas w Święto Dziękczynienia i na Boże Narodzenie, myślę jednak, że większość czasu spędzi w Nowym Jorku, oddając się zabawnej pracy.

Zabawnej pracy? Zanim January zdażyła przemówić, wielki mężczyzna zapytał: — Nie chcesz chyba powiedzieć, że ta czarująca istota ma zamiar pracować?

Dee uśmiechnęła się do niego.

— Stanford, nic nie wiesz. Dziś młodzi ludzie chcą coś robić.

— Och, nie — jęknął Stanford — nie mów mi, że ona należy do tych, którzy pragną zmienić świat, zwrócić ziemie Indianom albo urządzają pochody domagając się równouprawnienia dla kobiet i czarnych.

— A co z tymi religijnymi świrami, którzy malują sobie twarze i gołą głowę? — wtrąciła wielka dama. — Widziałam taką grupę, jak waliła w tam-tamy i śpiewała szanty na Piątej Alei przed pomnikiem Doubledaya.

— Nie są gorsi od tych dziwacznych typów z miasteczek studenckich, których pokazują w kronikach filmowych — wtrąciła Rosa. — Oni również maszerują. Objęci wespół, chłopcy i dziewczęta, i gdyby nie piersi, nie zgadlibyście, kto jest kim.

— Och, to mi przypomina... — wielka kobieta pochyliła się nad stołem. Wszyscy wiedzieli, że usłyszą teraz plotkę. — Pressy Matthews n i e pojechała do żadnego uzdrowiska. Jest w jakimś sanatorium w Connecticut w stanie kompletnego rozstroju nerwowego. Ponoć jej córka uciekła w lecie z jakimś żydowskim chłopakiem. Kupili używaną ciężarówkę, załadowali ją prowiantem, zabrali ze sobą wielkiego kundla i wyruszyli przez kraj, zatrzymując się w różnych komunach. Psychiatra radził Pressy, żeby była tolerancyjna, gdyż mała Pressy przechodzi coś w rodzaju wewnętrznego buntu. Tylko że ona nie wróci do nich tej jesieni, będzie miała dziecko z tym żydowskim chłopakiem i nie pobiorą się, dopóki nie urodzi dziecka, bo mała Pressy chce, żeby było na ślubie. No,

możecie to sobie wyobrazić! Duża Pressy jest po prostu załamana. Starają się wszystko utrzymać w tajemnicy, nawet to, że jest w sanatorium... A więc niech to pozostanie między nami.

— Na szczęście — odezwał się wielki mężczyzna — młodzi ludzie to nie tylko gitary i hard rock. Popatrzcie na January.

Wszyscy zaczęli szeptać, że January jest naprawdę piękną, a poza tym, jak zaznaczyła Dee, studiowała za granicą. Rosa spytała o kierunek studiów, na co Dee odpowiedziała szybko: — Języki, January mówi płynnie po francusku.

Potem uwagę gości zajęła opowieścią o pewnym miłym przedszkolu, w którym maluchy błyskawicznie uczą się języków obcych.

January patrzyła, jak ojciec trzaska uprzejmie swą złotą zapalniczką Dunhilla, ilekroć któraś z dam, siedzących obok niego, sięga po papierosa. Kiwał nawet głową i uśmiechał się słuchając opowiadania jugosłowiańskiego artysty. Wyraźnie spłacał rachunki. Przyglądała się, jak przekrzywiał swą piękną głowę, przybierając pozę osoby zasłuchanej w przeskakującą z tematu na temat wielką kobietę. Raz podchwycił jej wzrok i ich oczy się spotkały. Mrugnął porozumiewawczo, a ona zdobyła się na uśmiech; potem znowu powrócił do pracy.

Nagle usłyszała, jak Dee mówi: — January będzie zachwycona.

January będzie zachwycona? Nawet na chwilę nie można się wyłączyć z tej rozmowy.

Dee z uśmiechem opowiadała szczegółowo o przedszkolu: — Chodzi o to, by zacząć uczyć brzdąków wcześniej, to będą dwujęzyczne. Dlatego Mary Ann Stokes wywołała taką sensację swoją La Petite Ecole. Chodziłam razem z Mary Ann do Smith College. Biedna dziewczyna, zachorowała na polio już na pierwszym roku. Potem jej rodzina straciła cały majątek. Bez pieniędzy, z uschniętą ręką... no cóż, szanse biednej Mary Ann na przyzwoite małżeństwo były oczywiście żadne. Gdy więc kilka lat temu postanowiła stworzyć tę szkołę, zgodziłam się poprzeć ją finansowo — teraz jest właściwie samowystarczalna.

— Och, Dee, kochanie — zagrzmiała wielka kobieta — jesteś taka skromna! Przez te wszystkie lata nawet nie wiedziałam, że wsparłaś Mary Ann. Ta szkoła jest boska, chodzi tam córka mojego bratanka.

Dee pokiwała głową.

— Oczywiście, gdy tylko powiedziałam jej, że francuski jest drugim językiem January, od razu się zgodziła. W końcu to część założenia — piękne, eleganckie dziewczęta uczące maluchy. Będą uwielbiać January.

— Mam uczyć? — January czuła, że głos jej się załamał. David

obserwował ją uważnie.

— Kiedy zaczyna? — spytał. Dee znowu się uśmiechnęła.

— Cóż, tak jak powiedziałam Mary Ann, że dwa tygodnie zajmie mi skompletowanie garderoby January. Myślę, że skończymy na początku października. Mary Ann przychodzi jutro na herbatę, to ustalimy dokładny termin.

Muzyka z rockowej przeszła w standardy. January spojrzała na "i???"; ich oczy się spotkały. Skinął lekko głową i wstał, ale w tym samym momencie podniosła się Dee.

— Och, Mike, bałam się, że nie będziesz pamiętać. Grają naszą piosenkę. Mike był trochę zaskoczony, ale zdobył się na uśmiech. Zanim ruszyli na parkiet, Dee odwróciła się do towarzystwa przy stoliku.

— Trzy monety ?? fontannie. Grali to w małej restauracyjce w Marbelli w dniu, kiedy się poznaliśmy.

Wszyscy patrzyli, jak odchodzą. Nagle David wstał i puknął delikatnie January w ramię.

— Hej, jesteś tu ze mną. Zaprowadził ją na parkiet.

Tłok uniemożliwiał w zasadzie taniec; poruszali się wśród innych par. David przycisnął ją mocno i szepnął: — Niedługo to się skończy, wtedy się stąd urwiemy.

— Obawiam się, że nie będę mogła. — Popatrzyła na ojca, który mówił coś właśnie na ucho Dee.

— Sądzę, że lepiej będzie, jak się zgodzisz—powiedział spokojnie. Po skończonym tańcu odprowadził ją do stolika. Podano właśnie kawę i drinki. Jeszcze trochę porozmawiano i wreszcie wieczór zbliżał się ku końcowi. Wszyscy zaczęli wstawać i opowiadać Dee, jak było wspaniale.

— Zabieram jeszcze January na drinka przed snem — powiedział David. Potem podziękował szybko Dee i Mike'owi i zanim January zdążyła zaprotestować, byli już w taksówce jadącej w stronę Le Club.

W lokalu był ścisk i głośnie muzyka. David znał tam prawie wszystkich. Przy barze stało kilka zaprzyjaźnionych par i David zaproponował, aby się do nich przyłączyli.

— Nie zamierzamy pozostać tu długo, nie potrzebujemy więc stolika. January przyjmowała zaproszenia, tańczyła z różnymi kolegami Davida. Łańcuchy Dee ciążyły jak kotwica, lecz wydawało się, że wszystkie dziewczęta na parkiecie noszą takie same. Niektóre miały ich nawet dwa razy tyle, a wcale nie wydawały się przytłoczone ciężarem. Długie włosy dziewcząt rozwiewały się przy każdym ruchu, a łańcuchy pobrzękiwały w

rytm muzyki. Właśnie jakiś zniewieściały chłopak ciągał ją po całym parkiecie i namawiał, żeby się z nim jutro spotkała. Starła się grzecznie wykręcić, gdy rozłączył ich David.

— Muszę cię uwolnić od Neda — powiedział. — To pedał, ale uważa, że powinien zaliczyć każdą piękną dziewczynę, by udowodnić, że jest inaczej.

Muzyka zmieniła jakimś cudem rytm. Zaczęto grać utwory Bacha-racha — piosenki Davida. Zbliżyli się do siebie. Wyczuł widać, że January się odprężyła, gdyż szepnął: — Też lubię taką muzykę. Większość tych płyt mam w domu.

Skinęła głową i poczuła, że ręka Davida gładzi jej kark.

— Chciałbym pójść z tobą do łóżka — powiedział.

Nadal tańczyli. January nie mogła wprost uwierzyć w praktyczny ton, jakim to rzucił. Żadnych żarliwych błagań w stylu Franca, żadnych obietnic, po prostu — stwierdzenie faktu. Czy należało się obrazić słysząc takie słowa na pierwszej randce? W czasach, gdy chodziła do szkoły panny Haddon, na pewno tak. Ale to nie szkoła, lecz Le Club, David zaś był rozchwytywanym, bywałym w świecie mężczyzną. Poza tym sposób, w jaki to powiedział... Nie było to pytanie, a niemal komplement. Uznała, że brak odpowiedzi będzie najlepszym wyjściem.

Gdy wrócili do baru, włączył się do rozmowy i wszystko wydawało się obojętne i bezosobowe. Mówili o nowościach wydawniczych, dziewczęta opowiadały o wakacjach, o tym, że „sezon” już się naprawdę zaczął, o kosztach podłużenia futra sobolowego, gdyż „Women's Wear” pisał, iż mini na pewno nie wróci do mody...

January uśmiechała się i udawała zainteresowanie, w gruncie rzeczy jednak poczuła się nagle bardzo zmęczona. Odetchnęła z ulgą, gdy David skończył drinka i zaproponował, by już wyszli. W taksówce budowała solidną zaporę z rozmowy: o tym jak bardzo podobał jej się Le Club, jak mili wydają się jego przyjaciele, dlaczego muzyka jest tak głośna. Nie przestawała mówić, dopóki nie zobaczyła fasady hotelu Pierre. David poprosił szofera, by nie kasował licznika, i odprowadził ją do drzwi.

— Cudownie się bawiłam — powiedziała.

— Jeszcze nie raz będziemy się cudownie bawić — odrzekł David. A potem, bez żadnego ostrzeżenia, przyciągnął ją do siebie i obdarzył długim pocałunkiem. Poczula język wciskający się między jej wargi. Wiedziała, że odzwrotny patrzy taktownie w inną stronę. Ku swemu przerażeniu poczuła to samo obrzydzenie, które odczuwała zawsze, gdy tylko jakiś mężczyzna starał się ją pocałować. Potem David zwolnił uścisk i

uśmiechnął się do niej. — Będzie nam ze sobą wspaniale, czuję to. — Następnie odwrócił się i poszedł do taksówki.

Gdy weszła do apartamentu, Mikę i Dee stali nad planszą do tryktraka.

— Pobitem ją! — zawołał Mikę. — Po raz pierwszy ją pobitem!

— Złamał wszelkie zasady — wycedziła przez zęby Dee. — Miał po prostu niebywałe szczęście w rzucaniu kostką.

- Zawsze łamię zasady — śmiał się szeroko Mikę.

Dee skoncentrowała całą uwagę na January.

— Czy David nie jest boski? — spytała. Mikę wstał.

— Skoro wy, babki, rozpamiętujecie wieczór, ja idę po piwo. Przynieść wam coś? Może colę, January?

— Nie, dziękuję. — Zaczęła zdejmować biżuterię.

Gdy tylko Mikę wyszedł z pokoju, Dee spytała: — Czy nie miałam racji co do Davida? Jest piękny, prawda? Kiedy znowu się z nim spotkasz?

Nagle January uświadomiła sobie, że właściwie wcale się z nim nie umówiła. Podała Dee kolczyki i zaczęła zdejmować łańcuchy.

— Chciałabym ci podziękować za biżuterię.

— Kiedy indziej. Opowiedz mi teraz o Davidzie. Gdzie poszliście?

— Do Le Club.

— O, to zabawne miejsce. O czym wy, dwoje młodych ludzi, rozmawialiście ze sobą?

January wybuchnęła śmiechem.

— Dee, nikt nie rozmawia w Le Club, chyba że zna język migowy.

Tańczyliśmy, poznałam mnóstwo jego przyjaciół.

— Tak się cieszę, David zna wielu odpowiednich młodych ludzi.

— Dee, muszę pomówić z tobą o dzieciach.

— O jakich dzieciach? — Mikę wszedł właśnie do pokoju.

Dee powędrowała z powrotem do stolika, przy którym grali w tryktraka.

— Och, mamy z January pewien plan. A teraz, Mikę, przygotuj planszę.

Zanim się położymy, muszę z tobą jeszcze wygrać, aby udowodnić, że nie masz pojęcia o tryktraku. Zmykaj do łóżka, January. Zostało nam na jutro jeszcze dużo plotkowania.

January posłała ojcu całusa i wsunęła się do sypialni. Przez chwilę patrzyła na zamknięte drzwi. Mikę Wayne grający w tryktraka! Pomyślała o Davidzie. Być może uważał powiedzenie: „Chciałbym pójść z tobą do łóżka” za komplement, a ona podeszła do tego tak po staroświecku. W końcu nie próbował jej obłapiać ani nie powiedział tego w jakiś obleśny sposób.

Jednak to nie było w porządku! A może było? Wiele się zmieniło od

czasów szkoły panny Haddon — Mike, cały świat, może nadszedł czas, by i ona się zmieniła?

David był tak miły i przystojny. Może go do siebie zniechęciła? Może wyczuł, że zeszywniała, gdy to powiedział? A potem pocałował ją na dobranoc. Tylko że nie zareagowała zbyt ochoczo. Może tego nie zauważył.

A może zauważył? Nie zaproponował jej spotkania. Przypuszczalnie po prostu zapomniał. Ona też nie zwróciła na to uwagi, dopóki Dee jej nie przypomniała.

Zadzwoił telefon. Rzuciła się w jego stronę tak żywo, że mało nie strąciła lampy.

— Cześć, maleńka — usłyszała przytłumiony głos ?i??".

— Och, cześć, tatusiu.

— Dee jest w łazience; myślę, że mamy parę spraw do omówienia. Co powiesz o spotkaniu na kawie w salonie jutro o dziewiątej?

— Okay.

— I nie bądź taka ponura. Obiecuję ci: nie będziesz uczyć żadnych dzieci.

— Och — zdobyła się na lekki uśmiech.

— Pamiętaj, że zawsze jestem, by wszystko załatwić, dobrze?

— Dobrze.

— Dobranoc, kochanie.

— Dobranoc, tatusiu.

Gdy weszła rano do salonu, Mike siedział na sofie, popijał kawę i czytał „Timesa”. Bez słowa napełnił jej filiżankę.

— Sadie przygotowuje wszystko, zanim położy się do łóżka — powiedział. — Dee zwykle śpi do południa, toteż nie ma tu za wiele krzątaniny wokół śniadania.

— Zawsze wstajesz tak wcześnie? — spytała.

— Dopiero odkąd ty tu jesteś.

Usiadła i zaczęła popijać małymi łykami kawę.

— Mike, musimy porozmawiać.

— A jak myślisz, po co ja tu, do licha jestem? — zapytał z uśmiechem.

— Mike, posłuchaj — wpatrywała się w swą filiżankę — ja...

— Nie chcesz uczyć w La Petite Ecole.

— Wiedziałaś o tym? — popatrzyła na niego.

— Dowiedziałem się równocześnie z tobą. Ustaliłem wczoraj wieczorem z Dee, że nie ma mowy o La Petite Ecole. Co dalej?

— Nie mogę tu mieszkać. Zmrużył oczy.

— Dlaczego?

Wstała i podeszła do okna.

— Zobacz, widać stąd moje wzgórze. Jest na nim wielki francuski pudel i...

Podszedł do niej.

— Dlaczego nie możesz tu mieszkać? Zmusiła się do uśmiechu.

— Może dlatego, że nie potrafię się tobą dzielić.

— Daj spokój, wiesz dobrze, że nie dzielisz mnie z nikim. To, co jest między nami, należy wyłącznie do nas.

— Nie—pokręciła głową — to się nie uda. Nie mogę patrzeć, jak...

— przerwała. — Zapomnijmy o tym.

— Na co nie możesz patrzeć? — spytał cicho.

— Ja... nie mogę patrzeć, jak... jak grasz w tryktraka.

Przez chwilę milczeli. Mikę spoglądał na nią i próbował się uśmiechnąć.

— To nie jest wcale zła gra... naprawdę. — Wziął ją za rękę.

— Zobacz, z myślą o tobie Dee dokonała zmian w sypialni — nowe tapety, specjalne wieszaki do szaf i tym podobne rzeczy. Sądzę, że zrobisz jej wielką przykrość, jeżeli nawet nie spróbujesz. Poza tym na początku listopada jedziemy do Palm Beach. Przez pół roku cały ten apartament będzie tylko twój. Spróbuj, choć na trochę. Jeżeli potem zechcesz się wyprowadzić — w porządku, ale przynajmniej spróbuj, proszę.

Udało jej się uśmiechnąć.

— Dobrze, Mikę.

Odszedł i nalał sobie jeszcze jedną filiżankę kawy.

— Co myślisz o Davidzie?

— Myślę, że jest... no... sprawia miłe wrażenie. — Podchwyciła jego zdziwione spojrzenie. — Chciałeś, żeby mi się spodobał, prawda?

— Pewnie, ale podejrzewam, że jestem jak większość ojców. Wiem, że któregoś dnia się zakochasz, chcę, żebyś się zakochała, ale kiedy dowiem się o tym, prawdopodobnie znienawidzę ten pomysł

— zaśmiał się. — Nie zwracaj na mnie uwagi, nigdy nie mam rano dobrego humoru. Powiedz mi, jaki masz na dziś rozkład dnia. Chcesz zjeść ze mną lunch?

— Z rozkoszą... ale kiedy indziej. Muszę kupić trochę ubrań. David powiedział, że sklepy, które mogą mi się podobać, są na Trzeciej Alei. Biorę na nie kurs, a potem o trzeciej mam spotkanie z Lindą Riggs.

— Z jaką Lindą Riggs?

— Dziewczyna ze szkoły panny Haddon. Ta, o której myśleliśmy, że zostanie gwiazdą filmową. To znaczy wszyscy tak myśleli z wyjątkiem ciebie. Jest redaktorem naczelnym magazynu „Gloss”.

— Okay, zajmie ci to cały dzień. Dee zaprosiła dziś na siódmą kilka osób na koktajl, potem idziemy wszyscy do klubu „21”. Chcesz do nas dołączyć, czy już się umówiłaś z Davidem?

January wybuchnęła śmiechem.

— Wczoraj poszliśmy do Le Club, był straszny tłok, głośna muzyka... David zna tam wszystkich, nie dało się wcale rozmawiać. I... no... po prostu zapomnieliśmy się umówić. To wariactwo, nie?

Mike zapalił papierosa.

— Nie wściekaj się na niego, to się zdarza. — Zamilkł na chwilę. — Posłuchaj, maleńka, podejdź do tego spokojnie.

— Mike, przecież chciałeś, żeby mi się spodobał? Coś cię gryzie? Co takiego?

— No cóż, dopiero teraz widzę, że jesteś w piekielnie niebezpiecznym punkcie. Wróciłaś... Nowy Jork jest obcy... ja mam nową żonę... nie wszystko jest dla ciebie jasne... Stanowisz łatwy łup dla pierwszego lepszego atrakcyjnego faceta, który się nawinie. Oczywiście chciałbym, żeby David ci się podobał, pamiętaj jednak, że w mieście jest wiele pięknych babek, a David to dobra partia.

— No i?

— Cóż, być może wcale nie zapomniiał umówić się z tobą. Może jest już dziś zajęty.

— Mike, ty coś wiesz. Wstał i podszedł do okna.

— Nic nie wiem. W zeszłym tygodniu widziałem, jak wychodził z Karłą z kina. Muszę przyznać, że zrobiło to na mnie ogromne wrażenie, ponieważ Karla jest kobietą, którą naprawdę pragnę poznać. Nie zaprzętałbym sobie tym głowy, gdybym nie spotkał go dwa dni temu na Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy. Stał przed Carnegie Hall. Dee powiedziała mi, że Karla wynajmuje tam studio. I oczywiście Karla zeszła i poszli razem. Nie widział mnie, a ja nie wspominałem o tym Dee.

— Chcesz mi powiedzieć, że David chodzi z Karłą?

— Chcę ci też powiedzieć, że w jego życiu jest przepiękna holenderska modelka, Kim Voren. W tym miesiącu jej zdjęcie jest na okładce „Vogue”. Może ci się wydawać, że podajemy ci Davida na srebrnym półmisku. Dee rzeczywiście by tego chciała, ale David ma własne życie i nie chciałbym, żebyś cierpiała. Chciałbym rzucić ci do stóp cały świat. Wczoraj wieczorem dużo myślałem, może dlatego, że po raz pierwszy spojrzałem na ciebie jak na przepiękną dziewczynę na randce, wspaniałą, nieodporną na zranienie dziewczynę. Nie chciałbym, abyś siedziała beczynnienie i czekała na telefon tego faceta.

— Wcale nie mam zamiaru. Chcę pracować.

Odszedł, nalał sobie kolejną filiżankę kawy i zapalił nowego papierosa.

— Co chcesz zrobić? Wzruszyła ramionami.

— Do tej pory myślałam zawsze, że będę pracować, tak jak ty, w show businessie. Właściwie zawsze czułam, że byłam w nim całe życie. Myślę, że mogę grać, ale nie mam doświadczenia. Zdaję sobie sprawę, że niełatwo jest teraz o pracę, ale jest jeszcze off Broadway. Może powinnam spróbować jako asystentka reżysera albo dublerka czy statystka... cokolwiek. Co do jednego Dee miała na pewno rację: rzeczywiście chcę coś zrobić.

Mikę spoglądał w zamyśleniu.

— Większość producentów i reżyserów, których znam, siedzi teraz na Wybrzeżu. Jeśli chodzi o off Broadway, to jest to cała nowa generacja. Wiesz, co zrobić? Zadzwoń do agencji Johnsona Harrisa. To piekielnie dobra kuźnia talentów. Sammy Tebet jest tam wiceprezesem odpowiedzialnym za sprawy filmowe. Ma wobec mnie pewne długi wdzięczności, poproszę go, żeby cię zarekomendował temu, kto zarządza działem dramatycznym. — Popatrzył na zegarek. — Spróbuję ich złapać gdzieś za godzinę.

— Wspaniale, może zechcą mnie zobaczyć już jutro. — Wstała. — No, a teraz idę wykupić cały Nowy Jork, tak jak radziłeś mi wczoraj.

— Tylko że dziś jesteś w stanie faktycznie to zrobić — powiedział z uśmiechem.

Pokiwała głową.

— To najlepszy dowód, co może z człowieka uczynić dobrze przespana noc.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Piąta Aleja była zupełnie nowym światem. January zostawiła w hotelu pudła wyładowane spodniami, długimi spódnicami, koszulami, kombinezonami. Ubrania zajęły większość ciężkich mosiężnych wieszaków, które Dee umieściła w szafie. Teraz jej garderoba była tak odjazdowa jak każdej innej osoby w Nowym Jorku.

Redakcja magazynu „Gloss” była wytwórnią ekstrawaganckich ciuchów i frenetycznego ruchu. Recepcjonistka zaanonsowała ją i wskazała drogę przez długi korytarz. Ludzie stali w grupkach i studiowali plany, młodzi mężczyźni nosili teczkę z projektami graficznymi, dziewczęta spieszyły ze szkicami. Jasne oświetlenie, imitujące światło dzienne, zalewało

większość pokoiów pozbawionych okien. Wszystko wyglądało nowocześnie, począwszy od szczupłych, długowłosych dziewcząt w ciemnych okularach, do młodych chłopaków z dobrze przyciętymi brodami. January cieszyła się, że ma na sobie jedno ze swych nowo kupionych ubrań.

Zatrzymała się na końcu korytarza przed dużymi, polakierowanymi na biało drzwiami z nazwiskiem LINDA RIGGS wypisanym imponującymi drukowanymi literami wyciętymi z drewna. Sekretarka, siedząca w maleńkiej kabince na zewnątrz, wprowadziła ją do wspaniałego narożnego gabinetu z oknami od podłogi po sufit. Za biurkiem siedziała piękna młoda kobieta. Podtrzymywała ramieniem słuchawkę telefonu i słuchając sporządzała notatki. Pomieszczenie było kolorowe i nowoczesne. Białe ściany, pomarańczowe dywany na polakierowanych na czarno drewnianych podłogach, obrazy wyglądające jak kolorowe testy Rorschacha, białe skórzane krzesła, czarna pluszowa kanapa, stoły z pleksiglasu i wszędzie egzemplarze „Glos-su”. Pomimo dekoracji w biurze czuło się atmosferę pracy. January usiadła i czekała, aż kobieta oderwie się od telefonu. Nie była w stanie wyobrazić sobie Lindy, o zmierzwionych włosach i śmiesznej twarzy, w tej eleganckiej scenerii. Kobieta przy telefonie uśmiechnęła się, dając do zrozumienia, że próbuje skończyć. January odpowiedziała uśmiechem oznaczającym, że rozumie, i zaczęła oglądać rękopisy piętrzące się na parapecie. Na stole były porozkładane egzemplarze „Ladies' Home Journal”, „Cosmopolitan”, „Vogue” i innych magazynów, z którymi konkurował „Gloss”.

Wreszcie kobieta oderwała się od telefonu.

— Bardzo przepraszam, ta rozmowa nie miała końca.

Potem spojrzała na January i uśmiechnęła się do niej: — Faktycznie jesteś prawdziwą piękną, ale nic w tym dziwnego, skoro twoim ojcem jest Mikę Wayne.

January uśmiechnęła się uprzejmie, ciekawa, gdzie jest Linda. Ta wymuskana, atrakcyjna nieznajoma przyglądała się jej, jakby była jakimś rzadkim okazem. Wstała więc i powiedziała: — Miałam się spotkać z panną Riggs o trzeciej i...

Kobieta wybuchnęła śmiechem.

— January, a kim według ciebie ja jestem?

January popatrzyła zdezorientowana, Linda jednak tylko się śmiała.

— Zapomniałam, dobry Boże. Ile to lat?... Około dziesięciu — odzyskała wreszcie mowę January.

— Faktycznie — pokiwała głową Linda. — Chyba nie sądziłaś, że zamierzam do końca życia pozostać przy swojej twarzy? Aparat poszedł precz, doszło kilka koronek i oczywiście robota przy nosie — to był mój prezent z okazji ukończenia szkoły. No i zrzuciłam około dwudziestu funtów tego, co zwykle się nazywać dziecięcym tłuszczem...

— To nie do wiary — powiedziała January. — Lindo, jesteś piękna. To znaczy... byłaś zawsze tak silną osobowością, że wszystkim wydawałaś się piękna, ale...

— Byłam brzydula, zanim stało się to popularne, a teraz, gdy mam to już za sobą, brzydota weszła w modę. Przysięgam, że czasami chciałabym mieć z powrotem swój dawny nos. Nawiasem mówiąc, Keith nic nie wie o sprawie nosa, zębach, ani o niczym. — Wcisnęła klawisz i z aparatu na biurku doszedł głos recepcjonistki. — Normo, gdy przyjdzie Keith Winters, przyślij go od razu. — Potem zwróciła się do January: — Lepiej gdybyś miała na sobie coś bardziej kolorowego. Jestem zachwycona twoimi spodniami i tym boskim zamszowym żakietem, ale wszystko jest takie beżowe, a Keith przychodzi ze stosami kolorowych filmów.

— Lindo, nie przyszłam tu po to, żebyś mnie fotografowała, chciałam cię tylko zobaczyć, usłyszeć wszystko o tobie i twoim czasopiśmie. Myślę, że jest po prostu fantastyczne.

Linda wstała od biurka i usiadła na kanapie. Sięgnęła do dużej szklanej czary po papierosa.

— Poczęstuj się. Znajdziesz tu chyba wszystkie gatunki... poza trawką.

— Nie palę.

— Też bym chciała. Jak ci się udaje utrzymać taką figurę bez papierosów? Czasami martwię się tymi opowieściami o nowotworach, ale mówią, że kobiety przed klimakterium mają jakiś tajemniczy składnik, który je chroni. A propos klimakterium, opowiedz mi o Deirdre Milford Granger.

— Jest teraz panią Wayne.

— Oczywiście — uśmiechnęła się Linda. — Bardzo bym chciała mieć artykuł o niej i o twoim ojcu. Zaspokajamy gusta dwudziesto— trzydziestoletnich czytelników, ale każdy uwielbia czytać o prawdziwych, ohydnych bogaczach. Kilkakrotnie ponawiałam próby, lecz zawsze nam odmawiała. Dlatego tak bardzo bym chciała napisać o tobie. To by naprawdę porwało naszych czytelników. Dziwię się, że nie dopadła cię jeszcze Helen Gurley Brown czy Lenore Harshey. Chociaż jest to temat bardziej dla „Cosmo” niż dla „Ladies' Home Journal”. Założę się, że przez Helen Gurley Brown będę musiała złożyć wizytę mojemu psychoanalitykowi.

— Dlaczego?

— Bo ma takie cholerne powodzenie. Wszystko zaczęło się od artykułu o tym, jak jakaś panna złowiła boskiego męża. A najbardziej szalone jest to, że teraz nikt się nie żeni... z wyjątkiem ludzi w starszym wieku. W każdym razie to będzie moja przynęta. Tematy same nie wchodzi w ręce, musisz je znaleźć, być pierwsza. Dlatego jestem w redakcji od ósmej rano do ósmej wieczorem. To nie jest łatwe, ale nie mam innego wyjścia, ponieważ chcę, żeby „Gloss” przebił „Cosmo”, żeby pewnego dnia przebił ich wszystkich.

— Nie wierzysz w małżeństwo? — spytała January.

— Pewnie, że nie. Mieszkam z Keithem i jesteśmy niebiańsko szczęśliwi. Żyjemy dniem dzisiejszym, gdyż nic nie jest na zawsze... nawet życie.

— Jest fotografikiem?

— Tak naprawdę to jest aktorem — uśmiechnęła się Linda. — Dorabia jako fotografik. Daję mu, co tylko mogę. Jest cholernie dobry. Oczywiście nie jest Halsmanem czy Scavullem, ale mógłby być, gdyby wyłącznie temu się poświęcił, tyle że on postanowił być Marlonem Brando lat siedemdziesiątych. Jest naprawdę cudowny. Widziałam go w Tramwaju, przedstawieniu Związku Zawodowego Artystów Scenicznym. Sęk w tym, że teraz nie ma pracy dla aktorów. Nie udało mu się przebić na Broadway.

— Zawsze sądziłam, że ty będziesz wielką gwiazdą — powiedziała January. — Wszystkie w szkole tak myślałyśmy.

Linda potrząsnęła głową. — Próbowałam, ale nawet po operacji nosa nic nie wyszło. To znaczy wszystko było takie gówniane

— dziewczyny, które w nocy pracowały jako kelnerki, żeby w dzień studiować i polować na pracę. Przez jakiś czas też tak próbowałam, dostałam nawet posadę kelnerki. Aż pewnego dnia zobaczyłam dziewczynę, aktorkę, która też starała się o pracę, tylko że ona miała już ponad trzydzieści lat. Wtedy właśnie zrezygnowałam... Podjęłam pracę w „Glossie”. Magazyn był na krawędzi upadku, a ja miałam pełno pomysłów, które mogłyby go wskrzesić, tylko że nikt mnie nie słuchał. Pracowałam jako popychadło przez dwa lata, aż pewnego dnia komuś z działu reklamy wymknęło się przy mnie, że John Hamer ma zamiar zamknąć tytuł. John Hamer był prezesem zarządu Jenrose

— oni są właścicielami „Glossu” i jeszcze paru innych tytułów. Wszyscy już szukali pracy. Chwyciłam się ostatniej deski ratunku, nie spodziewając się zbyt wiele, poszłam do niego i podzieliłam się swymi pomysłami. Powiedziałam, że „Gloss” powinien przestać konkurować z „Vogue”, jeśli chodzi o elegancką modę, a nastawić się na młodsze kobiety, dziewczęta pracujące czy gospodynie domowe, poszukać reklam nowych staników,

kupować opowiadania nie zawsze mające dobre zakończenie, pisać artykuły o małżeństwach, które nie mogły zostać uratowane przez pastora lub urzędnika stanu cywilnego, historie o tych „drugich” cierpiących, podczas gdy żona, której to nic nie obchodzi, ma bal. Zaryzykował i awansował mnie na redaktora od specjalnych tematów. Po roku podwoiliśmy nakład, a pod koniec roku zostałam redaktorem naczelnym. Jako pierwsi zamieściliśmy fotoreportaż z plaży topless na Riwierze. Pisałam też artykuły za i przeciw naturalnym porodom, a także za i przeciw dzieciom... Wiele zrobiliśmy, nasz nakład ciągle rośnie. Jeżeli chcę jednak pobić „Ladies' Home Journal” czy „Cosmo”, musimy być pierwsi z nowościami. Dlatego nie mogąc dostać Deirdre Milford Granger Wayne, potrzebuję January Wayne. Chcę zrobić z tobą sesję zdjęciową do styczniowego numeru i zatytułować: „January to nie nazwa miesiąca — to dziewczyna, która ma wszystko”.

— Lindo, nie chcę, żebyś o mnie pisała.

Na chwilę Linda wytrzeszczyła ze zdumienia oczy.

— To dlaczego przyszłaś zobaczyć się ze mną?

— Bo... no wiesz... myślałam, że będziemy przyjaciółkami. Ja... naprawdę nie znam nikogo w Nowym Jorku.

— Samotna mała księżniczka? Przestań, to etykieta twojej macochy, a przynajmniej tak było, zanim nie wyszła za twojego ojca. Niezły musi być z niego ogier. Wiesz co? Zawsze miałam trochę kręcka na jego punkcie. January wstała, ale Linda złapała ją za ramię.

— Och, na miłość Boską, nie podchodź do tego w ten sposób. A więc, okay... czujesz się samotna. Wszyscy są samotni. A jedynym wyjściem, żeby nie być samotną, jest pójść do łóżka z mężczyzną, który coś dla ciebie znaczy. I obudzić się następnego ranka w jego ramionach. Mam to z Keithem i to też jedna z przyczyn, dla której chcę mieć ten artykuł. Będę mu mogła dać parę groszy na zlecenie. Wiesz co? Myślę, że gdyby zdobył trochę uznania za swe zdjęcia, to może zacząłby to traktować bardziej serio, a wtedy nie musiałabym się martwić, że może wyjechać na pół roku z trupą objazdową jakiegoś przedstawienia.

Intensywność uczuć Lindy zmieniła jej całą twarz. Nagle January patrzyła na Lindę ze szkoły panny Haddon, ochryplą Lindę ze sztuki Aniu, sięgnij po splotę.

Obie milczały. Potem January spytała: — Lindo, jeżeli tak bardzo zależy ci na Keicie, to dlaczego się nie pobierzecie?

— Ponieważ, jak już ci powiedziałam, nie wierzymy w to. — Znowu była Lindą Riggs z magazynu „Gloss”. — Jest moim mężczyzną, mieszkamy

razem, jest dobrze i...

Obie spojrzały na drzwi, które się otworzyły na oścież i do pokoju wszedł Keith Winters. January natychmiast rozpoznała w nim fotografa z hotelu Pierre. Jego włosy były długie i rozczochrane, miał czapkę z daszkiem, wojskową bluzę z demobilu, podkoszulek, trampki i drelichowe spodnie.

— Przykro mi, Keith — powiedziała Linda. — Obawiam się, że nie ma zlecenia. Ta dama odmawia.

Wzruszył ramionami i zdjął aparat fotograficzny, który miał przewieszony przez ramię. Drugi wisiał mu na szyi. January poczuła się trochę winna.

Keith sięgnął po paczkę papierosów z pucharu, a potem zwrócił się do Lindy: — Wiesz, lepiej nie planuj dziś ze mną żadnego obiadu.

— Ale przecież dziś Evie przychodzi sprzątać. Powiedziałam jej, żeby przyrządziła kawał pieczonego mięsa, takiego, jak lubisz.

Keith potrząsnął głową.

— Mam spotkanie z Milosem Doklovem. Muszę być w śródmieściu o wpół do szóstej.

— Kto to jest? — spytała Linda.

— Najlepszy reżyser z off Broadwayu, dwukrotnie otrzymał nominację do nagrody Obie. — Popatrzył na January. — To Tony off Broadwayu.

Uśmiechnęła się niewyraźnie: — Och, nie wiedziałam.

— Głowa do góry, Linda też nie wiedziała.

— Keith, nie mam nic przeciwko teatrom spoza Broadwayu.

— Jakże mogłabyś coś mieć, skoro nigdy nie byłaś w żadnym.

— Na premierę tego przedstawienia przyjdę.

— Spokojnie — odparł Keith. — To ma być dla off off Broadwayu, ale jest wystarczająco dobre, by Milos to zrobił, więc w takim razie jest również dobre dla mnie.

— No wiesz, to przecież fantastycznie — powiedziała Linda z wymuszonym entuzjazmem. — Opowiedz mi o sztuce, jaka to rola, kiedy będzie premiera?

— Już ją grają i jest hitem, oczywiście w kategoriach teatru off off Broadway. Aktor grający główną rolę idzie do innego przedstawienia i ja mam go zastąpić.

— Och, wspaniale. Zamrozę mięso i poczekam, aż wrócisz, do tego będzie pasztet i wino dla uczczenia twego sukcesu.

— Nie lubię pasztetu. — Potem spojrział na January: — Przykro mi, że tracisz z nami czas. Mnie tam jest wszystko jedno, ale moja pani koniecznie potrzebuje dobrego artykułu. Nie śpi po nocach, dopóki nakład nie wzrośnie.

January czuła między nimi napięcie. Uśmiech Lindy był wymuszony i z trudnością usiłowała zapalić papierosa. January odniosła wrażenie, że Linda naprawdę musi napisać ten artykuł — i to nie tylko ze względu na czasopismo.

— Lindo, może gdybym zadzwoniła do ojca i spytała go...

— O co? — Linda patrzyła na Keitha.

— O ten artykuł... to znaczy o to, co mi zaproponowałaś. Linda się ożywiła.

— Och, January, zrób to, zadzwoń od razu. Skorzystaj z telefonu na moim biurku.

January uświadomiła sobie, że nie zna numeru telefonu do biura ojca.

Może Sadie będzie wiedzieć. Zadzwoniła do hotelu Pierre. Sadie znała telefon do "i???", powiedziała jej ponadto, że przyniesiono dwa tuziny róż. Czekala, aż pokojówka przeczyta bilecik.

— To od pana Milforda, na jego wizytówce. Pisze: „Dziękuję za cudowny wieczór. Zadzwonię za kilka dni. D.”

Podziękowała Sadie i zatelefonowała do biura ojca. Sekretarka poradziła jej, aby spróbowała złapać go w klubie Friars. Czekając, aż go wywołają, myślała o kwiatach. „Zadzwonę za kilka dni”. Tak, jak powiedział Mike, David nie siedział beczynie i nie czekał, aż ona się pojawi.

Najprawdopodobniej był już poumawiany. Kwiaty miały jej pokazać, że myśli o niej.

Gdy ojciec podszedł do telefonu, z trudem łapał oddech.

— O co chodzi, maleńka?

— Czy oderwałam cię od czegoś ważnego?

— No tak, od ostrej gry w remika i kielicha.

— Och, przepraszam.

— Trudno, posłuchaj, kochanie. Widzę stąd, jak facet, któremu mam złoić skórę, próbuje zapaść żurawia w talię. Czy masz coś ważnego, czy to po prostu telefon grzecznościowy?

— Jestem w redakcji „Glossu”. Linda chce napisać o mnie artykuł.

— No i co?

— Czy to będzie dobrze?

— Pewnie — przerwał. — To znaczy jeżeli ten artykuł będzie tylko o tobie, bo nie chcę, żeby Dee była w to wmieszana. Załadaj pisemnej umowy, że masz prawo go autoryzować, zanim zostanie opublikowany.

— Dobra.

— Aha, słuchaj, jesteś umówiona jutro z Sammym Tebetem w biurze Johnsona Harrisa o dziesiątej rano.

— Dzięki, Mike.

— Do zobaczenia, maleńka.

Odłożyła słuchawkę i powiedziała Lindzie o warunkach "i"?.

— W porządku — pokiwała głową — natychmiast przygotujemy pismo. Artykuł dam Sarze Kurtz. Keith, możesz się już brać za robienie zdjęć. — Nacisnęła guzik interkomu. — Przyślij Ruth do zrobienia notatek. — Nacisnęła drugi przycisk. — Janie, nie łącz żadnych rozmów, chyba że zadzwoni Wilhelmina. Potrzebna mi ta jej niemiecka modelka na lutową okładkę... Shotzie jakaś tam. O Boże, wiesz, że nie mam pamięci do nazwisk... Co?... Nie. I powiedz Leonowi, żeby zostawił projekt ilustracji do tego urywka nowej powieści. Muszę go obejrzeć, zanim wyjdę dziś z redakcji... Tak, właśnie o ten mi chodzi.

Spojrzała na brzydką dziewczynę o ptasiej twarzy, która nieśmiało wślizgnęła się do pokoju ściskając kurczowo notatnik. Kiwnęła do niej szybko głową i odłożyła słuchawkę.

— Siadaj Ruth, to jest January Wayne. Ruth wspaniale stenografuje. Ja będę zadawać pytania, bo wiem, co ma być w artykule, a za kilka dni umówimy cię z Sarą...

Keith załadował film do aparatu. Wyjął światłomierz, zmienił lampę błyskową, a potem zrobił szybko zdjęcie polaroidem, by sprawdzić kompozycję. Obejrzał je, pokiwał głową i zaczął fotografować drugim aparatem.

Linda uśmiechała się urzędowo.

— No dobrze, January, gdzie się uczyłaś po skończeniu szkoły panny Haddon?

— W Szwajcarii.

— W jakim college'u?

Spojrzała na śmieszne zawijasy, które Ruth kreśliła w swym bloku. Zastanowiła się. Nie mogła sobie przypomnieć nazwy szkoły, którą wymieniła Dee. To, co Dee mówiła swoim przyjaciołom, to jedno, ale nie chciała kłamać prasie. Poza tym mogłoby to przysporzyć Lindzie problemów. Jeszcze bardziej czuła się zakłopotana tym, że Keith nagle był wszędzie, robił jej zdjęcia pod różnymi idiotycznymi kątami.

— Lepiej skoncentrujmy się na teraźniejszości — zwróciła się do Lindy — nie chcę żadnych bzdur o szkole panny Haddon, Dee czy Szwajcarii.

Od jutra zamierzam szukać pracy... zacznijmy od tego.

— Szukasz pracy? — zaśmiała się Linda. — Ty?

Keith podszedł bliżej i trzasnął aparatem. January podskoczyła.

— Nie zwracaj na mnie uwagi — poprosił. — Nie przerywajcie rozmowy.

Tak lepiej mi się pracuje.

— Jeżeli szukasz pracy, to chodź do mnie — zaproponowała Linda.

— Tutaj? — January zaczęła się denerwować. Trzask aparatu Keitha szarpał nerwy.

— Pewnie. Bardzo chciałabym mieć takie nazwisko w stopce redakcyjnej. Mogłabyś być młodszym redaktorem, tylko że nie byłabyś oczywiście żadną służącą ani gońcem. Płaciłabym ci sto dwadzieścia pięć tygodniowo i zlecała jakieś drobiazgi.

— Ale ja nie umiem pisać!

— Ja też nie umiałam — odparła Linda — ale się nauczyłam. A teraz nie muszę pisać. Mam tu mnóstwo ludzi do tego. Ty musiałabyś tylko umawiać się na wywiady, iść na nie, porobić notatki lub nagrać, a ja już bym to komuś zleciła do napisania.

— Dlaczego byś mnie chciała?

— Z uwagi na twe muskuły. Posłuchaj, w ubiegłym roku był w mieście Sammy Davis junior. W żaden sposób nie mogłam się do niego dostać, a gdybyś ty u nas pracowała, wystarczyłby jeden telefon do Sammy'ego od twojego ojca. Być może Mike Wayne wycofał się z businessu, ale nadal ma dostęp do ludzi, do których my nigdy byśmy nie dotarli. Na przykład teraz zabiegamy o młode czytelniczki zainteresowane pięknymi ludźmi. Mogłabyś robić co miesiąc rubrykę: co słychać w tych sferach, gdzie chodzą. Poza tym twoja nowa macocha zna wielką Karłę. Gdybyśmy mogli zdobyć o niej artykuł...

— Karla jeszcze nigdy nie udzieliła wywiadu — stwierdził Keith.

— Oczywiście, że nie — zgodziła się Linda. — A kto mówi o wywiadzie? Ale gdyby January spotkała ją kiedyś przypadkiem na jednym z obiadów u Dee i gdyby przypadkiem usłyszała kilka perełek spływających z tych pięknych polskich ust...

— January, mam już sześć zdjęć, na których jesteś z marsową miną. Pokaż mi inny nastrój — poprosił Keith.

January wstała i wyszła z zasięgu aparatu.

— To obłąd... Sposób, w jaki oboje się zachowujecie. Przychodzę zobaczyć się z dawną koleżanką, a kończy się na tym, że robimy wywiad. Mówię, że szukam pracy, a wy pragniecie zrobić ze mnie drugą Matę Hari. Nie ma mowy, jak ty byś to powiedziała, Lindo.

— A co chcesz zrobić? — spytała Linda.

— Grać.

— O mój Boże — jęknęła Linda.

— Masz jakieś doświadczenie? — zainteresował się Keith.

— Nie bardzo, ale całe życie spędziłam na oglądaniu i słuchaniu, a w... Szwajcarii dużo czytałam na głos. Codziennie przez dwie godziny. Szekspira, Marlowa, Shawa, Ibsena.

Keith mlasnął, gdy to powiedziała.

— Chodź dziś ze mną. Przedstawię cię Milosowi Doklovowi, on zawsze nad czymś pracuje. Może zna kogoś, kto przygotowuje coś, do czego mógłby cię przesłuchać. Czy śpiewasz i tańczysz?

— Nie, ja...

— To świetny pomysł — wtrąciła Linda. — Zobacz, Keith, czy uda ci się sfotografować January z Milosem, i zrób jej kilka zdjęć w plenerze w Village.

Gdy Keith zaczął pakować aparat, dodała: — Skontaktuję się z tobą za dzień lub dwa. Będę już miała dokument, o który prosił twój ojciec, i umówię cię z Sarą Kurtz. — Spojrzała na Keitha. — Przetrzymam mięso do ósmej, postaraj się przyjść do tej pory.

— Spróbuję, ale nie licz na to — odparł. — Chodź, aktorko — wziął January za rękę. — Ruszaj.

Gdy wyszli, Keith powiedział: — No, bogata panno, pojedziesz tak, jak aktor bez pracy.

— To znaczy?

— Metrem. Każdy płaci za siebie. Masz trzydzieści centów?

— Tak, oczywiście. Wiesz co? Nigdy nie byłam w metrze. Wybuchnął śmiechem i poprowadził ją w dół po schodach.

— Mów dalej, dziecino. Wprawiasz mnie w osłupienie. Usiadła obok Keitha walcząc z mdłościami, które poczuła, gdy tylko pociąg z turkotem ruszył w kierunku śródmieścia. Stwierdziła, że w nędzy nie ma nic wspaniałego ani malowniczego. Mężczyzna siedzący obok niej śmierdział, a kobieta po przeciwnej stronie trzymała między nogami wielką torbę z zakupami i pracowicie dłubała w nosie. W wagonie czuło się stęchliznę. Na ścianach pełno było różnych imion i graffiti. Siedziała bardzo sztywno i starała się, żeby Keith, który mówił starając się przekrzyczeć hałas pociągu, nie dostrzegł jej odrazy. Raz mało co nie skręcił sobie karku, gdy próbował stanąć na ławce w przeciwległym rzędzie, aby zrobić jej zdjęcie. Pociąg przechylił się, on rąbnął jak długi na podłogę, a aparat fotograficzny poleciał w drugi kąt przedziału. January rzuciła się na pomoc. Uderzyło ją to, że poza nią nikt się nie ruszył, żeby im pomóc, nikt nie zwrócił nawet na nich uwagi. Odetchnęła z ulgą, gdy wysiedli.

Minęli dwie przecznice i weszli do obskurnego budynku, gdzie pokonali

pięć wysokich pięt.

— Milos ma biuro na poddaszu — wyjaśnił Keith.

Kilka razy musieli się zatrzymywać dla złapania tchu, zanim dotarli do świecących od farby stalowych drzwi. Keith nacisnął dzwonek, na co zagrzmiął silny głos.

— Proszę wejść, otwarte.

Silny głos był jedynym, co Milos Doklov miał potężnego. Był to chudy, zaniedbany, mały człowieczek, a jego długie rzadkie włosy zaledwie częściowo pokrywały błyszczącą głowę. Paznokcie miał długie i brudne, a w uśmiechu odsłaniał popsute zęby.

— Cześć, młody człowieku. Co to za kociak?

— January Wayne. January, poznaj Milosa Doklova.

— A więc wróciłeś do swojego staruszka? — spytał Milos ignorując January.

Keith wyjął aparat i pstryknął zdjęcie January, która bez żenady rozglądała się po pomieszczeniu.

— Nie dostałem tej roboty w Hal Prince, jeśli o to ci chodzi — powiedział Keith rozrywając nową rolkę filmu.

— Oj, dziecinko, dziecinko... — Milos zerwał się na równe nogi jak kot.

— To broadwayowskie gówno zabije cały twój potencjał. Dopiero gdy zagrasz tutaj i poznasz, o co w ogóle chodzi, możesz iść na sezon do ekskluzywnej dzielnicy, aby zarobić trochę na chleb. Ale zawsze pamiętaj: zacząć trzeba tutaj.

— Daj sobie spokój z tą śpiewką reklamową. Wezmę tę robotę.

— Od samego początku mogłeś mieć tę rolę — uśmiechnął się ponuro Milos. — Dostałbyś wszystkie recenzje. Popatrz, co się dzieje z Baxterem: idzie do Popiołów i jazzu.

Keith jeszcze raz pstryknął aparatem.

— To nadal off Broadway.

— Zgoda, ale ma szansę na Obie.

— Posłuchaj, powiedziałem, że wezmę tę rolę.

— Rozstałeś się z tą babką od mody?

— Nie.

— To skąd ta zmiana? Wydawało mi się, że to głównie z uwagi na nią nie wzięłeś roli.

Keith zaczął przygotowywać drugi aparat fotograficzny. Sprawdził światłomierz.

— Liczyłem na ten kontrakt w Hal Prince. Dajmy już temu spokój. Kiedy zaczynają się próby?

— Będziemy mieć dokładnie dwa dni. Może w przyszły poniedziałek i wtorek. Oglądaj co wieczór przedstawienie, ucz się tekstu i ruchów. Niewielka fatyga.

— Dobra, Milos.

Zrobił ostatnie zdjęcie January.

— Po co te zdjęcia? — spytał Milos.

— Robię serwis dla tej pani.

— Modelka? — spytał Milos.

— Nie — Keith wpiął aparat w futerał. — Jest aktorką. Nie znasz kogoś, kto potrzebuje dziewczyny w jej stylu?

— Jesteś choć trochę dobra? — zwrócił się do niej Milos.

— Myślę, że tak, to znaczy, czuję, że jestem dobra — odparła. Milos potarł podbródek.

— Wiesz co? Jedna z muz odchodzi w tym samym czasie co Baxter. Miałem zadzwonić do Lizy Kilandos. To tylko dziesięć linijek, a gaża... ech... Jesteś w związku zawodowym?

— Jeszcze nie.

— Dobra, idź z Keithem zobaczyć dziś przedstawienie. To rola Irmy Davidson. — Rzucił Keithowi scenariusz. — Wykuj to, człowieku, a ty, January, wróc tu jutro o czwartej przeczytać swoją kwestię. Gdy wyszli na ulicę, January złapała Keitha za rękę.

— Czy o to mu chodziło? To znaczy mogę dostać tę rolę, tak od razu? Czy to nie będzie wspaniałe?

Pogoda się zmieniła; zagrzmiało zniecka. Keith popatrzył w niebo.

— Zaraz lunie jak z cebra, ale nie potrwa długo. Chodźmy gdzieś na kawę.

Zaprowadził ją do niedużej piwnicy.

— Możemy zjeść kanapki i zabijemy czas, zanim nadejdzie pora, by iść do teatru. Nie ma sensu wydawać pieniędzy na powrót do domu. Musisz zadzwonić do kogoś i zawiadomić, że nie wracasz?

Zadzwoniła do hotelu Pierre. Ojca nie było, a Dee odpoczywała.

— Powtórz im, że nie mogę zjeść z nimi obiadu — poprosiła Sadie. — Mam... mam randkę.

Nie bardzo było to prawdą, ale uznała, że takie wyjaśnienie jest o wiele lepsze niż długie tłumaczenie.

Powróciła do stolika. Deszcz siekł bezlitośnie chodniki. Siedzieli w małym boksie i patrzyli na mokrą, szarą ulicę. Zamówili hamburgery i Keith zrobił jej jeszcze kilka zdjęć w restauracji.

— Linda mówi, że jesteś dobrym fotografikiem — zagadnęła January.

— Jakoś idzie.

— Powiedziała, że mógłbyś być jednym z najlepszych.

— Wiesz co? Wolę być aktorem do dupy niż najlepszym fotografikiem na świecie.

Gdy nic nie odpowiedziała, dodał: — Ta pani zarabia trzydzieści tysięcy rocznie. Nie potrzebuję więcej pracy z łaski.

— Ale ona twierdzi, że jesteś dobry.

— Tak, ale nie jako fotografik.

Czuła, że się czerwieni. Pochyliła się nad stołem i ze zdwojonym apetytem zajęła się hamburgerem. Keith zaczął opowiadać o swej karierze: kilka niezłych ról w repertuarze letnim, role w teatrach off Broadwayu, chałtury, jedna reklamówka w telewizji, co pozwoliło mu żyć przez rok.

— Ale to już się wyczerpało. Moje ubezpieczenie jako bezrobotnego też się skończyło... I tak nie widzę powodu, by starać się być lepszym od Avedona czy wszystkich innych.

— Mógłbyś się uczyć.

— Po co? — spojrzał na nią.

— Po co!

— Tak, po co? Dlaczego miałbym się zabijać i uczyć czegoś, co mnie nie pociąga? Pewnie, że w teatrze zawsze mogą cię odrzucić, ale to tak, jakby się dostało kosza od kociaka, na którego masz chrapkę. Starasz się przynajmniej o nią, bo masz szansę, że może powiedziec „tak”. Inaczej postępujesz, gdy pozostanie ci zadowolici się babką, która cię nie bierze, kapujesz?

— Ale byłeś z Lindą.

— Nikt nie powiedział, że nie mogę z nią być jako aktor — powiedział gapiąc się na filiżankę z kawą.

— Ale... chodzi mi o to, że... jako aktor musisz wyjeżdżać często w objazd, być z dala od niej.

— Czy słyszałaś kiedyś o szacunku dla samego siebie? Jeżeli masz być z kimś każdej nocy, chcesz, aby cię szanował. Aby cię szanowano, sam musisz się szanować. Znam zbyt wielu aktorów, którzy się sprzedają... stają się pedałami, by dostać pracę, dają się utrzymywać. I wiesz co? Nigdy im się nie udaje, bo to zabija coś w ich duszy.

Milczała.

Nagle Keith zapytał: — No a ty? Gdzie się obracasz?

— O co ci chodzi?

— Kochasz kogoś?

— Tak, to znaczy nie.

— Jak możesz mówić „tak”, a zaraz potem „nie”?

— No wiesz, kocham mojego ojca, wiem o tym. Ale to nie znaczy, że jestem zakochana, prawda?

— Mam nadzieję.

— A ponadto poznałam kogoś, ale gdy myślę o miłości... — pokręciła głową. — Chcę powiedzieć, że nie jestem pewna, co powinno się czuć będąc zakochaną. Lubię go, ale...

— Nie jesteś zakochana. Ze mną jest tak samo. Nigdy nie byłem zakochany.

— Nigdy? Pokręcił głową.

— Dla mnie miłość będzie wtedy, gdy stanę na scenie wiedząc, że cała ta pierdolona widowia przyszła po to, żeby właśnie mnie zobaczyć. To jest prawdziwy orgazm. To, co czuję do kociaków — wzruszył ramionami — jest jak jedzenie dobrej potrawy. Kocham dobre jedzenie, kocham życie, kocham próbować wszystko co nowe, kocham nowe wrażenia. —

Przerwał.

— Nie bądź taka zszokowana. Linda zdaje sobie z tego sprawę. Jest moją panią już bardzo długo, ale wie, że w każdej chwili mogę odejść.

Jeżeli jednak odejdę, to nie dlatego, że zakocham się w innej. Odejdę, gdyż będę potrzebował nowego doświadczenia, innej sceny, kapujesz?

— Przestało padać — powiedziała January. Keith wstał.

— Twoja działka wynosi dziewięćdziesiąt centów. To znaczy zostawiamy trzydzieści centów napiwku, po piętnaście od osoby, zgoda?

— Zgoda.

Ulice były mokre — z drzew od czasu do czasu kapały ostatnie krople wody. W milczeniu przeszli kilka przecznic. January próbowała wymyślić coś, co mogłoby nastawić Keitha bardziej romantycznie do Lindy. Zdawało się, że przestała go interesować. A może tylko tak gadał? Może był po prostu rozdrażniony? W końcu wielu ludzi mówi w nerwach rzeczy, których faktycznie nie myśli. Keith był atrakcyjny w jakiś ordynarny sposób, a Linda naprawdę go kochała. Może coś ulegnie zmianie, gdy Keith dostanie się do przedstawienia. Mike zawsze mawiał, że czuje się bardziej zrelaksowany, gdy wszystko idzie świetnie.

Nagle znowu lunęło. Keith złapał ją za rękę i resztę drogi przebyli biegiem, pochylając głowy pod markizami i drzewami. Byli bez tchu, gdy Keith zatrzymał się przed jakimś sklepem.

— No, nareszcie jesteśmy.

— Ale... gdzie jest teatr?

— Chodź za mną.

Poprowadził ją przez sklep, gdzie nie było nic z wyjątkiem kilku gołych drewnianych stołów, na których czekały na antrakt oranżada i ciasteczka orzechowe. Jakaś dziewczyna stała ze zrobionym własnoręcznie pudełkiem na bilety. Zauważyła Keitha i pomachała do niego. Keith przeprowadził January obok niej do długiego, wąskiego pomieszczenia — stały tam całe rzędy twardych składanych krzeseł; z frontu była scena bez kurtyny. Keith poprowadził ją do trzeciego rzędu.

— To miejsce dla swoich — powiedział szczerząc zęby w uśmiechu.

— To jest teatr? — spytała January.

— Kiedyś był tu sklep, teraz przerobiono go na teatr. Garderoby są na górze, a na trzecim piętrze Milos ma mieszkanie dla głodujących aktorów. To coś w stylu sypialni wspólnej dla wszystkich. Mieszkają za darmo, jeżeli akurat nie mają pracy.

Do ósmej widownia była wypełniona i ku zdziwieniu January, w każde wolne miejsce wciskano dodatkowe krzesła.

— To musi być prawdziwy hit, co? — zwróciła się do Keitha.

— Jest bardzo popularny, choć to głównie opinie ustne. Widzę tu mnóstwo śmietanki towarzyskiej, może przyjdą jacyś producenci...

Światła przygasły i na scenę weszli wszyscy aktorzy. Ukłonili się, przedstawili publiczności i wyszli. Pozostały trzy dziewczęta.

— Patrz na tę z lewej, właśnie ją masz zastąpić — szepnął Keith. — Przez cały czas stoją na scenie, są greckim chórem.

Dziewczęta były ubrane w szare kombinezony robocze. Odśpiewały monotonnym głosem kilka linijek i po chwili pojawił się młody chłopak, o którym opowiadał chór. Był podobny do Keitha. Wygłosił długi monolog, który January ledwo zrozumiała. Grecki chór przerywał mu od czasu do czasu słowami „Amen, bracie”. Potem weszła dziewczyna. Nastąpiła gwałtowna wymiana zdań, a później usiedli i przebrnęli przez skomplikowany proces zapalania skręta. Scena wypełniła się sztucznym dymem.

— To scena upojenia haszyszem — wyjaśnił Keith. — Robią teraz zasłonę dymną. W tej scenie przenoszą się z wytwornej części miasta do śródmieścia.

Gdy dym trochę opadł, aktor i aktorka grający główne role byli nadzy, tak samo grecki chór. Dziewczyna i chłopak zaczęli się autentycznie kochać. Najpierw powoli — wyglądało to niemal jak taniec, a grecki chór mrucał przy akompaniamencie muzyki dochodzącej z głośnika zza kulis. W miarę jak muzyka narastała, chór śpiewał głośniej i wszyscy poruszali się szybciej, aż taniec przemienił się w szaleństwo i wtedy główny bohater

uderzył w śpiew; jął głąskać piersi greckiego chóru i aktorki grającej główną rolę, która także głąskała wszystkich. Potem dziewczęta z chóru zaczęły głąskać się nawzajem, aż wszystkie głosy splotły się razem w piosence Ruszaj się, dotykaj, czuj... to jest miłość.

Później na scenie zapadły ciemności, a na widowni zapaliły się światła. Nastąpiła przerwa.

January zerwała się na równe nogi.

— Idę stąd.

— Jest jeszcze drugi akt, a w nim twoja duża scena. Mówisz sama dziesięć wierszy.

— W ubraniu czy bez? — spytała.

— Powiedz mi, czy denerwuje cię jawna golizna? — Złapał ją za ramię, gdy przepychała się między rzędami krzeseł. — Według mnie nagość jest czymś naturalnym. Od dziecka wszczepiają w nas chowanie ciała pod ubraniem. Podejrzewam, że zaczęło się to w chwili, gdy Ewa zjadła jabłko. Przecież dziecko też ma narządy płciowe, a wszyscy zachwycają się widokiem malucha z gołym tyłkiem. Nasze ciało jest również wyrazicielem miłości. Czy zakrywamy twarz, bo nasze oczy wysyłają sygnały miłosne, usta mówią o niej, język pieści czyjeś wargi? Czy język jest czymś nieprzyzwoitym?

— Oczy służą do patrzenia, a język do mówienia — odpowiedziała January.

— Tak... i szczamy naszymi kutasami i cipami, ale też kochamy się nimi. Uciekła od niego i wybiegła z sali. Ludzie tłoczyli się przed nią czekając, by zapłacić dolara za kubek oranżady. Na ulicy stały zaparkowane limuzyny. Keith dogonił ją i złapał za rękę.

— Zgoda, być może sam też nie szaleję za aktem miłosnym wprost na scenie. Jak sądzisz, dlaczego nie wziąłem tej roli, gdy tylko zaczęli grać sztukę? Wiem, że Linda wpadłaby w szal. Ale tak to już dzisiaj jest. Jeżeli nie gorszy mnie nagość, nie powinien mnie gorszyć sam akt miłosny, bo to normalna czynność.

— Tak samo jak rzyganie, a nikt nie chce płacić, by to oglądać.

— Posłuchaj, January, sztuka zdobyła popularność, to dla mnie wielka szansa. Poza tym wszyscy to robią, wielkie gwiazdy filmowe również kręcą sceny nago. Jeszcze trochę, a zaczną odbywać stosunki... I nie Keitha-człowieka będą ludzie oglądali na scenie, ale Kei-tha-aktora. Tylko o to dbam. Wolę raczej mieszkać w sali sypialnej u Milosa i grać ostre porno, niż siedzieć na poddaszu przy Park Avenue z aparatem fotograficznym.

Uszli do połowy budynku. Padał lekki mżący deszczyk. Częściowo osłaniały ich drzewa rosnące wzdłuż chodnika. Keith próbował się uśmiechnąć.

— No chodź, zaczyna się drugi akt, wracajmy.

January szła nadal w przeciwną stronę. Keith zawahał się przez chwilę, po czym zawołał: — Idź sobie! Leć do domu. Wracaj do hotelu Pierre, gdzie twój ojciec żyje na utrzymaniu kobiety. Ja chociaż spróbuję! Gdyby tacy faceci jak twój ojciec nie poddawali się, może my nie musielibyśmy robić tego gówna. Ale oni nie chcieli podejmować ryzyka i eksperymentować. Pieprzę ich. Pieprzę ciebie... i Lindę też!

Odwrócił się i pobiegł do teatru. January stała przez chwilę bez ruchu. W jego złości były łzy. Chciała mu powiedzieć, że rozumie, że się nie gniewa — ale już uciekł. Ludzie wracali do teatru; zaczynał się drugi akt. Nagle została sama na opustoszałej ulicy. Nigdzie nie było śladu taksówki.

Wróciła pod teatr i przyjrzała się rejestracjom samochodów. Niektóre miały literkę X: oznaczało to, że są wynajęte. Podeszła do jednego szofera.

— Sztuka nie skończy się wcześniej niż za godzinę, czy nie zechciałby pan...

— Odwal się, hippisko — nastawił głośniejsze radio.

January poczerwieniała. Sięgnęła do torebki, wyjęła banknot dziesięciodolarowy i podeszła do następnego samochodu.

— Proszę pana — zwróciła się do kierowcy trzymając w górze pieniądze

— czy może mnie pan zawieźć do domu? Zdąży pan przed przerwą.

— Gdzie jest dom? — kierowca przyglądał się banknotowi.

— Hotel Pierre.

Kiwnął głową, wziął pieniądze i otworzył drzwi.

— Wskakuj.

Gdy jechali w kierunku dzielnicy willowej, spytał: — Co się stało? Wojna z chłopakiem czy sztuka znudziła?

— I to, i to.

— Wszyscy tu przyjeżdżają z miasta, żeby po prostu zobaczyć gołe cycki. No bo właśnie to tam pokazują, co?

— Więcej — powiedziała cicho January.

— Nie żartuje pani? Wie pani co? Jestem żonaty i mam troje dzieci.

Chciałem być kiedyś piosenkarzem. Do dziś śpiewam czasami na weselach kolegów w Bronksie irlandzkie ballady. Jestem też doskonały w repertuarze Rodgersa i Hammersteina. Ale dziś już nie piszą takich piosenek; nie ma już takich ludzi jak Sinatra czy Perry Comos. To byli piosenkarze! Nie to, co dzisiejsze śmieci, których słucha z płyt moja córka.

Podjechali w końcu przed hotel Pierre. Kierowca poczekał, aż January wejdzie do budynku, a potem jego samochód zniknął wmieszawszy się w ruch uliczny. Odetchnęła z ulgą widząc, że apartament jest pusty. Weszła do swego pokoju i stanęła w ciemności. W mroku wszystko było mało realne. Pomyślała o Lindzie, która pragnienia osobiste przenosiła na sukcesy swego czasopisma, pozwalając, by stało się symbolem jej życia. Myślała także o Keicie, który zdecydował się na to okropne przedstawienie, o kierowcy limuzyny, który chciał być kiedyś piosenkarzem, o ojcu siedzącym teraz prawdopodobnie w jakiejś restauracji z Dee i jej przyjaciółmi.

Stała całkiem bez ruchu. Gdzie się wszyscy podzieli? Gdzież były radość i szczęście, na które tak liczyła? Tyle długich, śnieżnych dni, kiedy tak ciężko pracowała, by nauczyć się chodzić... na co to wszystko? Pozapalała pośpiesznie światła. Pokój wydawał się niesamowicie pusty. Cały apartament był opustoszały.

Zauważyła róże na komodzie; pomyślała o Davidzie i nagle brudny teatr i cały wieczór odeszły daleko. Był jeszcze świat, w którym żyli piękni, czysti ludzie, były też sceny na Broadwayu, gdzie wystawiano sztuki z utalentowanymi aktorami.

Wkroczy w ten świat i sprawi, że Mikę będzie z niej dumny. David będzie się szczycił, że jest z nią, tak jak się pysznił tym, że jest z Karłą czy z tą holenderską modelką, gdyż ona od dziś nie będzie po prostu nową pasierbicą Dee ani też córką "i???" Wayne'a. Od dziś będzie January Wayne — panią samej siebie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Powitanie Sammy'ego Tebeta było ciepłe i wylewne. Spytał o "i???" i nazwał go diabelnym szczęściarzem, który ma już za sobą gorączkową walkę o przetrwanie, i powiedział, że taka piękna dziewczyna jak January powinna znaleźć sobie miłego chłopca, wyjść za mąż i zapomnieć o show businessie. Jeżeli jednak się upiera, zrobi wszystko, co tylko będzie mógł. Potem poprowadził ją przez hol i przedstawił bystremu chłopakowi, który sprawiał wrażenie tak młodziutkiego, że nie potrzebował się chyba jeszcze golić. Bystry chłopak miał własne biuro i siedział za dużym biurkiem, na którym stał aparat telefoniczny z pięcioma guzikami. Za każdym razem, gdy jedno ze światełek się zapalało, natrętna sekretarka, która mogłaby być jego babką, wsuwała przez drzwi głowę i prosiła: — Panie Copeland, proszę odebrać z dwójki. Dzwoni Wybrzeże.

Posyłał jej uśmiech i odpowiadał: — Spokojnie, Rhodo. Potem ze znudzonym, a zarazem przepraszającym spojrzeniem rzucanym w kierunku January naciskał guzik i tryskającym ożywieniem głosem wdawał się w pełną ozdobników rozmowę o interesach. Pomiędzy jedną rozmową a drugą udało mu się załatwić kilka spotkań. Wiedział o dwóch przedstawieniach, które kompletowały właśnie obsadę. Co prawda była za wysoka do roli prostej dziewczyny, ale może się przejść i przeczytać tekst. A nuż jest wolna rola dublerki? Drugą propozycją był musical. Czy umie śpiewać? Nie... Trudno, niech i tak idzie. Czasami biorą piękną, gorzej śpiewającą dziewczynę, jeżeli mają wystarczająco dużo silnych głosów, by ją podtrzymać. Jeżeli jej nie wezmą, nic nie straci. Powinna przynajmniej spotkać się z Merrickiem, może kiedyś sobie o niej przypomni, gdy będzie robił coś innego. Dał jej także listę producentów, których należałoby odwiedzić, żeby „mieć kontakty”. Na pewno będą działać później w sezonie. Zaproponował jej też spotkanie w agencji reklamowej w sprawie reklamówki. Co prawda nie zajmował się nimi, ale właśnie poprzedniego wieczoru natknął się w klubie „P.J.” na reżysera, który mówił, że szukają dziewcząt z pięknymi włosami. Gdy mu dziękowała, uniósł dłoń jak biskup i powiedział: — Spokojnie, kochanie, prosił mnie o to Sammy Tebet. To dopiero jest człowiek, uwielbiam go, uwielbiam... Wspaniała postać. Powiedział, że twój ojciec miał kiedyś interesy z Davidem Merrickiem. Miejmy nadzieję, że staruszek będzie z ciebie dumny. W tym tkwi część radości z naszej roboty. Dzięki temu mamy po co żyć. Kontaktuj się ze mną raz w tygodniu i zostaw Rhodzie swój numer telefonu.

Potem wrócił do swego telefonu ze światełkami, a January podała swój numer historycznej Rhodzie.

Zastosowała się do wszystkich jego wskazówek. Czytała tekst sztuki —nie była zbyt dobra, z czego zdawała sobie sprawę. Odprawiono ją ze stereotypowym: „Bardzo pani dziękujemy”. Powędrowała na Madison Avenue do agencji reklamowej, gdzie spędziła godzinę, czekając w biurze wraz z trzydziestoma innymi dziewczętami o włosach sięgających pasa. Gdy wreszcie spotkała się z reżyserem, okazało się, że to ogłoszenie reklamujące papierosy. Piękne włosy były „koniecznością”, ponieważ zależało im, by stworzyć wyobrażenie, że palą młodzi, zdrowi ludzie. Podobały im się jej włosy, kazali jej nauczyć się palić i wrócić za dwa dni. Kupiła paczkę papierosów, wróciła do hotelu, zamknęła się u siebie i rozpoczęła naukę. Po kilku wdechach pokój zaczął wirować; leżała bez

ruchu, czując, że za chwilę zwymiotuje. Po jakimś czasie jednak jej przeszło i zaczęła od nowa — tym razem pognąła do łazienki i naprawdę zwymiotowała. Potem padła na łóżko zastanawiając się, dlaczego palenie sprawia ludziom przyjemność.

Dee i Mikę zaprosili ją na obiad, ale się wykręciła, mówiąc, że ma rano przesłuchanie i musi popracować nad scenariuszem. Resztę wieczoru spędziła na próbach palenia i walce z nawrotami nudności. Wreszcie o jedenastej stanęła przed lustrem i zapaliła papierosa bez uczucia mdłości. Jakby dla podkreślenia jej osiągnięcia właśnie w tym momencie zadzwęczał telefon.

Dzwonił David.

— Miałem zamiar zostawić wiadomość. Nie spodziewałem się, że zastanę cię w domu.

— Właśnie ćwiczyłam palenie.

— Palenie czego?

— Papierosów.

— Jakich papierosów?

— „Prawdziwych” — odpowiedziała odczytując napis na paczce.

— Och... a dlaczego?

— Dlaczego „Prawdziwych”? Spodobała mi się ich nazwa.

— Dlaczego uczysz się palić?

Słuchał uważnie, gdy opowiadała mu o filmie reklamowym, a potem powiedział: — Posłuchaj, staraj się nie wciągać dymu głębiej niż do gardła, a efekt będzie taki sam. Nie ma sensu, byś zatruwała sobie płuca. A jak już dostaniesz tę reklamówkę, rzuć palenie.

— Założę się, że myślisz, iż mam bzika, ponieważ siedzę tu i choruję dla jakiejś reklamówki? — zaśmiała się January.

— Nie, myślę, że jesteś dziewczyną z charakterem. Podoba mi się to w tobie.

— Ach... no... — Wiedziała, że w jej głosie słychać zmieszanie.

— Czy jesteś zajęta jutro wieczorem?

— Nie.

— A więc co byś powiedziała na wspólny obiad? Podszkolę cię w paleniu, może pokażę ci nawet jak się puszcza kółka.

— Świetnie, o której?

— Zostawię wiadomość w ciągu dnia.

— Fajnie... Dobranoc, Davidzie.

Następnego dnia wstała wcześniej rano. Zadzwoniła Rhoda i kazała jej być o jedenastej u producenta, aby przeczytać rolę. January była tym bardzo

podniecona, bo Rhoda powiedziała jej, że według pana Copelanda ona jest do niej wymarzona. Może to będzie naprawdę jej wielki dzień?

Postanowiła, że nastawi się pozytywnie, miała zamiar dostać tę rolę. W końcu ktoś ją dostanie. A wieczorem — spotkanie z Davidem.

Ubierając się myślała o wieczorze. David widział ją już w stroju cygańskim. Co powinna włożyć dzisiaj? Długą zamszową spódnicę i wysokie buty? A może ubrać się tak, jak prezentowano w „Vogue” — na błyszcząco, w czarne spodnie i żakiet? Sprzedawca w sklepie na Trzeciej Alei powiedział jej, że jest to bardzo sztywne. No, miała jeszcze cały dzień do namysłu.

Dobre samopoczucie zachowała nawet wtedy, gdy usiadła w zatłoczonym biurze czekając na przesłuchanie u producenta. Keith miał jednak rację — tak niewiele wystawiano, a było tylu aktorów, i to z doświadczeniem.

Czekając, słuchała ich rozmów. Mówili o tantiemach, ubezpieczeniu za okres bezrobocia, niektórzy opowiadali nawet żartem o swych doświadczeniach w salonach kosmetycznych. Nic, co dawało pieniądze na czynsz i pozwalało poszukiwać roli oraz

studiować, nie przynosi ujmy. January podziwiała ich postawę. Choć wielokrotnie byli odrzucani, nikt nie wyglądał na przygnębionego. Byli aktorami, a wszystkie niepowodzenia i rozczarowania były częścią tego zawodu. Mogli często nie mieć pieniędzy na jedzenie, ale wszyscy gdzieś się uczyli. Wpadły jej do ucha fragmenty rozmów o Ucie, Stelli...

zauważyła też, że wszyscy mają swoje fotosy z odbitymi z tyłu na ksero osiągnięciami artystycznymi, a także terminarze z pozawijającymi rogamami, wypełnione zapiskami z datami różnych spotkań, w rodzaju „pójdziemy — zobaczymy”, przesłuchań i notatkami z lekcji.

Czekała dwie godziny, aż wreszcie została wprowadzona przed oblicze zmęczonego mężczyzny, który spojrzał na nią i westchnął:

— Kto panią tu przysłał?

— Pan Copeland. Znowu westchnięcie.

— Dlaczego Sheldon to robi? Powiedziałem mu wczoraj, że potrzebujemy blondynki przed trzydziestką o zmęczonym wyglądzie. To nie w porządku wobec pani... również nie w porządku wobec mnie. Myśli, że przysyłając tu panią, daje pani jakieś zajęcie, a w rzeczywistości marnuje pani przez niego czas. I ja też. No dobra, kochanie, życzę więcej szczęścia innym razem. — Potem zwrócił się do sekretarki:

— Ile jeszcze ich tam czeka?

Gdy wychodziła, do pokoju weszła wysoka dziewczyna o rudych włosach. Ciekawe, czy też skierował ją tu Sheldon? Czy myśli, że zapamięta ją

zmęczony pod koniec dnia producent? Może powinna powiedzieć to wszystko Sheldonowi? Wyszła na ulicę. Delikatny powiew wiatru naniósł jej pyłu do oczu; gdy je potarła, rozmasowała sobie tusz. Przywołała taksówkę, ale się nie zatrzymała. Chyba każda, którą usiłowała złapać, miała tabliczkę: ZJAZD DO DOMU. Ruszyła wobec tego piechotą w kierunku hotelu. Mikę miał rację: to nie był ten błyszczący świat, który widziała podczas weekendów. Szła przez Broadway. Mijało popołudnie; prostytutki w wielkich perukach zaczynały zajmować swe stałe miejsca na rogach ulic. Ociemniały mężczyzna, prowadzony przez smętnego psa, powłóczył obok niej nogami. Grupa japońskich turystów fotografowała ulicę. January miała ochotę krzyknąć: „Nie zawsze tak było!” Może jednak zawsze, tylko że inaczej wyglądało z okien limuzyny ?i??"? Teraz, po dwóch dniach szukania pracy, zaskoczyło ją, że w rzeczywistości gwizdże na teatr bez ?i??"?

Było już wpół do piątej, gdy dotarła do hotelu Pierre. Wymoczy się w wannie i zmyje z siebie całe zniechęcenie i brud dzisiejszego dnia.

Wieczorem na spotkaniu z Davidem będzie świeża i czarująca. Już na samą myśl o tym poczuła się lepiej. Chciała pójść w jakieś ciche miejsce, posiedzieć przy świecach i porozmawiać. Pragnęła dowiedzieć się czegoś więcej o Davidzie; czuła, że jakoś zrozumiałby jej zakłopotanie. Mikę powiedziałaby tylko: „Mówiłem ci”, ponieważ Mikę miał rację.

W hotelu czekała na nią wiadomość. Patrzyła z niedowierzaniem. To od Davida — przyjdzie po nią o wpół do szóstej. Wpół do szóstej! Dlaczego o wpół do szóstej? Może zapraszał ją na koktajl? Tak, na pewno tak. Wpadła do apartamentu, wzięła prędko prysznic i włożyła długą spódnicę.

Szmykowała właśnie usta, gdy zadzwonił z dołu.

— Wejdz na górę — powiedziała. — Nie umiem zrobić martini, ale jest Mario. Za chwilę powinien też być tu Mikę.

— Nie, musimy się spieszyć, zejdz na dół.

Złapała wełniany szal i zbiegła na spotkanie Davida. Spojrzył na nią i zmarszczył z niezadowoleniem brwi.

— Głupiec ze mnie. Powinienem był ci powiedzieć, żebyś włożyła kombinezon.

Zauważyła, że David ma na sobie stare sztruksowe spodnie, marynarkę i sportową koszulkę. Wziął ją za rękę.

— W kinie Baronet grają świetny film szpiegowski. Nigdy nie mam okazji obejrzeć tych filmów, na które miałbym ochotę. Na ten są zawsze duże kolejki. Pomyślałem, że uda nam się dostać na seans o szóstej. Potem możemy coś przekąsić.

Cały wieczór był kompletnym fiaskiem. Myślała o tym leżąc i mocząc się w wannie. David był zachwycony filmem; po skończonym seansie poszli do restauracji Maxwell's Plum. Lokal był zatłoczony, lecz David znał szefa, toteż natychmiast zostali upchnięci przy małym stoliku pod ścianą. David znał też ludzi przy sąsiednim stoliku; przedstawił ich sobie, zamówił dla niej hamburgera i podczas całego obiadu rozmawiał z przyjaciółmi. O dziesiątej opuścili restaurację.

— Pojedziesz do mnie? — spytał.

— Co?

— Chodź do mnie. — Trzymając ją za rękę przywołał taksówkę.

— Dlaczego nie wrócimy do ?i????'?? — spytała.

— Mike i Dee mogą tam być, a poza tym będę się czuł skrępowany z tobą w łóżku wiedząc, że oni są w tym samym apartamencie.

Zanim zdołała odpowiedzieć, podjechała taksówka i David pomógł jej wsiąść do środka. Pochylił się w kierunku taksówkarza i January usłyszała, że podaje mu adres na Siedemdziesiątej Wschodniej.

— Davidzie, nie mam ochoty iść z tobą do łóżka! — krzyknęła niemalże.

Potem ciszej już dodała: — Proszę, odwieź mnie do domu.

— Zmiana planów — rzucił taksówkarzowi — proszę do hotelu Pierre. —

Następnie zwrócił się do January ze sztywnym uśmiechem: — W porządku, porozmawiajmy o ważniejszych sprawach. Jak twoja reklamówka? Dostałaś ją?

— Dowiem się dopiero jutro. Davidzie, nie gniewaj się, ale ja... cóż... nie mogę iść do łóżka z kimś, kogo ledwo znam.

— Zapomnij o tym — powiedział spokojnie — to była tylko propozycja.

— Naprawdę cię lubię.

Dlaczego mu się tłumaczyła? W końcu to nie było tak, jakby odmawiała mu tańca.

— W porządku, January, rozumiem. — Powiedział to chłodnym tonem.

— No, już jesteśmy.

Gdy odprowadził ją do drzwi i pocałował w czoło, poczuła się tak, jakby wymierzył jej policzek.

Położyła się do łóżka i nastawiła radio na stację grającą non stop albumy płytowe. Lubiała Davida, to znaczy m o g ł a b ? go lubić, gdyby tylko pozwolił jej się poznać. Potrzebowała tej sympatii, chciała go polubić, ponieważ poczuła się nagle bardzo samotna.

Zdawało jej się, że dopiero co usnęła, gdy zadzwonił telefon.

— Czy obudziłam cię? — spytała wesoło Linda.

— Która godzina?

— Wpół do ósmej rano, sześćdziesiąt osiem stopni Fahrenheita, przejrzystość powietrza w normie, a ja właśnie siedzę przy biurku i mam już za sobą godzinę ćwiczeń jogi.

January zapaliła lampę.

— Zasłony są u mnie zaciągnięte i wygląda tu, jakby wciąż była noc.

— January, muszę się z tobą zobaczyć. To ważne. — Głos Lindy był nadal pogodny, ale czuło się w nim naleganie. — Nie mogłabyś wciągnąć na siebie spodni i przyjść tu na śniadanie? Przyślę po ciebie.

— Nie mogę, o dziewiątej mam spotkanie w agencji Landis. Hej, pogratuluj mi, nauczyłam się palić.

— Rzuć, zanim się wciągniesz.

— Och, robię to tylko dla reklamówki. Chociaż muszę przyznać, że pomogło mi przebrnąć przez nudę wczorajszego wieczoru. Gdy gapisz się bezmyślnie w przestrzeń, a twój chłopak rozprawia ze znajomymi przy sąsiednim stoliku, papieros może stać się jedynym sprzymierzeńcem dziewczyny.

— January, muszę się z tobą zobaczyć.

— Czy to ma coś wspólnego z tym artykułem o mnie? Nastąpiła chwila ciszy i Linda zawołała: — Oczywiście! Posłuchaj, czy nie będziesz przypadkiem wolna w porze obiadu?

— Będę bardzo wolna.

— Doskonale, zajrzyj około wpół do szóstej. Usiądziemy z Sarą Kurtz i omówimy artykuł, a potem możemy pójść do Louise. To dobra włoska restauracja, gdzie dwie kobiety mogą się wybrać bez narażania się na podejrzenia, że chcą coś poderwać. Do zobaczenia.

Gdy January przyszła, Linda kończyła właśnie kolegium redakcyjne. Dała jej znak, by usiadła na kanapie w końcu pokoju; sama siedziała przy swoim biurku, redaktorzy zaś otaczali ją półkolem.

— Myślę, że to wyczerpuje większość naszych planów co do lutowego numeru — powiedziała. Rozległo się ciche szuranie krzeseł i wszyscy zaczęli wstawać. Nagle Linda dodała: — Aha, Carol, sprawdź, czy jest John Weitz. Mówił, że może zarezerwować Colony i wydać przyjęcie z okazji Dnia Świętego Walentego. Może udałoby się upozorować parę zdjęć wystroju, które byśmy mieli do lutowego numeru, a także, gdyby już się orientował, kogo zaprosi... Wiem, że jest wcześniej, ale musi mieć z dziesięć lub dwanaście nazwisk, co do których jest pewny, że dostaną zaproszenia. — Wstała, co znaczyło, że spotkanie dobiegło formalnie końca. Ciężki, znużony uśmiech dawał do zrozumienia, że prawdziwy uśmiech za dużo by ją kosztował. Jej oczy przeczeszały pospiesznie

rozchodzącą się grupę. — Gdzie Sara Kurtz? — zapytała.

— Rozmawia z Londynem — odpowiedział młody mężczyzna. — Próbuje zbadać, czy Bow Bell Boys faktycznie nie są Anglikami.

— Tó śmieszne — warknęła Linda. — Są największą sensacją w Stanach od czasu Rolling Stonesów.

Młody człowiek pokiwał głową niemalże przepraszająco.

— Tak, ale Sara przysięga, że pamięta, iż lider zespołu był dyskdzokejem w 1965 roku w Cleveland. Twierdzi, że pochodzi wprost z Shaker Heights, a wiesz, że Sara nigdy nie zapomina twarzy.

— No dobra. Przyślij ją tutaj, jest mi potrzebna, i to natychmiast.

Wszyscy rozchodzili się w niewielkich grupach. Linda podeszła do January i opadła na kanapę.

— I to był łatwy dzień — westchnęła. Patrzyła, jak January pali papierosa. — Widzę, że dostałaś tę reklamówkę, co?

— Mylisz się, byłam w ostatniej trójce do wyeliminowania. Podobno zaciągam się po mistrzowsku, ale moje wydychanie wymaga jeszcze treningu.

Linda roześmiała się, podeszła do biurka i nacisnęła guzik inter-komu.

— Powiedz Sarze Kurtz, żeby tu natychmiast przyszła. Nie mogę czekać całą noc, aż skończy ścigać jedno ze swych urojeń.

— Czy myślisz, że ten chłopak naprawdę pochodzi z Cleveland?

— Sara leci na dyskdzokejów — wzruszyła ramionami Linda. — Chłopak z Cleveland musiał ją niezłe spławić. Nie spocznie, dopóki nie wyrówna rachunków. Jeżeli on j e s t z Bow Bell Boys, to niech Bóg ma go w swej opiece.

— Wydaje się straszna.

— Bo i jest. Skończymy z tym, a potem sobie pogadamy.

W kilka sekund później do pokoju wpadła nieprawdopodobnie wielka dziewczyna zdradzająca niesamowite podobieństwo do Maluńskiego Tima. Linda przedstawiła January Sarę Kurtz, ta zaś pochyliła się, ściskając jej rękę. Potem wyciągnęła zmięty blok listowy z wypchanej drelichowej torby i zaczęła w nim bazgrać. Skoncentrowała się głównie na przeliterowaniu imienia January i była ogromnie zdziwiona, że pisze się je tak samo jak nazwę miesiąca. Zadała jej kilka pytań, a następnie pozbiierała manatki i wyszła z pokoju.

— To prawdziwa bestia — powiedziała Linda. — Keith twierdzi, że mogłaby grać w nowojorskich Knickersach. Jej ojciec był dobrym dziennikarzem i Sara, o dziwo, odziedziczyła po nim styl przez osmozę. Zostawiamy ją na co ostrzejsze kawałki. Dostaje orgazmu, kiedy się tym

zajmuje. Powiedziałam jej, że to ma być opowiadanie z wyższych sfer, dlatego jest bardziej niż zwykle przygnębiona.

— Dlaczego lubi gnoić ludzi? — spytała January. — Myślę, że później trudno jej spojrzeć im w twarz.

— Gdybyś wyglądała tak jak Sara, też byś po prostu nienawidziła świata.

— Wydaje mi się, że mówiłaś, iż brzydota jest teraz w modzie?

— To prawda, ale jedna brzydota jest modna, a inna — nie. Brzydota Sary jest zdecydowanie niemodna. Ale nie martw się, masz zgodę na autoryzację artykułu. Oto umowa... wszystko podpisane — wręczyła January kopertę. — Powiedz tacie, że nie musi się niepokoić.

January schowała kopertę do torebki. Linda przyglądała się jej uważnie.

— Hej, czy niepowodzenie w tej reklamówce naprawdę tak cię ruszyło?

— Pewnie, że nie, a dlaczego pytasz?

— Przez chwilę wyglądałaś tak, jakby świat się zawalił.

— To śmieszne — próbowała się uśmiechnąć. — Mam wszystko, co daje szczęście: jestem w Nowym Jorku, mój ojciec ma wspaniałą żonę, mieszkam w pięknym, specjalnie dla mnie odnowionym pokoju w hotelu Pierre.

— Gównu prawda.

— Co powiedziałaś?

— Powiedziałam „gównu prawda”. January, kogo starasz się nabrać? Nie cierpisz tam mieszkać i nie możesz patrzeć na swego ojca z Deirdre Milford Granger.

— To nieprawda — wzruszyła ramionami January. — Poza tym rzadko ich widuję. Ale naprawdę dziwnie się tam czuję. To znaczy, wiem, że to jej apartament, i mam wrażenie, że jestem tam intruzem.

— Więc się przeprowadź.

— Mnie nie chce.

— Posłuchaj, jeżeli będziesz chciała wszystkim dogodzić, to skończy się na tym, że nikogo nie zadowolisz.

January zgasiła papierosa.

— Problem w tym, że tak naprawdę to nie wiem, czego chcę.

Prawdopodobnie dlatego, że całe życie myślałam wyłącznie o tym, żeby być z ojcem. A teraz, gdy idę na randkę, stwierdzam, że... nie wiem co robić, jak się zachować.

— Och, ty potrzebujesz psychiatry! — zagwizdała Linda.

— Miałam tego w bród w klinice.

— Czego?

— Och, Lindo... to długa historia. Zrozum, kiedy rośniesz bez matki, to

chyba naturalne, że ojciec staje się dla ciebie najważniejszą osobą w życiu. A gdy masz takiego ojca jak Mike...

— Zgoda, twój ojciec jest cholernie atrakcyjny, tylko że David Milford jest nie mniej interesującym mężczyzną. Ronnie Wolfe napisał w swej rubryce, że byłaś z nim przedwczoraj w Raffles. Mnie nie bierze ta sztuczna sfera, ale jeżeli ty masz chęć tak żyć, to David Milford jest na to jedynym sposobem.

— To było przyjęcie wydane przez Dee. Wczoraj też mieliśmy randkę. Chciał, żebym poszła do niego, ale się nie zgodziłam. Gdy odwiózł mnie do domu, nawet nie próbował pocałować na dobranoc.

Linda wstała.

— Chodźmy do Louise. Obie potrzebujemy się czegoś napić. Restauracja podobała się January. Louise była miłą kobietą, emanującą matczynym ciepłem. Przyniosła im półmisek kurzej wątróbki przyrządzonej na sposób domowy. Powitała serdecznie January w Nowym Jorku i powiedziała jej, że wygląda jak gwiazda filmowa. W lokalu panowała rodzinna atmosfera i January czuła, że zaczyna się odprężyć. Zamówiła kieliszek białego wina, a Linda podwójne martini Tanqueray z lodem; przez chwilę obie siedziały w milczeniu.

Linda wypiła duży łyk i zabujała szklanką, by usłyszeć plusk płynu na kostkach lodu, a potem spytała: — Co myślisz o Keicie?

— Jest bardzo sympatyczny.

— Czy widziałas się z nim po tamtym spotkaniu?

— Ja? A dlaczego miałabym się z nim widzieć?

— Cóż, j a go nie widziałam — warknęła Linda. Potem wypiła jeszcze jeden duży łyk martini. — Proszę, powiedz mi prawdę. Czy dobierał się do ciebie?

— Co?

— No, czy przystawiał się...

— Oczywiście, że nie! Poszliśmy na przedstawienie i...

— I co?

— Uciekłam z teatru... i chyba od niego.

Obie milczały. Po chwili January dodała: — Słuchaj, Lindo, może jestem staroświecka, ale byłam zaszokowana i...

— No cóż, nie mam nic przeciwko nagości — powiedziała Linda. —

Ale... — zamilkła na chwilę. — Co ja ci tutaj za kit wciskam! Gadam, jakbym miała tak samo wyprany mózg jak Keith. Ciało ludzkie jest piękne, więc je pokazuj. Tak, byłam tam wczoraj wieczorem; Keith siedział na widowni, nie widział mnie. Powiedz mi, co jest pięknego w

kłębowisku brzydkich ludzkich ciał ocierających się o siebie w brudnym teatrze, na brudnej scenie? Ich nogi były czarne z brudu. To było obrzydliwe. I nie myśl, że ci wszyscy ludzie w limuzynach przyjeżdżają tam, by zobaczyć prawdziwą sztukę! Przyjeżdżają popatrzeć, jak kupa głodujących aktorów się upadła. Mój Boże, aktor powinien przejść przez wiele niepowodzeń, ale zostawmy mu w końcu trochę prywatności! Niestety, teraz nie istnieje coś takiego jak godność osobista, zniknął szacunek dla samego siebie. Dla pieniędzy ludzie robią wszystko. Jesteśmy nowym pokoleniem, jesteśmy wyzwoleni. Małżeństwa są niemodne, przyszła moda na... bękarty.

— Wczoraj powiedziałaś, że nie wierzysz w małżeństwo.

— Już nie bardzo wiem, w co wierzę — potrząsnęła głową.

— Posłuchaj, moja matka miała czterech mężów, a obecnie jest zajęta szukaniem piątego. Mój ojciec był trzykrotnie żonaty. Dzięki temu mam siedmioro przyrodnich braci i sióstr, których nawet dobrze nie znam.

Wszyscy są poza domem, w takich szkołach jak pensja panny Haddon. Ale są ślubnymi dziećmi, więc wszystko jest w porządku

— tak przynajmniej sądzi moja matka, gdyż tak ją nauczono. Nasze pokolenie jest natomiast przeciwne małżeństwu, ponieważ właśnie tego nas nauczono.

— Kto nas nauczył?

— Ludzie, z którymi mieliśmy do czynienia i na których nam zależy.

— Lindo, ty byś chciała wyjść za Keitha, prawda?

— Być może, gdyby się jednak o tym dowiedział, straciłabym go na zawsze... jeśli już go nie straciłam.

— Ale co się stało?

— Nie wrócił tamtego wieczoru do domu. Zadzwonił i powiedział, że zdecydował się pomieszkać trochę w tej ohydnej komunie, aby wszystko przemyśleć. Wie, że jestem przeciwna, aby grał w tej sztuce. Wtedy w biurze nie powiedział mi, o jakie przedstawienie chodzi. Posłuchaj, jeżeli nagość jest konieczna dla dramaturgii, jeżeli taki jest realizm, to wszystko w porządku. Ale to, co oni tam robią... — potrząsnęła głową. — Wiem, czym naprawdę gryzie się Keith: tym, że ja zarabiam rocznie trzydzieści pięć tysięcy plus premię z okazji Bożego Narodzenia, a on tyle samo, ale setek, wliczając ubezpieczenie dla bezrobotnych. Według niego należę do establishmentu. Już wszystko mi się pomieszało. Posłuchaj, próbowałam się przystosować: siedziałam z jego przyjaciółmi i piłam piwo, nie zaś martini, zamiast eleganckich spodni nosiłam drelichy, ale nie ma takiego prawa, które nakazywałoby mi żyć jak świnia. Płacę za mieszkanie

czterysta dolarów miesięcznie. Mieszkam w dobrej dzielnicy, w eleganckim budynku z portierem i windziarzem. Codziennie jestem w biurze przed ósmą i czasami nie wychodzę przed północą. Zapracowałam na to, aby móc wracać do wygodnego mieszkania. Dlaczego miałabym to wszystko rzucić i pracować dla jakiejś szmatławej gazety za pięćdziesiąt dolarów wierszówki?

— Czy Keith właśnie tego chce?

— Wiem tylko, że zawsze poniżej mnie, „Gloss” i każdy artykuł, który wymyślę, zachwyca się natomiast facetem sprzedającym świńskie wierszyki do gazet z rysunkami fiuta na okładce. Twierdzi, że ten facet pisze, bo ma coś do powiedzenia i nie szuka taniego poklasku. Mówię ci, jestem chora od słuchania tych frazesów, ale kocham go i pragnę. Przecież nie zmuszam Keitha, by postępował tak jak ja. Gdybyśmy tylko mogli osiągnąć kompromis, wiem, że byłoby nam razem wspaniale. Chcę tego, mój Boże, naprawdę chcę!

— To musi być cudowne uczucie, wiedzieć, czego naprawdę się chce — szepnęła January.

— A ty nie wiesz? Nie ukierunkowali cię jakoś na tym ekskluzywnym szwajcarskim uniwersytecie? A propos, jak on się nazywa? Sara będzie chciała poznać przynajmniej twoje osiągnięcia w college[^]

— Lindo, opowiem ci wszystko... po obiedzie.

Siedziały przy kawie i Linda słuchała w milczeniu opowieści January o klinice. Gdy ta skończyła, upiła trochę brandy, a oczy wypełniły jej się łzami.

— Jezus Maria — powiedziała miękko — faktycznie miałaś zasrane szczęście. Trzy lata wymazane z życia, trzy lata czekania na powrót do snu o tatusiu, a potem zastajesz go żonatego.

January próbowała się uśmiechnąć.

— To przecież nie jest tak, jakby mnie zdradził. Nie jest moim kochankiem.

— Nie jest?

— Lindo!

— Och, daj spokój, January. Nie przespałaś się z tym boskim Włochem, który jest odpowiedzialny za rozbicie twojej głowy, odrzuciłaś Davida Milforda — każdy psychiatra ci powie, że na drugiej randce chciałaś ochłodzić swe stosunki z Davidem, ponieważ za bardzo ci się podoba. Czulaś się winna, jakbyś oszukiwała tatusia.

— To nieprawda, spójrz tylko, jak zorganizował to nasze spotkanie. Po raz pierwszy byliśmy sami. Żadnych świec i wina, po prostu przyjeżdża o

wpół do szóstej, dzwoni do mnie z holu, nie chce nawet wejść na drinka. Potem gnamy pięć przecznic do kina, a następnie zaciąga mnie do Maxwell's Plum. To wspaniałe miejsce do balowania, ale nie zabiera się tam dziewczyny, gdy chce się porozmawiać i poznać ją lepiej. I potem nagle zaprasza mnie do siebie.

Linda słuchała zamyślona.

— Zgadzam się, zanim się wskoczy do łóżka, należy trochę porozmawiać. Kiedy mężczyzna zaprasza cię do swego mieszkania, to tylko w tym jednym, konkretnym celu. Trochę inaczej jest, gdy ty zapraszasz go do siebie na drinka. Wtedy ty jesteś panią sytuacji i cokolwiek się stanie, wygląda naturalnie, w sposób nie zamierzony. Ale ty nie możesz go przecież zaprosić ot tak do "i?????". Naprawdę, January, pierwszą rzeczą, jaką powinnaś zrobić, to znaleźć własne mieszkanie.

— Chciałabym, ale...

— Ale co? Posłuchaj, zdajesz sobie z tego sprawę czy nie, lecz usychasz z rozpaczy za każdym razem, gdy widzisz ojca z Dee. To nie w porządku wobec ciebie... ani wobec nich. Uwierz mi, nigdy nie będziesz miała romansu, jeżeli nie wyprowadzisz się od ojca. A jeśli chodzi o twą karierę w teatrze... Cóż, jestem ostatnią osobą, która powinna się wypowiadać...

— Nie jestem Keithem, zdaję sobie sprawę, że nie traktuję grania poważnie — odpowiedziała January — wiem jednak, że muszę coś zrobić, być w środku zdarzeń. Nie chcę stać się taka jak moja matka.

— Dlaczego? A co takiego zrobiła poza tym, że umarła, gdy byłaś małą?

— Och, ona... cóż, siedziała na uboczu i wielkimi brązowymi oczami tylko obserwowała życie. Obserwowała, podczas gdy Mikę d z i a ł a ł. Ja też chcę działać.

— No cóż, tak jak mówiłam, zawsze jest jeszcze dla ciebie miejsce w „Glossie”.

— Wiesz, Lindo, nie chcę pracy, która by polegała tylko na użyczeniu swojego nazwiska.

— To nie byłaby tego typu praca, naprawdę dałabym ci zajęcie.

— Mówisz poważnie? Linda pokiwała głową.

— A co byś powiedziała, gdybym cię poprosiła, żebyś użyła wszystkich możliwych sposobów, aby dostać się do pewnych osób albo zdobyć temat do artykułu? Sama to robię. Siostra mojej matki wyszła za mąż za zawodowego gracza w golfa. Użyłam jej, by załatwiła mi pozwolenie na wyjazd na wielkie tournée. W ten sposób napisałam reportaż o tym, jak żyją żony graczy w golfa. Na początek nie obiecuję ci wielkich pieniędzy.

— Mam na koncie ponad piętnaście tysięcy — odparła January. — Masz

rację, powinnam się wynieść z hotelu.

— Posłuchaj — Linda pstryknęła palcami — w moim domu mieszka pewien kawaler, Edgar Bailey. Myślę, że jest pedziem. W każdym razie uczy na Uniwersytecie Kolumbijskim i jedzie na rok do Europy, by prowadzić tam badania naukowe. Pytał mnie właśnie parę dni temu, czy nie znam kogoś, kto chciałby podnająć jego mieszkanie. To tylko jeden pokój, garsoniera. Tak naprawdę to myślę, że chcą go stamtąd wywalić. Chcesz, żebym się dowiedziała o cenę?

January spojrzała na zegarek. — Jest dopiero dziewiąta. Zadzwoń do niego od razu, może będziemy mogły jeszcze dziś to załatwić.

Edgar Bailey był oczarowany January, zachwycony jej imieniem. Pokazał jej wielką szafę, do której można było wejść, małą garderobę, wspaniałe wielkie łóżce typu Castro Convertible i widną kuchnię. Powiedział, że płaci za mieszkanie sto siedemdziesiąt dolarów, a ponieważ meble są jego, będzie musiał prosić o dwieście siedemdziesiąt pięć.

— Dobra, dobra, panie Bailey — wtrąciła się Linda — płaci pan sto trzydzieści dziewięć. Wiem to od dozorczy. Poza tym chcą pana stąd usunąć. January będzie panu płacić dwieście dwadzieścia pięć miesięcznie — tylko tyle jest warte. Nie ma tu niczego, co przedstawiałoby jakąś wartość, łącznie z tym pięknym łóżem. Ma już ponad dziesięć lat. Zacisnęła na chwilę usta; potem sięgnęła po butelkę sherry i trzy maleńkie kieliszki.

— Zdrowie mojej nowej lokatorki. Wiem, że mógłbym dostać o wiele więcej, ale będę miał lepsze samopoczucie, jeżeli ktoś miły zajmie się moim mieszkaniem.

Linda podniosła swój kieliszek.

— Wie pan również, że musi wyjechać za dziesięć dni i zaczyna pan wpadać w panikę.

January uśmiechnęła się podnosząc swój kieliszek.

— Za pana podróż, panie Bailey. I twoje zdrowie, Lindo. Linda pokręciła głową. — Nie, twoje zdrowie. Zdrowie panny January.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

January usiadła podparłszy się na swym łóżku, otoczona stertą starych egzemplarzy „Glossu”. Wykonywała swe pierwsze zadanie — artykuł zatytułowany Śniadanie PSK. PSK było skrótem określenia „piękne, szczupłe kobiety”. Nie udało jej się dotrzeć do Babę Paley czy Lee Radziwiłł, za to Dee pozwoliła zacytować swe słowa: „A kto wstaje przed

lunchem? Tylko dzieci jedzą śniadanie." Miała też inne cytaty: pewnej szczupłej poetki, młodej gwiazdki filmowej i pisarki — wojowniczką z Ruchu Wyzwolenia Kobiet. Nadal starała się skontaktować się z Bess Meyerson i Barbarą Walters. Czy Barbara Walters je śniadanie przed czy po porannym programie Dzisiaj? Próby dotarcia do tych osób zajmowały jej praktycznie cały czas.

Przestudiowała dokładnie ostatnie artykuły w czołowych magazynach i zauważyła, że te, które wzbudziły jej zainteresowanie, mają zwykle początek wciągający czytelnika. Próbowwała już dziesięć różnych wstępów, ale żaden jej się nie podobał. Linda spodziewała się oczywiście, że posadzi kogoś nad zredagowaniem tekstu, lecz January chciała ją zaskoczyć i przynieść gotowy artykuł. Praca w magazynie dała jej po raz pierwszy poczucie tożsamości, którego nigdy nie zaznała. Małe pomieszczenie bez okien, gdzie codziennie chodziła, było jej gabinetem, mieszkanie wynajmowane od pana Bailey'a było teraz jej mieszkaniem, a płaciła za nie pieniędzmi, które sama zarabiała.

Ostatnie trzy tygodnie spędziła jak w gorączce, lecz były to trzy tygodnie życia na własny rachunek i podejmowania samodzielnych decyzji.

Najbardziej przykre było przebrnięcie przez pierwszy tydzień, a przede wszystkim poinformowanie "i???" i Dee, że się wyprowadza. Oczywiście Dee zwróciły się ze złości, zanim jednak zdołała zaproponować, Mike wtrącił się, mówiąc: — Wiedziałem, że będziesz chciała pójść własną drogą.

Większość dziewcząt tak robi. Skoro więc tego naprawdę chcesz... cóż, masz do tego prawo, do ciała.

Dee uparła się, że musi obejrzeć mieszkanie, zanim January podpisze umowę. Gdy weszła, Edgar Bailey sprawiał wrażenie oszołomionego. — Och, panno Granger... to znaczy... pani Wayne... Och, nie miałem pojęcia, że January jest pani córką.

January wiedziała, że jest bliska zapaści na myśl o dwustu dwudziestu pięciu dolarach czynszu.

— Chce pan powiedzieć, że jest tu zaledwie jeden pokój? — spytała Dee.

— Ale bardzo przestronny — upierał się Bailey. — Ogromnie się cieszę, że ktoś taki jak January będzie mieszkał wśród moich rzeczy, w moim małym mieszkanku.

Dee wyminęła go, odstłoniła zasłony i jęknęła: — Dobry Boże, January, okno wychodzi na podwórko.

— Na ogród... — niepewnie szepnął Bailey.

— Brak słońca i tylko jeden pokój, ale widzę, że takie jest to młode pokolenie — westchnęła Dee. — Opuścić luksusowy apartament dla

nędznej nory!

Bailey doszedł do siebie.

— Proszę pani, to jest bardzo piękny budynek. Dee machnęła tylko ręką.

— No cóż, myślę, że można by go jakoś rozweselić. Usunąć te okropne zasłony, zmienić dywan, dodać trochę nowych poduszek...

— Proszę pani — głos Bailey'a załamał się histerycznie — nie można tu niczego zmieniać. Te zasłony robił mi...

Tymczasem Dee już zniknęła w kuchni, a January ruszyła za nią uspokoiwszy pośpiesznie pana Bailey'a, iż wszystko pozostanie nie tknięte oraz że bardzo jej się podobają weneckie ślepe okna i zasłony w kwiatki. Podpisała umowę dzierżawną i wprowadziła się pierwszego października. David przysłał jej dracnę w doniczce; pan Bailey zostawił skromny bukiet róż w paczkach, które nigdy się nie rozwinęły, i karteczkę z życzeniami powodzenia; Linda przysłała jej papier listowy od Bergdorfa z nadrukowanym nazwiskiem i adresem January; o piątej zaś przyjechał Mike z butelką szampana. Wypili go z dodatkiem lodu, a potem Mike rozejrzał się po mieszkaniu z uśmiechem.

— Wiesz co? Myślę, że jest wspaniale. Całe życie mieszkałaś z kimś.

Najpierw szkoła, potem szpital. Czas, abyś miała własne zacisze.

O siódmej przyjechała Dee, żeby go zabrać, gdyż wybierali się na wystawę do galerii sztuki. Przyniosła koszyk zakąsek.

— Nigdy nie wiadomo, kiedy mogą ci się przydać. Jest tu kilkanaście puszek wędzonych ostryg... nie rób takiej miny, David je uwielbia.

Wystarczy je ułożyć na tych małych krakersikach. A propos, David przepada za tym, co ja nazywam śmierdzącym serem. Możesz go uszczęśliwić, tnąc ser na słupki i wbijając w każdy wykałaczkę. A właściwie, czy są jakieś postępy?

— Przysłał mi kwiat — odpowiedziała January. Dee uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— Szykujemy się z Mikiem na krótki wypad do Europy. W Londynie jest turniej tryktraka i ja biorę w nim udział. Niedługo wrócimy, ale czujemy się okropnie, zostawiając cię tutaj, w tym brudnym, małym mieszkaniu z tą twoją pracą. Czy mogę jeszcze przed wyjazdem zrobić coś dla ciebie, poza wyjawieniem twojemu magazynowi, że nie jadam śniadań?

January zawahała się na moment.

— Czy Karla jest w mieście?

— Dlaczego pytasz?

— Marzę o tym, żeby zrobić z nią wywiad. Śmiech Dee był chłodny.

— Karla nigdy nie udziela wywiadów. I to nie dlatego, że udaje Gretę Gar

bo czy Howarda Hugesa — jest po prostu głupią Poleczką. Daj spokój, January, nie mów mi tych frazesów, że wszyscy jesteśmy tacy sami. Znam Karłę i wiem, że jest głupia. Nigdy nie przeczytała żadnej książki, nigdy nie głosowała, nie interesuje jej, co się wokoło niej dzieje, poza jej własną wygodą. Jest teraz w mieście, dzwoniła do mnie któregoś dnia, ale prawdę mówiąc byłam zbyt zajęta, aby się z nią zobaczyć. Karła chodzi własnymi ścieżkami. To znaczy, że nie zje lunchu w żadnym cywilizowanym miejscu, a zanim przyjdzie na obiad, trzeba jej najpierw pokazać całą listę gości — to śmieszne, nie jest Nurejewem lub księżniczką Grace, a tylko była aktorką, która z jakiegoś idiotycznego powodu nadal ma niebываły rozgłos.

Tyle, jeśli chodzi o wywiad z Karłą.

Napisała do Davida i podziękowała za kwiat. Zatelefonował i powiadomił ją, że wyjeżdża z miasta w interesach, ale obiecał, że zadzwoni, jak tylko wróci. To było dziesięć dni temu. Jadała obiady z Lindą lub innymi dziewczętami z redakcji, ale była całkiem zadowolona, gdy wracała do domu i pracowała nad artykułem bądź czytała. Kupiła walizkową maszynę do pisania i nauczyła się stukać

dwoma palcami. Linda widywała od czasu do czasu Keitha, lecz oficjalnie nie byli razem; większość czasu spędzał w jej mieszkaniu, upierał się jednak, by jego rzeczy zostały w „komunie”.

— Osobiście uważam, że mieszka ze mną, ponieważ lubi moją kabinę z prysznicem — zwierzała się Linda. — Jesteśmy razem, ale to już nie to samo.

Nie chciała pojechać do śródmieścia, by obejrzeć przedstawienie, przystała natomiast na nową dietę wzmacniającą, którą stosował Keith — organiczna żywność, codziennie dwadzieścia różnych witamin plus potężne zastrzyki z witamin dwa razy w tygodniu u nowego lekarza, który, jak zaklinał się Keith, jest geniuszem. Widać było, że daje to rezultaty, gdyż Linda, zawsze entuzjastycznie energiczna, teraz była wręcz naładowana. Chyba nigdy nie spała: czasami dzwoniła do January o trzeciej nad ranem i wołała: „Hej, nie mów mi, że śpisz! Na dziewiątym kanale leci boski film z Bogartem.”

Mike przysłał jej widokówkę, w której informował, że Dee doszła do finału. Jakoś jej to nie pasowało. Mike — hazardzista wszechczasów — stał z boku i patrzył, jak jego żona rzuca kostką.

Gdy teraz siedziała na łóżku i starała się napisać pierwszy akapit, zaczęła wątpić, czy naprawdę może stworzyć zabawny artykuł nie będąc potworem. Gapiła się na krótką wypowiedź eks-modelki o twarzy bez

wyrazu, której udało się nakręcić swój pierwszy (i ostatni) film. Jej rola została pocięta na strzępy z uwagi na grę bez wyrazu. „Och, byli dla mnie tacy mili. Dali mi na śniadanie prawdziwą wątróbkę cielecą. Nigdy nie byłam szczuplejsza.” Mój Boże, co by zrobiła z takiego zdania Sara Kurtz? Westchnęła i podeszła do maszyny. Nawet stwierdzenie Dee brzmiało fałszywie, a przecież gdy to mówiła tym swoim znudzonym tonem, było zabawne.

Wkręciła nową kartkę papieru i zrobiła jeszcze jedną próbę. Może gdyby stwierdziła, że modelka była anemiczna i musiała jeść wątróbkę... Albo gdyby tak zacząć: „Deirdre Wayne jest dlatego taka piękna, że...” Nie, wyszarpnęła papier. Musi być lepszy sposób na rozpoczęcie tego artykułu. Właśnie wkręciła kolejną czystą kartkę, gdy zadzwonił telefon. Dźwięk wibrował w pokoju — znowu zapomniała podkręcić dzwonek. To zapewne Linda z nową wieścią o filmie z Bogartem. Nie wierzyła własnym uszom, gdy usłyszała znajome: „Cześć, maleńka.”

— Tatuś! Gdzie jesteś?

— W klubie „P.J.”

— Co?

— Właśnie wysiedliśmy z samolotu i język mi wprost uciekał do chili, przyszliśmy więc tutaj prosto z lotniska. Może byś do nas dołączyła? Przyślę po ciebie samochód.

— Bardzo bym chciała, ale nie jestem ubrana i pracuję właśnie nad artykułem, który ma być gotowy do końca tygodnia.

— Naprawdę piszesz?

— Tak, i myślę, że będzie dobrze.

— Hej, to rzeczywiście wspaniale. Cóż, lepiej wrócę już do Nic-ka-Greka, jak ostatnio nazywam Dee. Ta babka zdobyła trzecie miejsce i wygrała piętnaście tysięcy dolarów. A co powiesz na wspólny lunch jutro? Tylko my, we dwoje? — Przekrzykiwał hałas w restauracji.

— Och, Mike, z radością.

— Dobra, wymyśl, gdzie chciałabyś pójść. Zadzwoń do redakcji w południe. Aha, jeszcze chwila. Właśnie idzie tu Dee i myślę, że chce ci powiedzieć „cześć”.

— January? — to był trochę szorstki głos Dee.

— Gratuluję! Jestem pod wrażeniem — powiedziała January.

— Och, doskonale się bawiliśmy. Przyjedziesz do nas?

— Nie, mówiłam już Mike'owi, że jestem zavalona pracą. Dee zaśmiała się w słuchawkę.

— Ech, ty dziewczyno robiąca wielką karierę. Och, Mike... — głos Dee

oddalił się od telefonu — przestań, wracaj lepiej do naszego stolika, żeby nas ktoś nie podsiadł. Zamów to cholerne chili, a dla mnie sałatkę ze szpinaku. January, jesteś tam jeszcze?

— Tak, i przez ciebie staję się głodna.

— Strasznie tu dzisiaj tłoczno. Nie wiem, dlaczego wszyscy gapią się na drzwi, ktoś musi wchodzić. Może Onassis z Jackie? Powiedz mi, January, czy dobrze się bawisz, prowadząc życie dziewczyny robiącej karierę?

— Bawię się świetnie, Dee. Myślę, że naprawdę potrafię pisać... trochę.

— To miło i... — nagle jej głos zamarł. W tej samej chwili January usłyszała w klubie narastający hałas.

— Dee, jesteś tam?

— Tak... — głos Dee był napięty.

— Dobrze się czujesz?

— Tak... wszystko w porządku. Powiedz mi, January, kiedy ostatnio widziałas się z Davidem?

— Dlaczego pytasz? Ja...

— Jest tu niezłe poruszenie, bo właśnie David wkroczył z moją starą przyjaciółką Karłą.

— Karła? W klubie?

— Och, robi tak od czasu do czasu. Wpada tam, gdzie nikt nigdy by się jej nie spodziewał — głos Dee był spokojny. — Ale nie martw się, kochanie, Karła nie jest dla ciebie żadną konkurencją.

— Wcale się nie martwię, Dee, David robi na mnie faktycznie duże wrażenie.

— Wracaj do swoich zajęć, aniele, ja się wszystkim zajmę. Minie parę dni, zanim zorganizuję wszystko po powrocie. Dlaczego nie mielibyśmy się spotkać w niedzielę na brunchu około pierwszej?

January odłożyła słuchawkę. Nie przejmowała się tym, że David był z Karłą, martwiło ją to, że był w mieście i nie zadzwonił. Wróciła do maszyny, ale nie była w stanie skoncentrować się na artykule. Wstała i przeszła do kuchni, aby napić się coli. Spojrzała na nową konewkę, którą kupiła do podlewania draceny Davida. Robiła to właśnie wczoraj. Kwiaciarka powiedziała, że dracenę należy podlewać tylko dwa razy w tygodniu. Chwyciła konewkę i napełniła ją wodą, a potem pomaszerowała do pokoju i zaczęła lać wodę na kwiat.

— Utop się, ty sukinsynie — zawołała. — Utop się, utop!

Gdy Dee wracała z kabiny telefonicznej, udało jej się niechcący wpaść na Davida i Karłę, którzy kierowali się właśnie do niewielkiego stolika w końcu sali.

— Karlo, nie mogę wprost uwierzyć, że ciebie widzę w „P.J.”

— rzuciła lekko.

Karla uśmiechnęła się do niej.

— Niedaleko stąd, w takim małym kinie, grali Czerwone buty. Widziałam to wiele razy, ale zawsze mnie zachwyca. Wieczór jest tak piękny, że miałam ochotę pospacerować, aż wreszcie zgłodniałam.

— Odwróciła się i spojrzała na „i??”, który wstał od stolika i podszedł do Dee. — Czy to jest twój nowy przystojny mąż?

— Tak, a pani jest tą kobietą, którą zawsze chciałem poznać

— odpowiedział Mikę.

Karla wyciągnęła do niego rękę.

— Widzi pan teraz, jakie to proste.

— Jak długo jesteś w mieście? — spytała Dee. Karla wzruszyła swymi szerokimi ramionami.

— To są właśnie rozkoszne strony pozostawania bez pracy. Zatrzymuję się tam, gdzie chcę i na tak długo, jak mi się podoba.

— Za jakieś dziesięć dni otwieramy dom w Palm Beach, może będziesz chciała wstąpić? Mogę ci dać wschodnie skrzydło, które zajmowałaś poprzednio.

— To bardzo miło z twojej strony — uśmiechnęła się Karla.

— Może zjawię się u was, a może pojedę na narty do Gstaad. Kto wie? Nawet dziesięć dni to jednak bardzo dużo czasu. Teraz mogę myśleć tylko o żołądku, jestem bardzo głodna. — Zwracając się do „i??” dodała: — Bardzo miło było pana poznać. — Potem uśmiechnęła się i poszła do swego stolika, a za nią David.

Dee usiadła z Mikiem i zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu papierośnicy.

— Mikę, nie chcę się wtrącać, ale czy nie sądzisz, że January zniechęciła Davida?

— Karla jest poważną konkurencją — uśmiechnął się Mikę.

— Jesteś śmieszny. Karla jest tak stara, że mogłaby być jego matką. Myślałam, że David dostanie bzika na punkcie January. Tak wspaniale wyglądają razem.

— Posłuchaj, Dee, dość dawno się przekonałem, że samo patrzenie na rolę wcale nie znaczy, iż potrafisz ją zagrać.

— January powinna się starać jakoś go zachęcić. Nie jest w końcu dzieckiem, za kilka miesięcy skończy dwadzieścia jeden lat.

— Nie ma jeszcze młodości za sobą — zaśmiał się Mikę. — Poza tym dziewczęta teraz wcale nie spieszą się do małżeństwa. Połowa z nich w

ogóle w tę instytucję nie wierzy.

— January nie jest dzisiejszą dziewczyną. Tkwi uwięziona między dwoma światami: tym wyizolowanym, który właśnie opuściła, i nowym, w który nie bardzo wie, jak wejść. Gdyby się naprawdę zakochała i coś jej nie wyszło, mogłaby się załamać.

— Nie sądzę, aby tak się stało. Myślę, że jest doskonale przystosowana: ma pracę, własne mieszkanie. Czego byś jeszcze chciała? Jest tu zaledwie niewiele ponad miesiąc. Posłuchaj, nie możesz opakowywać ludzi w papierki jak prezenty gwiazdkowe. Dotyczy to tak samo January, jak i Davida. — Potem spojrział w koniec sali.

— Karla jest cholernie podniecającą kobietą.

— Jest głupią, niewykształconą wieśniaczką.

Mikę pokiwał głową. — Wy, kobiety, dobijacie mnie. Była u ciebie w Marbelli, zaprosiłaś ją na jacht, teraz do Palm Beach...

— Kochanie, zawsze mam gości. Dobrze jest mieć u siebie jakąś znakomitość, a poza tym trochę mi jej żal. Jest naprawdę bardzo samotną, zagubioną duszą.

Mikę wybuchnął śmiechem.

— Co cię tak rozśmieszyło? — zapytała Dee.

— Wy, kobiety, i sposób, w jaki trwonicie współczucie. Martwisz się, jak sobie radzi January, tym, że Karla jest zagubiona i samotna.

Posłuchaj, moja córka naprawdę odnajdzie swoje miejsce w życiu, a jeśli chodzi o Karłę... daleko jej do zagubienia. Nietrudno zrozumieć, dlaczego David się nią interesuje.

— Naprawdę? — głos Dee był zimny. — To dlaczego ty zainteresowałaś się taką zwyczajną starą kobietą jak ja?

Pochylił się i poklepał ją po ręce.

— Kochanie, zjadłem zęby na największych pięknościach Hollywoodu, ty zaś jesteś czymś specjalnym. Należałoby raczej spytać, dlaczego ty mnie chciałaś?

— Ponieważ... — popatrzyła niewidzącymi oczami.

— Ponieważ co?

— Ponieważ cię kocham — odpowiedziała poważnie. — Och, wiem, że moglibyśmy być razem bez ślubu, myślę jednak, że w takim związku jest coś nieczystego. Nie jestem staroświecka, ale mój Boże, jeśli przestrzegasz dziś jakichkolwiek norm, to przyklepiają ci etykietę człowieka archaicznego. Jeżeli masz pieniądze, oczekują, że nie będziesz do nich przywiązywał wagi, jeżeli masz luksusowy dom, to popełniasz coś w rodzaju przestępstwa. A cóż w tym złego, że się posiada wielki majątek?

We wszystkich moich rezydencjach utrzymuję przez cały rok pełną obsadę służby, daję tym wszystkim ludziom pracę. Piloci mojego samolotu mają rodziny — jestem odpowiedzialna za to, by ich dzieci mogły pójść do college'u. Kapitan mojej łodzi otrzymuje wynagrodzenie przez pięćdziesiąt dwa tygodnie w roku, tak samo zresztą cała załoga. Gdy wydaję w Palm Beach wielkie przyjęcia, wielu dostawców, muzyków, projektantów ma zatrudnienie. Lubię nosić piękne stroje, lubię, gdy inni są ładnie ubrani. Uwielbiam smaczne jedzenie i ładnych ludzi. Nie cierpię tego miejsca oraz innych miejsc w tym typie, tak bardzo teraz modnych. Gdy widzę wchodzącą tu Karłę, wiem, że nie jest to tylko przypadkowy • wieczór z Davidem. Nawet Karla czuje się czasami samotna. Samotność wcale nie jest zabawna. David mógłby dać Karli ekscytujące życie, seks, dobre towarzystwo — wszystko to, czego chciałabym dla twojej córki.

Mikę zerknął na Karłę. David szeptał jej właśnie coś do ucha.

— Cóż, wygląda na to, że David ma własne zdanie. Dee patrzyła prosto przed siebie.

— To tylko zależy od January, czy je zmieni.

— Naprawdę?

— Och, Mikę, nie wiesz, że każda kobieta potrafi sprawić, by mężczyzna uznał jej poglądy za swoje?

— Potrafi?

— Założę się, że myślałeś, iż to ty o mnie zabiegałeś i mnie zdobyłeś? — spytała.

— Cóż, jeśli tak nie było, to z pewnością zmarnowałem w Marbelli wiele pieniędzy.

— Powiem ci coś w tajemnicy. Już drugiego wieczoru, który spędziliśmy razem, zdecydowałam, że wyjdę za ciebie za mąż. Musiałam jednak pozwolić ci trochę pozabiegać o mnie.

Mikę zaśmiał się i dał znak kelnerowi, że zamierza zapłacić.

— Nadal jednak nie wiem, skąd miałem tyle szczęścia. — Pochylił się nad stołem i ujął jej rękę. — Dlaczego, Dee? Idzie mi o to, dlaczego mnie wybrałaś?

Poszukała wzrokiem jego oczu i zatrzymała na nich spojrzenie.

— Ponieważ cię chciałam, a ja zawsze staram się zdobyć to, czego pragnę.

Następnego dnia David przybył o pierwszej do Côte Basque. Telefon od Dee zadzwonił o dziesiątej rano: — Davidzie, kochanie, bardzo chciałabym się z tobą dzisiaj zobaczyć. Co byś powiedział na lunch? Resztę przedpołudnia David przemęczył się, czując objawy choroby

wrzodowej.

Usiedli na ławie przy stoliku pod ścianą. Zadał wszystkie grzecznościowe pytania: o turniej tryktraka, o Londyn, o nowe sztuki, które widziała na West Endzie. Potem siedział z wymuszonym uśmiechem czekając, kiedy nastąpi atak. Gdy skończyli jednak jeść i rozmowa zesłała na temat aktualnej sytuacji na rynku, zapalił papierosa i zaczął się odprężyć. Może po prostu nie była dziś z nikim umówiona na lunch, może to jego poczucie winy sprawiało, że był taki spięty. Dał znać kelnerowi, że chce zapłacić rachunek. Za chwilę już będzie po wszystkim, wydostanie się na słońce. Zadała mu cios właśnie w chwili, gdy podpisywał czek:

— Davidzie, co jest z tobą i Karłą?

Ręka mu nie zadrżała i nie przestawał pisać (dwa dolary dla kierownika sali, cztery dla kelnera). Poczul przyspieszony puls w szyi i zastanowił się, czy Dee mogła to zauważyć. Dłużej niż należało chował długopis, a kiedy się odezwał, miał nadzieję, że jego głos brzmi niedbale i niefrasobliwie.

— Myślę, że jest z nią wspaniała zabawa... mamy razem wiele uciechy.

— Och, nie żartuj, chłopcze. Karla może być wszystkim, tylko nie beczką śmiechu, a tak naprawdę potrafi być całkiem ponura. — Pokiwała głową.

— Mogę zrozumieć to, co cię łączy z tą boską Holenderką, Kim czy jak jej tam, nawet gdy przychodzi do Raffles w przezroczystej bluzce.

Ostatecznie ona ma co pokazać. Ale gdy młody mężczyzna włóczy się ze starszą kobietą... ludzie plotkują.

— Och... a co mówią?

— Mówią, że jest jej utrzymankiem albo impotentem i tylko jej chłopcem do towarzystwa, albo pedałem... — jej uśmiech był niemal ponury. — Nie muszę ci tego uświadamiać, gdyż sami w ten sposób obgadywaliśmy innych.

— To śmieszne — powiedział.

— Ty wiesz, że to śmieszne, i ja też wiem, ale ludzie gadają.

— My się tylko dobrze razem bawimy, to wszystko. Karla lubi być ze mną — powtórzył z uporem.

Jej śmiech był wesoły, lecz oczy patrzyły zimno.

— Nie bądź śmieszny, Karla z nikim nie potrafi się dobrze bawić, może jednak interesować się młodym mężczyzną, który według niej będzie w końcu dziedzicem wielkiej fortuny. — Otworzyła papierośnicę i czekała, aż David znajdzie zapalki. Wypuściła powoli dym i patrzyła na swego papierosa. — Powinnam to naprawdę rzucić... Słyszałam, że Nina Creopolis ma rozedmę płuc. To mi przypomina o... co myślisz o filmie Becker, Neiman i Boyd?

— To całkiem przyzwoita firma prawnicza. Dlaczego pytasz?

— Zastanawiam się, czy nie skorzystać z ich pośrednictwa. Chcę sporządzić nowy testament.

— Dlaczego? Myślałem, że ojciec prowadzi zawsze tego typu sprawy w twoim imieniu. Posłuchaj, nie mówię tego, ponieważ jest moim ojcem... ale nie możesz porównywać Becker, Neiman i Boyd do firmy taty.

— Jesteś uprzedzony, kochanie — poklepała go po ręce — ale to mi się podoba. Dobry Bóg wie, że mało kto jest tak przywiązany do rodziny jak ja, lecz powinnam usłyszeć zdanie kogoś z zewnątrz. Ta zmiana w moim testamencie będzie zupełnie inna niż dotychczasowe. Potrzebna mi jest wyjątkowo fachowa porada. W końcu mam męża i pasierbicę i ich los bardzo leży mi na sercu, Davidzie. Naprawdę. Muszę wiedzieć, że będą mieli zapewnioną przyszłość.

— Oczywiście. — O Boże, głos mu się załamał. Teraz już spostrzegła, że jest przerażony. Zwrócił się do niej z jednym ze swych najlepszych „młodych gorliwych” spojrzeń. — Wiesz, Dee, że złamiesz ojcu serce, jeżeli przeniesiesz się do innej firmy.

— A czy złamię i tobie serce, gdy przeniosę się do innej firmy maklerskiej?

Nawet nie próbował odpowiedzieć. Ręka mu się trzęsła, gdy zapalał papierosa. Koniec zabawy w kotka i myszkę: mysz została złapana, a kot zabrał się do zamęczania jej na śmierć.

Pochyliła się i pocałowała go w policzek.

— Cóż, na razie tylko się zastanawiam, to wszystko. Tylko się zastanawiam.

Odprowadził ją do samochodu. Udawała, że nie widzi, jak fotograf z „Women's Wear” pstryknął jej zdjęcie. Nadstawiła Davidowi policzek do pocałowania i powiedziała: — Z przyjemnością zjadłam z tobą lunch. Dobrze nie tracić tak ze sobą kontaktu. Chciałabym, żeby moja rodzina była szczęśliwa... i żeby trzymała się razem.

Patrzył za nią, dopóki samochód nie zniknął w tłumie innych aut, a potem udał się do najbliższej budki telefonicznej i zadzwonił do January.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Gdy January przybyła w niedzielę do hotelu Pierre, Mike mieszał Bloody Mary. Z ojcem już się widziała, po raz pierwszy natomiast od ich powrotu z Londynu miała się spotkać z Dee. Dee odłożyła krzyżówkę z „Timesa” i nadstawiła policzek.

— Zupełnie nie wiem, dlaczego zawracam sobie głowę tą głupotą
— powiedziała. — Zaczęłam ją wczoraj wieczorem i praktycznie rzecz biorąc wcale przez nią nie spałam. Nawet jeżeli rozwiążę do końca, to cóż to za osiągnięcie? Znam paru ponuraków, którzy robią je w mgnieniu oka. Oczywiście większość z nich korzysta ze słownika, ale to oszustwo. No, siadaj i opowiedz o swojej pracy. Czy cię to bawi?

— Tak, przyjęli mój artykuł. Bardzo to wszystko przeżywam. Musi być oczywiście zaadiustowany, mam pewne problemy z interpunkcją, ale ogólnie podobał się i Lindzie, i całemu zespołowi redakcyjnemu. Mam nadzieję, że wam też się spodoba.

— Spodziewam się, że nie bierzesz swej pracy na tyle poważnie, aby zapominać o życiu towarzyskim — powiedziała z uśmiechem Dee.

— Cóż, wstaję codziennie o siódmej rano i rzadko wychodzę z redakcji przed siódmą wieczorem.

— Po co? Dlaczego tak niewolniczo pracujesz?

— Jesteś za szczupła — powiedział Mike wręczając jej drinka.

— Założę się, że nie dojadasz.

— Och, naprawdę dużo jem. Wczoraj jadłam wspaniałą potrawę... a nawet torcik wiśniowy. Byłam z Davidem.

Dee zareagowała zaledwie grzecznościowym zainteresowaniem.

— No i jak się ma mój przystojny kuzyn?

— Świetnie; poszliśmy do St. Regis zobaczyć Veronique.

— Veronique? Czy nadal występuje i udaje trzeciorzędną Edith Piaf? — zainteresowała się Dee.

January wzruszyła ramionami.

— Nigdy jej przedtem nie widziałam, ale miała wspaniały występ. Była w otoczeniu trzech młodych, rosyjskich tancerzy. Jeden z nich zmienił operacyjnie płeć... to znaczy kiedyś był dziewczyną, a teraz jest mężczyzną.

— Moja droga — powiedziała Dee lekko strofującym tonem — nie powinno się dawać posłuchu takim plugawym pogłoskom. Wiem, że twoje czasopismo interesuje się tego typu historyjkami, ale...

— Masz rację, bardzo bym chciała napisać artykuł Nina zmienia się w Nicholasa. Wczoraj stanęłam wręcz na głowie, żeby tego dokonać.

— Nie mów, że rozmawiałaś z tą kreaturą.

— Oczywiście, na górze, w apartamencie Veronique. Dee odstawiła drinka.

— Jak dostałaś się do jej apartamentu? Czy Veronique jest znajomą Davida?

— Nie... Karli.

— Karli! — Dee podniosła głos o oktawę.

— Tak. Wyobraź sobie, że David miał zarezerwowany stolik na dwie osoby, a kiedy tam zajechaliśmy, wepchnęli nas za słup. Wtedy ten młody Grek podszedł do nas, przedstawił się i powiedział, że on i jego kolega są tutaj z Karłą, która zaprasza, byśmy się do nich przysiedli. Miała wspaniały stolik w zacisznej niszy z doskonałą widocznością. Karla jest bardzo piękna. Prawdę mówiąc, tak byłam zaabsorbowana przyglądaniem się Karli, że o mało nie przegapiłam występu Niny-Nicholasa. Po przedstawieniu Karla zabrała nas na górę do apartamentu Veronique. Była tam też Nina-Nicholas. Ona, czy raczej on, mówi zupełnie swobodnie na ten temat. Linda powiedziała, że podniesie mi pensję, jeżeli zdobędę wywiad dla „Glossu”, ale Nina-Nicholas twierdzi, że wszystkie magazyny prosiły ją o to. Obiecywały nawet, że jej zapłacą za artykuł.

— Myślę, że kluczem mogłaby być próżność — stwierdził Mike. — Powiedz jej, czy też jemu, że czołowy fachman robi z nim kolorowy fotoreportaż i że dostanie odbitki oraz kolorowe klisze. A może zaskoczyć go garderobą, na przykład strojem od Cardina. Jest wiele sposobów, żeby kogoś zmiękczyć.

— Rzecz w tym — westchnęła January — że nie mamy takich funduszy.

— January — przerwała im Dee — opowiedz mi, co się zdarzyło po przedstawieniu.

— No cóż... wypiliśmy drinka w apartamencie Veronique i...

W tym momencie weszła Sadie i oznajmiła, że podano już do stołu.

Przeszli do jadalni; przy stole obsługiwał im Mario. Mike upierał się, żeby January poczęstowała się parówkami.

— Jedz, jedz, nie podoba mi się, że jesteś taka chuda.

Dee uśmiechnęła się dobrotliwie, a potem zagadnęła: — Opowiadałaś o Veronique.

— Och, cóż — January przełknęła parówkę — było tak, jakby przeniesiono nas nagle do innego kraju. Każdy mówił z innym akcentem. Veronique to Francuzka, Karla ma akcent środkowoeuropejski, dwaj greccy chłopcy mieli jeszcze inny akcent, a Nina-Nicholas jest Rosjanką, toteż używali francuskiego, jako wspólnego dla wszystkich, co mi oczywiście bardzo odpowiadało, tylko biedny David nie rozumiał ani słowa.

— Gdzie poszliście potem? — spytała Dee.

— Nigdzie, Karla wyszła z tymi greckimi chłopakami, David zaś odwiózł mnie do domu, bo miał grać dziś o dziewiątej rano w squasha.

Dee przez chwilę milczała. Wpatrywała się w jajka na talerzu, a potem odłożyła widelec.

— Jestem zbyt wściekła, aby jeść.

— Co się stało? — spytał Mike smarując masłem grzanekę.

— Twoją córkę odprawili przed północą, żeby David mógł jechać z Karłą do Westport.

— Dlaczego tak mówisz? — spytał Mike.

— Rozmawiałam wczoraj z Karłą. Mówiła mi, że wieczorem jedzie do Westport na ostatni weekend na wsi, zanim nie zrobi się zbyt zimno. Nic nie rozumiesz... to wszystko było zaplanowane. Karła nigdy nie chodzi do nocnych klubów. Ona w ogóle nigdzie nie chodzi. Pewnie, że zna Veronique, ale odmówiła uczestnictwa w przyjęciu na cześć Nurejewa, którego naprawdę podziwia, z powodu swego irracjonalnego lęku przed tłumami. Skoro jednak David czuł, że musi się zobaczyć z January, ukartowali razem to wszystko — doskonały sposób, żeby upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Karła zobaczy Veronique z uwagi na dawne czasy, a David będzie mógł jednocześnie zabrać January na randkę. Potem ją odstawi do domu i spokojnie pojedą oboje do Westport.

Mike zacisnął zęby, ale nie przerwał jedzenia.

— Jeżeli David chce wyjechać na weekend, to jego sprawa.

— I zrobić idiotkę z twojej córki dla kobiety, która jest dwa razy od niej starsza?

Mike przestał jeść i odsunął talerz. Gdy się odezwał, jego głos był cichy i spokojny.

— Dee, uważam, że powinnaś pozwolić ludziom, aby sami o sobie decydowali i żyli własnym życiem.

January zapragnęła nagle zniknąć. Dee była naprawdę wściekła, a Mike'owi zaczęły chodzić szczęki. Chcąc rozładować sytuację, January powiedziała lekko: — Posłuchajcie, doskonale się wczoraj bawiłam... Naprawdę. Dobrze nam z Davidem i...

— To dlaczego pozwoliłaś, żeby ta Poleczka ci go zabrała? — domagała się odpowiedzi Dee.

January trzymała się stołu, aż zbielały jej kostki. Naprawdę spędziła miły wieczór z Davidem — był ciepły i troskliwy. A teraz Dee to wszystko niszczyła. Nigdy by jej nie przyszło do głowy, że całe spotkanie z Karłą było ukartowane. David sprawiał wrażenie naprawdę zdziwionego, gdy ją zobaczył, Karła zaś robiła wszystko, aby zachowywać się wobec January przyjaźnie i serdecznie. Pytała o jej pracę i pozwoliła zacytować swoje słowa, że codziennie je na śniadanie owsiankę.

Teraz zaczynała wątpić. Czy to wszystko było naprawdę zaaranżowane? Czyżby David był rzeczywiście zakochany w Karli? Myśli te przemknęły jej przez głowę, gdy obserwowała napięcie powstałe między Dee i Mikiem. Poczowała, że musi stąd wyjść. Wystarczająco okropna była świadomość, że David zaprosił ją na „randkę z litości”, a do tego Mikę i Dee kłóca się o nią! Mówili o niej tak, jakby jej tu nie było. Jak teraz wygląda w oczach ?i??'?? Kompletne zero!

Wściekłość ?i??'?? sprawiła, że Dee natychmiast się wycofała. Wargi jej zadrżały i próbowała się uśmiechnąć. W jej głosie pojawił się proszący ton: — Mikę... ja chcę tylko jej dobra. Czy nie to było twoją największą troską, gdyśmy się pobierali? Czy nie mówiłeś, że chcesz mieć pewność, iż January dostanie wszystko z uwagi na to, przez co przeszła? Za wszystkie dobre lata, które straciła?

— Nie znaczy to, że masz prawo kierować jej życiem i zmuszać, by spotykała się z mężczyzną, który, jak widać, ma inne upodobania.

— Dobry Boże! David powiedział mi, że January jest jedną z najpiękniejszych dziewczyn, jakie kiedykolwiek widział — westchnęła. — Może za bardzo się starałam, gdyż odnoszę wrażenie, że nic mi nie wychodzi. Przygotowałam dla January tę piękną sypialnię, a ona się z niej wyniosła, planowałam, że razem spędzimy święta w Palm Beach, myślałam, że przyślę po January i Davida samolot i razem będziemy mieć rodzinne Święto Dziękczynienia. Na Boże Narodzenie chcę wydać wielki bal, taki jaki zorganizowałam kilka lat temu, chciałabym, by przylecieli goście, na przykład Peter Duchin, zaproszę burmistrza Lindsaya, Lenny, Rexa, wszystkich zabawnych ludzi. Marzyłam, że David i January ogłoszą już do tego czasu zaręczyny.

— To wszystko bardzo miłe — powiedział Mikę — ale January nie tego chce.

— Jak może wiedzieć, czego chce? — głos Dee stał się zimny. — Należy ją nauczyć, aby chciała właściwych rzeczy.

— Przez trzy lata uczono ją wyłącznie chodzić i mówić — krzyknął Mikę.

— Teraz prowadzi własne życie.

Oczy Dee się zwięzły.

— W porządku, pozwól jej pracować w tym szmatławcu, pozwól jej mieszkać w tym trzeciorzędym bloku. Więcej nie zamierzam się starać. Po co w ogóle wypruwam sobie żyły dla takich niewdzięczników jak wy? Żadne z was nie wie, jak należy korzystać z życia. Pozwól, żeby zamarzła tej zimy w Nowym Jorku, nie mam zamiaru błagać jej, by przyjechała do

Palm Beach.

— Może ja też tam nie pojedę — powiedział Mike.

— Naprawdę? — odparła cicho. — Powiedz mi, Mike, co zrobisz?

Wyprowadzisz się stąd? Znajdziesz wielkie mieszkanie dla siebie i córki?

Wystawisz wspaniały show na Broadwayu? Zarobisz na swych hitach fortunę, którą jej zostawisz? Zaczynaj! Po co w ogóle martwię się, aby wyszła za męża. T? możesz dać jej cały świat. Idź, zrób show... film... zwróć January jej marzenia.

January zauważyła, że cała krew odpłynęła Mike'owi z twarzy. Wstała.

— Mike, spełniłeś wszystkie moje marzenia, nie musisz więcej nic robić. Jestem już dorosła. Uwielbiam moją pracę w magazynie. Od dziś sama muszę się starać, żeby moje marzenia się ziściły. Z przyjemnością przyjadę do Palm Beach na Święto Dziękczynienia, naprawdę. Cieszę się na myśl o tym. Dee, mówię szczerze... doceniam wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Byłam zachwycona pokojem, który mi dałaś, tylko że... cóż, muszę się teraz usamodzielnic. A David jest bardzo miły, jest autentycznie najsympatyczniejszym człowiekiem, jakiego spotkałam... A wam nie wolno się kłócić z mojego powodu.

Zamilkła; Mike i Dee siedzieli sztywno i nieruchomo; przyglądali się sobie. January odeszła od stołu.

— Muszę lecieć, obiecałam Lindzie, że pomogę jej ułożyć plan tematyczny następnego numeru.

Pocałowała ojca; miała wrażenie, że jego policzek zamienił się w głaz. Potem wybiegła z apartamentu.

Mike nawet nie spojrział za nią, patrzył na Dee, sztywny z wściekłości. Gdy się odezwał, jego głos był cichy i opanowany.

— Wykastrowałaś mnie na oczach własnej córki.

— Och, przestań, Mike — zaśmiała się nerwowo. — Nie walczmy. Nigdy się nie kłóciliśmy.

— I już więcej tego nie zrobimy!

Podeszła i objęła go, jej głos był jedwabisty. W oczach widać było strach.

— Mike, wiesz, że cię kocham...

Odepchnął ją i wstał od stołu. Pobiegnęła za nim, gdy ruszył w kierunku sypialni.

— Za godzinę będę spakowany i już mnie nie będzie.

— Mike!

Złapała go za rękę, gdy wyjmował z szafy walizkę, ale ją odepchnął.

— Mike — błagała — przebac mi... proszę... proszę, przebac mi... Nie odchodź. Proszę, nie opuszczaj mnie!

Przestał się pakować i popatrzył na nią ze zdziwieniem.

— Powiedz mi, Dee, dlaczego wyszłaś za mnie?

— Ponieważ cię kocham. — Objęła go za szyję. — Och, Mike, to nasza pierwsza kłótnia, i to ja jestem winna. Wybacz mi, proszę, kochanie. Nie powinniśmy walczyć ze sobą. To przez twoją córkę.

Wyrwał się z jej objęć, ale pobięła za nim.

— Mike, nigdy nie miałam dziecka... Złoszczę cię na pewno, bo za bardzo pragnę traktować January jak własną córkę. Prawdopodobnie wszystko robię źle, wszystko mówię nie tak... Jestem apodyktyczna, nadopiekuńcza, tak samo jak wobec Davida. Nigdy nie miałam rodzeństwa... Davida traktuję jak syna... a teraz January. Wiem, że za bardzo ponaglałam, ale ja tylko chcę, aby była szczęśliwa. To śmieszne, żebyśmy walczyli ze sobą. Oboje mówimy rzeczy, których wcale nie myślimy. To na Davida i Karłę jestem zła, nie na ciebie!

Wpadła w jeszcze większą panikę, gdy spostrzegła, że Mike nie przestaje wrzucać rzeczy do walizki.

— Mike, przestań... proszę! Kocham cię. Jak mogę ci to udowodnić?

Zadzwoń do January i ją przeproszę. Zrobię wszystko.

Przestał się pakować i popatrzył na nią.

— Wszystko?

— Tak.

— Dobrze. Nigdy o nic cię nie prosiłem, prawda? Podpisałem nawet przed ślubem umowę, że w razie rozwodu nie otrzymam ani centa, prawda?

— Unieważnię ją.

— Nie, zatrzymaj. Nie chcę od ciebie niczego, ale od dziś dość gadania o tym, jak to kochasz January i jak bardzo dbasz o jej przyszłość. Udowodnij to raczej.

— Co masz na myśli?

— Jeżeli któregoś dnia padnę nagle, patrząc jak grasz w tryktraka, to chcę mieć całkowitą pewność, że moja córka będzie bogatą młodą damą.

— Obiecuję, zrobię to jutro, zapiszę jej milion dolarów. Popatrzył na nią, a jego spojrzenie było zimne.

— Nie wykręcisz się takim gównem.

— Czego chcesz?

— Dziesięciu milionów.

Na chwilę zawahała się, a potem pokiwała powoli głową.

— Dobrze... obiecuję, dziesięć milionów. Mike uśmiechnął się lekko.

— I od dziś spasz trochę z Davidem. To rozkaz. Jeżeli jest coś między

nim i Karłą, musi się to samo wypalić, a nie dlatego, że ty się tego domagasz. W każdym razie cokolwiek się zdarzy, nie mam zamiaru mu wpychać January. Pamiętaj!

— Obiecuję.

— I nie chcę słyszeć żadnych narzekań na jej pracę. Do cholery, stara się. Ma ambicję, a gdy się ją straci, kochanie, to znaczy, że już się nie żyje.

— Obiecuję, Mike. — Objęła go i pocałowała w szyję. — No, uśmiechnij się, nie bądź zły.

— Odczepisz się od jej życia i nie będziesz się wtrącać?

— Już nigdy nie wspomnę jej imienia przy Davidzie.

— I te dziesięć milionów, które obiecałaś jej zapisać, to załatwione?

Pokiwała głową.

Przez chwilę patrzył na nią, potem podszedł i popchnął ją na łóżko.

— No dobra, skoro już mamy za sobą pierwszą kłótnię, teraz poszturchamy się troszeczkę na zgodę.

David przybył do Racquet Club pięć minut przed czasem. Z głosu ojca wyczytał, że ma do niego pilną sprawę, co oznaczało kłopoty. I to właśnie teraz, gdy wszystko tak dobrze się układało. Zwykle nienawidził poniedziałków, ale dziś obudził się z uczuciem, że cały świat należy do niego. Randka z January w St. Regis przebiegła bez żadnych komplikacji. Bez problemu przyjęła wiadomość, że spotkanie z Karłą było zupełnie przypadkowe. Nie podejrzewała oczywiście, że David o północy pojechał z Karłą do Westport. Jeszcze teraz myśl o tym przyprawiała go o zawrót głowy. Po raz pierwszy spędził z Karłą całą noc. Nigdy nie zapomni niecodziennego widoku Karli, gdy następnego ranka przyrządzała mu w kuchni jajka na bekonie. To była najwspanialsza doba w jego życiu. Karla wypożyczyła posiadłość na wsi od koleżanki, więc ich odosobnienie było zupełne. Dom znajdował się w centrum terenu o powierzchni sześciu akrów. Nawet pogoda im sprzyjała. Niedziela była jednym z tych wyjątkowych dni, kiedy jesień żyje w zgodzie ze wszystkimi poetyckimi opisami. Dla Davida jesień oznaczała zawsze początek zimy, wczesny zmierzch, szary, deszczowy dzień na Wall Street, wiatr niosący kurz i brak taksówek. Natomiast jesień na wiejskiej drodze w Westport była orgią różnokolorowych liści, które szeleściły pod nogami, czystym powietrzem i uczuciem całkowitej izolacji od świata.

Ten poniedziałek też był doskonały. Dobra pogoda towarzyszyła im do miasta. Nawet ciężkie powietrze Nowego Jorku wydawało się tego dnia czystsze. Akcje na giełdzie poszły o trzy punkty w górę, a o trzeciej zadzwoniła Karla i powiedziała, że David może z nią pójść do Borisa

Grostoffa. Oznaczało to, że naprawdę znalazł się w ścisłym gronie jej znajomych. Boris był jej ulubionym reżyserem, a intymne obiadki u niego należały do niewielu przyjęć, na które chodziła.

Zauważył ojca wchodzącego na salę i wstał, by się z nim przywitać.

Starszy pan poczekał, aż kelner przyniesie im drinka, i natychmiast przeszedł do sedna sprawy.

— Jak wygląda January Wayne? Pytanie to wyraźnie zaskoczyło Davida.

— January? Dlaczego pytasz? Jest piękna.

— Naprawdę? — Ojciec wyglądał na zdziwionego; upił w zamyśleniu trochę szkockiej. — Dlaczego więc Dee tak szaleje z jej powodu?

— Nie rozumiem, ojcze.

— Była u mnie dziś rano w biurze, aby zmienić swój testament. Wydaje mi się, że jej największą troską jest wydać swą pasierbicę za mąż.

Myślałem więc, że dziewczyna jest wyjątkowo szpetna... lub nieatrakcyjna.

David pokręcił głową.

— Tak naprawdę to jest chyba najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziałem.

Ojciec sięgnął do kieszeni i wyjął cienki notes w skórzanej oprawie.

— Zanotowałem kilka zmian, które Dee chce poczynić w swym testamencie. Są właśnie wprowadzane.

— Czy dotyczą mojej osoby?

— Nawet bardzo. Nie jesteś już zarządzającym jej majątkiem. David poczuł, jak krew napływa mu do twarzy.

— Znokautowała mnie!

— Mnie też się oberwało. Nasze biuro dzieli teraz obowiązki wykonawcy jej testamentu z firmą Yale Becker — Beckera, Neimana i Boyda. Masz jednak szansę, mój chłopcze. Jest klauzula mówiąca, że jeśli przed śmiercią Dee David Milford ożeni się z kimś, kogo ona zaaprobuje, to stanie się wykonawcą jej ostatniej woli i zarządcą fundacji.

— Co za kurestwo! — powiedział David przyciszonym głosem.

— Och, to nie wszystko — odparł ojciec. — Jej pasierbica, January Wayne, po wyjściu za mąż otrzyma milion dolarów i dziesięć milionów jako majątek powierniczy, który zostanie jej wypłacony po śmierci ojca albo Dee, jeżeli Dee umrze wcześniej.

— Nie mogę wprost uwierzyć — powiedział David.

— Ja też — odparł ojciec. — Nie jest to oczywiście nieodwołalny zapis, Dee może zawsze go zmienić. Dziwne, że Mikę Wayne o tym nie pomyślał. No cóż, podejrzewałem, że doświadczenie tego człowieka na

pewno nie sięga tak daleko jak spisywanie testamentów. Uważam, że jego wiara jest raczej dziecinna, zwłaszcza w wypadku Dee. Na razie jednak ten testament będzie prawdopodobnie obowiązywał, bo wydaje mi się, że ona jest naprawdę w tym człowieku zakochana. Ta niebywała szczodrość w stosunku do pasierbicy jest całkiem dobrym zabezpieczeniem, że Wayne z nią zostanie. Jedno jest pewne: w tym małżeństwie najwyraźniej rządzi Mikę Wayne. Zauważam jeszcze coś dziwnego: on nie chce niczego dla siebie, tylko ten niebywały spadek dla córki. Dlatego pomyślałem, że dziewczyna nie ma żadnych szans na małżeństwo i że pieniądze są jedynym sposobem, aby kupić jej męża.

David zmarszczył brwi.

— Dee wciska mi January od samego początku. Chce wydać ją za mąż i mieć z głowy. Myślę, że jest po raz pierwszy w życiu naprawdę zakochana, a ponadto lubi również rządzić, czuć władzę. Wobec ?i?? Wayne'a jest bezsilna właśnie z powodu córki.

— I myśli, że małżeństwo January z tobą sprawi mu przyjemność?

— Nie, sądzę, że chce wydać January za mąż, bo uważa ją za swą rywalkę.

— Davidzie, o czym ty do licha mówisz?

— Nie mogę dać głowy — powiedział powoli David — ale tego pierwszego wieczoru parę razy podejrzałem, w jaki sposób na siebie patrzyli. W ich oczach dostrzegłem dużą zażyłość. Nie patrzyli na siebie jak ojciec i córka. January miała mnie do towarzystwa, ale tak naprawdę odniosłem wrażenie, że Mikę ze mną konkuruje. Dee też musiała to odczuć.

— Ale dlaczego odebrała ci zarząd swego majątku?

— To oczywiste — uśmiechnął się David. — Ona pragnie, żebym ja usunął jej rywalkę. Przynęta jest tutaj, czarno na białym.

— Dobry Boże! Czy masz szansę? To znaczy, czy wpadłeś jej w oko?

— Nie wiem. Umówiłem się z nią, ale...

— No, a może zaprosiłbyś ją do nas na obiad?

— Nie, pozwól, że załatwię to po swojemu. — Westchnął. — Cóż, ludzie tracili więcej dla dziesięciu milionów dolarów.

— A co ty tracisz? — spytał ojciec.

— Karłę.

Ojciec wytrzeszczył oczy.

— Mój Boże, byłem w niej zadurzony, gdy miałem twoje lata. Nie opuściłem żadnego jej filmu. Dwadzieścia pięć lat temu byłem nią zauroczony, ale teraz... O Boże... musi być w wieku twojej matki!

- Ma zaledwie pięćdziesiąt dwa lata.
 - Twoja matka w lutym dopiero skończy pięćdziesiąt.
 - Nie myślę o wieku, kiedy jestem z Karłą, i nie zamierzam się z nią żenić. Posłuchaj, tato, wiem, że to się kiedyś skończy. Wiem, że pewnego dnia wstanę rano i stwierdzę, iż jestem znudzony jedzeniem w jej kuchni i ganianiem na filmy, których nienawidzę, i tego dnia pobiję wszelkie rekordy w doskoku na pięćdziesiąt metrów do January Wayne.
 - I myślisz, że ona będzie czekała? David westchnął.
 - Staram się trzymać rękę na pulsie. Na razie nie mogę zrezygnować z Karli. Jeszcze nie...
 - Czy wiele osób wie o twoim romansie z Karłą?
 - Nie, Karla nie udziela się towarzysko z wyjątkiem rzadkich okazji, jak na przykład dziś. Towarzyszę jej na obiedzie u znajomego reżysera.
 - Jeżeli wasz romans trochę potrwa, to właśnie w ten sposób staniesz się znany. Towarzysz byłej gwiazdy filmowej. — Ojciec pochylił się nad stołem. — Przypuśćmy, że twoje trzymanie ręki na pulsie nie wystarczy. Przypuśćmy, że gdy ty będziesz zajęty Karłą, January pozna kogoś, kto uzyska aprobatę Dee. Może będzie to nawet makler z innego biura. Czy wtedy ta kobieta, Karla, odda ci swoje pieniądze i pozwoli nimi zarządzać?
- David pokręcił głową.
- Wiadomo, że jest najbardziej skąpą osobą na świecie. Ojciec skinął potakująco.
 - No właśnie. Więc powiedzmy sobie, że nie będzie cennym nabytkiem dla twojego biura maklerskiego.
 - Trafiłeś w sedno. Mam też wyraźne przeczucie, że jeśli nie zacznę naprawdę romansować z małą January, to następnym ruchem kuzynki Dee będzie również zmiana biura maklerskiego.
- Ojciec podniósł swój kieliszek.
- A więc bierz się szybko do dzieła. Szybko.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Parkiet w Le Club był zatłoczony; David mocno przytulił January i sunął z nią w takt muzyki. Wcześniej byli na obiedzie w Le Mistral, gdzie kilkakrotnie brał ją za rękę, a ona — ku jego zdziwieniu — odwzajemniała

uścisk. Mikę i Dee wyjeżdżali za niecały tydzień do Palm Beach i David chciał, aby jeszcze przed wyjazdem dowiedzieli się od January o cudownym zwrocie w ich stosunkach. Gdy zaś Dee już wyjedzie, trudniej jej będzie się zastanawiać, ile płomiennych wieczorów spędził z January. W każdym razie Dee musi wiedzieć, że zabrał się do roboty.

Wiele zależało oczywiście od reakcji January. Musi ją naprawdę w sobie rozkochać. January to nie Kim Voren, dla której David był nie tylko buhajem, ale oznaczał również solidność i pozycję w towarzystwie. January tego nie potrzebowała. Nie, jej musiał dogodzić w łóżku. Gdy już zwabi ją do sypialni, reszta będzie łatwa. Mógłby odstawić Kim na jakieś dziesięć dni, a i tak przybiegnie, kiedy tylko zadzwoni.

Potrzebował jedynie czasu. Powiedział Karli, że Dee nalega, aby zaprosił gdzieś czasami January. Karla zrozumiała. Był przykry moment, gdy jej napomknął o ewentualnym wyjeździe do Palm Beach na Święto Dziękczynienia. Wówczas Karla odpowiedziała: — Tak, Dee również i mnie zaprosiła.

Na chwilę wpadł w panikę. Nie zniósłby tego. W obecności Karli zachowywał się jak jej niewolnik, Dee i January natychmiast by to zauważyły.

— Przyjedziesz? — spytał starając się, by jego głos zabrzmiał, jak zwykle, entuzjastycznie.

— Nie, to nie jest moje święto. Choć stałam się obywatelką tego kraju, nie przywykłam do niego. Ono jest bardzo amerykańskie, tak jak i Czwarty Lipca.

Ostatnio David zauważył w jej zachowaniu lekki niepokój. Gdy mówiła o Europie, co robiła teraz dość często, opanowywało go dręczące przeczucie czegoś nieuniknionego. Zdawał sobie bardzo dobrze sprawę, że jedynym ratunkiem dla niego jest zniknięcie Karli z powierzchni ziemi, pojął bowiem, że ten romans sam nigdy nie wygaśnie, przynajmniej jeśli chodzi o niego. Czasami wyobrażał sobie nawet jej śmierć — tylko wtedy, gdyby odeszła bezpowrotnie, mógłby zacząć żyć własnym życiem.

Nawet teraz, kiedy na zatłoczonym parkiecie trzymał w ramionach tę piękną dziewczynę, myślał o Karli. To było złe... chore. Dotychczas zawsze całkowicie panował nad sobą, żadna kobieta nigdy nad nim nie górowała. Nawet najbardziej namiętne przygody miłosne mogły go pochłonąć bez reszty tylko na kilka tygodni. Na tym między innymi polegała zabawa i podnieta, które dawał każdy romans, ale to on w końcu był górą, kobieta zaczynała pragnąć go mocniej niż on jej, a jego uczucie coraz bardziej wygasało. Z Karłą tymczasem tak się nie stało i David

wiedział, że to nigdy nie nastąpi.

Musiał wszakże stać się dla January kimś najważniejszym, sprawić, aby ta dziewczyna go pragnęła, potrzebowała i czekała na niego. Musiał mieć trochę więcej czasu. Spojrzał na nią z uśmiechem, była naprawdę bardzo piękna, piękniejsza nawet od Kim. Jeżeli zrobi dziś ruch... czy będzie to ponagleniem? Ponaglać ją! Był listopad; znał ją prawie od dwóch miesięcy. Kim poszła z nim do łóżka już pierwszego wieczoru, Karla zaś następnego popołudnia. Zaplanował to na dziś. Kupił nawet jej ulubione albumy płytowe.

Nagle zaczął odczuwać zdenerwowanie. Już od lat nie zabiegał o żadną dziewczynę, zawsze one za nim latały! Uświadomił sobie, że nie bardzo wie, jak to się robi. Możliwe, iż brakowało mu praktyki, a może to January była lepsza od wszystkich dziewcząt wokoło? Nie obmacywała go pod stołem ani nie powiedziała: — Chodźmy, to się pokochamy.

Skupił całą uwagę, gdyż January pytała go o coś.

— Słyszałam, że są zawsze wyprzedane, jeżeli więc masz problemy, to Keith Winters, przyjaciel Lindy, zna chłopaka z Hair. Mógłby nam zorganizować wejściówki.

Hair! O Boże, przecież podczas pierwszego spotkania obiecał, że zabierze ją na to przedstawienie. Uśmiechnął się do niej.

— Dostanę je na przyszły tydzień. W biurze mamy bardzo operatywnego pośrednika zajmującego się biletami. Nie martw się.

Musi ją dziś zaliczyć... dziś wieczór. Wszystko musi się unormować, zanim tamci pojedą do Palm Beach. Ojciec powiedział, że nowy testament został już spisany i poświęcony. Był już prawomocny. Oczywiście, gdyby ożenił się z January, wszystko uległoby prawdopodobnie zmianie... a może nawet gdyby się zaręczyli. Poczul, że musi się spieszyć. Wziął January za rękę i sprowadził z parkietu.

— Nie da się tu rozmawiać — stwierdził. — Tak się jakoś składa, że nigdy nie rozmawiamy, zawsze są koło nas inni ludzie.

Pomógł jej zająć miejsce.

— Zawsze możemy iść do Louise — powiedziała, gdy już usiedli.

— O, nie — odparł ze śmiechem. — Carmen, barman u Louise, i ja mamy bzika na punkcie futbolu. Na pewno byśmy się zagadali o meczu, który ma być w przyszłą niedzielę. Posłuchaj, może pojedziemy do mnie? Mam wszystkie twoje ulubione płyty, dużo Sinatry i Elli, napijemy się szampana i naprawdę porozmawiamy.

Ku jego wielkiemu zdziwieniu zgodziła się bez żadnego namawiania.

Podpisał czek i wyprowadził ją z lokalu. Kilku znajomych przyglądało się

January i okazywało Davidowi swe uznanie. No cóż, czemu nie? Była naprawdę cholernie piękna — wysoka, wysmukła i młoda. I młoda! Musi przestać myśleć o Karli, inaczej może nie być dostatecznie dobry w łóżku. W końcu będzie musiał sprostać ostrej konkurencji. January na pewno miała wielu fantastycznych europejskich kochanków, gdy była na tej szwajcarskiej uczelni. Do licha, prawdopodobnie miała ich sporo, zanim tam pojechała. Każda dziewczyna, która rosła w otoczeniu Wayne'a, lubiła zmieniać chłopaków. Jak szybko znalazła lokum! I ten tłum udający artystów, z którym miała do czynienia w swoim magazynie. Ludzie tego pokroju przypominali mu talerz robaków — w końcu wszyscy się rozłożą, by robić to ze wszystkimi.

No cóż, musi ją dziś złapać na haczyk. Potem prawdopodobnie tak to ułoży, że będą się widywać dwa albo trzy wieczory w tygodniu i może do wiosny zaręczą się już nawet nieoficjalnie? Musi ją jednak trzymać na dystans tak długo, jak się da... Dlaczego właściwie musi ją trzymać na dystans? Karla w zasadzie gwizdże na jego przyszłość. Jego przyszłością jest January! No dobra, zacznijmy od najważniejszego — dogodzi dziś January i nadal zatrzyma Karłę. Należało tylko nie tracić głowy.

January usiadła obok niego w taksówce i ruszyli przez Park Avenue. Wiedziała, że będzie próbował się z nią dziś kochać i zamierzała mu na to pozwolić. Teraz była nawet ciekawa tego wszystkiego. Wierzyła, że z chwilą gdy przytuli się do niego, stanie się coś wspaniałego. Rozpalą się... i może naprawdę się zakocha. Czują do niego pewien pociąg, a Linda przysięgała, że wszystko się odmieni, jeżeli pójdzie z nim do łóżka. Wiadomość, że January jest dziewczcą, wprawiła Lindę w osłupienie. Z postawy innych dziewcząt w redakcji January wyciągnęła wniosek, że dziewictwo nie jest żadnym powodem do dumy. To prawie tak, jakby nikt nie poprosił cię nigdy do tańca. Przeprowadziła prywatną ankietę — w redakcji nie było ani jednej dziewczicy z wyjątkiem trzydziestoletniego krytyka teatralnego z niemieckim akcentem, który otaczał się zawsze osiemnastolatkami, ale Linda twierdziła, że prawdopodobnie sam się zaspokaja.

Linda sypiała teraz z kierownikiem artystycznym. Keith nie odezwał się od tygodnia, a ona twierdziła, że musi mieć koło siebie jakieś ciało. Taksówka zatrzymała się na Siedemdziesiątej Trzeciej Ulicy. Gdy dotarli do mieszkania, David, wkładając po kolei klucze we wszystkie zamki u drzwi, sprawiał wrażenie zdenerwowanego. W końcu wprowadził ją do środka i zapalił światło. Zdjęła płaszcz i rozejrzała się wokoło. Salon był dość sympatyczny — sztuczny kominek, pełno głośników, adapter. Drzwi

do sypialni były otwarte... O Boże, okrągłe łóżko i czerwone ściany! Chciało jej się śmiać. Istna karykatura burdelu.

David włączył adapter i pokój zalał miękki głos Nata King "?????". Potem podszedł do barku i z triumfem wyjął butelkę Dom Perignona.

— Gdy usłyszałem, że go lubisz, zaraz następnego dnia kupiłem butelkę. Cały czas czekał tu na ciebie. — Zajął się korkiem. — Tak naprawdę to nie spodziewałem się, że będziesz tu dzisiaj, dlatego nie jest schłodzony. Wypijemy go z lodem. — Podszedł do niej z kieliszkiem. — No i co myślisz o moim mieszkaniu? Nie, nie odpowiadaj. Wiem, salon jak z katalogu, a sypialnia to wzorcowa świątynia marzeń dobrze ułożonego młodzieńca. — Zamilkł, gdyż uświadomił sobie, że Karla nigdy u niego nie była, a wszystkie fantazje realizował w jej spartańskiej sypialni, w jej twardym, wąskim łóżku z drewna klonowego. Wygnał ją z myśli i udało mu się uśmiechnąć. — Wiesz, gdy dorastałem, miałem typową chłopięcą sypialnię urządzonej przez moją matkę. Na ścianie proporczyki, do dwunastu lat piętrowe łóżko, choć Bóg mi świadkiem, że byłem jedynakiem, i to drugie tylko raz zostało wykorzystane, kiedy spał u nas mój kuzyn.

Poprowadził ją do kanapy i usiedli. Nat King Cole śpiewał właśnie Darling. Je vous aime beaucoup, miękko i zniewalająco. Patrzyła na szampana — Dom Perignon był na specjalne okazje... Upiła duży łyk. Cóż, była to, do licha, specjalna okazja, nie? Miała dziś oddać się mężczyźnie.

Wypiła jeszcze jeden łyk szampana z dużego staroświeckiego kieliszka, który podał jej David; sam pił z mniejszego. Poczowała ból rozczarowania. Nie spodziewała się, że będzie próbował ją tak otwarcie upić. Nie, nie wolno jej tak myśleć. Chciała rozniecić, a nie zgasić nikły płomynek zainteresowania, jakie odczuwała wobec Davida. Mike nigdy nie postąpiłby z kobietą w ten sposób. O Boże, nie czas teraz o nim myśleć, bo wszystko zepsuje. Widziała już, jak marszczy brwi mówiąc: „January, chciałem, żebyś polubiła tego człowieka, ale nie to...” Zapragnęła uciec. Franco był o wiele atrakcyjniejszy od Davida, a jednak kiedy ją dotknął, wpadła w panikę. O Boże, co ona tu robi? Może jeszcze wyjść? Ale co potem? Przez całe życie ma pozostać dziewicą? Ma powiedzieć Lindzie, że uciekła od Davida, Nata King "?????", Dom Perignona, okrągłego łoża i czerwonych ścian? Przełknęła resztę szampana; David poderwał się, by napęlić ponownie kieliszek. To było szaleństwo. Czy dlatego szła do łóżka z Davidem, że Linda uważała, że powinna to zrobić, czy może po to, by udowodnić Mike'owi, że dorównuje Karli? Dlaczego to robiła? Na

pewno nie dlatego, że była w nim zakochana. Cóż jednak wiedziała o miłości, jaką miała skalę porównawczą? Linda twierdziła, że uczucie, jakiego oczekuje, zdarza się tylko między Ingrid Bergman i Bogartem w starym filmie. Dziś nie ma już takiej- miłości. Nawet jej ojciec powiedział, że nigdy nie kochał. Kochał seks — to właśnie sedno wszystkiego, a ona jest jego córką.

Wzięła od Davida kieliszek i sączyła powoli szampana. David był przystojny. Kiedy już będzie po wszystkim... i jeśli jej się spodoba... pokocha go i... Uśmiechnęła się podając mu pusty kieliszek. Cóż, chciał ją przecież upić, prawda? Wyglądał na podnieconego, gdy ponownie go napełniał, wciąż jednak sprawiał wrażenie trochę zdenerwowanego. Skończył swojego szampana i teraz on sięgnął po większy kieliszek, napełniając go po brzegi.

Kiedy Nat skończył śpiewać i Dionne Warwick czystym głosem zaintonowała pieśń Bacharacha, butelka była pusta. January oparła głowę o kanapę i zamknęła oczy. Poczowała, że David całuje jej szyję. Dionne śpiewała Zmów za mnie krótką modlitwę. Tak, Dionne, zmów ją za mnie... za January. Jestem tą dziewczyną, którą poznałaś w 1965 roku. Byłam wówczas z ojcem. Miałam zaledwie piętnaście lat, a ty powiedziałaś, że jestem urocza. Powiedz mi, Dionne, czy byłaś zakochana, gdy robiłaś to po raz pierwszy? Musiałaś, skoro tak pięknie śpiewasz.

David pochylał się teraz nad nią. Skończył z j,ej szyją i zaczął skubać ucho. O Boże... język Davida był w jej uchu. Czy powinno jej się to podobać! Czowała jedynie, że jest zimny i mokry. Potem zajął się ustami, język wciskał jej między wargi. Przeraziła się, gdyż uświadomiła sobie, że wcale jej się to nie podoba. Język miał szorstki, ręce obmacywały jej piersi, gmerały przy guzikach bluzki. Modliła się, żeby ich nie pourywał... była to nowa bluzka od Valentina. Ale jak powiedzieć mężczyźnie, że sama rozepniesz bluzkę, gdy powinnaś być tak uniesiona namiętnością, że nie widzisz nawet, co on robi?

Kiedy coś poczuje? Próbowwała jakoś reagować, pogłaskała go więc po włosach. Były sztywne. Używał lakieru! Nie wolno jej teraz myśleć o takich rzeczach. Otworzyła oczy, by spojrzeć na niego, w końcu był przystojny! Ale teraz, rozciągnięty na kanapie, z zamkniętymi oczami, wyglądał śmiesznie. Dlaczego nie mogą zachować się rozsądnie, pójść do tej okropnej sypialni, rozebrać się i... i co potem? Czy nie powinien przytulić jej mocno i powiedzieć, że ją kocha, zamiast gryźć jej usta i rwać najlepszą bluzkę? Zauważyła, że złote ozdoby przy jego butach od Gucciego zniszczyły jedwabną kanapę. Nie wiedzieć czemu poczuła

zadowolenie. Hej, lepiej będzie, gdy zacznie jej to sprawiać przyjemność. Zamknęła oczy. Chciała, żeby było romantycznie, pragnęła coś odczuwać... Och, dzięki Bogu, udało mu się wreszcie rozpiąć bluzkę i nie pourywać guzików. Teraz majstrował przy zapięciu stanika. Miał w tym autentyczną wprawę... i oto stanik znalazł się gdzieś wysoko pod brodą. Czy powinna jakoś zaprotestować, czy raczej włączyć się i mu pomóc? Postanowiła się wyrwać.

— Zwolnij, maleńka — szepnął David, a jego głowa powędrowała do piersi January. Zaczął lizać każdą delikatnie, poczuła, jak twardnieją sutki... i... dziwne uczucie w kroczu. Postawił ją na nogi, jedną ręką ściągnął bluzkę, a drugą zaczął majstrować przy zamku spódnicy. Ach, w tym również był dobry... spódnica spadła na podłogę. Zdjął też stanik. January stała teraz tylko w butach i rajstopach. Wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Przecież mogła pójść sama, nawet wołałaby sama. Pięć stóp, siedem cali i sto funtów, dziesięć uncji. Była, zgodnie z modą, chuda, ale sto funtów i dziesięć uncji, plus buty musiały ważyć z tonę dla mężczyzny udającego Romea. Starła się nie myśleć o swej długiej jedwabnej spódnicy, poniewierającej się na podłodze w salonie, oraz o staniku leżącym opodal, a także o jedwabnej bluzce, zmiętej gdzieś na kanapie. Co powinna zrobić, gdy będzie już po wszystkim? Wyjść stamtąd całkiem nago i pozbierać ubranie?

David rzucił ją na łóżko, potem zdjął z niej buty i rajstopy. Leżała zupełnie nago, David zaś mówił, iż jest piękna. Teraz on się rozbierał.

Obserwowała, jak zdejmuje spodnie... zauważyła ogromne wybrzuszenie w slipach. Mało się nie udusił ściągając krawat. Zdjął koszulę, a na końcu, triumfalnie, szorty. Uśmiechnął się z dumą, podchodząc do łóżka. Patrzyła na wielki, gniewny członek, prężący się pionowo.

— Prawda, że jest piękny? — spytał.

Nie mogła odpowiedzieć. Była to najobrzydliwsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziała. Cały czerwony... z tyłoma żyłami... Wyglądał, jakby za chwilę miał pęknąć.

— Pocałuj — poprosił i podsunął jej go do ust. Odwróciła głowę. David wybuchnął śmiechem.

— Dobra, jeszcze zechcesz go całować, zanim skończymy.

Walczyła z ogarniającą ją histerią. Gdzie to romantyczne podniecenie, którego miała zakosztować? Dlaczego odczuwała jedynie odrazę i popłoch?

Leżał na niej, podpierając się na łokciach, by zmniejszyć swój ciężar, i wziął do ust jej piersi. Potem jego ręce zaczęły wędrować między udami.

Gdy zsunęła je bezwiednie, popatrzył ze zdziwieniem.

— Czy coś jest nie tak?

— Jest... jest bardzo jasno i...

— Nie lubisz się kochać przy zapalonym świetle? — spytał ze śmiechem.

— Nie.

— Pani prośba jest dla mnie rozkazem. — Podszedł do kontaktu i zgasił światło.

Patrzyła, jak idzie w jej kierunku. To niemożliwe. Nie mogła leżeć w jego łóżku i czekać, aż weźmie ją ten... ten obcy człowiek. Nagle przypomniała sobie, że nie poszła do lekarza, którego poleciła jej Linda, i nie ma pigułki ani spirali.

— Davidzie... — zaczęła, ale wtem poczuła, że wciska jej tę pulsującą rzecz pomiędzy nogi. Pchał... pchał... wszędzie czuła jego palce... na piersiach... między udami... rozsuwał jej nogi... wpychał go do środka.

— Davidzie, nie wzięłam pigułki — powiedziała przytłumionym głosem, gdy próbował ją pocałować.

— Dobrze, wyskoczę — zamruczał.

Oddychał ciężko. Jego klatka piersiowa była wilgotna od potu i wciąż próbował wepchnąć jej tę wielką rzecz do środka. Czuła wielokrotne uderzenia, za każdym razem parowane przez mocny mur jej mięśni i tkanki. Czyżby nie wiedział, że to niemożliwe? Ale robił się jednak jeszcze bardziej natarczywy, pchał znowu, i znowu. Była rozrywana, o Boże, on ją zabije! Zagryzła wargi, by nie krzyczeć, i wbiła mu paznokcie w plecy. Usłyszała jego szept: — Wspaniale, maleńka... otwórz się, no dalej, otwórz.

Nagle przeszył ją nieprawdopodobny ból — to David w końcu przedarł się przez nią. Ból nie do zniesienia, jakby miażdżono jej kości i rozrywano mięśnie. Nagle wyskoczył z niej i poczuła ciepłą, lepką ciecz wystrzelającą jej na brzuch. Potem David położył się na plecach, z rękami na piersiach, łapiąc z trudem powietrze. Między jego nogami leżał teraz skurczony i bezwładny, omdlały ptaszek.

Powoli oddech Davida wracał do normy. Odwrócił się do niej i zmierzwił jej włosy.

— No, czy nie było cudownie, kochanie?

Sięgnął do nocnego stolika po papierową chusteczkę i położył jej na brzuchu.

January bała się ruszyć. Ból był tak silny, że ogarnęło ją przerażenie.

Chyba ją całkiem rozerwał. Linda twierdziła, że z początku troszkę boli, ale nie mówiła, że to będą katusze. Jak automat wytarła lepki brzuch.

Marzyła o ciepłym prysznicu, lecz przede wszystkim chciała stąd uciec. David pogłaskał ją po głowie.

— Nie weźmiesz trochę do buzi, kochanie? Wtedy moglibyśmy zacząć od nowa.

— Do buzi?

— No, tutaj — i przyciągnął jej głowę do miękkiego członka, który spoczywał teraz bezwładnie pomiędzy nogami.

Wyskoczyła z łóżka.

— Idę do domu! — krzyknęła. Zatrzymała się nagle ujrawszy krew, która zrobiła jaskrawą plamę na prześcieradle i spływała jej po nogach.

David usiadł na łóżku.

— Na miłość Boską, January, dlaczego nie powiedziałaś, że masz okres?

— Zerwał się z łóżka i ściągnął prześcieradło. — O rany, przesiąknęło na materac.

Stała nieruchomo z ręką między nogami. Miała wrażenie, że gdyby ją odjęła? wypłynęłyby z niej całe wnętrzności. Odwrócił się i spojrzał na nią.

— Na Boga, nie zachlap mi krwią dywanu. W apteczce są tampony.

Wpadła do łazienki i zamknęła drzwi na zamek. Odjęła rękę i nic strasznego się nie stało. Sięgnęła po ręcznik, zmyła krew z nóg. Czuła się obolała i porozrywana w środku. Jasne światło nad apteczką nadawało jej twarzy żółty odcień. Patrzyła na swe odbicie w lustrze. Oczy miała rozmazane, włosy rozczochrane. Musi się ubrać i wyjść. Zmyła oczy, a potem okręciła się drugim ręcznikiem, otworzyła drzwi łazienki i pobiegła do salonu. David nie podniósł nawet głowy. Wciąż był nagi, zrzucił z łóżka pościel i z pasją czyścił materac. Złapała ubranie, wzięła z sypialni buty i rajstopy i pospieszyła z powrotem do łazienki. Gdy z niej wyszła, łóżko było nadal bez pościeli, ale David już stał ubrany.

— Cóż, zobaczymy, jak wyschnie. Prawdopodobnie trzeba będzie wezwać kogoś do czyszczenia — powiedział. — No chodź, odwiozę cię do domu.

Milczał, dopóki nie znaleźli się w taksówce, a tam otoczył ją ramieniem. Odsunęła się odruchowo, wówczas wziął ją za rękę.

— January, przykro mi, że się tak rozzłościłem z powodu pościeli, ale to prześcieradła od Porthaulta. Powinnaś mi powiedzieć, że masz okres.

Wiem, że mieszkałaś w Europie i że niektórzy cudzoziemcy to lubią, lecz ja nigdy nie pływam w czerwonym morzu. Czy tampony są dobre?

— Nie mam okresu — odpowiedziała January.

Przez chwilę nie rozumiał, potem dotarło do niego i aż osunął się na swym miejscu.

— O Boże, January... ty jesteś... to znaczy byłaś... o Jezu! Ale kto to słyszał o dwudziestoletniej dziewicy? Zwłaszcza gdy wygląda tak jak ty! To znaczy wydawałaś mi się wąska, ale myślałem, że jesteś po prostu bardzo szczupła i... o Jezu... — zakończył z jękiem.

Minęli kilka przecznic. David siedział w milczeniu patrząc przed siebie.

— Dlaczego jesteś taki zmartwiony? — spytała.

— Bo, do diabła, nie zadaję się na ogół z dziewicami.

— Niestety, ktoś musi — odpowiedziała. — Pamiętam, jak mówił mi to jeden chłopak we Włoszech.

Gdy dotarli do rogu ulicy, David poprosił kierowcę, by się zatrzymał.

— Chodźmy do baru na kieliszek przed snem, chciałbym z tobą porozmawiać.

Zamówili po szkockiej. Nienawidziła jej smaku, ale miała nadzieję, że będzie po niej śpiąca. Och, jak bardzo marzyła, by zapaść dziś w głęboki sen.

David robił swoją szklanką kółka na serwetce.

— Jeszcze jestem zszokowany, ale wiesz?... Naprawdę czuję się dumny, że mnie wybrałaś na pierwszego. Nie będziesz tego żałować. Następnym razem uczynię cię naprawdę szczęśliwą. January... ja... bardzo mi na tobie zależy.

— Rzeczywiście?

— Tak.

— To dobrze. Bardzo mi to pochlebia. Pochylił się i wziął ją za rękę.

— Czy to wszystko, co czujesz?

— Cóż, Davidzie, ja... — przerwała. Miała już powiedzieć: „Nie znam cię dobrze”, ale zabrzmiałoby to idiotycznie. Przecież dopiero co była z nim w łóżku.

— January... chcę się z tobą ożenić. Wiesz o tym, prawda?

— Nie.

— Jak to?

— Nie wiedziałam, że chcesz się ze mną ożenić. Wiem, że Dee tego pragnie, ale nie wiedziałam, że ty też. Chcę powiedzieć, że to wszystko jest śmieszne. Czy nie mam racji, Davidzie? Jesteśmy obcy sobie ludźmi. Byliśmy razem w łóżku, lecz jesteśmy dla siebie obcy. Siedzimy tu i staramy się szukać tematu do rozmowy: nie tak powinno być, to znaczy, czy nie powinieneś mieć ochoty krzyknąć... śpiewać, kiedy... po raz pierwszy kochasz? Czy nie powinno się wydarzyć coś wspaniałego,

gdy jest się zakochanym?

Popatrzył gdzieś obok niej i rzekł cicho: — Powiedz mi, co powinno się wówczas czuć według ciebie?

— Nie wiem, ale... cóż...

— Na przykład pragnąć, żeby noc nie miała końca? — spytał.

— Tak, myślę, że właśnie tak.

— I boisz się odejść, ponieważ jest tak cudownie, że chciałoby się mieć tę drugą osobę tylko dla siebie... być z nią bez przerwy.

January uśmiechnęła się do niego.

— Wygląda na to, że oboje oglądaliśmy te same stare filmy w telewizji.

— January, wyjdiesz za mnie?

Patrzyła na swojego drinka, potem upiła duży łyk i pokręciła bezradnie głową.

— Nie wiem, Davidzie, nic do ciebie nie czuję i...

— Posłuchaj — przerwał jej — to wszystko, o czym przed chwilą mówiliśmy, nigdy się tak naprawdę nie zdarza. Chyba że przez jedną noc w wypadku dzieciaków upojonych marihuaną... albo ludzi zaplątanych w potajemny romans... albo...

— Albo? — spytała.

— No cóż, albo gdy jakaś małolata spotyka swego idola... kogoś, kogo zawsze podziwiała. Myślę, że każda dziewczyna ma swego bohatera, o którym śni. Większość z nas przechodzi przez życie nie spotkawszy ani nie urzeczywistniwszy nigdy swych marzeń.

— A czy musimy? — spytała. David westchnął.

— Może to i lepiej, bo gdybyś je kiedyś spotkała, to może nie mogłabyś ich już porzucić. A nie można zatrzymać na zawsze samego snu. Nie możesz wyjść za mąż za własne marzenie. Małżeństwo to co innego — dotyczy dwojga ludzi, którzy chcą tego samego, którzy się lubią. — Gdy milczała, dodał: — Ja... kocham cię, January, jak ci już powiedziałem.

— Co innego mówić, a co innego czuć — odparła z uśmiechem.

— Czyżbyś mi nie wierzyła?

— Wierzę, że chcesz się pokazać z jak najlepszej strony, wierzę też, że bardzo starasz się mnie przekonać.

— Czy kochasz mnie? — spytał.

— Nie.

— Nie? To dlaczego poszłaś ze mną do łóżka?

— Chciałam się w tobie zakochać, Davidzie. Miałam nadzieję, że mi to pomoże. Ale nic z tego...

— To moja wina. Nie wiedziałem, że jesteś dziewczyną. Następnym razem

będę zupełnie inny. Przysięgam.

— Nie będzie następnego razu, Davidzie. Przez chwilę patrzył zakłopotany.

— Czy to znaczy, że nie chcesz mnie więcej widywać?

— Będziemy się spotykać, ale nie mam zamiaru iść z tobą do łóżka. Skinął na kelnera i zapłacił rachunek.

— Posłuchaj, to normalna reakcja po tym, co się stało. January wstała, David pomógł jej włożyć płaszcz, wziął ją pod rękę i wyszli na ulicę.

— January, nie chcę na ciebie naciskać. Nie będę cię prosił, abyś się ze mną przespała. Mogę czekać choćby miesiącami. Może masz rację, poznajmy się najpierw bliżej, ale obiecuję, że kiedyś wyjdiesz za mnie. Będiesz mnie kochała i pragnęła, lecz dojdziemy do tego krok po kroku. Spędzimy wspólnie Święto Dziękczynienia w Palm Beach, będziemy razem przez cztery dni i cztery noce. To na dobry początek. I obiecuję, że nigdy nie poproszę, abyś poszła ze mną do łóżka. Kiedy do tego dojdzie, stanie się tak, jak ty będziesz chciała. A gdy dzisiaj położysz się spać... pamiętaj, że cię kocham.

Gdy January dotarła do swego mieszkania napełniła wannę, zdarła z siebie ubranie i z ulgą zanurzyła się w ciepłej wodzie. Próbowwała przemyśleć wszystko, co usłyszała dziś od Davida. Dopiero później, gdy już leżała w łóżku i starała się usnąć, uświadomiła sobie, że David nie zadał sobie nawet trudu, by pocałować ją na dobranoc.

Gdy obudziła się następnego dnia, stwierdziła, że w nocy miała krwotok. W pierwszej chwili chciała zadzwonić do Lindy, ale zdała sobie sprawę, że nie jest w stanie na razie z nią rozmawiać. Już widziała jej minę na wieść o tym wszystkim. Przekopowała się przez książkę telefoniczną i odszukała numer telefonu doktora Davisa, ginekologa, o którym mówiła jej Linda. Gdy mu wyjaśniła, że ma krwotok, kazał jej natychmiast przyjechać. Ku jej wielkiemu zdumieniu samo badanie było łatwiejsze niż siedzenie przy biurku, w kompletnym ubraniu, i opowiadanie o tym, co spowodowało jej obecny stan. Na szczęście zapewnił ją, że wszystko jest w porządku, chociaż rzadko spotyka się takie krwotoki. Zapisał jej pigułki i środek uspokajający, a potem kazał wracać do domu i pozostać w łóżku do końca dnia.

Kiedy przyjechała do siebie, zastała posłańca, który dzwonił właśnie do drzwi. Miał dla niej małą paczuszkę od Cartiera. Pokwitowała odbiór i weszła do mieszkania. Paczuszka zawierała ręcznie rzeźbioną kość słoniową i złotą różę na złotym łańcuszku. Na dołączonym bilecie był

napis: „Prawdziwe wiedznią, tę będziesz miała o wiele dłużej, aby ci przypominała, że moje uczucie też trwa. David.”

Włożyła naszyjnik do szuflady. Był piękny, ale w tej chwili nie chciała myśleć o Davidzie. Wyjęła lekarstwa przepisane przez doktora. Czowała się na tyle dobrze, że nie uważała za konieczne brać pigułek, toteż odłożyła je obok pudełka od Cartiera, a zażyła tylko jedną tabletkę uspokajającą. Potem zadzwoniła do Lindy i powiedziała, że spędziła rano u dentysty i nie może przyjść do redakcji.

Położyła się do łóżka i próbowała czytać. Po chwili zaczęła działać tabletką. Z twardego snu wyrwał ją o piątej dźwięk telefonu — dzwonił David. Podziękowała mu za naszyjnik.

— Może wybierzemy się na małego drinka? — spytał.

— Chyba nie będę mogła. Ja... jestem zawałona pracą — odprła. David zawahał się na moment.

— Cóż, za kilka tygodni będzie na Wybrzeżu spotkanie doradców do spraw inwestycji i szefowie kilku przedsiębiorstw są teraz w mieście. Obawiam się, że w ciągu najbliższych dni będę uziemiony różnymi spotkaniami.

— Dobrze, Davidzie.

— Ale będę codziennie dzwonił, a pierwszego wolnego wieczoru zjemy razem obiad. Załatwiam na przyszły tydzień bilety na Hair.

— To świetnie, Davidzie.

Odłożyła słuchawkę i leżała w półmroku. Trwała w przyjemnym stanie ni to snu, ni to świadomości. O dziewiątej środek uspokajający przestał działać, January wstała i pozapalała światła — ten wieczór bardzo jej się wydłużył. Pomyślała o jedzeniu, ale w zasadzie nie czuła głodu.

Przejrzała sporządzoną wcześniej listę tematów, z których mogłyby powstać ciekawe artykuły. Miała je pokazać dzisiaj Lindzie. Może powinna zacząć pisać któryś? Intrygował ją zwłaszcza jeden: „Czy jest życie po trzydziestce?”

Wpadła na ten pomysł, gdy Linda odrzuciła sekretarkę z doskonałymi referencjami, a przyjęła dziewiętnastoletnią dziewczynę, która ledwo sobie radziła ze stenografowaniem. „January, nie życzę sobie, aby czterdziestotrzyletnia kobieta była sekretarką w «Glossie». I nie obchodzi mnie, że była przez dwadzieścia lat sekretarką prezesa towarzystwa naftowego. «Gloss» jest prężnym młodym magazynem i chcę widzieć w redakcji radosnych, pięknych, młodych ludzi.”

Odwiedzając agencję w związku ze swą reklamówką, January zauważyła, że większość sekretarek i recepcjonistek ma od dziewiętnastu do

dwudziestu dziewięciu lat. Nie dotyczyło to oczywiście kobiet pełniących kierownicze funkcje bądź * szefowej piszącej materiały reklamowe. Na przykład Linda dobiegała trzydziestki, a była bardzo młoda jak na swoje stanowisko.

January lubiła Lindę, lecz wyjąwszy wspólny im obu entuzjazm dla magazynu, stanowiły dwa odrębne światy. W redakcji Linda była „władzą”. Gdy szła przez korytarz, wszyscy stawali na baczność. Na cotygodniowych posiedzeniach kolegium redakcyjnego była chłodna, piękna i władcza. Wszyscy redaktorzy i młodszy redaktorzy podziwiali jej klasyczną niemal elegancję i styl. Natomiast z dala od biura, będąc z jakimkolwiek mężczyzną, wyzbywała się tej postawy. January nie mogła zrozumieć, dlaczego Linda tak bardzo potrzebuje obok siebie jakiegoś ciała, jak może znajdować przyjemność w seksie z człowiekiem, którego nawet specjalnie nie lubi. Dla niej ta ostatnia noc była okropna... jeszcze zanim David zadał jej ból. Jego ciało nie wzbudzało w niej żadnego pożądania. A może coś z nią jest nie tak?

Powinna to z kimś przedyskutować. Tylko nie z Lindą! Linda natychmiast zaleciłaby jej witaminy lub wizytę u psychiatry.

Nagle poczuła, że musi zobaczyć się z Mikiem. Może jutro zjedzą razem lunch? Nie będzie mogła mu opowiedzieć wszystkiego, co się wydarzyło, ale już sama rozmowa powinna przynieść ulgę. Było dopiero wpół do dziesiątej, na pewno nie będzie go w domu, ale zostawi wiadomość.

Nie mogła wprost uwierzyć słysząc, że sam odebrał telefon. O Boże, może przerwała jemu i Dee... Starła się, żeby jej głos brzmiał bez troski.

— Zadzwoń później, jeżeli grasz właśnie w tryktraka.

— Nie, prawdę mówiąc obudziłaś mnie.

— Och, wybacz i przeproś Dee.

— Nie, poczekaj chwilę, która godzina?

— Wpół do dziesiątej.

— Już się na dobre rozbudziłem i umieram z głodu — stwierdził. — Hej, co byś powiedziała, gdybym złapał taksówkę i zabrał cię gdzieś?

Moglibyśmy skoczyć na hamburgera.

— A gdzie Dee?

— Zastrzeliłem ją, wisi w ubikacji.

— MIKĘ! Wybuchnął śmiechem.

— Bądź na dole przed domem za piętnaście minut. Opowiem ci wszystkie szczegóły mordu.

Poszli do pobliskiego baru przy tej samej ulicy. January skrętnie ominęła stolik, przy którym siedzieli z Davidem poprzedniej nocy.

— Twój staruszek troszeczkę zwalnia — powiedział Mike. — Grałem dziś do osiemnastu dołków w golfa, wróciłem do domu o piątej i zapadłem w głęboki sen. Dee miała ochotę wybrać się na obiad i do kina, a ja nie mogłem się ruszyć. Próbowала mnie chyba obudzić, ale ja oczywiście spałem, w związku z czym zostawiła kartkę, że idzie do znajomej na tryktraka. Sądziła pewnie, że będę spał do rana.

— A ja cię obudziłam, przepraszam.

— Ależ bardzo się cieszę. — Kelner podał im hamburgery. Mike wbił w swój łapczywie zęby. — Umierałem z głodu, co zresztą widać. I tak żołądek obudziłby mnie o północy, ale wówczas nie zobaczyłbym się z tobą. — Nagle jego oczy zwięzły się. — Jak to się stało, że siedziałaś dziś sama w domu?

— Och, miałam wczoraj randkę z Davidem, a dziś jest na jakimś spotkaniu.

— Czyli — rzekł kiwając głową — nie idzie najlepiej.

— Podarował mi naszyjnik od Cartiera — powiedziała nagle. Mike odsunął piwo. Zapalił papierosa i rzucił niedbale: — Chyba trochę za wcześnie na prezenty gwiazdkowe, co?

— Chce się ze mną ożenić. Twarz ?i?? złagodniała.

— Mój Boże, to zupełnie inna historia. Dlaczego nie zaczęłaś od najistotniejszej rzeczy?

— Nie jestem w nim zakochana.

— Na pewno? To znaczy, chciałem powiedzieć, że znasz go bardzo krótko. Jesteś przekonana, że nic z tego?

— Jestem.

Sięgnęła po papierosa. Mike uniósł w górę brwi.

— Od kiedy?

— Nauczyłam się ćwicząc do tej reklamówki. — Po chwili dodała: — Przykro mi z powodu Davida.

— Powiedz to jemu — zaśmiał się Mike — nie mnie. Do licha, żadna strata. A więc umówiłaś się z nim i on zaproponował ci małżeństwo. Zwróć mu ten cholerny naszyjnik i po wszystkim.

Przyglądała się nadgryzionemu hamburgerowi. Uświadomiła sobie nagle, że Mike nie chce przyjąć do wiadomości, iż mogłaby pójść z Davidem do łóżka. Chciał wierzyć, że naszyjnik jest tylko „grzecznościowym prezentem”. Ten doświadczony Mike był tak staroświecki w swym stosunku do niej!

— Mike... czy ja mam seksapil?

— Co za głupie pytanie!

— Więc mam?

— Skąd mam wiedzieć, do licha? Mogę ci powiedzieć, że jesteś piękna, że masz wspaniałą figurę, ale seksapil dotyczy tylko dwojga osób. Babka, która będzie w moich oczach seksowna, może taka nie być w oczach innego faceta.

— Ty masz dla mnie seksapil. Popatrzył na nią, a potem pokiwał głową.

— A David nie ma? — spytał.

— Według mnie — nie.

— A to świetne! — gwizdnął przez zęby. — Jest chłopak, z którym chciałaby sypiać każda lalunia w Nowym Jorku, łącznie ze wzbudzającą największe zainteresowanie gwiazdą filmową, i on nie ma dla ciebie seksapilu... a ja mam.

Starła się, by to, co powie, brzmiało beztrzesko.

— Cóż, może powinnam spotkać kogoś podobnego do ciebie?

— Nie mów tak — odparł szorstko. — Zachowujesz się, jakbyś przespała się z tym faciem.

— Lubiłam Davida, wciąż go lubię, jeśli jednak chodzi o romans, to... on mi się wcale nie podoba. — Próbowала się uśmiechnąć. — Może to wszystko przez te blond włosy?

Mikę odsunął szklanekę.

— Coś wspaniałego! Każdy chłopak, który się pojawi, będzie w ostatecznym rachunku przegrany z mojego powodu, tak?

— Nie powinieneś się denerwować tylko dlatego, że zmieniłam zdanie o Davidzie.

— Jeżeli teraz tego nie wyjaśnimy, będziesz zmieniać zdanie za każdym razem. Będziesz już przy ołtarzu i jeszcze je zmienisz. To się może, do licha, zdarzyć. Już się zdarzało, a kończy się zwykle katastrofą. Posłuchaj — zniżył głos — nie powinnaś tworzyć sobie fałszywego obrazu mojej osoby, wizerunku, któremu nie będzie w stanie dorównać inny mężczyzna. Nie jestem żadną wielką wygraną. Znasz mnie tylko jako tatusia... a tatuś jest mężczyzną-ideałem. Powiedzmy sobie otwarcie; nie ma idealnego mężczyzny, to tylko kobieta tworzy sobie jego wyimaginowany obraz. I czas, abyś sobie uświadomiła, że jest cholernie duża różnica między tatusiem-Mikiem a Mikiem-człowiekiem.

— Widzę ?i???-człowieka i kocham go.

— Widzisz tylko to, co ja chcę, abyś widziała. Teraz powiem ci wprost; byłem parszywym ojcem i jeszcze gorszym mężem. Nigdy nie uszczęśliwiłem żadnej kobiety. Kochałem seks, ale tak naprawdę to nigdy nie kochałem nikogo. I nadal nie kocham.

— Kochałeś mnie, zawsze mnie kochałeś.

— To prawda, ale nigdy nie sterczałem po nocach przy twym łóżeczku i nie otulałem cię kołderką. Żyłem swoim własnym życiem, zawsze tak robiłem.

— To dlatego, że mama umarła.

— Umarła? Sama się zabiła, do cholery!

January pokręciła głową, choć czuła, że Mikę mówi prawdę. Upił parę łyków piwa i zapatrzył się w swą szklanekę.

— Tak... była w ciąży, a ja zabawiałem się w tym czasie, toteż któregoś wieczoru upiła się i zostawiła kartkę, że w ten sposób wyrównuje rachunki. Gdy wróciłem do domu, znalazłem ją na podłodze w łazience. Wbiła w siebie nóż kuchenny, by usunąć dziecko. Też tam było... leżało we krwi. Nie był to jeszcze człowiek... płód miał może pięć miesięcy... chłopiec. Liczono się ze mną na tyle, że udało mi się utrzymać wszystko w tajemnicy. Oficjalną przyczyną śmierci było naturalne poronienie, ale... — Zamilkł i patrzył na nią. — Teraz już wiesz.

— Dlaczego mi to mówisz? — spytała.

— Ponieważ chcę, żebyś stała się trochę twardsza, żebyś się nauczyła, jak sobie radzić. Żebyś była moją córką. Skoro kochasz mnie tak cholernie mocno, to kochaj mnie takiego, jaki naprawdę jestem. Jeśli mnie zaakceptujesz takiego, jakim jestem w rzeczywistości, a nie ideał, który sama stworzyłaś, wtedy znajdziesz swojego mężczyznę, w którym się zakochasz. Do licha, zakochasz się z tuzin razy, ale tylko wtedy, gdy nauczysz się stawiać czoło rzeczywistości, zabiegać o to, na czym ci zależy. Nie możesz żyć w wyimaginowanym świecie. Nie bądź straceńcem, tak jak twoja matka. Rozglądała się cichaczem wokoło tymi swoimi wielkimi, brązowymi oczami, nigdy nie oskarżając mnie otwarcie, a potępiając każdym milczącym spojrzeniem. Chryste Panie, zacząłem ją niemal szanować, gdy się dowiedziałem, że ma innego faceta. Byłem nawet trochę zazdrosny, miałem zamiar spróbować ją odzyskać. Aż nagle dowiedziałem się, że nie potrafiła go przy sobie utrzymać. Upijała się przy nim i płakała za mną. I za każdym razem, gdy na nią patrzyłem, były te westchnienia. Nigdy nie wzdychaj — zwrócił się do January — nie może być nic gorszego. Bóg mi świadkiem, że teraz mam czasami ochotę westchnąć, ale gdy tylko zaczynam, przypominam sobie, że wrobiłem się w to dla nas.

— Dla nas? — spytała. — Z początku było to tylko dla mnie.

— No... w zasadzie tak. Choć może dla mnie to też było jedyne wyjście. W każdym razie naprawdę próbowałem dać ci wszystko: wielki

apartament, pokojówkę, samochód. Poszłaś sobie od tego, w porządku, wiesz jednak, że to zawsze tam jest, a więc nie grasz przynajmniej drobniakami. Dee chciała dać ci chłopaka, ale nie podoba ci się kolor jego włosów. On powiada, że chce się z tobą ożenić, lecz oboje wiemy, że to wcale nie znaczy, iż facet szaleńczo zakochał się w kobiecie. Jest pewne, że zupełnie nie pali się do randek z tobą. Nie wierzę w bajeczkę o wieczornym spotkaniu w interesach, sam zbyt często stosowałem tę wymówkę.

— Myślisz, że jest z Karłą? Wzruszył ramionami.

— Jeżeli ma szczęście, to może tak. Według mnie każdy facet, który próbuje z Karłą, dostanie od niej wcześniej czy później prztyczka w nos. Wiem, że ja bym dostał. — Przerwał i popatrzył na nią w zamyśleniu. — Powiedz, może nie jesteś zakochana w Davidzie, bo on sam tego nie pragnie... na razie? Spójrzmy prawdzie prosto w oczy: on nie chce, żebyś zanadto się nim zainteresowała teraz, kiedy akurat jest zajęty Karłą. — Wyszczrzył zęby w uśmiechu. — Myślałaś kiedyś o tym? Być może trzyma cię na dystans? Ostatecznie jeżeli facet nie ma romansu z dziewczyną, to jak ona może być w nim zakochana? — Odkrycie to przyniosło mu widoczną ulgę. — Poczekaj, aż się napali. Założę się, że to będzie zupełnie inna sprawa.

— Powiedziałeś, że dostałbyś prztyczka w nos od Karli? — zapytała.

— Co?

— Powiedziałeś, że dostałbyś od Karli prztyczka w nos.

— I nie słyszałaś nic więcej z tego, co dotychczas powiedziałem?

Pokiwała głową.

— Słyszałam, ale zadałam ci pytanie.

— Pewnie, że tak. Skończył piwo.

— I naprawdę sądzisz, że Karla jest dla mnie wielką konkurencją?

Uśmiechnął się i poklepał ją po ręce.

— Ty jesteś dziewczyną, Karla kobietą, ale nie martw się. David zaproponował ci małżeństwo, to znaczy, że jesteś dziewczyną, którą chce naprawdę mieć... później. — Uśmiechnął się szeroko. — Wtedy, kiedy o n zechce.

— Kiedy o n zechce — zaśmiała się January. — Och, Mike, czy naprawdę myślisz, że David nie napalił się na mnie i...

Mike walnął pięścią w stół.

— Czy ten sukinsyn próbował czegoś? — zacisnął szczęki. — Zabiję go. Nie mów mi, że próbował... że dobierał się do ciebie.

January nie mogła w to wprost uwierzyć. Mike, który miał wszystkie

kobiety, Mike, który opowiedział jej o Tinie St. Claire i Melbie... Ten sam Mike stał się nagle oburzonym ojcem czuwającym nad niewinną córką. To było szaleństwo... obłąd. Coś jej jednak podszeptało, żeby nie mówić mu prawdy.

— David jest dżentelmenem pod każdym względem, ale wiem, że mogłabym go mieć, gdybym tylko chciała.

— Każda kobieta może mieć każdego mężczyznę, jeżeli tylko rozłoży nogi — powiedział chłodno. — Ale ty jesteś inna i David dobrze o tym wie.

— David! — January niemal wypłuła z siebie to imię. — Dee podsunęła mi miłego, przystojnego kuzyna, a ja mam się zachowywać jak Barbie: zakocham się w nim i będziemy żyli razem długo i szczęśliwie. Wiesz co? Próbowałam... zrobiłam sobie niemal pranie mózgu, by w to uwierzyć. Powiedz mi, czy naprawdę tego dla mnie chciałeś? Czy chciałeś, abym zakochała się w miłej kukle, ubrała się w biały welon, założyła rodzinę, może wychowała córkę i znalazła dla niej na męża drugiego Davida? Jak mówią w piosence: „Czy to wszystko, przyjacielu? Czy to wszystko?”? Mike poprosił o rachunek, po czym wstał zostawiwszy na stole parę banknotów. Wyszli w ciemność nocy. Minęło ich dwóch długowłosych chłopaków z motylami przyszytymi z tyłu do spodni z drelichu.

Zatrzymali się pod latarnią i zaczęli całować.

— Wygląda na to, że miłość jest dziś wszędzie — stwierdził Mike.

— To Czerwone Motyle — odparła January.

— Kto?

— Takie ugrupowanie komunistycznych pedałów z Kanady. Kilku z nich przyjechało do Nowego Jorku na werbunek. Linda myślała, czy by nie napisać o nich artykułu, ale to nie jest temat do „Glossu”.

Mike pokiwał głową.

— Wiesz co? Zapytałaś mnie „czy to wszystko”, a ja nie potrafię ci odpowiedzieć, bo sam już nie wiem. Nie wiem, na czym polega teraz życie, show business i w ogóle... Cały świat się zmienił. W każdym moim filmie i w filmach z moich czasów łajdak musiał zginąć, a bohater zawsze zwyciężał w pojedynku, i gdybym dziesięć lat temu miał dwudziestoletnią córkę, która spotykałaby się z Davidem, powiedziałbym: „Po co ten pośpiech? Świat stoi przed tobą otworem i dostaniesz go ode mnie.” Ale ja nie jestem już taki jak kiedyś i świat nie jest taki sam. Może dlatego szukam dla ciebie solidnej przystani. Ponieważ moim zdaniem ten współczesny jasny świat, w którym wszystko wolno, paskudnie cuchnie! Tylko że ja mogę się na niego wypiąć, bo mam już pięćdziesiąt dwa lata i

przeżyłem niezły kawał życia, a ty nie możesz, bo ten świat to wszystko, co masz. Ja zaś nie mogę go zmienić, aby stał się taki jak kiedyś. Narożny apartament w hotelu Plaża należy już do kogoś innego, teatr Capitol jest teraz biurowcem, Stork Club przekształcili w Paley Park. Tamten świat odszedł, możesz go tylko zobaczyć na ostatnim seansie w kinie. Ale ty musisz, niestety, stanąć twarzą w twarz z tym dzisiejszym światem. Staraj się więc nim cieszyć, ponieważ pewnego dnia obudzisz się i stwierdzisz, że wypadłaś z gry. To się dzieje z dnia na dzień. Chwytaj więc szczęście za rogi, bo później, gdy się obejrzysz wstecz, wyda ci się, że to była cholernie krótka przejażdżka. — Objął ją ramieniem. — Zobacz, właśnie spada gwiazda. Powiedz życzenie, maleńka.

Stali teraz przed jej kamienicą. Zamknęła oczy, lecz nie wiedziała, o czym powinna pomyśleć, a gdy je otworzyła, już nie było obok niej.

Patrzyła, jak odchodzi ulicą — mimo wszystko szedł jak zwycięzca.

Później, gdy jeszcze nie śpiąc, leżała w ciemnościach, myślała o tym wszystkim, co usłyszała dziś od niego. Bał się tego świata, bał się z uwagi na nią, ale również ze względu na siebie. Cóż, tak jak powiedział, to był teraz jej świat — jedyny, jaki miała, i tylko od niej zależało, czy zdoła wycisnąć z niego wszystko, nagiąć go do siebie. Będzie zwyciężczynią.

Udowodni Mike'owi, że potrafi!

Uśmiechnęła się i przeciągnęła w ciemności.

— Tatusiu — szepnęła — gdy Dee wróci dziś do domu z tryktraka, nie siedźcie lepiej długo i nie martwcie się o mnie i moją przyszłość, ponieważ, tatusiu... ja nie wzdycham. Ja się uśmiecham.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Dee wcale nie czekała w domu, by roztrząsać z Mikiem kłopoty January. Gdy tylko zobaczyła, że zapadł po meczu w głęboki sen, wślizgnęła się do swego gabinetu i przeprowadziła krótką rozmowę telefoniczną. Potem oparła o aparat telefoniczny przy łóżku karteczkę, na której nabazgrała, że próbowała go obudzić, ale spał tak spokojnie, iż zostawiła go i poszła na tryktraka.

Wsiadła do samochodu i kazała Mariowi zawieźć się do Waldorfa.

— Będę przez kilka godzin u koleżanki. Podjedź pod wejście przy Park Avenue o jedenastej.

Weszła do Waldorfa, minęła hol i skierowała się do wyjścia na Laxington Avenue. Przywołała taksówkę. Miała do przejścia zaledwie kilka przecznic i mogła je pokonać na piechotę, ale zbyt się niecierpliwiła. Była dopiero

szósta, powiedziała, że przyjdzie o wpół do siódmej, zatem świetnie, mają pół godziny ekstra.

Gdy podjechała pod wielki masywny budynek, portier pomagał właśnie któremuś z lokatorów upychać do taksówki bagaże. Przeszła obok niego i skierowała się do windy. Windziarz pracował tu od niedawna i nie znał jej jeszcze, ale ledwo skinął głową, gdy podała mu numer piętra. I czuj się tu dziś bezpiecznie w tych luksusowych budynkach!

Wysiadła z windy, przeszła do końca długiego korytarza i nacisnęła dzwonek u drzwi. Windziarz nie zadał sobie nawet trudu, by poczekać i sprawdzić, dokąd się udała. Nacisnęła dzwonek ponownie i spojrzała na zegarek: było piętnaście po piątej. Gdzie można wyjść o tej godzinie? Sięgnęła do torebki po klucz. Wszedłszy do mieszkania, włączyła lampy w salonie, zapaliła papierosa i zrobiła sobie drinka.

Potem przed lustrem przyczesła włosy. Dzięki Bogu, Ernest uczesał ją dziś „na pazia”. Poprzednia fryzura „dziewczyny Gibsona” za bardzo burzyła się w łóżku. Te dzisiejsze dziewczyny ze swobodnie opadającymi włosami — jak bardzo im zazdrościła. Przez chwilę przyglądała się swym nowym, sztucznym rzęsom, które założyła jej Elizabeth Arden — tak, były wspaniałe. Zgasła jedną lampę, później znowu podeszła do lustra, aby się w nim przejrzeć. Tak, tak było lepiej.

Usiadła w klubowym fotelu i sączyła drinka, a serce waliło jej mocno. Bez względu na to, jak często tu przychodziła, za każdym razem odczuwała treść jak uczennica.

Pięć po siódmej usłyszała wreszcie chrobot klucza w drzwiach, zgasła dopiero co zapalonego papierosa i wstała.

— Gdzie, do licha, byłaś tak długo? — spytała z pretensją. Karła zsunęła z ramienia torbę i rzuciła ją na krzesło, po czym zdjęła płaszcz przeciwdeszczowy.

— Czy się spóźniłam? — zapytała beztrasko.

— Doskonale wiesz, że tak. Gdzie byłaś?

— Na spacerze — uśmiechnęła się Karła. — Zawsze lubię spacerować o zmroku. Poza tym ćwiczyłam dziś zaledwie dwie godziny przy drążku, potrzebowałam więc trochę ruchu.

— Wcale nie musiałaś iść na spacer, zrobiłaś to naumyślnie, bo chciałaś, żebym tu siedziała i czekała. — Przerwała, gdyż uświadomiła sobie, że podniosła głos. — Och, Karlo, dlaczego robisz wszystko, by wyzwać we mnie to, co najgorsze? — Karła z leniwym uśmiechem wyciągnęła ramiona. Dee zawahała się na ułamek sekundy, a potem padła w jej objęcia. Dalsze protesty zostały przytłumione pocałunkami.

Później, gdy już leżały mocno objęte ramionami w chłodnym półmroku sypialni, Dee przywarła do Karli i szepnęła: — Mój Boże, gdybyśmy mogły zawsze być razem.

— Tylko śmierć jest na zawsze — odpowiedziała Karla. Odsunęła się i sięgnęła po papierosa Dee. Otworzyła z trzaskiem złotą papierośnicę i przyglądała się jej przez chwilę. — Jest prześliczna.

— Dostałam ją od ?i??'?... Może być twoja, ale podarowałam ci już trzy papierośnice. Zawsze je gubisz.

Karla wzruszyła ramionami wydmuchując dym.

— Widocznie podświadomość próbuje mi powiedzieć, że muszę rzucić palenie. Ograniczyłam się do dziesięciu dziennie...

— Jesteś fanatyczką zdrowego trybu życia. Te twoje spacerunki i ćwiczenia baletowe... — Przerwała, by zapalić papierosa. — Aha, przypomniało mi się, że spisałam nowy testament.

Karla wybuchnęła śmiechem.

— Dee, ty przecież nigdy nie umrzesz, jesteś na to zbyt skąpa.

— Wpłaciłam też dziś na twoje konto dziesięć tysięcy dolarów.

— Wspólne konto Connie i Ronnie Smith — zaśmiała się Karla. — Connie wpłaca, a Ronnie wypłaca. Myślę, że wszyscy w banku już nas rozszyfrowali.

— Nie rozpoznają mnie — powiedziała szybko Dee. Karla zerwała się z łóżka i zrobiła arabeskę.

— A cóż ja mam począć? Jestem tak sławna, że mnie wszyscy natychmiast poznają — powiedziała kpiąc ze swego rozgłosu.

— Ty wariatko — śmiała się Dee — wracaj do mnie.

Karla narzuciła szlafrok i włączyła telewizor. Wdrapała się na łóżko i usiadła ze skrzyżowanymi nogami, a potem zaczęła przerzucać pilotem kanały, dopóki nie natrafiła na film. Grali Grand Hotel z Gretą Garbo, Johnem Barrymore i Joan Crawford.

— Dee, o której musisz być w domu? — spytała. Dee przytuliła się do niej.

— Wszystko jedno. Mike grał dziś do osiemnastu dołków w golfa i będzie zapewne spał całą noc. Zostawiłam mu na wszelki wypadek wiadomość, że poszłam do Joyce na partyjkę tryktraka.

— Kto to jest Joyce?

— Ktoś, kogo wymyśliłam. Dzięki temu nie będzie mógł mnie nigdy sprawdzić.

— Mike Wayne jest bardzo atrakcyjny — powiedziała powoli Karla.

— Wysłałam za niego tylko ze względu na ciebie. Karla odchyliła się ze

śmiechem do tyłu.

— Och, Dee, wiem, że prasa nie ma wysokiego mniemania o mojej inteligencji, a wszystko dlatego, że nie udzielałam wywiadów, ty jednak, znając mnie trochę lepiej, nie sądzisz chyba, że w to uwierzę?

— Kiedy to prawda. Mówiłam ci, jeszcze zanim za niego wyszłam... nim go w ogóle poznałam, że mam zamiar wyjść za mąż, że muszę to zrobić. Tej wiosny, gdy pokazywałyśmy się często z Davi-dem... Wiem, że ludzie zaczęli się zastanawiać... Nie chodzi o ciebie, ale o mnie, dlaczego łączę na doczepkę. Ty słyniesz z tego, że chcesz żyć własnym życiem. Wszyscy wiedzą, jak bardzo walczysz o swą niezależność, lecz jeśli chodzi o mnie, przywykli, że widują mnie we wszystkich gazetach, a to z okazji otwarcia sezonu operowego, a to na balecie bądź premierze nowego przedstawienia na Broadwayu, zwłaszcza gdy jest połączona z imprezą charytatywną. Poza tym są bale... jestem w zarządzie trzech dużych organizacji charytatywnych, no i jeszcze moje interesy — jestem przewodniczącą rady nadzorczej w dwóch korporacjach. Muszę chodzić na różne przyjęcia, potrzebuję więc reprezentacyjnego towarzysza. Muszę pokazywać się w odpowiednich

miejscach z mężczyzną. W Hiszpanii otwierają szpital nazwany moim imieniem. Gdy pojedę tam przyszłej wiosny, biskup odprawi nabożeństwo. Pomyśl, czy mogę sobie pozwolić na skandal?

— Dlaczego nie przekazesz pieniędzy i nie odsuniesz się od tego wszystkiego? — zaproponowała Karla.

— Odwrócić się od świata, tak jak ty próbujesz robić? — popatrzyła na Karłę. — Jeżeli to zrobię... czy mi obiecasz, że zamieszkaś ze mną i zostaniesz moją na zawsze?

Karla zaśmiała się cicho.

— Niestety, jedyną osobą, z którą muszę pozostać na zawsze, jestem ja sama.

— Ale ty nie masz nic przeciwko samotności, mnie to przeraża. Zawsze nienawidziłam samotności, dopóki jednak nie wkroczyłaś w moje życie, nie było to panicznym strachem. Gdy zniknęłaś po raz pierwszy, połknęłam całą fiolkę seconalu. Nadal bardzo cierpię, gdy wyjeżdżasz, ale przynajmniej nie jestem już sama.

— Tego rodzaju strachu nie mogę zrozumieć — rzekła Karla, cały czas oglądając film.

— Może dlatego boję się samotności, że w niej wyrosłam. Moi rodzice bardzo wcześnie zmarli, a ja wychowywałam się wśród banków i powierników ze świadomością, że nie jestem ładną dziewczynką, ale to nie

ma znaczenia, gdyż mam bardzo, bardzo dużo pieniędzy. Czy wiesz, jak to jest? Kiedy czujesz, że każdy mężczyzna, z którym się spotykasz, tylko ci schlebia i zachowuje się tak, jakby zabiegał o ciebie z uwagi na twoje pieniądze?

— To śmieszne, Dee, jesteś przecież bardzo piękna. Dee uśmiechnęła się do niej.

— Mam ten typ urody, który jest efektem bogactwa, wypielegnowania i diety. Nie urodziłam się piękna jak na przykład Jackie Onassis czy Babę Paley.

— Myślę jednak, że jesteś — powiedziała Karla przyglądając się zbliżeniu Joan Crawford.

Dee popatrzyła na ekran.

— Ona jest piękna — stwierdziła — i dzięki urodzie zdobyła pieniądze i wielu mężczyzn, którzy ją kochali, ja zaś osiągnęłam moją urodę dzięki pieniądzom i dzięki nim miałam zawsze mężczyzn, którzy zapewniali, że mnie kochają. Zawsze o tym wiedziałam, dlatego nigdy nie pozwoliłam sobie na miłość do żadnego mężczyzny. W gruncie rzeczy nienawidzę mężczyzn. Kobiety są inne. Zawsze wybierałam bardzo bogate, bo miałam pewność, że pragną mnie dla mnie samej. I tak było, ale ja tak naprawdę nigdy żadnej nie kochałam. Nie sądziłam, że jestem zdolna do prawdziwej miłości, dopóki nie spotkałam ciebie. Karlo, czy zdajesz sobie sprawę, że jesteś jedyną istotą, którą kiedykolwiek kochałam?

— Wiesz co? Ten film nieźle się trzyma — powiedziała Karla.

— Na miłość Boską, Karlo, nie możesz wyłączyć tego cholernego telewizora?

Karla ściszyła dźwięk i uśmiechnęła się do Dee.

— Jesteś szczęśliwa? Dee popatrzyła na nią.

— Wiesz? Myślę, że od kiedy cię poznałam, nie miałam chyba jednego szczęśliwego dnia.

— A mnie się zdawało, że mówiłaś, iż mnie kochasz. — Karla oglądała film bez dźwięku.

— I właśnie dlatego jestem taka nieszczęśliwa! Och, Karlo, czy ty naprawdę nie rozumiesz? Nawet kiedy jesteśmy blisko siebie... jak na przykład teraz... — Jej ręka powędrowała pod szlafrok Karli i zaczęła głaskać jej ciało. — I kiedy dotykam cię tak jak teraz, mam wrażenie, że nie należysz całkowicie do mnie, że nie dociera do ciebie wszystko, co mówię lub robię.

— Właśnie teraz bardzo mnie podniecasz... Chyba zdejmę szlafrok i

będziemy się kochać.

Po raz kolejny Dee doznała uczucia nieopisanego doskonałości ich stosunku. Gdy już było po wszystkim, przytuliła się do Karli i szepnęła: — Karlo, ubóstwiam cię. Proszę... proszę, nie czyni mnie nieszczęśliwą.

— Myślałam, że uczyniłam cię właśnie bardzo szczęśliwą. Dee odwróciła się.

— Nie mówię tylko o seksie. Nie możesz zrozumieć, co mi robisz! Te twoje nagłe zniknięcia...

— Przecież już wiesz, że zawsze wracam — stwierdziła Karla.

— A skąd mogę być tego pewna? Tak samo jak nigdy nie wiem, kiedy zamierzasz znowu wyjechać. Czy zdajesz sobie sprawę, że kocham cię już prawie dziewięć lat, a gdyby dodać wszystkie dni, które spędziłyśmy razem, nie byłoby nawet kilku miesięcy?

Karla włączyła dźwięk. Greta Garbo była właśnie w trakcie miłosnej sceny z Johnem Barrymore.

— Zmęczylabyś się mną — powiedziała — gdybym została zbyt długo.

— Nigdy.

Karla nie odrywała oczu od ekranu.

— Moja słodka, mała Dee, tak jak ty nie możesz być sama, tak Karla musi czasami wyjechać samotnie.

Dee złapała automatycznego pilota i wyłączyła telewizor.

— Karlo, wiesz o pigułkach nasennych, które wzięłam za pierwszym razem. Cóż, przyrzekłam sobie, że to się już nigdy nie zdarzy. Zawsze gdy wyjeżdżałaś, cierpiałam, ale zawsze mówiłam sobie, że robię się silniejsza, że ty przecież wrócisz. No i ostatniej wiosny po twoim kolejnym wyjeździe ja... podciąłam sobie żyły. Na szczęście obeszło się rozgłosu. Mieszkałam wówczas w Marbelli, a mam tam kilku zaprzyjaźnionych lekarzy. Wtedy właśnie doszłam do wniosku, że muszę wyjść za mąż, by pozostać przy zdrowych zmysłach.

Wielkie szare oczy Karli patrzyły na nią ze współczuciem.

— Smucisz mnie mówiąc takie rzeczy. Może powinnam odejść z twojego życia raz na zawsze.

— O Boże, czy nie rozumiesz? — Dee przywarła do niej. — Nie mogę żyć bez ciebie. Wiem też, że gdy będę ci robić za często takie sceny, to naprawdę mnie zostawisz. To był jeszcze jeden powód, dla którego wyszłam za "i"? Wayne'a. On nie jest taki jak inni mężczyźni. Nie mogę go lekceważyć lub mu rozkazywać, muszę grać rolę dobrej żony i być mu posłuszna. Ta dyscyplina pozwala mi nie wściekać się na ciebie. Wiem, że dopóki będę odgrywała rolę jego żony, dopóty Mikę zostanie przy mnie,

ponieważ jest bez pieniędzy, a ponadto utworzyłam fundusz powierniczy w wysokości dziesięciu milionów dolarów dla jego córki...

— Czy to w twoim stylu? — spytała Karla. — Na ogół starasz się trzymać wszystkie atuty w ręku.

— To nie jest nieodwołalny zapis — uśmiechnęła się Dee.

— Zawsze mogę go zmienić. — Potem popatrzyła na Karłę prosząco.

— Musisz przyjechać do Palm Beach. Mikę będzie całymi dniami grał w golfa, a my możemy być razem. Będziemy miały dla siebie nawet noce... tak jak dzisiaj. Dom jest tak wielki, że nigdy nas nie znajdzie.

Karla wybuchnęła śmiechem.

— I po co ta mowa o zachowywaniu pozorów? Według mnie gość u ludzi, którzy się niedawno pobrali, jest najlepszym tematem do plotek.

— Chyba że przyjedziesz w okresie świąt, wszyscy mają wówczas gości. A jeżeli potem zostaniesz, nikt nie będzie gadał.

— Zobaczymy.

Zabrała od Dee pilota i ponownie włączyła telewizor, a potem weszła do łóżka i zaczęła przerzucać kanały. Włączyła się w środku filmu z Carym Grantem. Rozsiadła się zadowolona.

— Wspaniały mężczyzna. Niewiele brakowało, a nakręcilibyśmy wspólny film, nie mogliśmy się jednak dogadać co do warunków.

Dee położyła się i wpatrywała w doskonały profil Karli. Zobaczyła świeże blizny za uszami. Zastanowiło ją nagle, dlaczego Karla to zrobiła. Dee poddała się pierwszej operacji plastycznej siedem lat temu, chciała być piękna z uwagi na Karłę. Rok temu przeszła kolejną znowu po to, by zatrzymać ją przy sobie. Gdy zobaczyła u niej tej wiosny pierwsze zmarszczki pod oczami i lekko obwisłą skórę wzdłuż szczęki, stwierdziła, że pragnie, aby stało się to szybciej. Chciała, żeby ta piękna twarz uległa zniszczeniu, by nikt jej nie pragnął. I oto okazało się, że podczas ostatniego wyjazdu Karla poddała się operacji. Dlaczego? Nie myślała przecież o powrocie do pracy. Odrzucała każdą ofertę. A więc dlaczego to zrobiła? Dee nagle poczuła się słabo. Czyżby Karla była naprawdę zainteresowana Davidem? Do tej pory Dee uważała, że związek z Davidem schlebia próżności Karli. Gdy teraz myślała o tym wszystkim, zaczęło ją ogarniać przerażenie, uświadomiła sobie bowiem, że jest to możliwe. Karla jest lesbijką, sama jej to powiedziała. Stwierdziła kiedyś, że wiedziała już o tym, gdy była małą dziewczynką. Nigdy nie rozwodziła się więcej na ten temat, ale Dee przypuszczała, że ten fakt wyszedł na jaw w którejś grupie baletowej. Tylko że Karla miała również kilka głośnych romansów z mężczyznami i sama utrzymywała, że mężczyźni ją bardzo

interesują. Dee zamknęła oczy, ogarnięta rozpaczą. Dwadzieścia lat temu —Christopher Kelly, aktor, z którym Karla o mało nie uciekła, był bardzo podobny do Davida. Może pociągał ją pewien typ męskiej urody?

Popatrzyła na Karłę; ta posłała jej wesoły uśmiech i znowu całą uwagę skierowała na telewizor. Dee chciało się krzyczeć: były razem, leżały w jednym łóżku, nie odważyłyby się jednak wypytywać jej o nic, wtrącać się w jej uczucia. Nauczyła się, że nawet największe zbliżenie nie upoważnia do ingerowania w prywatne życie Karli. Pewnej części swego jestestwa Karla zawsze strzegła zazdrośnie i nie pozwalała w nią wtargnąć ani łzami, ani groźbami, ani nawet pieniędzmi. Dee już wiele lat temu odkryła jej chorobliwe wręcz skąpstwo. Ta kobieta była milionerką, a największe przywiązanie okazywała wówczas, gdy stawała się posiadaczką wielkiej kwoty pieniędzy. Jednak dzisiaj nawet dziesięć tysięcy wywołało zaledwie uprzejmy uśmiech. Wydawała się być czymś zaabsorbowana — może naprawdę zakochała się w Davi-dzie? Strach sprawił, że Dee zapomniała o wszystkich regułach, aczkolwiek głos starała się trzymać w ryzach: — Karlo, czy często widzisz się z Davidem?

Karla nie odrywała oczu od telewizora.

— Tak.

— Sądzę, że podoba mu się moja pasierbica.

— Myślę, że chciałabyś, aby mu się podobała — uśmiechnęła się Karla.

— Ale David tak naprawdę nic dla ciebie nie znaczy, prawda?

— Oczywiście, że znaczy. Czy inaczej bym się z nim spotykała? Dee wyskoczyła z łóżka.

— Ty suko!

Karla położyła się na plecach i uśmiechnęła.

— Zaziębisz się stojąc tak bez ubrania. I wiesz co, Dee? Powinnaś ćwiczyć trochę balet, zrobiłoby to dobrze twoim udom.

Dee podbiegła do łazienki, Karla zaś nastawiła głośniej telewizor. Gdy wróciła, jej przyjaciółka sprawiała wrażenie całkowicie pochłoniętej filmem. Ubrała się w milczeniu, a potem podeszła do łóżka.

— Karlo, dlaczego robisz wszystko, by tak mnie dręczyć?

— Dlaczego cię dręcę? — głos Karli był zimny. — Masz męża... i bardzo, bardzo dużo pieniędzy. Lubisz decydować o ludzkim życiu, lubisz mieć nad ludźmi władzę i straszyć ich swoimi pieniędzmi, ale nie możesz decydować o Karli ani nie możesz jej zastraszyć.

Dee opadła na brzeg łóżka.

— Czy zdajesz sobie sprawę, jak to paskudnie mieć takie pieniądze?

Karla westchnęła.

— Och, moja biedna Dee. Martwisz się, bo nie wiesz, czy ludziom tak naprawdę zależy na tobie. Mówisz, że pozostawiło to głęboką ranę w twojej psychice. Wiesz, że wszyscy mamy jakieś rany. — Karla wyłączyła telewizor. — Nie znasz, niestety, a raczej na szczęście, ran, które powstają, gdy pracuje się ciężko, aby stać się gwiazdą... i jeszcze ciężiej, aby zachować sławę, pamiętając cały czas, jak to jest, gdy się nie miało pieniędzy.

— Ależ to było wyzwanie i świetna zabawa.

— Zabawa? — uśmiechnęła się Karla.

— Nie opowiadasz nigdy o swoich młodych latach, czytałam jednak wszystko, co tylko zostało napisane na twój temat. Pewnie, że dorastałaś w Europie podczas wojny — to musiało być okropne. Pamiętam, że byłam dwudziestoletnią dziewczyną, gdy miał miejsce atak na Pearl Harbor. Wstąpiłam wówczas do komitetu i robiłam różne robótki na drutach dla Anglików i Rosjan — tak, oni byli wówczas naszymi sojusznikami. Tylko że wtedy jedynie czytaliśmy o walkach. Nie było telewizji, która mogłaby wpuścić wojnę do naszych salonów, tak jak dzisiaj. To straszne — wzdrygnęła się Dee.

Karla patrzyła przed siebie.

— Przechodzi cię dreszcz grozy, kiedy telewizja wpuszcza wojnę do twego salonu, a w Polsce wojna wdarła się naprawdę do naszych domów.

— Do twojego też?

Karla uśmiechnęła się i odparła: — Miałam dwadzieścia lat, gdy Niemcy sprzymierzyły się z Rosją. W trzydziestym dziewiątym Hitler napadł na Polskę i podzielił ją między Niemcy i Rosję.

— Czy właśnie wtedy wyjechałaś do Londynu?

— Nie... Najpierw do Szwecji, potem do Londynu... Nie jest to rozmowa na tak późną porę. Poczulałam się nagle zmęczona.

Dee wiedziała, że musi już iść — Karla ją wyrzucała. Zawahała się: powinna właściwie odejść odgrając się, że więcej jej nie zobaczy, wiedziała jednak, że i tak przyczołga się z powrotem. Obie były tego świadome.

— Karlo, w przyszłym tygodniu wyjeżdżam do Palm Beach. Proszę cię, przyjedź do nas.

— Może przyjadę.

— Czy mam przysłać po ciebie samolot? Karla przeciągnęła się.

— Zawiadomię cię jeszcze.

Dee uświadomiła sobie, że Karla już prawie usypia. Pochyliła się nad nią.

— Zadzwoń jutro. Kocham cię, Karlo.

Przyjechała do hotelu równocześnie z Mikiem. Objął ją ramieniem.

— Wyszedłem na hamburgera. Dobrze się grało?

Otworzył drzwi apartamentu; Dee rzuciła płaszcz na kanapę. Mikę podszedł do niej i znowu ją objął.

— Twój staruszek przeprasza, że usnął. — Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

— Ale już się rozbudziłem na dobre.

— Nie, Mikę — wyrwała się z uścisku — nie dzisiaj, Mikę, proszę!

Milczał przez chwilę, potem zdobył się na uśmiech.

— Co się stało? Przegrałaś w tryktraka?

— Tak, trochę, ale się odegram, muszę. — Zwróciła się do niego ze sztywnym uśmiechem. — Wiesz, to kwestia ambicji.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

O północy we wtorek poprzedzający Święto Dziękczynienia Linda rozsiała się na środku swego łóżka (z January w roli pojmanej siłą widowni) i przeklinała hipokryzję towarzyszącą obchodom tego święta.

— No i co my tak naprawdę świętujemy? — pytała z pretensją. — To, że kilku niezrównoważonych psychicznie ludzi, którzy nazwali się „osadnikami”, przyjechało tutaj, spotkało kilku życzliwych Indian, a potem zaczęło im odbierać siłą całą tę ziemię.

— Och, Lindo, przecież byli życzliwi wobec Indian. Do walk doszło dopiero później. W rzeczywistości Święto Dziękczynienia obchodzimy, aby uczcić pierwsze udane zbiory i przyjaźń z Indianami.

— Gówno prawda. Poza tym jaki to pieprzony osadnik zdecydował, że będziemy je obchodzić w czwartek, by rozwalić cały tydzień pracy? Co innego, gdyby to było w lecie i można by pojechać do Hamptons, ale co zrobić z takim długim weekendem w listopadzie?

— A twoja rodzina? — spytała January.

— Moja rodzina? Najnowsza żona ojca ma coś około dwudziestu pięciu lat i niedawno urodziła dziecko. Dlatego ostatnia rzecz, jakiej by oczekiwał, to obecność córki starszej od jego żony. To by mu przypomniało, ile sam ma lat. A matka rozwodzi się właśnie z mężem. Nakryła go na jakimś koktajlu, jak obłapiał jej najlepszą przyjaciółkę w damskiej toalecie. Nie stoi więc teraz nad indykiem. Ty to masz szczęście... Cztery wspaniałe dni w Palm Beach, w pałacu z widokiem na morze... Polecisz tam własnym samolotem, będziesz się grzać w

promieniach słonecznych, obskakiwana przez facetów: tatusia i Davida. Czy może jest tylko tatuś, a David będzie przeszkodą?

January podeszła do okna. Kładła się właśnie spać, gdy zadzwoniła Linda, nalegając, by koniecznie do niej przyszła. Powiedziała, że to pilne, a tymczasem już od dwudziestu minut rozprawiała o Święcie Dziękczynienia.

January w rzeczywistości cieszyła się myślą o wycieczce. Mikę wyjechał tam dziesięć dni temu. Od czasu tej okropnej nocy była dwa razy z Davidem na randce. Najpierw wybrali się na Hair (David oglądał przedstawienie z odrazą, January była zachwycona), następnie zaliczyli wczesny seans, a potem wieczór w Maxwell's Plum. Za każdym razem odwoził ją do domu, zatrzymywał taksówkę i mówił „dobranoc” z uśmiechem oznaczającym: „Będę czekał, dopóki sama mnie nie poprosisz”.

Wiedziała, że uwaga Lindy o Davidzie i ojcu jest skutkiem jej samotności. Miała teraz na sobie górę od piżamy Keitha. Nagle zdała sobie sprawę, że January na nią patrzy, i uśmiechnęła się do niej.

— Każda dziewczyna ma starą górę od piżamy byłego kochanka, którą nosi na specjalne okazje, aby jej przypominała, że każdy facet to w głębi ducha po prostu gówniarz.

— Daj spokój, Lindo — January próbowała zmienić jej nastrój — z Keithem to problem kariery.

— Nie mówię o Keicie — przerwała Linda — mówię o Leonie.

Największy dupek wszechczasów. Dziś dokładnie o piątej po południu poinformował mnie, że wraca do żony. Kocha mnie, ale jego psychiatra twierdzi, że go kastruje. Poza tym wydaje mi się, że nie stać by go było na alimenty, które musiałyby płacić żonie, a na dodatek jeszcze na obiady, które mi czasami fundował. No i na wizyty u psychiatry trzy razy w tygodniu... — Wzruszyła ramionami. — Właściwie to on mnie chyba nigdy tak naprawdę nie pociągał.

— To dlaczego z nim spałaś?

— Moja droga, Leon jest utalentowanym kierownikiem artystycznym. Mógł dostać o wiele więcej w innym czasopiśmie...

— To znaczy, że zostaje u nas?

— Oczywiście. Nadal będziemy przyjaciółmi, może czasami nawet się prześpiemy. Posłuchaj, związałam się z nim przede wszystkim dlatego, żeby go u nas zatrzymać. A teraz zostawił mnie i wrócił do żony. Na szczęście mam za sobą wystarczająco dużo kuracji, by wiedzieć, jak to załatwić. Rozplakałam się, powiedziałam, że naprawdę go Kocham...

Musiał mi obiecać, że będzie się cieszył Świętem Dziękczynienia... Powiedziałam, że go rozumiem, wiem, że ma żonę i dziecko... Krótko mówiąc, nałożyłam na niego taki ciężar winy, że nigdy nie odejdzie z redakcji.

— Czy tylko to się dla ciebie liczy? „Gloss”? Linda zapaliła papierosa.

— W szkole panny Haddon wszystkie dziewczęta mnie adorowały, gdyż byłam zawsze modna, zawsze nowoczesna, prawda? Chłopcy spotykali się ze mną, bo im dawałam, a mimo to nigdy nie miałam pewności, czy znowu zadzwonią, ani jak długo uda mi się ich przy sobie zatrzymać. Sądzę, że już wtedy zdawałam sobie sprawę, iż znajdzie się zawsze taka, która da im lepiej niż ja. Kiedy odeszłam ze szkoły, poprawiłam nos i próbowałam zrobić karierę aktorską, widziałam, jak dziewczęta upokarzały się podczas przesłuchań. Byłam jedną z nich, wypruwałam z siebie śpiewem flaki na ciemnej, pustej scenie, by usłyszeć, jak jakiś bezcielesny głos woła: „Bardzo pani dziękuję.” Nawet jak miałaś szczęście i dostałaś pracę, w następnym sezonie znowu wracałaś, płaszczyłaś się, żebrałaś, chodziłaś, próbowałaś, błagałaś, żeby znowu stanąć na ciemnej scenie i usłyszeć: „Bardzo pani dziękuję.” Kiedy zaczęłam się w „Glossie”, wiedziałam, że muszę tylko skakać, biegać, być na usługi, nosić — jedynie przez jakiś czas, w drodze do kariery, a wtedy „Gloss” będzie zawsze. Nie tak jak przedstawienie, które zamykają po sezonie... Nie tak jak mężczyzna, który wychodzi z twego łóżka i nigdy nie wraca. Jeszcze będzie wielu Leonów... może nawet kilku Keithów.

— Keith... czyż nie był twoją wielką miłością?

— Daj spokój, January — uśmiechnęła się Linda. — Myślisz, że był pierwszym mężczyzną, przez którego niemal umarłam z miłości? Byłam do niego po prostu przywiązana, ale w inny sposób niż do Leona.

— Powiedziałaś, że chciałabyś za niego wyjść, że Keith jest...

— Był wówczas kimś ważnym — przerwała Linda. — Posłuchaj, w przyszłym tygodniu kończę dwadzieścia dziewięć lat. Parszywy wiek. Kiedy powiesz, że masz dwadzieścia dziewięć lat, nikt ci nie wierzy. W dwadzieścia siedem wierzą, ale dwadzieścia dziewięć i dwadzieścia osiem brzmi sztucznie. W tym wieku jest się już za starą, by wyjść za mąż, nawet kiepsko, ale nie idziesz „z górki”, gdy jesteś redaktorem naczelnym „Glossu”, najmłodszym redaktorem naczelnym w Nowym Jorku. Dlatego nie wypłakujesz się w poduszkę, gdy zrozumiesz, że Keith porzucił cię na zawsze.

— Skąd wiesz, że na zawsze?

— IŻyje ze starszą kobietą, mam na myśli naprawdę starszą. Nie

uwierzysz: z Christiną Spencer. — Widząc, że to nazwisko nic January nie mówi, dodała: — Jest bogata. Oczywiście daleko jej do Dee. „Vogue” nigdy nie poświęca jej całych stron tak jak Dee. Bywa czasami na centralnych stronach „Women's Wear”, na tych maleńkich zdjęciach z restauracji X, Y lub Z. Niemniej ma kilka milionów — zgasła papierosa. — Mój Boże, te kobiety z pieniędzmi! Kupują sobie młodsze twarze, młodszych przyjaciół. Kilka dni temu natrafiłam w „Women's Wear” na fotografię Keitha. W nowej marynarce od Cardina towarzyszył jej na balu dobroczynnym pod hasłem „Ratujmy dzieci” w Plaza. Byli oboje na centralnych stronach, tylko Keitha obcięli do połowy i napisali, że jest jej nieznanym partnerem.

— Ale czegoż on może od niej chcieć? — spytała January.

— Christina Spencer od dziesięciu lat finansuje niektóre przedstawienia na Broadwayu. Przeczytałam dziś rano w „Timesie”, że była głównym sponsorem musicalu rockowego Gąsienica i Keith Winters otrzymał w nim wyróżniającą się rolę.

— Nie czujesz się podle? — spytała cicho January. Linda pokręciła głową.

— Od czasu Tony'ego już nigdy tak naprawdę nie czułam się podle.

— Tony'ego?

— Tak, to był ktoś. Gdy odszedł, zażyłam pięć czerwonych laleczek i dwie żółte koszulki. Miałam dwadzieścia lat i myślałam, że nasza miłość będzie trwać wiecznie. No cóż, przeżyłam, zarówno odejście Tony'ego, jak i pigułki. Potem miałam wiele krótkotrwałych romansów. Wiesz, jak to jest: przyczepiasz się do faceta, bo jest pod ręką, bo chcesz pokazać Tony'emu, że nie umierasz, próbujesz udowodnić sobie samej, że wszystko w porządku, tylko że to nigdy nie przerodzi się w naprawdę poważny związek, ponieważ niezależnie od tego jak atrakcyjny jest ten facet, wiesz, że to i tak nie Tony. To może trwać parę miesięcy, czasem rok, ale nie jest dobre, może dlatego, że wywołujesz negatywne reakcje i on nagle przestaje dzwonić zapominając nawet, że zostawił u ciebie trzy koszule, milusie i świeżutkie, prosto z pralni, za którą ty zapłaciłaś. Myślę, że właśnie wtedy zaczęłam wybierać ludzi, którzy mogliby pomóc jakoś mojemu magazynowi. Często nie ma to nawet nic wspólnego z seksem. Na przykład teraz wielka agencja reklamowa kupuje całostronicowe kolorowe ogłoszenia dla swoich klientów. Dyrektor tej agencji, Jerry Moss, mieszka w Darien, ma cudowną żonę i dwoje dzieci, a poza tym przez całe życie był ciotą. Rok temu zakochał się w Tedzie Grancie, pewnym modelu, który jest również moim znajomym. Jestem ich parawanem. Niekiedy

gdzieś z nimi chodzę. Żona Jerry'ego myśli oczywiście, że łączą nas interesy. Byłam nawet raz u nich w domu, w Darien, na Wigilii z Tedem jako moim partnerem. Siedziałam z jego żoną w salonie i gawędziłyśmy przez czterdzieści minut, podczas gdy oni odstawiali numer na górze w ubikacji. Jest jeszcze projektant i jego żona. On jest pedałem, ona lesbijką. Ona ma swoją dziewczynę, on swego chłopaka, a ja jestem jako ta piąta — zmyłkowa dla wszystkich poza zaangażowanymi stronami. Projektant jest dla mnie wielką pomocą, jego żona wydaje wspaniałe obiady, na których poznaję najważniejszych ludzi. Tak... kocham „Gloss”. Zawsze był dla mnie dobry. Potrafię lepiej podnieść jego sprzedaż niż pobudzić wiotkiego penisa, który na mnie wchodzi. Och, zdarza się niekiedy, że nie mogę sobie poradzić, nie mogę go doprowadzić do wzwodu. Leży taki z miękkim ptakiem i patrzy na ciebie tak, jakbyś to ty zrobiła z niego impotentą. Leży i chce, byś uczyniła go twardym. Masz ich powyżej uszu, a potem zjawia się taki Keith i zaczynasz myśleć, że być może... Uczysz się, że tak może być, a jednocześnie wiesz, że to niemożliwe. Dlatego gdy odchodzi... nie płaczesz tak naprawdę.

— Cóż... przepraszam cię — January skierowała się ku drzwiom.

— Siadaj, idiotko. Nie ściągnęłam cię tu po to, by rozmawiać o moim życiu seksualnym ani uzalać się nad miłością do Keitha. Jestem odporna, a poza tym ułożyłam parę dni temu taroka i karty powiedziały mi, że coś ważnego przytrafi mi się w 1971 roku. Toteż gdy Leon przyniósł mi dziś najświeższe wiadomości, wróciłam do domu, wyjęłam z zamrażalnika stek barani i czekając, aż się rozmrozi, zaczęłam czytać odbitkę szczotkową najnowszej powieści Toma Colta.

— Czy jest tak dobra jak inne?

— Lepsza, bardziej komercyjna. Kilka jego ostatnich powieści było za dobrych, chcę powiedzieć, że poszedł w nurt literacki. Nie rozumiał go nikt poza krytykami. W ogóle się nie sprzedawały. Ta powieść będzie natomiast wystrzałowa. Dlatego jestem fatalistką. Gdyby Leon tu był, na pewno byśmy się teraz kochali i nie wzięłabym się za tę powieść.

— Co chcesz zrobić? — spytała January. — Zabiegać o prawo przedruku w odcinkach?

— Chyba żartujesz! Słyszałam, że „Ladies' Home Journal” podbił cenę do dwudziestu pięciu tysięcy tylko za dwa urywki. Nie możemy dostać tej książki, ale możemy dopaść autora. Rozumiesz?

— Lindo, jestem zmęczona i nawet nie zdążyłam się jeszcze spakować, daj spokój tym zagadkom. Nie, nie rozumiem.

Oczy Lindy zwęziły się.

— Posłuchaj, zachowujesz się ostatnio jak jakaś nawiedzona. Radzę ci, prześpij się z kimś, bo inaczej zejdziesz ci skóra.

— Przesady, a poza tym... — urwała.

— Co poza tym? — Linda spojrzała na January. — Hej, czerwienisz się. Zrobiłaś to z Davidem! Dzięki Bogu! Bierzesz pigułki? Wszystko jest wspaniale? Nic dziwnego, że tak się ekscytujesz wyjazdem do Palm Beach. Cztery długie dni i noce, piasek, miłość i...

— Lindo! Zrobiliśmy to tylko raz i było okropnie. Linda zamilkła.

— To znaczy, że David nie mógł?

— Nie... on... cóż... on był w porządku... tak myślę. To było straszne dla mnie.

Linda roześmiała się z ulgą.

— Zawsze tak jest za pierwszym razem. To znaczy przykre dla kobiety, bo dla mężczyzny nigdy. Z tego co słyszałam, te sukinsyny za pierwszym razem szczytują jak oszalali, nawet gdy mają trzynaście lat i robią to w ciemnym korytarzu z miejscową dziwką. Ona może nie mieć z tego żadnej satysfakcji, a oni potrafią się nawet spuścić, zanim jej włożą, ale do cholery, oni szczytują! I Organizacja Wyzwolenia Kobiet nie będzie w stanie nigdy tego zmienić. Każda dziewczyna jest bardzo ciasna w środku, nawet gdy była wcześniej pieszczona palcami. Dziewczyna czuje zawsze ból, gdy wchodzi w nią wspaniałe kutas. I bez względu na to, czy mówi się do niej „panno”, czy „pani”, bardzo rzadko ma satysfakcję, chyba że jest odpowiednio rozłożona i namaszczona namiętnościami. Dzięki Bogu, że nie jesteś już dziewczyną. Tylko szkoda, że straciłaś cnotę z Davidem.

January pokiwała głową.

— Też tak myślę. Sądzę, że powinnam była poczekać.

— Pewnie. Umówiłabym cię z kimś... choćby z Leonem.

— Czyś ty zwariowała?

— Nigdy nie powinno się tego robić po raz pierwszy z kimś, na kim ci zależy. Mówiłam już, że pierwsze szturchanie jest zwykle okropne i możesz stracić faceta. Czy zniechęciłaś Davida do siebie całkowicie?

— Nie sądzę. Mówi, że mnie kocha i chce się ze mną ożenić. Linda wpatrywała się w nią.

— To dlaczego tu siedzimy i wspominamy twą utraconą błonę? Wy, podstępne elegantki, zawsze jesteście wyuzdane w wyrze. Moje gratulacje i tak dalej, a teraz wróćmy do Toma Colta. Z tego co słyszałam, potrzebuje pieniędzy i w związku z tym zgodził się na wielkie tournee.

— Przecież jest bardzo bogaty — upierała się January. — Poznałam go, gdy byłam małą dziewczynką. Mieszkał tu, w mieście, z jedną ze swych

kolejnych żon, a mój ojciec kupował właśnie prawo do ekranizacji jego książki. Napisał około piętnastu wielkich powieści... Ma mnóstwo pieniędzy.

— Tak samo jak kiedyś twój ojciec. Może szczęście też odwróciło się ostatnio od Toma Colta? Ożenił się, płaci alimenty trzem byłym żonom, a czwartej uczynił wielki zapis. Jego nowa żona podarowała mu właśnie w prezencie syna. Wyobraź sobie, w jego wieku... Do tej pory nie miał dzieci. Jak już powiedziałam, jego ostatnie książki nie cieszyły się powodzeniem, a mieszkając w wielkim domu w Beverly Hills, mając rolls ??????, służbę, pokój projekcyjny, wszelkie możliwe akcesoria trudno być wypłacalnym po trzech nie sprzedających się książkach. Nie przy jego kosztach utrzymania. Od sześćdziesiątego czwartego nie sprzedał żadnej powieści do filmu, a przecież na tym robi się największe pieniądze — na filmach i wydawnictwach broszurowych. W najnowszej książce powrócił do swego starego, soczystego stylu, udowadnia, że przestał pisać dla krytyków i chce sobie znowu pozyskać czytelników. Kilka miesięcy temu był z nim wywiad w „Paris Review”, w którym powiedział, że nie przejmie się, jeżeli ci niby-znawcy sztuki okrzykną, iż zdradził samego siebie. Chce być pisarzem numer jeden i pragnie sprzedać książkę dla filmu. A więc...

— Więc?

— To znaczy, że będzie potrzebował jak największej reklamy i zażąda ogromnych pieniędzy za prawo przedruku fragmentów tej książki. Może się natomiast zgodzić, jeżeli mu zaproponujemy wywiad ze zdjęciem na okładce.

— A jak powstrzymasz Helen Gurley Brown, by nie wpadła na taki sam pomysł, jeśli już tego nie zrobiła? — spytała January.

— Och, na pewno o tym myśli. Ale m? mamy ciebie.

— Mnie?

— Ty znasz Toma Colta.

— Ależ, Lindo, poznałam go, gdy miałam około pięciu lat. Co mam zrobić? Posłać mu swoje zdjęcie z dzieciństwa i spytać: „Zgadnij, kto to? Spotkajmy się przez wzgląd na stare dzieje”? A poza tym powiedziałaś, że mieszka w Beverly Hills.

— Jeżeli będzie trzeba, to cię tam wyślę, i to pierwszą klasą. Posłuchaj, książka nie ukaże się przed lutym, a może marcem. Chcę tylko, żebyś umówiła się z nim na wywiad... w imię znajomości z tatusiem.

January wstała.

— Jestem zmęczona, Lindo, i muszę się spakować...

— Okay, baw się cudownie, a pływając się w słońcu i kochając pomysł, czy nie możesz sprokurować listu do Toma Colta. Może uda ci się nawet nakłonić tatę, aby dopisał od siebie parę linijek...

Gdy lądował odrzutowiec F-14, Mikę czekał już na lotnisku. Patrzył, jak January z Davidem pod rękę schodzili po schodach. Jeszcze go nie dojrzała i przez chwilę upajał się radością, którą sprawiała mu możliwość obserwowania jej niepostrzeżenie. Za każdym razem zauważał w córce jakąś ledwo uchwytną zmianę. Miał wrażenie, że ujawniają się w niej coraz to nowe pokłady piękności. Podobał mu się jej dzisiejszy niedbały wygląd: szerokie spodnie, miękki kapelusz i długie proste włosy.

Wyglądała jak jedna z modelek nowej generacji. Już go zauważyła i pobiegła w jego stronę wołając: — Tatusiu... och, tatusiu, tak się cieszę, że cię widzę!

Uśmiechnął się na myśl o tym, że w chwilach podniecenia zawsze zwraca się do niego „tatusiu”, zapominając o „i??”.

— Zostawiłem Maria, by przyrządził drinki. Dziś ja jestem waszym szefem — wyjaśnił, gdy David usadowił się z tyłu kabrioletu, zaklinowany pomiędzy bagażami.

— Ilu gości tym razem? — spytał David.

— Coś około ośmiu czy dziesięciu, ale traci się rachubę, gdyż Dee stale wydaje lunch na trzydzieści do czterdziestu osób. Codziennie o dziewiątej znikam na golfa, a kiedy wracam o czwartej, połowa z nich jeszcze jest w domu. Potem o siódmej przychodzą nowi, na koktajl. Postanowiła jednak, że obiad w Święto Dziękczynienia będzie intymną imprezą — tylko dwa stoły dla dwunastu osób. A tymczasem miejmy nadzieję, że będziemy mogli liczyć na słońce, gdyż oboje powimiście się trochę opalić.

Przez cały weekend utrzymała się dobra pogoda. Codziennie grano na basenie dwie lub trzy partie tryktraka. Ciągłe wjeżdżały ciepłe i zimne zakąski serwowane przez nieprzerwany potok służby. January i Mikę siedzieli, chłonęli ciepło słońca, chodzili na plażę i razem pływali. Gdy January grała z Davidem w tenisa, Mikę obserwował ze zdziwieniem, jak każdym wolejem wywodzi go w pole. Gdzie nauczyła się tak świetnie grać? Nagle, jak tysiące świateł, rozbłysło mu w umyśle wspomnienie wszystkich zawodów tenisowych, na których nigdy nie był, wszystkie gryzmołone pospiesznie kartki z Los Angeles, Madrytu czy Londynu: „Gram w zawodach o puchar juniorów. Chciałabym, żebyś przyjechał.” „Reprezentuję szkołę w Grupie Wschodniej. Chciałabym, żebyś tu był.” „Wygrałam.” „Wysyłam puchar do Plaża.” „Zwyciężyłam.” „Posyłam puchar do Plaża.” „Byłam druga.” „Wygrałam.” „Czy dostałeś

moją nagrodę? Ta jest ze szczerego złota." „Wygrałam." „Wygrałam." Mój Boże, jak niewiele dał jej dotychczas z siebie! Nagle pomyślał, że nie wie, co się stało z jej wszystkimi pucharami i nagrodami: nigdy go o to nie pytała. Leżą zapewne w jakimś magazynie razem z maszynami do pisania, pianinem, szafami na akta i innymi meblami biurowymi, które zgromadził podczas wszystkich swoich „powrotów". Nie wiedział nawet, gdzie to składowisko może się znajdować.

Ileż to zmarnował lat z jej dzieciństwa, a ile ona straciła lat ze swej młodości! Teraz wchodzi w najlepsze lata i on znowu je przegapi. Miał żonę... i nie była to taka kłapa, po której mógł po prostu zamknąć biuro i się wynieść.

Gdy tak siedział, patrząc na córkę grającą w tenisa, wpadł w popłoch, uświadomił sobie bowiem, że podświadomie myśli o swoim małżeństwie jak o klęsce, a przecież nic się nie zmieniło: Dee nadal uśmiechała się do niego co wieczór poprzez stół, wciąż wsuwała mu rękę pod ramię, gdy witali goście, w dalszym ciągu chodził z nią dwa razy w tygodniu do łóżka... O, właśnie to! Właśnie dotknął odkrytego nerwu. To o n chodził z nią do łóżka. Ostatnio odniósł wrażenie, że Dee wyświadcza mu grzeczność, cierpliwie znosi jego obecność, nie „gra" więcej. Kiedy po raz ostatni jęczała, przytulała się do niego i mówiła, że było wspaniale? Może to jego wina? Może wyczuwała, że Mikę sam sądził, iż wyświadcza jej grzeczność? Takie rzeczy można wyczuć. Tak, to była jego wina. Biedna babka, była na pewno urażona, że spędzał tyle godzin w klubie. Bóg świadkiem, że ostatnio nie poświęcał jej zbyt wiele czasu. Rano golf, po południu remik (znalazł kilku niezłych frajerów). Prawdą jest, że zjawiał się w domu akurat w porze, aby wypić z nią szklaneczkę martini. A wieczory były zawsze wypełnione proszonymi obiadami.

No dobra, od dziś wszystko się zmieni. Kiedy tylko January wyjedzie, zabawi się z Dee jak za dawnych czasów. Skróci też popołudniowe partyjki remika. Nic się nie stanie, jeżeli spędzi z nią kilka popołudni. Tylko że i tak nie będzie z n i ą. Będzie marnował czas na lunchach z jej wszystkimi przyjaciółmi i patrzył, jak grają w trykt-raka. Nie, lepiej się trzymać klubu golfowego. Bądź co bądź, wygrał do tej pory w remika prawie pięć tysięcy dolarów. Założył sobie nawet konto bankowe; pięć tysięcy to oczywiście śmieszna kwota, ale to były j ego pieniądze, sam je zarobił, a raczej wygrał. Co, u diabła! Kiedy zarabiasz na remiku, wstrzykujesz sobie tyle samo adrenaliny co wówczas, gdybyś zapracował na nie w jakikolwiek inny sposób. Musi jednak poświęcić Dee więcej uwagi w łóżku. Może dotychczas nie za bardzo się do tego

przykładał? A więc w niedzielę, po wyjeździe January i wszystkich gości, zaczęła się nowe, romantyczne rządy. Od razu poczuł się lepiej. Trzeba od czasu do czasu zrobić taki remanent. Siedział tu i deliberował, że nie wszystko układa się pomiędzy nimi prawidłowo, podczas gdy to on sam był jedynym winowajcą. Do licha, w Marbelli były takie same tłumy, w sierpniu będzie ich tyle samo w Grecji, a także w każdym innym miejscu. W Londynie do Dorchester przychodziło zwykle na koktajl nie mniej niż dwadzieścia osób. Dee ma taki styl życia — wiedział o tym, zanim się z nią związał. Spodziewała się, że dostarczy jej wrażeń miłosnych — właśnie to jej dał, kiedy spotkali się po raz pierwszy, i dlatego straciła dla niego głowę. To samo robi teraz, począwszy od niedzieli.

Następne dni poświęcił jednak wyłącznie na zabawianie córki. Patrzył, jak jej skóra staje się złotobrazowa, przyglądał się jej wspaniałemu ciału w bikini (Dee była tak cholernie biała), rozwiewanym przez wiatr włosom (włosy Dee były zawsze starannie ułożone), jej szalonym drelichom (Dee miała zawsze śnieżnobiałe spodnie z lśniącej jedwabistej materii), maleńkim srebrnym pierścionczkom, które nosiła na wszystkich palcach (Dee miała kosztowną biżuterię od Davida Web-ba). Obydwie diametralnie się różniły. Dee była pięknnością, Mike jednak cieszył się, że jego córka wygląda właśnie tak, a nie inaczej.

Była w niej jakaś czystość i radość życia. Podobało mu się jej żywe zainteresowanie wszystkim, jej entuzjazm dla „Glossu”, niedbały stosunek do Davida, udawane zainteresowanie ploteczkami Dee na temat romansów osób z tutejszego towarzystwa. Na pewno miała mętlik w głowie od wszystkich nie znanych jej nazwisk, ale słuchała uważnie.

Trudno mu było ocenić Davida. Zawsze znajdował się w pobliżu, uśmiechał się, był doskonałym kompanem. Można powiedzieć, że byli z Dee kuzynami w pierwszej linii, ulepionymi z tej samej gliny, wyczuwało się w nich arystokrację: doskonałe maniery, sposób, w jaki niezmordowanie grali w tryktraka z gośćmi, nienaganny ubiór na każdą okazję. Spodnie do tenisa David miał akurat odpowiedniej długości, sweter zawsze niby obszerny, a jak najbardziej stosowny, nawet pocił się z klasą — troszkę na czole, dzięki czemu jego opalenizna błyszczała. Czy nie tego pragnął dla January? Zanim jeszcze poznał Dee, wiedział, że chce dla córki czegoś lepszego niż show business. Dlatego wybrał jej tę ekskluzywną szkołę w Connecticut. Doradził mu to jego dyrektor do spraw handlowych: „Powinna poznać eleganckie dziewczęta, a potem ich braci — tak to się dzieje. Po to są dobre szkoły.”

No cóż, jedyną rzeczą, jaką z tego wyniosła, były liczne nagrody w

turniejach tenisowych i praca w magazynie. Ze wszystkich dziewcząt z całej szkoły musiała się związać właśnie z Lindą, istną piranią, dziewczyną, która przechodziła z łóżka do łóżka. Ale czyż nie na tym polegała dzisiejsza swoboda obyczajów? Przyjrzał się córce grającej w tenisa. Czy jest jeszcze...? Do licha, nie spodziewał się, że pozostanie do końca życia dziewicą, należała jednak do tych dziewcząt, które oddają się chłopakowi dopiero po zaręczynach albo tuż przed... tylko po to, by się upewnić. Teraz była całkowicie zaabsorbowana swym magazynem, choć prawdopodobnie, jak twierdziła Dee, January pobawi się trochę robieniem kariery dziennikarskiej, a potem wyjdzie za Davida.

Zastanowiło go, skąd się wzięło jego przygnębienie. Przecież tego dla niej pragnął. Ale czy chciał, żeby stała się drugą Dee? No cóż, czemu nie? Byłoby to o niebo lepsze od drogi, którą obrały inne dzieciaki — zamieszkać z jakimś facetem, żyć na luzie, jeździć do East Village. Albo przypuśćmy, że byłaby bardziej podobna do niego i pragnęłaby zostać wielką gwiazdą. Co wtedy? Załóżmy, że dopięłaby swego. Przeżyłaby parę burzliwych lat niebiańskiej szczęśliwości, ale ostatecznie kariera każdej gwiazdy, również i jego, kończy się porażką i samotnością. Jeżeli mężczyzna ma pieniądze, jego kariera może trwać dłużej, ale w wypadku kobiety jest jej największym wrogiem. Nawet taka legenda jak Karla — jakież ona prowadzi życie? Wciąż te ćwiczenia baletowe! Tylko gdyby nie one, gdzie by codziennie chodziła? Większość wielkich gwiazd nie ma niestety tyle szczęścia, żeby urodzić się tak głupimi jak Karla, którą cieszą spacer i lekcje baletu. Bardziej wrażliwe są pasożytami, przesiadują same w swych rezydencjach w Beverly Hills, biorą tabletki nasenne lub popadają w alkoholizm. Robią wszystko, żeby tylko przetrwać noc i obudzić się następnego ranka oraz rozpocząć nie kończący się dzień, spędzany na oglądaniu „oper mydlanych” w telewizji i jedzeniu podawanych im na tacy posiłków. Nie, January układało się dobrze. Nauczyła się w szkole panny Haddon wszystkich podstaw, a teraz on dawał jej resztę:

posiadłość taką jak ta, by miała gdzie przyjechać, słońce w zimie, śnieg w lecie. Wszystko, czego tylko chciała.

Zdobył to dla niej. Patrzył, jak schodzi z Davidem z kortu; znowu go ograła. Tak, jest jego córką — mistrzynią, ale David był również mistrzem. przegrywać z wdziękiem jest nie lada sztuką. David miał to doskonale opanowane. Dowodził tego sposób, w jaki przechylił się przez siatkę³ by jej pogratulować, a potem objął ją serdecznie, gdy inni goście i Cri 'Okiaskiwaii. Najbardziej jednak podobał się Mike'owi wdzięk i entuzjizm,

z jakim David uczestniczył we wszystkich nie kończących się przyjęciach, w których brali udział co wieczór.

January również wyglądała na zadowoloną z weekendu. Może dobrze to załatwił? Być może wszystko układało się tak, jak sobie wymarzył, gdy na Święta Bożego Narodzenia przyjadą do Palm Beach, będą już poważnie zaangażowani. Dee byłaby bardzo zadowolona. Ales do licha... jeszcze nie teraz. W styczniu January kończy dopiero dwadzieścia jeden lat, należy jej się trochę wolności.

Wolności — po co? Jest przecież dziewczyną. Myślał teraz o niej obiektywnie. Dziewczęta nie muszą się wyszumieć, są zadowolone, gdy dostaną jednego mężczyznę na całe życie. January nie jest przecież jedną z tych niedowarzonych bab z Organizacji Wyzwolenia Kobiet. Tak czy owak, Mike im nie wierzył. Widząc je czasami w telewizji mówił do ekranu: „Moja mała... wystarczyłoby jedno dobre dymanie, a śpiewałabyś zupełnie inaczej.” Wszystkie były jednakowe — baby bez chłopca. Jego córka nigdy nie będzie miała tego problemu.

W niedzielę wstał wcześniej rano; obiecał January, że zje z nią śniadanie na basenie. Odjeżdżała około czwartej, potem mieli pozostać z Dee sami? Długo zdecydowany dotrzymać danej sobie obietnicy. Już od tygodnia nie był z Dee w łóżku i zastanawiał się, czy to zauważyła. Mieli tu oddzielne pokoje. Pokoje! Jego sypialnia liczyła czterdzieści stop na trzydzieści pięć, a okna wychodziły na ocean. Miał również saunę, prysznic i łazienkę wykładaną czarnym marmurem z wpuszczoną wanną. Chociaż ich pokoje sąsiadowały ze sobą, nie wystarczył jak to sam określił, jeden skok we śnie, by znaleźć się u Dee. Najpierw musiał przejść przez jej garderobę, a potem łazienkę — wielkie pomieszczenie wykładane białym i złotym marmurem, gdzie na ścianie rosło prawdziwe drzewo, a jedną ze ścian zajmowało wypełnione rybami ogromne akwarium, będące zarazem ścianą jej sypialni. Była troszkę mniejsza od jego pokoju, natomiast taras wychodzący na ocean miał powierzchnię niemalże sali balowej. Czasami jadali na nim śniadanie pod parasolem.

Od dziś zaczynał trening: żadnych „krwawych Mary” podczas lunchu, precz z martini w porze koktajlu — będzie się dziś z nią kochał z dawnym zapalem.

Poranek spędził razem z January; przeglądała strony „Timesa” poświęcone magazynom, a on czytał wiadomości sportowe. To była jeszcze jedna łącząca ich wspólna rzecz — nie potrzebowali słów, aby się porozumieć. Dopiero gdy skończył rubrykę sportową i teatralną, zauważył, że January

czyta jakąś odbitkę szcztokową.

— Dobrze? — spytał.

— Bardzo dobre. — Podniosła głowę i przesunęła okulary słoneczne na czoło. — Toma Colta. Pamiętasz go?

— Jakże mógłbym zapomnieć! — odparł. — Na filmie, który nakręciłem według jego książki, zarobiłem trzy miliony.

— Chodziło mi o to, czy pamiętasz, jak zabrałeś mnie do jego domu?

— Naprawdę? Ach, tak, oczywiście, taki dom z piaskowca na Wschodniej Sześćdziesiątej, prawda?

— Może „Gloss” zamieści o nim artykuł. Jaki on jest?

— Był wówczas zakochany w sobie. Za pierwszą powieść otrzymał nagrodę Pulitzera, ale zamiast cieszyć się wyróżnieniem, powiedział mi uprzejmie, że czeka na tę poważną: na Nobla. Gdy to mówił, miał za sobą dopiero sześć książek, ale uważał, że dziesięć kolejnych płodnych lat przyniesie mu na pewno i tę nagrodę. Sądzę jednak, że marzenia te zostały zabite przez jego wszystkie małżeństwa i bijatyki w barach. — Mikeę popatrzył w zamyśleniu. — Wiem, że jego ostatnie książki nie sprzedawały się dobrze, ale i tak nie sędzę, aby do tego stopnia wpadł w panikę, że zgodzi się udzielić wywiadu takiemu magazynowi jak „Gloss”.

— Mikeę, czytałeś kiedyś „Gloss”?

— Od deski do deski, gdy oznajmiłaś, że będziesz w nim pracować, i muszę stwierdzić, że nie jest to pismo dla Toma Colta. Posłuchaj, mała, pamiętam, jak sześć lat temu wszystkie gazety rozpisywały się na temat jego walki z rekinem. Kiedy wywróciła się łódź rybacka, Tom Colt jako jedyny z całej załogi popłynął pod wodę, zaczął walić rekiny po pyskach i trzymał je z dala tak długo, aż nadpłynęła pomoc.

— Naprawdę?

— Walczył także z bykiem w Hiszpanii, a w barze znokautował zawodowego pięściarza. Gdy rozbił się jego samolot, Tom Colt ze złamaną nogą wędrował milę do miasta. Może również upić na umór każdego mężczyznę, a także z jedną ręką przywiązaną z tyłu znokautować Muhammada Ali.

— Naprawdę?

— Nie — zaśmiał się Mikeę — ale potrzebuje właśnie takiej reklamy.

Prawdą jest, że pobił wielu facetów w różnych barowych bijatykach, nie wiadomo jednak, czy znokautował tego pięściarza. Co prawda wszyscy mówią, że byk był już zmęczony, niemniej Tom naprawdę zszedł na arenę i stoczył walkę. Chodzi mi o to, żebyś pojęła, iż Tom Colt zabiega o taką właśnie reklamę i nie wyobrażam go sobie udzielającego spokojnego

wywiadu dla „Glossu”.

— No cóż, mamy jednak nadzieję, że uda nam się taki przeprowadzić.

— Och, to znaczy, że właściwie jeszcze go nie macie? January patrzyła na swe opalone nogi.

— Mam napisać do niego list.

— I przypadkowo napomknąć, że jestem twoim ojcem?

— Tak... naprawdę przypadkowo... na przykład z dopiskiem od ciebie na końcu listu.

— Nic z tego — odparł Mikę — nie dlatego, że nie chcę tego zrobić dla ciebie. Do cholery, czołgałbym się na brzuchu, gdyby to ci mogło w jakiś sposób pomóc. Jeżeli jednak chcesz coś z nim załatwić, radzę ci w ogóle nie wspominać, że jestem twoim ojcem.

— Dlaczego?

— No cóż, jak już mówiłem, gdy poznałem Toma Colta, myślał właśnie o Noblu. Chcąc zrobić dobry komercyjny hit, musiałem powykreślać mnóstwo kluczowych scen z jego książki i powyrzucać wiele liczących się postaci. Inaczej film musiałby trwać sześć godzin. Nigdy mi tego nie wybaczył.

— Skoro jednak film przyniósł pieniądze?...

— Przyniósł, ale mnie i wytwórni. Tom dostał tylko gołe honorarium, jakieś dwieście tysięcy, żadnych tantiem. Dlatego oceniał film w kategoriach artystycznych. Powiedzmy, że nie jesteśmy wrogami, ale też trudno nas nazwać serdecznymi kumplami.

— Ile Tom ma lat? Mikę zmarszczył czoło.

— Jest coś pięć czy sześć lat starszy ode mnie... czyli jakieś pięćdziesiąt siedem albo pięćdziesiąt osiem, ale z tego, co słyszałem, nadal tego popija i otacza się młodymi dziewczętami. — Westchnął. — Wiesz co? Nie ma nic gorszego niż podstarzały ogier. To tak jakby czterdziestoletnia kobieta chciała udawać małolatę.

— Co według ciebie powinnam zrobić, aby dostać ten wywiad?

— Zapomnieć o nim...

W tym momencie lokaj oznajmił, że podają lunch, i nad basen zaczęli ściągać goście. Dee zjawiała się w powiewnych, luźnych spodniach, żakiecie i w wielkim kapeluszu; rozpoczęto oficjalnie lunch składający się z obfitości dań bufetowych.

Mikę nie miał już potem okazji, żeby porozmawiać z January. Na lunchu było około pięćdziesięciu osób. Kilku młodych ludzi robiło Davidowi ostrą konkurencję, czego Mikę nie omieszkał zauważyć. Spozrzegł

również dużą pewność siebie Davida. Czemu nie? W samolocie i w drodze do domu ten wałkoń będzie miał ją tylko dla siebie. Mikę zaczynał go coraz bardziej lubić. Rozmawiał z nim kilka razy w czasie tego weekendu i dostrzegł w nim dużo serdeczności, której chłopak do tej pory nie okazywał. Zapewne ożywiła go tak obecność January, poczuł się rozluźniony. A może Mikę chciał go polubić, czując, że istnieje duże prawdopodobieństwo, iż niebawem David na dobre wejdzie do rodziny. W każdym razie nie był w nastroju, aby analizować swe uczucia. January wkrótce wyjeżdżała, cała ta banda także niebawem ich opuści i dziś wieczór zostaną z Dee tylko we dwoje. Od jutra znowu zaczną się lunche, a zaraz potem będą przyjęcia tuż przed gorączką przedświąteczną. Dee mówiła coś o wyjeździe w styczniu na tydzień na turniej tryktraka do Palm Springs, gdzie zatrzymaliby się u przyjaciół. Może później będą mogli wrócić do Nowego Jorku? Mikę lubił słońce i golfa, ale co za dużo, to niezdrowo. Choćby tylko włóczył się i grał w remika, było tam zupełnie inaczej. Nowy Jork i jego zimny klimat dodawały mu animuszu — to było jego miasto. Mógł spacerować Piątą Aleją, spotkać kogoś znajomego, pogadać o interesach we Friars Club, obejrzeć przedstawienia na Broadwayu, a gdy Dee będzie grała w tryktraka, iść z January na obiad do Danny's Hide-a-Way. Pamiętał stare czasy, gdy Danny był jego drugim domem. Przesiadywał tam na eksponowanym miejscu z przygodną dziewczyną i znał prawie wszystkich wokoło. Ale ostatnio nigdzie nie widział tych samych twarzy. Gdzie się wszyscy podziali? W klubie „21” i u Danny'ego na eksponowanych miejscach siedziały zupełnie nowe twarze: gwiazdy telewizyjne, artyści nagrywający płyty, ludzie z Society Charlies. Mimo to nadal chciał wracać do Nowego Jorku. Dzisiaj dogodzi Dee, która potem będzie szczęśliwa i uległa. Wtedy podsunie jej myśl, by po powrocie z Palm Springs zatrzymać się na kilka tygodni w Nowym Jorku.

Odwiózł January i Davida na lotnisko i patrzył, jak wspinają się do samolotu. Potem usiadł ponownie w samochodzie. Wyglądali młodo i pięknie. Kiedy on zdążył się tak zestarzeć? Jadąc zerkał na swe odbicie w lusterku wstecznym; niedługo skończy pięćdziesiąt trzy lata. Do licha nie był jeszcze stary. Był w najlepszych latach, poza tym doskonale wyglądał, nie miał deka nadwagi. Kobiety nadal się za nim oglądały. Były to oczywiście przyjaciółki Dee, babki około czterdziestki choć w klubie interesowały się nim także grywające tam w golfa młode dziewczyny. Mikę uśmiechał się do nich, choć tylko po przyjacielsku, mimo że niektóre nawet mu się podobały, na przykład córka znajomego bankiera Dee —

Monika. Ba, Monika miała około trzydziestu dwóch lat i była rozwódką. Zaczęła nagle pobierać codziennie lekcje golfa. Jeden z jego kolegów od remika powiedział, że to z uwagi na niego. Tak, Monika... To byłoby naprawdę świetne, ale nie mógł. Powziął postanowienie — jeżeli ożeni się z Dee i ona zapisze January wystarczająco dużą sumę pieniędzy, on będzie grał uczciwie. W dodatku nie mógł mieć zastrzeżeń do wyglądu Dee. Była szczupła, tu i ówdzie jej ciało trochę zwiotczało, lecz ogólnie prezentowała się bardzo dobrze. Do licha, niejeden mężczyzna dałby wiele za to, aby ją mieć ilekroć tego zapragnie, a on chciał ją ostatnio dwa razy w tygodniu. To nie było w porządku, Dee nie mogła przyjść do niego i poprosić. Nie jest Tiną St. Claire, która powiedziałaaby: „Hej, kochasiu, pociupciajmy się troszkę.” Nie, takie kobiety jak Dee czekają, one nie „ciupciają”, tylko „się kochają”; trzeba o nie zabiegać. A on pozwolił, by wszystko stało się zbyt schematyczne, powinien teraz to zmienić. Skoro już utknął w tym życiu, to musi je sobie przynajmniej uczynić bardziej interesującym. Do domu wrócił prawie o szóstej, wszyscy już sobie poszli. Służący uzupełniał zapasy w barku na tarasie.

— Gdzie jest pani Wayne? — spytał Mike.

Przez chwilę służący patrzył na niego nieprzytomnie. Mike zaklął cicho — ten tępy skurwysyn należał do tej służby, która nadal myślała o niej jako o pannie Granger. O, nie, na pewno tego nie powie, nigdy nie spyta: „Gdzie jest panna Granger?”, nawet gdyby mieli tu stać cały dzień i gapić się na siebie. Stary służący zamrugnął oczami, aż nagle pamięć mu wróciła i radosny uśmiech rozjaśnił jego twarz.

— Pani jest na górze. Myślę, że odpoczywa.

Mike pokiwał głową i ruszył w kierunku masywnych schodów. Popatrzył na nie, odwrócił się, wszedł do windy i zjechał nią do piwnicy z winami. Tam wybrał butelkę szampana i zaniósł do kuchni. Począł, aż służąca doda do niej kieliszki i ułoży kawior na półmisku z lodem.

Gdy wszedł z tacą do pokoju, Dee leżała na szezlongu. Na kolanach miała notes z telefonami, prawdopodobnie ustalała spotkania na przyszły tydzień. Podeszedł bliżej i postawił tacę na stole.

— Co to za święto? — spytała zdziwiona.

— Nasze... Jesteśmy sami i mam na ciebie chrapkę. — Podeszedł bliżej, zabrał jej notes z kolan i usiadł na brzegu szezlonga. — Nie mamy dziś żadnego spotkania?

— Parę przyjęć, na które możemy wpaść, jeśli masz chęć. Vera jest w mieście i Arnold Ardens wydaje na jej cześć przyjęcie. Poza tym... Pochylił się i pocałował ją.

— A co by było, gdybyśmy się na nich wszystkich wypięli?

— Wsunął jej rękę pod szlafrok, lecz odepchnęła ją.

— Mike, jest dopiero szósta.

— Gdzie napisano, że należy się kochać o określonej godzinie?

— zaśmiał się Mike. — Zróbmy sobie dobrze i pokochajmy się tam, na tym wielkim łóżu, skąd widać ocean, a jeżeli będziemy mieć szczęście, zajrzy do nas księżyc. Pierdolenie o zmroku jest czymś wspaniałym, Dee.

— Mike! — Dee skoczyła na równe nogi i przeszła się po pokoju.

— Jak myślisz, do kogo ty mówisz, do jednej z tych chórzystek, z którymi się całe życie zadawałeś?

— Dee — podszedł do niej — to też jest język miłości. Powiedziałem to w dobrej wierze.

— Ale to jest wulgarne.

Mike uśmiechnął się do niej szeroko.

— Przestań, mówiłem już tak, kiedy byliśmy razem w łóżku.

— To co innego... znaczy, co innego, gdy to właśnie robisz. Wtedy nie mogę ci zabronić, ale cóż... nie lubię tego. Och, wiem, że niektórzy mężczyźni uwielbiają tak mówić... ale dlaczego? Czy to ich podnieca? Czują się dzięki temu bardziej męscy? Jeden mój mąż nie mógł nawet dostać erekcji, dopóki nie zmusił mnie, bym powiedziała, że chcę, aby mnie... no wiesz.

Mike uśmiechnął się z przymusem.

— Dobra, będę uważał w łóżku na słowa. — Podszedł do niej, ale się odwróciła. — Co znowu?

— Och, Mike, nie bądź śmieszny. To nie czas na... — odwróciła się do niego tyłem.

Patrzył przez chwilę na jej plecy, po czym zabrał butelkę z szampanem i ruszył w kierunku drzwi. Dee zwróciła się w jego stronę.

— Mike, nie gniewaj się, po prostu nie mam nastroju.

— W porządku, rozumiem. — Zasalutował jej butelką. — Myślę, że sam wypiję całą, bo mam po temu okazję. Wiesz? po raz pierwszy w życiu dostałem kosza, ale jak mówią, zawsze jest kiedyś pierwszy raz.

I zamknął za sobą drzwi.

Gdy Mike opuścił pokój, Dee stała przez chwilę nieruchomo. To było złe posunięcie, powinna się zgodzić... tylko że nie mogła. Była wykończona. Wykończona uśmiechaniem się, przenoszeniem się z jednego przyjęcia na drugie, odgrywaniem roli pięknej, opanowanej Dee Milford Granger Wayne. Szczęśliwej Dee Milford Granger Wayne — małżonki tak atrakcyjnego mężczyzny. Biedna, biedna Dee Milford Granger Wayne ma

złamane serce, ponieważ ta prostytutka, ta Poleczka się nie zjawiała. Właściwie już obiecała, że przyjedzie. O Boże, jak bardzo chciała, żeby Karla tu była! A zwłaszcza pragnęła, by zobaczyła razem Davida i January, jak pływają, tańczą, grają w tenisa... żeby zobaczyła, iż są młodzi i należą do siebie. Gdy rozmawiała z Karłą we wtorek, ta powiedziała: „być może”. Obiecała nawet, że będzie na lotnisku o czwartej, gdyby zdecydowała się przyjechać. Dee kazała pilotowi czekać do wpół do piątej.

Ukryła swe rozczarowanie, gdy ujrzała jedynie Davida i January. Była zachwycona, że są w tak dobrej komitywie. To był w zasadzie jedyny jaśniejszy promyczek w czasie całego weekendu. Wyglądało na to, że January naprawdę podoba się Davidowi. Gdyby tylko Karla ich tutaj widziała! Dlaczego nie przyjechała? To czysty upór. W końcu wszyscy wyjechali z Nowego Jorku. Co też Karla może robić ze sobą w tak długi weekend?

David również myślał o Karli. Myślał o niej przez cały weekend, a nawet teraz, gdy znajdował się w samolocie i obserwował, jak zniża się nad Butler Jetport, prywatnym lotniskiem w La Guardia. Uświadomił sobie, że prawie wcale nie rozmawiał z January podczas lotu, lecz ona czytała jakąś korektę, a gdy ją odłożyła, siedziała i patrzyła po prostu w okno. Zastanawiał się, o czym myślała, chociaż w zasadzie wcale go to nie obchodziło.

January natomiast myślała o Davidzie. Skończyła książkę i postanowiła napisać list do Toma Colta — napisać po prostu od siebie, młodszego redaktora „Glossu”. Nie powie Lindzie, że Mikę im nie pomoże.

Przyglądała się opalonej twarzy Davida, gdy spoglądał przez okno na jasne światła pod nimi. Przez całe święto był bardzo miły, chętnie grał z nią w tenisa bądź pływał. Słaby, ledwo dostrzegalny płomyczek tego, co zaczynała do niego czuć, zgasł po tej okropnej nocy. Być może dałoby się go znowu rozniecić. Gdyby poszli razem na drinka, trochę porozmawiali, może nawet znowu by się pokochali i tym razem mogłoby być dobrze. Nie zniosłaby jednak widoku tej okropnej czerwonej sypialni... nigdy.

David zamówił samochód, który czekał już na lotnisku. Załadowali bagaże i ruszyli do domu. David pomógł szoferowi wypakować walizki i podać je portierowi, a potem uśmiechnął się do January.

— Bardzo dobrze się z tobą bawiłem przez te cztery dni — powiedział. — Naprawdę znakomicie.

— Ja również. — Spojrzała na zegarek. — Jest dopiero dziewiąta. Nie wstąpisz na drinka? Nigdy nie widziałeś mojego wspaniałego mieszkania.

— Wiesz? mam prośbę — rzekł uśmiechając się do niej. — Pozwól, że

zachowam to zaproszenie na przyszłość. Po powrocie do domu mam jeszcze do wykonania mnóstwo telefonów w interesach. Jestem pewien, że telefonistka z biura usług jest zawałona wiadomościami. Przyrzekam, że pierwsze, co zrobię jutro, to zadzwonię do ciebie.

Patrzyła, jak wsiada do samochodu. Do licha, teraz już wiedziała, co czuła Linda... Ależ dostała kosza!

David nie miał pojęcia, że daje jej kosza. Myślał, że zaprosiła go przez grzeczność, a nie miał najmniejszej ochoty tracić godziny na bezczynne siedzenie z January przy drinku. Przyjechał do domu, odesłał samochód i natychmiast sprawdził, czy telefonistce zostawiono jakieś wiadomości. Było kilka: Kim gościła na przyjęciu u Moniki — przyjedź, proszę; telefonowała księżna Delmanio — wydawała przyjęcie z grą w tryktraka; dzwoniła też jego służąca — nie może przyjść w poniedziałek, czy będzie mu odpowiadał wtorek? Podawała swój numer telefonu. Były też inne wiadomości, ale mało o nie dbał — nie było nic od Karli. No cóż, a dlaczego miałyby coś być? Wiedziała przecież, że nie wróci aż do dzisiejszego wieczoru. Zadzwoni jutro do biura.

Nagle kopnął stojący obok kosz na śmieci. To absurdalne, jest dopiero wpół do dziesiątej, kocha Karłę, ma wolny cały wieczór, który mogliby spędzić razem, a on nie może do niej zadzwonić! Nie wytrzyma tego, żeby siedzieć bezczynnie jak dziewczyna i czekać na telefon. Złapał płaszcz, wybiegł z domu i przywołał taksówkę. Może do niej pojechać, dobić się do drzwi i zażądać, aby mu dała numer swego telefonu. Nieważne, czy będzie już spała. Nie pozwoli wodzić się za nos. Jeżeli chce, by Karla traktowała go jak mężczyznę, powinien zacząć zachowywać się wreszcie jak mężczyzna. Nie ustąpi dziś, nawet gdyby to oznaczało pierwszą walkę między nimi. Przede wszystkim pragnął jednak wziąć ją w ramiona, spojrzeć jej w oczy, poczuć, jak obejmują go jej mocne ręce... usłyszeć jej ochryply śmiech.

Taksówka stanęła, zapłacił kierowcy i wyskoczył z niej. Dzisiaj służbę miał wesoly, uprzejmy portier imieniem Ernest. David kiwnął mu jak zwykle po przyjacielsku głową. Zamiast jednak odpowiedzieć: „Dobry wieczór, panie Milford”, Ernest spytał: — Dokąd pan idzie panie Milford?

— Do panny Karli.

— Przecież panna Karla wyjechała w piątek rano.

— Wyjechała?

— Tak, z dwiema walizkami.

— Dokąd?... To znaczy... Ona nie wyjechała, tylko się... Portier zauważył

przerażenie w oczach Davida.

— Spokojnie, synu, nie ma się czym martwić... Oczywiście, że się nie wyprowadziła. Zna pan pannę Karłę, ona zawsze wyjeżdża niespodziewanie. Nikt nie wiedział, że zamierza wyjechać, ale w piątek rano zeszła o dziewiątej, opatulona w swe wielkie futro i w czarnych okularach, tylko zamiast powędrować jak zwykle do studia tanecznego, kazała wezwać taksówkę. No i dała mi walizki. Powiedziała, że zostawiła informację, by odbierali pocztę i zachowali dla niej „Wall Street Journal”. To jedyna gazeta, którą w ogóle czyta. Prosiła mnie jednak, abym ich sprawdził i się upewnił. Potem kazała się zawieźć na lotnisko Kennedy'ego. To wszystko, co wiem.

— Ja... mnie też nie było — rzekł David próbując się zrewanżować. Nie mógł znieść widoku sympatii w oczach portiera. — Byłem w Palm Beach, widzi pan moją opaleniznę... Nie sprawdziłem u telefonistki. Obawiam się, że wyjechałem, nie zostawiwszy pannie Karli żadnej wiadomości. Dzwoniłem z lotniska, ale gdy telefon nie odpowiadał... no cóż, wie pan jakie są te dzisiejsze telefony... nigdy nic nie wiadomo, dlatego postanowiłem wpaść. Na pewno czeka na mnie w domu wiadomość.

— Na pewno, chłopcze.

David odwrócił się i wyszedł — a więc wyjechała. Portier nie powie mu już: „Dobry wieczór, panu”. To były naprawdę dobre wieczory, gdy przybijał tu pewny siebie i szczęśliwy, uśmiechając się do portiera, który wiedział, że David jest oczekiwany, kiwając głową windziarzowi, który również wiedział, że Karla czeka na niego. A teraz Karla znowu wyjechała. Na jak długo i dlaczego? Światła uliczne były teraz rozmazane... David zaczął biec. Wyjechała... bez słowa pożegnania! Nie przestawał biec, był to jedyny sposób, by się nie załamać. Całą drogę do domu przebył biegiem. Gdy już znalazł się u siebie, zawołał do pustych ścian: MÓJ BOŻE... KARLO! DLACZEGO?

A potem stał i szlochał — wstrząsały nim gwałtowne suche łkania. Nie płakał tak od dnia, kiedy wykluczono go z drużyny piłkarskiej w Andover.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Karla siedziała wtulona w przedni fotel samolotu odrzutowego-Dzwoniła do wszystkich linii lotniczych i zdecydowała się w końcu na lot do Londynu liniami TWA o jedenastej, uzyskawszy wcześniej zapewnienie, że nikt nie będzie zajmował sąsiedniego miejsca.

Nadał miała wielkie okulary słoneczne, toteż młoda stewardeso jeszcze nie

zdażyła jej rozpoznać. Niektórzy z tych ludzi byli dziećmi) gdy Karla wycofała się z filmu, ale te same dzieciaki były wy znawcami jej odrodzonego kultu, odkrywając ją na nowo na wieczornych seansach filmowych. Teraz Karla patrzyła, jak ludzie z obsługi chichoczą między sobą w trakcie przygotowywania przekąsek i drinków. Zawsze uśmiechnięci przechodzili między rzędami foteli i usługiwali gościom. Byli tak młodzi i tacy radośni! Czy ona była kiedykolwiek tak młoda i czy zdarzało się jej tak chichotać wesoło? Nie... To było niemożliwe- Niemożliwe, gdy dorastało się we wsi pod Wilnem.

WILEŃSZCZYŻNA, błąd emigracyjny ojca... błąd wielu Polaków. W 1920 roku Polska przystąpiła do udanego ataku na Rosję i zajęła Wilno, stolicę Litwy. Wkrótce zaczęli ściągać na te tereny rolnicy żądni nowych akrów. W 1921 przybył tam Andrzej Karłowicz z żoną, małą córką i dwoma niedużymi synami. Andrzej Karłowicz pochodził ze wsi pod Białymstokiem i liczył, że na Wileńszczyźnie dorobi się majątku, pośle w przyszłości synów na uniwersytet. Zamiast tego otrzymał ziemię, która stała się wkrótce dla niego ciężkim brzemieniem. Ich sąsiadami byli Litwini i Białorusini żarliwie broniący swej tożsamości narodowej. W pobliskiej wsi znajdował się kościółek katolicki i szkoła państwowa prowadzona przez zakonnice-Karłowiczom nie pozostawało nic innego, jak harować po piętnaści godzin na dobę przy uprawie jałowej ziemi. Nie mieli czasu, by tęsknić

za przyjaciółmi i dawnym życiem. Całą energię pochłonięła praca w gospodarstwie i marzenie, aby ich synowie mogli studiować. W takiej oto posępnej atmosferze "rosła Natalia Maria Karłowiczka.

Dzieciństwo upływało jej spokojnie i bezbarwnie, bez śmiechu, fantazji, marzeń i żadnych aspiracji poza tym, by wydać się za chłopaka z niezłym kawałkiem ziemi.

Karłowicze byli dobrymi katolikami. Niedziela była jedynym dniem w tygodniu, którego matka nie spędzała na obieraniu kartofli, gdyż udawała się do pobliskiego kościoła na mszę. Tego dnia zamieniała chustę na czarny kapelusz z wielką szpilką, fartuch na błyszczącą czarną suknię, a zamiast noża do obierania kartofli brała w stwardniałe, spracowane ręce różaniec. Ojciec wkładał swój jedyny czarny garnitur, przeznaczony na wyjazdy do kościoła, śluby i pogrzeby.

Pierwsze lata w szkole państwowej były dla dziewczynki równie bezbarwne i spokojne jak dni spędzone w gospodarstwie. Miała dziewięć lat, gdy do szkoły przybyła siostra Teresa, wnosząc w szarą codzienność uczennic trochę piękna i emocji.

Siostra Teresa pochodziła z Warszawy. Wcześniej była w Moskwie i Paryżu. Uczyła się tańca i właśnie w szkole poczuła nagle „powołanie”. Porzuciła więc wszystko i wstąpiła do klasztoru. Szkółka pod Wilnem była jej pierwszą pracą. Już na wstępie opowiedziała to wszystko spokojnie i bezpośrednio olśnionym uczennicom. Patrzyły jak oniemiałe, gdyż nigdy jeszcze nie widziały pięknej kobiety, kobiety której skóra nie była wysmagana wiatrem, a ręce czerwone. Ostre polskie zimy niszczyły dziewczęcą urodę, zanim zdążyła w ogóle rozkwitnąć.

Wszystkie uczennice uwielbiały siostrę Teresę, a mała Natalia była nią po prostu oczarowana. Gdy siostra Teresa zaproponowała im na lekcjach gimnastyki naukę tańca, Natalia zabrała się do pracy z szaleńczą energią. W domu całe godziny spędzała w swym pokoiku, ćwicząc poszczególne figury, widziała bowiem zadowolenie siostry Teresy, gdy któraś dziewczynka wykazała choć odrobinę wdzięku. Po każdym słowie pochwały Natalia szła do domu z powracającymi natrętnie snami na jawie, cudownymi, choć powodującymi trudny do sprecyzowania niepokój. Aż pewnego popołudnia siostra Teresa poprosiła ją, by została na chwilę po lekcjach. Natalia dłonie miała wilgotne, a serce mało nie wyskoczyło jej z piersi, gdy czekała, aż siostra podejdzie do niej z uśmiechem.

— Myślę, Natalio, że masz zadatki na prawdziwą balerinę. Rozmawiałam o tobie z matką przełożoną i jeżeli rodzice wyrażą zgodę, wystaram się dla ciebie o stypendium w Szkole Baletowej Prasińskiego. Będziesz musiała tam mieszkać, tam też będziesz kontynuowała naukę, a poza tym ćwiczyła taniec po pięć godzin dziennie.

Matka i ojciec zgodzili się bez wahania. O balecie nie mieli co prawda najmniejszego pojęcia, skoro jednak propozycja wyszła od zakonnicy, to na pewno wszystko było w porządku. Natalia miała rozdarte serce. Wiedziała, że jest to dla niej wielka szansa, ale oznaczała jednocześnie rozstanie z siostrą Teresą. Poczuli się lepiej, gdy siostra zapewniła ją, że będzie odwiedzać szkołę, by sprawdzić jej postępy w nauce. Wszystkie dziewczęta posiadały jakieś pseudonimy, pod którymi występowały na szkolnych przedstawieniach. Natalia nie miała żadnego pomysłu, toteż została zapisana po prostu jako Natalia Karłowska.

Przez siedem kolejnych lat całe jej życie koncentrowało się na balecie i siostrze Teresie. Każdego sobotniego popołudnia uczennice urządzały przedstawienia baletowe w szkolnym teatrzyku. Zarobione w ten sposób pieniądze przeznaczano dla szkoły. Przez pierwsze lata Natalia tylko uczestniczyła w szykowaniu dekoracji oraz pomagała występującym dziewczętom szyć kostiumy i robić makijaż. Gdy miała dwanaście lat,

wystąpiła w corps de ballet. Od tej pory co tydzień na widowni zasiadała siostra Teresa, a Natalia tańczyła dla niej z całego serca.

Rodzice przyjechali na jej pierwszy występ w odświętnych ubraniach, przeznaczonych na wizyty w kościele. Było im w nich na widowni niewygodnie i gorąco, ojciec usnął w czasie drugiego aktu i matka musiała go poszturchiwać, by nie chrapał. Nigdy więcej nie przyjechali — za daleka podróż, za dużo pracy w gospodarstwie...

Kiedy Natalia otrzymała pierwszą partię solową i wszystkie dziewczęta nalegały, by dobrała sobie jakieś imię, właśnie siostra Teresa zaproponowała Karłę. Odkąd po skończonym występie Natalia padła w objęcia siostry, a ona wyszeptała: „Moje gratulacje, Karlo”, nie myślała już o sobie inaczej jak tylko „Karla”, została na nowo ochrzczona i odrodzona. Pewnego dnia po występie siostra Teresa zaproponowała, żeby odwiedziły jej rodziców.

— Masz już dziewiętnaście lat, najwyższy czas, abyśmy porozmawiali o twojej przyszłości. Czy mogę przyjść w przyszłą niedzielę zaraz po mszy? Nigdy nie zapomni tego dnia. Wyruszyła ze szkoły porannym pociągiem i gdy dotarła do domu, rodzice jeszcze byli w kościele. Czowała zapach gęsi i szarlotki. Stała w małym pokoiku gościnnym, który nagle wydał jej się bardzo tandetny — był nieskazitelnie czysty, ale okropnie nędzny. Był czerwiec, Karla wybiegła na dwór i narwała trochę wiosennych kwiatów. Poustawiała je w całym pokoju, później spróbowała zakryć serwetkami dziury powyrywane w obiciach krzeseł. Siostra Teresa nie dostrzegła jednak ubóstwa. Zachwyciała się ozdobami przy kominku, cynowymi kubkami, krążyła po pokoju jak porcelanowa bogini. Chwaliła gęś, czerwoną kapustę i pyzy. Okrągła twarz matki była rozpromieniona. Karla dopiero teraz zauważyła, że matka ma w policzkach dołeczki, a szare oczy ojca, gdy się uśmiecha, są wyjątkowo piękne. Siedziała cicho, podczas gdy siostra Teresa wyjaśniała rodzicom, iż chciałyby ją posłać do Warszawy.

— Moja rodzina jest bardzo bogata — mówiła cicho. — Brat matki, wuj Otto, mieszka w Londynie, jest wielkim kupcem. Dadzą Natalii wszystko to, co chcieli dać mnie. Na czas egzaminów do baletu mogłaby się zatrzymać u mojej rodziny w Warszawie, a potem, gdyby miała próby do londyńskiego Sadlers Wells, mogłaby zamieszkać u wuja Ottona. Czy zgadzacie się państwo?

Rodzice pokiwali na zgodę głowami. To przekraczało granice ich pojmowania. Warszawa... Londyn... zaakceptowałyby każde życzenie siostry Teresy, nie mogli jej się jedynie odwdzięczyć.

Potem siostra Teresa poszła z Natalią na spacer. Gdy tylko znalazły się na dworze, Natalia powiedziała: — Nie pojedę do Warszawy, nie opuszczę siostry.

— Za jakiś czas poczujesz się tam bardzo szczęśliwa — zaśmiała się zakonnica. — Już niedługo nie będziesz mogła nauczyć się w Balcie Prasińskiego niczego więcej. Jesteś prawie gotowa. — Nagle wskazała drzewo. — A co to takiego?

Karla spłonęła rumieńcem.

— Zrobiłam to dla siostry, gdy miałam dziesięć lat.

Siostra Teresa podeszła do drzewa. Wokół niego wbito kilka desek, tworząc w ten sposób rodzaj ławki, a wszystko otaczało ogrodzenie z surowych palików. Karla zaśmiała się z zażenowaniem.

— Siostra wniosła w moje życie nie tylko taniec, ale też poezję. Pewnego razu opowiadała nam siostra o przepięknym balkonie i tak plastycznie go opisała, że Widziałam niemal, jak siostra na nim siedzi. Wróciłam więc do domu i zbudowałam go. Często marzyłam, że pewnego dnia pokażę go siostrze, ale dopiero teraz widzę, że jest bardzo brzydki.

Siostra Teresa weszła do środka i usiadła.

— Jest prześliczny, kochana. Chodź i usiądź tu przy mnie.

Pachniała świeżym mydłem i fiołkami. Nagle Karla objęła ją i szepnęła:

— Kocham siostrę. Kocham od chwili, kiedy ujrzałam cię po raz pierwszy.

Siostra Teresa uwolniła się delikatnie z jej objęć.

— Ja też cię kocham, Karlo.

— Naprawdę? Pozwól się zatem pocałować i przytulić. Pochyliła się, dotknęła jej policzka i wzięła za rękę.

Raz jeszcze siostra Teresa wysunęła się delikatnie z objęć dziewczyny.

— Nie wolno ci mnie dotykać, to jest niewłaściwe.

— Czy jest coś złego w miłości?

— Miłość nigdy nie jest zła — odparła siostra — ale miłość fizyczna między nami jest grzeszna. Nie możesz mnie całować ani dotykać.

— Kiedy ja chcę. Nie może siostra tego zrozumieć? Och, siostrze, nic nie wiem o kochaniu, bo bardzo mało rozmawiam z dziewczętami w szkole, ale nocą, gdy leżę czasami w swym łóżku, słyszę, jak zakradają się do siebie, i wiem, że się pieścą. Przychodziły i do mnie, ale je odprawiłam. Nikt się nie liczy, tylko siostra. Leżę tam sama marząc, że siostra ubrana w nocną koszulę przychodzi do mnie, obejmuje mnie i...

— I co potem? — spytała siostra Teresa.

— Potem przytulałam się mocno i całuję siostrę... i dotykam... —

przerwała. — Och, siostrze Tereso, chcę poczuć cię blisko siebie. Czy to

naprawdę takie złe?

Siostra Teresa przebierała palcami paciorki różańca wiszącego u habitu.

— Tak, Karlo, to jest złe. Wiesz, kiedy studiowałam balet w Warszawie, też łączyłam się nocą w pary z innymi dziewczętami. To się zdarza.

Dziewczeta wchodzi w wiek dojrzewania... mają tylko siebie... brakuje im czasu, by spotykać się z młodymi mężczyznami, dlatego kochają się ze sobą. Też tak robiłam, ale wiedziałam, że to jest grzeszne... i dlatego bardzo cierpiałam. Wiedziałam też, że nie jestem tak dobrą tancerką jak inne dziewczeta, że trzymają mnie w szkole ze względu na pieniądze i pozycję mojej rodziny. Pewnego dnia przyznano mi rolę, do której miała próby inna koleżanka. Usłyszałam wówczas czyjś szept: „To jej buzia dostała tę rolę, nie nogi”, a dziewczyna, która jej nie otrzymała, wybiegła z płaczem mówiąc, że moja uroda jest zła, bo daje mi to, na co nie zasługuję.

— Twarz siostry Teresy była ściągnięta, gdy ubierała w słowa to nieprzyjemne wspomnienie. — Tego wieczoru uklękłam i modliłam się o pomoc. Nagle poczułam się tak, jakby wypuszczono mnie z więzienia — uświadomi-

łam sobie, że wcale nie chcę być wielką tancerką. Przekonałam się, że chcę jedynie kochać Jego i służyć Jemu, memu drogiemu Jezusowi. Wiele dni spędziłam na medytacjach. Czytałam żywoty wszystkich świętych, aby się dowiedzieć, w jaki sposób oni poczuli powołanie, i naraz czytając o życiu Kwiatuszka, świętej Teresy, która chciała po prostu czynić „małe rzeczy”, pojęłam, że muszę zostać zakonnica. Byłam świadoma, że nigdy nie dokonam wielkich cudów... ale mogę dawać ludziom szczęście, czyniąc małe rzeczy. Pierwszą taką rzeczą było odejście z baletu.

Dziewczyna, która uciekła wówczas z płaczem, dostała moją rolę. Uwierz mi, Karlo, było to pierwsze prawdziwe szczęście, jakiego doznałam. A potem, gdy przyjechałam tutaj i zobaczyłam te wszystkie poważne twarzyczki, zdałam sobie sprawę, że lata nauki nie poszły na marne, skoro dzięki nim będę mogła dać tym dzieciom z Wileńszczyzny troszeczkę szczęścia... i tobie również, moja mała Karlo. Musisz ciężko pracować, ćwiczyć taniec, pamiętając zawsze, że On patrzy na ciebie, a także o tym, iż kochanie się z inną kobietą jest śmiertelnym grzechem. Pewnego dnia spotkasz mężczyznę... wtedy poznasz prawdziwą miłość.

— A dlaczego siostra nie spotkała swojego mężczyzny?

— Spotkałam, na imię mu Jezus.

Opuściły „balkon” i już nigdy więcej nie rozmawiały o miłości. Pod koniec lata siostra Teresa zmieniła jednak plany co do podróży do Warszawy.

— Musimy tak załatwić, abyś pojechała do Anglii.

— Kiedy?

— Natychmiast. Napisałam o tobie wujowi Ottonowi z Londynu i dzisiaj otrzymałam odpowiedź. On i ciocia Basia będą szczęśliwi mogąc cię gościć u siebie podczas przesłuchań do Sadlers Wells.

Karla próbowała odłożyć wyjazd.

— Jeszcze nie teraz, może w przyszłym roku. Siostra Teresa jednak się uparła.

— Zaplanuj sobie wszystko tak, byś mogła wyjechać za dziesięć dni. Tu jest twój bilet lotniczy do Londynu.

Karla popatrzyła na bilet, który wręczyła jej siostra.

— Nie... nie... nie chcę wyjeżdżać.

— Karlo, musisz mnie słuchać. Wojna jest tuż, tuż. Niemcy podpisały z Rosją pakt o nieagresji; Ribbentrop był w zeszłym tygodniu w Moskwie. Jak myślisz, dlaczego nie pozwalam ci jechać do Warszawy? Tylko w Londynie będziesz bezpieczna.

— A co z siostrą? Jeżeli jest tak niebezpiecznie... dlaczego siostra zostaje?

— Ja jestem bezpieczna w klasztorze. Nawet podczas wojny nikt nie nachodzi kościołów. Bóg będzie mnie chronił, Jezus czuwa nad nami wszystkimi.

— Pozwól Mu więc czuwać i nade mną.

— Nie, ty masz inne powołanie.

Następnego dnia nie było lekcji — wszystkie uczennice i nauczyciele zgromadzili się wokół radia, które podawało, że Hitler wystosował notę do Anglii i Francji z żądaniem Gdańska i korytarza. Zbijano się w grupki i rozmawiano o tym, jaki wpływ może mieć wojna na balet. Dzień później uczennice wróciły jednak do ćwiczeń przy drażku i kontynuowano po staremu próby. Rzeczywistość i strach poraziły Balet Prasińskiego trzydziestego pierwszego sierpnia, gdy Polska odrzuciła szesnaście warunków pokoju zaproponowanych przez Hitlera. Wszystkich ogarnęło szalone ożywienie — skończono zajęcia, wyciągano walizki, instruktorzy starali się o rezerwację na pociągi do domu. Tej nocy wszyscy zbijali się w małe, nerwowe grupki i tylko szeptali. Uczennice, które musiały się rozstać, gdyż wracały do swych domów rozrzuconych w odległych miastach, przytulone do siebie jawnie uprawiały miłość. Karla siedziała sama myśląc o siostrze Teresie. Co teraz robi? Czy modli się wraz z innymi zakonnkami? Czy myśli o niej?

Następnego dnia o świcie Niemcy bez wypowiedzenia wojny napadły na Polskę. Uczennice nie czekały już na swoje pociągi, ruszyły na piechotę,

wysiadywały na stacjach, by dostać się do jakiegokolwiek pojazdu. Karla miała szczęście, udało jej się bowiem zabrać z hodowcą krów, mieszkającym niedaleko jej rodziców.

Gdy dotarła w końcu do domu, zastała rodziców przy radiu w stanie somnambulicznego odrętwienia. Ich synowie porzucili uczelnie i wstąpili do wojska — cała ciężka praca poszła na marne. Karla nie czytała nigdy gazet, tego dnia poszła jednak do wioski i kupiła jedną. Przeczytała o rzeczach, których nie mogła pojąć. Uświadomiła sobie, jak mało orientuje się w tym, co nie ma związku z baletem. Wiedziała wszystko o Niżyńskim, o jego żonie, menażerze i instruktorach, brakowało jej natomiast wiedzy o świecie, w którym żyła. Zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie niósł ze sobą Hitler, jednak szok spowodowany wojną nigdy tak naprawdę nie przeniknął murów Baletu Prasińskiego.

Teraz najważniejsze były audycje radia warszawskiego — czekano na sygnał pierwszych taktów Poloneza A-dur Fryderyka Chopina. Kiedy Karla się dowiedziała, że niemieckie jednostki zmotoryzowane dotarły pod Warszawę i zaczęły ją ostrzeliwać, zrozumiała, że nadszedł czas wyjazdu. Musi dostać się do Londynu, do wuja Ottona. Spakowała torbę, ucałowała na pożegnanie rodziców i pomaszerowała dwie mile do klasztoru, do siostry Teresy.

Zakonnica siedziała przy radiu, zapatrzona w przestrzeń, przesuując paciorki różańca. Przez całą noc próbowała połączyć się z rodzicami w Warszawie, lecz telefony nie działały. Gdy zobaczyła Natalię z torbą i usłyszała o planowanym wyjeździe do Londynu, pokręciła głową ze smutnym uśmiechem.

— Za późno. Nie ma samolotów, nie ma pociągów... Nie będzie baletu... koniec marzeń.

Karla w skrytości ducha odczuła ulgę. Cieszyła się, że nie musi zostawić Wilna i siostry Teresy. W następnym tygodniu na przemian odwiedzała klasztor bądź siedziała w domu z rodzicami i słuchała radia. Weszło im to już w krew. Nie mogli skontaktować się z rodziną w Białymstoku — prawdopodobnie tamci uciekli. Rozpoczął się masowy exodus — droga ucieczki wiodła tędy do Rumunii. Do wsi codziennie napływali ludzie z tobołami, kosztownymi meblami, a nawet z żywym inwentarzem. Armia polska walczyła mężnie, jednak siedemnastego września od wschodu ruszyli Rosjanie. Andrzej namawiał żonę i córkę, żeby schroniły się w klasztorze, lecz Maria, której niebieskie oczy w okrągłej, wysmaganej wiatrem twarzy stały się szkliste, odmówiła. Nie chciała opuścić męża i ziemi, obstawała jednak przy tym, by Karla koniecznie tam się udała.

Patrzyła na córkę, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu.

— Jesteś wysoka... będziesz silną, piękną kobietą. Idź do klasztoru.

Nawet Rosjanie nie wyrządzą krzywdy zakonnicom.

Karla przeczuwała, że oto nadszedł kres życia, jakie знаła. Tych dwoje ludzi było jej rodzicami, a przecież wydawali jej się obcy. Przywarła do nich, lecz oni ledwo odwzajemnili uścisk. Stali jak skamieniałe posagi ludzkie, nie potrafili okazać swych uczuć, nie umieli ich również przyjąć. Chowali dzieci, ponieważ się urodziły, uprawiali jałową ziemię, ponieważ byli jej właścicielami. Teraz ich synowie rzucili uniwersytet i wraz z nimi zniknęła nadzieja na jutro. Pozostała im tylko ziemia.

Siostra Teresa przyjęła ją serdecznie. Uciekinierzy zostawiali na ulicach psy, koty, a nawet małe owieczki. Karla wychodziła codziennie, zbierała bezpańskie zwierzęta i przyprowadzała wszystkie do klasztoru. Gdy Rosjanie w miarę upływu dni nadciągali coraz bliżej miasta, matka przełożona kazała je wyrzucić. Siostry mają coraz mniej zapasów, a to są stworzenia Boże — tłumaczyła. — Pan zaopiekuje się nimi. Karla zdążyła już pokochać kociaki i pieski, prosiła, błagała, by pozwolono jej zatrzymać chociaż te najmniejsze, ale matka przełożona była nieugięta. Jedna z zakonnice zebrała wszystkie zwierzęta i wyrzuciła z klasztoru. Siostra Teresa zastała tego dnia Karłę we łzach. Podniosła na zakonnice zapłakane oczy i zawołała: — Nigdy nikogo nie pokocham! Nawet zwierzęcia. Tak bardzo boli, gdy ci je zabierają. Siostra pogłaskała ją po włosach.

— Kochaj Pana, On nigdy cię nie opuści, nikt ci Go nie zabierze, zawsze będzie z tobą, przez całą wieczność.

— Nigdy mnie nie opuści?

— Nigdy. Życie jest po to, abyśmy przez nie przeszli najlepiej, jak umiemy, jest jednak tylko przygotowaniem do prawdziwego życia — po śmierci, kiedy idziemy do Niego.

— Może powinnam zostać zakonnice — rzuciła Karla. Siostra Teresa popatrzyła na nią z powagą.

— To zbyt ważna decyzja, aby podejmować ją tak szybko. Nie sądzę, żebyś czuła powołanie. Twoja decyzja zrodziła się ze strachu. Ale módl się do Boga i proś, by wskazał ci drogę.

I tak Karla spędzała z siostrami długie dni. Jadła z nimi, chodziła na poranne i wieczorne msze, armia polska zaś nadal walczyła. Dwudziestego siódmego września, po dniach niebywałego oporu wobec ataków bombowych przeważających sił niemieckich, zdruzgotani bohaterscy obrońcy Warszawy musieli się poddać. Do ostatniej chwili radio

warszawskie zaznaczało swą tożsamość trzema pierwszymi taktami Poloneza.

Wkrótce potem do klasztoru przybyło kilku rosyjskich oficerów, którzy poinformowali, że klasztor znajduje się teraz w rosyjskiej strefie okupacyjnej. Zamknięto szkoły i powiadomiono pozostałych mieszkańców, że rozpoczyna się natychmiastowa sowietyzacja okupowanych terenów. Do klasztoru zaczęły przeciekać wieści o nocnych aresztowaniach, których dokonywali oficerowie radzieccy. Siostronom na razie nikt nie zakłócał spokoju. Dowiedziawszy się o gwałtach, jakich dopuszczali się na kobietach pijani żołnierze, matka przełożona pozwoliła, by Karla na wszelki wypadek nosiła habit. Co sobotę Karla jeździła rozklekotanym samochodem sióstr do rodziców i przywoziła im z miasta najnowsze wiadomości, wracała natomiast ze świeżymi jajami, które dostawała zawsze dla zakonnicek. Rosjanie otworzyli szkoły podstawowe i średnie, zabronili jednak uczyć w nich mniszkom. Polskie uniwersytety we Lwowie i Wilnie przekształcono w ośrodki, których celem było podporządkowanie ludności władzy radzieckiej. Choć nie bezczeszczono kościołów i klasztorów, religia nie była mile widziana.

W pewną sobotę tuż przed Bożym Narodzeniem Karla nadjechała do domu akurat w chwili, gdy dwóch rosyjskich oficerów zaganiało ojca i matkę do łazika. Karla miała na sobie habit; już chciała się rzucić do nich, lecz matka kiwnęła jej tylko głową i powiedziała sztywno: — Dzień dobry, siostrzo. Proszę zabrać jajka dla klasztoru, są w kuchni. Karla ruszyła w ich stronę, ale strach w oczach ojca był ostrzeżeniem, by nic nie mówiła. Rosyjscy żołnierze ją zlekceważyli i wymieniwszy między sobą parę dowcipów na temat brzydkiego czarnego habitu, odjechali z rodzicami. Karla czuła się bezradna. A może ruszyć za nimi i przyznać się, że jest ich córką?... Co wtedy? Zabiorą ją razem z nimi i wyślą do obozu pracy. Wróciła do klasztoru. Gdy wysiadała z samochodu, zauważyła, że na ulicy obejrzał się za nią przystojny młody oficer rosyjski. Wpadła do klasztoru i zaryglowała drzwi. Tego wieczoru obejrzała dokładnie swe odbicie w lustrze w łazience i stwierdziła, że kornet zakrywa co prawda włosy, lecz eksponuje równocześnie jej wystające kości policzkowe i ogromne oczy. Przyglądała się sobie z różnych stron. Tak, była piękna, co prawda nie tą delikatną urodą siostry Teresy, ale po sposobie, w jaki ten rosyjski oficer jej się przyglądał, wiedziała, że może być dla mężczyzny obiektem pożądania. Był to okres, kiedy myślała z całą powagą o swym powołaniu do stanu zakonnego i w codziennych modlitwach prosiła o wskazanie jej drogi, błagając Pana, by mogła kochać więcej Jego, a mniej siostrę Teresę.

W miarę jak narastały masowe aresztowania, Karli przybywało zajęć, tak że nie miała czasu marzyć o siostrze Teresie. Prawie połowa kaplicy została przekształcona w sypialnię dla dzieci, które znaleziono błąkające się po ulicach... dzieci, których rodziców zabrano w nocy. W bibliotece, gdzie matka przełożona miała swe biuro, umieszczono kołyski z pięciorgiem niemowląt. Matki, wiedząc, że będą zabrane, chowały dzieci do szaf i przestrzegały je, by nie płakały. Często zawijały niemowlaki i ukrywały na dworze modląc się, by sąsiad, mający więcej szczęścia od nich, zaopiekował się dzieckiem. Sąsiedzi przynosili je niezmiennie do klasztoru. Wraz z upływem czasu coraz więcej dzieci ściągało nieprzerwanym potokiem do klasztorów. Z początku ludzi aresztowano jako więźniów „politycznych”, teraz zamykano ich i zmuszano do niewolniczej pracy jedynie za to, że są Polakami.

Kiedy gwałty stawały się nagminne, wiele kobiet jeło nosić grube okulary, by nie wzbudzać pożądania w rosyjskich żołnierzach. Niektóre miały przy sobie chusteczki i małe koziki. Gdy zbliżał się żołnierz, nacinały sobie palec i pozwalały, aby świeża krew wsiąkła w chustkę. Przy próbie zaczepki udawały, że kaszlą, i pokazywały krew mówiąc: „gruźlica”. Ten fortel zmuszał wielu żołnierzy do nagłej zmiany zdania.

Zarówno siostra Teresa, jak i Karla zaczęły również chodzić w grubych szklach. Dostały je od dzieci, które przychodziły ze swym nędznym dobytkiem — puklem włosów matki, okularami ojca, rodzinną Biblią. W trzydziestym dziewiątym roku zima nadeszła wcześniej i już w październiku leżał śnieg na polach. O zmierzchu słychać było żołnierzy śpiewających ludowe pieśni. Gdy byli pijani, ich śpiewy stawały się ochryple i często włączyli się w pobliżu klasztoru. Zakonnice drżały wówczas ze strachu, ale siostra Teresa przypominała im stale: — To też dzieci Boże. W stanie wojny są państwa, nie ludzie. Pamiętajcie, że oni są w obcym kraju, z dala od bliskich. Zwycięzcy to najbardziej samotni ludzie na świecie.

Kilka tygodni później Karla była właśnie z dziećmi w sypialni i słuchała ich wieczornej modlitwy. Już miała gasić światło, gdy z dołu, od drzwi wejściowych, dobiegł ją jakiś ogłuszający hałas. Dzieci zaczęły krzyczeć, usłyszawszy rosyjską mowę i ciężki tupot żołnierskich butów. Karla włożyła natychmiast okulary i nakazała dzieciom, aby się uciszyły. Wysunęła się z sypialni i na palcach zesłała po schodach na dół. Widok, który ujrzała w rozmównicy, sprawił, iż skamieniała z przerażenia i przetoczyła się przez nią fala mdłości. Zakryła sobie ręką usta, by stłumić

krzyk. Pragnęła uciec, lecz stała jak sparaliżowana. Przywarła do ściany, chowając się w bezpiecznej ciemności. Chciała zakryć oczy, jednakże strach zupełnie ją unieruchomił.

Matka przełożona była naga. Wydawała się zawsze tak potężna i władcza, gdy wkraczała do kaplicy w grubym czarnym habicie z ciężkim srebrnym krzyżem wiszącym na jej obfitym biuście. Teraz, odarta z habitu, była chudą starą kobietą z obwisłymi, płaskimi piersiami i żyłastymi nogami — drżącym obiektem wystawionym na drwiny pijanych żołdaków, którzy co popatrzyli na nią, wybuchali śmiechem. Stała skulona w kącie i modliła się, podczas gdy rozpasani żołnierze gwałcili metodycznie pozostałe zakonnice, które leżały nago na podłodze, pod ciężarem bezlitosnych napastników trzepocząc bezradnie rękami i nogami.

A potem Karla dostrzegła siostrę Teresę. Uda miała umazane krwią, gdy zszedł z niej jeden z Rosjan. Inny chwycił ją za szyję, przyciągnął do siebie i pocałował gwałtownie, po czym ustami zaczął brukać jej ciało. Gryzł po kolei piersi, brudnymi palcami gmerał yp między jej udami. Kiedy się tak zabawiał, śliniąc ciało zakonnicy, drugi żołnierz podszedł do niej od tyłu, rozsunął jej pośladki i wbił się w nią gwałtownie. W tej samej chwili ten, który stał z przodu, rozpiął spodnie i też się w nią wdarł. Karla nie mogła wprost uwierzyć — dwóch mężczyzn rozrywało siostrę Teresę jednocześnie, jeden od przodu, drugi od tyłu! Na szczęście gwałcona zemdląła.

Przez pół godziny Karla stała skulona w ciemności. W tym czasie dziesięciu żołnierzy dobrało się po kolei do siostry Teresy. Nagle usłyszała za sobą kroki — to przyszła trzynastoletnia Ewa, która pomagała jej opiekować się młodszymi dziećmi. Karla próbowała zatrzymać ją gestem, lecz było już za późno. Dziewczynka zobaczyła nagie ciała leżące na podłodze i krzyknęła. Żołnierze spojrzeli w stronę ciemnego korytarza. — Uciekaj! — rozkazała Karla. — Uciekaj i kładź się do łóżka! Dziecko jednak stało jak wryte, patrząc na zbliżającego się żołnierza.

Chwycił obydwie za ręce i wepchnął do pokoju. Jeden z Rosjan przyjrzał się Karli i zauważywszy grube okulary, skrzywił się z niechęcią, mimo to szarpnął za biały sztywny kołnierz i rozerwał habit. Popatrzył na płaskie piersi, na okulary, odepchnął ją i sięgnął po krzyczącą Ewę. Karla podbiegła, by osłonić dziecko, lecz odepchnięto ją w drugi koniec pokoju, gdzie upadła obok nagiej, drżącej matki przełożonej, która mamrotała cały czas modlitwy. Karla poprawiła habit, stanęła przed starą zakonnice i zacisnęła zęby, gdy pokój wypełnił przejmujący krzyk Ewy. Siostra Teresa była na szczęście wciąż nieprzytomna.

Po kolejnej półgodzinie wrzawa zaczęła cichnąć. Żołnierze byli już zaspokojeni. Poprawiali spodnie oraz pasy i patrzyli na nagie ciała leżące bez sił na podłodze jak biesiadnicy, którzy najedli się do syta na uczcie, a mimo to z bólem serca zostawiają jedzenie na talerzu. Jeden z nich wskazał na siostrę Teresę, Ewę i jeszcze trzy zakonnice i wydał jakiś rozkaz. Owinięte kocami żołnierze zarzucili je sobie na plecy jak worki kartofli i wynieśli na zewnątrz. Karla wyrwała się z lodowatego uścisku matki przełożonej.

— Dokąd je zabieracie?

W odpowiedzi usłyszała po polsku: — Do naszego obozu. Nie martw się, brzydulo, chcemy tylko ślicznotki. Zostawiamy ciebie i inne, abyście opiekowały się dziećmi.

Stała bezsilna w drzwiach i patrzyła, jak łaziki nikną w mroźnych ciemnościach nocy. Gdy umilkły ostatnie ochryple śmiechy, matka przełożona zaczęła poruszać się jak w transie. Podniosła porozrzucane części habitu, inne siostry tymczasem zbierały rozsypane po całej rozmównicy paciorki różańca. Książeczki do nabożeństwa, wyrwane z rąk zakonnice, poniewierały się porzucone na podłodze. Nie opodal miejsca, gdzie leżała siostra Teresa, Karla dostrzegła jej książeczkę i różaniec. Uklękła i dotknęła krwi, potem zakrwawione palce przyłożyła do ust. Przycisnęła do policzka modlitewnik siostry. Później zaczęła pomagać zmaltretowanym zakonnicom. Szykowała im kąpiel, przykładła lód do spuchniętych warg, modliła się razem z nimi oraz za nie. Do świtu przywrócone zostały pewne pozory ładu. Matka przełożona odziana w nowy habit próbowała zachować choć resztki swej dawnej siły.

W tydzień później ci sami żołnierze znowu wrócili. Byli jeszcze bardziej ochrypli i tym razem Karli nie udało się uciec. Ściągnęli jej okulary i zdarli z niej ubranie. Kiedy rzucono ją na podłogę, uderzyła głową o krzesło. Modliła się, aby stracić przytomność, lecz świadomość przywrócił jej przeszywający ból, gdy rozsunięto jej nogi i wdarł się w nią żołnierz. Ujeżdżali ją rytmicznie i brutalnie, jeden po drugim... pięciu, sześciu, siedmiu, ośmiu... Jej krew mieszała się z ich spermą, wilgotne usta gryzły jej wargi, piersi.

Nagle ujrzała, że w jej kierunku idzie najpotężniejszy spośród tych mężczyzn, wyglądający jak olbrzym. Runął na nią!... Jego oddech był śmierdzący, miażdżył jej usta pocałunkami. Modliła się o śmierć... W tym momencie drzwi się otworzyły i usłyszała nowe głosy. O Boże... następni! Nieoczekiwanie mężczyzna został z niej ściągnięty. Doleciały ją gniewne polecenia, żołnierze gramolili się na nogi. A potem ktoś delikatnie pomógł

jej wstać. Był to ten sam młody rosyjski kapitan, którego widziała na ulicy. Blondyn o piwnych oczach, w których dostrzegła jakby smutek, gdy podawał jej części porwanego habitu, by miała się czym okryć. Wydał oschle rozkazy i drugi oficer zebrał żołnierzy w gromadkę. Potem zwrócił się po polsku do Karli: — Przepraszam za to, co zrobili. Będą ukarani. Jesteśmy żołnierzami, nie zwierzętami. Wrócę tu jutro i zobaczę, jak mógłbym to siostronom wynagrodzić.

Po ich odejściu Karla i zakonnice zaczęły się podnosić. Poruszały się powoli, cicho i bezradnie. Niektóre udały się na modlitwy do niewielkiej kaplicy urządzonej w jednym z pokoi. Karla poszła do łóżka i leżała bez ruchu. Chciała odebrać sobie życie, ale wówczas resztę wieczności spędziłaby w czyścicu. Pomyślała o siostrze Teresie, potem zaś po raz pierwszy w swym strachu i samotności — o matce, a gdy wsłuchiwała się w ciemności nocy, do jej uszu dotarły stłumione łkania z innych małych izdebek... Tylko że te łkania wzywały Jezusa. I wówczas Karla pojęła, że nie ma nikogo.

Jasnowłosy kapitan przyjechał następnego ranka. Jeszcze raz przeproszał i obiecał, że otoczy klasztor opieką. Nazywał się Grigorij Sokojen i był synem generała Aleksego Sokojena. Ożenił się niedawno z piękną dziewczyną, córką wysokiego rangą urzędnika państwowego. Tęsknił za swą młodą żoną i zaczął odwiedzać Karłę kilka razy w tygodniu. Siedział w rozmównicy, Karla szyla, a on opowiadał o swym dzieciństwie oraz o dzieciach, które będzie miał z żoną.

Słuchała uprzejmie. Był atrakcyjnym młodym mężczyzną, pierwszym jakiego знаła. Nie robił jej niestosownych propozycji, zawsze przynosił zakonnicom żywność, dzieciom natomiast cukierki.

Pod koniec listopada Karla zauważyła, że przytyła w pasie. Nigdy nie miała regularnych miesiączek, lecz teraz uświadomiła sobie, że ostatnia zbyt się opóźnia. Przeraziła się, lecz mimo to nadal systematycznie wykonywała swoje obowiązki. Gdy pewnego dnia dzieci wyszły na dwór, by się pobawić, zauważyła, że żołnierze przyglądają się z zainteresowaniem dziesięcio- i jedenastoletnim dziewczynkom.

Natychmiast obcięła im krótko włosy, obwiązała piersi i ubrała po chłopięcemu.

Każdej nocy wykonywała potajemnie w swej sypialni najbardziej męczące ćwiczenia baletowe licząc, że usunie w ten sposób dziecko, które rosło w jej łonie. Po jakimś czasie uświadomiła sobie, że to beznadziejne. Była gruba w talii, a brzuch miała mocno napięty.

Pewnego ranka młody kapitan przyjechał niespodziewanie z prowiantem.

Przyniósł kilka funtów kaszy i ciepłe koce. Pomagała mu to wszystko wypakować, gdy nagle chwyciły ją mdłości. Pobiegła do ubikacji i zwymiotywała.

— Jesteś chora, musisz się położyć — powiedział Grigorij. Usiadła i zdobyła się na uśmiech.

— Nie jestem chora, już mi przeszło.

— Coś ci zaszkodziło? — spytał.

— Tak, rosyjscy żołnierze — odpowiedziała bezbarwnie. Rzucił spojrzenie na jej brzuch ukryty pod obfitymi fałdami habitu.

— Dziecko? — przerwał. — Chcesz je mieć?

— Czy chcę? Jak mogę je chcieć wiedząc, że pochodzi od jednego z tych dzikusów?

— Ale jest także twoje. Rozwija się w twoim ciele, to twoja krew... Może być dziewczynką podobną do ciebie.

Karla załamała rękę.

— I co ja z nią zrobię? Jak ją wychowam? No i skąd mogę wiedzieć, że nie będzie chłopcem podobnym do Rudolfa, Leopolda, Mikołaja, Igora, Saszy czy...

— Znasz ich imiona?

— Kiedy się leży na podłodze, a oni wołają do siebie... to się pamięta. Pamięta się wstrętne oddechy, włosy w ich nosach, zepsute zęby... i imiona. Na Boga, jeżeli Bóg istnieje, jak mogę się pozbyć tej istoty, która rośnie we mnie?

Grigorij zaczerwienił się lekko.

— Znam pewien sposób. Ja... widziałem to pewnej nocy w ubiegłym tygodniu. Żołnierze plądrowali domy w poszukiwaniu zbiegów z obozów pracy. Nagle usłyszałem krzyk... Rzuciłem się na górę, a tam jeden z żołnierzy gwałcił kobietę. — Westchnął. — Musisz zrozumieć, wielu z nich to prości chłopci, czują się samotni... Nigdy nie opuszczali swych gospodarstw, nigdy tyle nie pili, a tu nagle mają polską wódkę, widzą piękne kobiety, więc... — wzruszył ramionami — więc gwałcą. Ten żołnierz zgwałcił dziewczynę w twoim stanie, tylko że ona chciała tego dziecka. Ojcem był jej mąż. Prosiła go, powiedziała, że jest w trzecim miesiącu, że może stracić dziecko. — Wzdrygnął się.

— Słyszałem jej błaganie, ale jak wpadłem do pokoju, było już za późno: straciła dziecko, a raczej to, co miało nim być. Zastrzeliłem go.

— Wstał. — Pomyśl o tym. Będę dzisiejszej nocy o jedenastej, powiesz mi, co postanowiłaś.

Gdy przyjechał, cały klasztor spowijały ciemności, Karla czekała jednak na niego przy drzwiach i zaprowadziła go po cichu do swej izdebki. W pośpiechu i bez zażenowania zdjęła habit. Grigorij również rozebrał się szybko. W półmroku zobaczyła jego młode ciało.

— Czy jesteś pewna, siostrze Karlo? — spytał. — Może to będzie chłopczyk o oczach szarych jak twoje?

— Zróbmy to — odpowiedziała.

Położył się obok i zaczął głaskać jej ciało. Karla leżała sztywno i odepchnęła go, gdy usta Grigorija powędrowały do jej piersi.

— Proszę... rób, co do ciebie należy, i skończmy z tym.

— Nie, najpierw cię pokocham.

Zaczął ją delikatnie pieścić, wbrew jej woli, całował jej usta, szyję, piersi. Wkrótce poczuła, że zaczyna się odprężyć. Kiedy leżał na niej i brał ją łagodnie, rytmicznie i w zapamiętaniu, doznała dziwnego uczucia.

Przytuliła się do niego, gdy wstrząsnął nią niewiarygodny wybuch, i krzyknęła ze śmiertelnej rozkoszy, wiedziała bowiem, że straciła dziecko. Gdy zwolnił uścisk, wyskoczyła z łóżka i schowała się w kącie zasłaniając oczy.

— Nie mów mi, co to było... Po prostu sprzątnij i zabierz tak, abym go nie widziała — poprosiła.

— Nic tu nie ma. Chodź, sama zobacz.

— Nie... jeżeli jest podobne do człowieka, będę się czuła jak morderczyni.

— Podejdź, siostrze Karlo, najwidoczniej Bóg chce, abyś je urodziła, nic tu nie ma. Dziecko nadal jest w tobie.

— Ale ja czułam... całe wnętrze mi się wywróciły.

— Miałaś orgazm, moja słodka Karlo — uśmiechnął się Grigorij. Później, gdy znów leżeli obok siebie, dodał: — Musisz pomyśleć teraz o przyszłości. Swojej i dziecka.

— Inne kobiety też są na pewno w takiej sytuacji. Co robią?

— Matki są wysyłane do obozów pracy. Lekarze odbierają poród i dzieci oddaje się do przytułków. Są wychowywane przez państwo. Na Syberii potrzebni są młodzi osadnicy... Przymuszalnie wyślą tam dzieci z sierocińców, jak dorosną.

— A co z dziećmi, które są u nas w klasztorze? Grigorij westchnął.

— Dopóki tu jestem, są bezpieczne. Ale każdego dnia mogę otrzymać nowe rozkazy. Nie wiadomo też, jak długo będzie pokój z Niemcami. Już słysząc pomruk wojny..

— Muszę spróbować wydostać się z kraju. Grigorij położył jej rękę na

ustach.

— O niczym nie chcę wiedzieć. Zdobędę dla ciebie trochę pieniędzy, nie wolno mi jednak znać twoich planów.

— Najpierw muszę wysłać dzieci z kraju.

— Proszę cię, Karlo, nie mów mi o tym.

Za każdym razem Grigorij przyjeżdżał z pieniędzmi. Karla nie pytała nigdy, skąd je bierze, tak jak on nie pytał, na co Karla je wydaje. Nawet jeżeli zauważył, że w klasztorze ubywa z każdym dniem dzieci, nigdy o tym nie wspominał. Aż pewnego wieczoru przyjechał i zastał Karłę samą. Palily się świece, stół nakryty był do posiłku, który Karla własnoręcznie przyrządziła. Pozbyła się habitu — miała na sobie sukienkę. Patrzył z niedowierzaniem, gdy podała mu kieliszek wina.

— Możesz zdejmować habit? — spytał.

— Nie jestem zakonnica — odparła. — Usiądź, Grigorij, mam ci dużo do opowiedzenia.

Podczas kolacji wyjawiała mu, jak doszło do tego, że zamieszkała w klasztorze. Gdy mówiła, zdawało się, że jej życie było tak monotonne, że tak mało w gruncie rzeczy doświadczyła. Teraz zaś siedziała sama w klasztorze z przystojnym, młodym rosyjskim żołnierzem i dzieckiem, które rosło w jej brzuchu.

— A co z dzieckiem? — spytał.

— Pomogą mi ludzie. Mam nadzieję, że uda mi się przedostać do Szwecji, tam je urodzić i dać jakiejś rodzinie na wychowanie.

— A później? — spytał.

— Pojadę do Londynu. Siostra Teresa miała tam wuja, mam jego adres.

— A dziecko? Wzruszyła ramionami.

— Umieszczę je w szwedzkiej rodzinie. Będę jakoś wysyłać im pieniądze na jego utrzymanie.

— Po co tyle zachodu dla bękarta, którego wcale nie chcesz? Jeżeli urodzisz tutaj, zawsze można je będzie umieścić w sierocińcu.

Oczy Karli zabłyśły gniewnie.

— Mimo wszystko będzie w połowie moje, a tutaj świat jest taki okrutny! Muszę dać mu jakąś szansę, nie chcę tylko, aby kiedykolwiek się dowiedziało, że to ja jestem jego matką. Będę po prostu łożyć na jego utrzymanie.

— Może jednak zabierzesz je kiedyś do siebie? Potrząsnęła głową.

— Mam zamiar być baletnicą, a to ciężka praca. Dam dziecku pieniądze, ale nie miłość. W ten sposób nie będzie mogło utracić czegoś, czego nigdy nie miało. — Dotknęła w zamyśleniu brzucha. — Niedobrze jest rosnać ze

świadomością, że jest się nie chcianym. Lepiej myśleć, że rodzice nie żyją. Tej nocy przytulił ją mocno, a Karla przyglądała mu się uważnie, jakby chciała na zawsze wyryć w pamięci jego obraz.

— Nigdy cię nie zapomnę, Karlo — powiedział, gdy się kochali. Przywarła do niego. Choć wiedziała, że nigdy nie będzie w stanie naprawdę kochać żadnego mężczyzny, była mu wdzięczna za wszystko, co dla niej zrobił, a poza tym jego ciało było tak młode i silne...

Samolot schodził do lądowania na lotnisku Heathrow. Karla zamknęła oczy. Wysłała telegram do Jeremy'ego, czy będzie jednak na nią czekał? Był coraz starszy i za każdym razem wydawał się coraz bardziej skurczony. Co ona zrobi, gdy pewnego dnia Jeremy'ego zabraknie? Samolot wylądował, na płycie lotniska stali fotoreporterzy. Zasłoniła twarz i ruszyła za urzędnikiem, który poprowadził ją do limuzyny. Jeremy Haskins czekał w środku. Usiadła obok i uściśnęła mu rękę.

— Miło z twojej strony, że wyszedłeś po mnie. Starszy pan uśmiechnął się do niej.

— W przyszłym miesiącu skończę osiemdziesiąt lat, Karlo, ale dopóki duch się we mnie kołacze, dopóty zaszczycem dla mnie będzie wyjść na każdy samolot, statek czy pociąg, którym zechcesz tu przybyć.

Oparła się wygodnie i zamknęła oczy.

— Wiele przeżyliśmy razem, prawda, Jeremy? Pokiwał głową.

— Już kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, przeczuwałem, że dużo razem przeżyjemy.

Spotkali się w schronie przeciwlotniczym. Była przerażona. Tego dnia przyjechała właśnie do Londynu i uśmiechnięty wuj Otto powitał ją serdecznie w swym domu. Dostała miły pokój. Ciotka Basia była wesoła i pełna ciepła. Cały ranek siedzieli i rozmawiali o Polsce, ucieczce i niebezpieczeństwach, jakie jej towarzyszyły. Karla starała się nad tym wszystkim zbytnio nie rozwodzić, ale oboje bardzo byli ciekawi wszystkich szczegółów. Zataiła przed nimi najbardziej drastyczne zdarzenia — gwałt, rosyjskich żołnierzy, ciążę, opowiadała natomiast z przejęciem o przeprawie. Wuj Otto nie miał żadnych wiadomości ani od siostry Teresy, ani od jej rodziny. Nie mówiąc wprost, Karla dała im do zrozumienia, że siostra Teresa i pozostałe zakonnice wraz z sierotami są bezpieczne.

O zmierzchu wyszła na spacer. Wuj Otto przestrzegał, aby nie oddalała się zbytnio, gdyż w każdej chwili może być nalot. Londyn był teraz w samym środku niemieckiej wojny powietrznej i Brytyjczycy zaczęli się już przyzwyczajać do nocy spędzanych w schronach przeciwlotniczych.

Hitlerowcy zaprzestali dziennych nalotów, od kiedy w październiku samoloty RAF-u rozgromiły napastników z Luftwaffe, kontynuowali jednak nocne bombardowania, które mając niewielkie znaczenie militarne, szerzyły w Londynie panikę i zniszczenia.

Karla minęła mniej więcej dziesięć przecznic i wtedy usłyszała pierwszą syrenę. Stała jak wmurowana ze strachu, podczas gdy ludzie wysypywali się tłumnie z domów i kierowali do najbliższej stacji metra. Pędem ruszyła z powrotem do domu, ale zatrzymała się, pojęła bowiem, że i tak nie zdąży, a poza tym wuj Otto i ciocia Basia też już są na pewno w schronie. Zawróciła więc i dołączyła do potoku ludzi. Znalazła sobie miejsce i usiadła, a usłyszawszy huk bomb, zasłoniła rękami uszy.

— Zachowujesz się, jakbyś przeżywała pierwszy nalot, moje dziecko. Spojrzała w górę na uśmiechniętego mężczyznę. Odpowiedziała mu również uśmiechem.

— Bo poniekąd tak jest.

— Skąd pochodzisz?

— Z Wilna, z Polski. Czyżbym aż tak źle mówiła po angielsku?

— Okropnie, ale i tak jesteś lepsza ode mnie, bo ja nie znam nawet jednego polskiego słowa. Jak się nazywasz? Ja jestem Jeremy Haskins. Zmusił ją do rozmowy pośród huków spadających bomb. Opowiedziała o wuju Ottonie, ciotce Basi, o tym, że zamierza dostać się do Sadlers Wells Ballet. Oczywiście na razie nie wchodzi to w grę, bo tak dawno nie ćwiczyła! Najpierw musi zdobyć jakąś pracę w fabryce czy gdziekolwiek indziej i codziennie ćwiczyć, aby odzyskać formę.

— Nie widzę cię dobrze w tych ciemnościach — powiedział.

— Czy jesteś ładna?

— Jestem dobrą tancerką — odparła.

Gdy rozległa się syrena odwołująca alarm, wyszli ze schronu i Jeremy odprowadził ją do domu, opowiadając po drodze o sobie. Zajmował się promocją filmów J. Arthure Ranka. Jego żona była kaleką, a córka zginęła podczas ataku lotniczego. Dotarli do ulicy, przy której stał dom wuja Ottona, i Karla przez chwilę miała wrażenie, że pomyliła adres: stojące tu jeszcze przed godziną dwa rzędy domów były teraz tłącymi się ruinami. Samochody strażackie wciąż polewały wodą zwęglone szkielety budynków, słychać było jęki ludzi zabieranych do karet, płacz dzieci i przytłumione szlochanie kobiet, które grzebały w ruinach domów szukając drogich im przedmiotów.

Nagle ujrzała wuja Ottona trzymającego za rękę ciotkę Basię. Przypadła do nich. Wujowi łzy ciekły po policzkach.

— Nasze pieniądze... tyle pieniędzy... Wszystko się spaliło, nic nie zostało. Perły Basi... wszystko przepadło. — Patrzył oszołomiony na Jeremy'ego. — Tyle pięknych rzeczy ze starego kraju, które miałem zamiar sprzedać, by dać krewnym w Polsce szansę, gdy już będzie po wszystkim! Gobeliny... wspaniałe koronki... obrazy. Wszystko przepadło. Goya!... Goya też przepadł! Żadne pieniądze tego nie zastąpią.

— Spojrzał w niebo. — Dlaczego? Przecież to nie był obiekt wojskowy, to czysty wandalizm, niszczenie bez powodu. — Nagle przypomniał sobie o Karli. — Twoje ubranie... też po nim. Jutro dostanę z banku trochę pieniędzy. Dziś przenocujemy u sąsiadów w budynku obok. Nie mają dla ciebie dodatkowego pokoju, ale poproszę kogoś, to może cię przygarnie. — Może przenocować u nas, w pokoju mojej córki — powiedział szybko Jeremy Haskins.

Wuj Otto zmarszczył brwi. Popatrzył na Jeremy'ego, jakby go dopiero teraz zauważył. Potem odwrócił głowę w kierunku spalonych ruin swego domu i wydał ciężkie westchnienie, które oznaczało, że czuje się zbyt staro, jest zbyt zmęczony i przygnębiony, aby brać dodatkową odpowiedzialność za moralność tej obcej polskiej dziewczyny. Pokiwał głową z ulgą i już po chwili oszołomiona Karla wędrowała potulnie za Haskinsem do metra. Wsiadli do zatłoczonego wagonu i jechali w milczeniu. Po chwili zauważyła, że Jeremy bacznie ją obserwuje. Zaczerwieniła się i popatrzyła w dół na swe nieładne dłonie.

Wyciągnął rękę i je poklepał.

— Ujda, jeżeli zrobi im się mały manicure, ale wiesz, jesteś istotnie całkiem śliczna.

Nadal patrzyła na swe ręce. Kim był naprawdę ten miły mężczyzna, który dodawał jej otuchy podczas nalotu, a potem przekonał wuja Ottona, że ma uczciwe zamiary? Dokąd ją zabiera? Prawdopodobnie córka, która zginęła, i chora żona nigdy nie istniały. Prowadzi ją na pewno do jakiegoś okropnego pokoiku i... popatrzyła na swe zabłocone buty. Cóż jej szkodzi? Gdzie miałyby pójść? A po Rosjanach... co mógł jej zrobić ten mizerny Anglik? Zmusić, by rozłożyła nogi? Jakaż to różnica?

Nagle Haskins przerwał milczenie.

— Posłuchaj, moja mała. Jest rola w filmie, którego produkcją zajmuje się mój przyjaciel. Nieduża, ale mogłabyś zdobyć dzięki niej uznanie. To rola niemieckiego szpiega i właśnie pomyślałem, że twój akcent byłby doskonały. Czy umiesz w ogóle grać?

— Nie wiem, mówię bardzo źle po angielsku.

— Oczywiście, ale to by pasowało do tej roli. Spotkasz się z nim jutro.

Posłuchaj mnie, dziewczyno, może nie jest to Sadlers Wells, ale na pewno będzie o wiele lepsze od fabryki.

Miał bardzo przyjemny domek. Poznała jego kaleką żonę, Helenę, przemiłą kobietę o twarzy bladej i przezroczyściej jak papier. Kiedy patrzyła, jak mąż robi herbatę, w jej oczach widać było wdzięczność i śmierć. Była zachwycona, że Karla u nich zamieszka. Przez jej dumę przebijał smutek, gdy zaproponowała Karli pokój córki. Karla nigdy nie mieszkała w tak uroczym pomieszczeniu. Usypiając, czuła się bezpieczna. Wiedziała, że raz jeszcze znalazła kogoś, kto będzie za nią myślał.

Dostała rolę... I nagle jej życie zmieniło rytm jak film puszczonego w przyspieszonym tempie. Próby makijażu, dopasowywanie kostiumu, całe wieczory poświęcone pracy nad ciężkim akcentem i wreszcie końcowa dyskusja — debata nad jej imieniem. Upierała się, że chce, by mówiono na nią Karla. Arnold Malcolm, producent filmu, w końcu ustąpił. On również czuł, że ta uparta Polka ma w sobie coś, co znajdzie wyraz na ekranie. I stało się tak, jak przewidywał. Wszystkie gazety zwróciły uwagę na nową, nikomu nie znaną twarz. Gdy film wszedł na ekrany, wywołała małą sensację. Jediną rzeczą, która zmaciła jej szczęście, była śmierć Heleny na tydzień przed ukończeniem filmu. Po raz kolejny uświadomiła sobie niebezpieczeństwo, jakie pociąga za sobą przywiązanie do drugiej osoby. Karla kochała tę delikatną kobietę, która zносиła w milczeniu jej narzekania, pomagała w angielskim i każdego dnia zachęcała do pracy. Pochowali ją cicho i bez płaczu. Tego samego dnia Karla wsiadła do metra i ruszyła z powrotem do pracy w studiu. Przez całą drogę zachowywała stoicki spokój, wysiadłszy zaś, zawołała: — Nienawidzę kręcenia filmu, nienawidzę angielskiego, którego nigdy się nie nauczę, nie cierpię czekania i świateł, ale najbardziej nie znoszę metra.

Jeremy zdobył się na sztywny uśmiech: — Pewnego dnia bez trudu będziesz rozumiała angielski i będziesz jeździć limuzyną.

Jeremy sprzedał dom i wynajął dla siebie i Karli mieszkanie w Kensington. Porzucił pracę w firmie J. Arthur Rank i został menażerem Karli. Wszystkie gazety sugerowały, że jest jej kochankiem. W rzeczywistości tylko raz poszli ze sobą do łóżka. Zrobiła to z wdzięczności, lecz Haskins nie dał się nabrać.

— Głupi byłem, mając nadzieję... Jestem dla ciebie za stary — westchnął.

— Nie — powiedziała patrząc mu prosto w oczy — to nie twoja wina.

Widzisz, ja jestem lesbijką.

Powiedziała to tak trzeźwo, że przyjął te słowa jak jeszcze jedną informację na jej temat. Potem, gdy leżeli w ciemnościach trzymając się za

ręce jak dobrzy przyjaciele, opowiedziała mu wszystko o sobie. O tym, jak została zgwałcona, o Grigoriju, o dziecku mieszkającym u szwedzkiego małżeństwa, któremu posyłała co miesiąc pieniądze. Na pytanie Jeremy'ego, dlaczego dziecko nie może się dowiedzieć, że jest jego matką, odparła: — Trudno stracić to, czego się nigdy nie miało. Było zaledwie niemowlęciem, jak je zostawiłam, nie znało mnie, ja nie poznałam jego. W ten sposób żadne z nas nie będzie czuło bólu czy rozczarowania drugą osobą. Po co moje dziecko ma się zastanawiać, co za bydlę jest jego ojcem, albo czuć się zaniedbane dlatego, że mnie tam nie ma?

Kiedy próbował wypytywać o Grigorija bądź skłonić, aby się przyznała, że naprawdę coś dla niej znaczył, wzruszyła tylko ramionami..

— Być może, ale nigdy nie będę tego wiedziała. Byłam za bardzo przepełniona nienawiścią za to, co Rosjanie zrobili siostrze Teresie i innym, aby pozwolić sobie na jakiekolwiek uczucia.

Potem opowiedziała mu o krótkim, acz czułym związku z pewną dziewczyną, piękną, delikatną i dobrą, która pomogła jej w ucieczce i przrzuceniu dziecka do Szwecji. Była między nimi czułość kochającej kobiety, nie potrafiłaby nigdy tak kochać żadnego mężczyzny.

Tak oto Karla i Jeremy zostali dobrymi przyjaciółmi. Pracowali razem nad jej angielskim, ćwiczyli role. Po czwartym filmie okrzyknięto ją gwiazdą. Siedziała co dzień z Jeremym w zaciemnionym studiu i oglądała ujęcia z danego dnia, nie mogąc wprost uwierzyć, że to ona jest tą fascynującą kobietą na ekranie.

Właśnie Jeremy postanowił, że Karla nie będzie udzielać żadnych wywiadów.

— Nie pozwolimy na wywiady. Twój angielski nie jest wystarczająco dobry: możesz nie zrozumieć jakiegoś pytania albo oni mogą źle zrozumieć odpowiedź, a poza tym...

— A poza tym jestem głupia i nudna.

— Nie, to nieprawda. Jesteś jeszcze bardzo młoda. Na ekranie wyglądasz tajemniczo, jak światowa dama, gdy się ciebie jednak pozna... to tak jak poznać dziecko.

— Nie, Jeremy, jestem głupia, wiem o tym. Nie musisz udawać. Słyszę, o czym rozmawiają inne aktorki. Mówią o Szekspirze, potrafią go cytować, rozprawiają o książkach Maughama, Colette, a nawet amerykańskich autorach, jak Hemingway. Niektóre pytają mnie o polskich pisarzy. Ja nie znam żadnego... a one znają. Dyskutują o sztuce... Ja nic nie wiem na ten temat.

— Brak ci po prostu wykształcenia — odparł Jeremy — ale nie jesteś

głupia. Samo to, że zdajesz sobie sprawę ze swoich niedociągnięć, dowodzi twej inteligencji. Jeżeli chcesz, mogę ci pomóc trochę się podszkolić.

— Czy będę mogła dzięki temu zarobić więcej pieniędzy?

— Nie, ale...

— Więc zapomnij o tym — odparła.

Myśl o wyjeździe do Kalifornii przerażała Karłę, lecz Jeremy podpisał kontrakt z Twentieth Century Fox. Aż nagle w dniu wyjazdu do Hollywood szwedzkie małżeństwo zatelegrafowało, że nie ma ochoty opiekować się dłużej dzieckiem. Jeremy, mimo protestów Karli, wyprawił ją, sam zaś został, by zorganizować przyjazd dziecka.

Nie mógł znieść myśli, że będzie musiał zaufać jej na odległość przez sześć tygodni, tyle czasu potrzebował bowiem na załatwienie wszystkich formalności związanych ze ściąganiem go do Londynu. Gdy przyjechał do Kalifornii, okazało się, że jego przecucia nie były pozbawione podstaw. Karla mieszkała w częściowo tylko umeblowanej wielkiej rezydencji, którą znalazła dla niej wytwórnia, i była uwikłana w płomienny romans z Heidi Lanz.

— Karlo, nie możesz sobie pozwolić na tego rodzaju plotki. To może cię zrujnować. Heidi jest wielką gwiazdą, ma męża i troje dzieci. Publiczność nigdy nie uwierzy, że to jej wina.

— Opowiedz mi o dziecku.

— Wszystko w porządku. Znalazłem wspaniałe małżeństwo, Johna i Mary. Myślą, że dziecko jest spokrewnione ze mną, a ty interesujesz się nim z uwagi na naszą przyjaźń. Jest trochę opóźnione w rozwoju, lekarze twierdzą, że ma to coś wspólnego z niedotlenieniem przy porodzie, ja jednak sądzę, że wszystkiemu są winni ci Szwedzi. Przecież oni prawie się nie odzywają! John i Mary to fantastyczni ludzie, wszystko będzie dobrze. Myślą oczywiście, że jesteście kochankami.

— Zaczekaj, aż poznasz Heidi...

— Karlo, musisz być dyskretniejsza.

— Ten film robi ze mnie prawdziwą gwiazdę w Ameryce, międzynarodową gwiazdę. Już dziś porównują mnie z Gretą Garbo i Marleną Dietrich... Piszą, że wraz ze mną powraca utracony czar. Popatrz, tu są moje zdjęcia: w „Photoplay”, „Modern Screen”, „Movie Mirror”, we wszystkich pismach! Fantastyczne historie o wielkiej Karli. Nie martw się więc, mam doskonałą prasę. Byłam ci posłuszna co do joty: żadnych wywiadów, zamknięte grono znajomych samotne lunche we własnej garderobie. Nikt mnie nie widuje z wyjątkiem Heidi.

Jeremy westchnął.

— Karlo, nawet w Londynie widziałem wasze zdjęcia. Byłyście w spodniach i chowałyście się przed fotoreporterami.

Karla wzruszyła ramionami.

— Tutaj wszyscy noszą spodnie i wiele osób unika fotoreporterów.

— Czy oszczędzasz pieniądze? Pamiętaj, będą potrzebne dla dziecka.

Chcesz, aby uczyło się w najlepszych szkołach, miało wszystko, czego ty byłaś pozbawiona.

— Czy oszczędzam pieniądze? — odrzuciła głowę do tyłu. i cały pokój rozbrzmiał jej gardłowym śmiechem. — Jestem tu już prawie od siedmiu tygodni i zrealizowałam dopiero jeden czek. Heidi płaci za wszystko.

Romans Karli i niemieckiej gwiazdy nie trwał długo. Jeremy był jednak zdziwiony widząc, że największe lesbijki z kolonii filmowej chodzą za Karłą. Zastanawiał się, czy każda nie posiada czegoś na kształt radaru, który wychwytuje sygnały jak neon jarzące się na ich czołach, tylko dla nich widoczny. Karla jednak nie chciała się z nimi zadawać.

Partnerem Karli w jej trzecim filmie był Byron Masters — przystojny, buńczuczny, trzykrotnie żonaty biseks mający na koncie liczne skandale.

Karla była wstrząśnięta jego podobieństwem do Grigorija. Nagle przycichła, a kiedy się dowiedziała, że mieszka właśnie z innym gwiazdorem, odebrała to jak wyzwanie. Zapragnęła nagle poczuć w ramionach silne, młode męskie ciało.

Zaczęli ze sobą kręcić i po tygodniu Byron wyprowadził się od swego partnera — zapalał szaleńczą miłością do Karli, i to do tego stopnia, że pozwolił, aby zdominowała cały film. Objawiła się w nim jako dojrzała profesjonalna artystka, a opowieści o ich romansie przepełniały wszystkie magazyny filmowe.

Przez kilka tygodni Karla upajała się swym romansiem z Byronem, gościła go na obiadach w swym ledwie urządzonym mieszkaniu, sami przyrządzali befsztyki i jedli je w kuchni. Jeremy wyprowadził się dyskretnie do umeblowanego apartamentu i zajął pewną rozwiedzioną właścicielką nieruchomości.

Byron kochał jednak pełne emocji życie hollywoodzkie, wielkie przyjęcia, premiery w blasku jupiterów. Karla zaś nie chciała na nie chodzić. U niej w domu śmiał się, gdy trzymała w palcach befsztyk

— byli dwójką dzieciaków na pikniku, ona jednak była w pełni

świadoma, że nie potrafi się zachować przy stole (Jeremy przestał już ją błagać, by nie siorbała jedząc zupę czy pijąc herbatę). Poza tym panicznie bała się tłumów i kruchych rozmów o niczym, które toczyły się zwykle na

przyjęciach. Lękała się, że ludzie mogą się śmiać z jej akcentu. Dlatego romans z Byronem powoli wygaszał — aktor zakochał się w nowej damie, która grała z nim główną rolę w filmie.

Karla podeszła do całej sprawy filozoficznie. Zawsze znalazła się jakaś młoda aktoreczka zachwycona, że może odwiedzić wielką Karłę. Na planie Karla nigdy się do niej nie przyznawała, gdyby więc dziewczyna próbowała rozpowiadać o swoim z nią romansie, nikt nie dałby wiary tym historiom. Równie często pojawiał się młody mężczyzna przypominający Grigorija — pozwalała mu przyjść do siebie, kochać się i jeść befsztyki w swej kuchni. Prasa zawsze goniła za tego typu romansami i je rozdmuchiwała. Czasopisma filmowe domagały się opowieści o Karli. Zanim jednak romans trafiał do gazet, zwykle było już po wszystkim.

W 1952 roku Karla grała główną rolę w filmie z Christopherem Kellym. Miał w sobie mieszaninę krwi holenderskiej i francuskiej, a także kombinację jasnych włosów z piwnymi oczami, która zawsze tak ją fascynowała. Kelly był wówczas również u szczytu sławy. Już po pierwszym tygodniu wspólnych zdjęć jadł befsztyk w kuchni Karli. W trakcie trzymiesięcznej pracy nad filmem ich romans stawał się coraz bardziej płomienny.

O tym, że jest w ciąży, dowiedziała się ostatniego tygodnia zdjęć. Myślała o swym stanie chłodno i bez emocji. Teoretycznie najlepiej byłoby pozbyć się i dziecka, i Christophera, po raz pierwszy w życiu czuła jednak, że nie może tak po prostu odejść. Bardzo ją to zaskoczyło. Jeszcze nigdy nie zaangażowała się tak poważnie w romans z mężczyzną, aby nie chciała go utracić. Stwierdziła ze zdziwieniem, że łatwiej daje sobie radę z kobietami. Sama ustalała podział ról, nie bała się, że kobieta ją zrani, kochały ją wszystkie. Jedynym problemem było pozbycie się dziewczyny tak, by sprawić jej jak najmniej bólu. Mężczyźni w większości również się podporządkowywali i przejawiali niemal zniewieściałość, gdy prosili, żeby się zgodziła, żeby się dała przytulić.

Christopher był inny. Zaciągnął ją do swego wspaniałego domu pełnego służby i nauczył pływać. Próbował także nauczyć ją grać w tenisa, ale jedynym jej osiągnięciem było przebicie piłki nad siatką.

Zdjęcia były już na ukończeniu. Za sześć tygodni zaczynała nowy film, w którym, gdyby tylko chciała, mogła również mieć za partnera Christophera. Co prawda Century podpisała już umowę z innym nowicjuszem, nie widziano bowiem potrzeby, aby płacić honorarium

dwóm gwiazdom, gdyby jednak Karla zażądała właśnie jego, na pewno by go zaangażowali.

Christopherowi było właściwie wszystko jedno. Należał do nowej generacji gwiazd, które grały bez stałego kontraktu z wytwórnią. Jego gaża wynosiła dwieście tysięcy za film i pracował dla Twentieth, Metro, Century — dla jakiegokolwiek wytwórni, byle zapłaciła mu jego gażę, dała główną rolę oraz zapewniła miejsce obok drugiej gwiazdy na liście wykonawców.

Karla wyczekała do końca zdjęć i pewnego wieczoru, gdy jechali samochodem, poinformowała go, że jest w ciąży.

— To już siódmy tydzień — powiedziała.

Christopher mało nie zjechał z drogi.

— Karlo, to fantastycznie! Jedziemy prosto do Tia Juana i weźmiemy ślub! Utrzymamy wszystko w tajemnicy, a za jakiś tydzień powiemy wszystkim, że pobraliśmy się jeszcze przed rozpoczęciem zdjęć- Ten twój Jeremy potrafi wszystko załatwić.

Zgodziła się i patrzyła, jak Christopher zawraca i gna z powrotem w dół górską drogą.

— Będzie wspaniale — kontynuował — wyprowadzimy się z naszych domów, kupimy wielkie domiszcze... Może każemy je wybudować? W Crescend jest niezła posiadłość. Muszę wprawdzie płacić podwójne alimenty, ale, do licha, dostaję za każdy film dwieście tysięcy i jeśli dodamy do tego twoje zarobki, możemy żyć, że hej! Nazwiemy nasz dom Karl-Kel, będziemy przyjmować gości. Karl-Kel będzie tym? czym niegdyś było Pickfair, a my staniemy się nową parą królewską. Będziemy żyć na całego!

Żyć na całego!

— Zawracaj — powiedziała szorstko.

— Co się stało?

— Zawracaj, nie jadę do Meksyku. Jeżeli ośmielisz się mnie tam zabrać, oskarżę cię, że mnie porwałś.

W milczeniu wracali do domu Karli. Żyć na całego! Mieć jeszcze jedno dziecko! Jak mogła pozwolić sobie na takie myśli? Miała już jedno dziecko na utrzymaniu... jeden poważny obowiązek. Nigdy nie będzie żyła tak jak on, nie będzie siedzieć z boku i patrzeć, jak ludzie przychodzą i piją j e j alkohol, spożywają j e j jedzenie. To tak, jakby się przyglądała, że zabierają j e j pieniądze, podczas gdy ona tak ciężko pracowała, by je zarobić.

Następnego dnia Jeremy załatwił aborcję i Karla zmieniła numer telefonu.

Tydzień później Christopher Kelly próbował popełnić samobójstwo. Odratowano go, ale nawet to dramatyczne posunięcie nie skłoniło Karli, by zechciała odpowiedzieć na jego telegramy.

Wydała wiele pieniędzy na poszukiwanie siostry Teresy, zaginął jednak ślad i po niej, i po całej rodzinie. W końcu dała temu spokój i poświęciła się całkowicie pracy.

W połowie lat pięćdziesiątych Karla miała ugruntowaną pozycję „żywej legendy”. Gaża nie dorównywała jednak w żadnej mierze jej sławie. Kontrakt z Twentieth Century Fox opiewał z początku na pięćset dolarów tygodniowo. Łącznie z podwyżkami i tym, co jej wpadło dodatkowo, dociągnęła w ciągu ostatnich dwóch lat do trzech tysięcy. Wiedziała, że otrzymuje za mało, ale w 1960 roku wygasł jej kontrakt z wytwórnią i Jeremy przekonywał, że dopiero wtedy zaczną naprawdę zarabiać.

Jeremy był bogaty, zainwestował swe pieniądze na giełdzie i potroił już kilkakrotnie majątek. Prosił, błagał Karłę, aby pozwoliła mu ulokować w coś jej pieniądze lub zechciała się skontaktować z doradcą inwestycyjnym, ona jednak ścisłała je kurczowo i składała na rachunek oszczędnościowy, pilnując, by rachunek założony w jednym banku nie przekroczył nigdy dziesięciu tysięcy.

W latach 1957—1958 trafiła jej się seria złych filmów, lecz sława umożliwiła jej przetrwanie. Legenda rosła, a to, że odseparowała się od kierownictwa wytwórni, powodowało, iż żyła w zupełnej nieświadomości, jeśli chodzi o wpływy w kasie. Jeremy zdawał sobie sprawę, że publiczność również nie ma pojęcia o spadku popularności Karli.

Wiadomość o wycofaniu się Karli w 1960 roku z filmu pojawiła się w nagłówkach gazet i wywołała wstrząs w przemyśle filmowym na całym świecie. Ani Karla, ani Jeremy nie planowali odejścia na zawsze.

Wszystko zaczęło się od wizyty Jeremy'ego w sprawie renegotjacji kontraktu z szefami Twentieth Century Fox.

— Słyszałam, że Elizabeth Taylor dostaje za Kleopatę milion dolarów — powiedziała Karla. — Chcę milion sto tysięcy. Powiedz szefowi wytwórni, że podpiszę kontrakt na trzy filmy za trzy miliony trzysta tysięcy.

Gdy Jeremy prowadził negocjacje z wytwórnią, co zajęło mu kilka tygodni, Karla zainstalowała drążek do ćwiczeń baletowych w jednym z pustych pokoi w swym domu. Ćwiczyła w nim po cztery godziny dziennie i chodziła na długie spacer.

Pewnego wieczoru Jeremy przyszedł do niej na obiad. Powiedział, że jest pewien interes, ale przedyskutują go po obiedzie. Z typową dla niej obojętnością kiwnęła głową. Usiedli w kuchni i Jeremy patrzył, jak Karla

wbijają zęby w befsztyk, jak sos spływa po brodzie wspaniałej twarzy, uwielbianej przez tylu ludzi.

— Znasz, Karlo, książkę Imperator? — spytał z westchnieniem. Skąd miałyby znać? Oboje wiedzieli, że Karla nigdy nie czyta książek. — To bestseller na wszystkich listach — kontynuował. — Szef wytwórni próbuje zaangażować do roli imperatora Marlona Brando lub Anthony'ego Quinna.

— I...? — Karla ogryzała kość.

— Chcą ciebie w roli cesarzowej.

— A więc? Czy jest to rola odpowiednia dla Karli?

— Cudowna.

— A pieniądze?

— Bardzo małe. Karla przestała jeść.

— Myślałam, że dostaniemy milion.

I wówczas w jasno oświetlonej kuchni Jeremy wyjaśnił, jak sprawy stoją: że jej ostatnie filmy były kasową klapą. Legenda otaczająca Karlę była jednak tak żywa, że poza ludźmi siedzącymi mocno w businessie nikt nie zdołał tego zauważyć. Za ten film dawano jej sto tysięcy, a po zwróceniu się pieniędzy włożonych w produkcję dwa i pół procent dochodów, co by oznaczało przyzwoitą kwotę wtedy tylko, gdyby film przyniósł ponad dziesięć milionów zysku.

Karla milczała.

— Nie mamy wyboru — powiedział Jeremy. Odsunęła talerz.

— Jeżeli wezmę takie marne pieniądze, wszyscy się dowiedzą, że jestem skończona. Jeśli natomiast wycofam się z filmu, nikt o tym nie będzie wiedział.

Jeremy wytrzeszczył oczy.

— Masz czterdzieści dwa lata... jesteś w szczytowej formie!

— Och, wycofam się, ale tylko na rok. Potem sami do mnie przyjdą, zobaczysz, i każda kolejna propozycja będzie korzystniejsza od poprzedniej.

Jeremy patrzył na nią zaskoczony; to było genialne posunięcie, tylko czy Karla wytrzyma je finansowo?

— Masz raptem dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów — powiedział.

— Kup za nie obligacje na sześć procent, nie ruszę ich.

— Z czego więc będziesz żyła?

Karla przeszła się po pokoju i zapatrzyła w kamienne ogrodzenie, które kazała wybudować wokół domu.

— Straszna dziś wilgoć, ale mimo to pójdę na spacer. Zarzuciła płaszcz i

wyszła.

Gdy wróciła, Jeremy siedział w salonie i oglądał wiadomości w telewizji. Wyłączył odbiornik.

— Postanowiłaś coś?

— Czy słyszałaś kiedyś o Blinky Giles?

— Tak. To milionerka z Teksasu czy skądś tam.

— Owszem, jest również wielką lesbijką. Od roku rozpowiada wśród dziewcząt, że rzuciłaby do mych stóp sto tysięcy dolarów, gdybym się zgodziła zostać jej kochanką na jedną noc. Powiem Soni Kinelli... ona wydaje każdej niedzieli brunche, na które schodzą się pedały... powiem jej, że jestem gotowa przyjąć Blinky Giles w ten weekend.

Blinky Giles, gruba lesbijka z zadyszka. Weszła i od razu rzuciła jej do stóp pieniądze — sto tysięcy dolarów wolne od podatku. To było niesłychane. Karla myślała o tym teraz, gdy siedziała obok Jeremy'ego. A po Blinky była hrabina...

W miarę jak przedłużała się nieobecność Karli na ekranie, jej legenda rosła. Oferty również wzrastały, aż pewnego dnia, w trzy lata po jej odejściu z filmu, Jeremy przyszedł z kontraktem na milion dolarów i dziesięć procent od zysków. Ku jego wielkiemu zdziwieniu odmówiła. Przyznała otwarcie, iż boi się powrotu. Poznała właśnie Dee Milford Granger, „szóstą najbogatszą kobietę świata”. Dee była zakochana w Karli-legendzie. A co się stanie, jeżeli film będzie klapą? Legenda pryśnie. Po co poddawać ją próbie swym powrotem? Dopóki jest legendą, zawsze znajdą się kobiety, takie jak Dee, które dadzą wszystko, aby tylko z nią być. W ciągu ostatnich trzech lat udało jej się nie pracując zaoszczędzić prawie pół miliona dolarów! Dee miała własny samolot, jacht i męża pedała, którego wcale nie obchodziło, co robi żona. Nie była tak hojna jak inne, kierowała się bowiem zasadą: „udowodnij, że mnie naprawdę kochasz dla mnie samej”, której hołowali niektórzy bogaci ludzie. Ale była przynajmniej piękna, a poza tym dawała poczucie bezpieczeństwa. Dlatego Karla odrzuciła milion dolarów i wszystkie dalsze propozycje, gdyż czuła się bezpieczna ze świadomością, iż ma władzę nad Dee, że może ją mieć tak długo, jak tylko zechce, i na takich warunkach, jakie ona postawi. Wszystko układało się tak, jak sobie zaplanowała, dopóki mąż pedała nie zabił się podczas wyścigu samochodowego, przez co Dee musiała zacząć prowadzić ze sobą Davida w charakterze mężczyzny do towarzystwa...

David... Myślała, że jest już na to wszystko za stara. Piwnooki i jasnowłosy David, młody jak Grigorij... A ona była tak stara! Nie, kobieta

nigdy się nie starzeje, to tylko lat jej przybywa. Duchem czuje się wiecznie jak osiemnastolatka... A z Davidem jest młoda, nierozsądna i czarująca. Samochód dojeżdżał do Park Lane. Jeremy opowiadał o najnowszej propozycji. (Ciągle próbują, nie proponują już co prawda miliona dolarów, ale wciąż oferują duże pieniądze za samo pokazanie się w filmie, tylko w jednej scenie.) Ostatnio dawali pół miliona za dwa tygodnie pracy plus tysiąc dolarów dziennie na bieżące wydatki. Uśmiechnęła się i pokręciła głową. Po co się martwić? Cóż by miała udowodnić? Tak naprawdę nigdy nie wierzyła w siebie jako aktorkę. Nie wierzyła nawet w siebie jako w tancerkę. Robiła to, by zdobyć aprobatę siostry Teresy. Chyba dlatego do tej pory nie zaprzestała ćwiczeń baletowych, bo miała wówczas wrażenie, że spłaca zakonniczy dług. Karla nie była religijna — nigdy nie uczestniczyła w mszy, a jednak co wieczór klękała i odmawiała modlitwę po polsku, jak zawsze odkąd nauczyła się mówić. Często w ciemności czuła bliskość Boga. Chowiała wtedy głowę pod poduszkę i szeptała Mu, że stara się być jak najlepsza.

Weszła do hotelu Dorchester, skryła twarz w sobolowym futrze — prezencie od Dee. Wiedziała, że jej przyszłość jest przy Dee, wiedziała też, że romans z Davidem stał się dla niej zbyt ważny. Czas odejść, uregulować pewne sprawy. I Bogu niech będą dzięki za Jeremy'ego.

Tego wieczoru jeszcze długo po odejściu przyjaciela siedziała zapatrzona w Hyde Park. Wiedziała, że Jeremy spostrzegł, iż z jej twarzy zniknęły zmarszczki. Gdy opuściła Davida, by zrobić operację plastyczną, modliła się, aby na nią czekał, ponieważ uświadomiła sobie po raz pierwszy w życiu, iż wcale nie jest lesbijką. W jego ramionach czuła się bezpieczna i szczęśliwa. Im dłużej przebywała z Davidem, tym trudniej jej było z Dee. Miękkie kobiece ciało, w porównaniu z silnym i szczupłym Davidem, coraz bardziej ją odpychało. Kiedy uklękła tego wieczoru, by odmówić modlitwę, przyłapała się na tym, że modli się również o to, aby David znowu na nią czekał...

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

January siedziała w gabinecie Lindy i popijała z plastikowego kubka letnią kawę. Linda była dziś w jednym ze swych kiepskich nastrojów. Zawsze była posepna w poniedziałki, a deszczowy poniedziałek w lutym był, jak to określiła, ukoronowaniem ich wszystkich. January natomiast, pomimo pogody, była wesola. Luty miał w końcu jedynie dwadzieścia osiem dni, a

dwudziesty pierwszy marca to już formalnie wiosna. Gdy tylko przeleci luty, będzie już praktycznie po zimie.

January nigdy nie cierpiała zimy, ponieważ oznaczała szkołę, za to lato i wakacje — to był Mike. Tylko że teraz wakacje oznaczały Palm Beach. Pojechała tam w Wigilię i została do Nowego Roku. Zanim jednak pojechała do Palm Beach, był jeszcze...

TYDZIEŃ W NOWYM JORKU POPRZEDZAJĄCY BOŻE NARODZENIE!

Oszukane choinki z ostrokrzewu w redakcji, choć wszyscy pracowali już nad kwietniowym numerem, i nagła zmiana postawy całej obsługi budynku, w którym mieszkała — portier rzucający się, żeby otworzyć drzwi, windziarz, który opanował raptem umiejętność zatrzymywania windy równo z podłogą, i piętnaście nazwisk niewidocznych zupełnie pracowników, które obrodziły naraz na „liście świątecznej” wsuwanej pod drzwi przez dozorcę.

Brnięcie w deszczu. Na każdym rogu ludzie obładowani torbami z zakupami, bezskutecznie machający na taksówki, które śmigają, pyszniąc się napisem „po służbie”. Smętni mężczyźni w przebraniu Świętego Mikołaja potrzęsali maleńkimi dzwoneczkami w zaciśniętych kurczowo dłoniach: „Wesołych Świąt, pamiętajcie o potrzebujących.”

Przepychała się u Saksa — dom wariatów pełen srebrnych ozdób. Kaszmirowy szalik dla Davida, wciśnięcie się do windy na trzecie piętro po torbę od Pucciego dla Lindy, którą ta natychmiast zwróciła („January, mówiłam ci z milion razy, że teraz w modzie jest Gucci, nie Pucci”). Przynajmniej z Mikiem było łatwo — dwa tuziny piłek golfowych opatrzonych jego imieniem. Ale Dee! Co może kupić Dee? Było to jeszcze wtedy, zanim się dowiedziała, iż kryształowe soplek lodu na jej choince pochodziły od Stenberga. Przecież nie perfumy, miała ich pełną szafkę i w Palm Beach, i w hotelu Pierre, a w Marbelli na pewno też. Sprzedawczyni u Bonwita proponowała jakiś śmieszny prezent, na przykład czerwone, flanelowe pantofelki. Ostatecznie rozwiązała problem kupując w sklepie na Madison Avenue importowane jedwabne chusteczki do nosa. Dee zawsze je może komuś oddać w prezencie.

BOŻE NARODZENIE W PALM BEACH!

Choinka wysoka na dwanaście stóp! Masywna, błyszcząca srebrnymi bombkami i kryształowymi soplami. Wyrwany ze swego świata olbrzym — w oszklonym pokoju z widokiem na basen. Stała jak gniewny wartownik. Pozbawiana korzeni, zdeorientowana. Chłodnym srebrnym milczeniem protestowała przeciwko tropikalnemu otoczeniu.

Mike, opalony i przystojny, oraz Dee, biała i piękna. Przyjęcia, tryktrak, plotki. Dziesięciodniowe przedłużenie Święta Dziękczynienia. Chodziła z Mikiem na wyścigi i chciało jej się płakać nad tym, jak podupadł, podchodząc bowiem do okienka płacił dziesięć dolarów za zakład, a pamiętała dawne czasy, kiedy podnosił słuchawkę i stawiał pięć tysięcy na jedną gonitwę. Tak, pamiętała, on zresztą też. Po pierwszym przyjęciu wszystkie inne wydawały się replikami tamtego. Było też przyjęcie niespodzianka, które Dee wydała z okazji dwudziestych pierwszych urodzin January. Pięć tysięcy dolarów na kompozycje kwiatowe, parkiet pokrywający basen olimpijskich rozmiarów, dwie orkiestry — jedna na świeżym powietrzu i druga w środku. David przyjechał, by uczcić święto, tańczyli razem i odegrali specjalnie dla Dee kawałek pod tytułem Witajcie, młodzi kochankowie. Gośćmi byli ci sami ludzie, których widywała przez cały weekend, było ich jedynie więcej niż zwykle. Każdy przyniósł January tylko „drobny prezencik” spośród zbywających mu podarunków gwiazdkowych (do końca życia nie zabraknie jej już jedwabnych szalików). Niektórzy przyciągnęli ze sobą córki o zapadłych policzkach lub małomównych synów. I jak zwykle wszędobylscy fotografowie robiący zdjęcia tym samym ludziom, których fotografowali na poprzednim przyjęciu i których będą fotografować na

NOWY JORK — I JUŻ PO ŚWIĘTACH!

Pierwszy karaluch znaleziony w sedesie. Pewnie, że martwy, ale co z jego krewniakami? Na pewno nie był samotnym starym kawalerem.

Telefon w szaleńczym strachu do Lindy: — Spokojnie, January, pełno ich w Nowym Jorku. Zadzwoń do dozorczy, dałaś mu na gwiazdkę piękny prezent, niech zawoła faceta zajmującego się dezynsekcją.

Gospodarz podziękował za dwadzieścia dolarów, ale wyjaśnił, że człowiek odpowiedzialny za dezynsekcję wyjechał na święta do Puerto Rico i nie będzie go przez dziesięć dni.

Była kilkakrotnie na randce z Davidem. Za każdym razem dołączali do innej pary czy całej grupy w Raffles albo Le Club, gdzie muzyka zagłuszała wszelką rozmowę, toteż wszyscy tańczyli, uśmiechali się i machali do siebie z drugiego końca sali. Pewnego wieczoru David odwiózł ją do domu i odesłał taksówkę. Przez chwilę stali przed domem. Zapadła krepująca cisza, którą przerwał David.

— Czy nie zechcesz mnie zaprosić w końcu na górę, abym zobaczył mój kwiatek?

— Och, rośnie bardzo ładnie. Podobno powinnam go przyciąć na wiosnę. Para leciała jej z ust, gdy oddychała na chłodnym powietrzu. Znowu

zapanowała niezręczna cisza. Po chwili January dodała: — Posłuchaj, Davidzie, lubię cię, naprawdę, ale to, co zaszło tamtej nocy, było pomyłką. A więc, jak mówią w filmach: „Bądźmy przyjaciółmi.”

— Nie mam zamiaru cię gwałcić — uśmiechnął się David.

— Również cię lubię, bardziej niż lubię. Ja... ja... w tej chwili właśnie zamierzam, a poza tym nie mieliśmy okazji przez cały wieczór porozmawiać.

Zdziwiła się, dlaczego ten wieczór powinien różnić się od innych.

— Dobrze, ale to jest tylko jeden duży pokój.

Gdy jechali windą, znowu zapadła nieprzyjemna cisza, absolutnie nic, i z jakiegoś niejasnego powodu poczuła się zakłopotana. Gdy otwierała drzwi, przyłapała się na tym, że trajkocze nerwowo.

— Nie jest tu zbyt czysto, bo mamy z Lindą wspólną służącą, która prowadzi burzliwe życie miłosne. Zwykle przychodzi pochlipując, z podbitym okiem. Oczywiście kiedy wszystko układa się jej dobrze, bo jak idzie źle, po prostu się nie pokazuje. Linda mówi, że oznacza to, iż on sobie poszedł, a ona siedzi w domu, pije i czeka na niego.

— Wiedziała, że David ma gdzieś jej służącą. — No, oto moje mieszkanie. Spójrz na swoje drzewko, podrosło o dwa cale i ma trzy nowe gałązki.

— Dlaczego się jej nie pozbędziesz? — spytał stojąc sztywno na środku pokoju.

— Czego się pozbyć?

— Służącej.

— Och, wiesz, Linda ma głębokie zrozumienie dla każdego, kto nie ma szczęścia w miłości, a ja mam z kolei zrozumienie dla każdego, kto potrafi przetrzymać te wszystkie podbite oczy.

Usiadła na kanapie, David zaś ulokował się obok niej w klubowym fotelu z rękami wsuniętymi między kolana i patrzył w podłogę.

— January... chcę z tobą porozmawiać o... — spojrzał w górę. — Czy to musi być zapalone?

— A co? Nie podoba ci się lampa Bailey'a od Tiffany'ego?

— Te światła sprawiają, że czuję się jak w kręgielni. Poderwała się i wyłączyła górne światło.

— Czym mogę cię poczęstować? Winem? A może colą? Nie mam nic innego.

— Usiądź, January, nic nie chcę. Chcę porozmawiać o nas.

— Okay, Davidzie. Usiadła cicho i czekała.

— Podejrzewam, że rozmyślasz o mnie... o nas — zaczął. — No cóż,

miałem pewne kłopoty osobiste...

January uśmiechnęła się do niego.

— Powiedziałam ci już, Davidzie, że jesteśmy przyjaciółmi i nie musisz mi się tłumaczyć.

Wstał i sięgnął do kieszeni po papierosa. Nagle odwrócił się i spojrzał jej prosto w oczy.

— Nie jesteśmy przyjaciółmi. Ja... kocham cię. Tej nocy mówiłem jak najbardziej poważnie. Będziemy małżeństwem, ale jeszcze... jeszcze nie teraz. Jest coś, co muszę skończyć. Chodzi o interesy. Będę ci bardzo wdzięczny, jeżeli nie powiesz nic Dee. Martwi się, gdy słyszy o moich kłopotach w pracy — spróbował się uśmiechnąć, ale zrezygnował. — Dee chce mi matkować. Kocham ją za to, ale wolę, żeby się cieszyła twoim ojcem. To naprawdę wspaniały facet, a ja potrafię sam sobie poradzić z moimi problemami. A więc zaufaj mi, January, zaufaj i bądź cierpliwa. W końcu na pewno się pobierzemy. Będziesz o tym pamiętać?... Nawet wtedy, gdy nie zawsze zadzwonię?

Patrzyła na niego i powoli pokręciła głową.

— Dobrze sobie! Fascynujesz mnie, naprawdę. To znaczy, ile razy mam ci powtarzać, że ja nie mam zamiaru wychodzić za ciebie za męża? Jeżeli poczujesz się dzięki temu trochę lepiej, dam ojcu i Dee do zrozumienia, że bardzo często się spotykamy.

Spojrzał na nią ze złością.

— Dlaczego sądzisz, że zależy mi na ich zdaniu?

— Bo tak jest. A zresztą mnie też tak będzie wygodniej. Dopóki naprawdę widzimy się od czasu do czasu, a oni myślą, że... no cóż, że to coś stałego... czemu nie?

Opadł na fotel i patrzył przed siebie. Wyglądał jak wielka gumowa zabawka, która nagle zaczęła przeciekać. Widziała niemalże, jak uchodzi z niego powietrze.

— To taki parszywy moment — westchnął. — Chcę powiedzieć, że mogłoby nam być ze sobą wspaniale. — Przez chwilę patrzył w podłogę, potem podniósł głowę i zdobył się na uśmiech. — Wiesz co? Dobry z ciebie dzieciak, January. Okay, jeżeli to ci w czymś pomoże, niech uważają, że się często spotykamy. A gdy troszkę wy dorosłejesz, myślę, że będzie nam razem po prostu świetnie. Po prostu świetnie.

Zadzwonił do niej pod koniec tygodnia informując, że wyjeżdża do Kalifornii na spotkanie doradców do spraw inwestycji, o którym wspominał już wcześniej. Nie była wcale pewna, czy coś takiego ma w ogóle miejsce, wiedziała natomiast, że Karla przyleciała właśnie do Los

Angeles z Europy trasą nad biegunem. Jak zwykle gazety opublikowały zdjęcia aktorki zasłaniającej twarz czasopismem, by uniknąć fotoreporterów. W jednej napisano nawet, że przyjechała na spotkanie z Sonią Kinellą, bogatą włoską poetką-dyletantką z wyższych sfer. Były starymi przyjaciółkami jeszcze z czasów, gdy Karla kręciła pierwsze filmy. January brakowało jednak czasu na rozmyślanie o Davidzie i Karli. Thomas Colt miał się zjawić w mieście piątego lutego, by wziąć udział w wielkim przyjęciu, które urządzili wydawcy z okazji publikacji jego książki. Do tego dnia pozostał niecały tydzień i teraz, gdy January siedziała w ten ponury lutowy poniedziałek popijając letnią kawę, Linda wściekała się na Ritę Lewis, która nie odpowiedziała na żaden telefon. — Łączyłam się z nią pięć razy w ciągu ostatnich trzech dni — powiedziała rzucając słuchawką. — Rozmawiałam nawet z sekretarką Lawrence'a.

— Kim jest Lawrence?

— To sam wydawca. Powiedziałam, że „Gloss” nie dostał zaproszenia na przyjęcie w St. Regis, i spytałam, czy to przeoczenie, a ona odparła mi przybierając ton „osobistej sekretarki pana prezesa”: „No cóż, panno Riggs, nie jest to przyjęcie dla prasy. Och, na pewno będą jacyś dziennikarze, ale tak naprawdę ma to być raczej powitanie pana Colta. Będzie na nim burmistrz... same najznakomitsze osobistości. Dala mi wyraźnie do zrozumienia, że „Gloss” się nie liczy, bo nie jest dostatecznie elegancki. Zakończyła obietnicą, że przekaże Ricie moją prośbę.

- No cóż, mamy jeszcze cztery dni — powiedziała z optymizmem January — Może zadzwoni.

Minęły cztery dni i ani słowa. January siedziała w gabinecie Lindy i próbowała ją pocieszać.

~ No, Lindo, Tom Colt będzie przecież jakiś czas w Nowym Jorku. Musi być inny sposób, by go złapać.

Linda tylko westchnęła i spojrzała w szare niebo.

Nadal pada deszcz?

Nie, tym razem śnieg — odparła January.

To dobrze — ucieszyła się Linda — mam nadzieję, że będzie zadymka, i może wtedy połowa ludzi się nie pokaże, a druga połowa będzie mokra i w podłym nastroju. Prawdę mówiąc, January, każdy, kogo znam i kto choć raz spotkał twojego ojca, twierdzi, że cudownie się z nim pracowało, mówi, jaka to barwna postać... Wszyscy go uwielbiali z wyjątkiem Toma Colta.

Może byli dla siebie zbyt silni, a może po prostu Tom Colt jest Tomem Coltem. Posłuchaj, w listopadzie napisałam do niego list. Nie wspomniałam o moim pokrewieństwie z Mikiem, bo wiedziałam, że to by nas załatwiło. Podpisałam się po prostu J. Wayne. Dwa tygodnie później wysłałam kolejny list. Gdy również nie otrzymałam odpowiedzi, zadzwoniłam do Jaya Allena, agenta prasowego Colta w Los Angeles. Jay robił coś kiedyś dla mojego ojca, był więc bardzo miły i dał mi adres rezydencji Toma nad morzem. Napisałam tam — i nic! Potem wysłałam mu kartkę świąteczną z dopiskiem: „Mam nadzieję, że spotkamy się, gdy będzie pan w Nowym Jorku.” Trzy tygodnie później wysłałam kolejny ciepły list, w którym napisałam, że czytałam odbitki szczotkowe i wiem, że ma bestseller. — January pochyliła się w stronę koleżanki: — Lindo, bądź realistką. Tom Colt nie przybył na ceremonię rozdania Oscarów, gdy nagradzano film, który Mikę nakręcił na podstawie jego powieści. Film zdobył Oscara w pięciu kategoriach. Tom oczywiście nie napisał scenariusza, to było poniżej jego godności. Zaczynasz już chyba pojmować, jakim jest snobem. Mikę powtarzał mi, że wszyscy go prosili, ale odmówił. Wiesz dlaczego? Powiedział, że jest poważnym pisarzem, a nie częścią cyrku. Dodał też, że nie ma nic wspólnego z tym nabijającym kasę komercyjnym filmem, który Hollywood zrobił z jego książki. Dlaczego więc, do licha, łudzimy się, że zgodzi się na artykuł u nas? Linda pokiwała powoli głową.

— To wszystko prawda. Kto by zatem uwierzył, że zgodzi się na tournée reklamowe? To dopiero jest prawdziwy cyrk! Zapewne nie wie, w co się angażuje. A jeśli chodzi o reklamę w prasie, to z pewnością nigdy o niej nie słyszał w kontekście poważnej powieści. Och, głowę daję, że spodziewa się, iż „Life”, „Time” czy „Newsweek” zamieszczą o nim artykuły, ale „Gloss”? Prawdopodobnie nawet o nim nie słyszał albo myśli, że to nowy gatunek pasty do zębów. Ja jednak nie zrezygnuję, nawet gdybym musiała go tropić jak pies gończy. Zdarzyło mi się to raz z doktorem Bławaćkiem z Jugosławii. Tropiłam go i w końcu dopadłam jako pierwsza. Artykuł o nim pomógł mi w awansie na redaktora naczelnego. January, „Gloss” jest całym moim życiem! Rosnę razem z nim i dlatego muszę dostać Toma Colta. Muszę!

Linda miała teraz zawziętą minę i cała krew odpłynęła jej z twarzy. Potem westchnęła.

— Artykuł o doktorze Bławaćku podniósł moje akcje u wydawcy „Glossu”. Do tej pory uganiałam się za artykułami napędzającymi nakład i ogłoszenia. Teraz czas, abym zabiegała o artykuły, które wyniosą „Gloss”

w oczach klienteli. Jeżeli dostanę wywiad lub artykuł o Tomie Colcie, to „Gloss” stanie się naprawdę całkiem poważnym pismem. Dlatego nie przyjmuję żadnego „nie”. Pewnie, że Colt będzie jakiś czas w Nowym Jorku, ale „Gloss” musi go dopaść jako pierwszy, dlatego bardzo by mi pomogła obecność na tym koktajlu. Tom leci na ładne dziewczyny. Właśnie dlatego Rita Lewis mnie nie zaprosiła. Nie chce, aby w „Glossie” był o nim artykuł, bo zależy jej na czymś literackim. Woli raczej dać jeden akapit w „The New York Review of Books” niż artykuł okładkowy u nas. Dlatego chcę iść na to przyjęcie. Myślę, że gdyby nas zobaczył... umiałybyśmy go przekonać.

— A więc chodźmy — odparła January.

— Mamy tam wtargnąć?

— Czemu nie? Linda pokręciła głową.

— To zbyt poważne przyjęcie. Z taką pierwszorzędną listą gości na pewno ktoś będzie stał przy wejściu i sprawdzał każde nazwisko.

— Spróbujmy — nie dawała za wygraną January. — Ubierzemy się w najlepsze ciuchy, wynajmiemy limuzynę i pojedziemy...

— Wynajmiemy limuzynę? January, kapitalny pomysł!

— To jedyny sposób. Przy takiej pogodzie nie będzie taksówek w zasięgu wzroku. Wszyscy przyjadą, tak jak przewidujesz, przemoknięci i trochę zmachani. Jeżeli już mamy się tam wdrzeć, to zrobmy to w dobrym stylu. Linda zaśmiała się nerwowo.

— I naprawdę myślisz, iż limuzyna przyda nam takiego stylu, że się uda?

— No cóż, Ernest Hemingway zdefiniował kiedyś styl jako grację w trudnej sytuacji. A przybycie w limuzynie jest na pewno dobrym posunięciem.

Przyjęcie urządzono w małej sali balowej. Sądząc po wrzawie, pogoda nie zdołała nikogo odstraszyć. Ludzie wysypywali się do holu tworząc hałaśliwe grupki. Długa lista nazwisk zaproszonych gości w porządku alfabetycznym poniewierała się na stole za drzwiami. Linda miała słusność mówiąc, iż najlepiej będzie przyjechać późno. Po sprawdzeniu VIP-ów pilnujący drzwi dali nura do środka, by otrzeć się o różne znakomitości i załapać na darmowego drinka.

Linda wraz z January przecisnęły się do głównej sali. January rozpoznała kilku pisarzy, dziennikarzy, parę gwiazd z Broadwayu, kilka osobistości z Hollywoodu i zwykłych nałogowych bywalców przyjęć.

Na końcu sali był bar, przy którym od razu zauważyła Toma Colta. Był znacznie przystojniejszy niż na obwolucie swej książki. Miał muskularną twarz, ciemne włosy, rysy boksera. Wyglądał na człowieka, który

osobiście doświadczył sporej części gwałtów i przygód, o których pisał.

— Przeraza mnie — szepnęła January.—Jak chcesz, to podejdź do niego, ja wolę tu zostać i popatrzeć.

— Jest wspaniały — odpowiedziała również szeptem Linda.

— Pewnie, tak samo wspaniały jest grzechotnik w szklanej klatce.

Chciałam powiedzieć, Lindo, że takiemu facetowi nawet nie ma co wspominać o „Glossie”.

— Ja jednak spróbuję, a ty pójdziesz ze mną. No chodź. Złapała January za rękę i pociągnęła ją poprzez tłum w stronę baru.

Tom Colt był otoczony grupą wielbicieli, która zdawała się go osaczać. Stał sztywno wyprostowany, a naprzeciwko niego butelka Jack Daniela, z której sam sobie nalewał. Upił spory łyk i patrzył na niedużego, pulchnego człowieczka, który pięć lat temu napisał bestseller. Choć od tamtej pory już nic nie stworzył, nadal robił karierę uczestnicząc w różnych programach publicystycznych i chodząc na oficjalne przyjęcia, a poza tym się rozpił. W pewnej chwili złapał Toma swą grubą dłonią za rękę.

— Czytałem wszystko, co pan napisał — zapiszczał. Mlasnął z zachwytem i wznosił oczy ku niebu. — Mój Boże, uwielbiam pana książki. Niech pan tylko nie da się wciągnąć w tę pogoń za pieniędzmi w telewizji. Proszę zobaczyć, jak się przez nią skurwiłem — zachichotał. Tom Colt wyswobodził się z jego uścisku i rozejrzał wokoło. Z jego ciemnych oczu wyzierała wściekłość, gdy lustrował pospiesznie tłum. Nagle zatrzymał wzrok na January i Lindzie.

— Przepraszam — powiedział do pulchnego pisarza — ale właśnie weszły dwie moje kuzynki z Iowa. Całą drogę przebyły autobusem. Wziął oszołomione dziewczęta za ręce i poprowadził je w drugi koniec pokoju.

— Dzięki Bogu za was, bez względu na to, kim jesteście. Byłem uziemiony przez tego nudziarza już od dwudziestu minut i nikt nie przyszedł mi z pomocą, bo wszyscy sądzili, że się świetnie bawię. Linda patrzyła na niego rozanielona, January natomiast czuła, że ten mężczyzna ją przytłacza. Próbując oswobodzić się z jego uchwytu, powiedziała: — Cieszę się, że mogłyśmy panu pomóc i...

W Lindę wstąpiło nagle życie.

— A teraz pan może pomóc nam. Oczy Toma się zwięziły.

— Czuję, że lepiej bym zrobił zostając przy barze.

— Nazywam się Linda Riggs, jestem redaktorem naczelnym magazynu

„Gloss”, a to January Wayne, mój młodszy redaktor. Parokrotnie pisała do pana prosząc o wywiad.

Tom zwrócił się do January.

— Święty Boże, to pani jest tą J. Wayne z listów i kartek świątecznych? Pokiwała głową i poczuła, że się z jakiegoś niezrozumiałego powodu czerwieni. Tom roześmiał się, jakby w jego słowach był ukryty żart.

— A więc to pani jest J. Wayne. — Znowu wybuchnął śmiechem. — A ja przez cały czas myślałem, że listy pochodzą od jakiegoś chudego pedała. No cóż, cieszę się, że panią poznałem, panno J. Wayne, i cieszę się, że nie jest pani pedziem, ale jeśli chodzi o wywiad, to nie. Mój wydawca ma już zbyt wielu czekających w kolejce. — Odwrócił się i znowu popatrzył na nią. — Ale dlaczego J. Wayne? Czy to ma coś wspólnego z tymi feministycznymi wygłupami? Gdybym wiedział, że jest pani dziewczyną, może bym odpisał.

— No cóż, January Wayne również nie dałoby panu żadnej wskazówki co do mojej płci.

— Rzeczywiście, to takie zwariowane imię. Jest... — Przerwał, a potem wycelował w nią oskarży cielsko palec. — Nie jest pani przypadkiem córką tego skurwysyna ?i??? Wayne'a?

January chciała już odejść, ale Tom pociągnął ją za rękę.

— Proszę posłuchać, spieprzył dokładnie jedną z moich najlepszych książek.

— Jak pan śmie mówić w ten sposób o moim ojcu! Dostał za ten film nagrodę Akademii.

— January! — szepnęła prosząco Linda.

— Niech się powścieka — zaśmiał się Tom Colt. — Mam półrocznego syna i liczę, że pewnego dnia, gdy ktoś napadnie na książkę jego staruszka, też stanie w mojej obronie. — Uśmiechnął się i wyciągnął do niej rękę. — No jak, zgoda?

January spojrzała i również wyciągnęła rękę. Tom objął je ramionami.

— Okay, skoro już jesteśmy przyjaciółmi, urwijmy się stąd we trójkę. Gdzie możemy pójść, by wypić w spokoju parę głębszych?

— Może do Elaine — zaproponowała Linda. — Chodzi tam wielu pisarzy i...

— Tak, słyszałem, ale nie dzisiaj. Ten mały eunuch przy barze powiedział mi, że zakończy wieczór w Elaine. Chodźmy do Tootsa!

— Gdzie? — spytała Linda.

— Toots Shor's, jedyne miejsce, gdzie można zdrowo popić. Ruszył ku drzwiom obejmując je nadal ramionami. W tym

momencie podbiegła do niego zaniepokojona młoda kobieta z długimi przetłuszczonymi włosami.

— Panie Colt, gdzie pan idzie?

— Wychodzę.

— Ależ nie może pan wyjść. Ronnie Wolfe jeszcze nie przyjechał i... Tom pogłaskał ją po głowie.

— Spokojnie, prasowa damo, zrobiła pani kawał dobrej roboty. Alkohol się leje, a ja byłem tu dwie godziny i rozmawiałem ze wszystkimi, z którymi mnie pani umówiła. Miałem być na przyjęciu dla prasy, ale nikt nie powiedział, jak długo. Aha, czy pani zna moje kuzynki z Iowa?

— Znam Ritę Lewis — powiedziała Linda z nie ukrywaną radością. — Co prawda nigdy nas sobie nie przedstawiono, ale na pewno zauważyła, że w tym tygodniu kilka razy zostawiłam jej wiadomość.

— Powiedziałam sekretarce, żeby wysłała pani zaproszenie — stanęła na wysokości zadania Rita. — Widzę, że je pani otrzymała.

— Nie — odparła January radośnie — weszliśmy tutaj bez zaproszenia.

— Ale może to pani jeszcze naprawić — dodała Linda. — Chcemy tylko zrobić wnikliwy wywiad z panem Coltem i dajemy pani na to okładkę.

— Nic z tego — odparła Rita Lewis — pan Colt ma już ustalone spotkania na cały tydzień we wszystkich ważniejszych czasopismach, poza tym z Associated Press i United Press International.

— Ale nasz artykuł będzie inny — prosiła Linda.

— Tak — dodała January. — Oprzemy go na jego innych wywiadach, na przykład dla telewizji, zrobimy reportaż zza kulis, pojedziemy z nim nawet do innych miast.

— Wybijcie to sobie z głowy — odparła Rita. — Nie chcę, żeby znalazł się w „Glossie”. — Popatrzyła na Lindę i dodała: — I proszę go nie dręczyć rozmowami telefonicznymi.

Tom Colt, który cały czas obserwował ten pojedynek słowny jak mecz tenisowy, przerwał jej nagle: — Zaraz, zaraz, kim pani jest? Hitlerowskim komendantem, że będzie pani broniła ludziom dzwonić do mnie?

— Oczywiście, że nie, nie o to mi chodzi. Po prostu znam upór Lindy i jestem pewna, że dobrze wyszkoliła January. Rzecz w tym, że mamy ustalony harmonogram i nie ma w nim miejsca dla „Glossu”. Nic mnie nie obchodzi, co pan będzie z nimi robić w wolnych chwilach, ale nie może im pan udzielić wywiadu. Mam umowy, które mogą zostać zerwane, jeżeli pozwoli im pan o sobie napisać.

Spojrzał srogo na swojego rzecznika prasowego.

— Posłuchaj, kochanie, ustalmy to na samym wstępie. Może mnie pani

umawiać i przetrzymam to wszystko jak miły tresowany piesek. Zawarłem umowę, a ja zawsze dotrzymuję słowa. Ale proszę mi nigdy nie mówić, czego nie mogę zrobić. — Objął opiekuńczym gestem January. — Znam tę dziewczynę od dziecka. Jej ojciec jest moim serdecznym przyjacielem i zrobił cholernie dobry film na podstawie jednej z moich książek, a pani ma zamiar tu stać i mówić mi, że nie mogę udzielić wywiadu jej gazecie? Rita Lewis popatrzyła na Lindę błagalnym wzrokiem.

— No cóż... ale proszę, żeby był krótki, Lindo, proszę. Inaczej stracę „McCall's" i „Esquire". Żadnych dociekliwych wywiadów, żadnego łożenia za nim...

— Mogą jechać za mną, gdzie zechcą — wrzasnął Tom. — Ale na razie idziemy popić.

Potem wziął obie dziewczęta za ręce i pociągnął je za sobą.

January otworzyła powoli oczy. Spała w fotelu. Dlaczego nie rozłożyła łóżka? Dlaczego jest w ubraniu? Wstała, ale podłoga zaczęła się pochylać jak zwariowana. Z powrotem opadła na fotel. Była siódma rano, spała więc zaledwie dwie godziny.

Podniosła się i z trudem zdjęła ubranie. Dla utrzymania równowagi kilkakrotnie musiała się chwycić fotela. Udało jej się rozłożyć łóżko, a potem rzuciła się pędem do łazienki i zwymiotowała. Wróciwszy do pokoju, opadła w poprzek łóżka. Napłynęło do niej wspomnienie wydarzeń minionego wieczoru, nagłej zmiany uczuć Toma wobec ojca, wyjście we trójkę z St. Regis i załamania Rity Lewis, rzucającej bezradnie wściekłe spojrzenia, zdziwienia Toma na widok ich własnej limuzyny. Spodobał mu się ten pomysł. Powiedział, że jeszcze nigdy nie słyszał, by ktoś wynajmował limuzynę, aby bez zaproszenia dostać się na przyjęcie. Potem jego wejście do Toots Shor's, Toots poklepujący Toma po plecach, honorowy stolik. Ani razu nikt nie wspomniał o jedzeniu, cały czas był tylko Jack Daniel. Gdy Tom powiedział, że nie może się z nim przyjaźnić ktoś, kto nie pije Jacka Daniela, zawahały się z Lindą na chwilę, ale szybko oznajmiły, że przepadają za burbonem.

Pierwszy kieliszek January przełknęła z trudem, lecz drugi poszedł już o wiele łatwiej, trzeci zaś przyniósł dziwną jasność umysłu i cudowne uczucie życzliwości. Kiedy Tom pochylił się i pocałował każdą w policzek, nazywając je swoją Czekoladką i Wanilią (January zachowała jeszcze opaleniznę z Palm Beach, a Linda zrobiła sobie w tym miesiącu jasne pasemka), January poczuła, że są trójką wesołych kumpli. Do ich stolika napływali ludzie, było jeszcze więcej poklepywania po plecach — „Siadaj, stary capie" (to Toots), przysiadali się dziennikarze sportowi

znający ?i???, Tom napełniał każdemu kieliszek. O północy Tom chciał koniecznie wpaść do „21” na kieliszeczek przed snem. Byli na zamknięciu klubu, a potem powędrowali do „PJ-” Clarka. Wyszli stamtąd, zataczając się, o czwartej nad ranem — to jeszcze pamiętała. Pamiętała też, jak wchodziła z Lindą chwiejnym krokiem do holu chichocząc wesoło. Poza tym wszystko, co zostało powiedziane bądź zrobione od wizyty w „P.J.”, było spowite mgłą.

Chwiejnym krokiem powędrowała do łazienki i zażyła aspirynę. Potem udało jej się wrócić do łóżka. Gdy zamknęła oczy, pokój zaczął wirować. Otworzyła je i spróbowała zatrzymać wzrok na jakimś nieruchomym przedmiocie — na lampie Baileya. Chyba w końcu usnęła, nagle znalazła się bowiem w samym środku jakiegoś snu. Zdawała sobie sprawę, iż śni, a z drugiej strony spała na tyle głęboko, że nie mogła przerwać marzenia. Pochylał się nad nią jakiś mężczyzna i miał ją właśnie wziąć. W każdej chwili mógł w nią wejść, a mimo to nie wpadła w popłoch. Pragnęła go, choć jego twarz była jedynie rozmazaną plamą. Przyjrzała się uważniej — to Mike. Gdy jednak dotknął jej ust, uświadomiła sobie, że to Tom Colt, tyle że jego oczy nie były czarne jak Toma, a niebieskie, choć nie takie jak oczy ?i??? — miały barwę akwamaryny. Wyciągnęła do niego ręce i... nagle się obudziła. Leżała z twarzą w poduszce i starała się dojść, czyja to była twarz — ?i??? czy Toma, ale pamiętała jedynie ten dziwny kolor oczu.

Zmusiła się, by znowu zasnąć i odnaleźć te same oczy. Tym razem zapadła jednak w spokojny sen bez marzeń, z którego wyrwał ją telefon. Dzwoniła Linda.

— Wstałaś już, January?

Czuła pulsowanie z tyłu głowy, na szczęście żołądek doszedł już jakoś do siebie.

— Która godzina? — spytała powoli, bojąc się zrobić jakikolwiek gwałtowny ruch.

— Jedenasta, i mam cholernego kaca.

— Czy to jest to, co ja też czuję? Myślałam, że umieram.

— Napij się mleka.

— O Boże — January złapał nagle atak mdłości.

— Posłuchaj, zjedz kawałek chleba i napij się mleka. Natychmiast! To wchłonie resztę alkoholu. Zrób, co ci mówię, a potem zadzwoń do mnie.

Musimy opracować plan.

— Jaki plan?

- Co dalej z Thomasem Coltem.
 - O Boże, musimy?
 - Powiedziałaś wczoraj, że go uwielbiasz.
 - To chyba po tym, jak poznałam się bliżej z jego przyjacielem, Jackiem Danielem.
 - Dziś nie będziemy tego robić.
 - Czego?
 - Pić. Jak gdzieś z nim pójdziemy. Stanowczo odmówimy i będziemy sączyć tylko szkocką. On może pić, co mu się żywnie podoba, ale my musimy być trzeźwe, jeżeli chcemy coś o nim napisać. Nie powiemy mu tego, po prostu nie będziemy dotrzymywać mu kroku w picciu.
 - A tak właśnie było wczoraj?
 - Próbowaliśmy, i to cholernie dobrze.
 - Lindo, zaraz zwymiotuję.
 - Zjedz kawałek chleba. Wrzucę na siebie jakieś spodnie i przyjdę do ciebie. Opracujemy strategię działania.
- January przełknęła z trudem pół szklanki mleka i patrzyła, jak Linda szykuje kawę. W końcu koleżanka rozsiadła się z radosnym uśmiechem w fotelu.
- A teraz wyprostuj się, wróć do życia, musisz zadzwonić do Toma Colta.
 - Dlaczego ja?
 - Bo choć miałam zamiar pójść z nim wczoraj do łóżka, jestem dziwnie pewna, że dziś nie pamięta nawet mojego imienia, za to na dźwięk twojego zapali mu się w głowie światełko alarmowe. Musi, zwłaszcza po tym gorącym uczuciu miłości, którym zapalał nagle do twego ojca.
 - Nadal twierdzę, że wcale nie kocha do szaleństwa ?i???, był po prostu wściekły na Ritę Lewis, że wydaje mu polecenia.
- Linda zapaliła papierosa i piła małymi łykami kawę.
- January, ta kawa rozpuszczalna jest okropna. Powinnaś się nauczyć robić prawdziwą.
- January wzruszyła ramionami.
- Taka mi odpowiada. Linda pokręciła głową.
 - Ale nie będzie odpowiadać twojemu mężczyźnie.
 - Jakiemu mężczyźnie?
 - Temu, z którym się prześpisz. To jedyne, czego domagają się zwykle następnego dnia: porządnej kawy.
 - To znaczy, że ty też musisz im robić kawę?
 - Czasami nawet jajka, a jeśli twój facet ma fioła na punkcie zdrowej

żywności, tak jak Keith, to musisz mieć granolę albo jedną z tych orzechowo-rodzynkowych owsianek, do tego witaminę E i... o Boże, jak dobrze, że mam to już z głowy.

— Nie myślisz nigdy o Keicie? Nie brakuje ci go? Linda pokręciła głową.

— Po premierze Gąsienicy o mało nie wysłałam mu depechy, ale pomyślałam: do cholery z tym, to już skończone. Z uwagi na Keitha cieszę się, że sztuka jest hitem, bo w końcu płaci niezłe rachunki sypiając z Christiną. A poza tym trzeba takiego mężczyzny jak Tom Colt, aby uświadomić sobie, że Keith to tylko chłopczyk.

— Ale, Lindo, on ma żonę i półroczne dziecko!

— Jego żona i dziecko są na Wybrzeżu... a ja tutaj. No i wcale nie chcę go zabrać żonie i dziecku.

— To dlaczego za nim latasz?

— Ponieważ mnie podnieca... jest piękny... chcę się z nim przespać. Ty zresztą też, w każdym razie wczoraj wszystko rias to wskazywało.

— Naprawdę?

— January, powinnaś być spod znaku Bliźniąt, a nie Koziorożca. Siedzą w tobie dwie dusze. To znaczy, gdy pijesz, stajesz się kimś innym.

Wczoraj w nocy w „P.J.” obieśmy się z nim całowały na zmianę... To były prawdziwe głębokie pocałunki. Mnie nazwał Wanilią, a ciebie Czekoladką.

— Całował nas w „Pij.”?

— No właśnie.

— Naprawdę całował?

— Czułam jego język w gardle. Nie wiem jak ty.

— O Boże!

— A co było w drodze do domu?

— Co było? — January usiadła prosto.

— Wyciągnął rękę, wsunął ci ją od góry i powiedział: „Maleńkie cycusie, ale mi się podobają”.

January schowała głowę w poduszkę.

— Lindo, nie wierzę.

— Naprawdę... A potem pocałował moje i powiedział, że są naprawdę obłędne.

— A co robił szofer?

— Myślę, że patrzył w lusterko wsteczne, mało mu oczy na wierzch nie wyszły. Tyle, że oni podobno przywykli do wszystkiego łącznie z prawdziwym gwałtem.

— Lindo — powiedziała January słabym głosem — zaczynam sobie powoli przypominać. Gdy wsunął mi rękę pod bluzkę, wydało mi się to

wówczas najnormalniejszą rzeczą w świecie. O Boże, jak mogłam!

— Nareszcie stajesz się miłą, normalną dziewczyną.

— To znaczy, że jest się normalną dopiero wtedy, gdy pozwala się obmacywać ledwie poznanemu mężczyźnie na oczach drugiej dziewczyny?

— Och, przestań, nigdy w życiu nie zabawiałam się we trójkę. Jak jestem z mężczyzną w łóżku, zawsze czuję, że możemy robić wszystko, dopóki jesteśmy w nim tylko we dwoje. Wczoraj po prostu żartowaliśmy. Nie ma się czym denerwować.

January wstała z łóżka i przeszła przez pokój po papierosa. Palila powoli, wdychając dym głęboko, a potem zwróciła się do Lindy: —No dobra, wiem, że byłam z dala od tego wszystkiego, i wiem, że wiele się zmieniło, na przykład to, że nie musisz wychodzić za męża, by kogoś kochać lub iść z nim do łóżka. Wiem, że wszyscy tak dziś myślą, ale nikt nie powiedział, że ja muszę myśleć tak samo. Sądziłam, że jestem jakimś dziwakiem, bo tak długo byłam dziewicą. Wmówiłam w siebie, że zależy mi na Davidzie.

To było okropne. — Wzdrygnęła się i zgasła dopiero co zapalonego papierosa. — Lindo, chcę się zakochać. O Boże, jak bardzo tego chcę!...

Zgodzę się nawet z tym, że małżeństwo nie jest konieczne. Gdy jednak będę zakochana i mężczyzna, którego pokocham, będzie mnie dotykał, chcę, żeby było między nami coś wspaniałego, nie tylko dobra zabawa.

— January, jeżeli ludzie są nabuzowani, nieważne, czy po burbonie, winie czy marihuanie, to wszystko, co robią... czy czują, jest zwykle prawdziwe. Picie pozbawia człowieka hamulców. Jeżeli pozwoliłaś, aby Tom cię dotykał, i uznałaś to, jak sama mi powiedziałaś, za rzecz zupełnie naturalną, to znaczy, że w głębi duszy naprawdę c h c i a ł a ś, by to robił. January zapaliła drugiego papierosa.

— To nieprawda. Podziwiam jego książki, jego siłę... ale, na Boga, co też on sobie o nas myśli? Dwie dziewczyny, które wtargnęły nie proszone na przyjęcie, wożą go własną limuzyną, pozwalają mu na... — przerwała i zgasła papierosa. — Och, Lindo, co on sobie o nas myśli?

— January, przestań się zadrećcać tym, co on może myśleć. Nie zdajesz sobie sprawy, ile burbona wypił wczoraj i ile piersi pieścił? Na pewno już nawet nie pamięta tych twoich klejnocików. Ale na miłość Boską, jest już prawie południe. Zadzwoń do niego.

— Nie.

— Proszę, zrób to dla mnie. Niech zabierze gdzieś nas obie, a później, w środku wieczoru, możesz powiedzieć, że nie czujesz się najlepiej, i pójdziesz sobie. Tylko proszę cię, zatelefonuj. Naprawdę go pragnę... No

bo przecież nie ma drugiego takiego jak on, prawda? Czasami wygląda tak nędznie, ale gdy się uśmiechnie albo spojrzy ci w oczy, można umrzeć.

— Chcesz powiedzieć, że masz zamiar pójść do łóżka z Tomem Coltem, zdając sobie sprawę, że nie ma przed wami żadnej przyszłości, wiedząc, że ma udane małżeństwo...

— Co próbujesz mi wcisnąć? Poczucie winy? Mam chęć na Toma Colta, a on na mnie, co w tym złego, że spędzimy razem kilka cudownych wieczorów? Kogo skrzywdzimy? Nie ma tu „dobrych” sąsiadów, którzy będą się śmiać z biednej, niczego nie podejrzewającej żony, rozwieszającej pranie. Jego żona jest młoda i przepiękna, znosi niewygody życia w Malibu z niańką do dziecka i prawdopodobnie kilkoma sławami hollywoodzkimi w sąsiedztwie. Co jej zabieram? Nie ma jej tutaj, prawda? No to jak?... Zadzwońisz do niego?

— Nie, nie zadzwoniłabym, nawet gdyby nie miał żony.

— Dlaczego?

January podeszła do okna i podniosła rolety.

— Wygląda na to, że znowu pada śnieg. Dzięki Bogu, że wczorajsze paskudztwo się nie zachowało.

— Dlaczego nie zadzwoniłabyś do niego, nawet gdyby nie miał żony? — domagała się odpowiedzi Linda.

— Ponieważ... no... nie dzwoni się do mężczyzny. On powinien pierwszy to zrobić.

— Boże! Nie mogę wprost uwierzyć! Mówisz jak bohaterka z filmu Priscilli Lane: randki w sobotnie wieczory i bukietki gardenii przy sukience. Dziś kobiety nie siedzą i nie czekają, aż mężczyzna zadzwoni, a poza tym Tom Colt nie jest zwykłym mężczyzną. To supergwiazdor, a my piszemy o nim artykuł. — Podniosła słuchawkę i wykręciła numer hotelu Plaża. — Wiem, że w końcu będziemy musiały umówić go kilka razy z tą bestią, Sarą Kurtz, aby uchwyciła jego styl... Dzień dobry, poproszę z panem Coltem.

— Dlaczego Sarę Kurtz? — spytała January.

— Ponieważ jest to najważniejszy artykuł, jaki kiedykolwiek miał „Gloss”, a ona najlepiej pisze... Dzień dobry... słucham?... Och... dzwoni panna January Wayne!... Tak, January... tak jak nazwa miesiąca.

— Lindo!

— Dzień dobry, panie Colt... Nie, to nie January. Mówi Linda Riggs, ale January siedzi tu koło mnie... Tak, świetnie się czujemy. Tak, troszkę... Och cóż, obie chcemy się z panem zobaczyć... Kto? Hugh Robertson? Serio?... Świetnie, jesteśmy zachwycone... Dobrze. U pana o siódmej...

Dziesiąte piętro... — Nabazgrała w bloku listowym numer pokoju. — Przyjdziemy. — Odłożyła słuchawkę z pięknym uśmiechem. — Przychodzi do niego dziś po południu na drinka Hugh Robertson. Pójdziemy później razem na obiad. Tom przyśle po nas limuzynę. — Dlaczego zwracałaś się do niego „panie Colt”? — spytała January. — Głupie to, ale nagle się przestraszyłam. Mówił z początku takim zimnym głosem, ale dziś po dwóch drinkach znowu będzie Tommy. I wyobraź sobie, że mamy jeszcze Hugh'a Robertsona na dokładkę. Ciekawe, jak to jest, kiedy się kocha z astronautą? — Wygląda na to, że będziesz miała szczęście — odparła January. — W końcu Hugh Robertson jest rozwiedziony. — Ty bierzesz Hugh'a, ja chcę Toma. — Dlaczego odrzucasz Hugh'a? — spytała January. — On też jest supergwiazdorem, to znaczy był na okładce „i?” i „Newsweeku”. — Posłuchaj, January, nie jestem fanatyczką gwiazd. W zasadzie nigdy nie pieprzyłam się z gwiazdorem, a coś dopiero z supergwiazdorem. Keith załapał się do Gąsienicy, kiedy już skończyliśmy ze sobą, a zresztą nadal nie jest gwiazdą. Nigdy nawet nie wspominają o nim w recenzjach. Więc jak mówię, że chcę Toma Colta, to znaczy, że go chcę, bo ma w sobie coś wyjątkowego... to znaczy, że podniecałby mnie, nawet gdyby był bezrobotnym księgowym. Jest taki silny... taki niezależny, a przy tym czasami jest w nim jakaś delikatność i melancholia. Nie zauważyłaś tego? — Nie, niestety, absorbował mnie zbyttno Jack Daniel, a po nim nie byłam w stanie widzieć niczyich oczu. Obiecuję, że dziś się przyjrzę. — Nie, dziś będziesz patrzeć w oczy Hugh'a Robertsona. Z Tomem będę jadła śniadanie w łóżku w hotelu Plaża.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Przyjechały do hotelu Plaża pięć po siódmej, podekscytowane jak dwie uczennice na szkolnej wycieczce. Gdy weszły do holu, January stanęła bez ruchu — tyle tu było wspomnień. Linda pociągnęła ją do windy.

— Chodź, spóznimy się.

— Lindo, nie byłam tu od...

— January, to nie czas na wspomnienia o tatusiu. Myśl o terażniejszości! O Tomie Colcie, Hughu Robertsonie... Nie pamiętasz? — I wciągnęła ją do windy.

Drzwi otworzył Hugh Robertson. January poznała tę twarz ze zdjęć.

Przedstawił się i zaprosił je do środka.

— Tom rozmawia właśnie w sypialni przez telefon ze swoim agentem w Monachium o sprzedaży praw zagranicznych. Mam wam zrobić drinki. Nie mogę spytać, co chcecie, bo jak widzę, jest tylko Jack Daniel.

Linda przyjęła drinka, January jednak odmówiła. Podeszła do okna. To nie do wiary, Tom Colt w t?? apartamencie, w apartamencie, którym Mike dysponował na zasadzie całorocznego wynajmu. Nawet stół pod oknem był ten sam. Dotknęła go delikatnie, jakby liczyła na zmaterializowanie się jakiejś wizji. Ileż to razy tu siedziała i przyglądała się, jak Mike robi te swoje machlojki! Czasami dzwoniły wszystkie telefony naraz. Zrobiło się jej raptem nieswojo, bo teraz też dzwoniły wszystkie telefony, a Tom Colt wszedł do pokoju mówiąc: — Do diabła z nimi! Niech dzwonią... Jest sobota i nie muszę pracować.

Potem podszedł do January i ujął jej ręce.

— Witaj, księżniczko, dobrze się czujesz po wczorajszej nocy?

— Tak.

Nagle skrepowana i wytrącona z równowagi patrzyła, jak Tom idzie w stronę Lindy, by się z nią przywitać.

Poszli do klubu „21” — Tom był w miarę trzeźwy, a gdy spostrzegł, że January nie pije zamówionego dla niej burbona, poprosił o kartę win.

— Założę się, że białe, czy tak?

— Wczoraj powiedziałaś, że... — zaczęła Linda.

— Ale teraz jest dzisiaj — odparł. — Każdego wieczoru mówię co innego.

Był to relaksowy wieczór, lecz January poczuła nagle, że nie jest w stanie poprowadzić z Tomem rozmowy. Zanim się odezwała, ważyła każde słowo, następnie powtarzała je w myśli, a potem okazywało się, że minęła właściwa chwila, by je powiedzieć, toteż milczała. Czuła się jak idiotka. Linda paplała za to z ogromną swobodą, opowiadała o swych początkach w „Glossie”, o cudzie, który sama wypracowała. January szukała, co by tu powiedzieć. Zastanowiło ją, że nagle taka jest onieśmielona i unika jego wzroku. Może powinna powiedzieć, że podobała jej się jego książka? Jak powinna to ująć? „Panie Colt, myślę...” Nie. „Tom, jestem zachwycona twoją książką.” Też nie, to brzmi idiotycznie. „Tom, twoja książka znajdzie się na pierwszym miejscu na liście...” — zbyt chępliwie. Kimże ona w końcu jest, aby mówić, jak jego książka zostanie oceniona przez czytelników. A może...

— Och, Tom — powiedziała Linda — musisz mi podpisać swoją książkę. Jest rewelacyjna!

No cóż, tym sposobem January straciła możliwość rozpoczęcia konwersacji od książki.

Tom obiecał, że kupi im po jednym egzemplarzu u Doubledaya.

— Mają otwarte w nocy. To świetnie, że ci się podoba. Lawrence and Company zapewnia, że w przyszłym tygodniu będzie na szóstym miejscu na liście „New York Timesa”, a przecież nie jest nawet w połowie tak dobra jak inne moje książki, które okazały się niewypałami. Ta jest komercyjna, a dziś właśnie o to chodzi.

Potem porzucił temat i zwrócił się do Hugh’a z żądaniem, aby wyjaśnił, dlaczego zaszył się w Westhampton.

— Czy wchodzi w grę kobieta?

— Bardzo ważna kobieta — odparł Hugh. — Matka Natura.

— Jakież sprawy związane z ekologią? — spytała Linda.

— Nie, martwię się stanem ciała drogiej starej Mateczki. Może się zdarzyć, że tu i ówdzie rozpadnie się od wstrząsu. Interesują mnie defekty Ziemi. Najbardziej znane jest San Andreas, co wiąże się z wszystkimi przepowiedniami mistyków, że jeszcze w tym roku Kalifornia może zostać pochłonięta przez ocean. Myślę, że w Los Angeles już od dawna spóźnia się trzęsienie ziemi, ale nie wierzę, by fale pływowe uczyniły z miasta drugą Atlantyde. Interesuję się czym innym, błędami, których tak cholernie dużo popełniono Ziemi, a zwłaszcza ciekawi mnie, czy nie robi się nowych. Dostałem więc subwencję na prowadzenie badań i staram się udowodnić pewne teorie, które w efekcie mogą się przyczynić do przedłużenia istnienia naszego świata o kilka lat.

— No a jeżeli nie użyjemy bomby i nie zatrujemy do końca powietrza, to czy świat nie będzie po prostu nadal się toczył? — spytała Linda.

Hugh uśmiechnął się do niej.

— Lindo, pewnej nocy leżałem na wydmach w śpiworze i...

— Leżałeś w lutym na wydmach? — zdziwiła się Linda.

— Jestem właścicielem skromnej chatki na plaży z jedną tylko sypialnią — wyjaśnił Hugh — ale chyba nie spędzam w niej więcej niż kilka godzin dziennie. Mam ocieplaną bieliznę, włożę w śpiwór i wtulam się między dwie wydmy, by osłaniały mnie od wiatru. Oczywiście w lecie to o wiele przyjemniejsze, choć niebo jest fascynujące o każdej porze roku...

Człowiek robi się przy nim mały, zwłaszcza gdy ma świadomość, że nasz świat jest zaledwie jednym znikomym pyłkiem we wszechświecie.

Pomyślcie tylko, we wszechświecie są miliony słońc, być może niektóre są źródłem takiego samego życia. Gdy spoglądasz w górę, uświadamiasz sobie, że gdzieś tam mogą istnieć cywilizacje wyprzedzające nas

rozwojem o pięćdziesiąt milionów lat.

— Byłam w drugiej klasie szkoły panny Haddon, kiedy się dowiedziałam, że gwiazdy są ogromne i mogą stanowić odrębne światy — odezwała się January. — Wcześniej sądziłam, że są małe, ciepłe, dodające otuchy... świeciła Pana Boga — przerwała. — Nie pamiętam już, kto mi o tym powiedział, ale wiem, że przeżyłam okropny szok, jak poznałam prawdę. Żyłam w ciągłym strachu, bo się bałam, że mogą kiedyś spaść i zetrzeć nas w proch. Zwierzyłam się z tego ojcu. Powiedział mi, że każda gwiazda ma własne miejsce, a po śmierci ludzie przenoszą się na nie i tam żyją dalej. — Miła teoria — rzekł Hugh. — Twój tata sprawia wrażenie dobrego człowieka. Chcę powiedzieć, że jest to świetna historyjka dla małej dziewczynki, bo pozwala jej wierzyć w życie wieczne i odpędza strach przed nieznanym.

Potem zaczął mówić dalej — opowiadał o systemie słonecznym i o swej głębokiej wierze, iż pewnego dnia dojdzie do łączności międzygwiazdnej. Tom był zafascynowany jego teorią i cały czas zarzucał go pytaniami. January słuchała z ciekawością, lecz Lindę to znudziło. Po kilku nieudanych próbach skierowania rozmowy na bardziej osobiste tory dała za wygraną i siedziała oparta na krześle. Spiorunowała January wzrokiem, gdy ta sprowokowała Hugh'a swym pytaniem do dalszych długich wynurzeń.

January była autentycznie zainteresowana. Poza tym stwierdziła, że bardzo łatwo jej się gawędzi z Hughem. Rozmawiając z nim, miała wrażenie, że porozumiewa się również z Tomem. Dopóki zwracała się do Hugh'a, dopóty potrafiła ich nawet rozbawić. Wystarczyło, że Tom odezwał się bezpośrednio do niej, a zamykała się w sobie, zaczynała dobierać słowa, wycofywała się.

Słuchając, jak Hugh rozprawia o Księżycu i prądach morskich, przyglądała się ukradkiem Tomowi — wydawał się bardziej silny, był jak wykuty z granitu. Czowała w nim jednak jakąś słabość, której nigdy nie dostrzegła u ?i???. ?i?? był zawsze zwycięzcą. Gdy się patrzyło na ?i???, wiadomo było, że nic nie może go zranić. Dziwne, ale mimo całej swej siły Tom sprawiał wrażenie człowieka zranionego. Nie był tak silny jak Mike, a jednak pod pewnymi względami był mocniejszy. Przyznał się, że kilka jego najlepszych książek okazało się niewypałami — cztery ostatnie. Mimo to siadał i pisał następne. Mike wycofał się, ponieważ stwierdził, że odwróciło się od niego szczęście. Tom oczywiście nie wierzył w takie rzeczy.

— Czy jesteś hazardzistą? — spytała nagle January.

Obaj mężczyźni zamilkli i spojrzeli na nią. January chciała dać nura pod stół. To pytanie po prostu wymknęło jej się całkiem niechcący. Tom patrzył na nią przez chwilę, a potem odparł: — Tylko wtedy, gdy mam przewagę. A dlaczego pytasz?

— Tak sobie, przypominasz mi kogoś.

— Dawną utraconą miłość?

— Tak... tatusia! — warknęła Linda. Tom wybuchnął śmiechem.

— No cóż, takie coś doskonale działa jak kubeł zimnej wody na głowę mężczyzny. Gdy facet jest grubo po pięćdziesiątce i myśli, że potrafi zabawić dwie młode dziewczyny, należy go sprowadzić na ziemię.

— Nie możesz być grubo po pięćdziesiątce! — zawołała Linda.

— Nie próbuj mi się przypocholebiać — powiedział Tom z uśmiechem. — Mam pięćdziesiąt siedem i jestem o kilka lat starszy od 'i???' Wayne'a. January, mam rację? A ty, Hugh, jesteś wystarczająco młody, aby wiedzieć, że zanudziliśmy nasze damy rozmową o gwiazdach. Jedynymi gwiazdami, jakimi się interesują, są Paul Newman czy Steve McQueen.

— Wcale mnie nie zanudziliście — upierała się Linda — to było fascynujące.

Wyszli z klubu o jedenastej. Powietrze było czyste i wiał bardzo łagodny wietrzyk.

— Odprowadźmy panie do domu. Mają wspólne mieszkanie.

— Mieszkamy w tym samym budynku, ale każda z nas ma własne mieszkanie — powiedziała z naciskiem Linda.

Tom odprawił samochód i poszli na piechotę do Doubledaya. Wszyscy sprzedawcy go tam witali; kupił książki dla Lindy i January, podpisał je, a potem niechętnie złożył jeszcze parę autografów na książkach w sklepie i szybko wyszedł. Powędrowali na wschód. Linda uwiesiła się ramienia Toma i próbowała tak wymanewrować, by January i Hugh znaleźli się z przodu, lecz Tom cały czas rozmawiał z Hughem i dopóki mogli, szli we czwórkę obok siebie. W końcu dotarli do węższej uliczki i musieli podzielić się na pary. Linda szła z Tomem z przodu i January zauważyła, że Tom trzyma ją za rękę. Nagle uświadomiła sobie, że Hugh zadał jej jakieś pytanie.

— Przepraszam... nie usłyszałam cię — powiedziała. — Ta taksówka tak okropnie hałasowała... Ja...

Hugh uśmiechnął się do niej.

— Nie martw się z powodu przyjacielki. Tom jest żonaty... a ty nie wyglądasz na taką, która zadowolony się krótkotrwałym romanssem.

— Wcale się nie martwię. Dlaczego tak myślisz?

— Widziałem, jak patrzyłaś na ich splecione ręce, gdy mówiłem do ciebie, a poza tym żadna taksówka nie hałasowała.

— Faktycznie... chyba się po prostu zamyśliłam. Wiem, że nieładnie zrobiłam, ale naprawdę cieszę się, że mogę iść w twoim towarzystwie.

— Oboje z Tomem jesteśmy próżniakami z niejednym roman-sikiem na koncie. Ja mam swoje gwiazdy i ocean, a Tom nową żonę i syna. Do tej pory nie miał dziecka, wyobrażasz to sobie? Cztery małżeństwa i dopiero teraz pierwsze dziecko w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat. Jeżeli twoja koleżanka ma jakieś poważne zamiary...

— Nie, Linda świetnie się orientuje.

— Takie stwierdzenie zupełnie do ciebie nie pasuje.

— Skąd wiesz, co do mnie pasuje?

— Wiem, kim jesteś i co sobą reprezentujesz, tak jak wiem, jaka jest Linda. Tom zawsze zadaje się z Lindami. Nawet ożenił się z dwiema takimi. Wiesz dlaczego? Bo nigdy nie zdobywał żadnej dziewczyny, jest leniwym sukinsynem. Bierze się za te, które za nim latają, to jest o wiele łatwiejsze, a poza tym chyba nie potrafi nikogo naprawdę kochać... może z wyjątkiem bohaterów swych książek. Dlatego wszystko mu jedno i ma zawsze tę dziewczynę, która go sama wybierze. Tylko że teraz, kiedy ma syna, już na zawsze pozostanie przy nowej żoneczce.

— Jaka ona jest? — spytała January.

— Piękna, rudowłosa... Przez parę lat robiła coś na kształt kariery w filmie. Nigdy nie osiągnęła nic więcej ponad epizody, ale była ładna. Poznała Toma... chodziła za nim... porzuciła karierę filmową i dała mu syna.

— Jak się nazywała., to znaczy, jako aktorka?

Hugh zatrzymał się w ciemności i popatrzył na nią uważnie.

— January — powiedział miękko. — Czy chcesz posłuchać mojej rady? Zostaw Toma Lindom. On cię zrani.

Zanim zdołała odpowiedzieć, Tom zawołał nagle: — Hej, Hugh, nadal chcesz, żebym wyjechał z tobą jutro na dzień nad morze?

— Pewnie, to już postanowione. Lodówka jest pełna befsztyków.

— No a co byś powiedział, gdybyśmy zaprosili dziewczęta, aby nam je przyrządziły?

— Będziemy zachwycone — podchwyciła szybko Linda. — Nigdy nie byłam w lutym nad morzem.

Dotarli do domu i Linda spojrzała na Toma.

— Czy mogę zaprosić wszystkich na drinka? Nie mam co prawda

burbona, ale znajdzie się żytniówka.

— Nie, chcemy wcześniej wyjechać — odparł Tom. — Uwielbiam plażę, nawet kiedy jest zimno. Wtedy cała należy do mnie. W Malibu najlepiej mi się pisze, gdy jest chłodno i nadciąga mgła.

W niedzielę było zimno i zapowiadano deszcz, mimo to wyruszyli o wpół do jedenastej rano. Wszyscy byli ubrani w grube spodnie, swetry i stare kurtki. Tom po raz pierwszy wyglądał na rozluźnionego.

Faktycznie padało, lecz w domu było ciepło, a poza tym przez cały dzień palili w kominku. Gdy tak siedzieli przy ogniu, January miała chwilami wrażenie, że są jedynymi ludźmi na ziemi. Dom Hugh'a był mały i solidny — obszerny salon i duża kuchnia, a na górze wielka sypialnia z solarium.

— Idealny dom dla kawalera — powiedział Hugh.

— Doskonały dla zakochanych — odparła Linda, zerkając na Toma. — Czy tak samo lubisz nasze plaże w Nowym Jorku jak tę w Malibu, Tommy?

Tom uśmiechnął się i pociągnął ją za włosy.

— Lindo, możesz mnie nazywać gówniarzem, skurwysynem, jakkolwiek zechcesz, ale nigdy nie mów do mnie Tommy.

O dziesiątej przyjechała limuzyna, by zabrać ich z powrotem do miasta. Hugh jeszcze zostawał. Gdy wychodzili, Tom sięgnął po butelkę burbona: — Prowiant na drogę.

Linda objęła go wpół i poszli ścieżką do samochodu. Hugh szedł przez jakiś czas z January w drobnym deszczyku smagającym twarz.

— Zobacz, jaka zrobiła się z nich para — powiedział. — Teraz tylko od ciebie zależy, czy będziesz chciała oglądać ich przez cały czas na tournée.

— Na tournée?

— Linda mówiła, że chcecie obie jechać, by napisać o nim artykuł. Cała ta podróż to nie dla Toma. Będzie za dużo pił, bo jest z gruntu nieśmiały. Znam go raptem sześć lat, więc nie wiem, co za diabeł w nim siedzi. Bóg świadkiem, że kobiety go kochają, a i mężczyźni w równym stopniu pozostają pod jego urokiem. Wiecznie sprawia jednak wrażenie, jakby chciał coś udowodnić. Może stąd całe to picie. Niewykluczone, że po skończeniu każdej książki wydaje mu się, że już powiedział wszystko, co miał do powiedzenia, a mimo to wie, że musi to zrobić jeszcze raz. Ten objazd po kraju może go zranić... to znaczy jego duszę. Dlatego proszę, uważaj na niego. Potrzebuje kogoś, dzięki komu to wszystko nie będzie wyglądało jedynie jak tani kabaret.

January uśmiechnęła się do niego. Linda i Tom znajdowali się już w samochodzie.

— Lubię cię, panie Robertson — stwierdziła.

— Ja też cię lubię, panno January Wayne. Sądzę, że jesteś naprawdę wyjątkową dziewczyną.

— "Dziękuję. Hugh ujął jej rękę.

— Mówię to... w najlepszym tego słowa znaczeniu. Jestem twoim przyjacielem.

Pokiwała głową i wyciągnęła rękę.

— Czołem przyjacielu.

Uśmiechnęli się i January wsiadła do samochodu. Tom otworzył butelkę, pociągnął duży łyk i podał Lindzie, której również udało się sporo łyknąć. Następnie podsunął butelkę January. Zawahała się... Ich oczy spotkały się w półmroku i raptem jakby na chwilę wszystko zamarło niczym zatrzymana klatka filmu. January sięgnęła powoli po burbona... Wciąż patrzyli sobie w oczy i nagle Tom jednym szybkim ruchem zabrał butelkę.

— Nie, rozmyśliłem się. Nie będzie więcej żadnego pokrzepiania się po drodze. Jutro jest dzień pracy.

Czar prysł. Tom rozmawiał o wywiadach, które miał w planach, o wejściach czekających go w programie Dzisiaj Johnny'ego Carsona, o wypadach do Bostonu, Filadelfii i Waszyngtonu jeszcze przed tournée po kraju.

— Myślę, że lepiej się trzymać z daleka od twoich wywiadów — powiedziała Linda. — Rita mogłaby naprawdę wykręcić jakiś numer, gdybyśmy się pokazały na którymś. Ale jeśli można, opiszemy twoje występy w telewizji, niektóre imprezy poza miastem i konferencje prasowe.

— Spróbujcie, tylko nie wiem, w jaki sposób zrobicie z tego ten interesujący artykuł.

— Byłeś kiedyś na tournée?

— Pewno, że nie.

— Będzie bardzo ciekawie — uśmiechnęła się Linda — obiecuję. Gdy samochód zatrzymał się przed domem dziewcząt, Tom wysiadł i odprowadził je do drzwi wejściowych. Pochylił się, pocałował każdą w policzek i zawrócił do auta. Linda na sekundę zaniemówiła, a potem syknęła przez zęby: — Wchodź, January... już.

Wepchnęła ją do holu, sama zaś zawróciła i podeszła do limuzyny w chwili, gdy Tom do niej wsiadał.

— Tom, wiem, że jutro masz „Life”, ale o której...

January nie słyszała reszty. Ruszyła wprost do windy i pojechała do swego

mieszkania. Była roztrzęsiona.

Rozebrała się i położyła do łóżka. Ciekawiło ją, czy Lindzie udało się pojechać do hotelu Plaża, pójść do sypialni, która należała kiedyś do ? i???. Próbowała odegnać te myśli.

Jeżeli Linda chce mieć romans z Tomem, to czemu nie? Ubiła poduszkę i próbowała zmusić się do zaśnięcia. Było zbyt cicho, słyszała tykanie zegara, telewizor grający u sąsiadów, jakąś parę spierającą się na podwórku... Nagle zadzwonił telefon.

Zadzwieczał tak niespodziewanie, że January aż podskoczyła. Podniosła słuchawkę po drugim dzwonku.

— Mam nadzieję, że cię nie obudziłem? Zaniemówiła: to był Tom Colt.

— January, jesteś tam?

— Nie... to znaczy, tak, jestem. Nie, nie obudziłeś mnie.

— To dobrze — odparł. — Chciałem właśnie zamówić budzenie, gdy uświadomiłem sobie nagle, że mam jutro wolny wieczór. Czy widziałaś Piernikową damę?

— Nie.

— Świetnie. Jestem gorącym wielbicielem Maureen Stapleton. Kupię więc trzy bilety i pójdziemy jutro. Powiedz Lindzie.

— Może już to widziała? — odparła January.

— No to co? Ale my nie. Jest dwoje na jednego. Myślę, że zawsze powinniśmy tak wszystko załatwiać między naszą trójką. Zasada większości. Zabiorę was o siódmej, dobranoc.

Patrzyła przez chwilę na telefon, dopóki nie usłyszała trzasku, potem odłożyła powoli słuchawkę. A więc Linda nie była z Tomem. January leżała w ciemnościach i myślała o tym... Linda nie była z nim! Ale dlaczego tak ją to ucieszyło? Ponieważ sama go pragnęła! Leżała bez ruchu, niemalże zszokowana tym nagłym odkryciem. To prawda...

Zakochała się w mężczyźnie starszym od własnego ojca, w mężczyźnie, który miał żonę i dziecko! I on też czuł coś do niej!

W przeciwnym bowiem razie zadzwoniłby do Lindy, a nie do niej, by powiedzieć o Piernikowej damie. Czy mógł coś do niej czuć? Przecież Hugh powiedział, że Tom jest leniwy i woli, aby dziewczęta go podrywały, niż zadać sobie trud i samemu je zdobywać. Czyż Linda nie podrywała go na całego? A jednak Tom zadzwonił do niej! Wyciągnęła się na łóżku i oddała marzeniom. Na przykład żona przyjdzie nagle do niego i zażąda rozwodu albo przypuścimy, że nagle umrze i... Nie, to nie w porządku, nie może jej uśmiercać... No cóż, załóżmy, że Tom naprawdę się zakocha i zażąda rozwodu. Nie, nie porzuci syna. Tom Colt junior zbyt wiele dla

niego znaczy. No to załóżmy, że jego piękna żoneczka przyjdzie do niego i przyzna się, że dziecko nie jest jego, że ma je z jakimś przystojniaczkiem z plaży i chce rozwodu. Wtedy Tom nie będzie się czuł winny. Będzie łożył na dziecko, ponieważ nosi jego nazwisko, ale poślubi January.

Zamieszkają w domu nad morzem, ona zajmie się przepisywaniem na maszynie jego rękopisów i... będzie wspaniale i...

TO PRZECIEŻ SZALEŃSTWO!

Tak, to było szaleństwo. Ale obejmując poduszkę i usypiając rozpamiętywała sposób, w jaki Tom na nią patrzył przez tę małą chwilkę w samochodzie.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Nie spała dobrze tej nocy, na dźwięk budzika wyskoczyła jednak z łóżka, z radością witając nadchodzący dzień. Stała pod prysznicem i przyłapała się na tym, że śpiewa; „Jestem zakochana, jestem zakochana, jestem zakochana we wspaniałym facecie!” Potem przypomniała sobie inną piosenkę Rodgersa i Hammersteina: „Ten pan jest narkotykiem i nie pasuje do mnie, dlaczego wypłakuję oczy, on nie jest mój.” Z tą różnicą, że ona nie wypłakuje wcale oczu. Stała pod prysznicem, jak idiotka, i wyśpiewywała stare standardy... nigdy w życiu nie czuła się lepiej.

Ale Tom ma żonę, myślała w trakcie ubierania. Gdzie jej sumienie?

Wystarczy sobie przypomnieć, jak bardzo matka cierpiała, gdy ojciec miał romanse z innymi kobietami. Tylko że ona nie zamierzała iść do łóżka z Tomem Coltem, po prostu ogromnie się cieszyła, że potrafi coś czuć do mężczyzny innego niż Mike, że chce być z innym mężczyzną, pragnie, by się nią zachwycał. Czy można uznać za aż tak złe to, że chce być z nim? Zwłaszcza że on nie wie o jej uczuciach.

Zachowanie obojętności wobec Lindy było nieludzkim wysiłkiem.

— Co to znaczy: idziemy obejrzeć Piernikową damę? — wrzasnęła. — Ja bym wolała Nie, nie Nanette, a poza tym dlaczego zadzwonił do ciebie?

— Nie wiem... Może dlatego, że zawsze byliśmy we trójkę. Widać sądził, że będzie lepiej, jeśli wyda się niezaangażowany.

— No tak, nasza trójka powinna się wreszcie rozpaść i stać dwójką, i to już po dzisiejszym wieczorze.

— A co z naszą wspólną pracą nad artykułem?

— To już nieaktualne. Od dziś jesteś od niego odsunięta.

— Ale dlaczego?

— Posłuchaj, January, i tak Sara będzie musiała go przepisać, a jak

przyjdzie czas wyruszyć w trasę, pojedziemy tylko dwoje: Tom i ja. Powiem mu to we właściwym momencie i wyjaśnię, że musiałam powierzyć ci inne zadanie. Przedstawię go Sarze i poinformuję, że jej będę przysyłać taśmy z nagraniami. Jestem pewna, że wystarczy jedno spojrzenie na Sarę, by nie chciał z nią jechać na tournée. January zawahała się.

— Lindo, daj mi spróbować napisać ten artykuł. Czuję, że naprawdę potrafię to zrobić. I pozwól mi pojechać z tobą w objazd, obiecuję, że nie będę ci wchodzić w drogę.

— Kochanie, ty już teraz wchodzisz mi w drogę. Niestety, dziś nie jestem w stanie niczego zrobić, ale radzę ci cieszyć się tym wieczorem na tyle, na ile jest tego wart, bo we trójkę zaczyna się robić zbyt tłoczno.

Siedzieli w ciemnym teatrze. Tom zwierzył się, że Maureen Stapleton jest, według niego, najlepszą aktorką. January widziała Maureen w kilku przedstawieniach i podzielała jego opinię. Tego wieczoru po raz pierwszy w życiu nie potrafiła jednak skupić się na tym, co działo się na scenie. Zbyt intensywnie odczuwała bliskość mężczyzny. Choć on całą swą uwagę skoncentrował na sztuce, January siedząc obok niego w ciemnościach teatru miała wrażenie szczególnej intymności. Gdy musnął kilka razy niechcący jej dłoń, jakiś szaleńczy impuls podpowiadał jej, by wyciągnąć rękę i go dotknąć. Miał bardzo silne ręce... i czyste. Podobał jej się kształt jego palców, jego zapach przywodził nagle wspomnienia. Pociągnęła nosem, próbując go jakoś umiejscowić.

— To woda toaletowa Chanel pięć — wyjaśnił. — Zawsze jej używam po goleniu, choć niektórzy fałszywie to odbierają.

— Mnie się podoba — odparła.

— To dobrze, dostaniesz taką.

Potem znowu skoncentrował się na sztuce.

Po przedstawieniu poszli za kulisy do Maureen Stapleton, która dołączyła do nich później u Sardiego. Tom powiedział aktorce, że jeśli kiedyś zdecyduje się napisać sztukę, to napisze coś dla niej. Zaczęli rozmawiać o przedstawieniach, starych i dzisiejszych, porównywać jedne z drugimi, Tom był zdumiony, gdy January wspomniała tytuły kilku spektakli.

— Przecież wtedy jeszcze nie było cię na świecie — powiedział. — To chyba grali, zanim się urodziłaś.

January pokiwała głową.

— Tak, ale od kiedy skończyłam osiem lat, nie tylko oglądałam wszystkie przedstawienia na Broadwayu, ale na dodatek siadywałam w tej restauracji i słuchałam, jak rozprawiano o sztukach z lat

czterdziestych.

Uświadomiła sobie, że wkroczyli w świat niedostępny dla Lindy, postarała się zatem wciągnąć ją do rozmowy.

— Linda i ja chodziłyśmy do tej samej szkoły. Linda była naszą gwiazdą. Szkoda, że nie widzieliście jej w Aniu, sięgnij po spluwę.

Linda troszkę poweselała i zanim wieczór dobiegł końca, już rozmawiała z Maureen Stapleton o wywiadzie dla „Glossu”.

Gdy Tom podrzucił je do domu, Linda nie próbowała zaprosić go na górę.

— Postanowiłam, że odłożę wszystko na wyjazd. Tom chyba myśli tak samo. Wtedy to wypadnie bardziej naturalnie.

Następnego ranka dzwonek do drzwi zadzwonił akurat w chwili, gdy przebrzmiał dźwięk budzika. January narzuciła szlafrok i wyjrzała przez wizjer: posłaniec z paczką. Uchyliła ostrożnie drzwi, nie otwierając ich z łańcucha podpisała kwit, dała posłańcowi napiwek i kazała położyć paczkę na podłodze. Nie zdjęła łańcucha, dopóki mężczyzna nie wsiadł do windy. (Przestrzeżenie tej zasady wymógł na niej Mike — jest to jedna z reguł, które pozwalają utrzymać się przy życiu dziewczynie mieszkającej samotnie w Nowym Jorku.) Kiedy tylko drzwi windy się zamknęły, January otworzyła swoje i złapała paczkę. Wniosła ją do mieszkania i ostrożnie otworzyła — w środku znajdowała się największa butla Chanel numer pięć, jaką kiedykolwiek widziała. Nie było żadnej kartki. Przytuliła butelkę do policzka — a więc myślał o niej, ale gdzie dostał tak wielką butlę o wpół do dziewiątej rano? I czy posłaniec poszedł teraz także do Lindy?

Wkroczyła do redakcji w oparach perfum. Linda natychmiast je wyczuła.

— Czym się polalaś?

— Chanel pięć — odpowiedziała January czekając na jej reakcję. Linda tylko wzruszyła ramionami.

— Położyłam ci na biurku opowiadanie. Przeczytaj, mnie się podoba. Powiesz mi, co o nim myślisz, bo może temat jest mi zbyt bliski.

Dziewczyna robi operację plastyczną nosa, aby zatrzymać przy sobie chłopaka, a gdy wychodzi, jest przepiękna i traci chłopaka na rzecz dziewczyny, która wygląda jak ona przed operacją. Śmieszna historyjka. Dostałam ją bez żadnych starań.

— Bez żadnych starań?

— Wręczone spontanicznie bez agenta... Nazwisko autorki zupełnie nic mi nie mówi. Przyszło z kopertą z adresem zwrotnym do Bronksu. Ten rękopis ma spore ośle uszy, z czego wnoszę, że pani Debbie Mallon została już wielokrotnie potraktowana odmownie. Nie sądzę, aby wysłała

go do nas przed „Ladies Home Journal”, „Cosmo”, „Redbook” czy innymi. Ciekawa jestem, jakie będzie twoje zdanie.

January zabrała opowiadanie do swego gabinetu. Usiadła, zapaliła papierosa i zaczęła czytać.

Nie wysłał Lindzie perfum.

Jeszcze raz przeczytała pierwszy akapit. Nie mogła się skoncentrować, wróciła więc do początku.

Może on też sądził, że troje to już tłum, i to był prezent na otarcie łez.

Znowu zaczęła czytać pierwszy akapit, spojrzała na zegarek. Wczoraj Tom zadzwonił do niej do domu rano, teraz była już prawie dziesiąta... Może znowu dzwonił? Powinna opłacać telefonistkę, by odbierał pod jej nieobecność telefonu. Do tej pory nie miała takiej potrzeby, gdyż Mike zawsze wiedział, gdzie ją znaleźć: zwykle telefonował do redakcji codziennie po golfie. Nawet David potrafił ją odszukać. Gdyby zatem Tom chciał się z nią skontaktować, to wystarczyłoby zajrzeć do egzemplarza „Glossu”. Znalazł jej numer domowy, choć nie było go jeszcze w książce telefonicznej, co znaczyło, że musiał zadzwonić do informacji. A może zatelefonował do Lindy, ona zaś powiedziała, że January pracuje nad innym artykułem i jest zbyt zajęta, by pójść z nimi gdziekolwiek?

Jeszcze raz zaczęła czytać rękopis; Operacja nosa autorstwa Debbie Mallon. Prawdopodobnie historia o niej samej. Na pewno. Biedna Debbie Mallon, biedne nie zamówione opowiadanie pióra Debbie Mallon! A ona ma je przeczytać. Poczula wyrzuty sumienia. Musi przeczytać o nosie Debbie, inaczej Bóg nie będzie stał po jej stronie i sprawi, że Tom nie zadzwoni. Przecież to śmieszne, oczywiście, że Bóg jej nie popiera, bo i dlaczego miałby to robić? Dlaczego miałby jej przyjść z pomocą i sprawić, by żonaty mężczyzna do niej zatelefonował? „Ja chcę tylko być przy nim — wyszeptła patrząc w sufit — tylko potrzymać go za rękę, czy jest w tym coś złego?” Wróciła do rękopisu: -Wyglądałam jak papuga, ale Charlie mnie kochał. A Charlie był podobny do Warrena Beatty. Samo to wystarczy, żeby wpędzić dziewczynę w kompleksy...”

Zmuszała się, by czytać dalej. Debbie opisała całą operację bardzo obrazowo, wspomniała nawet o igłach wkłuwanych w nos. January się wzdrygnęła. I o podbródku, o tym, jak wstrzyknięto jej coś w podbródek, a wszystko po to, żeby na końcu dziesiątej strony straciła Charliego...

Przerwała czytanie w połowie opisu operacji. Dziesiąta piętnaście. Może dzwonił do Lindy? No cóż, nie może pójść do jej gabinetu, zanim nie upora się z nosem Debbie.

Skończyła o wpół do jedenastej; była niezdecydowana. A właściwie czemu

by nie dać tej Debbie szansy? Włożyła rękopis z powrotem do szarej koperty i powędrowała do Lindy.

— Dobrze — powiedziała, wręczając jej kopertę. Linda pokiwała głową.

— Tak też sędzę. Sara ma największy nos w mieście, jeżeli więc puści tekst, damy go do sierpniowego numeru. Może się tam znaleźć jakiś debiutancki kawałek, bo będzie to numer poświęcony Tomowi Coltowi. Myślę, że będę miała mnóstwo dobrych zdjęć z trasy. Do cholery, gdyby Keith nie tkwił w Gąsienicy...

— Chciałabyś, żeby jechał z wami?

— Tak, ale tylko dlatego, że na niego mogę sobie pozwolić. Inni fotograficy są drodzy, bardzo drodzy... Już wiem, poproszę Jerry'ego Coulsona. Jest świetny i jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy. Na pewno dostanę go na dobrych warunkach.

— Czy Tom zgodził się na zdjęcia?

— Nie pytałam go i nawet nie mam zamiaru. Posłuchaj, przecież będziemy już wówczas gorącymi kochankami. Wczoraj w teatrze cały czas przyciskał nogę do mojej i u Sardiego, gdy rozmawialiśmy o teatrze, również.

— Och... No dobrze, muszę już chyba iść do siebie.

— Siadaj, zaraz przywiozą kawę.

— Nie, mam jeszcze do zrobienia artykuł o kotach sławnych osób. Czy wiesz, jak mało znanych ludzi ma koty? Chyba wszyscy hodują psy.

— To absurdalne, Pam Mason ma ich tysiąc.

— Ale ona mieszka w Kalifornii! Powiedz, jak myślisz, czy Maureen Stapleton ma kota? (Zdawała sobie sprawę, że mówi za szybko.)

— Nie wiem.

W tej chwili na biurku Lindy zadzwonił telefon.

— Może to Tom? Wezmę od niego numer telefonu Maureen — rzekła i nacisnęła przycisk. — Halo... Co?... Pewnie, Sherry... Chyba żartujesz? Chcę to usłyszeć, chodź do mnie i opowiedz.

Odłożyła słuchawkę.

— Zostań, January, to dopiero prawdziwa bomba! Sherry mówi, że Rita rwie sobie z jakiegoś powodu włosy z głowy. Już dwa razy telefonowałam dziś do Toma Colta, ale nie odpowiadał.

Do gabinetu weszła Sherry Margolis, piękna dziewczyna, szefowa działu promocji. Linda wskazała jej miejsce, by usiadła.

— Mówisz, że Rita Lewis wiesz na mnie psy? — Uśmiech Lindy był błogi i świadczył o zadowoleniu z siebie.

Sherry pokiwała głową. — Pytała, czy miałaś od Toma jakieś wiadomości.

Ma stargane nerwy, bo zdaje się, że przyjechała do hotelu Plaża o siódmej, by go zabrać na program Dzisiaj, a on jeszcze spał. A miał tam być o ósmej. Twierdził, że nie wiedział, iż to w t e n wtorek. Siedziała w holu bliska omdlenia, aż zszedł spokojnie za dziesięć ósma; miała samochód, tak że akurat zdążyli. Po programie rozmawiał z Barbarą Walters, skorzystała więc i wyszła na chwilę do ubikacji. Kiedy zaś wróciła, jego już nie było. Ktoś powiedział, że widział go w studiu dzienników. Zrobiło się ogromne poruszenie. Rita zauważyła Toma przy telefonie, myślała, że rozmawia z tobą. Potem czmychnął. Zawołała go, pobiegła za nim, ale drzwi windy zamknęły się w chwili, gdy do niej dotarła. Nie wpadła w panikę, bo sądziła, że wrócił do hotelu, wiedział, że ma o dziesiątej wywiad przy śniadaniu. Jednak w hotelu go nie ma i Rita od pół godziny uspokaja faceta z „Playboya”, który jest już przy trzeciej „krwawej Mary”. Jeszcze jedna szklaneczka, a nie będzie w ogóle w stanie zrobić wywiadu, zakładając, że Tom się w ogóle zjawi. Telefon w jego apartamencie nie odpowiada, Rita poszła nawet na górę i dobijała się do drzwi. Pokojówka powiedziała, że przed chwilą skończyła sprzątać pokój i nikogo w nim nie ma. Rita podejrzewa, że poderwałaś go w ten weekend i może wiesz, co się z nim stało.

Linda znowu się uśmiechnęła.

— To prawda, powiedz tylko Ricie, że zostawiłam go wczoraj w hotelu całego i zdrowego... całkiem utulonego.

Sherry patrzyła z niekłamanym podziwem.

— No, to przebija nawet grupową terapię... Rita na nią właśnie poświęca cztery wieczory w tygodniu. Z radością przekażę jej informację.

Gdy wyszła, Linda spojrzała na January i mrugnęła porozumiewawczo.

— To ją wykończy, od początku miała na niego chrapkę. Poczekaj, aż pójdzie dziś na swą grupową terapię i zaczną ją pocieszać, że nie jest wcale odrzucona, że oni ją kochają i powinna być szczęśliwa mając i c h miłość.

— Skąd wiesz?

— Ponieważ sama się w to bawiłam. Dzięki Bogu stać mnie teraz, by chodzić trzy razy w tygodniu do własnego psychoanalityka.

January pokiwała głową.

— Lindo, mówię szczerze: ja po prostu nie rozumiem. Dlaczego Sherry ma myśleć, że poszłaś z nim do łóżka, skoro tego nie zrobiłaś? Czyżby kolejny „zaliczony” facet był powodem do dumy? Czy chcesz pobić jakiś rekord?

Linda ziewnęła.

— Gdy idziesz do łóżka z jakimś Leonem, to twoja prywatna sprawa, ale w przypadku takiego Toma Colta trzeba nadać temu rozgłos.

Nagle znowu wpadła Sherry: — Lindo! Włącz telewizor! W Kalifornii jest trzęsienie ziemi, prawdziwe!

— Czy zadzwoniłaś do Rity i powtórzyłaś jej wszystko? — spytała Linda.

— Tak, przyjęła to znakomicie, trzy razy zaniemówiła i jeden raz wydała zdławione łkanie.

Sherry włączyła telewizor. Z innych pokoi zaczęli napływać ludzie.

W ciągu paru chwil wszyscy zgromadzili się przy odbiorniku. Siedzieli w osłupieniu i słuchali sprawozdawcy, który oznajmił, że pierwszy gwałtowny wstrząs nastąpił czterdzieści mil od śródmieścia Los Angeles o piątej pięćdziesiąt dziewięć czasu miejscowego, czyli o ósmej pięćdziesiąt dziewięć czasu nowojorskiego. Był to wstrząs o sile sześciu i pół stopnia w skali Richtera i odczuto go na obszarze trzystu mil, od Fresno po granicę meksykańską, a na wschód aż w Las Vegas. Wiadomości podały, że początkowy wstrząs miał siłę równą wybuchowi miliona ton trotylu. Przełączali odbiorniki z jednego kanału na drugi. Przerywano programy telewizyjne, by podać komunikaty, informacje o kolejnych wstrząsach, pożarach. Lotnisko Kennedy'ego w Nowym Jorku przeobraziło się w istny dom wariatów. Kręcił się tam jakiś reporter, zadawał pytania, aż tu ktoś powiedział, że jego dom się zawalił, lecz dzięki Bogu żona i dzieci nie są ranne.

Nagle Sherry zawołała: — Tam jest Tom Colt!

Reporter również go zauważył, przecisnął się przez tłum i podsunął mu mikrofon.

— Dlaczego wraca pan do Los Angeles, panie Colt?

— Do żony i dziecka.

— Czy nic im się nie stało? — spytał reporter. Tom Colt pokręcił głową.

— Nie, dzwoniłem do domu zaraz po występie w programie Dzisiaj.

Właśnie przeszedł największy wstrząs, a w trakcie naszej rozmowy był jeszcze jeden.

— Przyjechał pan tutaj, na wschód, po to, by rozreklamować swą najnowszą książkę, prawda?

— Książkę? — Tom popatrzył nieprzytomnym wzrokiem. — Panie, w tej chwili jest trzęsienie ziemi. Mam tam żonę i syna i jedyne, co mnie obchodzi, to upewnić się, że są bezpieczni.

Odepchnął reportera i wszedł do samolotu.

Linda nagle wstała i gwałtownym ruchem wyłączyła telewizor.

— No, czas wracać do pracy, najgorsze minęło. Los Angeles może i ma

kłopoty ze zniszczeniami, ale przynajmniej nie zatonie w falach oceanu i nie zniknie z powierzchni ziemi.

Wszyscy natychmiast się rozproszyli. Słysząc było pomrukiwania: „Chodź do mojego biura, mam radio”, „Możemy zawsze złapać to w barze w czasie lunchu”.

Gdy zostały same, Linda wyjrzała przez okno i szepnęła: — Nie mogę uwierzyć. — Potem zakręciła swym krzesłem. ««*| Naprawdę nie mogę w to uwierzyć! Moje życie miłosne jest zrujnowane, nawet natura jest przeciwko mnie. I tak wystarczająco trudno utrzymać przy sobie mężczyzną przy zwykłej konkurencji, ale ja muszę mieć jeszcze trzęsienie ziemi! — Westchnęła. — No cóż, skoro jestem na pewno wolna dziś wieczór, to może byśmy poszły do Louise na obiad?

— Nie, zostanę raczej w domu i popracuję nad artykułem o kotach. Potem pobiegła do swego pokoju. Odjechał! Piątek, sobota, niedziela i poniedziałek — cztery wieczory z jej życia, cztery wieczory z Tomem Coltem. A tak były wspaniałe, mimo że nic się między nimi nie wydarzyło. Nadal cudownie było mieć kogoś, o kim można myśleć, nawet gdyby już nigdy nie wrócił.

Następnego dnia opłaciła telefonistkę, by odbierała pod jej nieobecność telefony. Gdy jednak minął tydzień, a od Toma nie było żadnej wiadomości, nawet Linda się zniechęciła.

— Podejrzewam, że zawałiłam sprawę. Jego książka osiągnęła czwarte miejsce na liście „?i???” i sądzę, że będzie robił swoje programy w Los Angeles. Czemu nie? Johnny Carson często tam wyjeżdża, są tam Merv Griffin, Steve Allen. Ma co robić przez cały miesiąc, ale przynajmniej mógł do mnie zatelefonować i powiedzieć mi o tym.

January powzięła postanowienie, iż wyrzuci Toma Colta z myśli.

Wytłumaczyła sobie, że to był znak, być może Bóg mówił jej: „Przestań, zanim cokolwiek się zdarzy.” Może w ten właśnie sposób okazywał jej dezaprobatę? January nie była zbyt religijna, czasami jednak łapała się na tym, że rozmawia z Bogiem, tym, którego pamiętała z dzieciństwa — wspaniałym staruszką z długą siwą brodą, rządzącym całym światem z wielką księgą, w której jak w rejestrze liczył punkty, zapisywał po jednej stronie dobre uczynki, a po drugiej grzechy.

Każdego dnia wszakże sprawdzała, czy nikt nie dzwonił pod jej nieobecność, i wykręcała się od obiadów z Lindą. Spędziła jeszcze jeden ponury wieczór z Davidem w Le Club. Wszyscy rozmawiali o nadchodzącym turnieju tryktraka w Gstaad. Była to trzydniowa impreza.

Dee się tam wybierała. David nie mógł zwolnić się z pracy, toteż zazdrościł Mike'owi. Gstaad było wspaniałe o tej porze roku. Wszyscy będą najpierw w hotelu Pałace, potem w Eagle Club.

David podrzucił ją do domu o wpół do dwunastej i nawet nie spytał, czy może wejść na kieliszek przed snem. January była jednak podniecona. Jeżeli Dee i Mikę wybierają się do Gstaad, to na pewno zajrzą najpierw do Nowego Jorku. Zobaczy się z Mikiem, a właśnie tego potrzebowała — długiego lunchu z Mikiem, długiej serdecznej rozmowy. Powie mu o swych mieszanych uczuciach w stosunku do Toma Colta, on zaś pomoże jej to jakoś uporządkować i na pewno ją zrozumie, bo w końcu sam też bywał często w takiej sytuacji.

Następnego ranka zadzwoniła do Palm Beach, a gdy majordomus poinformował, że państwo Granger wyjechali trzy dni temu do Gstaad, odłożyła słuchawkę i usiadła patrząc w osłupieniu na aparat telefoniczny. Był w Nowym Jorku i nie zadzwonił! Musi być jakieś wytłumaczenie. Rozmawiała przecież z Mikiem kilka dni temu... Nagle wpadła w popłoch. Może coś się stało? Nie, to śmieszne, nic nie mogło się stać, przecież pisaliby o tym w gazetach. Chyba że zachorował... może leży w szpitalu z zawałem albo czymś innym, podczas gdy Dee gra w tryktraka? Zamówiła rozmowę z hotelem Pałace, potem ubrała się i usiadła w oczekiwaniu na połączenie. Po dziesięciu minutach usłyszała w słuchawce głos 'i???', tak wyraźnie, jakby mówił z sąsiedniego pokoju.

— Jak się masz?! — krzyknęła.

— Doskonale, u mnie wszystko w porządku. A co u ciebie?

— Też dobrze — westchnęła. — Och, Mikę, tak się wystraszyłam!

— Czym?

— Wczoraj David powiedział mi, że będziecie w Gstaad. Wiedziałam, że musicie jechać przez Nowy Jork, zadzwoniłam do Palm Beach, a tam poinformowano mnie, że już wyjechaliście. Myślałam, że...

— Daj spokój — zaśmiał się Mikę — po pierwsze przylecieliśmy do Nowego Jorku o piątej rano i byliśmy na lotnisku tyle, ile trzeba na uzupełnienie paliwa. Nie chciałem cię budzić, a zresztą myślę, że w drodze powrotnej zatrzymamy się tu na kilka dni. Posłuchaj, mam wspaniałe wiadomości. Nareszcie pojąłem tę idiotyczną grę. W ostatnich tygodniach wygrałem parę dolców w Palm Beach. Nie jestem jeszcze w stanie osobiście brać w tym udziału, ale na aukcji w Kalkucie wynajmę sobie gracza. To jest wspaniała gra, maleńka... Poczekaj, aż się w tym połapiesz.

— Tak, Mikę...

— Kochanie, ty do mnie dzwonisz, ale załatw z telefonistką, żeby mnie obciążała kosztem.

— Nie, Mike, to moja rozmowa. Niech tak zostanie.

— Okay, posłuchaj, muszę już lecieć. Złapałem frajera do remika. Kiedy czekaliśmy na zatankowanie samolotu, pobiłem Freddiego w trzech partiach... w ciągu jednej godziny. Jechał z nami w tę podróż i od tej pory napalił się, żeby codziennie ze mną grać.

— Kto to jest Freddie?

— Och, to taki młody dupek, który ożenił się z bogatą babką. Myślę, że poznałaś go w Palm Beach... na pewno go poznałaś.

— Dobrze, Mike, powodzenia z Freddie.

— Cześć, maleńka, do zobaczenia.

Tego wieczoru przyjęła zaproszenie Lindy na obiad z jej przyjacielem i „kolegą”. Poszli do małej restauracyjki na Pięćdziesiątej Szóstej Ulicy. Linda uprzedziła ją, by wybrała najtańsze danie.

— Mój płaci dwóm żonom alimenty, a twój żonie i opłaca synowi psychoanalityka.

January stwierdziła, że jej chłopak wygląda jak długa, chuda świnia. Był wysoki i szczupły i na tym kończyło się jego podobieństwo do człowieka. Miał rumianą twarz, nos w kształcie świńskiego ryja, kosmyki różowych włosów, ledwo okrywających mu głowę, i małe, niejednolitego koloru baczki, które wcale nie chciały rosnąć. Opowiadał o grze w squash, o joggingu i wywołującej wrzody pracy na Madison Avenue. Obaj pracowali w tej samej agencji reklamowej i większość wieczoru spędzili dyskutując o rozliczeniach i opowiadając ploteczki z biura. Z tego, co mówili, było jasne, że codziennie jadają razem lunch, po co więc jeszcze dzisiaj o tym rozmawiają? Uświadomiła sobie jednak, że są zdenerwowani, a poza tym byli — jak by określił to Mike — urodzonymi straceńcami. Siedzieli z dwiema atrakcyjnymi dziewczynami, na których chcieli zrobić wrażenie, i sądzili, że kluczem do tego może być rozmowa o „wielkich interesach”. January nie mogła wprost uwierzyć w nierealność tego wszystkiego. Czy nie patrzyli w lustro przy goleniu? Nawet gdyby prosiaczek (który reagował na imię Wally) był właścicielem agencji reklamowej, i tak nie mógłby jej niczym zaimponować. Żałowała, że w ogóle zgodziła się na to spotkanie. Powinna siedzieć teraz w domu, jeść obiad przed telewizorem i czytać dobrą książkę. O wpół do jedenastej spotkanie dobiegło nareszcie końca. Było mroźno, ale poszli do domu na piechotę, gdyż prosiaczek powiedział, że nie zaliczył swej codziennej porcji joggingu. Linda zaprosiła natychmiast wszystkich do siebie na kieliszek

przed snem, lecz January wykręciła się zmęczeniem.

Prosiaczek uparł się, że wejdzie razem z nią do budynku i odprowadzi ją do drzwi. Gdy włożyła klucz do zamka i odwróciła się, by powiedzieć mu „dobranoc”, wytrzeszczył na nią oczy.

— Chyba żartujesz?

— Nie, dobranoc i dziękuję za miły wieczór.

— A co z nami?

— No... jak to: co z nami? — spytała.

— Nie mów mi, że jesteś jedną z tych oziębłych babek.

— Nie, teraz jestem po prostu babką zmęczoną.

— Zaraz sprawdzimy.

Pochylił się i w tej samej chwili język prosiaczka zaczął się wciskać do jej gardła, poczuła na całym ciele jego ręce. Obmacywał ją pod płaszczem i próbował wślizgnąć się pod bluzkę. W przyпіływie wściekłości podniosła nogę i trafiła kolanem w cel. Odskoczył z jękiem, a w świńskich oczkach pojawiły się na ułamek sekundy łzy bólu. Potem na jego twarz wypłynął grymas. January wystraszyła się na dobre, próbowała otworzyć drzwi i dostać się do środka, ale złapał ją i uderzył w twarz.

— Ty wszawo cipo! Rzygam takimi jak ty cnotkami z kamienną dupą. Ja ci pokażę.

Złapał ją, lecz wściekłość stłumiła w niej strach i w nagłym przyпіływie siły odepchnęła go, otworzyła drzwi, wsunęła się do środka i zatrzasnęła mu je przed nosem. Przez chwilę stała drżąc ze złości i zdenerwowania. Spodziewał się, że pójdzie z nim do łóżka za standardowy obiad za trzy dolary i dziewięćdziesiąt pięć centów!

Rozebrała się powoli i puściła wodę w łazience. Potrzebowała dużej ilości piany i perfum, aby zmyć z siebie brud dzisiejszego wieczoru. Miała właśnie wejść do wanny, gdy zadzwonił telefon.

To Linda mówiła przytłumionym głosem: — January, czy Wally jest u ciebie?

— Skądże!

— Och! No dobra, posłuchaj, Steve jest w łazience. Sprawdziłam właśnie, czy nie ma dla mnie wiadomości, i zgadnij, kto dzwonił? Tom Colt!

— Naprawdę?

— Tak, jest w mieście. Telefonistka powiedziała mi, że dzwonił o wpół do jedenastej. Zatelefonuj teraz do niego, jest w hotelu Plaża.

— Ja? Przecież dzwonił do ciebie.

— January, nie mogę! Jestem w łóżku ze Stevem, to znaczy będę, jak tylko wyjdzie z łazienki. Słuchaj, powiedz mu, że dzwonisz w moim

imieniu, że mam jakieś zebranie do późna w nocy... sama wiesz... Dowiedz się, czy chce mnie jutro widzieć.

— Nie mogę, Lindo, naprawdę.

— Zrób to, no już, teraz. Wiesz co? Możesz się wkręcić na to spotkanie.

— Nie.

— Proszę! Och, cześć... Steve, właśnie sprawdzam, czy nikt do mnie nie dzwonił. — Po chwili Linda odezwała się urzędowym tonem: — W porządku, panno Green, dziękuję za informacje i proszę załatwić za mnie ten telefon.

January usiadła na łóżku, woda w wannie wystygła, minęło dwadzieścia minut, a ona jeszcze nie zatelefonowała. Nie mogła. Jakże mogłaby to zrobić? Ale przecież była to winna Lindzie. Opanowała własne uczucia i podniosła słuchawkę.

Telefonistka w hotelu Plaża poinformowała, że pan Colt zażyczył sobie, by mu NIE PRZESZKADZAĆ. Zostawiła więc wiadomość, że panna Linda Riggs odpowiedziała na jego telefon. Gdy odłożyła słuchawkę, nie była pewna, czy jest rozczarowana, że nie mogła z nim porozmawiać, czy też zadowolona, że Tom nigdy się nie dowie, iż to ona dzwoniła.

Linda zatelefonowała jeszcze przed budzikiem.

— January, obudź się, mam tylko sekundę. Steve jest w ubikacji i zaraz wyjdzie na nasze poranne pieścizki. Powiedz, czy rozmawiałas z Tomem?

— O Boże, która godzina?

— Siódma. Rozmawiałas z nim?

— Nie, wyłączył telefon, ale zostawiłam wiadomość, że dzwoniłam.

— Kochana dziewczyna! Pogadamy później.

O wpół do dwunastej Linda wezwała January do swego gabinetu.

— Właśnie z nim rozmawiałam — powiedziała — i dotrzymałam słowa.

Idziemy wszyscy dziś wieczorem na Me, nie Nanette.

— Och...

— Nie masz zamiaru mi podziękować?

— Lindo, naprawdę nie muszę iść, w zasadzie myślę, że raczej nie powinnam.

— No nie, co ty? Tom powiedział: „Poprzednim razem ja wybrałem przedstawienie, więc — teraz powiedz, co ty chcesz obejrzeć.” A kiedy wybrałam Nie, nie Nanette, ucieszył się, ponieważ Patsy Kelly również jest jego ulubioną aktorką. Potem spytał: „Czy zaprosisz January?”, a ja odpowiedziałam: „Tak, myślę, że tak będzie lepiej wyglądało, jesteś w końcu żonaty. W trasie to nie będzie miało znaczenia, bo wszyscy będą

wiedzieli, że jadę, aby napisać artykuł." I na tym stanęło. Tylko że dziś mam zamiar doprowadzić sprawę do końca. Dajmy sobie więc spokój z Sardim i chodźmy gdzieś, gdzie się ostro pije. Wtedy ty, w odpowiednim momencie, nas opuścisz. Albo jak zaproponuję u siebie kieliszek czegoś przed snem, ty się wymówisz.

— Lindo, może Tom zaprosi Patsy do Sardiego...

— O kurde, to znaczy że będziemy siedzieć i rozprawiać o teatrze i wszyscy będą bardzo układni, tak jak ostatnio.

— To oczywiście, że Tom lubi teatr.

— No cóż, zobaczymy, jak się sprawy potoczą. Mamy się spotkać u niego o szóstej. Powiedział, że ma trochę zakąsek i coś do picia, abyśmy wytrzymały do końca przedstawienia. Jeżeli łyknie sobie trochę na pusty żołądek, to będę miała szczęście...

Przyjechały do hotelu o szóstej. Była tam Rita Lewis ze zgaszonym, młodym człowiekiem z „Life'u”. Tom, ze szklaneczką burbona w ręce, dokonał prezentacji. Na ich widok Rita doznała szoku. Tom przygotował im drinki, usiadły cichutko, a on kontynuował wywiad. January zauważyła, że Tom patrzy co jakiś czas na zegar stojący na kominku. O wpół do siódmej młody człowiek nadal zadawał pytania, a za piętnaście siódma Tom spytał: — Jak długo to jeszcze potrwa? Mam bilety do teatru.

— Panie Colt — głos Rity zmienił się pod wpływem hamowanej irytacji — to jest wywiad dla „Life'u”. Pan Harver zostanie tu jeszcze trochę...

Chcę powiedzieć, że nie będziemy go ograniczać w czasie, a o wpół do dziewiątej przychodzi fotograf.

— Obawiam się, że będziemy musieli przełożyć tę sesję na później — powiedział Tom, po czym zwrócił się do dziennikarza: — Bardzo mi przykro, młody człowieku, ale...

Rita skoczyła na równe nogi.

— Panie Colt, nie może pan tego zrobić! I tak wywrócił mi pan do góry nogami harmonogram całych dwóch tygodni. Musiałam zmienić wszystkie rezerwacje, show „i???” Douglasa, program „Kupa w Chicago”...

— No cóż, gdy następnym razem powie mi pani, że mam o piątej wywiad, proszę nie zaskakiwać mnie żadnymi niespodziankami.

— Przecież zostawiłam panu wczoraj kopertę z harmonogramem.

Wyraźnie było powiedziane: „Reporter z «Life'u» i zdjęcia o piątej

— pierwsza sesja.” Każdy wie, że sesja oznacza kilka godzin. Fotografa też nie można poganiać, tym bardziej że jest to Rocco Garazzo, jeden z najlepszych.

— Przykro mi, dziecinko — odpowiedział Tom — zrobimy to innym

razem. O, proszę, tu macie alkohol, bawcie się dobrze.

— Panie Colt — głos Rity się załamał, a oczy jej zaszczyły łzami

— przez pana stracę pracę, bo powiedzą, że spartaczyłam robotę, i nie znajdę innego zajęcia, gdyż rozejdzie się, że nie dałam sobie rady z wielkim pisarzem. Zniszczy mi to też wszystkie układy osobiste... na przykład z „Life'em”, ponieważ swym zachowaniem obraża pan reportera, który ma po prostu napisać artykuł, stara się ze wszystkich sił i...

— Niech pani przestanie — przerwał spokojnie Tom — dopięła pani swego. — Potem zwrócił się do Lindy: — Bilety są na moje nazwisko, idźcie, kochane, same obejrzyć przedstawienie i potem tu wróćcie. Weźcie mój samochód, stoi przed wejściem. — Zdjął marynarkę, nalał sobie mocnego drinka i zwrócił się do reportera:

— Okay, panie Harvey, przepraszam za to nieporozumienie. Łykniemy sobie razem i może mi pan zabrać tyle czasu, ile panu potrzeba.

W drodze do teatru Linda piała z zachwytu nad takim obrotem sprawy.

— Pije, a poza tym Sardi już nie wchodzi w grę. Ale wracam tam sama. Czuję, że nadszedł właściwy moment.

Po przedstawieniu straciła trochę odwagi.

— A może Rita i ludzie z „Life'u” są tam jeszcze? Lepiej wróc ze mną, a jeśli Tom będzie sam, zostaniesz na jednego drinka i ulotnisz się na mój znak. Kiedy powiem: „January, myślę że twój artykuł o kotach będzie doskonały”, odpowiesz: „Właśnie sobie przypomniałam, że mam dzisiaj jeszcze trochę pracy. Lepiej już pójdę.” Dobrze?

— Dobrze. Ale czy ty nie... — urwała.

— Co takiego?

— Czy nie latasz za nim tak, jak powinien latać mężczyzna za kobietą? Linda wybuchnęła śmiechem.

— January, założę się, że oczekujesz, aby mężczyzna, który cię wyobraca, przysyłał ci następnego dnia kwiaty.

— No... tak... David tak zrobił.

— Może właśnie dlatego pojawia się raz na dziesięć dni. Tak się natomiast składa, że wiem, iż ta modelka, którą obraca dość często, nie tylko nie dostaje od niego kwiatów, ale następnego ranka szykuje mu śniadanie i podaje do łóżka. Biorąc pod uwagę, że Kim, dla zachowania ładnej szczupłej sylwetki, ogranicza się zaledwie do łyżki selera dziennie... Wiesz, nie jest łatwo patrzeć na faceta jedzącego jajka na bekonie, podczas gdy ty umierasz z głodu.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— A to, że nie ma dziś układów damsko-męskich. Dziewczyna może być

na tyle agresywna wobec mężczyzny, na ile jej to odpowiada. Może sama dzwonić do niego, może mu zaproponować pójście do łóżka. Tak to jest dzisiaj, mamy lata siedemdziesiąte, nie zaś pięćdziesiąte.

— Jednemu tylko się dziwię: skoro tak bardzo lecisz na Toma Colta, to dlaczego poszłaś wczoraj do łóżka ze Stevem?

— Zanim wczoraj dowiedziałam się o powrocie Toma, już powiedziałam Steve'owi, że go pragnę. Przecież nie mogłam go wyrzucić, nie? Poza tym jest bardzo dobry w łóżku, a ja już dawno się nie kochałam.

— Chyba musisz coś czuć, żeby iść do łóżka z mężczyzną?

— Tak... podniecenie seksualne.

— Lindo!

Linda patrzyła na nią siedząc w ciemnej limuzynie.

— Wiesz co, January? Tom Colt ma pięćdziesiąt siedem lat, a jest nowoczesny. Ty? Jesteś nie z tej epoki.

Gdy Linda i January przyjechały do Toma, Rita Lewis i reporter z „Life'u” właśnie wychodzili. Tom powitał wylewnie dziewczęta, spytał, jak podobała się sztuka, i koniecznie chciał, żeby wszyscy się z nim napili, łącznie ze znąkaną Ritą Lewis. Jednakże Rita musiała iść, został więc tylko dziennikarz z „Life'u”, lecz po drinku powiedział: — Naprawdę muszę już wracać. Obiecałem żonie, że będę w domu najpóźniej o dziesiątej. Czeka na mnie z jedzeniem.

Tom pokiwał ze smutkiem głową.

— Czemu pan wcześniej nic nie mówił? Ja kiedy piję, zapominam o jedzeniu. Mój Boże, zagłodziłem pana... i tę biedną kobietę z biura prasowego wydawcy. Gdzie pan mieszka?

— Tuż obok Gramercy Park.

— No cóż, przed hotelem stoi samochód. Proszę z niego skorzystać, a potem go tu odesłać, aby mógł zabrać dziewczęta do domu.

— January, jestem zachwycona twoim artykułem o kotach, który właśnie piszesz — rzuciła Linda.

January ruszyła do drzwi.

— Muszę jeszcze nad nim popracować. Prawdę mówiąc, miałam zamiar poświęcić mu dziś wieczór trochę czasu. Wyjdę z panem Harveyem...

Może mnie podrzucić do domu.

— Ten biedny facet umiera z głodu — powiedział Tom — i jedzie w przeciwnym kierunku. Będzie musiał pojechać do dzielnicy willowej, a potem wrócić do śródmieścia tylko z powodu jakiegoś artykułu o kotach. Czy to nie może poczekać do jutra?

— No cóż, ja naprawdę muszę...

— January najlepiej pracuje się w nocy — rzuciła szybko Linda.
— A nam to nie? Tym razem jednak jej geniusz będzie musiał poczekać, jedź, Bob.

Młody człowiek zawahał się.

— To naprawdę żaden problem. Nie zrobi mi różnicy...

— Zmykaj — przerwał mu dobrotliwym tonem Tom. — Jedź do domu, do żony i kolacji. — Potem zwrócił się do Lindy wyciągając do niej rękę ze szklanką. — Zechcesz ją napełnić, kochanie? I nalej trochę piwa imbirowego swojej dziewczynie od kotów.

Wypił dwa szybkie drinki, a potem spostrzegł kopertę leżącą na stole.

Podniósł ją.

— Instrukcje na jutro od mojej prasowej damy.

— Lepiej je przeczytaj — poradziła January — bo możesz mieć poranne spotkanie.

— Nawet wiem jakie: w Filadelfii program "i???" Douglasa. A potem w Waszyngtonie.

— Wyjeżdżasz? — spytała Linda.

— Tylko na dwa dni, potem wracam tu na tydzień, a później znowu wyjazd: Chicago, Cleveland, Detroit. Z Detroit przyjeżdżam tu na kilka dni i jadę do Los Angeles.

— O której jutro wyjeżdżasz? Tom brodą wskazał kopertę.

— Otwórz i zobacz. Linda rozerwała ją.

. — Nie wcześniej jak w południe. Napisane jest, że o tej porze zajedzie po ciebie limuzyna, ale jesteś jeszcze umówiony o dziewiątej na śniadaniu.

Będzie Donald Zec.

— Tak, to facet z Londynu, pisze o mnie artykuł do „Daily Mirror”. — Podniósł się z miejsca. — Lepiej już się położę. Chcę być wyspany na spotkaniu z Donaldem, to mój dobry kumpel.

Ruszył do sypialni.

— January, myślę, że ta twoja opowieść o kotach jest...

— Muszę już iść. Wezmę taksówkę... — zaczęła January. Tom odwrócił się do nich.

— Pojedziecie razem samochodem. Idę się rozebrać, a kiedy was zawołam, przyjdziecie, otulicie mnie kołdrą i wypijemy strzemienego. Powiedziawszy to zniknął w sypialni. January spojrzała na gotującą się z wściekłości Lindę i wzruszyła bezradnie ramionami.

— Muszę się dowiedzieć, kiedy Tom wyjeżdża do Chicago. Cleveland i Detroit, bo zamierzam z nim jechać. Do Filadelfii i Waszyngtonu już się nie wybiorę, jest za późno, żeby zarezerwować hotele i załatwić całą

resztę, poza tym będą z nim prawdopodobnie ludzie z „Life'u”. — Nagle spojrzała na January. — Wiesz co?... Zbieraj się stąd... teraz.

— Chcesz, żebym sobie tak po prostu poszła?

— Tak, powiem mu, jak mnie zawoła, że naprawdę musiałaś już iść.

— Ależ, Lindo, to takie niegrzeczne!

— Przecież on cię nie chce, jest po prostu uprzejmy, a poza tym wcale nie nalegałaś, by pojechać. Bob Harvey był gotów zboczyć trochę z drogi, żeby cię odwieźć do domu, tylko ty nie upierałaś się zanadto.

— Słuchaj, Lindo, nie chcę, by Tom myślał, że go nie lubię. Skoro przyjąłem jego zaproszenie do teatru, nie mogę się nagle zacząć zachowywać tak, jakby był zadżumiony. Pomyśli, że jestem nieokrzesana.

— A co cię obchodzi, co sobie pomyśli? Jak już znajdzie się ze mną w łóżku, nie będzie za dużo myślał. No już, January, bierz płaszcz i zmykaj. W tym momencie Tom krzyknął z sypialni: — Hej, dziewczęta, przynieście butelkę i trzy kieliszki.

— Idź — syknęła Linda.

— Lindo, czy naprawdę powiesz mu, że musiałam jeszcze popracować?

— Tak, tak, tylko idź już, na miłość Boską!

Nagle Tom wszedł do pokoju. Był w szlafroku i nie ulegało wątpliwości, że nic pod nim nie ma.

— Hej, co tak stoicie jak wryte? Bierzcie alkohol i chodźcie. Linda rzuciła January piorunujące spojrzenie, sięgnęła po butelkę i obydwie pomaszerowały za nim do sypialni. Tom usiadł na narzucie i oparł się wygodnie.

— Wypijmy strzemiennego, a potem wyjdziecie na palcach i zgasicie światło. — Gdy spostrzegł, że Linda trzyma w ręku tylko dwie szklaneczki, wskazał w kierunku łazienki: — Tam jest szklanka. January, tym razem chcę, żebyś ty też się napiła. Za moje tournée.

Poszła do łazienki i wróciła posłusznie ze szklanką. Nalał im po łyku, sobie pół szklanki czystego burgunda.

— Teraz usiądźcie po moich obu stronach. — Wypijmy zdrowie wielkiego pisarza, który ma właśnie wyjechać i wystawić się na sprzedaż jak pokarm śniadaniowy. Ludzie. Ludzie!... chodźcie zobaczyć pisarza!... Zróbcie z niego pośmiewisko!... Wygwizdźcie go!... Wszystko wam wolno, dopóki go kupujecie. — Wypił połowę drinka jednym haustem, Linda łyknęła całą porcję i popatrzyła na Toma oczekując pochwały. Mrugnął do niej i ponownie napełnił jej szklankę. Potem dolał jeszcze sobie i spojrzał na January. Pociągnęła mały łyczek, po czym nagle wychyliła resztę. Uśmiechnął się szeroko i dolał także jej. Gardło January

płonęło, przez ułamek sekundy pomyślała, że chyba tak się czuje człowiek po połknięciu trucizny. Następnie pieczenie rozlało się ciepłem w piersiach. Kolejnego drinka sączyła powoli, znowu stwierdzając, że drugi przechodzi o wiele łatwiej — piła małymi łydkami, co było znacznie lepsze niż palenie sobie gardła strugą alkoholu. Zastanawiała się, czy Tom wie, że one też nie jadły dziś obiadu. Zakręciło jej się w głowie i odniosła wrażenie, jakby stała z boku i przyglądała się sobie. Przesunęła się w nogi łóżka, a Linda położyła głowę na piersi Toma. Głaskał jej włosy z roztargnieniem, potem ujął ją pod brodę i patrzyli sobie w oczy. January zaś nie bardzo wiedziała, jak ma się stamtąd wydostać. W końcu Tom nachylił się i pocałował Lindę w czoło.

— Ładna z ciebie dziewczyna — powiedział powoli.

January zdawała sobie sprawę, że powinna wyjść, lecz była jak sparaliżowana. Linda patrzyła Tomowi w oczy i wyglądała tak, jakby się miała za chwilę rozpląnąć.

— Lindo — rzekł ważąc słowa — musisz mi pomóc. Linda w milczeniu kiwnęła głową.

Znowu pogłaskał ją po włosach.

— Lindo, mam bzika na punkcie January. Co robić?

W pokoju zaległa cisza, jakby czas stanął nagle w miejscu, wszyscy zamarli w bezruchu niczym w muzeum figur woskowych. Linda nadal pochylała się nisko nad Tomem i patrzyła mu w oczy, January wciąż siedziała w nogach łóżka ze szklaneczką w ręce. Mijały sekundy. Nagle January ocknęła się, zeskakując z łóżka.

— Muszę do łazienki! — zawołała gwałtownie.

Wbiegła do łazienki i osunęła się na podłogę, głowę oparła na brzegu wanny. Cała ta sytuacja była nierealna. Czy Linda nadal siedzi wpatrzona w Toma? Jak on mógł powiedzieć coś takiego? A może to był dowcip... ich prywatny żart? Oczywiście! Właśnie tak! Teraz leżą na pewno objęci i śmieją się z jej reakcji. Nie... nie dała się nabrać, uda, że zrozumiała dowcip, tylko naprawdę musiała iść do łazienki. Spuściła parę razy wodę, odkręciła kran i narobiła sporo hałasu przy myciu rąk — potem otworzyła drzwi i weszła śmiało do pokoju.

Tom siedział oparty o poduszki i patrzył prosto na nią. Nigdzie nie było śladu Lindy. Przez chwilę przyglądali się sobie, po czym ze smutnym niemalże uśmiechem Tom zaprosił ją gestem do siebie. Podeszła powoli i usiadła ostrożnie na brzegu łóżka.

— Gdzie Linda? — spytała.

— Odesłałem ją do domu.

Chciała wstać, lecz pociągnął ją delikatnie za rękę i z powrotem usiadła.
— Nie bądź taka napięta, nie mam zamiaru cię zgwałcić. Na ogół nie zakochuję się w dziewczętach, których ojcowie są młodszy ode mnie. Mogę mieć wszystkie dziewczyny, jakie tylko zechcę... nieskomplikowane. Nawet żeniłem się z takimi. Za często... Na tym polega mój problem. Myślę, że dzisiejsza młodzież ma rację, że obala mit małżeństwa. Ludzie powinni być razem ze względu na to, że się kochają, a nie z uwagi na prawo, bo to tak jak wyrok sądowy. Uprzedzę twoje pytanie. Nie jestem szaleńczo zakochany w żonie, tak naprawdę nigdy nie byłem. Jedyne, co się liczy, to że dała mi dziecko, a tego zawsze pragnąłem. Gdybym od niej odszedł, zabrałaby dziecko, dlatego nigdy do tego nie dopuszczę. To szaleństwo, że tak bardzo cię chcę, Linda byłaby łatwiejsza: żadnych pytań, tylko balowanie. Próbowalem nawet jej zapragnąć, ale ty stałaś na drodze. Przyłapałem się na tym, że cały czas o tobie myślę. Wcale nie musiałem tu wracać i jechać w trasę na Wschodzie, książka sprzedaje się znakomicie — do tej pory ponad pięćdziesiąt tysięcy egzemplarzy i planowany jest dodruk kolejnych dwudziestu pięciu. Wróciłem tu jednak i zgodziłem się na objazd jedynie ze względu na ciebie. — Przyciągnął ją i pocałował delikatnie w usta. — Nic się nie zdarzy dzisiejszej nocy, January, w ogóle nic się nie stanie, aż ty nie będziesz czuła tego samego do mnie.

— Tom, ja... och, Tom, naprawdę zależy mi na tobie... Kiedy to zrozumiałam, byłem przerażona... ponieważ masz żonę i dziecko.

— Ale to, co do siebie czujemy, nie ma nic wspólnego z moim dzieckiem. Już ci powiedziałem, co mnie łączy z żoną.

— Tom, nie mogłabym zgodzić się na to na tydzień... czy na tę jedną chwilę, nie rozumiesz?

— January, miłość nie trwa wiecznie. Trzeba dziękować losowi i brać ją, gdy tylko się nam trafi.

Patrzyła na niego poważnie.

— Kochasz mnie, Tom? Spojrzał zamyślony.

— To bardzo ważne słowo i muszę przyznać, że często go używałem, ale nigdy nie traktowałem tego poważnie. Myślę jednak, że gdy powiem je tobie, nabierze prawdziwego znaczenia.

— Tak, tylko tak mogłabym... — rozpaczliwie szukała właściwych słów.

— Widzisz, czuję się bardzo winna... czuję się winna nawet teraz, dlatego że siedzę i rozmawiam z tobą w ten sposób, wiedząc, że jesteś żonaty i masz dziecko. To, co robimy, jest złe... całkowicie złe. Ale jeżeli będę czuła, że naprawdę mnie kochasz... że nikt nie zostanie zraniony... poza

nami... cóż, tylko wtedy możemy mieć na cokolwiek nadzieję. Myślę, że Bóg nie będzie się zbyt gniewał, jeśli będziemy się naprawdę kochać. — Zdawała sobie sprawę, że się czerwieni, dlatego spuściła głowę i patrzyła na swe dłonie. — Wiem, że mówię jak idiotka i...

Podniósł jej głowę, a jego oczy były łagodne.

— January, jesteś nawet wspanialsza, niż sobie wyobrażałem. Potem przytulił ją i pogłaskał po głowie, jakby uspokajał dziecko.

Po chwili rozluźnił uścisk, wstał z łóżka i poprowadził ją do salonu.

Sięgnął po płaszcz, lecz January nagle do niego przywarła. Płaszcz upadł na podłogę, a Tom przytulił ją mocno i pocałował. Po raz pierwszy zrozumiała intymność prawdziwego pocałunku. Ich ciała były blisko, tuliła się do niego, chciała zlać się z nim w jedno... Naraz zadzwonił telefon — to kierowca meldował swój powrót.

— Czas na ciebie — powiedział Tom i podniósł płaszcz.

— Och, Tom, tak bym chciała, żebyś nie wyjeżdżał.

— To tylko kilka dni. Może to i lepiej, oboje będziemy mogli wszystko przemyśleć.

Potem pocałował ją delikatnie i gdy szła korytarzem, patrzył za nią, dopóki nie wsiadła do windy.

Czuła podniecenie... strach i zdenerwowanie. To nie może być złe!

Niewątpliwie przeznaczenie sprawiło, że Tom zamieszkał w dawnym apartamencie ?i???. I January swoją pierwszą prawdziwą miłość przeżyje w jego łóżku.

Oparła się o siedzenie limuzyny i rozmyślała o tym wszystkim, przeżywała na nowo każde zdarzenie dzisiejszego wieczoru, każde słowo Toma. Coś ją jednak niepokoiło, z początku była to jakaś dokuczliwa myśl, która mąciła jej szczęście, zanim zaś dotarła do domu, wpadła niemal w popłoch. Co Tom miał na myśli mówiąc, że dwa dni są okazją, aby oboje mogli zastanowić się nad wszystkim? Czyżby go odstraszyła rozmową o miłości i poczuciu winy? Czy wróci i powie: „Przemyślałem wszystko, January, i lepiej, żeby do niczego między nami nie doszło”? Nie, tego nie robi, przecież zależy mu na niej. I nagle w ciemnościach limuzyny uświadomiła sobie, że kiedy ich ciała były mocno do siebie przytulone, Tom nie miał w ogóle erekcji! Absolutnie nic! O Boże, może wcale go nie podnieciła, a wręcz przeciwnie — odstraszyła?!

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Całą noc nie spała. Pod pewnymi względami była to jeszcze bardziej męcząca noc od tej, kiedy się dowiedziała, że Mikę ma żonę. Tamtą noc przesiedziała w odrętwieniu przy oknie, niezdolna do odczuwania żadnych wyraźnych emocji z wyjątkiem świadomości kompletnego zagubienia. Dzisiejsza bezsenna noc była inna. January wypaliła całą paczkę papierosów. „To tylko kilka dni. Może to i lepiej, oboje będziemy mogli wszystko przemyśleć.” Słowa te nie dawały jej spokoju. Co przemyśleć? Myśleć o zakończeniu wszystkiego, zanim się w ogóle zaczęło? Jak mogła być tak głupia i domagać się od niego miłości? Co on to powiedział? Że wiele razy kłamał, gdy mówił, że kocha, ale z nią to słowo nabierze nowej wagi. Pewnie, że go odstraszyła! Nie pyta się mężczyzny, czy cię naprawdę kocha, ot tak, z miejsca. Nie wtedy, gdy jesteście chłodni. Ale przecież ona nie była chłodna wobec Toma, nie chciała niczego udawać. Jeżeli do czegoś dojdzie, to będzie i tak wystarczająco przykre z powodu jego małżeństwa, by cokolwiek udawać. Chciała, aby jej związek z Tomem był uczciwy, aby mogła mu powiedzieć, co czuje i jak bardzo go kocha...

O dziewiątej powlokła się do restauracji. Myślała nawet, czyby nie wykręcić się chorobą i uniknąć konfrontacji z Lindą, ale i tak musiało to nastąpić. Wcześniej czy później. Postanowiła mieć to za sobą jak najprędzej i pójść wprost do jej gabinetu.

Gdy weszła, Linda, ku jej wielkiemu zdziwieniu, uśmiechnęła się szeroko.

— Siadaj, masz kawę i opowiadaj wszystko ze szczegółami.

— Lindo... wczoraj wieczór... ja...

— January, nie jestem zdenerwowana — powiedziała wesoło Linda — a w każdym razie już nie teraz. Muszę przyznać, że rozważałam w nocy różne warianty samobójstwa, ale rano byłam

u mojego psychoanalityka, siedziałam przed jego gabinetem o wpół do ósmej, aż przyjdzie i otworzy interes. Zmusiłam go, by mi poświęcił dwadzieścia minut, choć pod drzwiami czekała już rozhisteryzowana dama w okresie klimakterium. Opowiedziałam mu wszystko, a jak skończyłam, szlochałam głośniejsz niż ta przekwitająca kobieta. Potem usłyszałam:

„Lindo, na ogół czekam, abyś sama znalazła rozwiązanie, tym razem powiem ci jednak, że Tom Colt nie kocha ani ciebie, ani January. Jeżeli mężczyzna w jego wieku ma tyle kobiet, to znaczy, że musi stale się sprawdzać. Wybór January ma oczywisty związek z jej ojcem.” I wyjaśnił mi, że biorąc ciebie, Tom Colt mści się na twoim ojcu.

— A to ci dopiero — odparła spokojnie January. — To dowodzi, że nigdy

nie powinnam się zadawać z psychoanalitykami.

— Miałaś przecież jednego w klinice w Szwajcarii, czy nie?

— Tak, ale nigdy nie mówiliśmy o osobistych sprawach. Rozmawiał ze mną tylko po to, żeby mi dodać otuchy, abym uwierzyła, że nauczę się chodzić, wrócę do świata i będę znowu z ojcem. I to wszystko. Nie rozumiem za to, jak możesz wyjawiać najskrytsze myśli obcemu człowiekowi, choćby i był psychiatrą.

— Doktor Galens wcale nie jest dla mnie obcym człowiekiem. Jest freudystą, ale nie wierzy, że drogą terapii można rozwiązać problemy sytuacyjne, na przykład to, że zostałam wyrzucona z łóżka dla ciebie. Potem znowu działa metodą Freuda i udowadnia, jaki to wszystko ma związek z moją przeszłością. Widzisz, nawet po operacji nosa gdzieś w środku siedzi we mnie brzydka dziewczynka i woła, by ją wypuścić. Dlatego potrzebuję seksu — aby udowodnić, że jestem atrakcyjna. A jeśli chodzi o ciebie... wszystko ma związek z twoim ojcem, nawet wypadek na motocyklu. Zrobiłaś to cholerstwo, aby ukarać ojca za to, że zadawał się z Melbą.

— Czyś ty mu o mnie opowiadała?

— Tak, stwierdził, że masz kompleks Elektry. I dlatego nie możesz sypiać z Davidem. Jest za młody i zbyt przystojny.

— Lindo, o tym też mu powiedziałaś?!

— Oczywiście, że tak. Jest moim psychoanalitykiem i musi wiedzieć wszystko nie tylko o mnie, ale i o ludziach, z którymi mam kontakt. To wspaniały gość. W gruncie rzeczy jestem bardzo powierzchowna... Och, nie bądź zaszokowana, wiem, że taka jestem. Mam kompleks supergwiazdy, niestety nie umiem tak śpiewać jak Barbra Streisand, daleko mi do Glendy Jackson, a Ann-Margret nie musi się obawiać, że ją zdetronizuję jako symbol seksu. W jaki więc sposób pracuję, by stać się supergwiazdą? Przez „Gloss”. Doktor Galens przekonał mnie, że moje poświęcenie dla „Glossu” wcale nie wynika z własnej wiary w pismo, tylko z tego, że ten magazyn TO JA. Jeżeli „Gloss” odnosi sukcesy, to ja również. Nie jestem ani demokratką, ani republikanką, lecz w siedemdziesiątym drugim, bez względu na to, co powie wydawca, „Gloss” zrobi wszystko dla kandydata demokratów, ponieważ chcę być częścią sceny politycznej. Nie wiem, czy to będzie Muskie, Lindsay, Humphrey czy Ted Kennedy. I tak nic mnie nie powstrzyma.

Potem uśmiechnęła się do January.

— Ale do licha z tym! Po to płacę doktorowi Galensowi, żeby dbał o moją

głowę. Opowiedz mi o wczorajszej nocy. Jak było? Cudownie, prawda?

— Nijak nie było, to znaczy... tylko rozmawialiśmy.

— Co robiliście?

— Bo... Lindo, wolę o tym nie mówić. Linda pokiwała dobrotliwie głową.

— Nie kłopotz się, był prawdopodobnie zbyt pijany. — Ton jej głosu uległ zmianie, stał się urzędowy. — Czy umiesz obsługiwać magnetofon?

— Tak.

— Dobra, weź go — podała jej mały magnetofon reporterski. — Myślę, że nie ma wątpliwości, kto pojedzie z Tomem w trasę, więc co dzień wieczorem albo rano, właściwie obojętne kiedy, nagrywaj sprawozdanie z tournée. Przedstawiaj wszystko tak, jak widziałaś, a Sara na podstawie tego napisze artykuł. Mów do tej maszyny, jakbyś pisała pamiętnik, i niczego nie opuszczaj.

— Lindo, nie mogę.

— Nie mam na myśli twego życia seksualnego, to zostaw tylko dla mnie. Choć w twoim wydaniu byłaby to kompletna klęska.

— Nie rozumiem.

— Popatrz, co było z Davidem.

— Ależ ja nie kochałam Davida, a Tom... zależy mi na nim. Linda westchnęła.

— Dziewczyno, to, że kochasz faceta albo że zależy ci na nim, wcale nie oznacza, że będziesz dobra w łóżku. Niektóre słynne w świecie kurtyzany były lesbijkami, a potrafiły doprowadzić mężczyzn do utraty zmysłów. Do tego potrzeba umiejętności, nie wystarczy tylko kochać. A Tom nie jest zwyczajnym mężczyzną, to Tom Colt, żywa legenda otoczona wielkim szumem.

— Żyłam z legendą, taki człowiek jest bardzo ludzki.

— Ach! mam cię! To dlatego się w nim zakochałaś! W tatusiu dostrzegłaś rysy, szukasz więc kogoś, kto byłby większy i lepszy — własnego supermana, tak?

— Lindo, wiesz co? Myślę, że zbyt dużą wagę przykładasz do psychoanalizy.

— No dobra, tylko weź ten magnetofon. Może w końcu, gdy przegramy wszystkie taśmy, odkryjemy nie tylko, jaki jest Tom Colt, ale poznamy prawdziwą January Wayne.

Próbowała nagrać na magnetofon swoje pierwsze wrażenia o Tomie z koktajlu w St. Regis, o jego sile i delikatności. Gdy jednak przesłuchała nagranie, brzmiało jak pamiętnik pensjonarki.

Spędziła koszmary dzień rozmyślając, co będzie, jeśli Tom w ogóle nie

zadzwoń? jeśli postanowił się wycofać? Czy faktycznie wszystko spartaczyła?

O czwartej wyszła z redakcji, nic nie działo się. Gdyby spróbowała to opisać, gdyby zasiadła przy maszynie nad pustą kartką papieru, może potrafiłaby opowiedzieć obiektywnie o tym, jak poznała Toma, a potem tekst nagrać na magnetofon. Postanowiła, że pójdzie do domu na piechotę, by odświeżyć umysł. Próbowwała wmówić w siebie, że wszystko będzie dobrze, nadal jednak dźwięczały jej w uszach słowa: „Może to i lepiej, oboje będziemy mogli wszystko przemyśleć.”

Przemyśleć. Co to oznacza? Na pewno to, że zamierza odejść. O Boże, gdyby Mikę był tutaj, gdyby miała z kim porozmawiać...

Wróciła do domu i sprawdziła, czy nie było do niej telefonu. Nie było. Nagle odniosła wrażenie, że pokój ją przytłacza. Puste butelki po coli, popielniczki pełne niedopałków — pozostałości ciężkich przejść ubiegłej nocy poniewierały się po całym mieszkaniu. Zaczęła sprzątać, ale w pewnej chwili poczuła, że musi wyjść z tego pokoju, porozmawiać z kimś. Rzuciła się do telefonu i zadzwoniła do Davida. Odebrał już po drugim sygnale.

— January, co za miła niespodzianka. To wydarzenie bije wszystkie „pierwsze razy”, jakie przeżyłem. Po raz pierwszy sama do mnie zadzwoniłaś.

— Ja... cóż, ostro pracowałam nad takim jednym opowiadaniem i zapędziłam się chyba w kozi róg. Potrzebuję męskiego spojrzenia. Davidzie, nie poszedłbyś dziś ze mną na obiad? Muszę to z kimś przedyskutować.

— Och, mój biedny aniele... wszystkich wieczorów. O wpół do ósmej umówiłem się na obiad z klientem, ale do tego czasu jestem wolny. Chcesz, żebym wpadł do ciebie na drinka? Jest dopiero wpół do szóstej.

— Nie, spotkajmy się na mieście, muszę gdzieś wyjść.

— January, czy coś się stało?

— Nie, po prostu zamknęłam się tu jak w klatce i pisałam. David wybuchnął śmiechem.

— To wywiera na mnie ogromne wrażenie. Posłuchaj, muszę być we Wschodniej Dzielnicy o wpół do ósmej. Czy możemy się spotkać w Unicornie? Tym sposobem będziemy mieć więcej czasu.

— Dobrze, mogę tam być za dziesięć minut.

— Daj mi piętnaście — zaśmiał się David. — Dopiero co wróciłem do domu i moja twarz domaga się krótkiej randki z maszynką do golenia. Usiedli w Unicornie przy małym stoliku. David patrzył ze zdumieniem,

jak January zamawia Jack Daniela. Choć go nienawidziła, czuła się dzięki niemu bliżej Toma.

— No dobra — uśmiechnął się David. — Powiedz mi o wielkim problemie najnowszej i najpiękniejszej w całej Ameryce pisarki.

— To krótkie opowiadanie, taka wprawka. W pewnej chwili uświadomiłam sobie, że piszę bardzo po babsku i potrzebuję męskiego spojrzenia.

David pokiwał głową z powagą.

— Dobrze myślisz — spojrzął na zegarek. — No dalej, opowiadaj.

— No więc moja bohaterka zakochała się w żonatym mężczyźnie, dużo starszym od niej...

— Och, a on ma wnuki... i całą resztę?

— Nie, ma dziecko... żonę. Nie ma wnuków.

— Ile ma lat?

— Jest przed sześćdziesiątką.

— Złe. Mężczyzna przed sześćdziesiątką powinien mieć wnuki, nie dziecko. Zrób z tego wnuki, inaczej będzie za dużo patosu.

— To nie jest takie ważne, w moim opowiadaniu sedno sprawy tkwi w stosunku między dziewczyną i tym mężczyzną.

— Ile ona ma lat? - January upiła spory łyk burbona.

— Ma... jeszcze nie zdecydowałam.

— Powinnaś jej dać jakieś trzydzieści dwa, bo inaczej nic ci z tego nie wyjdzie. Facet pod sześćdziesiątkę rzadko żeni się z młodszą. A jeżeli ma dziecko z inną kobietą... no cóż, to twoja bohaterka tym bardziej musi być po trzydziestce.

— A dlaczego nie może mieć dwudziestu paru lat?

— Hm, może mieć nawet czternaście, ale tylko wtedy, gdy mężczyzna jest skończoną mendą. Jeżeli jednak ten facet ma żonę i dziecko i zakochuje się w innej, to ona powinna być kobietą, a nie dziewczyną.

— No dobrze, załóżmy, że jest po trzydziestce. Zakochują się w sobie, a ona ma poczucie winy wobec żony i dziecka... i nie zgadza się angażować na zasadzie jednej nocy. Choć ma bzika na jego punkcie, mówi, że nie zamierza rozbijać jego małżeństwa ani nic z tych rzeczy i jeżeli coś ich będzie łączyło, to musi to być miłość.

— W czym leży problem?

— Czy myślisz, że robi źle mówiąc mu o tym? Popatrzył na swego drinka.

— Dlaczego miałyby robić źle? Każda tak mówi, nawet gdy idzie do łóżka na jedną noc.

— Nie o to mi chodzi, Davidzie. Wyobraź sobie, że byli razem przez kilka dni, do niczego nie doszło... po prostu gdzieś tam się oboje znaleźli. A potem zostali rozłączeni. Kiedy on wrócił, powiedział, że jej pragnie, a ona na to: „Musisz mi powiedzieć, że mnie kochasz i...”

— Och, nie — jęknął Dawid — January, co ty piszesz? Wyciskacza łez? Dziewczyna zawsze wie najlepiej, więc po co ma żądać od faceta, by mówił, że ją kocha?

— Wie?

— Oczywiście, a to jest najlepszy sposób, żeby go odstraszyć.

— No dobra, założmy, że dziewczyna z mojego opowiadania jest idiotką. Bo co gorsza, oświadcza mu to tuż przed jego wyjazdem służbowym. Mówi, że nie odda mu się bez prawdziwej miłości, i dodaje, że będzie za nim tęsknić przez te kilka dni, gdy go nie będzie, a on jej na to: „To tylko kilka dni. Może to i lepiej, oboje będziemy mogli wszystko przemyśleć.” Przez chwilę David milczał, a potem uśmiechnął się do niej.

— Wspaniale.

— Co wspaniale?

— January, może naprawdę potrafisz to napisać. Co za zakończenie! Już to widzę. To będzie ostatnia linijka i koniec, kropka. Zostawisz to czytelnikowi: wróci, nie wróci.

January wypięła jeszcze jeden łyk burbona.

— A ty co byś myślał jako czytelnik?

David zaśmiał się i dał znak, że prosi o rachunek.

— Spartaczyła sprawę. Nigdy go już nie zobaczy.

— Czy wszyscy tak pomyślą? David podpisał czek i pokiwał głową.

— Nie, dlatego twoje zakończenie jest takie wspaniałe. Kobiety prawdopodobnie będą wierzyły, że wróci, ale mężczyźni zrozumieją. „Oboje będziemy mogli wszystko przemyśleć.” To najlepsze wykrętne zakończenie, jakie kiedykolwiek napisano.

— Według ciebie te słowa brzmią tak nieodwołalnie? David wstał i pomógł jej włożyć płaszcz.

— Cóż, kochanie, to ty przecież tak napisałaś.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Następnego wieczoru January przyjęła zaproszenie Neda "?????", przystojnego, acz nudnego młodego człowieka, którego poznała kiedyś przez Davida. Dzwonił do niej kilkakrotnie, lecz ona za każdym razem odmawiała. Nagle wszystko wydało jej się lepsze od kolejnej długiej, bezsennej nocy. Poszli do Le Club i dołączyli do grupy jego znajomych. Przez jakiś czas January błogosławiła niemal zgiełk i szalony ruch. Popijała białe wino, pozwalała wodzić się po parkiecie, a nawet próbowała brać udział w rozmowie. Jeszcze przed jedenastą poczuła się nagle wyczerpana. Z trudem powstrzymała ziewanie i kombinowała, jak się stąd urwać. O wpół do dwunastej została uratowana, gdyż ktoś rzucił propozycję, by pójść do Very na tryktraka. January powiedziała, że nie zna Very ani nie gra w tryktraka i nawet przekonała Neda, że będzie całkowicie bezpieczna, jeżeli pojedzie do domu taksówką. Położyła się do łóżka o północy tak wyczerpana, że zaraz usnęła. Dopiero o wpół do dziewiątej rano zadzwoniła telefonistka.

— Panno Wayne, przyszedłam właśnie na dyżur i zauważyłam, że nie sprawdzała pani wczoraj telefonów.

— Och, mój Boże, byłam tak zmęczona, że zapomniałam nawet nastawić budzik. Dziękuję za telefon, i tak musiałam już wstawać.

— Nie chce pani wiedzieć, kto telefonował?

— Ależ oczywiście, tak.

— Dzwoniła Sara Kurtz i mówiła, że czeka dziś po południu na taśmy, podobno będzie pani wiedziała, o co chodzi.

— Ach tak, dziękuję.

— I dzwonił jakiś pan Colt z Waszyngtonu.

— Co?

— Pan Colt dzwonił z Waszyngtonu o wpół do dziewiątej wieczorem i ponownie o dziesiątej. Prosił, by zadzwoniła pani do niego do hotelu Shoreham.

— Och, dziękuję, bardzo dziękuję! — Przepraszam, że panią obudziłam.

— Nic nie szkodzi, to wspaniale, ja... i tak powinnam już wstać. Dziękuję pani serdecznie.

Złapała Toma w hotelu, gdy właśnie wychodził.

— Och, Tom, wróciłam do domu o dwunastej i zapomniałam sprawdzić, czy ktoś do mnie dzwonił, przepraszam.

— Powoli — zaśmiał się Tom. — Przede wszystkim powiedz, jak się masz?

— Świetnie... Nie, wcale nie świetnie, brakuje mi ciebie. A ty? Tęsknisz za mną?

— Tak... za wszystkim.

— Kiedy wracasz?

— W piątek wieczorem. Zjesz ze mną obiad?

— Czy zjem... też pytanie!... To znaczy tak, z radością.

— Doskonale. Zadzwoń do ciebie zaraz po przyjeździe.

— Okay. Ale wiesz? chyba lepiej ja zadzwonię... Będę się dowiadywać w hotelu, czy już jesteś, bo możesz mnie nie złapać pomiędzy redakcją i domem.

— Nie martw się, January, znajdę cię. Powiedziawszy to, odłożył słuchawkę.

Przez całe przedpołudnie próbowała nagrać obiektywne sprawozdanie z przyjęcia na cześć Toma, opisać jego zachowanie, obecnych tam ludzi, uczucie osaczenia, którego doznaje pisarz, kiedy znajduje się w centrum uwagi jako honorowy gość.

Linda przeszłuchała taśmę i pokiwała głową.

— Brzmi niezłe. Dam to Sarze. — Potem przyjrzała się January i spytała:

— Co się z tobą dzieje? Wyglądasz okropnie.

January milczała przez chwilę, po czym powiedziała: — Lindo, nie wiem co robić... Jestem przerażona.

— Czym?

— Tom przyjeżdża jutro.

— Nie mów mi, że nadal masz zamiar odgrywać rolę cnotliwej dziewczyny.

— Nie, ja... chcę pójść z nim do łóżka, ale boję się, że go nie podniecę.

— Taki facet jak Tom na pewno się podnieci, nie ma powodu do zmartwienia.

January patrzyła na swe ręce, które oparła na kolanach.

— Lindo, kiedy przytulił mnie wtedy w hotelu... nic nie miał pod szlafrokiem i...

— I co?

— Nic nie miał... — odparła January. Linda gwizdnęła.

— No tak, zapomniałam! Jasne, jest już pod sześćdziesiątkę i pije, to zabójcza kombinacja. Z miejsca musisz zacząć od obciążania.

— Boję się, że nie będę mogła. Ja... ja nawet nie wiem, jak to zrobić.

— Wyobraź sobie, że to lizak... Do licha, to wymaga wprawy. Ja podobno mam najlepsze usta w mieście, każdy tak twierdzi. A ty musisz po prostu zacząć, trochę podpowie ci instynkt, a poza tym taki facet jak Tom na pewno tobą pokieruje...

— Ale co zrobić, jak będzie miał wytrysk?

— Połknąć.

— Co?! Linda jęknęła.

— January, jeżeli kochasz się z kimś, na kim ci naprawdę zależy, to wytrysk jest spełnieniem, wyrazem miłości. Mężczyzna ma wytrysk, ty przyjmujesz spermę, połykasz ją... To tak, jakbyś połknęła cząstkę jego samego.

— Lindo, zaraz zwymiotuję! W życiu nie słyszałam nic wstrętniejszego. Linda wybuchnęła śmiechem.

— Słuchaj, ty zatwardziała dziewico, sperma jest też bardzo dobra dla kobiety, na mnóstwo hormonów, doskonale robi na cerę. Jak tylko mogę, używam jej jako maseczki na twarz.

— Co robisz?!

— Używam jej jako maseczki. Kiedy Keith mieszkał ze mną i kochaliśmy się co noc, ze trzy razy w tygodniu robiłam to ręką, a jak był bliski wytrysku, podstawiałam mu szklankę. Potem przelewałam spermę do butelki i trzymałam w lodówce. Robiłam z niej fantastyczną maseczkę na twarz. Przypomina piankę z białek, tyle że jest lepsza. Nakładasz na twarz, czekasz z dziesięć minut, aż zeszywnieje, a potem zmywasz zimną wodą. Jak myślisz, dlaczego pozwoliłam temu dupkowi z agencji reklamowej zostać u mnie? Dzięki niemu mam pół szklanki.

— Lindo, to co mówisz, jest wstrętne. Ja bym nie mogła. Jesteś obrzydliwa. To takie...

— No cóż, jeżeli już będziesz obciążać Tomowi druta i nie dasz rady połknąć, pozwól, żeby ci się spuścił na twarz, wetrzyj spermę w skórę i... January zerwała się na równe nogi.

— Nie mogę tego słuchać! Ja...

— Siadaj! O Jezu, zdaję sobie sprawę, że spędziłaś trzy lata z dala od świata w Szwajcarii, a szkoła panny Haddon też nie była miejscem, gdzie Masters and Johnson chcieliby prowadzić badania. Nikt nie mówi, że musisz robić to wszystko, o czym ci mówiłam, ale najwyższy czas, abyś się dowiedziała, że ludzie, którzy tak się zachowują, nie są zбочeńcami. A posłuchać o tym chyba możesz.

— No dobrze, lecz nie mam zamiaru połykać, wcierać ani zbierać tego świństwa.

— W porządku, ale nie możesz z kolei leżeć na plecach i łaskawie pozwolić mu wejść w siebie. To sprawa was obojga.

— To co mam robić?

— Odwzajemniać jego pieszczoty.

— Jak?

— O Jezu! — Linda wstała i przeszła się po pokoju. Potem pochyliła się

nad biurkiem ze spojrzeniem wymierzonym w January.

— Oddałaś mu pocałunek, gdy on ciebie pocałował, prawda?

— Tak.

— A więc co, odwzajemniłaś go?

— Tak.

— Dobra dziewczynka. Kiedy już znajdziesz się z nim w łóżku i będzie całował twe piersi, zacznij go dotykać.

— Gdzie?

— Na Boga, January! gdziekolwiek. Spróbuj głaskać go po karku, całuj w szyję, uszy, policzki... Niech wie, że jesteś żywa, że podoba ci się to, co on robi. Ruszaj się i pojękuj z rozkoszy, gryź go...

— Gryźć?

— No przecież nie do krwi! Chodzi o żartobliwe ukąszenia, jak kociaka... Podrap go po plecach, potem rękami wędruj po jego ciele, językiem...

— O mój Boże! — January odchyliła się do tyłu na krześle.

— Lindo, a co będzie, jeśli się okaże, że nie mogę? Jeśli już w łóżku stanę się spięta?

Linda przyglądała jej się przez chwilę.

— Wiem! — strzeliła palcami. — O której masz się z nim spotkać?

— Na obiedzie, jak wróci z Waszyngtonu.

— No to o czwartej weź zastrzyk z witamin.

— Zastrzyk z witamin?

Linda już przerzucała kartki swojego kołonoratnika. Znalazła właściwą stronę i nabazgrała nazwisko i adres.

— Masz, doktor Simon Alpert. On i jego brat, Preston, są fantastyczni.

Keith zabrał mnie do niego kilka razy, bo miał bzika na punkcie zdrowia.

Myślę, że nadal jest na witaminach, musi go przecież trzymać w pionie dla Christiny Spencer.

— Jak zastrzyk z witamin może sprawić, że Tom stanie się dla mnie seksowny?

— Posłuchaj, wienv tylko, że gdy Keith namówił mnie kiedyś, abym wzięła jeden, cały świat eksplodował, wszystko było w tech-nikolorze. Pracowałam dwadzieścia godzin dziennie, a moje orgazmy z Keithem trwały chyba z godzinę. Byłam świetna w łóżku bez nadmiernej agresywności. Keith zawsze narzekał, że jestem zbyt agresywna, bo staram się nim kierować. To taki jego męski szowinizm. A co w tym złego, że jak mnie liże, mówię: „bardziej na lewo”, „mocniej” albo „lżej”? Niektórym facetom się wydaje, że powinniśmy być im wdzięczne za samo to, że w ogóle polizają. Dobijają mnie ci, którzy robią to symbolicznie. Wiesz,

dotknie taki raz językiem i patrzy na ciebie, jakby ci podarował diament, a w zamian oczekuje, że będziesz jeździć na nim godzinami, nawet jeśli jego fiut jest jak spaghetti. W każdym razie po zastrzyku z witamin podobało mi się wszystko, co Keith ze mną robił, i choć raz nie byłam reżyserem. One są naprawdę fantastyczne. To jakaś kombinacja witamin ? z witaminą E. Doktor Alpert miesza je przy pacjentce. Postaraj się dostać raczej do Simona Alperta, nie do Prestona, bo delikatniej wbija igłę. To jest dynamit. Muszą być doskonałe — jeden zastrzyk kosztuje dwadzieścia pięć dolców. Jeżeli Keith buli za nie takie pieniądze... co ci będę mówić! Wzięłam chyba ze trzy. Myślę, że zawierają jakiś środek hamujący apetyt, bo nie chciałam po nich nawet tknąć jedzenia. Do Alpertów chodzi wiele kobiet z nadwagą. W zasadzie wielu lekarzy daje tego typu zastrzyki, jeden podobno sławnym gwiazdom, grubym rybom z Waszyngtonu, jakiemuś wielkiemu kompozytorowi i kilku producentom hollywoodzkim.

— Dlaczego przestałaś je brać?

— Po dwadzieścia pięć dolarów sztuka? Każdy wystarcza na jakieś trzy dni. Pewna kobieta w poczekalni mówiła mi, że bierze je cztery razy w tygodniu. Po zerwaniu z Keithem nie potrzebowałam już tyle energii. W każdym razie nie dla Leona, z którym teraz jestem.

— Ale czy to nie jest niebezpieczne?

— January, masz dwadzieścia jeden lat i miałaś jeden stosunek, który wydał ci się wstrętny, z bajecznym facetem, który cię nie podniecał. A więc odrzuciłaś Davida. Teraz masz spróbować z Tomem Coltem... i siedzisz tu i opowiadasz mi, że boisz się nawalić. Gdybym to ja miała w perspektywie randkę z Tomem, pognałabym na Madison Avenue w poszukiwaniu szałowego ciucha, a nie siedziałabym tutaj i nie martwiłabym się, jak go rozpaść. To żaden problem, tego jednego jestem pewna.

January uśmiechnęła się do Lindy.

— Mówisz tak, jakbym była opóźniona w rozwoju... seksualnym. Linda wybuchnęła śmiechem.

— Och, nie jest z tobą aż tak źle, żeby ci dobre szturchanko nie pomogło! Zadzwoń teraz do doktora Alperta i umów się z nim na popołudnie. Zobacysz, nie będziesz chciała wyjść z łóżka. Aha, wpadnij po drodze do biura Leona i poproś go o syntetyki.

— Co to takiego?

— Kwasy. Wkładasz do inhalatora i stawiasz na nocnym stoliku. Przed samym szczytowaniem trzeba wciągnąć zapach. Coś niesamowitego!

— Lindo, czy mogę cię o coś zapytać? Powiedz, czy nie można pójść po

prostu do łóżka z kimś, na kim ci zależy, i mieć zwyczajny staroświecki romans?

— Oczywiście, że można, kochanie, właśnie to miałaś z Davidem. O piątej January wyszła z redakcji i pobiegła do domu. Wzięła długą kąpiel, potem wyperfumowała się i wyjęła dwie kreacje — spodnie i koszulę oraz długą spódnicę i jedwabną bluzkę, zależnie od tego, gdzie Tom będzie chciał pójść. Włożyła też nowy stanik od Pucciego. Ciekawa była, czy Linda powiedziała, że staniki od Pucciego są niemodne, choć Linda i tak twierdziła, że ta część garderoby w ogóle wyszła z użycia. O siódmej nadal siedziała w staniku i gapiła się na aparat telefoniczny. Wypaliła pół paczki papierosów i wypła łyk whisky — kupiła butelkę Jacka Daniela na wypadek, gdyby Tom miał ją odwiedzić. Zaopatrzyła się też w kawę i jajka. Nie bardzo wiedziała, czego się spodziewa, chciała jednak być przygotowana.

Zanim nadeszła ósma, dzwoniła trzy razy do hotelu Plaża i za każdym razem telefonistka potwierdzała, że pan Colt ma tu rezerwację, ale jeszcze się nie zameldował.

Zadzwoił o dziewiątej.

— Wybacz mi, January, samoloty w ogóle nie startowały z powodu pogody, musiałem więc jechać pociągiem. Nie telefonowałem, bo miał tu być o szóstej, ale mieliśmy godzinny postój w Baltimore i nie uwierzysz! staliśmy pół godziny w Trenton, ponieważ jakaś kobieta rodziła.

— Och, Tom... niemożliwe! — Gdy go usłyszała, poczuła taką ulgę, że śmiała się radośnie.

— Jestem wykończony. — Serce podeszło January do gardła. — Czy nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli zamówimy obiad tu, do pokoju w hotelu?

— Posłuchaj, Tom, jeżeli jesteś zbyt zmęczony, aby spotkać się ze mną, naprawdę rozumiem. (Co też ona wygaduje!)

— Nie, muszę coś zjeść, umieram z głodu. Chyba że dla ciebie jest to późno.

— Zaraz tam będę.

— Dobrze, na dole czeka mój samochód.

— To znaczy... wiedziałeś, że przyjadę?

— Oczywiście, czy to nie ty powiedziałaś, że nie będzie między nami żadnych gier?

Czekał na nią przy drzwiach, gdy szła przez hol. Padła w jego objęcia, a on pocałował ją delikatnie.

— Mój Boże, wyglądasz wspaniale — powiedział. — Wchodź, befsztyki

już się dosmażają. Pomyślałem, że zakochana dziewczyna nie będzie zbyt zwracała uwagi na to, co je.

Ciągle jeszcze przeżywał swą podróż, każda minuta była dla niego koszmarem. Czuł się jak tresowana małpa, zwłaszcza w telewizji, gdzie wszyscy uczestnicy programu twierdzili, że są jego wielbicielami. Wciąż podziwiał swobodę, z jaką prowadzili program, ich opanowanie, gdy siedzieli pod światłami jupiterów i improwizowali rozmowę. Kiedy wszedł do studia, poczuł się jak zwierzę prehistoryczne — za duże, rzucone w obcy świat, nie na miejscu. Gospodarze programu Domagali mu jednak i jakoś udało się przez to przebrnąć.

— Zarabiam na każdą sprzedaną książkę — powiedział, a potem dodał, że jest już na trzecim miejscu na liście bestsellerów „New York Timesa”.

Po obiedzie usiedli na kanapie i oglądali wiadomości wieczorne. Tom popijał burbona, January też sączyła powoli drinka. Tom był zdziwiony, gdy poprosiła o alkohol, wiedziała jednak, że musi być zrelaksowana, gdy pójdą do sypialni. Nagle Tom zwrócił się do niej z pytaniem: — Co sądzisz o plaży?

— W Westhampton?

— Tak, Hugh mnie zaprosił. Możemy tam przenocować, bo on i tak pół nocy spędza na plaży. Powiedział, że będzie mu wygodnie na kanapie, jeżeli już zechce wrócić do domu.

— Kiedy? — spytała January.

— Jutro. Możemy wyjechać o trzeciej. Rano mam jeszcze dwa wywiady.

— Pojadę z rozkoszą — odparła.

Wstał, objął ją i pocałował delikatnie, wsunął dłonie pod koszulę i stanik. Pamiętała, co powiedziała Linda: „Rób coś, pokaż, że ci na nim zależy!” Na próbę zaczęła bładzić ręką wzdłuż pleców, do dołu, potem przesunęła ją do przodu. Naraz Tom wyrwał się z jej objęć.

— Już bardzo późno, a ja jestem piekielnie zmęczony. Mamy przed sobą cały weekend.

Podał jej płaszcz i odprowadził do drzwi.

— January — powiedział — nie wspomniałaś o tym przez cały wieczór.

— O czym?

— O miłości — odparł z uśmiechem. — Czy nadal mnie kochasz?

— O Boże, Tom, wiesz przecież, że tak.

Uśmiechnął się i pocałował ją lekko w usta. Zastanowiło ją, dlaczego o to spytał. Nagle spojrzała w górę na Toma: — Tom, a czy ty mnie kochasz? Pokiwał powoli głową.

— Myślę, że tak. Naprawdę myślę, że tak.

Następnego dnia o dziewiątej rano zjawiała się w gabinecie doktora Alperta. Wypełniła podaną jej przez recepcjonistkę kartę. Była trochę przestraszona, ale wiedziała, że czegoś jej potrzeba. Wczoraj Tom rozluźnił uścisk, ponieważ nie miał erekcji, i odsunął się od niej, bo nie chciał, żeby o tym wiedziała. Nie podnieciła go. Perfumy Fracas, stanik od Pucciego — wszystko na nic.

Zadzwoiła do Lindy o północy, a gdy ta zawołała: „Co się stało?” i January odpowiedziała: „Nic”, Linda doradziła jej, aby udała się do doktora Alperta, inaczej spartaczy cały weekend.

— Czy to możliwe, żeby mnie kochał i nie miał erekcji?

— O Jezu, January, czy wiesz, ilu cholernie napalonych facetów przychodzi, wskakuje na mnie i nagle pisior takiemu flaczeje, tak że musimy dosłownie wpychać go na siłę do środka?

— Lindo!

— Przestań wreszcie jęczeć co chwila „Lindo” i spróbuj być nowoczesna! Ten facet miał do czynienia z każdym chyba typem dziewczyny, a poza tym liczy sobie pięćdziesiąt siedem lat i jest trochę zmęczony. To ty musisz go podniecić. Sam widok twojego ciała nimfy nie zdoła go rozpałić, ty musisz to zrobić.

January siedziała w biurze doktora Alperta i odpowiadała na wszystkie pytania w karcie. Potem recepcjonistka zaprowadziła ją do oddzielnej kabinki wyposażonej jedynie w kozetkę do badania. Cała klinika miała co najmniej siedem takich kabinek i w każdej ktoś był. Gdy wychodziła, w poczekalni zaczynało być tłoczno. Recepcjonistka wskazała papierowy szlafrok i powiedziała: — Proszę zdjąć wszystko, a potem pójść do końca tym korytarzem.

Owinęła się szeleszczącym szlafrokiem i przeszła do pokoju na końcu korytarza. Pielęgniarka czekała na nią przy elektrokardiografie. Wskazała jej miejsce na kanapie i podłączyła elektrody.

Po skończonym badaniu zaprowadziła ją do innego pomieszczenia.

— Teraz, panno Wayne, pobierzemy pani próbki krwi.

— Przyszłam tu tylko po zastrzyk z witamin, powiedziałam to doktorowi Alpertowi przez telefon.

— Doktor Alpert przy pierwszej wizycie zawsze dokładnie bada pacjentów.

January wyciągnęła rękę. Skrzywiła się, gdy pielęgniarka pobierała krew, a jeszcze bardziej, gdy nakłuwała jej palec. Mimo to poczuła się pewniej. Miała do czynienia z prawdziwym lekarzem, którego należało szanować, bo był sumienny, więc jego zastrzyki musiały być dobre.

W końcu odprowadzono ją z powrotem do kabinki. Usiadła na brzegu leżanki i czekała. W gabinecie doktora Alperta panował tłok. Specjalnie przyszła wcześniej, wyjaśniając, jak jej doradziła Linda, że ma zdążyć na samolot i musi wyjść przed południem.

Po jakichś piętnastu minutach do pokoju wszedł mężczyzna w średnim wieku, o ciepłym uśmiechu, ze stetoskopem na szyi.

— Jestem doktor Simon Alpert. Co pani dolega? Czuje się pani apatyczna? Zanotowałem, że współczynnik zawartości hemoglobiny w pani krwi wynosi dziesięć. To znaczy, że jest pani troszeczkę anemiczna. Nie ma powodu do zmartwienia, ale powinien on wynosić minimum dwanaście.

Zauważyła, że doktor Alpert ma wytarty kołnierzyk i brudne paznokcie u rąk. Trudno było uwierzyć, że ma piękny gabinet przy Park Avenue, sprawną, sterylną pielęgniarkę i recepcjonistkę. Może był człowiekiem pokroju Einsteina, który się nigdy nie cesał i chodził przez okrągły rok w trampkach? Na zębach osadził mu się kamień, a ponieważ uśmiechał się bez ustanku, January przyłapała się na tym, że obserwuje przyżółcone zęby Alperta. Dziąsła też nie wyglądały zdrowo. Doktor sprawiał wrażenie człowieka, który sam powinien pobrać trochę witamin.

— No to co panią właściwie do mnie sprowadza? Rozumiem, że zarekomendowała panią nasza była pacjentka, panna Riggs.

Odwróciła wzrok i zaczęła się przyglądać swym nieskazitelnym paznokciom.

— No cóż, ja... spotykam się z pewnym mężczyzną i...

— Nie robimy tu zabiegów przerywania ciąży. Ani nie dajemy pigułek.

— Nie, nie o to chodzi. Widzi pan, ten mężczyzna jest fantastycz-i?, wszystkie kobiety go pragną, a ja...

— Proszę nie mówić dalej — uśmiechnął się chytrze. — Wszystko rozumiem. Opuścił panią, a pani jest przygnębiona i zdenerwowana. Proszę poczekać — mówiąc to wyszedł kaczkowatym chodem z pokoju. Po pięciu minutach wrócił ze strzykawką.

— Dzięki temu poczuje się pani jak nowo narodzona. Na pewno go pani odzyska.

Zakładał igłę i January miała nadzieję, że wcześniej umył ręce.

— Każda dziewczyna, kiedy się zakocha, za dużo z siebie daje.

Mężczyzna szybko staje się znudzony, a wtedy dziewczyna zaczyna do niego wydzwaniać, prawda? — Mówił dalej, zanim zdążyła odpowiedzieć:

— Historia zawsze się powtarza: telefony, błagania, prośby, a to go jeszcze bardziej zniechęca. Wiecznie to samo.

Rozwiązał tasiemkę szlafroka, który opadł jej prawie do pasa, lecz on ledwo dostrzegł jej nagość. Przyłożył stetoskop między piersi January i słuchał. Wyglądał na zadowolonego z tego, co usłyszał. Potem przetarł wacikiem żyłę na jej ręce.

— Niech pani do niego nie dzwoni — powiedział. — Proszę obiecać wujkowi Simonowi, że skończy pani z telefonami do tego sukinsyna. Wkłuł igłę w żyłę, a January odwróciła głowę. O dziwo, miał bardzo delikatny dotyk, tak że w ogóle nie czuła bólu. Spojrzała na swoją rękę i zobaczyła, jak krew wpływa do strzykawki, a potem patrzyła, jak powoli wchodzi z powrotem do żyły razem z zawartością strzykawki. Doktor Alpert uśmiechnął się do niej.

— Proszę tak potrzymać — rzekł przykładając w miejscu ukłucia wacik. — Proszę tak potrzymać przez chwilę. Ma pani piękne żyły.

Nie mogła wprost uwierzyć: reakcja była natychmiastowa. Miała uczucie, jakby unosiła się w powietrzu, ogarnął ją zawrót głowy, ale bardzo przyjemny. Nagle przeszło przez nią cudowne wrażenie ciepła jak po zażyciu pentotanu sodowego w Rzymie, wypełniła ją dziwna błogość. Różnica polegała tylko na tym, że zamiast senności i zapadania się w nicość, które towarzyszyły zawsze wstrzyknięciu pentotanu sodowego, w January wrzało teraz życie. Miała nieprzepartą chęć, by dotknąć czulego miejsca między nogami pulsującego namiętnością.

Doktor Alpert uśmiechnął się życzliwie.

— No i jak, lepiej? — spytał i uszczypnął koniuszek jej piersi.

Roześmiała się w odpowiedzi, gdyż nie było to dotknięcie brudnego starucha, lecz zwykły przyjacielski gest wujka Simona.

— Będzie dobrze — powiedział. — Niebawem współczynnik hemoglobiny w pani krwi wzrośnie do dwunastu albo trzynastu. Może będzie pani chciała zastrzyk raz w tygodniu, a może zapisze się pani na całą serię? Proszę to uzgodnić z panną Sutton, moją recepcjonistką. Niektórzy lubią brać dwa razy w tygodniu albo w łagodniejszej formie codziennie. Jeden z moich pacjentów ma hemoglobinę piętnaście, z tym że bierze zastrzyk codziennie. Jest znanym kompozytorem i pracuje po osiemnaście godzin na dobę. Zużywa na to całą swoją energię, toteż często potrzebuje nowej dawki, tak jak i wy, wążlaczki, które kochacie się całą noc, a w dzień pracujecie.

Potem jeszcze raz uszczypnął jej pierś i wyszedł z pokoju kołyszącym się krokiem.

Zeskoczyła z leżanki, aż biały szlafrok upadł na podłogę. Przejechała palcami po piersiach, potem jeszcze raz. Sutki stwardniały, krocze

pulsowało niewiarygodną rozkoszą. Dotknęła się tam — jakie to wspaniałe. Cudowny doktor Alpert z brudnymi paznokciami i fantastycznymi witaminami! Z dziwną nagle jasnością pojęła, że do tej pory funkcjonowała tylko w połowie. Może przez całe życie była anemiczna? To znaczy od chwili wypadku. Oczywiście wcześniej, gdy była z Mikiem, zawsze czuła się ożywiona tak jak teraz. I oto znowu czuła się ożywiona — świadoma. Świat czekał, by wzięła go w posiadanie! Ubrała się szybko i wypisała czek na sto dwadzieścia dolarów za elektrokardiogram, badanie krwi i zastrzyk. Recepcjonistka wyjaśniła, że od tej pory zastrzyk będzie kosztował dwadzieścia pięć dolarów, chyba że sobie zażyczy całą serię dwudziestu zastrzyków, wówczas musi zapłacić czterysta dolarów z góry. January uśmiechnęła się do niej. Będzie brała zastrzyki wtedy, gdy będzie ich potrzebowała, płacąc za każdy dwadzieścia pięć dolarów.

Wracając wstąpiła do Saksa i kupiła Tomowi krawat, potem zaszła do Gucciego i kazała dostarczyć Lindzie pasek, którym koleżanka kiedyś się zachwycała. Załączyła do niego bilet ze słowami: „Dziękuję za doktora Alperta.” Później pobiegła do domu, by się spakować. Gdy o trzeciej zadzwonił dzwonek i szofer oznajmił, że samochód czeka, lekkim krokiem poszła do windy pełna entuzjazmu, radując się perspektywą weekendu. Nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy Toma. Cieszyła się też, iż ujrzy Hugh’a. On również był cudowny! Cały świat był cudowny!

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Tom był zachwycony krawatem.

— Będę go wkładał na każde wystąpienie telewizyjne — powiedział. Miał w samochodzie butelkę i zaproponował jej, by się napiła, lecz pokręciła głową.

— Ty jesteś moim środkiem upajającym.

Po przyjeździe do Westhampton wy ścisła Hugh’a Robertsona. Jeżeli nawet zdziwiła go nagła wylewność powitania, nie dał tego po sobie poznać. January natomiast tyle razy wspominała dzień, który spędzili wspólnie w Westhampton, że teraz czuła się, jakby wracała do domu. Wielka kanapa i kominek były dokładnie takie same, jak je zachowała w pamięci. Odgłos fal przybrzeżnych zdawał się odległy, choć przez panoramiczne okno salonu widać było ocean. Tom sączył drinka przy kominku, a Hugh przyrządzał befsztyki. January siedziała przytulona do

Toma na wielkiej kanapie, zrywając się od czasu do czasu, by pomóc Hughowi w szykowaniu jedzenia.

O dziesiątej Hugh podniósł się z miejsca.

— No, czas, bym ruszył na wydmy.

— Zamarzniesz — przestrzegła January.

— Nie zostanę tam przez całą noc. Za kuchnią mam pracownię z rozkładaną kanapą. Często tam sypiam, bo nie zawsze chce mi się wspinać po schodach do łóżka. Toteż z czystym sumieniem możecie cieszyć się moją sypialnią.

Po wyjściu Hugh'a Tom i January siedzieli patrząc na polana trzaskające na kominku, zasłuchani w huk fal rozbijających się o brzeg oceanu. January nigdy nie męczyło obserwowanie fal — była jakaś nieustępliwość w tym, jak nabierały siły, traciły ją rozbijając się na plaży, by potem przegrupować się i próbować od nowa. Przypominały jej figlarne dzieci, które uciekają na plażę tylko po to, by matka zaciągnęła je z powrotem do siebie.

Przytuliła się mocniej do Toma i zaczęła wędrować koniuszkami palców wzdłuż jego profilu. Pochylił się i pocałował ją, a potem podniósł butelkę burbona, wziął January za rękę i poprowadził na górę.

Sypialnia była przerobionym na ten cel strychem. Jej właściciel był bez wątplenia wielkim patriotą, gdyż ściany pomalował na biało, meble zaś miały jasnoniebieski i czerwony kolor. Cały środek pokoju zajmowało ogromne łóżko z piernatami. January dała na nie nurka, zrzuciła buty i zaczęła podskakiwać.

— Tom, chodź tu... ojej, nie ma w ogóle sprężyn. Ono po prostu pływa. Zeskoczyła z łóżka i podeszła do niego.

— Kocham cię — powiedziała odpinając guziki bluzki. Odszukała jego wzrok i patrząc mu w oczy, zrzuciła dzinsy na podłogę, powoli rozpięła stanik i wyszła z fig.

— Oto jestem — wyszeptała.

Przez chwilę patrzył na nią z leniwym uśmiechem. Objęła go za szyję.

— Chodź, leniuchu — szepnęła i zaczęła rozpinać mu koszulę. — Chodźmy do łóżka.

Tom odwrócił się w stronę komody i nalał sobie drinka, przełknął go szybko, po czym sięgnął do wyłącznika i zgasił światło. Leżała na łóżku i patrzyła, jak się rozbiera w ciemności. Widziała kontrast między pośladkami a opalonymi plecami i ramionami, jego silne uda... Potem odwrócił się i runął na łóżko tak ciężko, że aż jęknęło. Zaśmiali się i przytulili do siebie. Tom leżał na niej, wsparty na łokciach. Pogłaskał ją po głowie i szepnął w ciemności: — Och, kochanie, chciałbym uczynić cię

szczęśliwą.

— Jestem szczęśliwa, Tom.

Objęła go za szyję i przyciągnęła, by ją pocałował. Przewrócił się na bok i całując, mocno ją przytulił. Palce January wędrowały w dół jego pleców, czuła się odprężona i spokojna, jakby ich ciała zawsze były tak blisko siebie. Pragnęła go dotykać, chciała, by ją posiadał, potrzebowała należeć do niego.

Potem uwolnił się z uścisku i poczuła, że językiem wędruje po jej ciele, po piersiach i brzuchu. Ścisnęła dłońmi jego głowę. Jego dotyk był ciepły i cudowny. Chciała też i jego zadowolić, zrobić wszystko czego tylko on zapragnie. Czuła język Toma na udach, czuła, jak palcami bada jej ciało. Reagowała każdym nerwem. Jego język docierał wszędzie — i nagle ogarnęło ją coś niesamowitego, nieznośnie cudownego! Działo się z nią coś niewiarygodnego, jeszcze w życiu czegoś takiego nie czuła. Jęknęła, całe ciało rozpadało się w ekstazie. Cała w dreszczach przytrzymała jego głowę, w końcu wyczerpana osunęła się bezwładnie.

Tom podciągnął się do góry, położył obok i pogłaskał jej piersi.

— Dobrze ci było?

— Och, mój Boże! Tom, nigdy w życiu nie czułam czegoś takiego!...

Ale... nie zrobiliśmy tego... to znaczy ty...

— Chciałem, żeby tobie było dobrze — odpowiedział.

— A teraz... — czuła, że wracają jej siły. Teraz Tom w nią wejdzie.

— A teraz po prostu przytulimy się.

Leżała bez ruchu. Coś było nie tak. Trzymał ją w mocnym uścisku, lecz ona była chora ze strachu. Znowu go nie podnieciła! Jęła całować go w szyję, pieścić jego ciało. Nie bardzo wiedziała, jak to robić, jeżeli jednak będzie go naśladować... Położyła się na nim i zaczęła całować jego tors, sunąć ustami coraz niżej. Tylko że u Toma nie było tego ogromnego pulsującego narządu, który wpychał w nią David. Pomiedzy nogami Toma leżał omdlały ptaszek wielkości męskiego kciuka! Nie mogła wprost uwierzyć, jak męczyzna postury Toma Colta, taki męski jak on, może mieć tak mały członek. Zaczęła go gładzić, a nie zauważywszy żadnej reakcji, dotknęła ustami. Ogarnęło ją nagle uczucie czułości i opiekuńczości. Tom Colt, którego powieści tryskały swawolnym seksem, męczyzna wielbiony przez kobiety i szanowany przez mężczyzn, Tom Colt — żywy symbol męskości — z członkiem jak u małego chłopczyka. Och, jakże musiało go to dręczyć przez całe życie! Ona martwiła się w czasach szkolnych, że jej piersi nie są dostatecznie duże, ale w końcu coś miała. Natomiast dla męczyzny nie mieć nic!... Przecież członek jest

symbolem męskiego seksu. A więc to było przyczyną wszystkich jego wyczynów sportowych, popisów pływackich z aparatem tlenowym, udziału w meczach golfowych i tenisowych, awantur w knajpach. Pieściła go jeszcze czulej. Biedny, biedny Tom.... Musiał opisywać swe fantazje seksualne, gdyż nie mógł ich przeżywać.

Nagle Tom podciągnął ją w górę.

— January, nie sądz, że mnie zawiodłaś. Moją przyjemnością jest zadowalanie ciebie.

Leżała bez ruchu zastanawiając się, ilu kobietom mówił to samo. Nagle powzięła decyzję, iż sprawi, by poczuł się jak prawdziwy mężczyzna. Zaczęła go pieścić, językiem wędrowała wzdłuż jego ramion, bioder coraz niżej, coraz bliżej, aż dotarła do samej męskości. Drażniła miękki członek, póki nie ujrzała, że twardnieje, lecz i wtedy nie przestawała z nim igrac. Muskała go językiem, potem przerzucała się błyskawicznie na inną część ciała, palcami bładziła po skórze. Nagle Tom obrócił ją i uniósłszy się nad nią, zaczął się poruszać zrazu jednostajnie, potem szybciej... coraz gwałtowniej. Wreszcie usłyszała jego jęk i ciało Toma zwiotczało. Przez jakiś czas leżał na niej, potem spojrzał jej w oczy i powiedział: — Dziękuję, January.

— Dziękuję, Tom.

Zsunął się z niej i otoczył ją ramionami.

— January... kocham cię.

— Ja też cię kocham — szepnęła. Poglaskał ją po głowie.

— Czy wiesz, co dla mnie uczyniłaś? — powiedział. — Udało mi się to dziś po raz pierwszy od dziesięciu lat.

— Tak się cieszę, Tom — rzekła i pocałowała go w policzek. Był mokry. Potem zauważyła łzy.

— Tom, czy coś jest nie tak?

Ukrył głowę na jej szyi. Przytuliła go i pocieszała jak małe dziecko. Po paru minutach wstał z łóżka i podszedł do komody. Wypił duży haust burbona, przez chwilę stał tyłem do niej.

— January, przepraszam... ja... Wyskoczyła z łóżka i podeszła do niego.

— Tom, kocham cię. Odwrócił się i spojrzał na nią.

— Przepraszam, że sobie na to pozwalam. Myślę, że już ze dwadzieścia lat nie uroniłem ani jednej łzy.

— Czy to moja wina? — spytała. Znowu poglaskał ją po głowie.

— Skądże, kochanie.

Poprowadził ją do łóżka i położyli się, a przytuliwszy ją do siebie powiedział: — Uczyniłaś mnie bardzo szczęśliwym, January. Myślę, że te

łzy są za nas oboje: za mnie, bo znalazłem dziewczynę z taką klasą, i za ciebie, bo dostajesz tylko resztki z Toma Colta. Nie znaczy to, że mój interes był o wiele lepszy... mężczyzna może używać tylko tego, co ma... ale w końcu zawsze pracował. Przez ostatnie dziesięć lat były cali girls, afrodyzjaki... Próbowałem wszystkiego, tyle że nic nie pomagało. Dopiero dziś... z tobą...

— Ależ, Tom... masz przecież dziecko.

— Chcę, żebyś знаła prawdę. Przez całe życie kobiety za mną chodziły, godząc się z tym, że nie jestem zbudowany jak ogier. Chciały, żeby widywano je ze mną. I do licha, potrafiłem je inaczej zadowolić. Parę lat temu jednak zaczęły mnie nachodzić myśli po latach spędzonych na pisaniu, o całej mojej pracy... Komu to zostawię? Kogo to obchodzi? Nie miałem nikogo. Obaj moi bracia zginęli w drugiej wojnie światowej, mam tylko starszą bezdzietną siostrę. Uświadomiłem sobie nagle, że pragnę dziecka. Zdecydowałem się na adopcję, ale trzeba być żonatym, by sąd udzielił zgody. Zacząłem analizować wszystkie znane mi kobiety, próbując dojść, która byłaby najlepszą matką. Żadna nie pasowała: albo miały własne dzieci z poprzednich małżeństw, albo przyznawały się otwarcie, że nie cierpią dzieci. Nie było dosłownie ani jednej, która spełniałaby moje oczekiwania. Dopiero jakieś półtora roku temu natknąłem się na pewnym przyjęciu w Malibu na gwiazdkę filmową, Ninę Lou Brown. Jak na początkującą aktorkę szła już raczej z górki, bo miała wówczas dwadzieścia siedem lat. Zresztą już się zniechęciła, nagrywała właśnie reklamówki dla telewizji. Zrobiła na mnie wrażenie, więc zaczęliśmy rozmawiać. Opowiedziała mi, że pochodzi z Georgii, ma dwanaścioro rodzeństwa i do dwunastego roku życia nie posiadała butów. Zwierzyła się, że ubóstwia dzieci i zastanawia się nawet, czy nie wydać się za pewnego znajomego fotoreportera, gdyż chciałaby mieć dzieci, a latka leca. To brzmiało zbyt pięknie, aby było prawdziwe. Zdawałem sobie jednak sprawę, że nie jest to żaden kant, ponieważ nie mogła wiedzieć, że myślę o dziecku. Nasz gospodarz był ojcem dwóch małych chłopczyków. Późnym popołudniem młodszy, pięciolatek wbił sobie w nogę drzazgę: wielki, groźnie wyglądający kawałek drzewa wyrzuconego przez fale na brzeg. Nie dał się matce nawet dotknąć. Potem Nina Lou zaczęła się z nim bawić i w pewnej chwili oświadczyła, że jest gotowa się z nim założyć, iż mały pomoże jej wyjąć drzazgę z nogi. Poprosiła o szklanekę szkockiej i kazała chłopcu, żeby sam odkaził w niej igłę. Powiedziała, że chce spić jego nogę. No cóż, możesz mi wierzyć lub nie, ale pozwolił jej wyciągnąć to cholerstwo, a siedziało naprawdę głęboko. Kiedy było po wszystkim,

chłopiec pocałował ją i wtedy już wiedziałem, że ona będzie matką mojego dziecka.

Spotykaliśmy się mniej więcej przez miesiąc i ani razu nie poszedłem z nią do łóżka. Poprosiłem natomiast, by za mnie wyszła, i wyjaśniłem, na czym polega mój problem. To właśnie Nina Lou poddała pomysł sztucznego zapłodnienia. Nigdy mi to nie przyszło do głowy. Zaraz po ślubie poszliśmy do lekarza. Wszystko trwało kilka miesięcy, ale dało efekt. Pół roku temu urodziła mi syna.

January leżała nieruchomo. Tom zapalił i podał jej papierosa.

— Teraz już znasz moją historię.

— A to ci dopiero — powiedziała cicho. — Musisz ją naprawdę bardzo kochać.

— Właściwszym słowem byłaby wdzięczność. Nigdy nie byłem w niej zakochany, lecz uwielbiałem ją za to, co mi dała. W rewanżu zostawiłem jej swobodę, jeśli chodzi o jej życie seksualne, oczywiście dopóki jest dyskretna. Ma młodego aktora, który od czasu do czasu przychodzi i wyświadcza jej przysługi. Poza tym jest piekielnie dobrą matką dla Toma juniora i podoba jej się, że jest panią Tomową Colt. Lubi prestiż, przyjęcia, na które jest zapraszana, dom w Malibu... A więc małżeństwo funkcjonuje, jeśli je można nazwać małżeństwem. Ale do licha, nie mogę oczekiwać, aby dwudziestodziewięcioletnia dziewczyna wyrzekła się do końca życia normalnego seksu. Kocha dziecko i...

— Tom... nam się dzisiaj udało, a czy z nią tak naprawdę próbowałeś? Wydaje mi się, że ze mną nie chciałeś nawet zaczynać.

Potrząsnął głową.

— Oczywiście, że próbowałem. Zawsze wierzyła, że sprawi cud. Czułem się z tego powodu upokorzony... noc po nocy... aż w końcu oboje doszliśmy do wniosku, że nic z tego nie będzie. Nigdy bym się nie spodziewał, że dojdzie dziś do czegokolwiek, ale zależało mi tak bardzo na tobie, że pozwoliłem ci poznać całą prawdę. — Przytulił ją mocniej. — Sama widzisz, January, co dziś dla mnie zrobiłaś. Nawet gdyby miało się to już nigdy nie powtórzyć, będę ci wdzięczny do końca życia.

— Powtórzy się.

— January, nie mogę się rozwieść, Nina Lou nigdy mi nie da rozwodu... i nie opuściłbym mojego syna. Chcę, żeby miał wszystko, dlatego zgodziłem się na to tournee. Mam wystarczająco dużo pieniędzy, by żyć wygodnie do końca mych dni, ale chcę zostawić żonie i synowi wielki szmal. — Wstał z łóżka i przyniósł butelkę. — Napijemy się przed snem? January pokręciła głową.

— Tak jest mi dobrze — szepnęła. Pociągnął duży łyk.

— Nie wiem, jak to ubrać w słowa... Kocham cię... jeszcze nigdy nie kochałem tak żadnej kobiety; poza tobą i Niną Lou z żadną nigdy nie byłem tak uczciwy. Z nią — musiałem, z tobą — chcę. Każdej zawsze mówiłem po prostu, że ona mnie nie podnieca. Dawałem wszystkim do zrozumienia, że z odpowiednią kobietą kutas staje mi jak sosna. Posłuchaj, nie wiem, jak długo będziesz mnie chciała, ale póki ze mną zostaniesz, będzie tak, jak sobie życzysz: żadnych gierek. Kocham cię z całego serca i jeżeli chcesz to, co ze mnie zostało, to... należę do ciebie.

Przytuliła się mocno do niego.

— Och, Tom, Kocham cię i pragnę. Będę z tobą, kiedy tylko mnie zechcesz... i tak długo, jak będziesz mnie chciał... zawsze... My jesteśmy na zawsze. Przysięgam.

Leżeli obok siebie. Po pewnym czasie poznała po równym oddechu Toma, że usnął, ona zaś była zupełnie rozbudzona i tęskniła za papierosem.

Pragnęła również wszystko przemyśleć. Kochała go — wielkość męskiego członka nie jest barometrem miłości. Musi go o tym przekonać. Wysunęła się z łóżka uważając, by go nie ruszyć, włożyła szlafrok i zeszła na palcach na dół. Salon był pusty, a płomień na kominku dogasał. Podłożyła trochę gazet i dorzuciła jeszcze jedno polano. Po chwili ogień zaczął trzaskać i kominek się rozgrzał. Usiadła na kanapie z podkurczonymi nogami, patrzyła w ogień i myślała o Tomie. Zawsze sądziła, że mężczyźni są podobnie zbudowani. Och, wiedziała, że jedni mają większe, inni niniejsze członki, lecz nie wyobrażała sobie, że można mieć takiego jak Tom. Nagle zastanowiła się, czy jej ojciec jest prawdziwym buhajem jak David. Na pewno! Musi być. Biedny Tom. Miała mieszane uczucia: myślała o nim z opiekuńczą troską, a zarazem z czułością i pożądaniem. Pragnęła być w jego ramionach, poczuć jego bliskość, nagi tors na swych piersiach, usta Toma na swoich — to właśnie była miłość.

Usłyszawszy, że drzwi się otwierają, domyśliła się, że stoi za nią Hugh. Obszedł ją i przyjrzał jej się uważnie, potem rzucił spojrzenie w górę schodów.

— Spi — powiedziała. — Skończył butelkę Jacka Daniela. Podeszedł do drewnianego stołu, pełniącego funkcję barku, i nalał sobie szkockiej.

— Masz ochotę? Potrząsnęła głową.

— Wezmę raczej colę. Podał jej szklanekę.

— Może masz chęć na zimny befsztyk? Chyba umierasz z głodu, przecież nic nie jadłaś na obiad.

January przeciągnęła się.

— Czuję się cudownie, po prostu cudownie. Nie potrzebuję jedzenia.

Popatrzył na nią z troską.

— January, nie wiem, czy oni są dobrym małżeństwem, ale Tom kocha to dziecko i...

— Wiem, że nigdy się ze mną nie ożeni. Nie martw się o mnie, Hugh.

— Kochasz go?

— Tak.

Hugh usiadł obok niej.

— Poznałem już wiele zakochanych w Tomie dziewcząt, które mówiły, że dadzą sobie radę, a kiedy decydował się odejść, sięgały po pigułki.

— Hugh, dobrze znasz Toma?

— Czy ktokolwiek zna go dobrze? Poznałem go sześć lat temu.

Spotkaliśmy się, gdy w jednej ze swych książek pisał coś na temat przestrzeni kosmicznej. Przyjechał do Houston, żeby zebrać materiały. Zbrataliśmy się wtedy, a kiedy zjawiłem się w Los Angeles, właśnie się rozwodził, więc zamieszkałem z nim. Odpalał mi babki, na które nie miał specjalnej ochoty, tak że nieźle sobie poużywałem. Moje małżeństwo też było już wtedy w rozsypce, z tym że jeżeli chodzi o rozwód... wiesz, jak to jest. Chciałem poczekać, aż dzieci będą w stanie zrozumieć. Do diabła, one nigdy tego do końca nie rozumieją, nawet gdy są dorosłe i mają już własne dzieci. Moja córka, niech Bóg ma ją w swej opiece, ma trzyletniego brzdąca i pyta mnie: „Tatusiu, dlaczego rozchodzicie się z mamą po tylu latach?” Do licha — nagle przerwał. — Co ja robię? Plotę tak bez związku. Zadałaś mi proste pytanie, a ja ci opowiadam historię swojego życia. A przecież chcesz posłuchać o Tomie. Okay, a zatem jak dobrze znam Toma? Nie znam go dobrze, niełatwo go poznać. Jesteśmy przyjaciółmi, dobrymi przyjaciółmi. Wiem, że gdybym go kiedykolwiek potrzebował, mogę na niego liczyć, i on wie to samo o mnie. Pod pewnymi względami jesteśmy do siebie podobni. Taki gość jak Tom gubi się często w swych powieściach, jego bohaterowie stają się podobni do niego i vice versa. Ja też gubię się w swej pracy... nawet nie poznałem nigdy dobrze moich dzieci...

Tu Hugh zaczął opowiadać o dzieciach, o początkach latania. Słuchała go uważnie, zdając sobie sprawę, że zrzuca z siebie ciężar własnych win — rozbite małżeństwo, utratę kontaktu z dziećmi. Powiedziała mu, by przestał się obwiniać, bo tylko poszedł za swym przeznaczeniem.

— Czy naprawdę sądzisz, że ludzie powinni robić to, co jest zgodne z ich pragnieniem? — spytał Hugh.

Pokiwała głową i wcale jej nie zdziwiło, że udziela rad Hughowi Robertsonowi, gdyż w tej chwili miała wrażenie, że jest w stanie rozwiązać każdy problem. Rozmawiali o tajemnicy życia, o układzie słonecznym, o nieskończoności. Hugh wyjaśnił, że dziś zaakceptowano już teorię o istnieniu inteligentnych cywilizacji poza naszym układem słonecznym, a on wierzy, że w przyszłych stuleciach będzie łączność pomiędzy systemami słonecznymi. Będą telstary i satelity, cała ich sieć ciągnąca się w przestrzeni międzygwiazdowej jak gigantyczny most, który połączy planety i systemy słoneczne.

— Ale jak się porozumiemy z zielonymi ludzikami? — zapytała.

— A dlaczego myślisz, że są zielone? Jeżeli jakaś planeta jest w tym samym położeniu względem swego słońca co Ziemia względem naszego, to powinno się na niej rozwinąć takie samo życie.

— Myślisz, że istnieje gdzieś druga ziemia, z rasą inteligentniejszą od naszej?

— Nawet miliony takich ziem, wyprzedzających nas o całe miliardy lat, gdy inne są oczywiście o tyle samo lat w tyle.

Po tych słowach oboje zamilkli, potem January uśmiechnęła się smutno.

— W porównaniu z tym wydaje się, że wszystko, co robimy i o czym myślimy, jest takie małe. To znaczy kiedy człowiek sobie uzmysłowi, że w tych wszystkich innych światach żyją ludzie tacy jak my i modlą się do Boga. Gdy przypominam sobie, jak modliłam się do Niego, żeby mi pomógł chodzić...

— Chodzić?

Na to słowo odwrócili się oboje — to Tom szedł z góry. Miał na sobie szlafrok, a w ręku trzymał pustą butelkę.

— Obudziłem się i widzę, że zarówno moja dziewczyna, jak i trunek zniknęły. — Usiadł obok January. — Czy dobrze słyszałem, że mówiliście coś o pójściu na spacer? Jest prawie druga nad ranem.

— Nie — odparł Hugh. — January opowiadała, jak modliła się do Boga, aby pomógł jej chodzić.

— Nie mogłam spać — powiedziała i przytuliła się do Toma. — Rozmawialiśmy z Hughem o gwiazdach.

— A co z chodzeniem? — spytał Hugh.

— To długa historia.

— Wydaje się, że ja też opowiedziałem ci dziś kilka całkiem długich historii — stwierdził Tom — teraz kolej na ciebie.

Zacząła opowiadać, z początku niepewnie, po chwili przyłapała się na tym, że na nowo przeżywa te długie, pełne rozpaczy miesiące. Ogień na

kominku wygasł, ale mężczyźni nawet tego nie spostrzegli. Gdy mówiła, ciemne oczy Toma spoczywały cały czas na niej, okazując nieme współczucie i podziw. Uświadomiła sobie, że jeszcze nikomu do tej pory nie wyznała, jak bardzo wówczas cierpiała. Lindzie zrelacjonowała tylko suche fakty i nawet Mikę nie miał pojęcia o uczuciu kompletnej pustki, w jakiej żyła, ponieważ przed nim zawsze starała się nadrabiać miną. Dopiero teraz, gdy siedziała w ciemnym pokoju czując obejmujące ją ramię Toma, cała rozpacz i samotność, które były jej dane, znalazły nagle ujście. Kiedy skończyła, mężczyźni nadal siedzieli w milczeniu. Wreszcie Tom wstał.

— Myślę, że wszyscy musimy się czegoś napić. Hugh nalał sobie kieliszek szkockiej.

— Możesz napić się tego? Cały burbon już poszedł.

— Przyjechałem tu przygotowany — odparł Tom. — Kazałem kierowcy zostawić w kuchni skrzynkę. Zaraz będę z powrotem.

Hugh patrzył, jak Tom wychodzi z pokoju. Potem uniósł swoją szklanekę i zwrócił się do January, która nadal siedziała skulona na kanapie.

— Poznałem cię dziś zupełnie na nowo. Wiesz? myślę, że wszystko się między wami dobrze ułoży. Wygląda na to, że Tom znalazł sobie w drobnej dziewczynie kobietę z charakterem.

Drzwi frontowe otworzyły się tak cicho, że ani Hugh, ani January nie usłyszeli wejścia dwóch mężczyzn. January odwróciła się akurat w chwili, gdy czyjaś dłoń zacisnęła jej usta. Zauważyła błysk noża przy swoim gardle. W tejże chwili drugi z przybyłych zaświecił Hughowi w twarz.

— No, koleś, jak nie chcesz, żebym zabił twoją staruszkę, to dawaj biżuterię i forszę. Spróbuj tylko krzyknąć, a rozchlastam twojej babce gardziółko.

— Tu nie ma żadnych pieniędzy ani biżuterii—wychrypiał Hugh.

— Dobra, dobra, koleś. — Mężczyzna przewyższał Hugh'a, miał prawie siedem stóp wzrostu. — Tydzień temu spotkaliśmy takich jednych niedaleko stąd. Też przyjechali tu na weekend. Dopiero jakeśmy chcieli obciąć facetowi jaja, paniusia wykrztusiła, gdzie ma pierścionki. Tacy jak wy, co przyjeżdżają nad morze na weekend, zawsze mają gotówkę i biżuterię.

— Ona nie ma pierścionków ani nic takiego — szepnął mężczyzna trzymający nóż na gardle January.

Hugh opróżnił kieszenie, wysypało się z nich trochę bilonu, dwie pięciodolarówki, kilka jednodolarówek i klucze.

— Ty zasrany mięczaku! — zawołał olbrzym, potem zaś spojrzał w

kierunku schodów. — Pilnuj dziewczyny — rozkazał — a ja go zabiorę na górę. Trzeba go przekonać, żeby mi pokazał, gdzie wszystko trzyma. January została sama z mężczyzną z nożem. Gdzie się podziewał Tom?! Kuchnia była za pracownią i jeśli nie krzyknie, Tom nie będzie mógł jej usłyszeć. Patrzyła na mężczyznę. Oddychał ciężko, uśmiechnięty głupkowato. Był nieduży, ledwo sięgał jej do ramion, ale miał nóż i cały czas trzymał go na jej gardle.

Wyciągnął rękę i rozwiązał pasek szlafroka, którego poły się rozchyliły. Mężczyzna gapił się na jej nagie ciało. Głupkowaty uśmieszek przeszedł w złośliwy szeroki uśmiech.

— Przyłapał mi was, jak szykowaliście się do roboty, co? Przymknęła oczy i próbowała stłumić krzyk, gdy obrzydliwa ręka mężczyzny dotknęła jej piersi. Rozpiął spodnie i spuścił je do dołu.

— Całkiem niezła dla takiego małego faceta jak ja. Zawsze powtarzam, że trzeba trafić na swoją wagę. Mój kumpel, ten na górze

— kiwnął głową w stronę schodów — widzi tylko interes, ja za to lubię łączyć przyjemne z pożytecznym. Toteż zabawimy się troszeczkę.

— Zdarł z niej szlafrok. — Odwróć się!

— Proszę... — zaczęła błagalnym tonem.

— Co? wolisz romantycznie? Chcesz leżeć na miękkiej kanapie, a ja na tobie? Jeszcze czego! Mogłabyś złapać mój nóż, dlatego laleczko, dasz mi od tyłu. W tej pozycji nie będziesz mogła walczyć. No, w tył zwrot i pochyl się — warknął.

— Proszę... nie zabiorę ci noża, proszę...

— Pewnie, że nie zabierzesz. A skoroś już otworzyła buźkę, to ją wykorzystamy. Dobrze, co? Zanim ci dogodzę, ty zrobisz wstęp.

Zmusił ją, by ukłękła, wepchnął jej członek do ust. Obrzydzenie sprawiło, że zapomniała o strachu. Odskoczyła nagle i uciekła na drugą stronę pokoju. W mgnieniu oka złapał ją za rękę i uderzył w twarz, po czym rzucił na podłogę.

— Klękaj, ty pizdo, koniec zabawy, jak ci wsadzę w dupę, to aż ci wyjdzie gardłem.

Gdy pochylał się nad nią, krzyknęła głośno. Odsunął się odruchowo i zaraz poczuła zimne ostrze noża na karku.

— Chcesz obudzić sąsiadów? Szkoda fatygi, nikogo nie ma po obu stronach, ale więcej nie próbuj wrzeszczeć. Może mi przez to odejść chęć do zabawy i poderżnę ci gardło, zanim cię zerżnę.

Nie przestawała z nim walczyć, gdy próbował ją zmusić do klęknienia na podłodze. W pewnej chwili ujrzała w drzwiach cień Toma. A więc usłyszał

jej krzyk! W ostatnim przypiływie sił wykręciła się i zdołała wyrwać napastnikowi, ale złapał ją mocno. Oddychał ciężko i czuła, jak bezskutecznie próbuje w nią wejść. Wiedziała, że Tom skrada się po pokoju. Uczyniła jeszcze jeden wysiłek i wyszarpnęła się z objęć bandyty. Wbił jej ze złości paznokcie w pierś i próbował przycisnąć do siebie. Tom stał już za nim, a potem usłyszała głuchy łomot, gdy Tom zdzielił go w głowę butelką. Mężczyzna stracił oddech, zwolnił, uścisk i osunął się na podłogę. Tom chwycił ją w ramiona.

January szlochała histerycznie.

— Och, Tom... on próbował... O Boże!... Gdybyś nie zdążył... Tom podniósł szlafrok i pomógł jej się ubrać. January szczekała zębami, lecz wskazała na schody.

— Tam jest drugi, olbrzym. Zabrał Hugh'a...

Tom spojrział na nieprzytomnego mężczyznę na podłodze i podał jej butelkę.

— Jeżeli ten sukinsyn choćby się poruszy, zdziel go w łeb. Nie miej litości, pamiętaj, co chciał ci zrobić.

Potem ruszył w kierunku schodów. Słysząc było odgłosy bójk.

Najwyraźniej olbrzym chciał poturbować trochę Hugh'a, by przyznał się, gdzie trzyma pieniądze. Tom skradał się po schodach, których deski skrzypiały, January wstrzymała oddech. Mężczyzna leżący na podłodze poruszył się nieznacznie. Zawahała się trzymając w ręku butelkę, ale bandyta tylko jęknął i znowu stracił przytomność. Odetchnęła z ulgą, czuła bowiem, że nie byłaby w stanie go uderzyć. Nie teraz, gdy leżał tak na podłodze. Co innego, gdyby się na nią rzucił. Przyjrzała mu się uważnie. Był brzydkim, niskim człowieczkiem z dwudniowym zarostem i śmierdział, jakby się rozkładał. Gdy leżał tak na podłodze z zamkniętymi oczami i otwartymi ustami, było w nim coś dziwnie patetycznego i niewinnego.

Odwróciła się i obserwowała, jak Tom wspina się stopień po stopniu na schody. Z góry znowu dobiegały odgłosy walki, rozległ się trzask mebli, aż January miała wrażenie, że za chwilę zawali się sufit. Tom wchodził po dwa schody naraz. Był już na ich szczycie, gdy drzwi się otworzyły i stanął w nich olbrzym. Na chwilę zastygł zaskoczony widokiem jeszcze jednego przeciwnika. Jego oczy powędrowały z Toma na kumpla leżącego bezwładnie na podłodze. Ryknąwszy jakieś przekleństwo skoczył na Toma i obaj runęli w dół schodów. Tom pierwszy się zebrał na nogi, lecz bandyta zaraz ruszył za nim.

— Twój koleś leży półżywy w sypialni — warknął — a z tobą zaraz się rozprawię.

Pięścią uderzył Toma w żołądek, tak że ten aż się zwinął, ale utrzymał się na nogach. Teraz zbir zamierzył się w szczękę. Tom zrobił unik i próbował zyskać na czasie, by złapać oddech, olbrzym jednak na to nie pozwolił. Zadał mu jeszcze jeden miazdzący cios w żołądek i Tom upadł na podłogę. January stała jak wrośnięta, gdy napastnik zbliżał się do niej. Zauważyła nóż leżący na podłodze, złapała go i rzuciła się do ucieczki.

Olbrzymi bandyta wybuchnął śmiechem.

— Och, chcesz się pobawić? — zawołał. — Chcesz, żeby Wielki Henry popróbował zabrać małej dziewczynce nożyk?

Kiedy ruszył ku niej, skoczyła za kanapę, a gdy puścił się za nią w pogoń, obiegła kanapę z drugiej strony.

— Tam... Hugh... Na pomoc! — zawołała. Mężczyzna roześmiał się tylko.

— Nikt nie jest przytomny, tylko my, tchórze — roześmiał się szczerze ze swego dowcipu. Był coraz bliżej. January zawahała się. Jeżeli pchnie go nożem i chybi, to będzie po nich wszystkich. Musi grać na zwłokę.

Przebiegła w drugi koniec kanapy, a olbrzym wciąż rechotał. — No, dalej, sprytna z ciebie bestyjka. Szkoda, że nie mam czasu, żeby ci dogodzić. — Znów znalazł się bliżej. Cofnęła się i o mało nie potknęła o mężczyznę na podłodze. Usłyszała, że Tom się porusza, olbrzym również zwrócił na to uwagę. Uśmiech zniknął mu z twarzy. — No dobra, ty kurwo, koniec zabawy. — Przeskoczył kanapę i złapał ją. Próbowala ugodzić go nożem, ale wykręcił jej rękę, nóż upadł na podłogę, January zaś krzyknęła z bólu. Mężczyzna podniósł go, odepchnął ją w drugi koniec pokoju i ruszył do Toma, który już stał na nogach.

— Okay, koleś. Nadszedł czas, byś pożałował, że się w ogóle obudziłeś.

Rzucił się na Toma, próbując złapać go za gardło, lecz Tom zrobił unik i zdzielił go w szczękę. Zdawało się, że bandyta nawet tego nie poczuł.

Skradającym się krokiem ruszył do Toma, szczerząc zęby w uśmiechu.

Tom cofał się wolno, potem sprężył się jak kot i czekał. Napastnik zbliżał się wymachując nożem. Tom się nie ruszał, mężczyzna był coraz bliżej.

Nagle Tom skoczył jak pantera, uderzył go bokiem dłoni w krtań i zaraz pięścią w szczękę. Stało się to tak szybko, że January nie mogła wprost uwierzyć własnym oczom widząc, jak potężny bandyta osunął się na ziemię niczym papierowy worek. Tom pobiegł na górę po Hugh'a, January ruszyła za nim. Hugh leżał na podłodze, lecz powoli wracał już do przytomności. Szczęka zaczęła mu puchnąć i miał podbite jedno oko, zdobył się jednak na uśmiech.

— Chyba wyżyję... Podejrzewam, że nie bardzo wam pomogłem...
Ostatnio nie mam coś kondycji do walki.

Zeszli na dół. Niższy mężczyzna zaczynał przychodzić do siebie. Hugh sięgnął do telefonu, ale Tom go zatrzymał.

— Co robisz?

— Dzwonię na policję, to ćpuny. Spójrz na jego ramię, całe pokłute.

— Odłóż słuchawkę — rozkazał Tom. — Trzeba wziąć sznur, związać ich, wywieźć milę stąd i wyrzucić. Jeżeli wezwiemy policję, January będzie w to zamieszana. Wiesz, jak gazety to rozdmuchają.

Hugh poszedł po sznur, a Tom zabrał się do cucenia olbrzyma, Gdy Hugh wrócił, Tom nadal pracował gorączkowo, masując kark mężczyźnie, który jednak leżał bezwładny jak kukła.

— Nie możemy ich wyrzucić — powiedział — nie dadzą sobie rady.
Zamarzną na śmierć.

— Poradzą sobie — odparł Hugh krępując ich sznurem. — To ćpuny. Nie są wrażliwi na pogodę.

— Hugh, myślę, że ten facet jest martwy. — Colt wstał i patrzył na bezwładne ciało wielkiego mężczyzny.

Hugh pochylił się nad nim, dotknął nadgarstka i szyi.

— Czuję słaby puls.

— No to musimy go zabrać do szpitala. Hugh, odwieziesz January do miasta. January, ubieraj się szybko!

To był rozkaz, toteż pobiegła na górę.

— A co ty zrobisz? — spytał Hugh.

— Jak tylko wyjedziecie, zadzwonię na policję i każę im przysłać karetkę. Wyjaśnię, że chciałem trochę popisać, więc wypożyczyłem mi domek. Potem opowiem, jak było: wyszedłem akurat do kuchni i zaskoczyłem ich...

— A dlaczego ty nie odwieziesz January do Nowego Jorku? Ja wezwę karetkę i opowiem im tę samą historię. Myślę, że January tak by wołała.

— Ja też — stwierdził Tom — ale popatrz na siebie człowieku. Masz pięć i dziewięć dziesiątych stopy wzrostu. Jakim sposobem mógłbyś zdzielić tego faceta w krtań czy w szczękę? Musiałby chyba klęknąć i sam się nadstawić. — Spojrzał na swe krwawiące pięści. — Na dowód, że to zrobiłem, mam zdartą skórę na kłykciach.

January wróciła z torbą; twarz miała bladą. Przywarła do Toma, gdy Hugh poszedł zapalić samochód.

— Słyszałam wasze plany. A co będzie, jeżeli ci dwaj powiedzą, że było nas troje?

— To ćpunny, widzą więc podwójnie, a nawet potrójnie. Będzie się liczyć moje słowo, nie martw się.

Usłyszeli klakson Hugh'a, Tom odprowadził ją do drzwi.

— Och, Tom — przytuliła się do niego. — Myślałam, że spędzimy razem cały weekend, a nie tylko jedną noc.

Spojrzał na nią z wymuszonym uśmiechem.

— Wiem, ale muszę przyznać, że była to cholernie dobra noc.

January i Hugh jechali w milczeniu, pograżeni we własnych myślach. Gdy dojeżdżali do Nowego Jorku, noc bladła przechodząc w ciemnoszary świt. Mimo że ogrzewanie w samochodzie dawało przyjemne ciepło, January zaczęła nagle drżeć. Cały Nowy Jork jawił się szary i ponury.

Westhampton i przemoc, której doświadczyła, wydawały się z nagłą nierealne. Hugh zatrzymał się przed jej domem. Ulice były wyludnione, a słaby wietrzyk naniósł na nie jakieś papierzyska, które poniewierały się teraz po chodnikach. Nastrój January współgrał z poplamionymi sadzą fasadami stojących wzdłuż ulicy, pozbawionych dozorców domów mieszkalnych.

— Budynki bez odźwiernego wydają się martwe — stwierdziła. Hugh uśmiechnął się i poklepał ją po ręce.

— Idź i odpocznij trochę, January.

Pomógł jej wysiąść z samochodu. Kiedy stanęli przed drzwiami frontowymi, January zaczęła szczekać zębami w chłodzie poranka.

— Musisz być zmęczony i zeszywniałeś od prowadzenia samochodu — powiedziała. — Robię podłą kawę instant, ale jeśli masz ochotę...

— Nie, policja w Westhampton jest co prawda bardzo uprzejma, ale też bardzo dokładna. Wiem, że Tom jest w stanie wszystko wytrzymać, będzie mu jednak o wiele raźniej, jeżeli będę przy nim. — Pochylił się i pocałował ją w policzek. — Wiesz? Chciałbym odwołać wiele ostrzeżeń, którymi tak hojnie obdarowałem cię na samym początku. Jest między wami coś, co daje wam obojgu szczęście, coś, czego nigdy jeszcze nie było między Tomem a innymi kobietami. Nie mówię tego dlatego, że jesteś zakochana. Mówię to, bo obserwowałem Toma, widziałem jak patrzył dziś na ciebie, jego stosunek do ciebie — to zupełnie coś innego. Odpocznij teraz, a my zadzwonimy, jak tylko wszystko się wyklaruje. Mieszkanie wyglądało, jakby czas się w nim zatrzymał. Wokoło poniewierały się pozostałości po pakowaniu — spodnie przerzucone przez krzesło, koszula na łóżku — bierne ślady odległej przeszłości. W ciągu dwudziestu czterech godzin przeszło całe życie.

Podeszła do lodówki i naląła sobie coli. Nagle uświadomiła sobie, że nic

nie jadła. Hugh przekomarzał się z nią, że widać nie lubi jego kuchni. Może powinna usmażyć sobie jajka? Z jakiegoś niezrozumiałego powodu odrzucała ją myśl o jedzeniu. Czuła się krystalicznie czysta, rześka, tryskająca energią. Tęskniła za tym, by przejść się gdzieś w ten samotny poranek. Wyrzała przez okno — ciężka mgła unosiła się w powietrzu. Czuła, że gdyby wyszła, potrafiłaby ją rozproszyć jak wróżka, pomachałaby rękami i porozrzuciła wszędzie słońce. Była silniejsza od mgły, silniejsza od każdego żywiołu, ponieważ — jak powiedział Hugh — była zakochana. Nie mogła jednak wyjść z domu, musiała czekać na telefon od Toma.

Pałała papierosa za papierosem, wypła jeszcze jedną colę. Wciąż było zbyt wcześnie, aby dzwonić do Lindy, poza tym nie chciała blokować telefonu, na wypadek gdyby dzwonił Tom. Włączyła telewizor. Na jednym kanale była msza, przełączyła na drugi — kreskówka dla dzieci, potem nadawali wczesny film — stary obraz Van Johnsona z tak zdartym głosem, że nie była w stanie słuchać — niczego nie była w stanie słuchać. Wyłączyła telewizor i nagle przypomniała sobie o telefonistce odbierającej za nią telefony. Zapomniała sprawdzić, choć i tak nie spodziewała się, żeby dzwonił ktoś ważny.

Kobieta z centrali była wyraźnie niezadowolona.

— Panno Wayne, proszę nie zapominać o kontakcie z nami, a jeżeli wyjeżdża pani na dłużej, proszę chociaż zostawić numer telefonu, pod którym będziemy mogli panią zastać. Pani ojciec był bardzo zdenerwowany. Zachowywał się tak, jakby to była nasza wina, że nie możemy pani znaleźć. My przecież świadczymy tylko usługi telefoniczne, a nie...

— Kiedy dzwonił? — przerwała jej January.

— W piątek wieczorem, o dziesiątej. Zameldował się w hotelu Plaża i prosił, żeby pani do niego zadzwoniła. — (W piątek wieczorem, o dziesiątej. Była w hotelu Plaża i oczywiście zapomniała sprawdzić po powrocie do domu, czy ktoś dzwonił.) — Potem w sobotę o wpół do dziesiątej rano — kontynuowała kobieta. — Chciał się umówić z panią na lunch. — (Miała wizytę u doktora Alperta.) — Następnie znowu w południe — (była u Saksa na szaleństwach zakupowych) — i ponownie o piątej, o siódmej i ostatni raz o dziesiątej wieczorem. Wyjechał do Palm Beach i prosił, żeby tam pani do niego zadzwoniła.

Spojrzała na zegar: dziesięć po ósmej. Poczekała do dziewiątej i zatelefonowała do Palm Beach.

— Gdzie ty się, do diabła, podziewałaś? — zawołał z pretensją Mike.

Zaśmiała się z przymusem.

— Mike, nie uwierzysz, ale ciągle zapominam sprawdzić, czy ktoś do mnie dzwonił. Rano robiłam zakupy i zapomniałam sprawdzić, po południu też wyszłam i przegapiłam twój telefon, potem zaś byłam na obiedzie. To okropne... tak mi przykro. A jak było w Gstaad?

— Wspaniale, Dee zajęła drugie miejsce w turnieju. Poleciała prosto do Palm Beach, a ja wstąpiłem do Nowego Jorku, żeby się z tobą zobaczyć. Zamiast w naszym apartamencie w hotelu Pierre, zatrzymałem się w Plaža, bo pomyślałem, że będziesz tym zachwycona. Nie mogłem dostać mojego starego apartamentu... zgadnij, kto go zajął? Tom Colt. Dostałem identyczny, piętro niżej, siedziałem tam więc jak pan młody porzucony przez pannę i czekałem na moją dziewczynkę.

— Och, Mike... Wybuchnął śmiechem.

— Wszystko dobrze. Ale pamiętaj, nie przyznałem się Dee, powiedziałem jej, że się widzieliśmy, bo nie chciałem wypaść na kompletnego idiotę.

— To jasne, Mike.

— A teraz posłuchaj, zostajemy tu do Wielkanocy i liczymy, że przyjedziecie na święta z Davidem. Właśnie wtedy Dee wydaje ostatni wielki jubel zamykający sezon w Palm Beach, a potem... mam dla ciebie prawdziwą niespodziankę.

— Co takiego?

— Festiwal w Cannes.

— Co?

— Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o tym w Szwajcarii i jak marzyłaś, żeby tam pojechać? Otóż mniej więcej w tym czasie w Monte Carlo jest turniej tryktraka i przekonałem Dee, by na niego pojechać. Zatrzymamy się w Cannes w Carltonie. Masz już dwadzieścia jeden lat, będę więc mógł wziąć cię do kasyna, nauczyć grać w chemin de fer, bakarata... Obejrzymy wszystkie filmy, wszystkich starych przyjaciół. Może będę miał dla ciebie jeszcze kilka innych niespodzianek...

— Mike, kiedy to będzie?

— Zaczyna się w maju, ale myślę, że gdybyśmy pojechali około piętnastego, zdążymy na wszystko, na czym nam zależy. Pozwoli to Dee wrócić z Palm Beach do Nowego Jorku i urządzić otwarcie apartamentu w hotelu Pierre. Podejrzewam, że jeszcze jest zasłany pokrowcami. Ja natomiast będę mógł nadgonić wszystkie przedstawienia. Może wybierzesz się ze mną, jeśli David mi cię odstąpi? Chciałbym też nauczyć cię grać w tryktraka, mam ostatnio dobrą passę i sądzę, że w końcu zagram za wysoką stawkę. Na razie gram po pięć dolców za punkt, ale to tylko

kwestia czasu.

— Jesteś szczęśliwy, prawda?

— Gram hazardowo i jestem rozgrzany, a przecież o to chodzi... W każdym razie w moim przypadku.

— Cieszę się.

— A jak z tobą i Davidem?

— Naprawdę miły z niego człowiek.

— I to wszystko?

— Obawiam się, że...

— Masz kogoś na oku?

— Tak... Mike... — Nagle zdała sobie sprawę, że ma zamiar mu powiedzieć, Mike zrozumie. — Mike... poznałam kogoś i myślę, że... znaczy wiem, że...

— Kto to taki?

— Mike, on ma żonę.

— Mów dalej — głos ?i?? stał się nagle ostry i nieprzyjemny.

— Nie mów mi, że to cię szokuje.

— To mnie napawa wstrętem. Kiedy ja się zabawiałem, to robiłem to z dziewczynami. Właśnie dokładnie tak o nich myślałem, nawet gdy były wielkimi gwiazdami, ponieważ wszystkie od samego początku wiedziały, że mam żonę i dziecko. Skoro więc ty... mając dwadzieścia jeden lat... dziewczyna, która ma wszystko... takiego faceta jak David, zakochanego w niej...

— Do miłości potrzeba dwojga, Mike.

— Chcesz mi powiedzieć, że ze wszystkich chłopaków, jakich spotykasz, potrafiłaś złowić jedynie żonatego mężczyznę? I oczywiście ma dzieci!

— Jedno.

— Czy może się rozwieść?

— Nie wiem, on...

— Nie musisz mi mówić, już to widzę. Facet z agencji reklamowej, prawdopodobnie po trzydziestce, znudzony żoną, z którą się pobrał w drodze do kariery... Trzyma ją sobie w odwodzie w Westhester...

— Mike, nic z tych rzeczy.

— January, powiedz mi tylko jedno: czy ty... czy miałas z nim stosunek? Utkwiła wzrok w słuchawce. Nie mogła w to uwierzyć. Nie mogła uwierzyć, że tak się wyraził: „Czy miałas z nim stosunek?” — ani w wahanie, z jakim to wymówił. Pasowało to raczej do spowiednika, ale nie do ?i???... nie mogła mu powiedzieć. On naprawdę by nie zrozumiał. To straszne, że musi to przed nim ukryć. Usłyszała, że mówi:

— Nie, Mike, to nie jest aż tak poważne. Powiedziałam po prostu, że poznałam kogoś i...

— January, czy kiedykolwiek źle ci doradziłem? Proszę, posłuchaj mnie, nie widuj się z nim więcej. Nie będzie cię szanował, jeżeli z nim będziesz wiedząc, że jest żonaty.

— Mike, mówisz jak... no... jakbyś był o trzy pokolenia w tyle.

— Mówię do mojej córki i gównu mnie obchodzi, że wszystko się dziś zmieniło. Oczywiście wiem, że panuje większa swoboda seksualna, nie byłbym zaszokowany, gdybyś mi powiedziała, że poszłaś do łóżka z Davidem... powiedzmy na kilka miesięcy przed ślubem, albo że już z nim spałaś i cię nie zadowolili. Na tym polega obecnie wolność, obyczaje bardzo się zmieniły. Natomiast mężczyźni wcale się nie zmienili pod względem emocjonalnym i zrozum, że nie szanują babek, które idą z nimi do łóżka wiedząc, że są żonaci. Bez względu na to, jaką ci facet sprzedaje historyjkę: że żona jest żoną tylko z nazwy, że mają oddzielne sypialnie, że to tylko układ, pamiętaj, że w te noce, których nie może spędzić z tobą, bo musi wrócić do domu, idzie do łóżka z żoną. Nawet jeśli to robi z litości. Wiem, bo sam taki byłem. I cały czas taki gość szanuje żonę właśnie z poczucia winy. W gruncie rzeczy wynosi ją wręcz na piedestał świętości, a im mniej wie dziewczyna, tym większe wyrzuty sumienia ma facet. Jeżeli wina zaczyna mu za bardzo ciążyć, a dziewczyna chce więcej niż kilka nocy w tygodniu czy kradzione wycieczki albo staje się zbyt wymagająca, rzuca ją i wraca na kilka tygodni do żony, dopóki nie znajdzie nowej dziewczyny. I nie wciskaj mi kitu o wolności. Żonaty mężczyzna jest tylko żonatym mężczyzną, bez względu na to, czy mamy lata pięćdziesiąte, sześćdziesiąte, czy siedemdziesiąte. Prawo i moralność mogą się zmienić, ale ludzkie uczucia pozostają takie same.

— Okay, Mike. Proszę, uspokój się, wszystko jest dobrze.

— W porządku, wracaj do Davida lub innego faceta w jego stylu i uciesz swojego staruszka. Porozmawiamy jeszcze w tym tygodniu, teraz muszę lecieć na golfa. Gram o duże pieniądze, bo twierdzę, że skoro człowiek ma dobrą passę, to trzeba kusić los.

Powiedziawszy to trzasnął słuchawką.

Odłożyła swoją i podeszła do okna, patrzyła bez celu na pozbawiony zieleni dziedziniec. Była szalona sądząc, że Mike zrozumie. Nawet gdyby nie wygłosił jej na ten temat kazania, i tak nigdy by mu nie opowiedziała wszystkiego, a ponieważ nie zna problemu Toma, nie miałyby go jak przekonać, że on ją naprawdę kocha i że ich miłość nie ma nic wspólnego z przygodami ?i???. Pomyślała o Tomie... Taka miłość i czułość nią

zawładnęła, aż poczuła dławienie w piersiach. Tak wspaniały, silny, godny podziwu mężczyzna... i ona potrafiła go uszczęśliwić.

Zadzwoił telefon. Biegając w jego stronę mało nie wykręciła sobie nogi w kostce.

— Cześć... — urwała. Miała już zawołać: „Cześć, Tom”, ale dzwonił Mike.

— Nie mogę iść na golfa, dopóki tej sprawy nie wyjaśnimy do końca. Posłuchaj, jeżeli ten facet, o którym mówiłaś, jest faktycznie porządnym człowiekiem, chce się rozwieść, a ty go rzeczywiście kochasz i...

— Och, Mike, to nie jest tak... Naprawdę.

— Wygłosiłem ci takie kazanie, bo cholernie się zdenerwowałem.

Przepraszam.

— Wszystko w porządku, Mike.

— Kocham cię, maleńka, i pamiętaj, nie ma takiej rzeczy, której nie mogłabyś powiedzieć swojemu starszemu, wiesz o tym, prawda?

— Wiem, Mike.

— Kochasz mnie?

— Oczywiście.

— To świetnie. Zadzwoię za kilka dni.

Resztę dnia przesiedziała przy telefonie. Tom zadzwonił w końcu dopiero o piątej.

— Posłałem po ciebie samochód. Przyjedziesz do mnie do hotelu Plaża?

— Oczywiście, Tom. Dobrze się czujesz?

— Poczuję się dobrze, jak tylko cię zobaczę.

Na ulicach panował wielki ruch i January czuła się roztrzęsiona, gdy auto przemierzało wolno drogę do hotelu Plaża. Kiedy tam dotarła, po prostu pobiegła przez hol do pokoju Toma.

Twarz miał wymizerowaną i zmęczoną, ale uśmiechał się promiennie, biorąc ją w ramiona. Usiadł na kanapie i opowiadając, jak sprawy stoją, sączył burbona. Pobity mężczyzna był w śpiączce, ponieważ jednak miał w życiorysie długi rejestr aresztowań, nikt nie będzie oskarżał Toma. Teraz policja jeszcze sprawdza tego drugiego.

— Nie mam pojęcia, jak to zrobiłeś — powiedziała January. — przecież sporo wypileś.

Tom uśmiechnął się ponuro.

— Jak walczę, to na śmierć i życie.

— Czy kiedyś przegrałeś?

— Zdarzyło mi się stracić parę zębów, jest jednak we mnie morderczy instynkt, który zawsze pozwala mi wygrać. Trochę mnie to martwi, bo

kiedyś mogę zabić. Wobec tego faceta zastosowałem cios karate. Staralem się nie uderzyć za mocno w krtań i dzięki Bogu, jakoś mi się udało. Inaczej byłby już martwy. Przynależem sobie, że nigdy tego nie zrobię, chyba że moje życie będzie zagrożone.

— Przecież było!

— Nie, mogłem sobie z nim poradzić pięściami. W karate... — zademonstrował jej cios kantem dłoni — uderzasz faceta w ten sposób w odpowiednie miejsce... i już po nim.

Spędziła z nim noc i ponownie udało jej się doprowadzić do normalnego stosunku. Wdzięczność Toma była bezgraniczna, a kiedy przytulił ją i powiedział, że kocha, wiedziała, iż faktycznie tak myśli.

Następnego dnia Tom był oblegany przez dziennikarzy. Informacje o zdarzeniu w Westhampton dostały się do wszystkich gazet. Było ono właśnie z gatunku tych, jakie prasa zawsze łączyła z osobą Toma Colta. W południe policja uzyskała dane o drugim napastniku, tym niskim. Był poszukiwany w Chicago za zgwałcenie i zamordowanie trzech kobiet. Teraz cała historia rozrosła się z lokalnej do krajowej. Przyjechała policja chicagowska, poszły w ruch telefony, po całym apartamencie Toma kręcili się policjanci i reporterzy.

Rita Lewis w stanie najwyższego podniecenia dyrygowała ruchem mass mediów. January wymknęła się o wpół do dziewiątej rano, tuż przed pierwszym zaplanowanym na ten dzień wywiadem i zanim rozeszły się wieści. Po południu Tom zadzwonił do niej do redakcji.

— Tu jest istny dom wariatów — powiedział. — Teraz zajęło się tym FBI. Możliwe, że jutro będę musiał wyjechać do Waszyngtonu, aby złożyć zeznanie o tym kurduplu i jego kumplu, tym dużym. Nazywa się Henry Morse i wyobraź sobie, ma dwoje dzieci z konkubina. Wzięła adwokata, który domaga się milionowego odszkodowania za pobicie.

— Przecież nic nie może ci zrobić, prawda? — spytała January

— Nie, po prostu zabierze mi trochę czasu i w końcu zgodzi się na kilkaset dolców.

— Dlaczego masz jej płacić? Ten człowiek o mało co nie pozabijał nas wszystkich.

— To łatwiejsze, niż przechodzić przez wszystkie przesłuchania przed rozprawą, i jej adwokat dobrze o tym wie. Niestety, tak to jest: ludzie, którzy mają dużo wolnego czasu i nic do stracenia, sądzą, że ich naprzykrzanie się zmusi cię do wyrównania długu... i robisz to.

— Och, Tom... jakie to straszne.

— W każdym razie lepiej nie kręć się przy mnie przez kilka dni. Ten

kurdupel Buck Brown mamrocze już coś, że była tam dziewczyna z długimi, brązowymi włosami. Nikt mu nie wierzy, ale lepiej, żeby nas teraz nie widywano razem, dopóki wszystko nie ucichnie.

— Zgoda. Jak myślisz, ile to jeszcze potrwa?

— Nie dłużej niż kilka dni. Mój wydawca nie posiada się z radości, zachowuje się tak, jakbym to wszystko z góry zaplanował, aby pomóc książce. W ciągu doby nadeszły zamówienia na osiem tysięcy egzemplarzy. Planują kolejny dodruk. Wszyscy są chyba przekonani, że jestem pewniakiem na pierwsze miejsce.

— Och, Tom, to cudownie!

— Doszedłbym tam sam — rzekł ponurym tonem. — W tym tygodniu byłem już trzeci. Nie mogę znieść myśli, że walka na pięści może zrobić ze mnie czołowego pisarza.

— Gdyby książka nie miała powodzenia, to nie pomogłyby jej wszystkie walki świata. Dobrze o tym wiesz.

— January, powiedz mi, jak mogłem dotąd żyć bez ciebie?

— Ja się natomiast martwię, jak przeżyję bez ciebie dzisiejszy dzień.

— Będziemy w kontakcie telefonicznym i zobaczymy się przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Tego samego popołudnia wyjechał do Waszyngtonu i zadzwonił o północy.

— Wracam za kilka dni; robię też te bzdury dla książki, idzie więc dobrze. Ten mały, Buck Brown, ten, który trzymał nóż na twoim gardle, na pewno by cię zabił, to jego schemat — gwałt, a potem zabójstwo. Podczepił się do tego dużego faceta kilka tygodni temu przy okazji narkotyków. Obaj mają do czynienia z narkotykami — handlują i sami biorą, a ten mały to paranoik. Jak na razie wygląda na to, że zabił sześć kobiet i lista chyba się jeszcze wydłuży. Gdy już zgwałci, musi zabić, sam się do tego przyznał.

— Potem ściszył głos: — Wiesz co, kochanie? Muszę rzucić picie.

Przypuśćmy, że byłbym bardziej podcięty i wszystko przespał? Byłabyś...

— urwał. — Posłuchaj, będę pod koniec tygodnia, odpocznij trochę i spędzimy razem weekend.

— Ale nie w Westhampton? — spytała.

— Nie, w hotelu Plaża, absolutnie bezpieczni i zdrowi w Mieście Uciech. I January, na miłość Boską, nigdy nie zdradź Lindzie, że byłaś tam, kiedy to się stało. W końcu... składałem zeznania pod przysięgą.

Nie było to takie proste. Gdy wiadomość się rozeszła, Linda przemieniła się w Torquemadę.

— Gdzie byłaś, kiedy to wszystko się stało? Myślałam, że macie spędzić w Westhampton cały weekend.

— Nie, pojechałam tylko na jeden dzień i Tom wysłał mnie z powrotem, bo chciał popracować.
— I nic się nie wydarzyło?
— No cóż, wygląda na to, że bardzo dużo się działo po moim wyjeździe.
— Myślę o sprawach łóżkowych.
— Wszystko w porządku.
— January, czy jesteś wobec mnie uczciwa?
— Tak.
— Ale kiedy to zrobiliście?
— Lindo, na miłość Boską, wyjechałam nie wcześniej jak o dziesiątej.
— Dobrze było?
— Tak...
— Nie zabrzmiało to zbyt entuzjastycznie.
— Jestem po prostu zmęczona... za mało spałam.
— Wyglądasz okropnie, robisz się zbyt chuda, January.
— Wiem, mam zamiar zjeść dzisiaj obfitą kolację i położyć się wcześniej spać.

Nie było jej dane jednak zjeść cokolwiek, a po rozmowie z Tomem nie mogła również zasnąć. Cały tydzień bez niego... Nagle prawdziwie dobre samopoczucie zniknęło. Następnego ranka obudziła się odrętwiała z bolącą szyją. Poszła do pracy, ale o trzeciej była już pewna, że złapała wirusa. Linda kazała jej iść do domu.

— Szczerze mówiąc, January, większość zakochanych dziewcząt kwitnie... Ty więdnieasz.

Położyła się do łóżka z dreszczami. Nie знаła żadnego lekarza, a nie chciała zawracać głowy Lindzie. Pomyślała o doktorze Alpercie.

Oczywiście! Na pewno jest dobrym lekarzem, świadczą o tym choćby badania, którym musiała się poddać, zanim dał jej zastrzyk.

Zatelefonowała do niego, ale recepcjonistka poinformowała, że doktor nie chodzi na wizyty domowe i poradziła natychmiast przyjechać.

Gabinet był zatłoczony, lecz recepcjonistka przemyciła ją od razu do kabinki.

— Sprowadzę go do pani — obiecała.

Po pięciu minutach doktor Alpert przyszedł szurając nogami. Popatrzył na nią, pokiwał głową, wyszedł i wrócił ze strzykawką.

— Czy nie powinien mi pan zmierzyć gorączki? — spytała January. — Wiem, że witaminy pomagają każdemu, ale ja jestem chora, czuję, że dopadło mnie jakieś przeziębienie.

Dotknął jej czoła.

— Brak snu, jedzenia, za dużo wydatkowanej energii. Kiedy pani ostatnio coś jadła?

— No cóż... — Próbowwała sobie przypomnieć. Tom skrzyczał ją poprzedniej nocy za to, że nie dojadła befsztyka, a dziś rano ledwo wmusiła w siebie kawałek grzanki. — Nic nie jadłam od... chyba od piątku. Coś tam tylko skubałam, ale nie byłam głodna.

Pokiwał głową.

— Obiecuję, że to pani pomoże.

Siedziała w bluzce i spodniach, podwinęła rękaw odsłaniając ramię, lecz pokiwał głową.

— Proszę zdjąć spodnie. To będzie zastrzyk domięśniowy. Opuściła spodnie i położyła się na boku. Igła weszła łatwo w pośladek. January nie poczuła jednak gwałtownego ożywienia. Usiadła i naciągnęła spodnie.

— Nic nie czuję — powiedziała.

— Nie przyszła tu pani po to, żeby coś odczuwać. Przyszła tu pani, ponieważ jest pani chora — odparł burkliwie.

— Tak, ale poprzednio było mi po zastrzyku z witamin cudownie.

— Człowiek zdrowy czuje się po zastrzyku wspaniale, chory natomiast czuje się lepiej.

Usiadła na brzegu kozetki i patrzyła na doktora. Musiała przyznać, że drętwota szyi ustąpiła, nie było jednak śladu wspaniałej euforii, której doznała poprzednio. Wyszła z kabinki i zapłaciła recepcjonistce dwadzieścia pięć dolarów. Gdy dotarła do domu, spostrzegła, że dreszcze ustąpiły, czuła się silniejsza i ból w plecach oraz szyi zniknął. Nie miała wszakże tego co tamtym razem uczucia: „idź i zawojuj świat”.

Tom wrócił w piątek wieczorem i January pospieszyła mu na spotkanie do hotelu Plaża. Promieniowała od niego siłą, wydawał się spokojniejszy.

Otworzył butelkę Jacka Daniela i nalegał, by się z nim napiła.

— Mówiłem wprawdzie, że rzucę i ograniczę się, ale musimy coś uczcić.

Właśnie dostałem wiadomość: za tydzień, licząc od tej soboty, będę na pierwszym miejscu i wygląda na to, że dobrze sprzedam książkę dla filmu.

Właśnie Columbia, Metro, Century i Twentieth oraz kilka niezależnych wytwórni podbijają cenę. I jeszcze najlepsza nowina: ten wielki zbir

wyliże się, przeszła mu śpiączka, więc nie muszę brać winy na siebie. —

Potem sięgnął do kieszeni i wręczył jej elegancko zapakowane pudełko. —

Nie jest to właściwie prezent, tylko coś, co zobaczyłem na wystawie i nie mogłem się oprzeć, aby ci nie kupić.

Odwinęła paczuszkę; w środku był piękny jedwabny szalik ozdobiony

napisem „Koziorożec”.

— Och, Tom, jaki śliczny!... Jestem wzruszona, że pomyślałeś o mnie. Gdy poszli tej nocy do łóżka, nie była jednak w stanie go pobudzić. Przytulił ją i próbował nie zwracać na to uwagi.

— Jestem przemęczony — powiedział — a poza tym nie ograniczyłem picia, jak obiecywałem. Wyśpijmy się dobrze, jutro będzie inaczej. Następnego ranka oświadczyła, że ma wizytę u dentysty. Tom prosił, by ją odwołała, ale obiecała, że wróci wczesnym popołudniem.

Pobiegła prosto, bez umawiania się, na wizytę do gabinetu doktora Alperta. Na szczęście nie było dużego tłoku. Alpert zaś znowu się uśmiechał. Stwierdził, że January wygląda lepiej, a ona poinformowała go, że jadła regularnie posiłki. Brzmiało to niemal tak, jakby odpowiadała przed nauczycielem na dobry stopień (Proszę zobaczyć, jaka jestem grzeczna. Czy teraz da mi pan prawdziwy zastrzyk z witamin?) Czekala z nadzieją, gdy wyszedł po igłę, serce zaczęło jej bić szybciej, kiedy wchodził szurając nogami, z dużą strzykawką w ręce. Nie przebierała się w szlafrok, lecz w okamgnieniu zdjęła bluzkę i wyciągnęła rękę.

— Proszę obiecać, że będzie pani jadła, nawet gdy nie będzie pani czuła głodu.

Pokiwała ochoczo głową. Doktor Alpert zawiązał jej na przedramieniu gumowy wąż i January patrzyła, jak igła wchodzi w żyłę. Znowu widziała nagły przyływ krwi, która nappełniła strzykawkę, a potem została z powrotem wpompowana do żyły — i znowu doznała czegoś na kształt wstrząsu elektrycznego, potem ogarnęło ją podniecenie. Czuła się jak nowo narodzona, czuła po raz pierwszy pełnię życia. Jej zmysły były wrażliwe na kolor, zapachy, ponadto rozpierała ją siła: nie było rzeczy, której nie mogłaby zrobić... Miała mrowienie w całym ciele, a w pewnej chwili poczuła się tak, jakby osiągnęła orgazm. Pragnęła być znowu z Tomem. Narzuciła bluzkę, uściśnęła doktora Alperta, podpisała recepcjonistce naprędce czek i wybiegła z gabinetu. Znowu było zimno, ale January wiedziała, że nadchodzi wiosna. Czuła ją. Nadchodziło wszystko, co dobre. Hotel Plaża był zaledwie kilka przecznic dalej, lecz przywołała taksówkę,

nie mogła się już bowiem doczekać, kiedy znajdzie się w ramionach Toma. Gdy przyjechała, Tom rozmawiał właśnie przez telefon. Był to wywiad, którego udzielał w rozmowie międzymiastowej. Siedziała cierpliwie, on tymczasem odpowiadał na te same co zwykle pytania. Od czasu do czasu spoglądał na nią uważnie i posyłał jej uśmiech. Potem westchnął; dziennikarz zaczął się rozwodzić nad wartościami literackimi

współczesnej powieści. Tom starał się być uprzejmy.

— Wie pan co? Raczej nie mam ochoty wkraczać na ten teren. Nigdy nie krytykuję innych pisarzy. Psiakrew, nawet nad złą powieścią trzeba się nieźle napracować.

Dziennikarz uporczywie jednak ciągnął swoje. January wstała i objęła Toma, jeszcze w szlafroku. Pocałowała go w szyję, a potem obróciła się, usiadła mu na kolanach i znalazła się w jego ramionach pod telefonem. Kiedy wsunęła mu ręce pod szlafrok, wyszczerzył zęby w uśmiechu, lecz przytrzymał ją jedną ręką i próbował dalej udzielać wywiadu. Ale gdy January pocałowała go w policzek, Tom wreszcie powiedział: — Proszę pana, sądzę, że wyczerpaliśmy temat, a mam następne spotkanie. W gruncie rzeczy bardzo pilne, więc jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, na tym skończymy.

Po czym odłożył słuchawkę i przytulił ją do siebie.

— Zepsułaś mi cały wywiad — zaśmiał się.

— Przecież sam próbowałeś skończyć.

— Ja próbowałem... ale skończyłaś ty.

Objęła jego nagą talię, potem rozpięła bluzkę i stanik, przywarła do niego.

— Kocham cię, Tom, naprawdę — powiedziała, podniosła go i zaprowadziła do sypialni.

Gdy leżeli później razem, Tom spytał: — Jak mam ci dziękować?

Przytuliła się do niego.

— Za co?

— Za to, że nie dałaś mi czasu martwić się wczorajszą nocą, za to, że mnie podniecałaś dziś rano... i teraz... Za to, że ten raz okazał się najlepszy ze wszystkich.

Pocałowała go gwałtownie.

— O Boże, było cudownie.

— Tobie też? Mnie było wspaniale, ponieważ znowu funkcjonowałem normalnie... Ale z tobą nic się nie działo.

— Mylisz się.

— January — pochylił się nad nią i spojrzał surowo w jej oczy — zawarliśmy umowę, a jej częścią jest całkowita szczerłość. Nigdy mnie nie okłamuj...

Przytuliła go do siebie.

— Tom, kobieta nie jest taka jak mężczyzna, nie zawsze muszę mieć orgazm. Już samo to, że trzymam cię w ramionach i wiem, że cię uszczęśliwiam, sprawia, iż czuję się bardziej kobietą niż kiedykolwiek do tej pory.

Ciemne oczy Toma błyszcząły w półmroku sypialni.

— January, nigdy już nie będę mógł żyć bez ciebie, nigdy.

— Nie musisz, Tom, zawsze będę na ciebie czekała... kiedy tylko zechcesz.

Tom klepnął ją w pupę.

— Okay, weźmy razem prysznic. Hej, jeździsz na rowerze?

— Co takiego?

— Czy jeździsz na rowerze?

— Nie wiem... nie... Nigdy nie jeździłam.

— A więc dziś się nauczysz.

Wypożyczyli rowery i spędzili całe popołudnie w Central Parku. January natychmiast pojechała w czym rzecz, złapała równowagę i już po chwili ze świsem pędziła za Tomem alejkami dla rowerzystów. Później poszli do kina na Trzeciej Alei, zjedli pizzę, wrócili do hotelu i znowu się kochali. Było doskonale, a Tom, koniecznie chcąc ją zadowolić, zrobił to tak, że aż krzyczała.

Następnego dnia udali się na rowerach do śródmieścia. Tom zabrał ją do Irving Place i pokazał jej, gdzie mieszkał Mark Twain, zobaczyła też dom z piaskowca, w którym zatrzymał się Oscar Wilde podczas pobytu w Ameryce. Poszli do małej francuskiej restauracji, gdzie opowiadał jej o Sinclairze Lewisie — Tom był bardzo młody, gdy „czerwony” Lewis zapalił się do muzyki — o spotkaniu z Hemingwayem, o tym, jak poznał Toma Wolfa, gdy ten wykładał na Uniwersytecie Nowojorskim. Mówił o swej młodości: urodził się w St. Louis, potem przyjechał do Nowego Jorku i podjął pracę w „Sun”, następnie na krótko posłano go do Hollywoodu. Tam właśnie poznał ich wszystkich w czasach kiedy przemysł filmowy patrzył na pisarza z góry.

— Dlatego nigdy nie piszę scenariuszy według swoich książek bez względu na to, ile mi chcą zapłacić. W latach czterdziestych napisałem zbyt wiele szmir pod modnych gwiazdorów i obiecałem sobie, że jeżeli zostanę kiedykolwiek pisarzem, nigdy już tego nie zrobię.

Przez następne dwa tygodnie dni stapały się w głowie January w jakiś bezsensowny mętlik. Zmuszała się do skupienia nad pracą w redakcji, ale jej życie nabierało jedynie wtedy treści, kiedy była z Tomem: poranki, gdy budziła się w jego ramionach, wspólne śniadanie zjadane w pośpiechu, wymykanie się tuż przed przyjściem Rity Lewis pędem do domu, aby się przebrać, co trzeci dzień zastrzyki u doktora Alperta, powrót do redakcji, gdzie wykonywała całodzienną pracę w ciągu dwóch godzin. Po zastrzyku z witamin nagrała pięć taśm w ciągu jednego dnia i nawet Sara Kurtz

musiała przyznać, że są dobre. Opowiedziała o samotności takiego pisarza jak Tom Colt, o jego popularności, o odczuciach wobec całej tej cyrkowej atmosfery towarzyszącej promowaniu książki, o tym, że rozumie, iż zmieniły się teraz środki przekazu — Nowy Jork miał tylko trzy gazety. Nakreśliła doskonały, bezstronny portret Colta — nazwała go Ryk lwa — porównując Toma do króla zwierząt, który wyszedł z dżungli, aby zmierzyć się z cywilizacją. Po dwóch tygodniach Sara stwierdziła, że ma już dostatecznie dużo materiału na dobry artykuł.

Dopiero jednak wieczorem January naprawdę zaczynała żyć. Kipiąc nową niewiarygodną energią, gnała w pośpiechu do domu, prysznic, zmiana ubrania i pędem do hotelu Plaża. Niekiedy szli do teatru i wstępowali do Sardiego. Raz Tom zabrał ją na obiad do Danny's Hide-a-Way, gdzie siedzieli przy stoliku rezerwowanym dla specjalnych gości — przy dawnym stoliku ?i??. Czasem, gdy Tom miał ciężki dzień, zostawali w hotelu, jedli obiad w pokoju i January słuchała jego narzekań na wywiady, widowiska telewizyjne, agentów, a potem zawsze była wspaniała czułość jego ramion, gdy leżeli razem w łóżku. Były noce, kiedy się nie kochali, bo Tom mówił: — Mam pięćdziesiąt siedem lat, kochanie, i jestem zmęczony, ale chcę, żebyś była przy mnie.

Te noce należały do najlepszych. Kiedy miała okres i powiedziała mu o tym, pytając, czy ma iść do siebie, spojrział na nią ze zdumieniem.

— Chcę, żebyś była w nocy w moich ramionach nie tylko po to, by cię przelecieć, ale dlatego, że cię kocham i pragnę budzić się i mieć cię koło siebie, wyciągnąć w nocy rękę i móc cię objąć — czy nie na tym polega miłość?

Były i takie noce, podczas których Tom chciał zadowolić tylko ją. Kochał ją tak, aż słabła z wyczerpania.

Była też jeszcze Linda, zawsze ciekawa, obserwująca wszystko uważnie. Czuła się trochę dotknięta, gdyż January opanowała do perfekcji taktykę unikania zbyt osobistych pytań.

Pod koniec marca Tom musiał wyjechać w kolejną krótką podróż promocyjną do Detroit, Chicago i Cleveland.

— Myślę, że nie powinnaś ze mną jechać — powiedział. Po co dawać temat do plotek? Nie chodzi o mnie, ale o ciebie. To tylko pięć dni.

Gdy zobaczył łzy w jej oczach, przygarnął ją do siebie.

— January, na litość Boską, oczywiście, że możesz jechać, tylko proszę, kochanie, nie płacz.

Pokręciła głową.

— Nie o to chodzi. Wiem, że masz rację, że to tylko pięć dni, że wrócisz.

Poraziła mnie tylko nagle myśl, iż nadejdzie taki dzień, kiedy będziesz musiał wyjechać na dłużej niż pięć dni i już się nie zjawisz...

— Też o tym myślałem — rzekł powoli. — Częściej niż ci się może wydawać. Muszę to przemyśleć, gdy wyjadę. Powiedziałem ci kiedyś, że nie mogę żyć bez ciebie, i naprawdę tak czuję. Myślałem też o nowej książce, którą chcę napisać. Jej pomysł już mi się skryształizował. Zawsze jak już do tego dojdzie, nie mogę się doczekać, kiedy wyjadę, żeby ją pisać. Tym razem jest trochę inaczej. Myślę o książce i... ty się pojawiłaś. Przedtem każda nowa książka miała pierwszeństwo, zamykałem się przed światem, a powieść stawała się moją nową panią, ale teraz to inna sprawa. — To niedobrze, Tom, musisz pisać.

— Wiem... i muszę to rozważyć. Porozmawiamy o tym, gdy wrócę. Kiedy wyjechał, miała wrażenie, że z powietrza uleciał cały tlen.

Opuściła wizytę u doktora Alperta, po dwóch dniach stała się nerwowa i apatyczna, ale zmusiła się, by pójść z Lindą na obiad. Linda była teraz zakochana w Donaldzie Oaklandzie, prezenterze w lokalnym programie telewizyjnym. Poszły do Louise i January wysłuchała z najdrobniejszymi szczegółami historię jej pożycia z DonaMem.

— Nie najlepiej robi minetę, ale to dlatego, że jest Żydem. Żydzi uważają na ogół, że ten rodzaj pieśzcot nie jest najwłaściwszy, niemniej Donald się uczy. Zleciłam Sarze napisanie o nim artykułu — powiedziała Linda przeżuując kawałek selera. — Na razie czyta wiadomości w programie lokalnym, ale jak się ukaże nasz reportaż, Donald poczuje smak prawdziwej sławy, a przy okazji zrozumie, ile mogę dla niego zrobić, rzuci żonę i pozostanie ze mną. Nie zniosę dłużej kradzionych trzech wieczorów i jednego popołudnia tygodniowo.

— Chcesz wyjść za niego? Linda wzruszyła ramionami.

— Dobiegam trzydziestki, więc czemu nie? Ale przynajmniej chciałabym z nim żyć. Sporo się też przy nim uczę. Jego iloraz inteligencji wynosi 155, czyli jest niemal geniuszem. Dopiero przy nim zrozumiałam, jak mało znam się na polityce, wiele mi wytłumaczył. Aż boję mu się przyznać, że nigdy nie głosowałam. Dał mi wiele książek do czytania. Jest zapalonym demokratą, tak że aby dotrzymać pola jemu i jego znajomym, czytam „The New Republic” i „The Nation”, jakby to były „Cosmo” czy „Vogue”. Do tej pory całą uwagę skupiałam na pismach konkurencyjnych i starałam się, by „Gloss” im dorównał, a teraz uświadomiłam sobie nagle, że „Gloss” co prawda się rozwinął, ale ja nie. To znaczy na niczym się nie znam poza sprawami dotyczącymi mojego magazynu. Donald uważa, że Organizacja Wyzwolenia Kobiet jest wspaniała, więc być może do niej

wstąpię... — I dodała ze śmiechem: — Chociaż gdy zostaje u mnie na noc, zapomina o niej i spodziewa się nawet, że będę mu prała bieliznę.

— I pierzesz? — spytała January.

— Oczywiście, kupiłam mu nawet szczoteczkę do zębów i jego ulubiony płyn do ust, żeby miał je zawsze u mnie. Kiedy zostaje na noc, robię mu śniadanie... dobre śniadanie, lepsze niż to, które szykuje mu żona. Ona chce być poetką, więc pół nocy spędza na pisaniu i zawsze śpi, gdy Donald wyjeżdża z Riverdale. W niektóre wieczory sama gotuję obiad i zawsze serwuję coś niemal w stylu kuchni renomowanego lokalu, bo Donald naprawdę nie jest w stanie zapraszać mnie ciągle do restauracji. No bo łoży na dom w Riverdale, gdzie jego żona właśnie wybudowała basen, poza tym przepycha brata przez college i...

— Lindo, czy nie możesz sobie choć raz znaleźć miłego wolnego faceta?

— Nie. A ty możesz?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Tom dzwonił każdego wieczoru. Omawiali programy telewizyjne, które robił, pyskówkę, w którą się wdał z jednym z krytyków w programie Kupa, nie kończące się wywiady, których udzielał, mieszane opinie recenzentów. Co prawda nadal był na pierwszym miejscu, ale obawiał się nowych tytułów, mających wejść na wiosenną listę. Nie wspomniał natomiast ani słowem o swych planach na przyszłość.

W połowie tygodnia January poczuła się rozstrojona fizycznie i psychicznie; Tom wracał w piątek wieczorem. Powiedział, że nie może bez niej żyć, ale był bez niej i przyznawał, iż zawsze najważniejsza była dla niego praca. Czy to krótkie rozstanie pozwoliło mu się rozmyślić?

Następnego ranka, jeszcze przed jego przyjazdem, zjawiała się w gabinecie doktora Alperta. Recepcjonistka znowu przemyciła ją do kabinki, mimo że nie była zapisana, i doktor Alpert znowu wszedł szurając nogami, a gdy igła weszła do żyły, wszystkie obawy co do przyszłości z Tomem prysły i January wyfrunęła od lekarza ze złocistym uczuciem ufności.

Przyjechał w piątek wieczorem i wpadł do niej bez uprzedzenia.

Zapisała z radości i rzuciła mu się w ramiona, przywarli do siebie, mówili jedno przez drugie, spierali się, kto za kim bardziej tęsknił. Gdy trzymał ją w uścisku, wiedziała, że jej obawy były bezpodstawne — Tom nigdy jej nie zostawi.

Kiedy wypuścił ją z objęć, rozejrzał się po mieszkaniu. Był tak potężny, że pokój wydawał się maleńki.

— Na jak długo masz umowę?

— Podnajmuję je. Mam umowę do sierpnia, ale Bailey pisał, że zostałyby w Europie, gdybym je chciała jeszcze na rok.

— Pozbądź się go, mam zamiar kupić dla nas jakieś mieszkanie i liczę, że je wybierzesz. Chcę, żeby było nad rzeką, miało kominek na drewno, sypialnię, salon i jeszcze jeden pokój dla mnie, do pracy, bo właśnie w nim mam zamiar pisać nową książkę.

— A co z Kalifornią?

— Jak to: co?

— Nie musisz tam jechać?

— Tak, wyjeżdżamy w przyszłym tygodniu.

— My?

Spojrzał na nią poważnie.

— Posłuchaj, nie wiem jak tobie, ale mnie te pięć dni ciągnęło się jak pięć lat. Wiele rozmyślałem; za dwa lata będę miał sześćdziesiątkę, a ty... no cóż, ty nadal będziesz jeszcze dzieckiem. Mamy więc tylko terażniejszość. Nie wiem, jak długo ta „teraźniejszość” potrwa, ale chwytajmy ją. Kocham cię i chcę, żebyś była przy mnie. Mam jeszcze końcową dwutygodniową galę promocyjną na Wybrzeżu i nie mogę sobie pozwolić na tak długą rozłąkę. Zadzwoiłem do Niny Lou i opowiedziałem jej o tobie. Nie mówiłem, jak to z nami było. Wie, że przyjeżdżamy razem, i że zostanę z tobą, dopóki będziesz mnie chciała. Poinformowałem ją, że zatrzymam się w bungalowie w hotelu Beverly Hills — płaci za niego wydawca. Aby wszystko wyglądało jak należy, wynajmę ci pokój w hotelu, z którego nie będziesz korzystać. Zainteresowani będą wiedzieli, że jesteś tam, bo piszesz o mnie artykuł do swojego pisma. Wybiorę się nad morze, aby zobaczyć syna, i na tym koniec. Nina Lou nie ma nic przeciwko temu. Jest teraz całkiem poważnie zainteresowana pewnym aktorem i dopóki nie straci przeze mnie w oczach znajomych, nie zamierza się przejmować. Dla January wszystko stało się za szybko, a wiadomość, że go nie straci, przyprawiała ją o zawrót głowy.

— Przez tydzień będziemy w Nowym Jorku — mówił dalej Tom — i masz za zadanie poszukać mieszkania. Załatw wszystko tak, byśmy mogli się do niego wprowadzić po powrocie z Wybrzeża. Wiem, że to krótki termin, ale dobry agent powinien dać sobie radę. Chcę, żebyś sama odwiedziła wszystkie, a gdy już ograniczysz je do, powiedzmy, dwóch albo trzech, które będą ci się najbardziej podobały, pójdę, obejrzę je i

razem zadecydujemy.

— Ale Tom, jak będziesz widywał syna, żyjąc ze mną w Nowym Jorku?

— Będę latał co drugi tydzień na Wybrzeże. Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Wiem tylko, że nie mogę żyć bez ciebie.

Przeglądała mieszkania po osiem godzin dziennie. Wiadomość o tym porwała wręcz Lindę. Była tak wylewna, że powiedziała January, by traktowała wyjazd na Wybrzeże jako płatny urlop.

— To premia, docień to i pamiętaj: masz się niczym nie martwić i uszczęśliwiać swego geniusza. Musimy ci znaleźć najwspanialszy apartament w Nowym Jorku. January, pomyśl tylko, jako dziewczyna Toma Colta możesz otworzyć salon. Przy jego autorytecie będą przychodzili do was wszyscy liczący się ludzie, możemy zapoczątkować coś całkiem nowego, na przykład niedzielne brunchy. Będę je opisywała w naszych sprawozdaniach w „Glossie”. Tak! to kapitalna myśl! Staniemy się nową klasą „A” w tym mieście. To o nas będzie się pisać, nas kopiować, my nadamy ton! A jak urosnę w oczach pana Donalda Oaklanda! Już teraz jest pod wrażeniem tego, że znam Toma Colta, a jak przyjdzie do nas i zobaczy wszystkich ważnych ludzi, których ja będę spotykać!... January, to najodpowiedniejsza chwila. Nowy Jork jest gotów na coś takiego. Twój dom musi mieć wielki salon, najlepiej gdyby miał drzwi łączące go z jadalnią i...

January bawił entuzjazm Lindy i uważała, że najlepiej będzie pozwolić jej pleść dalej, bo mieszkanie i tak będzie fortecą przeznaczoną tylko dla Toma. Żadnych gości, żadnych przyjęć — jedynie oni we dwoje.

Pozwoliła wszakże Lindzie chodzić ze sobą i oglądać domy, gdyż przerażała ją trochę sprawna kobieta z biura obrotu nieruchomościami, która oprowadzała je po różnych lokalach. Po czterech dniach January była pewna, że odwiedziła już wszystkie duże nowojorskie budynki i ograniczyła swój wybór do mieszkania przy United Nations Plaza i apartamentu na parterze z wielkim tarasem zwisającym nad rzeką w Sutton Place. Lindzie podobał się dom przy U. N. Plaza, lecz Tom zapalił się do tego w Sutton Place.

Chętni mogli wykupywać mieszkania na własność i Tom nie sprawiał wrażenia zmartwionego, że musi zapłacić za nie sto dziesięć tysięcy dolarów. Był zadowolony ze stosunkowo niskich miesięcznych kosztów utrzymania i z wieczystej dzierżawy gruntowej na dziewięćdziesiąt lat. Kiwał głową, gdy przedstawicielka agencji wymieniała to wszystko i w końcu powiedział: — Załatwione, proszę sporządzić umowę i przesłać do mojego adwokata na Wybrzeżu. Przyśle pani czek.

Podał nie posiadającej się z radości agentce wszystkie potrzebne adresy i numery telefonów, po czym zabrał January do najbliższego baru. Ze smutnym uśmiechem wznosił toast na cześć ich nowego mieszkania.

— Podobało mi się jej gadanie o dzierżawie na dziewięćdziesiąt lat.

January, dla mężczyzny w moim wieku oczekiwać, że coś takiego z takim dzieciakiem jak ty może trwać... — potrząsnął głową. — Wiem, że jestem szalony, ale naprawdę chcę, żebyśmy spróbowali. Cieszymy się bez względu na to, jak długo to będzie trwało.

— Tom, to będzie na zawsze. Podniósł kieliszek.

— A więc za nasze „na zawsze”. Zakładam, że potrwa jakieś pięć udanych lat.

Następne dni spędziła na uzupełnianiu garderoby na wyjazd do Kalifornii i wykańczaniu ostatnich spraw w redakcji, a co wieczór biegła radosna do hotelu Plaża. Kipiała niespożyta energią.

Do Kalifornii mieli wyjechać w środę po południu. Tego ranka odwiedziła doktora Alperta. Wydawał się zdziwiony na jej widok.

— Przecież była tu pani zaledwie dwa dni temu, miała pani przyjść nie wcześniej jak jutro.

— Wyjeżdżam dziś do Los Angeles — powiedziała patrząc, jak szykuje strzykawkę. — Będę tam co najmniej przez tydzień. Czy nie może mi pan dać takiego zastrzyku, który starczyłby mi na dłużej?

— Gdzie się pani zatrzyma w Los Angeles?

— W hotelu Beverly Hills. Doktor Alpert uśmiechnął się do niej.

— Ma pani szczęście, tydzień temu poleciał tam mój brat, doktor Preston Alpert. Wyjechał tam znany piosenkarz na swój comeback w dużym klubie. Musi brać codziennie zastrzyk z witamin i mój brat jest z nim przez cały czas występów. Proszę do niego zadzwonić.

— Panie doktorze — January poczuła nagle strach — czy można się uzależnić od tych zastrzyków?

— A dlaczego miałyby się pani uzależniać?

— No bo skoro ten piosenkarz musi je brać codziennie...

— Pije dzień w dzień pół litra brandy, nie je, każdą noc spędza z kobietą, to i nic dziwnego, że potrzebuje witamin. Pani też są bardzo potrzebne. Proszę mi powiedzieć, czy doznała pani jakichś urazów, zanim przyszła pani do mnie?

— Przez całe trzy lata miałam uraz — uśmiechnęła się January — a potem coś w rodzaju szoku, ale to było we wrześniu i dobrze się skończyło.

Doktor Alpert pokiwał głową.

— Opóźniona reakcja. Proszę mnie posłuchać, moja mała. Są lekarze, którzy leczą głowę. A dlaczego? Ponieważ coś, co zdarzyło się dwadzieścia lat temu, kaleczy dzisiaj psychikę. Dlaczego więc pacjenci sądzą, że zdarzenia, które im się przytrafiły kilka miesięcy temu, nie mogą szkodzić ich ciału? Jeżeli jest pani osłabiona, co w tym złego, że będzie pani brała zastrzyki z witamin trzy razy w tygodniu, skoro dzięki nim funkcjonuje pani i czuje się dobrze? Czy nie usuwa pani kamienia z zębów raz na kilka miesięcy?... Czy nie myje ich pani trzy razy dziennie?... Czy nie zmywa pani na noc oczu? Dlaczego więc nie pomóc pani zmęczonej młodej krwi? Jeśli zaś jeszcze dodać to, co wy, dziewczyny, dzisiaj jecie, a raczej to, czego nie jecie... Miał rację. Ten przemiły człowiek poświęcał czas, by jej to wszystko wytłumaczyć, choć jego gabinet był pełen pacjentów. I uśmiechał się życzliwie.

— Niech się pani dobrze bawi... I proszę zadzwonić do mojego brata. A kiedy pani wróci, proszę się wcześniej do mnie zapisać.

Szła do domu na piechotę, wiedząc, że spakuje się migiem. Był to jeden z tych rzadkich kwietniowych dni — czysty, chłodny, bez smogu, z niebem w kolorze porcelany Wedgwooda. Ciekawa była, dlaczego początek roku wypada zawsze w środku zimy, kiedy wszystko jest martwe. Nowy rok powinien się zaczynać w kwietniu, w taki dzień jak ten, gdy wszystko na powrót ożywa. Wszędzie widziała tego oznaki: kobietę z maleńkim szczeniakiem niepewnie idącym na smyczy, pączki pękające na nagich jeszcze gałęziach młodych drzewek podpartych palikami i klamrami, z workami konopnymi wokół słabych pni, by ułatwić im przetrwanie na skrawku ziemi przy nowojorskiej ulicy. Dalej zobaczyła staruszkę w pończochach zsuwających się z wątlých nóg — wędrowała ulicą drobnymi kroczkami z psem pokrzywionym artretyzmem. Łzy napłynęły January do oczu. Żal jej było wszystkich, którzy nie byli młodzi, a tak naprawdę współczuła tym, którzy nie jechali do Kalifornii, oraz tym, którzy nie znali takiego człowieka jak Tom Colt.

W miarę jak mijał dzień, narastała w niej coraz większa euforia. Jeszcze nigdy nie czuła się tak doskonała i wrażliwa na to, co działo się wokół niej. W samolocie, boeingu 747, siedziała obok Toma. Lot przebiegał spokojnie, obsługa była świetna i wszystko wspaniałe, dopóki stewardesa nie podała im razem z deserem maleńkich lukrowanych pisanek.

Wielkanocne jajka!

Była Wielka Środa!

Następnego dnia samolot Dee miał ją zabrać do Palm Beach na święta.

Gdy dotarła do hotelu, natychmiast zadeszowała do ojca. „JESTEM W LOS ANGELES, W HOTELU BEVERLY HILLS. PISZĘ ARTYKUŁ O TOMIE COLCIE. MUSZĘ ZREZYGNOWAĆ ZE ŚWIĄT. UŚCISKI, TWOJA ROBIĄCA KARIERĘ CÓRKA.”

Miała nadzieję, że dzięki lekkiemu tonowi depeszy Mikę pomyśli, iż wyjazd wypadł w ostatniej chwili, i nie posądzi jej o brak pamięci. Zarejestrowała się w „swoim pokoju” w głównym budynku, choć jej bagaż powędrował do bungalowu Toma.

— Codziennie będę tam przychodzić i rozgrzebywać pościel dla zachowania pozorów — powiedziała.

Tom zaśmiał się tylko i pokiwał głową.

— Tutaj wszyscy żyją razem, gwiazdy nie ukrywają nieślubnych dzieci... Naprawdę sądzisz, że ktoś będzie dbał o to, gdzie śpisz?

— Ja będę — stwierdziła January.

Wydawca ustalił napięty grafik na następne dwa dni: wywiady przy śniadaniu, lunchu, show Merva Griffina, wiadomości w telewizji i jeszcze poranny show o siódmej rano. January towarzyszyła Tomowi wszędzie z notesem i grała rolę reporterki z „Glossu”.

W sobotę Tom posłał ją na basen, a sam pojechał do Malibu odwiedzić syna. Sven, atrakcyjny młodzieniec zarządzający kabinami do przebierania, zaoferował jej wygodne krzesło na słońcu, dał olejek do opalania i przyniósł czasopisma. January jednak nie mogła się odprężyć, a po godzinie zaczęła odczuwać zdenerwowanie; zmusiła się, by pozostać na basenie, powinna się trochę opalić. Przy ich pierwszym spotkaniu Tomowi bardzo podobała się jej ogorzałość. Zaciśnęła ręce i uchwyciła się poręczy krzesła, czuła, że musi wytrzymać, choć miała wrażenie, że to początek jakiejś choroby. Wmawiała w siebie, że powodem jej niepokoju jest wyjazd Toma, po pewnym czasie wszakże musiała przyznać, iż ból gardła jest jak najbardziej rzeczywisty i ma początki oślepiającej migreny — wszystkie nietrudne do rozpoznania objawy... Czas zadzwonić do brata doktora Alperta.

Opuściła basen i poszła do swojego pokoju. Był bardzo miły, ale nawet mimo koszuli nocnej i szlafroka wiszących w łazience nie ulegało wątpliwości, że nikt tu nie mieszka. Ciekawe, co sobie myślała pokojówka? January zapaliła papierosa, podniosła słuchawkę i spytała o doktora Prestona Alperta. Telefonistka odpowiedziała, że o szóstej ma wrócić z Malibu. Był w Malibu. O Boże, czy wszyscy wyjechali do Malibu?

Była dopiero trzecia. Jak przetrwa całe popołudnie?! Położyła się na łóżku,

by uciszyć młot walący w jej głowie, a już przed czwartą schylona nad umywalką polewała kark zimną wodą. Jeszcze dwie godziny! Wyszła z pokoju i powędrowała do bungalowu. Przebrała się w spodnie i koszulę. Ręce jej się trzęsły, gdy nalewała sobie burbona do szklanki. Zatkaną ją prawie, ale przełknęła trochę. Zawsze wydawało jej się, że tak dobrze działa na Toma, niewykluczone, że pomoże jej głowie. Przełyk ją palił, lecz ból głowy jakby nieco zelżał. Wsunęła butelkę do torebki i wróciła do swojego pokoju. Wyciągnęła się na łóżku i zaczęła popijać burbona. Pokój tchnął spokojem i smutkiem, że wynajęto go, a nikt w nim nie mieszka.

— Przepraszam cię, pokoiku — powiedziała głośno — nie mam nic przeciwko tobie... Po prostu mój mężczyzna mieszka w bungalowie. Nadal sączyła burbona. Uśmierzył ból głowy, zdawała sobie jednak sprawę, że jest coraz bardziej pijana. Nie chciała, żeby Tom po powrocie zastał ją w takim stanie. Doszła do wniosku, że ciepła kąpiel może się okazać pomocna, a przynajmniej szybciej zleci jej czas. Zmusiła się, by wysiedzieć w wannie, dopóki skóra na palcach nie zaczęła się marszczyć. Potem poprawiła makijaż i spojrzała na zegarek: piętnaście po piątej. Znowu sprawdziła, czy jest doktor Alpert, ale otrzymała tę samą odpowiedź — ma być o szóstej.

Ponownie wrócił ból głowy, tym razem jeszcze gorszy niż poprzednio, a szyja tak ją bolała, jakby miała napuchnięte migdałki. O Boże, teraz chyba naprawdę była osłabiona. Nic dzisiaj nie jadła, wypła tylko z Tomem rano kawę, a doktor Alpert ostrzegł, że musi jeść. I znowu schudła, nawet spodnie z niej spadały.

Następne pół godziny trwało bez końca. Spociała się, więc włączyła klimatyzację, ale po chwili zmarzła i musiała ją wyłączyć. Za piętnaście szósta zostawiła doktorowi Alpertowi jeszcze jedną wiadomość, dodając, że to pilne. Piętnaście po szóstej nadal go nie było. O Boże... a co będzie, jeżeli w ogóle nie wróci? jeżeli postanowił spędzić cały weekend w Malibu? Zabrakło jej papierosów, zaczęła więc wyjmować z popielniczki niedopałki. Tom miał wrócić o siódmej i chciała być w jak najlepszej formie, kiedy się zjawi. W końcu jego żona jest na pewno bardzo piękna, musi być piękna, skoro została gwiazdką filmową. Nie, przecież teraz nie ma już gwiazd! Nalała sobie jeszcze jednego drinka. Nina Lou jest aktorką, po prostu dziewczyną, która uprawia szczególny zawód, posuniętą w latach aktorką. Nie ma powodu, by się przez nią denerwować. Ale nawet posunięta w latach aktorka może być atrakcyjna. Wystarczy spojrzeć, ile z nich zostaje gwiazdami telewizyjnymi. To głupie... Tom

pojechał zobaczyć syna. Ale jak można spędzić cały dzień z ośmiomiesięcznym dzieckiem, które musi dużo spać?

Było wpół do siódmej, kiedy January zgasiła ostami przyzwoity niedopałek. Na dole był sklep, lecz bała się wyjść z pokoju, by nie przegapić telefonu, posłała więc chłopca hotelowego, dając mu dolara napiwku, by kupił jej papierosy. Za piętnaście siódma jeszcze raz spróbowała połączyć się z doktorem Alpertem — telefon był zajęty! Usiadła przy aparacie bębniąc palcami o blat stołu. Dlaczego jest zajęty? Czy nie powiedziała, że jej sprawa jest pilna? Po pięciu minutach znowu postarała się połączyć. Spokojny, ospały głos spytał: — Taak?

— Czy to doktor Preston Alpert?

— Kto mówi? — wycedził słowa spokojny głos.

— January Wayne.

— W jakiej sprawie?

— Na miłość Boską, czy to pan jest doktorem Alpertem?

— Pytałem, w jakiej sprawie pani dzwoni.

— Jestem pacjentką doktora Simona Alperta. Powiedział mi, że pan tu jest i opiekuje się...

— Mniejsza o to — głos zabrzmiał nagle zdecydowanie i ostro. — Czego sobie pani życzy?

— Zastrzyku z witamin.

— A kiedy brała pani ostatni?

— W środę rano.

— I tak szybko jest pani potrzebny następny?

— Tak... mówię szczerze, doktorze, naprawdę... Przerwał jej.

— Wieczorem będę rozmawiał z bratem. Może zadzwoni pani do mnie jutro w południe?

— Och, nie! Proszę... tylko nie jutro. Potrzebuję już teraz. Proszę pana, piszę do „Glossu”, pracuję tu nad trudnym artykułem o Tomie Colcie i...

— O Tomie Colcie? — głos był wyraźnie pod wrażeniem.

— Tak, i widzi pan, muszę być cały czas żwawa, wszystko obserwować i zapamiętywać... bo nie robię notatek.

— Ach tak, rozumiem... No cóż, sprawdzę u brata, jakie pani dostaje witaminy. Pan Colt mieszka w bungalowie numer pięć, tak?

— Tak, ale ja jestem w pokoju sto dwadzieścia trzy.

— Och, a więc jest pani tą dziewczyną, która z nim mieszka?

— Żadna dziewczyna z nim nie mieszka!

— Moja droga, jeżeli naprawdę robi pani z nim wywiady, to musi pani wiedzieć, że ma ze sobą piękną młodą dziewczynę... Na tyle młodą, że

mogłaby być jego córką. Wszyscy w hotelu o tym wiedzą.

Po chwili milczenia January powiedziała: — Dziękuję, ale nie będzie dłużej piękna i młoda, jeżeli wkrótce pan tu nie przyjdzie. Na miłość Boską, już pięć po siódmej!

— Zaraz u pani będę.

Po dziesięciu minutach zapukał do jej drzwi. Jego wygląd wzbudził w niej wstręt: był wysoki, z gęstymi, rudawoblond włosami i krogulczym nosem. Miał brzydką cerę, jego długie chude palce były czyste, lecz wyglądały, jakby nie było w nich krwi. Wołała jego brata. Doktor Simon Alpert miał w sobie chociaż ciepło. Nie był tak sterylny, ale za to serdeczny i przyjacielski. Ten zaś wyglądał jak nieskazitelna, antyseptyczna ryba. Gdy przygotował strzykawkę, January odwinęła rękaw bluzki.

— Proszę położyć się na boku i zsunąć spodnie — powiedział nie patrząc na nią.

— Wolę zastrzyki dożylnie.

Sprawiał wrażenie zdziwionego, lecz owinał jej ramię gumową opaską, a potem zaczął mieszać roztwór. Skrzywiła się z bólu, gdy igła weszła w żyłę, i oparła się o poduszkę. Jeszcze nigdy nie miała takich doznań po zastrzyku — poczuła zawrót głowy, jakby ulatywała w powietrze, serce waliło jej jak młotem, dławilo ją w gardle, unosiła się do góry... wyżej... coraz wyżej, a potem zdawało się jej, że spada ogromnym powietrznym szybem... bez dna... Przeraziła się na chwilę, zaraz jednak wszystko się unormowało i nie czuła nic poza złocistą żądzą życia, która przepłynęła przez jej całe ciało. Kiedy doktor Alpert skończył zakładać opatrunek, opuściła rękaw bluzki.

— Ile jestem panu winna? — spytała.

— To prezent.

— Co takiego?

— Każda dziewczyna, która pociąga Toma Colta, zasługuje na bezpłatny zastrzyk z witamin.

— No cóż, dziękuję... bardzo dziękuję.

— Jak długo tu będziecie? — spytał.

— Jeszcze tydzień. On bardzo ciężko pracuje, w przyszłym tygodniu ma kilka wywiadów, potem jedziemy na dwa dni do San Francisco i z powrotem do Nowego Jorku, i Tom... — przerwała.

— Wraca do żony?

Już miała zdradzić temu okropnemu człowiekowi, że mają zamiar kupić mieszkanie. Na tym polegało niebezpieczeństwo zastrzyku — tak dobrze

się czuło, że chciało się rozmawiać z każdym, każdemu ufać.

— Myślę, że lepiej będzie, jak wrócę do bungalowu—powiedziała. Doktor Alpert pokiwał głową.

— Ktoś taki jak Tom Colt... kto ciągle pracuje... stanowczo powinien wziąć całą serię witamin.

January uśmiechnęła się niewyraźnie.

— Nie potrzebuje ich, ma Jacka Daniela.

— Wie pani o piosenkarzu, którego leczę?

Podeszła do sekretarzyka i udawała, że czesze włosy. Denerwował ją jego obłudny sposób bycia. Nie mogła jednak pozwolić sobie na całkowite odstręczenie doktora Alperta — być może będzie jej jeszcze

— Opiekuję się również pewnym bardzo sławnym kompozytorem, który codziennie dostaje zastrzyk, poza tym zaczęło je brać kilka znanych osobistości z telewizji. Mężczyzna w wieku Toma Colta, zakładając nawet, że jest bardzo męski, powinien bezsprzecznie zażyć trochę witamin.

Każdy powinien, kto żyje w takim tempie — pisze książkę, promuje ją, kocha się z młodą dziewczyną.

Jego szare oczy rozbłysły, gdy poruszył temat seksualny.

Jedyne, co mogła zrobić, to powstrzymać się od wyrzucenia go za drzwi; odwróciła się i uśmiechnęła z przymusem: — Zaproponuję mu to — powiedziała — a teraz... naprawdę muszę się ubrać.

Spakował torbę i wyszedł z pokoju. Poczekała, aż go nie będzie, i pobiegła do bungalowu. Tom jeszcze nie wrócił. Czowała się doskonale, zastrzyk doktora Prestona Alperta był o wiele skuteczniejszy niż jego brata. Nalała sobie jeszcze jedną szklaneczkę burbona. Tom będzie zadowolony, gdy zobaczy, że go pije. Dobry Boże, butelka była prawie pusta, a do pokoju zabrała pełną w trzech czwartych!

Podeszła do barku i otworzyła następną. Pomyślała o Tomie, przyłożyła ją nagle do ust i pociągnęła duży łyk. Trochę ją zatkało, ale przełknęła.

Łyknęła ponownie — raptem cały pokój zaczął się bujać. Uświadomiła sobie, że jest pijana, całkowicie zalana. Bardzo ją to rozbawiło, zaczęła się śmiać. Śmiała się, aż łzy zaczęły jej spływać po twarzy i rozboleł brzuch.

Chciała przestać, lecz nie mogła. Jej ciało stało się lżejsze od powietrza.

Śmiała się jeszcze, gdy zadzwonił telefon.

Spojrzała na zegar, była prawie ósma. To na pewno Tom. Będzie się tłumaczył z tak dużego spóźnienia. Sięgnęła po słuchawkę, zmieniła jednak zdanie. Nie, czekała na niego cały dzień, więc teraz Tom i telefonistka trochę się pomęczą, zanim ją znajdą. Wiedziała, jaki jest mechanizm działania: spróbują w Polo Lounge, potem goniec wywoła ją w

holu... No, teraz pozwoli się odszukać. Podniosła słuchawkę.

— Halo... centrala? Mówi January Wayne, czy jest do mnie telefon? Znowu ogarnął ją śmiech: to wszystko było takie strasznie zabawne! W słuchawce zapanowała na chwilę cisza, gdy telefonistka łączyła rozmowę, a później rozległ się głos 'i??'?

— January...

— Mike... — Zaczęła się śmiać jeszcze głośniej. Dzwonił Mike, nie Tom; nadal się śmiała, choć nie było jej wcale wesoło. Po prostu nie mogła przestać, mimo że chciała.

— January, z czego się śmiejesz? Co to za doskonały dowcip?

— Nic — śmiała się ze zdwojoną siłą — nic, to tylko ten zastrzyk i burbon, i... i czuję się cudownie... i... — znowu wybuchnęła spazmatycznym śmiechem.

— Jaki zastrzyk?

— Witaminy. Są... boskie. — Teraz przestała się śmiać, miała wrażenie, iż unosi się na chmurze. Witaminy wzięły górę nad burbonem; czuła się jedwabista od środka, a łóżko było chmurą płynącą w przestrzeni...

— January, dobrze się czujesz?

— Och, mój ukochany tatusiu, nigdy nie czułam się lepiej. Nigdy... nigdy... nigdy...

— Z kim teraz jesteś?

— Z nikim, czekam właśnie na Toma.

— Powiedz mi coś — poprosił. — Jak to się stało, że twoje pismo wysłało ciebie na ten wywiad? Od kiedy jesteś ich gwiazdą reporterską? Znowu zaczęła się śmiać. Głos 'i??' był taki poważny, taki surowy! Gdyby tylko wiedział, jaka była szczęśliwa, jak szczęśliwi powinni być wszyscy. Chciała, żeby i on czuł się szczęśliwy, żeby zrozumiał, jak to jest, gdy się szybuje w powietrzu.

— Mike, czy jesteś szczęśliwy? — spytała.

— O czym ty mówisz?

— O szczęściu, bo tylko to się liczy. Czy jesteś szczęśliwy z Dee?

— Mniejsza o mnie. Co tam robisz? Co to za zastrzyki, o których mówiłaś?

— To tylko witaminy, cudowne, boskie witaminy. Och, Mike, wiesz, że za oknem rosną palmy? Ładniejsze od tych na Florydzie, a bungalow numer pięć jest moim własnym prywatnym domem. Czy mieszkałeś kiedyś w bungalowie numer pięć, gdy byłeś w Los Angeles? Założę się, że tak... ponieważ ty i on jesteście do siebie bardzo podobni. Przecież on nawet miał nasz apartament w hotelu Plaża.

Głos ?i??? stwardniał.

— Chcę, żebyś natychmiast wyjechała z Los Angeles.

— Nic z tego, jak wyjadę z Los Angeles, zamieszkałam w moim nowym wielkim apartamencie z ogrodem i tarasem wychodzącym na rzekę i... — Nagle nie mogła sobie przypomnieć, o czym mówiła. — Co ja mówiłam? — spytała.

— Powiedziałaś zbyt wiele, do widzenia, January.

— Do widzenia, mój wspaniały tatusiu... mój panie... mój przystojny... mój...

Ale Mikę już odłożył słuchawkę.

Tom przyjechał o dziewiątej i zastał ją zupełnie nagą na łóżku. Patrzył na nią przez chwilę, potem zaś się uśmiechnął.

— To jest to, co nazywam prawdziwym powitaniem. Wyciągnęła do niego rękę, ale Tom, usiadłszy na brzegu łóżka, pokręcił głową.

— Jestem zbyt zmęczony. To była ciężka podróż. Dziś miałem kolejny dzień prawdziwej orki.

— Chcesz powiedzieć, że tak bardzo cię zmęczyła zabawa z dzieckiem?

— Tak naprawdę to trzymałem dziecko dokładnie dwadzieścia minut.

Potem zwymiotowało, niańka obrzuciła mnie oburzonym spojrzeniem i natychmiast mi je wyrwała. Mogłem je zobaczyć jeszcze raz po kąpieli.

— Co więc robiłeś przez cały czas? Wstał i zdjął marynarkę.

— Robisz tyle hałasu, ile zazdrośna żona, a przecież nie masz powodu.

Powiedziałem ci, że zachowywanie pozorów małżeństwa jest częścią naszego układu. Musiałem więc dziś być miły dla wielu ludzi, których Nina Lou miała na brunchu, koktajlach i... cóż, wyglądało to jak dom otwarty przez całą dobę — powitanie wielkiego pisarza.

— Czuję się odcięta od świata — powiedziała nagle. — Ty masz na przykład dla siebie cały drugi świat, a dla mnie wszystkim jesteś wyłącznie ty.

Znowu usiadł na skraju łóżka.

— Posłuchaj, kochanie, moim światem jest pisanie, ale teraz ty do niego wkroczyłaś, liczysz się w nim i możesz pozostać, jak długo zechcesz.

Kocham cię, ale na żadnej kobiecie nie skończy się mój świat. Tylko teraz jest wyjątkowo, bo uczestniczę w tym całym cyrku reklamowym i wśród tego wszystkiego ty jedna jesteś prawdziwa. Ale jak zacznę pisać, będziesz się musiała pogodzić z faktem, że pisanie zawsze stawiam na pierwszym miejscu.

— Ale nie inne kobiety.

— Na pewno nie, przysięgam.

Wyszczерzyła radośnie zęby w uśmiechu i wyskoczyła z łóżka.

— Zgadzam się na te warunki i teraz ty musisz spełnić moje... na dzisiejszą noc.

Zmusiła go, by wstał, i zaczęła mu rozpinąć koszulę.

— Skoro wypełniłeś już obowiązki małżeńskie, czeka na ciebie twoja kochająca gejsza.

Pogładziła go po piersiach, a potem jej palce powędrowały na plecy. Wziął ją za ręce i przytrzymał.

— Kochanie... nie dam rady, jestem za bardzo zmęczony. Ale jeśli chcesz, zaspokoję chociaż ciebie.

— Nie, nie pójdziemy spać przez całą noc, tylko będziemy rozmawiać mocno do siebie przytuleni.

— Świetnie, myślę jednak, że lepiej zamówię dla ciebie obiad.

— Nie potrzebuję jedzenia... mam ciebie.

— Chciałbym wiedzieć, co ty takiego wyniuchała — powiedział Tom z uśmiechem. — Też bym chciał.

— Witaminy — odparła. — Także powinienesz spróbować. Tom zaczął się śmiać.

— Mój Boże, jak to cudownie być młodym! Możesz się włączyć i naładować. Również tak mogłem, gdy byłem w twoim wieku. —

Westchnął ciężko. — Starzenie się jest parszywe, nigdy nie myślałem, że mnie to spotka. Wydawało mi się, że zawsze będę silny i młody, że bez ograniczeń będę mógł pić i zarywać noce. Traktowałem poważnie jedynie zdrowie i siły życiowe. Ale starość podstępnie się w ciebie zakrada... — westchnął znowu. — To potworne wiedzieć, że człowiek powoli zbliża się do sześćdziesiątki.

— Nie jesteś wcale stary — powiedziała — a ja naprawdę biorę witaminy w zastrzykach. O, tutaj, spójrz. — Wyciągnęła do Toma ramię i zdjęła opatrunek. Tom zobaczył na ręku maleńki ślad po ukłuciu.

— Co ty, do cholery, wyprawiasz? — zapytał głosem nie znoszącym sprzeciwu.

— To zastrzyk z witamin.

— Nie biją ci w pośladek?

— Tylko raz wzięłam w ten sposób, ale nie działał tak dobrze. Tamten był domięśniowy, a ten dożylny.

— Okay, doktorze Kildare, powiedz mi teraz, kto ci go zrobił.

— Doktor Preston Alpert. Jest tu akurat, a w Nowym Jorku opiekuje się mną jego brat.

- I co ci te zastrzyki dają?
- Czuję po nich, że cały świat jest mój.
- Ściągnij go tutaj — zażądał Tom.

Znaleźli doktora Alperta w Polo Lounge, po piętnastu minutach był już w ich bungalowu. Kiedy poznał Toma, był tak jawnie przejęty, że ręka mu się trzęsła, gdy mocował w strzykawce igłę jednorazową. January siedziała skulona na łóżku w jednym ze szlafroków Toma. Tom był bez koszuli, wciąż w białych drelichowych spodniach. Był opalony po pobycie na plaży i w porównaniu z nim pochylający się nad strzykawką doktor Alpert wyglądał jak długonogi zielony konik polny. Tom obserwował go uważnie. January odwróciła głowę, gdy doktor wkuł mu igłę w żyłę. Jeżeli nawet Tom cokolwiek poczuł, jego wyraz twarzy nie uległ najmniejszej zmianie. Czekał w milczeniu, aż doktor Alpert skończy. Popatrzył na mały opatrunek na rękę i sięgnął do kieszeni.

- Ile jestem winien?
- Sto dolarów.
- Sto dolarów! — krzyknęła January. — Przecież to szaleństwo, pana brat liczy mi po dwadzieścia pięć.

Doktor Alpert spojrzał na nią niesympatycznie.

- Tyle bierze w klinice, a to jest wizyta domowa i na dodatek po godzinach.

Tom wcisnął mu w rękę banknoty.

- Proszę, tu są pieniądze, a jeśli spotkam pana kiedykolwiek kręcącego się koło niej, potłukę wszystkie ampułki, które ma pan w torbie.

Doktor Alpert był oszołomiony.

- Czy chce pan powiedzieć, że nie jest pan zadowolony z zastrzyku? Czy niczego pan nie czuje?

- Czuję bardzo dużo, zbyt wiele jak na zwykły zastrzyk z witamin. Ten zastrzyk ma w sobie jakiś napęd.

Doktor Alpert ruszył do drzwi, Tom poszedł za nim i złapał go za marynarkę.

- Proszę zapamiętać: nie chcę, żeby się pan do niej zbliżał, bo wyrzucę pana z miasta.

Doktor Alpert przyszedł już do siebie.

- Panie Colt, gdyby zrobiono panu w tej chwili analizę krwi, znajdzie się w niej tylko dużą dawkę witamin A, E, C i B.

- I jestem pewny, że trochę psychedryny. Nie wątpię, że dodał pan do niej również witaminy, ale to ona jest tym napędem, który sprawia, że pacjenci dobrze się czują.

Doktor Alpert potknął się o próg przy drzwiach, opuszczając w pośpiechu bungalow. Tom odwrócił się do January.

— Jak długo na tym jesteś?

— Na niczym nie jestem, Tom. To znaczy... wzięłam kilka zastrzyków... Linda mi o tym powiedziała...

Potem opowiedziała o Keicie i innych ważnych osobistościach, które korzystały z usług obu doktorów Alpertów. Tom objął ją i mocno przytulił.

— Posłuchaj, maleńka, teraz czuję się tak, że mógłbym cię kochać przez całą noc, zacząć nową powieść i pisać ją bez końca, skoczyć do wody z najwyższego wzgórza w Miramar w Acapulco... i pływać jak każdy profesjonalny nurek meksykański. To cudowne uczucie, znam je. W czasie drugiej wojny światowej byłem korespondentem wojennym. Brałem prochy i wiem trochę, co to znaczy być na haju. Piloci bombowców wylatujący na poranne bombardowania jedli prochy jak cukierki. Może nie sypiali zbyt dobrze w nocy, obawiając się, że ten lot może być ich ostatnim, ale pakowali do ust o czwartej nad ranem spid, a w godzinę później, przy starcie, byli już tak napędzeni, że wzbijali się w błękitną przestrzeń z szaleńczym przekonaniem, że nie dosięgnie ich żadna kula. Do licha, połowa z nich miała wrażenie, że nie potrzebuje w ogóle samolotu. Teraz czuję to samo. Mógłbym... ech, do cholery! szkoda marnować zastrzyk!

I rzucił ją na łóżko.

Następnego dnia zastrzyk chyba już przestał działać na Toma, natomiast January nadal była przepelniona entuzjastyczną energią. Tom posadziwszy ją przed sobą, próbował przestrzec przed niebezpieczeństwem.

— Posłuchaj, mam sześć stóp i dwa cale wzrostu i ważę sto dziewięćdziesiąt funtów, dlatego mój organizm szybko to wchłonał, ale ty... ty ważysz nie więcej jak sto funtów, a głowę daję, że ten środek jest naładowany psychedryna. Nie uzależnia się od niej tak jak od silnych świństw, ale gdy przestaje działać, jego brak objawia się kurewskim kacem.

— Czy te zastrzyki mogą mi naprawdę zaszkodzić?

— Jako stała dieta mogą cię zabić: podnoszą ciśnienie, serce bije ci trzy razy szybciej... A teraz posłuchaj, jeśli naprawdę chcesz się nabuzować, to sobie golnij, i tak nie dasz rady wypić tyle, żeby ci zaszkodziło. Ja daję radę i robiłem to, ale wówczas byłem sam. A więc nigdy więcej zastrzyków, obiecujesz?

— Obiecuję.

Tego wieczoru kazali sobie podać obiad do pokoju. Ledwo skończyli jeść,

Tom zerwał się i pociągnął ją do sypialni.

— Tom — śmiała się idąc za nim — kelner przyjdzie...

— Niech sobie wchodzi, zamkniemy drzwi sypialni. Możliwe, że to burbon aktywizuje resztki wczorajszego zastrzyku, ale cokolwiek to jest, nie chcę tego zmarnować.

Nie słyszeli dzwonka do drzwi wejściowych, nie słyszeli nawet, jak otwierają się drzwi sypialni. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że January z trudem potrafiła skojarzyć ze sobą fakty. Zdawała sobie sprawę, że w sypialni zapala się światło i ktoś odciąga od niej Toma, widziała pięść, która posłała Tomowi miazdzący cios, Toma chwiejącego się na nogach i plującego krwią. I wtedy zaparło jej dech — to Mike!... Stał z zaciśniętymi pięściami i patrzył na nich. — Mike!... — słowa uwięzły jej w gardle. Tom doszedł do siebie i rzucił się na niego, lecz pięść "i???" znowu zdzieliła go w twarz. Oddał cios. Mike jednak skulił się jak rasowy pięściarz uliczny. Tom nie był w stanie go dosięgnąć, Mike natomiast nacierał z wariacką furją. Jego pięść waliła raz po raz w twarz Toma.

January próbowała krzyczeć, lecz żaden dźwięk nie dobył się z jej gardła.

Na stojącego nadal sypały się razy, próbował je parować, ale nie mógł skoordynować ruchów, twarz miał umazaną krwią. Mike znowu wyrzwał go w szczękę, potem w żołądek, znowu w twarz i w szczękę

— to było gwałtowniejsze, niż mogła sobie nawet wyobrazić. Stała i patrzyła w osłupieniu, jakby to, co się działo, nie było prawdą. Wszystko toczyło się tak szybko. Tom, bijący na oślep, zaczynał się chwiać pod bezlitosnym atakiem "i???", który postawił go z powrotem na nogi i nadal okładał pięściami. Krew ciekła Tomowi z ust, miał skaleczone oko.

Ujrawszy, że stoi na chwiejnych nogach przy ścianie i wypluwa zęby, January rzuciła się do ojca.

— Zostaw go... przestań! PRZESTAŃ! — krzyczała.

Mike puścił go i Tom osunął się po ścianie na podłogę. January uklękła obok niego i spojrzała w górę na ojca.

— Zrób coś... pomóż mu... o Boże, wybiłeś mu wszystkie zęby. Mike podszedł i zmusił ją, by wstała.

— Są sztuczne, na pewno już były wybite w jakiejś bijatyce.

— Dopiero teraz uświadomił sobie, że January jest naga. Twarz mu pociemniała z zażenowania i odwrócił głowę.

— Ubierz się, poczekam w drugim pokoju.

— Dobrze sobie! — zawołała. — Wchodzisz tu, niewiele brakowało, byś zabił mężczyznę, którego kocham, a teraz wydajesz mi rozkazy. Dlaczego? Jesteś zazdrosny? — Zastąpiła mu drogę. — Czy o to chodzi? Ja nigdy nie

wpadłam do waszej sypialni i nie pobiłam Dee! Przyjeżdżam do Palm Beach i uśmiecham się jak grzeczna dziewczynka.

— To łajza.

Łzy ciekły jej po twarzy.

— Kocham go, nie rozumiesz? Kocham go... i on mnie kocha. Odepchnął ją i spojrzał na zegarek.

— Ubierz się, samolot czeka.

— Dlaczego tu przyjechałaś? — zaszlochała.

— Ponieważ wczoraj, gdy rozmawiałem z tobą przez telefon, sprawiałaś wrażenie, jakbyś była naćpana. Bałem się, że jesteś w transie narkotycznym. Nie mogłem przyjechać dostatecznie wcześniej, lecz teraz żałuję, że się tu w ogóle zjawilem. No, ale cóż, skoro jestem, skończmy z tym, zapomnijmy o wszystkim, co się wydarzyło, i wracaj ze mną do Palm Beach.

— Nie ma mowy — odparła. Mikę znowu spojrzał na zegarek.

— Zaczekam w Polo Lounge. Jeżeli nie przyjdiesz w ciągu pół godziny, wyjeżdżam. Jeśli masz jeszcze choć resztki rozsądku, spakujesz się i zadzwonisz do jego żony, żeby przyjechała i zabrała go stąd. Będę czekał w Polo Lounge dokładnie pół godziny.

Trzasnął drzwiami wychodząc z bungalowu.

Przez chwilę patrzyła za nim, Tom dowlóknął się tymczasem do łazienki. Pobieгла do niego, zmoczyła ręcznik i przyłożyła mu do twarzy. Włożył szlafrok i z jej pomocą wrócił do sypialni.

— Tom... twoje zęby...

Spróbował się uśmiechnąć, lecz twarz wykrzywił mu ból.

— Tak jak powiedział... są sztuczne. Wstawiają mi, ale szczękę... mam chyba złamaną...

— Och, Tom...

— Nie martw się... już była kiedyś złamana. Twój ojciec ma niezłą piastkę.

— Tak mi przykro.

— Nienawidzę tego sukinsyna — powiedział — choć podejrzewam, że zrobiłbym to samo, gdyby chodziło o moją córkę.

— Zwariowałaś? Pokręcił głową.

— Nie, on po prostu doprowadził sprawy do punktu kulminacyjnego. Zawsze podejrzewałem, że być może jestem jedynie namiastką, teraz już wiem. Lepiej więc ubierz się i idź do niego. .

— Tom, kocham cię. Powiedziałam mu, że cię kocham.

— Kropką nad „i” było to, co mówiłaś o jego żonie, kochanie.

— Co takiego?

— Zmieńmy temat — odwrócił głowę.

January włożyła spodnie i bluzkę. Tom popatrzył na nią i pokiwał głową.

— Żegnaj.

— Wrócę — odparła.

— Wrócisz?

— Tak, chcę się z nim tylko zobaczyć... powiedziec mu, że zostaje.

— Jeżeli nie pokażesz się w ciągu najbliższej pół godziny, i tak będzie wiedział.

— Muszę mu to jednak powiedziec. Tom złapał ją za rękę.

— Posłuchaj, maleńka, nadeszła chwila, w której musisz dokonać ważnego wyboru: ja lub tata, nie możesz mieć nas obu. Jeżeli teraz stąd wyjdiesz, to znaczy, że wybrałaś.

— Chcę mu tylko o tym powiedziec... Chodzi mi o to, że nie należy mu pozwolić, by odjechał w ten sposób. Nie może tam po prostu siedziec i czekać.

— Jeżeli teraz wyjdiesz, nie masz po co wracać — powiedział powoli.

— Ale, Tom, muszę z nim porozmawiać, nie potrafisz tego zrozumieć?

— Kochasz mnie, tak? — pokręcił niecierpliwie głową. — No właśnie. I ktoś tu wszedł i obił mi mordę tylko dlatego, że mnie kochasz. A więc jeśli teraz mnie zostawisz, choćby na dziesięć minut, żeby się pogodzić z tym facetem, to znaczy, że się na mnie wypięłaś.

— Ale on nie jest „jakimś facetem"! To mój ojciec!

— Teraz jest po prostu facetem, który mnie nalał, a ty jesteś moją dziewczyną. Mike zna reguły gry. Jeżeli wyjdiesz stąd, bez względu na powód, to tak, jakbym jeszcze raz dostał w mordę. — Spojrzał na zegar.

— Zostało ci dwadzieścia minut.

January zawahała się. Pomyślała o „i?!”? siedzącym w barze i czekającym na nią. Potem spojrzała na poturbowanego mężczyznę leżącego na łóżku, kiwnęła głową i wróciła do niego. Przytulił ją do siebie i leżeli w milczeniu, słuchając zegara, który odmierzał czas.

Mike, wyszedłszy z bungalowu, skierował się do łazienki i podstawił rękę pod kran z zimną wodą, gdyż zaczynała puchnąć. Skóra na kłykciach była popękana w kilku miejscach i wydawało się, że dłoń jest zmiądzona. Nie chciał nawet myśleć, jak może wyglądać szczeka Toma Colta.

Przeszedł do Polo Lounge i zamówił szkocką. Spojrzał na zegarek, minęło dziesięć minut — January przyjdzie. Prawdopodobnie upewniała się, czy ktoś zajmie się Tomem. Nie chciał go tak pokaleczyć, ale widział już Colta w walce—nikt nie miał z nim szans, dlatego był świadom, że nie wolno

mu przerwać zadawania ciosów. Gdyby pomyślał, może nie wplątałby się w tę kabałę z Tomem, ale kiedy go zobaczył na swojej córce... coś w nim pękło i nie mógł przestać go okładać.

Był zdziwiony, że udało mu się z tego wyjść jedynie z uszkodzoną ręką, ale jak facet się naszprycuje, to nie ma raczej kondycji do walki. Czuł mdłości, gdy myślał o nim i January. Jej ciało było takie wątle, piękne... zbyt czyste i delikatne, aby dotykał jej taki człowiek jak Tom Colt.

Spojrzał na zegarek. Piętnaście minut. Na pewno właśnie się pakuje. Zamówił jeszcze jednego drinka. Czy kierownik sali patrzył na niego z sympatią? Nie... tylko mu się zdawało. Na pewno nawet nie miał pojęcia, że January jest jego córką. Facet siedzący samotnie w Polo Lounge zawsze wygląda na wystawionego do wiatru. Tylko że on nie był wystawiony do wiatru. Za chwilę January wpadnie tutaj, on się uśmiechnie i nawet nie będą o tym rozmawiali. Do licha, popełnił w życiu tyle błędów, że nie mógłby jej nawet robić wymówek.

Dwadzieścia minut. Dlaczego robi się coraz chudsza? No cóż, najważniejsze, żeby ją odzyskał. Od dziś będzie zupełnie inaczej. W maju zabierze ją do Cannes, omówią to lecąc do Palm Beach, opowie jej też, jak znowu wraca do niego szczęście.

Dwadzieścia pięć minut, Jezu, niemożliwe, żeby nie zamierzała się pokazać! Nie, na pewno przyjdzie. Jest jego córką, należy do niego. A co to powiedziała o Dee? Czyżby była o nią zazdrosna? Przecież nie ma powodu! Do cholery, doskonale wie, że on nie kocha Dee. Nie był zazdrosny o Toma Colta, po prostu niedobrze mu się robiło, na myśl, że January może żyć z takim mężczyzną: starym, żonatym, w dodatku pijakiem. I trudno by chyba znaleźć dziewczynę, której nie przeleciał. Nie był godzien dotykać jego córki.

Minęło pół godziny. Mikę patrzył na zegarek, jakby nie dowierzał oczom. Spojrzał na drzwi. Dał jej jeszcze pięć minut. Zamówił trzeciego drinka. Chryste Panie, nigdy dotąd nie wypił trzech drinków w ciągu pół godziny! Ręka go rwała, ale ból w brzuchu był gorszy, ponieważ już wiedział, że January nie przyjdzie. Miał jednak drinka — pretekst, żeby pozostać jeszcze dodatkowo dziesięć minut.

Sączył drinka przez kwadrans, potem zamówił kolejnego. Dawał jej godzinę. Gówno prawda. To sobie dawał czas. Był zbyt oszołomiony, aby się ruszyć, a przede wszystkim, musiał to przemyśleć. Jego mała January... opuściła go dla Toma Colta. Wciąż mu się zdawało, że January dla niego zrezygnowała ze świata, on zrobiłby to samo dla niej, zawsze tak było! A teraz Tom Colt wynajmował narożny pokój w hotelu Plaža, Tom Colt miał

bungalow numer pięć, książka Toma Colta była na pierwszym miejscu na liście bestsellerów — Tom Colt był zwycięzcą, a Mikę Wayne po prostu mężem Dee Milford Granger.

No dobra, nie pojawiła się, należy teraz do Toma Colta. Pytanie tylko, w jaki sposób dojdzie do naprawy ich stosunków, kiedy jej romans sam wygaśnie. Czy January wybaczy mu kiedykolwiek, że tak wtargnął? Czy będzie go szanowała tak samo, jak tego zachlanego obrzymialca? Zostać z facetem, któremu wybito zęby... Musi jej na nim bardzo zależeć, albo jest jej go żal. Nie, January nie zostałaby z litości, jest jego córką, a on nigdy by tego nie zrobił. Została z Tomem Coltem, ponieważ szanuje tego sukinsyna. A właściwie czemu nie? Mocny z niego ogier i na pewno potrafi dogodzić kobiecie... Mikę skrzywił się z bólu na myśl o tym w związku z własną córką, ale zmusił się, by skonstatować fakty. Tom Colt zawsze czarował babki i bez wątpienia był w tej dziedzinie wspaniały, a January... no cóż, jest jego córką, a więc prawdopodobnie przepada za seksem. Tak mocno ścisnął szklanę, aż pękła. Teraz rozbitą rękę miał pokaleczoną od wewnątrz. Kelner rzucił się do niego, lecz Mikę go odprawił, bagatelizując sprawę. Zawinął rękę chustką do nosa, rzucił na stół banknot dwudziestodolarowy i wyszedł z hotelu. Czekał godzinę i piętnaście minut.

Myślał o tym jadąc na lotnisko. W jaki sposób ma ją odzyskać? Jeszcze żadna kobieta nie odeszła sama od niego. I Mikę nie zapomni jej wzroku, gdy na niego patrzyła — jakby widziała kogoś obcego.

Zapalił papierosa, próbując uporządkować myśli. Na początek musi odzyskać jej szacunek. Potrafi to osiągnąć, bo los znowu zaczął mu sprzyjać. W golfa, remika, a nawet tryktraka wygrał już ponad sto trzydzieści pięć tysięcy dolarów! Jeżeli utrzyma się na tym poziomie...

Zgasił papierosa. Jeżeli utrzyma się na tym poziomie, do niczego nie dojdzie! Kiedy szczęście dopisuje, należy je kusić. W dawnych czasach robiłby to i doszedłby do kilku milionów. Co też robi, siedząc beczynnie jak baba: zbiera wygrane pieniądze i składa je na koncie depozytowym na nazwisko córki. Na co te pieniądze, skoro ona nim gardzi? Jeżeli pozostanie przy kilkupensowej stawce, nigdy nie odzyska jej szacunku.

Przyjechawszy na lotnisko, poszedł prosto do swego samolotu.

— Wracamy do Palm Beach? — spytał pilot.

— Nie — warknął Mikę. — Sprawdź, jaka pogoda w Las Vegas. Lecimy tam na kilka dni.

Siedział we wstrząsanym turbulencjami samolocie. Pamiętał czasy, kiedy w każdy weekend latał z Wybrzeża do Las Vegas. Skoro jest mężem Dee,

jego maklerzy będą dobrzy — zamierzał wygrać wszystkie zakłady. Musi zgromadzić dużą pulę na Cannes. Znowu grał o wielkie stawki... może największe w życiu. Grał o swoją córkę.

January obudził deszcz. O Boże, znowu! Nie mogło być nic gorszego niż Kalifornia w deszczu. Świetlny zegar radiowy wskazywał trzynaście po siódmej, zamknęła oczy i próbowała ponownie zapaść w sen. Padało już od trzech dni i monotonne bębnienie o dach bungalowu przyjęła za nieodłączny element dnia codziennego, tak jak wieczny klekot maszyny do pisania Toma. Była w Kalifornii od miesiąca, lecz miała wrażenie, że jest tu już całą wieczność, a to zapewne z powodu monotonii następujących po sobie dni. Kiedy świeciło słońce, wydawało się, że będzie świecić wiecznie, gdy zaś padało, zdawało się, iż już nigdy nie przestanie.

Tylko że w czasie deszczu stawała się więźniem bungalowu numer pięć.

Tom jeszcze spał, przyglądała mu się w półmroku porannego światła.

Ciągle miał rnałego siniaka pod lewym okiem, ale zdumiewały ją jego siły żywotne: twarz mu się zagoiła w niecałe dwa tygodnie, a po trzech dniach miał już nowe zęby. Wyjaśnił, że jego dentysta zawsze trzyma dla niego dodatkowy komplet pod ręką. Najdziwniejsze, że najwięcej bólu sprawiały mu połamane żebra, ale podszedł do tego filozoficznie. Brał udział w zbyt wielu burdach po barach, aby martwić się kilkoma połamanymi żebrami. — Kiedy ma się złamany nos i zdrutowaną szczękę, to dopiero można narzekać. — Potem zaśmiał się i dodał: — A były to bójki, w których ja zwyciężałem.

Poza tym, jak sam stwierdził, potrzebował trochę odpoczynku i miał przy tym okazję być pod ręką, kiedy jego agent finalizował kontrakt na sprzedaż książki do filmu. Po zawarciu umowy mieli wrócić do Nowego Jorku, by uczcić całą transakcję.

Po jej podpisaniu oblali to wydarzenie i nadal, z jej winy, siedzieli w bungalowie.

W dniu zawarcia umowy Tom, tryskający szczęściem, zakreślił się z nią w kółko po pokoju.

— Pięćset tysięcy i dwadzieścia pięć procent od zysku netto. Czy wiesz, co to znaczy? Mają zamiar wydać na film około dwóch milionów. Jeżeli osiągniemy bez potrąceń pięć milionów, wszystko będzie czystym zyskiem. Jeśli film okaże się świetny i przyniesie zyski powyżej zakładanych, mogę zarobić na nim nawet milion.

— Zarobisz, jeżeli dobrze zrobią film — odparła January. — Widziałam wiele hitów zmienionych... zniszczonych.

— No cóż, miejmy nadzieję, że wezmą dobrego pisarza i sprawnego

reżysera, a tymczasem pójdziemy dziś do Mattea, aby to uczcić. Jutro pojedę do syna, pojutrze wylatujemy do Nowego Jorku i podpiszę umowę o mieszkanie.

— Tom, a dlaczego nie miałbyś sam napisać scenariusza?

— Już ci mówiłem, że nie piszę scenariuszy.

— Dlaczego? Wzruszył ramionami.

— To mało prestiżowe.

— A czy to nie uprzedzenie z czasów młodości? Wielu autorów pisze scenariusze na podstawie swych książek, choćby Neil Simon... zawsze sam robi adaptacje. Poza tym gdybym ja miała dostać dwadzieścia pięć procent od zysku, to cholernie chciałabym mieć pewność, że moje pieniądze są chronione dobrym scenariuszem.

Patrzył na nią przez chwilę.

— Wiesz co? zabiłaś mi ćwieka. Nigdy do tej pory nie miałem udziału w zyskach.

Już po chwili telefonował do swego agenta. Przez kilka następnych dni dzwonił do siebie na przemian i wreszcie po koniec tygodnia usiedli w Polo Lounge z Chase'em, agentem Toma, i oblewali sukces. Tom miał otrzymać pięćdziesiąt tysięcy za konspekt scenariusza, a po jego akceptacji sto pięćdziesiąt tysięcy za sam scenariusz.

— Pozwoli mi to kupić mieszkanie w Nowym Jorku — powiedział Tom.

— Twoje zdrowie, Max... ta umowa jest świetna. I twoje, January, za to, że mnie namówiłaś.

— Jakie mieszkanie w Nowym Jorku? — spytał Max Chase.

— Kupuję je. Mój adwokat sprawdza jeszcze kilka punktów umowy, którą nam przysłali, hipotekę i w ogóle, ale właściwie wszystko jest już załatwione. Myślę, że do czerwca będziemy mogli się już wprowadzić. January je umebluje, ja zaś sporządzę plan scenariusza. Podejrzewam, że potem będę musiał tu wrócić, by omówić sam scenariusz.

Max Chase uśmiechnął się do niego.

— Myślałem perspektywicznie i udało mi się załatwić dla ciebie jeszcze w ramach kontraktu parę dodatkowych korzyści. Nakłoniłem Century, by wzięła na siebie rachunki za bungalow, wynajmie ci też samochód na czas pracy nad konspektem i scenariuszem. Zapomnij więc na razie o Nowym Jorku. Poza tym, lepiej, żebyś pisał tutaj, bo nie stracisz kontaktu z wytwórnią, zobaczysz, kogo wybiorą na reżysera, aktorów... Będąc na miejscu, łatwiej się o wszystko wyklócić, zamiast czytać o tym już po fakcie.

Tom zwrócił się do January szczerząc zęby w uśmiechu: — Myślisz, że

będiesz w stanie mieszkać ze mną jeszcze przez kilka miesięcy w bungalowu?

Kiwnęła głową.

— Powiem Lindzie, że odchodzę z redakcji.

— Nie bądź śmieszna — odparł Tom. — Może ci zlecić jakąś pracę tutaj, żebyś nie siedziała beczynnio.

Linda była zachwycona.

— Oczywiście! Napisz mi artykuł o Doris Day... i o George'u C. Scocie... o Deanie Martinie... I jeszcze o Barbarze Stanwyck: dowiedz się, co sądzi o telewizji na zasadzie stary Hollywood kontra nowy Hollywood.

Słyszałam, że jest tam Melina Mercouri, spróbuj się do niej dostać i napisz coś na temat eleganckiego osiedla w Malibu, gdzie twój mężczyzna ma dom...

Nie było to jednak takie proste. January próbowała się skontaktować z agentami prasowymi paru gwiazd i usłyszała, że większość z nich jest na wakacjach. Po kilku rozmowach zaniechała dalszych prób, popadła w dziwny stan odrętwienia. Gdy przestał działać środek pobudzający z zastrzyku, przeżyła dwa koszmarne dni, walcząc z bólem głowy i mdłościami, Tom był jednak cały czas przy niej i zmusił ją, by to przetrzymała. Teraz czuła się już dobrze, ale była dziwnie rozkojarzona, jakby amputowano jej rękę albo nogę. Zdawała sobie sprawę, że przyczyną tego był pośrednio Miko. Uświadomiła sobie, że brak zainteresowania magazynem ma również związek z Mikiem. Praca w „Glossie” była po prostu sposobem na to, by zwrócić jego uwagę, wiązała się z oczekiwaniem na pochwałę. Teraz już nie zyska jego aprobaty. Nigdy nie zapomni, jak na nią patrzył wychodząc z pokoju. Teraz poza Tomem nie miała dla kogo żyć. Miko ją porzucił, więc liczył się tylko Tom. Z początku siadywała na basenie, czytając jedną po drugiej najnowsze powieści: książka Toma nadal utrzymywała się na pierwszym miejscu. Teraz pochłoneło go pisanie, a ona zmuszała się, by pozostawać do późnego popołudnia poza bungalowem i ignorować trudną do zniesienia świadomość, że w nocy do niczego między nimi nie dochodzi. Pewnie, że przez dwa tygodnie był okropnie poturbowany i jak twierdził, żebra potrzebowały sporo czasu, żeby się zrosnąć, czuła jednak, że najbardziej oddala go od niej pisanie. Gdy wchodziła, najczęściej dawał znak, by wyszła do drugiego pokoju, nawet nie mówił jej „cześć”, aby nie przeszkadzać sobie w pracy. Czasami wołał, że telewizor gra za głośno. Wieczorem jadali obiad w pokoju i Tom czytał jej to, co napisał w ciągu dnia.

Leżała teraz zaszuchana w deszcz i zastanawiała się, co jest przyczyną jej przygnębienia. Przecież tak powinno być: w pewnym sensie pracuje razem z nim, pomaga mu swą obecnością i tym, że go słucha. Czegoś jednak brakowało. Wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia Toma. Zamruczał przez sen i odwrócił się od niej — nawet we śnie ją odrzucał. Poczowała, że łzy napływają jej do oczu. Po co to wmawianie sobie, że mu pomaga? To tylko jej się tak wydaje, wcale mu nie pomaga! W ogóle nie jest mu potrzebna! Wysunęła się z łóżka i ubrała po cichu.

Siedziała przy barze w kawiarni, popijając kawą bułeczkę kukurydzianą. Przy stolikach nie było wolnego miejsca, wszyscy w Los Angeles sprawiali wrażenie zajętych i ożywionych o ósmej rano. Niektórzy czytali pisma fachowe, słyszała urywki rozmów: koszt dostawy... dostawy zagraniczne... plan Eady'ego... przez ten cholerny deszcz nie będzie dziś tenisa w porze lunchu. Zapłaciła rachunek, przeszła na górę do holu i poprosiła, by jej podstawili samochód Toma. Deszcz nadal siekł. Samochody nadjeżdżały z jednej strony, a z drugiej wyjeżdżały. Słyszała żarty na temat wspaniałego kalifornijskiego słońca i niezmienną odpowiedź: „To tylko gęsta rosa.” Ujrzała doktora Prestona Alperta wsiadającego do samochodu z gwiazdorem nagrywającym płyty, przybyłym tu z Londynu na specjalny występ. Mój Boże! Czyżby on też brał zastrzyki? W końcu nadjechało i jej auto. Udała się Bulwarem Zachodzącego Słońca do Santa Monica, gdzie usiadła i patrzyła na deszcz wsiąkający w piasek wyludnionej plaży.

Gdy wróciła, Tom chyba wyczuł jej nastrój, bo przerwał pracę i zażądał, by wypili wspólnie drinka. Nie pił, kiedy pisał, ale dziś nalał sobie podwójną porcję i nalegał, by ona również się napiła, a potem zabrał ją do bistra na obiad.

Wejście Toma wywołało ożywione rozmowy. Zdawało się, że zna każdego w restauracji. Zanim skończyli posiłek, przy ich stoliku zgromadziło się kilku aktorów i reżyserów. Rozmawiali o sprawach zawodowych — wymieniali pogłoski, sugerowali, kto powinien grać pewne role. January siedziała, czując się bardziej samotna niż zwykle.

Po powrocie do bungalowu Tom był w doskonałym nastroju. Kiedy byli już w łóżku, próbował, niestety bez powodzenia. W końcu zadbał tylko o przyjemność January, a gdy ją zadowolili i wydawało mu się, że usnęła, wstał z łóżka i przeszedł do salonu. Odczekała pięć minut, a potem zajrzała do środka — czytał to, co napisał w ciągu dnia. Wróciła do łóżka. Czy nie obiecywał, że będzie pracować po cztery godziny dziennie, a resztę czasu poświęci jej? Z początku przychodził często na basen, aby

trochę popływać, zawsze jednak spieszył do maszyny. Jaki popełniła błąd? Gdzie się podziało podniecenie, które towarzyszyło ich związkowi?

W poniedziałek znowu padało, próbowała więc oglądać mydlane opery w telewizji. We wtorek nadal padało i usiłowała czytać, a w środę zasiadła do artykułu Gęsta rosa, ale nie bardzo jej szło. Gdy w czwartek wyjrzało wreszcie słońce, zarzuciła siedzącemu przy maszynie Tomowi ręce na szyję: — Choć ze mną na basen... albo na spacer... Zróbmy coś.

— Dlaczego nie weźmiesz paru lekcji tenisa? — odparł, cały czas patrząc w kartkę papieru wkręconą w maszynę.

— Tom, ja naprawdę dobrze gram w tenisa, nie potrzebuję lekcji.

— Dobrze, poproszę ???? Chase'a, by znalazł ci partnerów.

— Tom, zostałam w Kalifornii, ponieważ chciałam być z tobą, a nie po to, żeby grać w tenisa.

— Przecież jesteś ze mną.

— Tak, ale ty nie jesteś ze mną.

— Jestem pisarzem — powiedział, nie odrywając oczu od kartki.

— Na miłość Boską, to tylko konspekt scenariusza, nie Wojna i pokój.

— Powinnaś zrozumieć, że pisanie jest moją pracą.

— Pracą mojego ojca była produkcja filmów, a mimo to zawsze znajdował czas dla tego, na kim mu zależało.

— January, na litość Boską, idź i rozerwij się, kup sobie jakiś ciuch w sklepie hotelowym... Należność każ dopisać do rachunku bungalowu.

— Nie potrzebuję ubrania. Tom, jest dopiero jedenasta. Czuję się samotna, zagubiona... Powiedz, co mam robić?

— Gównu mnie obchodzi, co będziesz robić, byłeś mi tylko przestała zawracać głowę.

— Wracam do Nowego Jorku — powiedziała cicho.

Odwrócił się do niej ze srogim wyrazem twarzy.

— Po co? Żeby płaszczyć się przed nim?

— Nie... żeby uratować to, co mamy. Wracam do pracy, będę chociaż mogła pochodzić po Nowym Jorku, oglądać ludzi na ulicy, zamienić kilka słów z tym niewidomym sprzedawcą ołówków, który stoi na rogu ulicy z ogromnym psem i... pójść do parku, gdzie mnie napadną... Będę robić cokolwiek. W każdym razie przestanę ci zawracać głowę.

Chwycił ją w ramiona.

— Nie to miałem na myśli. Proszę, kochanie, jesteś mi potrzebna. Chcę, żebyś tu była. Zauważ, że do tej pory nie żyłaś z pisarzem. Naprawdę łączy nas coś wielkiego. Nigdy nie byłem szczęśliwszy i nigdy nie pisałem lepiej. Jeżeli mnie opuścisz, będę miał wrażenie, że cię zawiodłem. Nie

rób mi tego właśnie teraz... nie teraz, gdy już prawie kończę. Posłuchaj, niebawem będzie już po wszystkim. Oboje czegoś się nauczyliśmy. Wiem już, że nie możemy mieszkać w Los Angeles, gdy będę pisał następną książkę. Właśnie na tym polega życie we dwoje: by razem uczyć się, co zdaje egzamin, a co nie. Jedno na pewno funkcjonuje bez zarzutu: my dwoje. Prawda?

— Nie wiem, Tom, naprawdę nie wiem. Czuję się zagubiona. Odwrócił się od niej.

— Rozumiem, chodzi o ?i???, tak?

— Tom, skłamałabym mówiąc, że nie myślałam o nim... to znaczy podświadomie. Chcę powiedzieć... no cóż, kochałam go i nadal Kocham, zawsze tak było. Chciałabym, żeby ta noc nigdy się nie zdarzyła, ale dokonałam wyboru — zostałam z tobą... i straciłam jego.

— Dlaczego myślisz, że go straciłaś?

— Tom, czy... stracę cię, jeżeli wyjadę jutro do Nowego Jorku?

— Tak — powiedział spokojnie — ponieważ będę wiedział, dlaczego wyjechałaś.

— A myślisz, że Mike nie wie, dlaczego zostałam? Pokiwał powoli głową.

— Chyba byłem samolubny. Posłuchaj, daj mi tylko skończyć ten konspekt, oddam go, wsiądziemy do samochodu i pojedziemy na dziesięć dni do San Francisco. Mam tam kupę przyjaciół, polubisz ich, zabalujemy. I obiecuję, że od dziś będę pisał tylko po cztery godziny dziennie.

— Poczekam więc i pójdziemy o drugiej na basen, jest dopiero jedenasta.

— Nie mam ochoty na pływanie, ale ty idź, może przyjdę później.

Nie przyszedł. Następnego dnia też przesiedział do ósmej wieczór nad maszyną do pisania.

W sobotę znowu padało. Tom pojechał rano do Malibu odwiedzić syna.

Przyrzekł, że wróci przed piątą i pójdą razem na obiad, a może nawet do kina. Zadzwoił o dziewiątej, słyszała muzykę, gwar rozmów i śmiechy. Poznała, że pił, gdyż mówił niewyraźnie.

— Posłuchaj, Kochanie, leje jak z cebra, więc chyba lepiej zostanę tu na noc. Zamów sobie obiad do pokoju, do zobaczenia jutro.

Powiedziawszy to trzasnął słuchawką.

Przez chwilę siedziała nieruchomo. Tom świetnie się bawił u żony i wcale się do niej nie spieszył. A dlaczego miałby się spieszyć? Przecież ona tylko narzekała. Gdzie się podziało podniecenie, gdzie jej żywotność, doskonały humor? Była dziewczyną, która kiedyś sprawiła, że funkcjonował jak prawdziwy mężczyzna. Teraz nawet nie próbował, zaspokajał ją po prostu,

kiedy czuł, że tego potrzebuje. „Charytatywny numer” — tak by powiedziała Linda. Dzisiaj zostaje na noc w Malibu i przyjedzie dopiero jutro, a jeżeli ona będzie się nadal tak zachowywać, to pewnego dnia w ogóle nie wróci. Wszystko się nagle zepsuło, zewsząd wyciera beznadzieja... Nie może stracić Toma, nie może! Jest całym jej światem i musi sprawić, by ten świat znowu był jasny, wspaniały, tak jak kiedyś. Przez chwilę siedziała bez ruchu, a potem podniosła słuchawkę i połączyła się z doktorem Prestonem Alperem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

David czekał na ojca przy barze w klubie „21”. Starszy pan miał już dziesięciominutowe spóźnienie, to było do niego niepodobne. David zerknął na pusty stolik pod ścianą, zarezerwowany dla niego. Restauracja zaczynała się zapełniać. Peter sprawdził listę, gdyż przyszło bez zapowiedzi kilku VIP-ów, Walter dostawił jeden stolik w przejściu rozdzielającym lokal na dwie części, Mario wręczył właśnie białe goździki trzem atrakcyjnym paniom. David skończył drinka i stwierdził, że lepiej poczekać przy stoliku, bo zbyt wiele osób przy drzwiach zagląda do środka.

Ojciec przyszedł, gdy David pił już drugie martini. Zamówił drinka tłumacząc się gęsto ze spóźnienia.

— Mój Boże, kobiety są niemożliwe — westchnął.

— Nie mów mi, że znowu masz jakiś romans — zaśmiał się David.

Ojciec zaczerwienił się lekko.

— Davidzie, wiesz, że zawsze bardzo szanowałem twoją matkę, ale ona... no cóż, nie jest kobietą z krwi i kości. Mimo wszystko nigdy nie miałem, jak to ty powiedziałeś, romansu. Pewnie, że zdarzały mi się jakieś okazjonalne dyskretne wypadki, ale to nie były nigdy trwałe związki.

— A kto jest tym nowym „nieznośnym wypadkiem”?

— Nic z tych rzeczy, to twoja matka jest nieznośna. Przez nią się spóźniłem. Za trzy tygodnie, po raz pierwszy od sześciu lat, jedziemy do Europy i musimy jeszcze uaktualnić nasze paszporty. Czy uwierzysz, że siedzieliśmy od jedenastej w biurze paszportowym, a twoja matka jeszcze tam została?

— Taki tłok?

Ojciec wzruszył ramionami.

— Skądże! Dla turystów jest już po sezonie, ale twoja matka po raz trzeci

robi sobie zdjęcie. Nie chce mieć w paszporcie fotografii, na której źle wyszła, a kto ją będzie oglądał poza celnikami i parortia zagranicznymi urzędnikami hotelowymi? David wybuchnął śmiechem.

— Jeżeli ma to dla niej takie znaczenie, to może powinna sobie odmłodzić twarz? Wyglądałaby wtedy doskonale.

— Dobry Boże, a po co?

— Dla siebie samej. Przecież wiesz, że takie rzeczy się robi.

— Lecz nie twoja matka, która wpada w panikę, gdy ma iść do dentysty. To nie dla niej, a poza tym... — przerwał, gdyż po sali przeszedł szmer i wszyscy spojrzeli na wchodzącą kobietę.

— To Heidi Lanz! — zawołał George Milford. — Skoro już mówimy o operacjach plastycznych, to ona musiała mieć chyba z dziesięć. Mój Boże, ta kobieta dobiega sześćdziesiątki, a wygląda zaledwie na trzydzieści lat. David przyglądał się wiedeńskiej aktorce, która przyjmowała uściski właścicieli restauracji i podawała rękę kierownikom sali. Była z dwoma młodymi mężczyznami i idąc w stronę swego stolika pozdrawiała wszystkich po drodze. Wyglądała doskonale i w przeciwieństwie do Karli, nigdy nie zrezygnowała z kariery aktorskiej. Gdy przestało jej się szczęścić w filmie, przeniosła się na Broadway, gdzie grała w musicalach, występowała w corocznym specjalnym programie telewizyjnym i grała co roku w Vegas.

— Nie wiesz, jak jej się udaje utrzymać taką figurę? — kontynuował George Milford. — Czy widziałeś ją przypadkiem w zeszłym miesiącu w telewizji? Była w takiej obcisłej sukni. Ma figurę dwudziestolatki.

David pokiwał głową.

— Oglądałem ten program z Karłą. Karla twierdzi, że miała na sobie elastyczny trykot i dzięki temu jej ciało wyglądało tak jędrnie.

— No cóż, Karla wie najlepiej — powiedział George Milford.

— Dlaczego? — najeżył się David. — Karla ma fantastyczną figurę, ale pracuje nad nią, ona...

— Spokojnie, synu. Powiedziałem, że Karla powinna znać figurę tej kobiety, ponieważ, jak wiesz, były kochankami.

David poczerwieniał i pociągnął duży łyk martini.

— To tylko hollywoodzkie plotki.

— Być może, ale przypominam sobie, że czytałem o nich w kronikach towarzyskich. W latach czterdziestych publikowano w gazetach ich zdjęcia — latały w spodniach, co było wówczas raczej bardzo śmiało. Twoja Karla nie chowała się oczywiście przed fotografami tak jak dzisiaj. Dopiero zaczynała robić tu karierę, Heidi natomiast była już

wówczas wielką gwiazdą.

— Karla o mało co nie uciekła z jednym ze swych partnerów filmowych — przypomniał David.

— To prawda — przyznał George Milford, nie odrywając wzroku od Heidi. — Nie zapomnijmy jednak, że Heidi ma męża i wnuki, a mówią, że nadal zadaje się na boku ze swymi małymi dziewczynkami.

— Karla interesuje się tylko mężczyznami — odparł David.

— To jeszcze trwa? — spytał George Milford. E>avid kiwnął głową.

—• Widuję ją prawie co wieczór.

—! A January jest nadal na Wybrzeżu?

Znowu skinął głową.

— Nie martw się, trzymam rękę na pulsie, pisujemy do siebie.

— Czy nie nadszedł czas, aby podjąć jakieś decyzje? E>avid patrzył w swą szklanę.

— Obawiam się, że tak, zwłaszcza teraz, gdy Dee wróciła. Jak January przyjedzie z Kalifornii, ogłosimy nasze zaręczyny. Och, nie martw się, dołożę wszelkich starań, by zaczęło jej naprawdę na mnie zależeć. Myślę, że nie dam rady dłużej robić uników. Ten jej wyjazd do Kalifornii był dla mnie szczęśliwym trafem, ale wiem, że koniec jest chyba tuż, tuż, dlatego nie mogę wprost nacieszyć się Karłą.

— Małżeństwo nie zawsze oznacza koniec wszystkiego — powiedział ojciec.

— Myślę, że w moim i Karli wypadku właśnie tak będzie. Ostatecznie będę musiał naprawdę zabiegać o January, jeżeli mam ją nakłonić do małżeństwa, Karla natomiast nie należy do tego rodzaju kobiet, które można zostawić na lodzie mówiąc: „Będziemy się widywać w każdy nieparzysty czwartek” — zakończył z ciężkim westchnieniem.

— Małżeństwo jest z reguły swego rodzaju wyrzeczeniem — powiedział ojciec. — No, wypijmy jeszcze po jednym. Zawsze twierdzę, że alkohol rozjaśnia umysł.

Po rozstaniu z ojcem David wstąpił do stoiska z męską odzieżą u Bonwita i kupił sportową koszulkę Cardina, którą zachwycił się już od tygodnia. Aż sześćdziesiąt dolarów, ale doskonale pasowała do jego szarych spodni.

Włożył ją na dzisiejszy wieczór. W telewizji nadawali film tygodnia, który Karla podkreśliła w swym programie. Obiecała przyrzadzić befsztyki i — co się rzadko zdarzało — spędzić z nim całą noc.

— To długi film, obejrzymy go w łóżku, potem się pokochamy, a że będzie już bardzo późno, pozwolę ci zostać — powiedziała.

Po powrocie do domu jeszcze raz się ogolił, choć było to zupełnie zbędne,

po czym na dziesięć minut usiadł pod kwarcówką. Dzięki temu zachowywał opaleniznę z Palm Beach. Przymierzył nową koszulę najpierw do szarych spodni, następnie do granatowych i w końcu powrócił do szarych. Zawiązał apaszkę, a później przyrządził sobie martini. Karla piła tylko wino, David zaś potrzebował wypić na wstępie swą szklaneczkę alkoholu, by dodać sobie przy niej odwagi.

Rozmyślał o tym popijając drinka. Istny obłęd: za parę dni minie rok, odkąd są razem, a on zawsze, przed każdym spotkaniem, denerwował się jak sztubak.

Do cholery! Przecież jest jej kochankiem! Karla przyrządza właśnie sałatkę dla niego! Własnoręcznie — dla niego! A potem, gdy weźmie ją w ramiona, będzie jęczała i tuliła się do niego!

Czy nadejdzie taki dzień, kiedy przestanie się tym tak bardzo przejmować, kiedy będzie to uważał za normalne? O Boże, skoro po roku nadal tak mocno przeżywa każde spotkanie, to jak zdoła z nią zerwać, by zacząć na serio romansować z January?

Nie zdoła, lecz postanowił teraz o tym nie myśleć, zwłaszcza że z listu January nie wynikało, aby miała szybko wracać; napisała nawet, że być może będzie przygotowywać inne artykuły, póki tam jest. Spojrzał na zegarek, miał jeszcze pół godziny — wystarczająco dużo czasu na małego drinka. Tym razem będzie to czysta wódka, gdyż naprawdę zboczył z kursu, już sama myśl o zerwaniu z Karłą pograżyła go w czarnej rozpacz. Sącył powoli drinka. Wódka go rozgrzewała i David wiedział, że jest trochę wstawiony, ale to nie miało znaczenia. Lubił być na rauszu, gdy spotykał się z Karłą — dzięki temu był bardziej odprężony. Kiedy skończył pić, poczuł się lepiej. Może ojciec ma rację i małżeństwo z January wcale nie musi oznaczać końca wszystkiego. Możliwe, iż uda mu się wyjaśnić cały układ Karli, nawet te dziesięć milionów dolarów. Nie, Karla będzie nim gardzić. Jak jej to wszystko wytłumaczy i poprosi, by poczekała? Nie ma jak. Ogarnęła go ponura depresja. Przecież to śmieszne, January jest trzy tysiące mil stąd, może posiedzi tam jeszcze miesiąc, może dłużej, a on będzie miał cały ten czas wyłącznie dla Karli. Nie powinien myśleć o przyszłym miesiącu, a nawet i tygodniu, powinien się cieszyć każdym dniem. Dziś przecież ma się zobaczyć z Karłą. Dzwonek telefonu poderwał go na równe nogi. Skoczył i chwycił słuchawkę już po drugim sygnale.

— Davidzie, tak się cieszę, że cię złapałam — Karla mówiła prawie bez tchu.

— Właśnie miałem wychodzić — powiedział wesoło.

— Nie możesz dziś przyjść.

— Dlaczego?

— Wiesz, niespodziewanie przyjechał do mnie przyjaciel.

— Nie rozumiem. — Po raz pierwszy nie mógł wziąć odwołania spotkania za dobrą monetę. — Karlo, przecież byliśmy umówieni!

— Davidzie — mówiła cicho i niemalże prosząco — mnie również jest bardzo przykro, że muszę zrezygnować z naszego wieczoru, ale to bardzo stary przyjaciel... z Europy. Mój menażer... Przyjechał niespodziewanie, to spotkanie w interesach. Muszę się z nim zobaczyć.

— Aha, to ten Jeremy Haskins, o którym mi opowiadałaś.

— Tak, mój stary przyjaciel.

— No cóż, na pewno nie będzie to trwało cały wieczór, nie? Może będę mógł przyjść później?

— Obawiam się, że nie, będę zmęczona.

— Może nie będziesz. Pozwól, że do ciebie zadzwonię, podaj mi numer swego telefonu, Karlo.

— Davidzie, muszę kończyć.

— Do cholery, Karlo, daj mi ten numer.

W słuchawce rozległ się trzask. Ogarnęła go na chwilę panika. Za daleko się posunął, Karla jest zła i może do niego jutro nie zadzwonić! Możliwe, że już nigdy nie zatelefonuje! Starał się zapanować nad sobą, nie ma powodu, by tak myślał, Karla zadzwoni jutro i będą się razem z tego śmiać. Nalał sobie duży kieliszek mocnej wódki i dodał kilka kropli wermutu. Jeszcze jeden kieliszek i będzie pijany. A właściwie czemu nie? Dlaczego nie miałyby się zalać w trupa? Twarz zaczęła go piec od kwarcówki. Przyjrzał się swemu odbiciu w lustrze: koszula prezentowała się wspaniale, kwarcówka dodała opalonej twarzy rumieńców — nigdy nie wyglądał lepiej. I odwołać spotkanie z nim dla starego człowieka! Skończył drinka i naszykował sobie następnego. Może powinien zadzwonić do Kim? Dochodziło dopiero wpół do siódmej, ale nie miał ochoty być z Kim. Był pijany i zdawał sobie z tego sprawę. Nalał sobie jeszcze jeden kieliszek — tym razem czystej wódki. Usiadł po ciemku, popijając powoli i metodycznie. Był w nowej koszuli, twarz go piekła i nie miał gdzie pójść. Nie było miejsca, gdzie chciałby pójść, z wyjątkiem domu Karli...

No cóż, jutro też jest dzień. Właściwie powinien był zdjąć koszulę i zachować ją na jutro, miał jednak dziwne przeczucie, że już nigdy jej nie włoży, ta koszula przynosi pecha.

Zapalił papierosa i próbował wszystko uporządkować. Nie stało się nic

takiego. No dobra, poprosił o numer jej telefonu, żądał, by mu podała, a ona się rozłączyła. Wielkie rzeczy, przecież się nie pokłócili! Jutro wszystko będzie dobrze. W końcu ten jej Jeremy to starzec. Opowiedziała mu, jak to się stało, że został jej agentem, jak znalazł ją w schronie przeciwlotniczym. Tak naprawdę była to jedna z niewielu rzeczy, jakie Karla zdradziła o sobie. Już wówczas Jeremy był panem w średnim wieku, jej starszym przyjacielem. David pamiętał, jak Karla mówiła: „Jeremy jest taki poczciwy, taki miły... Musicie się kiedyś poznać.”

Powoli odstawił kieliszek. „Musicie się kiedyś poznać” — dlaczego dzisiaj nie doprowadziła do tego spotkania? Nie musiała odwoływać spotkania, przecież o interesach mogli porozmawiać jutro...

Chyba że Karla wcale nie była z Jeremym... Już na samą myśl o tym poczuł skurcz w żołądku, ale przecież w jej życiu nie było innego mężczyzny, widywała się z nim prawie codziennie, a nie spotykali się tylko wtedy, gdy Karla była zmęczona. A i wtedy często do niego dzwoniła i mówiła, jaki program ogląda właśnie w telewizji. Nie, nie było drugiego mężczyzny.

Nagle przed oczami stanął mu obraz Heidi Lanz wkraczającej do klubu „21”. Piękna Heidi, Heidi-lesbijka... Ona też dopiero co przyjechała do miasta.

To niemożliwe! Napenił kolejny kieliszek i wznosił toast na swoją cześć — na cześć Davida Milforda, największego szczęściarza. Największego fiuta! Zakochanego w pięćdziesięciodwuletniej kobiecie po operacjach plastycznych, która nie dała mu nawet swego numeru telefonu.

Z tym że ona nie jest zwyczajną kobietą. Jest Karlą! Na pewno teraz siedzi z Jeremym Haskinsem, a on się upił i wyobraża sobie jakieś idiotyzmy.

Do cholery! Że też musiał dziś spotkać w klubie „21” Heidi Lanz! I po co staruszek mu to wmówił? Pewnie, że sam też słyszał różne plotki na temat Karli, ale sądził zwykle, że każda Europejka ma tego typu złośliwości na swoim koncie, tak jak był przekonany, że każdy Anglik próbował tego z chłopcami. Karla nie umiałaby kochać naprawdę kobiety. Nie po tym, jak się zachowywała w jego ramionach, jak się do niego tuliła... Nie, teraz jest z Jeremym.

Czuł, że dłużej nie zniesie siedzenia w domu, wybiegł z mieszkania i poszedł przez Park Avenue. Powietrze go otrzeźwiło. Dotarł do Lexington i powędrował dalej, świadom, że idzie w stronę domu Karli. No dobrze, a właściwie czemu nie? Dlaczego nie? Po prostu wejdzie, portier pomyśli, że Karla czeka na niego, tak samo windziarz. Zadzzwoni do jej drzwi, będzie u niej Jeremy i Karla się zezłości, wtedy on poprosi o

przebaczenie, powie jej... powie, że ma dziś urodziny. Tak, to doskonały pretekst. Powie, że musiał się z nią zobaczyć, chociaż na chwilę. Jeżeli nawet Karla poprosi, by został — odejdzie. Tak, właśnie tak robi. Nawet gdyby była serdeczna, miała poczucie winy, odmówi i nie zostanie, wypiją tylko jednego drinka z okazji urodzin, a potem sobie pójdzie — po powrocie do domu może zdoła chociaż usnąć.

Gdy znalazł się przed domem Karli, cała odwaga gdzieś z niego uleciała. Doszedł do First Avenue, wstąpił do baru, wypił podwójną wódkę i poczuł się lepiej. Nie ma się czym denerwować, sam to wszystko w siebie wmawia. Karla na pewno się roześmieje i pomyśli, że jest czarujący, młody i impulsywny. Ruszył ulicą; odzyskał pewność siebie, gdy portier skinął mu głową, a gdy windziarz, wioząc go na piętnaste piętro, wdał się z nim w dyskusję na temat jankesów i ich przedsiębiorczości, poczuł się jeszcze pewniej.

Ruszył korytarzem i poczekał, aż zamkną się drzwi windy. Przez chwilę stał pod drzwiami Karli. Z mieszkania nie dochodził żaden dźwięk, nie grał telewizor. Zawahał się, jeszcze nie było za późno, jeszcze może się odwrócić i odejść, a Karla nigdy się nie dowie. Zawrócił do windy. Co sobie jednak pomyślą windziarz i portier? Przecież wiedzieli, że Karla jest w domu.

Wrócił pod drzwi i bez namysłu nacisnął dzwonek, czując, że serce zaraz wyskoczy mu z piersi. Zadzwoił jeszcze raz. Usłyszał kroki i Karla uchyliła ostrożnie drzwi, nie otwierając ich jednak z łańcucha. Gdy go ujrzała, jej wielkie, szare oczy pociemniały z gniewu.

— Czego chcesz? — spytała zimno.

Nie mógł uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Karla, która otwierała mu zawsze szeroko drzwi, patrzyła na niego teraz jak na intruza.

— Dziś są moje urodziny — powiedział ochryplym głosem, nie tak lekko i pręsto, jak to sobie zaplanował.

— Idź stąd.

David wsunął nogę w drzwi.

— Dziś są moje urodziny, chciałem tylko za moje zdrowie... z tobą i Jeremym.

— Powiedziałam ci już, żebyś sobie poszedł!

— Nie pójdę. — Próbował się uśmiechnąć, ale był zbyt przerażony: stracił panowanie nad sobą. Karla była naprawdę zła, a on nie miał już błogosławionej drogi odwrotu. Musiał wejść do środka, wytłumaczyć, jak bardzo ją kocha, że nie jest w stanie tak żyć, nie mogąc nawet do niej zadzwonić.

— Jeżeli nie pójdziesz, będę zmuszona wezwać pomoc — powiedziała. O Boże, wszystko zniszczył.

— Karlo, przebacz mi, przepraszam.

Cofnął się i w tej samej chwili Karla zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Stał nie mogąc wprost uwierzyć. Karla naprawdę mu to zrobiła! A to suka! Pewnie, że nie gościła Jeremy'ego, na pewno była z Heidi Lanz. Znowu nacisnął dzwonek, a potem zaczął walić w drzwi.

— Otwórz! — krzyczał. — Otwórz i udowodnij, że jest u ciebie ten twój menażer!... Otwórz, to sobie pójde, udowodnij tylko, że mówisz prawdę. Odczekał parę chwil. Miał świadomość, że ktoś uchylił drzwi w końcu korytarza i wyjrzał; twarz mu płonęła; drzwi zamknęły się w końcu, a wtedy ponownie przycisnął dzwonek.

— Wpuść mnie, do cholery... Wpuść mnie!

Kopnął w drzwi, potem wyjął zapalną i wetknął w dzwonek.

— Będę tu stał i czekał! — wrzasnął. — Choćby całą noc!... Bo chcę zobaczyć, kto od ciebie wyjdzie!

Znowu kopnął w drzwi. Wiedział, że stracił nad sobą całkowicie panowanie, lecz nie potrafił już się wycofać. Słyszał, jak na piętrze odmykają się jedne po drugich drzwi.

Potem otworzyły się drzwi windy i poczuł, że chwytają go dwie pary silnych rąk. Walczył zadając ciosy na oślep — portier i windziarz próbowali odciągnąć go od mieszkania Karli. Starzy, zawsze uśmiechnięci znajomi — portier, który brał wszystkie dolarowe napiwki, i windziarz dyskutujący z nim o jankesach, próbowali odciągnąć go w drugi koniec korytarza!

— Zabierajcie łapy! — ryczał. — Panna Karla nie słyszy po prostu dzwonka. Czeka na mnie!

— Spokojnie, synu — powiedział portier — panna Karla zadzwoniła na dół i prosiła, żeby pana zabrać, bo zakłóca pan spokój.

To nie do wiary, Karla go wyrzucała! Wytrzeszczył na nich oczy, później spojrzał ze zdziwieniem na drzwi i wymierzył w nie ostatniego kopniaka.

— Ty lesbo — wrzeszczał. — Ty dubeltowa lesbijo, wiem, kto jest u ciebie — Heidi. Heidi Lanz! Heidi! Nie Jeremy... Heidi Lanz!

Drzwi się otwierały, inni lokatorzy z tego samego piętra spoglądali ze zdziwieniem. Ci, którzy patrzyli kiedyś na niego z zawiścią, ponieważ miał dostęp do ich wspaniałej sąsiadki, obserwowali teraz, jak portier i windziarz ciągną go przez korytarz. Wierzgał i ryczał, usłyszał trzask — to jego nowa koszula. A więc Karla go wyrzuciła! Wyrzuciła! To nie mogło się zdarzyć, to jakiś koszmarny sen.

Byli już w windzie i portier zwolnił uścisk.

— Posłuchaj, synu, wygląda na to, że za dużo dziś wypieś. Pozwól, że wsadzę cię do taksówki, i jedź stąd. Jutro będzie nowy dzień, przyślesz jej kwiaty i wszystko będzie po staremu.

David wyrwał się i wyszedł, starając się iść prosto.

— Nie będzie żadnego jutra i nigdy nie przyślę kwiatów tej lesbijskiej cipie! Nie martwcie się o taksówkę. Niczego od was nie chcę. Moja noga nigdy tu nie postanie. — Spojrzał w okna mieszkania na piętnastym piętrze. — Nienawidzę cię, ty suko — wymamrotał i odszedł chwiejnym krokiem.

Karla stała w oknie i patrzyła za nim, póki nie zniknął jej z oczu. Potem przeszła do łazienki i zapukała do drzwi, twarz miała ściągniętą i bladą. - Już po wszystkim, Dee, możesz wyjść. David na pewno nie będzie nas już niepokoił.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Dee wyciągnęła się w wannie wypełnionej pianą. Z radia płynęły urzekające stare piosenki Sinatry. Cały świat był cudowny, a maj uznała za najpiękniejszy miesiąc w Nowym Jorku. Kwiecień był również piękny — jak każdy miesiąc, gdy Karlę miała blisko. Całą minioną zimę spędziła w Palm Beach — pięć miesięcy, najdłuższe rozstanie z Karlą. Zabójstwo! Zdarzały się chwile, że największym wysiłkiem woli zmuszała się, by nie podnieść słuchawki i nie błagać Karli o przyjazd. Może to coś dało, po jej powrocie bowiem Karla rzeczywiście nie mogła się już doczekać, kiedy się zobaczą.

Był oczywiście ten okropny wieczór, kiedy David dobijał się do drzwi jak byk w rui. Nie mogła wprost uwierzyć, że tak stracił panowanie nad sobą, z tym że był pijany. Niewiele słyszała z całej awantury, ponieważ gdy tylko zaczęło się całe zamieszanie, z przerażenia wpadła do łazienki.

Oczywiście w ten sposób skończyli ze sobą, David nie był już dla Karli „miłym chłopcem”, który zabierał ją na balet czy do kina studyjnego.

Co dziwniejsze, nie sprawiał wcale wrażenia zmartwionego strata. Z tego, co pisali w kronice towarzyskiej, wiedziała, że spotyka się czasami z tą holenderską modelką, a poza tym ciągle mówił o January. Miał złamane serce, nie mogła bowiem przyjechać na Wielkanoc do Palm Beach.

Oczywiście, że pisanie artykułu o człowieku pokroju Toma Colta to ważne

zadanie. January już jakiś czas była w Kalifornii i Dee zastanawiała się, czy nie ma czegoś między nimi. Nie, to śmieszne! Tom Colt miał żonę i był zbyt staromodny dla January. Mikę okazywał dziwny entuzjazm wobec tego ważnego zadania córki i uparł się, że musi koniecznie do niej polecieć. Był tam prawie tydzień, a gdy wrócił, wydawało się, że wszystko jest w porządku. Dee postanowiła znaleźć czas, by zmienić testament.

Teraz, gdy David

nie stanowi! już dla niej żadnego zagrożenia jeśli chodzi o Karłę, nie musiała się martwić, czy weźmie ślub z January.

Gdy wyszła z wanny, zadzwoniła do George'a Milforda. Natychmiast podszedł do telefonu.

— Dee, właśnie wyjeżdżam. Miło cię usłyszeć.

— George, chcę zmienić testament.

— Dobrze, czy to pilne?

— Nie, ale spotkajmy się jutro po południu.

— No cóż, właśnie dlatego pytałem, czy to pilne, bo jutro wyjeżdżamy z Margaret do Paryża. Jej siostrzenica wychodzi za mąż, poza tym od lat nie byliśmy na wakacjach w Europie, więc chcemy naprawić błąd. Płyniemy statkiem, robimy sobie cały miesiąc urlopu. Odpływamy jutro.

— Och... — Dee przygryzła wargę w zamyśleniu.

— Jeżeli to jednak pilne, mogę teraz poczekać na ciebie w biurze. Jest wpół do szóstej, więc zdążymy przygotować poprawki. Chętnie posiedzę kilka godzin wieczorem... oczywiście jeśli masz czas. Możemy wszystko razem rozważyć i porobię notatki, a jutro dam do przepisania na maszynie. Gdybyś przyszła, powiedzmy, o dziesiątej, poświadczymy rozporządzenia i podpiszemy notarialnie.

Była umówiona z Karłą na wpół do siódmej, a w kancelarii na pewno zejdzie jej dłużej.

— Nie, George, to nie jest konieczne, może poczekać do twojego powrotu. Udanej podróży i pozdrów ode mnie Margaret.

Odłożyła słuchawkę i zaczęła się ubierać; Mikę był w klubie Friars.

Powiedziała mu, że idzie na zjazd absolwentów szkoły i nalegała, by został w klubie na obiedzie i pograł w karty.

— Muszę tam iść, robię to co roku. Jest nas dwadzieścia, siedzimy tam godzinami i wspominamy dawne czasy w szkole panny Briarly. Jeżeli wrócisz do domu wcześniej, nie czekaj na mnie.

Małżeństwo jej ciążyło. Mając Karłę, przy ?i???" przechodziła tortury, zwłaszcza że od powrotu z Palm Beach Karla była zawsze taka serdeczna, kiedy Dee informowała ją, że ma czas. Nie było ostatnio dawnych

wymówek („Och, Dee, zaprosiłam dziś mojego maestro na befsztyki. Długo nie pracował i właśnie niebawem wraca do filmu.) Karla miała zawsze ważne powody... ale zdarzało się to tak często, że wytrącało z równowagi. Natomiast od powrotu z Palm Beach nie było ani jednej wymówki, za każdym razem gdy dzwoniła i mówiła: „Mogę się dzisiaj wyrwać”, Karla odpowiadała radośnie: „Bardzo się cieszę. Czekam niecierpliwie”, albo: „Borys zaprosił mnie dziś na obiad, ale w takim razie odwołam spotkanie.”

Mogła oczywiście spotkać się z Karłą w ciągu dnia, lecz musiałaby się dostosować do jej rozkładu dnia, odnosiła jednak wrażenie, że gdyby włączyła się za nią, siedziała w jakiejś ponurej pracowni i patrzyła jak Karla ćwiczy przy drażku, straciłaby godność. Postępowała tak w ciągu kilku pierwszych lat, kiedy samo oglądanie Karli — uzyskanie pozwolenia na przebywanie w jej obecności — było zaszczytem. Dziwne, ale po tylu latach nadal czuła zawrót głowy za każdym razem, gdy widziała Karłę. Skoro jednak ich stosunki dobrze się ułożyły, siedzenie przy niej w charakterze oszołomionej wielbicielki byłoby upokarzające. Nie potrafiłaby także chodzić z nią po deszczu lub w czasie śnieżycy. Nie była taka jak Karla, która wyglądała fantastycznie ze śniegiem na włosach i z twarzą ociekającą deszczem. Jeśli Dee zmarzła, ciekło jej zaraz z nosa i oczu. Karla mogła stać pod prysznicem, wyjść spod niego, wytrzeć włosy ręcznikiem i już prezentowała się wspaniale, Dee natomiast czułaby się zagubiona bez fryzjera, który układał jej codziennie włosy.

Nie, jedyny sposób, by widywać Karłę i utrzymywać ich związek na zasadzie równości, to gościć ją w którymś ze swych domów lub spotykać się z nią wieczorami w Nowym Jorku. Żadna kobieta po czterdziestce nie wygląda czarująco w świetle dziennym i choć Dee próbowała wszystkiego, każdy podkład pod makijaż był zbyt różowy, pomarańczowy lub blady. Natomiast wieczorem prezentowała się cudownie, zwłaszcza gdy siedziała przed kominkiem lub jadła z Karłą obiad przy blasku świec. Ostro sprzeciwiała się jedzeniu w kuchni — to było takie mało romantyczne, w dodatku wyglądała w tym świetle okropnie. Karla zawsze była lekko opalona i nigdy nie potrzebowała makijażu. Karla... — Nie było drugiej takiej jak ona! Nawet po ośmiu latach Dee nie bardzo mogła uwierzyć, że Karla naprawdę do niej należy. Nie... nie należała. Karla nigdy do nikogo nie należała, nawet do Jeremy'ego Haskinsa, który — jak twierdziła — był jej menażerem i wielkim przyjacielem. Przyznała się otwarcie, że poszli kiedyś do łóżka, ale nic z tego nie wyszło. Dee poznała Jeremy'ego, kiedy przyjechał do Stanów w 1966 roku; zobaczywszy jego

siwe włosy i przygarbione plecy poczuła taką ulgę, że wydała nawet na jego cześć przyjęcie i co roku posyłała mu prezent na gwiazdkę. Pod wpływem nagłego impulsu wyjęła książeczkę czekową i wypisała czek na dziesięć tysięcy dolarów. Przestała już zaskakiwać Karłę prezentami, gdyż ta nigdy nie nosiła biżuterii, a futro sobolowe, które jej kiedyś podarowała, traktowała jak trencz. Wychodziła w nim na śnieg, wędrowała do sali prób i z powrotem. Tak naprawdę ożywiała się jedynie wtedy, gdy dostawała pieniądze. Dee nigdy nie mogła zrozumieć tego fenomenu, w końcu Karla miała mnóstwo pieniędzy. Mój Boże, tyle lat kręciła filmy, a teraz przecież nic nie wydawała, płaciła tylko czynsz za mieszkanie; jeśli chodzi o rozkład, było bajeczne i dekorator wewnątrz mógłby je przemienić w cacko. Dee wątpiła jednak, czy całe umeblowanie jest warte choć pięć tysięcy dolarów. Karla oczywiście utrzymywała mieszkanie w nieskazitelnej czystości, nie miała nic przeciwko własnoręcznemu szorowaniu podłóg i myciu okien. Znajdowały się w nim obrazy — jeden Monet, dwie prace Raoula Dufysa, Vlaminck i szkice Daumiera, ale wszystko otrzymała w prezencie. Kiedy raz Dee spytała Karłę: „Po co ci dziesięcio-pokojowe, dwupoziomowe mieszkanie, skoro używasz nie więcej jak trzy pomieszczenia?”, Karla wzruszyła ramionami i odparła: — To prezent. I teraz jest warte dwa razy więcej, niż kiedy je dostałam.

Dee nie próbowała już nawet racjonalnie uzasadniać ekscentryzmu Karli. Ładny ekscentryzm! Karla była skrajnie skąpa. Nawet prezenty gwiazdkowe, które Dee od niej otrzymywała, były — jak to sama określała — „gagami”, na przykład kufel do piwa z napisem: „Prezent z Nowego Jorku”, czerwona flanelowa koszula nocna, polska ozdoba na choinkę. Dee kładła to na karb przeżyć wojennych, wszyscy uchodźcy byli trochę dziwni.

Wyszła z domu piętnaście po szóstej, zwolniła szofera i wzięła taksówkę, która trzęsła i sapała pokonując drogę przez miasto, ale i tak nic nie było w stanie zepsuć jej doskonałego humoru. Była wiosna, prześliczny wieczór i za parę minut miała zobaczyć się z Karłą. O Boże, gdyby tylko mogła zatrzymać czas — żeby dzisiejszy wieczór trwał wiecznie! Zaczęła sobie wróżyć ze świateł ulicznych. Kiedy taksówka zatrzymała się na czerwonym, odliczała: jeden — a potem literowała JEDEN, dwa — DWA. Do ilu zdołała policzyć i przeliterować, zanim zmieniło się światło, tyle miesięcy będą jeszcze razem z Karłą. Na jednym świetle ulicznym doliczyła do szesnastu, lecz zanim dojechała do Drugiej Alei, nabrała trochę wprawy i doszła do trzydziestu pięciu. Zmarszczyła brwi — to

zaledwie trzy lata, nie powinna robić takich ustaleń, bo przecież zawsze będą razem. Och, gdyby niegdyś potrafiła uwierzyć, gdyby mogła naprawdę mieć nadzieję, że Karla jej nie opuści, nie wy szłaby za ?i???. Cóż, skoro nawet w najbardziej intymnych chwilach Dee zdawała sobie sprawę, że Karla w ogóle nie będzie do nikogo należała. Gdyby się zorientowała, że jest dla Dee całym światem, gotowa by zniknąć — być może na zawsze. Nie, Mikę był jej pasem bezpieczeństwa, podporą zdrowia psychicznego, jakkolwiek stanowił pewien problem. Tylu przebiegłych kłamstw musiała się dopuszczać, by otrzymać „wolny wieczór”!

Konieczniewie chciała gościć Karlę w lipcu w Marbelli, tymczasem jednak był dopiero początek maja, a co za tym idzie, czekało ją jeszcze sześć trudnych tygodni w Nowym Jorku. Sądziła, że dowiodła wielkiego sprytu, okazując entuzjazm z powodu wyjazdu z Mikiem do Cannes. Nie było żadnego turnieju tryktraka w Monte Carlo i Dee nie miała najmniejszego zamiaru tam jechać, ale wszystko musiało być starannie opracowane i jak na razie, przebiegało zgodnie z planem. Zarezerwowała na czternastego maja miejsce w hotelu Carlton, chciała wyczekać do ostatniego dnia i poinformować, że turniej został odwołany. Namówi jednak ?i???, by pojechał sam, gdyż apartament jest już wynajęty, a on zasługuje na dwa wspaniałe tygodnie w gronie przyjaciół za świata filmowego. Ona natomiast odpocznie w Nowym Jorku i zajmie się odnowieniem garderoby na lato. Cały tekst miała już wyuczony. Mikę będzie musiał pojechać bez niej, ona zaś spędzi dwa cudowne tygodnie z Karlą. Będą mogły być razem każdej nocy!

Gdy przyjechała, Karla już na nią czekała. Była w trakcie peelingu, ciężkie włosy podpięła z tyłu klamrą. Objęła Dee i poprowadziwszy ją do nakrytego do obiadu stolika przy oknie, wskazała świece: — Zobacz, kupiłam je dzisiaj. Nie potrzebują świecznika, same się topią. Och, to było cudowne! Uroczy małeńki sklepik i ten człowieczek, który mnie wcale nie rozpoznał, po prostu spodobałam mu się dla mnie samej; i zadał sobie tyle trudu, żebym mogła powąchać różne zapachy. Dziś mamy gardenię. Dee, czy lubisz gardenię? Ja uwielbiam. Mam nadzieję, że ty też.

— Oczywiście, że tak.

Przy blasku świec w półmroku zapadającym na East River Karla wyglądała jak zdjęcie ze swego najlepszego filmu: padające na twarz cienie podkreślały wgłębienia poniżej kości policzkowych... Dee wyrwała się z zapażenia, sięgnęła do torebki.

— Przyniosłam ci mały prezent.

Karla nawet nie spojrzała na czek, uśmiechnęła się tylko i wsunęła go do szuflady biurka.

— Dziękuję, Dee, a teraz chodź, siadaj, przygotowałam wielką porcję sałatki z krewetek, homara i spójrz, dzban sangrii. Będziemy mieć prawdziwą ucztę.

Tej nocy, kiedy się kochały, Karla była radosna i wylewna, w ogóle miała nastrój bardziej beztroski niż zwykle, a później, gdy leżały razem, zaśpiewała jej kilka polskich piosenek zapamiętanych w młodości. W pewnej chwili poczuła się chyba skrepowana, że odsłania skrywaną część swego życia, wyskoczyła bowiem z łóżka i włączyła telewizor.

— Nadają dziś stary film. Wiem, że ty wolisz wiadomości, więc idę pod prysznic. Powiesz mi, jeżeli na tym smutnym świecie wydarzyło się coś ważnego.

Oglądając wiadomości, Dee słyszała, jak Karla śpiewa pod prysznicem, wyraźnie szczęśliwa. Ona czuła się podobnie, a jednak całej radości towarzyszyła rozpacz, ponieważ niebawem będzie musiała stąd wyjść i wrócić do „i”??. Sięgnęła do nocnego stolika, chcąc spróbować mocnego angielskiego papierosa Karli. Kiedy uniosła pudełko, na podłogę spadła koperta — był w niej rachunek za telefon. Ogarnęła ją nagła ciekawość — kwota była na pewno minimalna, bo Karla rzadko do kogoś dzwoniła, a jeżeli już to robiła, to tylko po to, by powiedzieć krótko, jaką ma sprawę lub prośbę. Z Karłą po prostu nie prowadziło się rozmów przez telefon. Dee wyjęła rachunek z koperty i uniosła brwi spojrzawszy na kwotę: czterysta trzydzieści jeden dolarów! Jeszcze raz spojrzała. Jak Karla zdołała nabić taki rachunek? Przystudiowała go uważnie: rozmowy krajowe nie wyczerpały nawet opłaty abonamentowej, za to długa była lista połączeń z Anglią, z numerem 3322 w Bostwick. Aż szesnaście rozmów z jednym i tym samym numerem, a każda trwała dłużej niż trzy minuty! Ponadto były trzy połączenia z numerem w Lowick i dwa z centralą w Belgravii. Ale szesnaście rozmów z numerem 3322 w Bostwick! Dee zapisała wszystkie numery na skrawku papieru, wcisnęła go do torebki i ułożyła rachunek pod pudełkiem z papierosami. Gdy Karla wróciła spod prysznica i znowu się z nią kochała, cały incydent wyleciał Dee z pamięci. Nie myślała o tym, dopóki nie wróciła do domu i nie znalazła w torebce kartki z telefonami; schowała ją do kasetki z biżuterią. Prawdopodobnie Karla załatwiała jakieś interesy w Londynie, a może była w stałym kontakcie z Jeremym i dlatego rachunek był tak wysoki. Ludzie słynący ze skapstwa często miewają jakieś swoje dziwactwa. Możliwe, że w wypadku Karli były to transatlantyckie rozmowy telefoniczne.

Następny dzień należał do tych z rzadka się trafiających, kiedy Dee nie mogła się skontaktować z Karłą. Rano nie miała po co dzwonić, bo Karla była na pewno na spacerze, o pierwszej zaś, gdy Karla prawdopodobnie już wróciła do domu, Dee musiała tkwić na oficjalnym lunchu w hotelu Płaza, promującym Amerykańskie Miasteczko Noworodków, czyli dom rehabilitacyjny dla ciężarnych dziewcząt-narkomanek. Co prawda nie bardzo ją te sprawy interesowały, jednakże cała uroczystość stanowiła doskonałą okazję, by pokazać się dobrze w gazetach, a w zarządzie byli sami odpowiedni ludzie, co wpływało dodatnio na jej wizerunek.

Zadzwoiła do Karli o piątej, lecz jej nie zastała, a gdy już miała dzwonić powtórnie, przyszedł właśnie Ernest, żeby ułożyć jej włosy. Mieli iść z Mikiem na okropny obiad w apartamencie księżnej Mariny przy Park Avenue, wydawany na cześć jakiegoś senatora, co znaczyło, że będą siedzieć i słuchać jego dowcipów na temat Waszyngtona. Księżna Marina urzędowała wspaniale przyjęcia w Marbelli, skoro więc chciała być au courant, jeśli chodzi o politykę, i organizowała tego typu obiady, nie pozostawało nic innego, jak wytrwać do końca wieczoru.

Następnego ranka leżała w łóżku z tacą ze śniadaniem czekając, aż nadejdzie wpół do pierwszej i Karla wróci do domu ze spaceru. Obmyślała też wymówkę, która pozwoli jej uwolnić się od „i??” na wieczór. Dni do końca tygodnia miała już wypełnione, ale dziś była wolna. Mikę wspominał coś o obejrzeniu dwóch filmów jednego wieczoru — naprawdę lubił przesiadywać w tych brudnych salach kinowych, a nawet jeść prażoną kukurydzę. Namawiał ją na wybudowanie własnej sali projekcyjnej w Pałacu Zimowym, by mogli sobie wyświetlać filmy, lecz ją kino nudziło. Uwielbiała oglądać filmy z Karłą, współczesna kinematografia natomiast prawie wcale jej nie interesowała. Nienawidziła tych wszystkich ponurych obrazów z młodymi ludźmi na motocyklach, którzy nosili dzinsy i palili marihuanę. Pamiętała czasy, kiedy chodziło się do kina, by obejrzeć rewię mody, dzisiejsze sale zaś były brzydkie i brudne — jej własne życie było o wiele piękniejsze i bardziej pasjonujące.

Przeglądała gazety; miała „Women's Wear” ze zdjęciami z wczorajszego lunchu; dobre zdjęcie — pokaże jej Karli. Teraz jednak musiała wymyślić jakiś wykręt, by wyrwać się na dzisiejszy wieczór. Tryktrak przestał być już wymówką, gdyż Mikę go polubił. Dobry Boże, po co go w ogóle uczyła? Może powinna go namówić, by poszedł do klubu na golfa, ponieważ ona chce... no właśnie, co chce? Rozzłościło ją, że musi tu leżeć i szukać usprawiedliwienia. Przecież jest Dee Milford Granger, utrzymuje go, dlaczego więc nie wolno jej po prostu powiedzieć: „Chcę wyjść dziś

wieczór", tak jak mówiła zawsze poprzednim mężom? W głębi serca jednak czuła, że nie może tak postąpić z Mikiem, bo gotów by oświadczyć: „Dobrze, możesz iść na zawsze”, zwłaszcza odkąd sprawiał wrażenie mniej zainteresowanego losem córki. Ostatnio wcale o niej nie wspominał, może uspokoiło go te dziesięć milionów majątku powierniczego? No cóż, kiedy January wróci, przekona się, że to nie był zapis ostateczny, Dee wszystko bowiem zmieni i David znowu będzie wykonawcą jej testamentu. Och, zostawi January te dziesięć milionów, ale sporządzi kodycył — January otrzyma pieniądze pod warunkiem, że Mikę Wayne będzie mężem

Dee Milford Granger. Uśmiech zagościł na jej twarzy. Oczywiście! W tej sytuacji będzie mogła wychodzić, kiedy tylko jej się zachce, tymczasem musiała jednak coś zaplanować na dzisiaj. Nie mogła już wymyślić fikcyjnej koleżanki od tryktraka, ponieważ Mikę znał wszystkich jej przyjaciół. To śmieszne! Całe życie robiła, co chciała, a teraz, gdy szło o najważniejszą dla niej istotę, musiała spiskować jak przestępca, by wyrwać się na wieczór.

Może Karla będzie miała jakiś plan, chociaż trzeba przyznać, że ona nigdy nie była zbyt pomysłowa. Dee kochała ją do szaleństwa, nie zmieniało to wszakże faktu, iż Karla jest tylko głupią Polką. Była dopiero za dziesięć dwunasta, mimo to spróbowała się z nią połączyć, czasami bowiem Karla wracała wcześniej. Wykręciła numer, ale nikt nie odpowiadał. No tak, przecież to czwartek, nie było służącej. Jak można prowadzić taki dom mając służącą tylko trzy razy w tygodniu?

Sięgnęła po „Daily News” i przekartkowała pismo: księżnej poświęcono zaledwie pół kolumny, wspomniano o niej i „i??”, całą uwagę skupiono zaś na osobie senatora. Rzuciła gazetę na podłogę tak, że otworzyła się na środkowych kolumnach. Przez chwilę wpatrywała się w nie, a potem wyskoczyła z łóżka i nerwowo chwyciła pismo: było tam zdjęcie Karli chowającej twarz przed aparatem fotograficznym na lotnisku Heathrow. Karla była w Londynie!

Zmięła gazetę i rzuciła w drugi koniec pokoju. To ona tu leży i martwi się, co zrobić, żeby z nią być, a ta suka poleciała do Londynu.

Londyn!

Wstała z łóżka i pobiegła po kasetkę z biżuterią, odnalazła skrawek papieru z trzema numerami i podeszła do telefonu. Południe — to znaczy, że w Londynie jest właśnie piąta po południu. Zamówiła rozmowę z przywołaniem Anthony'ego Piersona. Firma Pierson and Maitland prowadziła wszystkie jej interesy w Londynie. Połączenie uzyskała po

niecałych pięciu minutach, Anthony Pierson ucieszył się, słysząc jej głos. Rozmawiali o pięknej pogodzie utrzymującej się w Londynie, o jej akcjach, po czym starając się, aby to wypadło jak najbardziej naturalnie, Dee wyjaśniła:

— Tony, zdaję sobie sprawę, że to nie jest zupełnie w twojej gestii, ale... no cóż... widzisz, muszę się dowiedzieć, do kogo należą numery trzech telefonów w Londynie. Och, nie chodzi o mnie, tylko o... o moją pasierbicę. Tak, widzisz, ona mieszka z nami i właśnie natknęłam się na rachunek za telefon. Znalazłam tam trzy numery w Londynie, pod które dzwoniła, a ma zaledwie dwadzieścia jeden lat i to chyba naturalne, że się o nią martwię. Sam wiesz, jak to jest: przyjeżdżają tu wasi artyści rockowi, a dziewczętom w jej wieku często wydaje się, że są zakochane — zaśmiała się. — Tak to właśnie jest, a ja nie chcę, żeby mi się zbiesiła lub zadawała z nieodpowiednimi typami, gdybyś więc mógł sprawdzić te telefony... Och, Tony, byłabym ci tak wdzięczna. — Podała mu numery i spytała: — Ile ci to zajmie?... Tylko godzinę?... Tony, jesteś boski.

Wykapiała się i utkwiała wzrok w świetelku aparatu telefonicznego na toaletce, potem zerknęła na nie robiąc sobie makijaż. Zaświeciło dokładnie o pierwszej — dzwonił Anthony Pierson.

— Uzyskałem informacje — oświadczył — ale muszę ci powiedzieć, że są trochę zaskakujące. Numer telefonu w Bostwick należy do prywatnego domu pod Ascot, ten w Lowick — do Jeremy'ego Haskinsa, emeryta, który cieszy się swego rodzaju sławą, gdyż widuje się go zawsze z Karłą, ilekroć przyjeżdża do Londynu... nawiasem mówiąc, chyba ją znasz, prawda? Jest tutaj teraz i zatrzymała się w Dorchesterze. A numer telefonu w Belgravii należy do znanego psychiatry. Niełatwo się w tym połapać, bo nie wygląda na to, aby pod którymś z tych telefonów mieszkał ktoś, do kogo chciałaby dzwonić dwudziestojednoletnia dziewczyna.

— Kto mieszka w Ascot?

— Małżeństwo o nazwisku Harrington, mają córkę. Udałem, że jestem urzędnikiem pocztowym i w związku ze zmianą rejonizacji potrzebuję informacji na ich temat. Strasznie to sprytne z mojej strony, nie sądzisz?

— He lat ma ta córka?

— Nie pytałem, ale sądząc po głosie Harringtonowie są około pięćdziesiątki lub sześćdziesiątki.

— Tony, muszę się o nich wszystkich dowiedzieć czegoś więcej, zwłaszcza o psychiatrze.

— Wiesz, to wykracza trochę poza moje kompetencje, ale znam pewnego

faceta, Donalda Whyte'a. Jest kimś w rodzaju prywatnego detektywa. Myślę, że można mu zaufać.

— Tak, bardzo proszę, dowiedz się, czego tylko zdołasz. Z Jeremyem Haskinsem daj sobie spokój, mój mąż był producentem filmowym i możliwe, że moja pasierbica go zna, ale zasięgnij wszelkich informacji o Harringtonach i ich córce.

Odłożyła słuchawkę, starając się opanować strach. Może Harringtonowie są starymi przyjaciółmi Karli? Może poznała ich przez Jeremy'ego albo spotkała zaraz po przyjeździe do Londynu?

Dee Milford Granger. Uśmiech zagościł na jej twarzy. Oczywiście! W tej sytuacji będzie mogła wychodzić, kiedy tylko jej się zachce, tymczasem musiała jednak coś zaplanować na dzisiaj. Nie mogła już wymyślić fikcyjnej koleżanki od tryktraka, ponieważ Mike znał wszystkich jej przyjaciół. To śmieszne! Całe życie robiła, co chciała, a teraz, gdy szło o najważniejszą dla niej istotę, musiała spiskować jak przestępca, by wyrwać się na wieczór.

Może Karla będzie miała jakiś plan, chociaż trzeba przyznać, że ona nigdy nie była zbyt pomysłowa. Dee kochała ją do szaleństwa, nie zmieniało to wszakże faktu, iż Karla jest tylko głupią Polką. Była dopiero za dziesięć dwunasta, mimo to spróbowała się z nią połączyć, czasami bowiem Karla wracała wcześniej. Wykręciła numer, ale nikt nie odpowiadał. No tak, przecież to czwartek, nie było służącej. Jak można prowadzić taki dom mając służącą tylko trzy razy w tygodniu?

Sięgnęła po „Daily News” i przekartkowała pismo: księżnej poświęcono zaledwie pół kolumny, wspomniano o niej i „i??”, całą uwagę skupiono zaś na osobie senatora. Rzuciła gazetę na podłogę tak, że otworzyła się na środkowych kolumnach. Przez chwilę wpatrywała się w nie, a potem wyskoczyła z łóżka i nerwowo chwyciła pismo: było tam zdjęcie Karli chowającej twarz przed aparatem fotograficznym na lotnisku Heathrow. Karla była w Londynie!

Zmieniła gazetę i rzuciła w drugi koniec pokoju. To ona tu leży i martwi się, co zrobić, żeby z nią być, a ta suka poleciała do Londynu.

Londyn!

Wstała z łóżka i pobiegła po kasetkę z biżuterią, odnalazła skrawek papieru z trzema numerami i podeszła do telefonu. Południe — to znaczy, że w Londynie jest właśnie piąta po południu. Zamówiła rozmowę z przywołaniem Anthony'ego Piersona. Firma Pierson and Maitland prowadziła wszystkie jej interesy w Londynie. Połączenie uzyskała po niecałych pięciu minutach, Anthony Pierson ucieszył się, słysząc jej głos.

Rozmawiali o pięknej pogodzie utrzymującej się w Londynie, o jej akcjach, po czym starając się, aby to wypadło jak najbardziej naturalnie, Dee wyjaśniła:

— Tony, zdaję sobie sprawę, że to nie jest zupełnie w twojej gestii, ale... no cóż... widzisz, muszę się dowiedzieć, do kogo należą numery trzech telefonów w Londynie. Och, nie chodzi o mnie, tylko o... o moją pasierbicę. Tak, widzisz, ona mieszka z nami i właśnie natknęłam się na rachunek za telefon. Znalazłam tam trzy numery w Londynie, pod które dzwoniła, a ma zaledwie dwadzieścia jeden lat i to chyba naturalne, że się o nią martwię. Sam wiesz, jak to jest: przyjeżdżają tu wasi artyści rockowi, a dziewczętom w jej wieku często wydaje się, że są zakochane — zaśmiała się. — Tak to właśnie jest, a ja nie chcę, żeby mi się zbiesiła lub zadawała z nieodpowiednimi typami, gdybyś więc mógł sprawdzić te telefony... Och, Tony, byłabym ci tak wdzięczna. — Podała mu numery i spytała: — Ile ci to zajmie?... Tylko godzinę?... Tony, jesteś boski.

Wykapłała się i utkwiała wzrok w światełku aparatu telefonicznego na toalecie, potem zerknęła na nie robiąc sobie makijaż. Zaświeciło dokładnie o pierwszej — dzwonił Anthony Pierson.

— Uzyskałem informacje — oświadczył — ale muszę ci powiedzieć, że są trochę zaskakujące. Numer telefonu w Bostwick należy do prywatnego domu pod Ascot, ten w Lowick — do Jeremy'ego Haskinsa, emeryta, który cieszy się swego rodzaju sławą, gdyż widuje się go zawsze z Karłą, ilekroć przyjeżdża do Londynu... nawiasem mówiąc, chyba ją znasz, prawda? Jest tutaj teraz i zatrzymała się w Dorchesterze. A numer telefonu w Belgravii należy do znanego psychiatry. Niełatwo się w tym połapać, bo nie wygląda na to, aby pod którymś z tych telefonów mieszkał ktoś, do kogo chciałaby dzwonić dwudziestojednoletnia dziewczyna.

— Kto mieszka w Ascot?

— Małżeństwo o nazwisku Harrington, mają córkę. Udałem, że jestem urzędnikiem pocztowym i w związku ze zmianą rejonizacji potrzebuję informacji na ich temat. Strasznie to sprytne z mojej strony, nie sądzisz?

— Ile lat ma ta córka?

— Nie pytałem, ale sądząc po głosie Harringtonowie są około pięćdziesiątki lub sześćdziesiątki.

— Tony, muszę się o nich wszystkich dowiedzieć czegoś więcej, zwłaszcza o psychiatrze.

— Wiesz, to wykracza trochę poza moje kompetencje, ale znam pewnego faceta, Donalda Whyte'a. Jest kimś w rodzaju prywatnego detektywa.

Myślę, że można mu zaufać.

— Tak, bardzo proszę, dowiedz się, czego tylko zdołasz. Z Jere-mym Haskinsem daj sobie spokój, mój mąż był producentem filmowym i możliwe, że moja pasierbica go zna, ale zasięgnij wszelkich informacji o Harringtonach i ich córce.

Odłożyła słuchawkę, starając się opanować strach. Może Harringtonowie są starymi przyjaciółmi Karli? Może poznała ich przez Jeremy'ego albo spotkała zaraz po przyjeździe do Londynu?

Szesnaście rozmów w ciągu miesiąca!

Żaden przyjaciel nie był dla Karli wart szesnastu rozmów, chyba że się zakochała. Może dziewczyna jest bogata i też dzwoniła do Karli szesnaście razy w miesiącu? Niewykluczone, że rozmawiały co wieczór... Albo i dwa razy dziennie... Ta suka prowadziła na pewno podwójne życie. Ascot to bardzo ładna okolica, dziewczyna musi być bogata. Zapewne dlatego Karla zwykle wyjeżdżała w tajemnicy.

— Być może dziewczyna z nią zerwała... Tak, to jest prawdopodobne, to by wyjaśniało szesnaście rozmów telefonicznych, Karla błagała ją, by wróciła — to by także tłumaczyło, czemu dla niej była ostatnio taka miła i ciepła... Nie, nie mogła sobie wyobrazić Karli błagającej kogokolwiek o cokolwiek. Ale szesnaście rozmów w ciągu miesiąca!

Wieczorem, gdy Mikę wrócił do domu, Dee miała już ułożony cały plan. Chciała się dowiedzieć, co Karla robi, i nakryć ją na tym, musiała tylko rozegrać to dobrze z Mikiem.

Poszła z nim do kina na dwa seanse, a kiedy później siedzieli u Sardiego, wykonała pierwszy ruch. Zapatrzyła się w przestrzeń i westchnęła ciężko. Zamówili befsztyki, Mikę swój już prawie kończył, spojrzał na jej nietknięty talerz.

— Nie jesteś głodna?

— Nie... ja... och, Mikę... czuję się jak kretyńka.

— Co się stało? — spytał częstując się jej befsztykiem.

— Popełniłam idiotyczną pomyłkę.

— Jaką pomyłkę? To chyba jeszcze nie koniec świata.

— Mikę, turniej tryktraka jest w Londynie.

— Kiedy?

— Och, chyba piętnastego, szesnastego i siedemnastego.

— No cóż, wielka sprawa, pojedziemy do Cannes parę dni później. Czy będziesz kończyła befsztyk?

Dee podsunęła mu talerz.

— Mikę, myślałam... Posłuchaj, wcale nie ciągnie mnie do Cannes, to

twoje miasto, znasz tam wszystkich, zechcesz spotkać się ze starymi przyjaciółmi... no i jest tam kasyno, a ja nie przepadam za hazardem, w każdym razie nie przy stoliku, więc...

Popatrzył na nią uważnie.

— Przestań kręcić i mów, o co chodzi.

— Mike, tak bardzo chciałabym pojechać do Londynu i...

— Przecież powiedziałem, że pojedziemy.

— Będę miała codziennie wyrzuty sumienia, że trzymam cię z dala od festiwalu. Mam w Londynie przyjaciół, chciałabym tam posiedzieć z tydzień, a potem wyskoczyć do Paryża na zakupy. Pod koniec festiwalu dojechałabym do ciebie do Cannes.

— Dobrze.

— Co powiedziałaś?

— Powiedziałem, że dobrze. Wyjedziemy czternastego, wysadzę cię w Londynie i polecę dalej do Nicei, potem odeślę ci samolot do Londynu i dołączysz do mnie, kiedy będziesz chciała.

— Och, Mike, jesteś aniołem.

— Posłuchaj, dziecino, to układ obustronny, nikt nie powiedział, że musisz lubić festiwale filmowe. Myślę, że wspaniale spędzisz czas w Londynie

— Może nie tyle wspaniale, ile na pewno interesująco.

—

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Dee siedziała w biurze Anthony'ego Piersona i wpatrywała się w zdjęcia. Jeszcze nie doszła do siebie po zmianie czasu, przyjechała do Londynu poprzedniego wieczoru o dziesiątej, podczas gdy w Nowym Jorku była dopiero piąta po południu. Zadzwoiła do Tony'ego Piersona do domu. Powiedział, że ma już pełne sprawozdanie, ale trudno wprost uwierzyć, by miało jakiś związek z jej pasierbicą. Dee umówiła się z nim w biurze na następny dzień na jedenastą, a potem położyła się do łóżka zażywając uprzednio trzy tabletki seconalu — nie zniosłaby samotnej, bezsennej nocy w Londynie. Nie było tu całonocnej telewizji, a na czytaniu nie mogła się zupełnie skoncentrować. Zatrzymała się w Grosvenor House, ponieważ w Dorches-terze mieszkała Karla, Dee zaś nie miała najmniejszej ochoty natknąć się na nią. Jeszcze nie teraz.

W tej chwili siedziała w cichym, staroświeckim biurze Ant-hony'ego Piersona i czuła, że ma początki migreny; starała się zachować spokój.

Przejrzała odbitki, które dał jej Pierson.

— Są doskonale — powiedziała bezbarwnie. Anthony Pierson pokiwał głową.

— Donald Whyte, ten facet, który prowadził... nazwijmy to: poszukiwania, przez kilka dni obserwował ten dom przez teleskop. Biedny gość, faktycznie siedział na drzewie. Psychiatra jest na urlopie, wyjechał dwa dni temu, dlatego tutaj nie powiodło nam się najlepiej, za to zdjęcia Karli z tą dziewczyną są wręcz fantastyczne, nie sądzisz? Oczywiście mam negatywy, to była część naszej umowy. Whyte jest człowiekiem na poziomie i można mu ufać, ale chyba dobrze zrobiłem, że się zabezpieczyłem, wzięwszy pod uwagę, że Karla nadal jest w centrum zainteresowania opinii publicznej.

— Na miłość Boską — rzekła z rozdrażnieniem Dee — przecież nie zastał ich razem w łóżku.

Pierson pokiwał głową.

— Masz rację, ale ta fotografia, na której dziewczyna obejmuje Karłę za szyję... albo ta, na której się całują... a spójrz tutaj... Oczywiście, że nie nakrył ich w łóżku, lecz i to, co mam, wystarczyłoby, żeby jakiś brukowiec zrobił nie lada aferę.

Dee patrzyła na zdjęcia, czując pulsowanie w skroniach. Czy może stanowić konkurencję dla kogoś tak młodego i ślicznego jak ta dziewczyna?

— Jest bardzo piękna — rzekła powoli.

— Zupełnie fantastyczna, prawda? Whyte dowiedział się, że Harringtonowie nie są jej rodzicami, prawdopodobnie pracują dla niej, bo nazywa się Zinaida Jones. Dom jest wynajęty; uroczy, prawda? Nie za duży, ale zaciszny — mały kawałek gruntu, i w ogóle. Karla bywa tam codziennie, trzy razy nocowała.

Dee trzęsła się ręką, gdy szukała papierosa, patrząc na zdjęcie dziewczyny. Widać było na nim raster z powodu dużego powiększenia. Zaciągnęła się mocno dymem.

— Tony, czy masz aspirynę? Obawiam się, że mam podłe samopoczucie z powodu zmiany czasu.

— Oczywiście.

Poszedł do apteczki w łazience. Kiedy wrócił, Dee nadal studiowała fotografie.

— To jest raczej dziwne, nie sądzisz? — powiedział. — Wygląda na to, że wielka Karla znalazła sobie nową młodą kochankę. Choć z drugiej strony... zawsze o niej gadano, prawda?

— Słyszałam o tym — odparła Dee — ale znam Karłę, gościłam ją nieraz u siebie i nie zauważyłam nic, co mogłoby usprawiedliwiać tego rodzaju plotki.

— Powiedziałbym, że z wyjątkiem tych zdjęć — stwierdził Anthony Pierson. — Nieźle ją obciążają. Dlaczego te kobiety nie ograniczą swych miłosnych skłonności do sypialni? Po co chodzi po całym terenie w objęciach tej dziewczyny?

— Przypuszczalnie nie wiedziały, że pan Donald Whyte siedzi na drzewie z aparatem fotograficznym z teleobiektywem. Sam powiedziałeś, że to zaciszne miejsce.

— Cały teren ma około akra, ale droga pani Wayne, proszę mi powiedzieć, jaki to może mieć związek z twoją pasierbicą.

Dee pokiwała głową.

— No cóż... prawdopodobnie.... prawdopodobnie zna tę Zinaidę.

— Och — Anthony Pierson zaczerwienił się przez chwilę — No tak... och... rozumiem. Te wszystkie rozmowy... myślisz, że twoja pasierbica jest... hm... zaprzyjaźniona z Zinaidą Jones?

Dee wzruszyła ramionami.

— Czemu nie? Chodziła do szkoły w Szwajcarii, a wcześniej ukończyła żeńską szkołę. — Podniosła się z miejsca. — Czy masz dokładny adres tego domu?

— Tak, tutaj, leży mniej więcej o godzinę drogi od miasta.

— Dziękuję, zajmij się honorarium pana Whyte'a i prześlij mi rachunek, najlepiej jutro rano do Grosvenor. Z oczywistych powodów nie chciałabym, żeby trafił do Nowego Jorku.

Jadąc do Ascot, starała się obmyślić plan działania. Szofer znał drogę. Wyjechali już z Londynu i pogrążyli się w soczystej wiejskiej zieleni, zbliżali się do Ascot... A co dalej? Nie może przecież ot, tak zadzwonić do drzwi i powiedzieć Zinaidzie Jones: „Ona należy do mnie!” Gdyby zdołała na zewnątrz podejrzeć je razem... To wszystko było tak niesmaczne, że cofnęła się aż na siedzeniu. Była jednak zdecydowana przejść przez to piekło. Tyle lat przywiązania do Karli... tyle „prezentów”... Czy ostatni czek na dziesięć tysięcy dolarów również przeznaczyła na to, by uciec jak najszybciej do swej nowej młodej kochanki? Po raz pierwszy w życiu Dee wiedziała, co czuje zdradzony mężczyzna. Zdradzona! Jak mogła w ogóle tak pomyśleć!... Cóż, skoro właśnie tak się czuła. Zdradzona! To wielkie słowo. Nie mogła powiedzieć, że została oszukana, nie miała bowiem wątpliwości, że Karla robiła to od czasu do czasu. Dee nigdy jej o to nie pytała, tak jak Karla nie pytała o pożycie z Mikiem. Próbowwała kiedyś

opowiedzieć Karli o „i??”, o tym jak naprawdę z nim żyje, o uldze, którą czuła po każdym stosunku, gdyż znaczyło to, że nie będzie jej nękał przez najbliższe dwa, trzy dni. Śmieszne, uzmysłowiła sobie naraz, że w ostatnim czasie Mikę tygodniami nie zbliżał się do niej. Nawet tego nie zauważyła, ale teraz poczuła niepokój, i to wcale nie dlatego, że pragnęła jego dotyku. Czyżby była tak mało atrakcyjna? Wiedziała, że jej ciało jest niezbyt jędrne, że udom, brzuchowi wiele można zarzucić. Zdawała sobie z tego wszystkiego sprawę, gdy leżała obok Karli, ponieważ Karla nie miała nawet uncji tłuszczu. Zupełnie jej to jednak nie martwiło, a nawet wręcz przeciwnie, czuła się dzięki temu przy Karli bardziej kobieca, lecz dlaczego Mikę trzymał się od niej z daleka? Czyżby za dużo golfa? Ostatnio ciągle grał na pieniądze, ciekawe, ile zarobił.

Nie to wszakże zajmowało ostatnio jej uwagę. W tej chwili interesowała ją wyłącznie Karla... i ta jej kochaneczka. A może wcale nie jest jej nową dziewczyną, może już od jakiegoś czasu były razem? Karla przeżywała chyba okres „młodzieży” — przez jakiś czas miała Davida, teraz znowu ta dziewczyna...

Samochód zatrzymał się między dwoma rzędami wysokich krzewów.

— To jest ten dom, proszę pani. Brama jest trochę dalej, ale pani prosiła, żeby zatrzymać się wcześniej.

— Tak, chcę zaskoczyć starych przyjaciół. Gdyby samochód wjechał na podjazd, nie mieliby żadnej niespodzianki, prawda?

— Pewnie, że nie, proszę pani.

Ciekawe, czy jej uwierzył. Anglicy, jeśli chcieli, potrafili być zupełnie bez wyrazu. Na pewno myślał, że chce zaskoczyć kochankę. No cóż, naprawdę chciała!

Mała żelazna furka nie miała zamknięcia. Otworzyła ją i ruszyła na podjazd. Zaczęło padać. Dee była w płaszczu przeciwdeszczowym, teraz założyła na głowę chustkę. Podjazd wyglądał bardzo skromnie, ale cały teren był starannie wypielęgnowany. Przed domem w stylu elżbietańskim stał mały angielski samochód.

Dee szła powoli. Ciekawe, czy Zinaida ma psa. Straszne by było, gdyby nagle rzucił jej się do gardła dog angielski. Widziała już nagłówki gazet: DEE MILFORD GRANGER WDARŁA SIĘ NA CUDZY TEREN I ZOSTAŁA ZAATAKOWANA PRZEZ PSA. O Boże, jak by zdołała to wytłumaczyć? W oknach paliło się światło. Zinaida była prawdopodobnie w domu, a może przechadzała się gdzieś obejmując Karlę w pól, tak jak widziała na zdjęciach. Karla lubiła spacerować bez względu na pogodę, a Dee dałaby głowę, że Zinaida udaje, iż jej także to odpowiada.

Podeszła na palcach do okna: zobczyła przytulny, bezpretensjonalnie urządzony salonik, nikogo w nim nie było. Może gdyby przeszła na tył domu... Karla zawsze uwielbiała kuchnię.

— Dlaczego nie wejdiesz?... Jest bardzo wilgotno.

Drgnęła na dźwięk głosu. Odwróciła się: za nią stała Karla. Na twarzy miała krople deszczu, ubrana była w barwną chustkę i nieprzemakalny płaszcz.

— Karlo... ja...

— Wejźmy do środka, jest wilgotno i zimno.

Otworzyła drzwi — własnym kluczem, jak zauważyła Dee, mająca ochotę uciec. To koniec, nie powinna była tu przyjeżdżać. Karla miała twarz jak maskę, lecz na pewno wrzała ze złości. Zaraz powie Dee, że z nią zrywa. O Boże, co ją podkusiło? Oglądała kiedyś sztukę, w której dziewczyna robiła wszystko, by o romansie dowiedziała się żona jej kochanka, a kiedy nakryła męża na gorącym uczynku, jemu nie pozostało nic innego, jak się przyznać. Gdyby Karla się otwarcie przyznała, Dee musiałyby odejść. Choćby umierała z rozpacz! Musiałyby z dumą odejść, bez godności bowiem nie byłoby ich związku. Jednocześnie pragnęła paść na kolana i błagać Karłę, aby zapomniała o tym, że Dee ją tu widziała, aby puściła w niepamięć całe to okropne zdarzenie.

Karla powiesiła płaszcz na wieszaku przy drzwiach. Miała na sobie gabardynowe spodnie i męską koszulę, długie proste włosy rozpuszczone. Wyglądała na znużoną, lecz była piękna jak zawsze.

Dee stała bez ruchu; Karla odwróciła się i wskazała wieszak.

— Zdejmij płaszcz, jest mokry.

Dee zrzuciła płaszcz, świadoma, że pod chustką oklapły jej włosy i że z pewnością nigdy nie wyglądała gorzej, a tutaj, gdzieś w tym domu, czekała na Karłę ta piękna młoda istota.

— Usiądź, przyniosę brandy — powiedziała Karla i zniknęła w drugim pokoju.

Dee rozejrzała się po salonie. Zobaczyła zdjęcie Karli w wielkiej ramie, a także fotografię owczarka niemieckiego. Prawdopodobnie należał do Zinaidy w dzieciństwie, lecz dawno już zdechł, bo stojąca obok niego dziewczynka była mała. Gdzie ona teraz była? Zapewne na górze.

Szanowała prawo Karli do własnego życia i — tak samo zresztą jak wszyscy — podporządkowała się jej humorom.

Karla wróciła z butelką brandy, napełniła dwie szklanki i Dee ze zdziwieniem ujrzała, że wychyla trunek jednym haustem. Potem usiadła.

— No dobrze, Dee, nie będę dociekać, jak mnie znalazłaś, oszczędzę ci

tych wyjaśnień.

Łzy napłynęły do oczu Dee. Wstała i podeszła do płonącego kominka.

— Oddałabym dziesięć lat życia, by cofnąć dzisiejsze popołudnie.

— Czy rzeczywiście tyle dla ciebie znaczą? — Głos Karli był niemalże łagodny.

Dee odwróciła się do niej i przetykając łzy rzuciła: — Czy tyle dla mnie znaczysz? O Boże... — Przeszła przez pokój i sięgnęła do torebki po papierosa. Zapaliła i zwróciła się do Karli. — Nie, niewiele dla mnie znaczysz, tylko tyle, że czuję się chora za każdym razem, gdy wyjeżdżasz... że staję się przebiegłym kłamczuchem i kanalią wobec męża... wysyłam go samego do Cannes, podczas gdy ja... ja... dzwonię do przyjaciela... dowiaduję się, gdzie przebywasz... i o Zinaidzie. Chyba jestem masochistką. Zamiast wykreślić cię raz na zawsze

372

z mojego życia, przyjeżdżam tu... żeby ją zobaczyć na własne oczy... chcę... Bóg wie, dlaczego tak się nad sobą znęcam. Wiem, że jest młodsza ode mnie i... i bardzo piękna... i na Boga, tak bardzo żałuję, że tu przyjechałam!... Bo gdybym nie przyjechała... mogłybyśmy nadal być razem.

— Gdzie ją widziałaś? — spytała Karla.

Dee otworzyła torebkę i rzuciła fotografie na kolana Karli, która obejrzwawszy je uważnie, popatrzyła na Dee ze zdziwieniem.

— To robota jakiegoś paparazzi. Dee pokręciła bezradnie głową.

— Nie, to Anglik, nazywa się Donald Whyte. Nie martw się, mam negatywy. Karlo, czeka na mnie samochód, więc lepiej sobie pójść.

— Ruszyła do drzwi, sięgnęła po płaszcz, lecz odwróciła się jeszcze do Karli: — Powiedz mi tylko jedno: jak długo jesteście ze sobą?

Karla spojrzała jeszcze raz na fotografie, potem na Dee. Pokiwała głową ze smutnym uśmiechem.

— Tak, rozumiem, masz zdjęcia. Co jeszcze wiesz?

— Wiem, że spędziłaś tu kilka nocy.

— Ach, twój człowiek jest sumienny, choć nie za bardzo, prawda?

— Podoba ci się ta gra? — Dee porwała płaszcz z drewnianego wieszaka.

— Nie, martwi mnie bardziej, niż ci się wydaje. Skoro jednak przebyłaś taki szmat drogi, skoro zadałaś sobie tyle trudu, to myślę, że przed odejściem powinnaś poznać Zinaidę.

— Nie — Dee próbowała włożyć płaszcz.

Karla jednym skokiem znalazła się na środku pokoju i pchnęła ją na krzesło.

— Najpierw wtrącasz się w nie swoje sprawy, a potem chcesz odejść? Jeżeli się węszy, należy obejrzeć zakończenie, może to będzie dla ciebie nauką na przyszłość. — Podeszła do schodów i krzyknęła:

— Pani Harrington!

Drobna siwowłosa kobieta przechyliła się przez balustradę.

— Powiedz Zinaidzie, żeby się oderwała na chwilę od telewizora i zeszła na dół. Chcę, żeby poznała moją przyjaciółkę.

Następnie naląła sobie jeszcze brandy i wskazując nie tknięty kieliszek Dee, poleciła: — Wypij, przyda ci się.

Dee wpatrywała się w schody. Po chwili ujrzała dziewczynę — była jeszcze piękniejsza niż na zdjęciach, wysoka, prawie tak wysoka jak Karla, z jasnymi włosami spadającymi na ramiona. Wyglądała młodziej, niż można by sądzić ze zdjęć, Dee podejrzewała, że jest w wieku January. Karla uśmiechnęła się łagodnie: — Chodź, Zinaido, mamy gościa. To jest pani Wayne.

Dziewczyna uśmiechnęła się do Dee, potem zaś zwróciła się do Karli: — Czy mogę zjeść kawałek ciasta czekoladowego? Pani Harrington upiekła je dziś po południu i powiedziała, że nie wolno mi go tknąć przed obiadem.

— Zróbmy tak, jak zarządziła pani Harrington — rzekła powoli Karla. — Prawdopodobnie miało być niespodzianką.

— Ale skoro już o nim wiesz, to przestało być niespodzianką. Czy mogę więc je zjeść? Tylko jeden kawałek, proszę. Jestem już chora od tych ciasteczek z płatków owsianych, które ciągle robi.

— Wracaj lepiej na telewizję — odparła Karla. Dziewczyna westchnęła rozczarowana, później wskazała Dee.

— Czy ona zostaje na obiedzie?

— A czy mamy ją zaprosić? Zinaida uśmiechnęła się do niej.

— Pewnie, ale pod warunkiem, że opowiesz mi bajkę o czerwonych butach, zanim położę się spać.

Powiedziawszy to wybiegła z pokoju.

Dee patrzyła za nią dłuższą chwilę, po czym przeniosła wzrok na Karłę.

— Jest bardzo piękna... Ale co to wszystko znaczy? Zrobiliście mi dowcip? Przecież ona zachowuje się jak dwunastoletnia dziewczynka.

— W rzeczywistości ma dziesięć lat.

— O czym ty mówisz?

— O jej umyśle. Zinaida ma umysł dziesięcioletniego dziecka.

— I jest twoją wielką miłością?

— Jest moją córką. Dee zaniemówiła.

— Wypij brandy — doradziła Karła.

Tym razem Dee wypła alkohol jednym haustem, Karła zaś ponownie napełniła kieliszki.

— Zdejmij płaszcz, zostaniesz na obiedzie. Oczywiście jeśli lubisz ciasto czekoladowe.

— Karlo, kiedy ją urodziłaś?

— Trzydzieści jeden lat temu.

— Ale... wygląda bardzo młodo. Karła wzruszyła ramionami.

— Tacy jak ona zawsze wyglądają młodo, może dlatego, że nie mają takich zmartwień jak dorośli.

— Czy możesz opowiedzieć mi o tym?

— Po obiedzie. Teraz radzę ci odprawić samochód, sama odwiozę cię do miasta.

Był to przyjemny obiad. Dee odczuła tak wielką ulgę z powodu takiego obrotu spraw, że była przepełniona sympatią do tej zdziecinniałej kobiety, która rzucała się na jedzenie i paplała bezustannie podczas posiłku.

Harringtonowie byli na pewno małżeństwem opiekującym się Zinaida.

Zauważyła, że Zinaida zwraca się do Karli „matko chrzestna”.

Gdy zjadły obiad, Zinaida zerwała się od stołu i rozkazała: — A teraz, matko chrzestna, opowiesz mi bajkę o czerwonych butach.

Dee patrzyła jak urzeczona, gdy Karła na wpół opowiadała, na wpół tańczyła i na wpół odgrywała bajkę. Nigdy jeszcze nie widziała, by Karła tyle z siebie dawała, lecz jej serdeczny stosunek do Zinaidy był niewymuszony. O dziewiątej pojawiła się pani Harrington.

— Chodź, Zinaido, matka chrzestna ma towarzystwo, a poza tym czas już wziąć kąpiel i położyć się spać.

— Czy przyjdiesz do mnie później i posłuchasz, jak mówię pacierz?

— Oczywiście — odpowiedziała Karła całując dziewczynę. Potem dorzuciła drewna do kominka, usiadła i zapatrzyła się smutno w ogień.

— Jest przemiła, prawda?

— Prezentuje się fantastycznie — odparła Dee. — Ma bardzo podobny do ciebie układ twarzy, ale ciemne włosy. Jej ojciec musiał być bardzo przystojny.

— Nie wiem, kto nim jest.

Dee nic nie odpowiedziała. Siedziała bez ruchu w obawie, że nastrój pryśnie. Karła rzekła z wahaniem: — Widzisz, pewnej nocy zostałam zgwałcona przez prawie tuzin rosyjskich żołnierzy. Jeden z nich jest jej ojcem.

Znowu zapatrzyła się w ogień. Mówiła powoli, gdy opowiadała Dee o

dzieciństwie w Wilnie, o siostrze Teresie, balecie, wojnie, rosyjskiej okupacji, przemocy i gwałcie. Wyjaśniła, że nie mogła opuścić Wilna, zanim nie urodziło się dziecko. Opowiedziała o Grigoriju Sokojenie, który był przy niej w czasie porodu, o tym, jak nie mogła nawet krzyknąć z uwagi na dzieci śpiące w klasztorze, o dziewiętnastu godzinach bólu nie do wytrzymania... Grigorij nie odstępował jej na krok wtedy nawet, kiedy zrozumieli, że coś jest nie tak: poród pośladowy! Grigorij przemógł strach, przekręcił dziecko i po prostu wyciągnął je z niej. Jeszcze teraz widziała, jak stoi pod okropną górną lampą i klepie po pupie zakrwawionego noworodka, dopóki nie usłyszeli pierwszego żałosnego kwilenia.

Podniosła wzrok na Dee.

— Na filmach, a nawet w szpitalach widzimy, że matki otrzymują zawsze słodko uśmiechniętego berbecia w nieskazitelnym czystym beciku. Mój pokoić wyglądał tej nocy jak rzeźnia. Dziecko było całe w mojej krwi, zwisała mu długa pępowina. Grigorij zajął się nim, gdy ja dostałam znowu bóleści wydalając łóżysko.

Wzdrygnęła się lekko.

— Nigdy nie zapomnę tej nocy... Najpierw trzeba było umyć dziecko, potem usunąć zakrwawione prześcieradła, przystawić dziecko po raz pierwszy do piersi. Nawet nie marzyłam, że będę mieć złotowłosą dziewczyneczkę. Chyba w głębi serca wydawało mi się, że urodzę miniaturę śmierdzącego bimbrem rosyjskiego żołdaka z nosem jak kartofel. Kiedy tak trzymałam ją w ramionach, wiedziałam już, że w żadnej sytuacji jej nie opuszczę.

Beznamiętnie wspominała niebezpieczną wędrówkę z partyzantami. Było ich dwadzieścioro, za dnia chowali się po stodołach, w nocy przekradali się ukrytymi ścieżkami. Szła z dzieckiem przytroczonym na piersiach, a gdy Rosjanie byli blisko, uciszała je kilkoma kroplami wódki, by nie płakało.

— Zinaida miała około trzech miesięcy, była śliczną normalną dziewczynką. Szliśmy przez teren, gdzie wszędzie pełno było Niemców. I nagle dziecko zaczęło płakać. Próbowaliśmy je uciszyć, ale wódka nie pomagała, nie pomógł nawet cukierek czekoladowy, którego pilnowaliśmy jak oka w głowie. Płakała coraz głośniej. Dałam jej pierś, ale miałam tak mało mleka, że nie mogłam jej uspokoić. Raptem jeden z mężczyzn wyrwał mi ją i przykrył jej twarz poduszką, a drugi zatkał mi ręką usta, bym nie krzyczała... Gdy Niemcy odeszli, Zinaida nie żyła. O Boże, nigdy nie zapomnę tej chwili, gdy staliśmy patrząc na martwe ciało. Szlochałam

cichutko, a mężczyźnie, który nakrył ją poduszką, łzy też płynęły po twarzy. Nagle chwycił ją i zaczął jej robić sztuczne oddychanie. Staliśmy w milczeniu. Dwadzieścia zmarzniętych, brudnych istot, które wędrowały razem, spały grzejąc się jeden od drugiego, iskały się nawzajem, żyły wspólnie przez trzy długie tygodnie myśląc wyłącznie o dwóch rzeczach: przetrwaniu i ucieczce. Wszyscy mieli łzy w oczach patrząc, jak ten człowiek ratuje Zinaidę. Nawet małe dzieci o wynędzniałych twarzach, niektóre miały zaledwie pięć czy sześć lat, ale wszystkie rozumiały, co się dzieje. Gdy Zinaida wydała pierwszy cichy płacz, padliśmy na kolana i dziękowali Bogu. Wróciła do życia. Myślę, że była w stanie śmierci klinicznej, przez kilka minut, może pięć, może dziesięć, to jednak wystarczyło, aby na skutek niedotlenienia doszło do uszkodzenia mózgu.

Wówczas o tym

nie wiedziałam. Gdy dotarliśmy do Szwecji, wyglądała jak każde normalne dziecko, tyle że ładniejsze. Zostawiłam ją u niejakich Olesonów. Sądziłam, że podrzucono ją kiedyś do klasztoru, a ja ją „adoptowałam”. Pojechałam do Londynu umówiwszy się, że będę przekazywać pieniądze na jej utrzymanie; posyłałam je aż do zakończenia wojny. Wiesz, miałam się zatrzymać u wuja Ottona i nie mogłam jego rodziny obarczać takim ciężarem, liczyłam jednak, że dostanę się do baletu i zarobię na jej utrzymanie.

— Resztę już znasz: Jeremy znalazł mnie w schronie przeciwlotniczym i zaczęłam grać w filmie. Kiedy o tym opowiadam, wydaje mi się to takim szczęśliwym trafem i tak łatwe, ale dla mnie był to przecież obcy świat, nowy język, którego musiałam się nauczyć... Byłam nieśmiała i sądziłam, że wszyscy śmieją się z mojego angielskiego, a poza tym miałam tak mało wiary w swoje aktorstwo! Znałam się tylko na tańcu, lecz dzięki filmowi mogłam co tydzień przysyłać pani Oleson całkiem przyzwoitą sumkę. Była mi bardzo wdzięczna i ciągle otrzymywałam od niej zdjęcia małej Ziny. Miała około trzech lat, gdy pojawiły się pierwsze oznaki kłopotów, listy pani Oleson stały się mniej entuzjastyczne. Zinaida z trudnością uczyła się chodzić, nadal raczej gaworzyła, niż mówiła. Inne dzieci rozwijały się znacznie szybciej. Z początku próbowałam się pocieszać, że wiele dzieci rozwija się wolniej. Wiesz, jak to jest: każdy ci powie, że Einstein nie mówił do piątego roku życia, więc starasz się odganiać złe myśli, wmawiasz sobie, że dziecko jeszcze to nadrobi. W końcu pani Oleson przysłała kolejny list z prośbą o pozwolenie, żeby oddać Zinaidę do zakładu, bo jak to określiła: „Ostatecznie to nie pani dziecko, zostało wzięte z sierocińca, dlatego więc ma pani marnować na nie pieniądze”.

Karla zaczęła przechadzać się po pokoju.

— Możesz sobie wyobrazić, co czułam. Uparłam się, że przywiozę dziecko do Londynu i sama będę je wychowywała. Jeremy wykazał dużo zdrowego rozsądku. Byłam już znaną aktorką, a on mi wytłumaczył, że ujawnienie nieślubnego dziecka, i to na dodatek opóźnionego w rozwoju, gotowe zniszczyć całą moją karierę. Nie zapominaj, że nie był to rok 1971, kiedy takie rzeczy są akceptowane, tylko 1946 i aktorka z bękartem byłaby natychmiast wyrzucona z filmu. To Jeremy pojechał i przywiózł Zinaidę do Londynu, załatwił również angielską metryczkę i wybrał nazwisko Jones. Umieściliśmy ją w szpitalu psychiatrycznym i zrobiliśmy wszelkie możliwe testy neurologiczne. Wszystkie wskazywały na jedną przyczynę — uszkodzenie mózgu. Można ją będzie czegoś nauczyć, nikt jednak nie potrafił powiedzieć, jaką będzie miała umysłowość.

Karla przeszła w drugi koniec pokoju i naląła sobie kolejny kieliszek brandy.

— No cóż, w pewnym sensie i tak mamy dużo szczęścia. Intelktualnie jest na etapie dziesięciolatki, a emocjonalnie — sześciolatki.

— Ale dziesięcioletnie dziecko potrafi zrobić wiele rzeczy — powiedziała Dee.

Karla pokiwała głową.

— Niestety, masz rację. Jest w ciąży. Karla podeszła do schodów.

— Muszę iść teraz na górę i posłuchać, jak odmawia pacierz. Gdy wróciła na dół, Dee stała przy schodach i czekała na nią.

— Karlo, co teraz zrobimy?

— My?

Dee miała łzy w oczach.

— Tak, m ?. Och, mój Boże, Karlo, teraz wszystko rozumiem! Te twoje zniknięcia... i to, że jesteś taka... taka...

— Sknera?

— Nie, nie sknera... ale...

— Sknera — rzekła Karla ze smutnym uśmiechem. — Dee, ja naprawdę nie mam takich pieniędzy, o jakie mnie ludzie podejrzewają. Odchodząc z filmu, miałam na koncie ćwierć miliona dolarów, które są teraz zainwestowane. Żyję z odsetek i różnych prezentów. — Popatrzyła na Dee z niewyraźnym uśmiechem. — Jeremy jest coraz starszy, nie zawsze będzie mógł mnie zawiadomić, jeśli coś się stanie... tak jak teraz. Dlatego przyjechałam tu, by znaleźć dla Zinaidy kogoś do towarzystwa.

Zatrudniłam niejaką pannę Roberts. W rzeczywistości jest pielęgniarką, tyle że nie będzie nosić stroju pielęgniarzkiego. Zamieszka z Zinaidą i

będzie ze mną stale w kontakcie. Harring-tonowie są wspaniałymi ludźmi: prowadzą dom, robią, co tylko w ich mocy, lecz nie mogą być zawsze przy niej. Panna Roberts nie spuści z Zinaidy oka — będzie z nią jeździć konno, grać w warcaby, czytać jej. Ma to kosztować trzysta dolarów tygodniowo, ale dzięki temu będę spokojniejsza. Nie mogę tu zostać, by się nią opiekować... To dziecko mnie uwielbia, jak zostaję na dłużej, bardzo się do mnie przywiązuje. Pewnej nocy... pewnej nocy chciała się ze mną kochać. — Karla wstała i wzniosła ręce ku niebu. — No cóż, czemu nie? Dobry Boże, jest rozwinięta jak kobieta! Jej ciało pragnie seksu, szuka go na każdym kroku. Dostaje teraz środki uspokajające, nie powinnam zostawać tu zbyt długo. Psychiatra, z którym się widzieliśmy, załatwia legalną aborcję.

— Kim jest ten mężczyzna?

— Podejrzewam, że to dostawca. Kto to zresztą wie? Harring-tonowie zauważyli nagle, że Zinaida ma rano mdłości i że przytyła w talii, zaczęli ją więc wypytywać. Była z nimi zupełnie szczerą. Powiedziała, że ten mężczyzna obiecał, iż będzie jej dobrze, jeżeli włoży jej swoją najważniejszą rzecz w jej najważniejsze miejsce. To jej się jednak wcale nie podobało, tylko bolało. Prosiliśmy, by więcej tego nie robiła i obiecała nam to... Ale poczuje się znacznie lepiej, gdy w przyszłym miesiącu zjawi się tu panna Roberts.

— Karlo, chciałabym ci pomóc. Karla uśmiechnęła się i ujęła jej rękę.

— Już mi pomogłaś, twoje czeki bardzo mi się przydały.

— Nie, chcę ci bardziej pomóc. Posłuchaj, większość ludzi tak bogatych jak ja zostawia pieniądze różnym fundacjom albo instytucjom charytatywnym. Ja też mam własne fundacje i depozyty, chcę jednak zrobić coś pożytecznego jeszcze za życia. Po powrocie do Stanów natychmiast zmienię testament, przekażę tobie i Zinaidzie dziesięć milionów dolarów jako nieodwołalny fundusz powierniczy. Mam to już opracowane, więc możecie go otrzymać z Zinaidą od razu. Same odsetki będą wynosiły ponad pół miliona rocznie. Gdy już będę w Stanach, powołamy do życia Fundację Zinaidy, zbudujemy szkołę jej imienia, by pomagać takim ludziom jak ona. Będziemy obie nad tym pracować. Może przywieziemy później Zinaidę do Stanów. Będzie mogła mieszkać razem z pielęgniarką w domku gościnnym na terenie posiadłości Pałacu Zimowego. Zbuduję salę projekcyjną, by mogła oglądać filmy... Mikę i tak chciał mieć własne kino. Jesteśmy w stanie uczynić naprawdę dużo dobrego... Możemy nawet nauczyć Zinaidę większego zasobu słów. Niech ludzie zobaczą, jak piękne może być upośledzone dziecko. Ty możesz

wrócić do czynnego życia, powiedzieć, że jest adoptowaną przez ciebie chrzestną córką. Wykorzystajmy nasz czas na coś pożytecznego. Mogę zaniechać tych wszystkich bezsensownych lunchów, a ciebie stać na rezygnację z tych cholernych ćwiczeń przy drażku. Czas wypełnią ci o wiele pożyteczniejsze zajęcia. Podobnie jak mnie. Karlo, będziemy razem pracować.

Przytuliła ją, nagle bowiem zdała sobie sprawę, że Karla płacze. Tej nocy, kiedy leżały razem w łóżku, Karla szeptała:

— Kocham cię, Dee, i nigdy cię nie opuszczę. Nigdy od ciebie nie odejdę. Teraz mogę lżej oddychać. Wiesz, że Zinaida nie ma nikogo poza mną, dlatego zawsze się martwiłam, co by się stało, gdybym zachorowała. Zapewne z tego powodu tak bardzo dbam o kondycję. Za te pieniądze, którymi dysponuję, mogłabym żyć zupełnie dostatnio, ale starość albo przewlekła choroba mogą wyczerpać moje zasoby. Co by się wówczas stało z Zinaidą? Nie mogę wprost myśleć o państwowym szpitalu. Gdy umrę przed Zinaidą, mój majątek po potrąceniu podatków mógłby nie wystarczyć na jej utrzymanie do końca życia. Teraz, dzięki tobie, po raz pierwszy mogę żyć bez strachu o jutro.

Przez następne dni Dee krążyła między Grosvenor House i domkiem pod Ascot. Poczekwała na zabieg Zinaidy i dopiero po nim wyjechała do Cannes. Karla miała zostać z Zinaidą jeszcze przez tydzień, potem planowały spotkanie w Nowym Jorku.

Dee siedziała w samolocie i zastanawiała się, czy ktokolwiek odczuwał kiedyś takie szczęście jak ona w tej chwili. Będzie nawet udawała, że Cannes jej się podoba, i sprawi, by Mikę spędził z nią miły tydzień. Może sobie pozwolić na taką wspaniałomyślność, gdyż po powrocie do Nowego Jorku dopiero zacznie prawdziwe życie...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Mikę po raz trzeci z rzędu wyrzucił siedem, dopisywała mu równie dobra passa jak pamiętnego tygodnia w Vegas. W kasynie w Monte Carlo zebrał się za jego plecami spory tłum. Włożył pieniądze do banku i jeszcze raz rzucił kostką, miał osiem punktów. Przykrył cztery, pięć, dziewięć i dziesięć i ponownie rzucił. Czwórka. Podjął zakład.

— Liczby! — krzyknął, gdy rzucał kostką. Wyrzucił dziewięć. Przebił... i rzucił dwie szóstki, czwórkę, trzy dziewiątki, dziesiątkę i jeszcze jedną czwórkę, zanim postawił. Rzucił kolejny raz. Jedenaście! Był już dobrze

rozgrzany. Następnie postawił na szóstkę. Rzucał, wołał o liczby... Miał ósemki, czwórki, dziesiątki — podejmował największe zakłady. W sumie osiem dobrych rzutów, a kiedy wymienił franki, okazało się, że wygrał około dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Zostawił sobie dziesięć tysięcy franków w żetonach i ruszył na wędrowkę po kasynie.

To była dobra noc, czuł jednak, że to jeszcze nie koniec. Podeszedł do stołu do chemin de fer i krzyknął „banco”. Dostał bank i przegrał. Wstrzymał się do następnego rozdania i znów zawołał „banco”. Otrzymał połowę banku i wygrał. Potem poczekał na swoją kolejkę i wziął bank. Po godzinie wstał od stołu bogatszy o ponad sto tysięcy franków.

Podeszedł do ruletki, gdzie grała Dee. Postawiła żeton na trzydzieści sześć, Mikę pochylił się i obstawił numer obok. Wygrało trzydzieści pięć.

Patrzyła z niedowierzaniem, jak krupier przesuwa do niego wszystkie żetony. Zebrał je ze stołu i odszedł, kierując się do kasy. W sumie wygrał prawie pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Pora skończyć na dzisiaj.

Tak, czas się wynieść. Już tydzień spędził w kasynie i ani razu nie przegrał. Znalazł też dla siebie film, którego szukał. Była to pokazana od drugiej strony historia dziewczyny dobiegającej trzydziestki, która utrzymuje się z udziału w konkursach piękności. Nigdy nie zdobyła żadnego tytułu, ale zawsze dochodzi do finału, za co otrzymuje pieniądze. Życie spędza w autobusie, jeżdżąc od miasta do miasta na kolejne konkursy. Oglądał ten film trzy razy, zanim podjął decyzję.

Nakręcili go dwaj młodzi niezależni producenci w plenerze Teksasu. Zabrakło im pieniędzy i pożyczyli z banku trzysta tysięcy na ukończenie filmu. Przyjechali do Cannes w poszukiwaniu dystrybutora. Mikę spłacił ich kredyt bankowy i zagwarantował pokrycie kosztów kampanii reklamowej, co dało mu prawo do sześćdziesięcioprocentowego udziału w zyskach. Udał się do Cyrila Beana z Century Pictures i poprosił, by zechciał obejrzeć film. Projekcja jeszcze nie dobiegła końca, gdy oni już ściskali sobie ręce. Century dostanie trzydzieści pięć procent za dystrybucję i weźmie udział w kosztach reklamy — Mikę Wayne znowu był w akcji.

Premierę filmu zamierzał zorganizować w kinie studyjnym i wesprzeć ją potężną kampanią reklamową. Główną rolę zmęczonej piękności grała nieznana aktorka spoza Broadwayu. Krytycy, którzy widzieli ten film w Cannes, byli nim zachwyceni. Mikę nie mógł przegrać. Nawet gdyby film nie pobił rekordów kasowych wszechczasów to i tak wywoła cholerną sensację i pozwoli mu odzyskać włożone pieniądze. Poza tym najważniejsze, że znowu zaczyna działać. Dziewczyna była pewniakiem,

jeśli chodzi o nominację do nagrody Akademii. Wszystko było dograne, w hotelowym sejfie leżał już podpisany kontrakt, spłacił kredyt bankowy i miał jeszcze pół miliona dolarów gotówką, przed sobą zaś kilka nocy w kasynie. A później wróci do Nowego Jorku.

Potem zadzwoni do January. Co wieczór układał sobie w myśli całą rozmowę, dobrze wiedział, jak ją poprowadzi. Nawet nie wspomni Toma Colta. Oznajmi jej, że jest znowu w akcji, i spyta, czy nie chciałaby z nim pracować, bo otwiera własne biuro i mogłaby mu pomóc w organizowaniu całej kampanii — jeździć z nim do wszystkich miast na premiery filmu. Jeżeli odmówi, zaatakuję ją inaczej. Rozegra to spokojnie: pogodzi się z jej decyzją, a po kilku dniach zadzwoni i poprosi o przysługę. Powie, że potrzebuje trochę reklamy, i spyta, czy nie mogłaby napisać artykułu o premierze do tego swojego magazynu, zrobić mu parę zdjęć w biurze, i w trasie, (Artykuł w „Glossie” był mu absolutnie zbędny, ponieważ wynajął czołową firmę reklamową do wykonania olbrzymiej pracy, lecz January się o tym nie dowie. On zaś zachowa się tak, jakby potrzebował jej pomocy. Nie będzie mogła mu odmówić.) Był pewny, że gdy już się spotkają i pobędą jakiś czas razem, wszystko się wyjaśni i będzie po staremu. Powrócą dawne hulanki,

dawny zapał, zamierza bowiem wykrzesać z siebie mnóstwo entuzjazmu i aktywności, być cały czas w akcji. Przeprowadził też mądre negocjacje w holu Carltona w Cannes. Praktycznie ukradł prawo do dystrybucji w Ameryce wspaniałego filmu włoskiego, nakręconego przez nieznanego reżysera. Miał też pięćdziesiąt procent amerykańskich praw do pewnego czechosłowackiego filmu, który co prawda nie przyniesie żadnych pieniędzy, ale zdobędzie nagrody na wszystkich festiwalach filmowych, a jego nazwisko się w nim znajdzie. W siedemdziesiątym drugim roku Mike Wayne będzie znowu znaną postacią.

Zamierzał też odejść od Dee. Zgodzi się na rozwód, podziękuje, że podjęła próbę naprawy ich małżeństwa, lecz wyjaśni, że to nic nie dało. To oczywiście oznacza, że Dee zmieni testament i diabli wezmą dziesięć milionów dolców January, ale w ciągu ostatniego roku wiele się zmieniło. Ożenił się z Dee, by zapewnić January bezpieczeństwo, i gdzież ona teraz jest? Żyje z podstarzałym żonatym ogierem w bungalowie w hotelu Beverly Hills. Jakie bezpieczeństwo może jej zapewnić Tom Colt?

Powinna wiedzieć, że dla Toma na pierwszym miejscu zawsze będzie jego praca, a zaraz potem żona i dziecko. January przystała na to wszystko wiedząc, że zawsze zajmie najgorsze trzecie miejsce. Podjęła ryzyko, nie chciała, żeby podawano jej życie na tacy i rzucono przed nią na kolana. On

też tego nie chciał. Nie zniesie kolejnej zimy w Palm Beach, lata w Marbelli, bezprzedmiotowych rozmów przy stole w czasie wystawnych obiadów, uprzejmego, pustego spokoju ducha Dee. Nic dziwnego, że jej twarz była pozbawiona zmarszczek — Dee nic nie odczuwała, żyła w świecie jałowych pogaduszek, tryktraka, zakupów... Trywialne życie. Na pewno nie zrobi mu sceny przy rozstaniu. Och, może trochę jej to pokrzyżuje plany w związku z pobytem w Marbelli, zwłaszcza jeśli chodzi o rozmieszczenie gości przy stole, ale poza tym nie odczuje większej straty. January również nie poniesie uszczerbku przez to, że przestanie być jej spadkobierczynią. Gdy tylko wróci, wykupi polisę ubezpieczeniową na życie i nigdy, bez względu na to, co się stanie, nie pożyczy nic pod jej zastaw. Wynajmie ich dawny apartament z dwiema sypialniami w hotelu Plaža i poprosi, by do niego wróciła. Nie — powie tylko, że pokój na nią czeka, zawsze będzie czekał, jeżeli tylko ona zechce z niego skorzystać. Kilka razy o mało nie zadzwonił do niej do hotelu Beverly Hills, ale za każdym razem w porę się wycofał. Dopilnował, by „Variety” zamieściło obszerny artykuł o tym, że nabył film, wyciął go i wysłał jej bez żadnego komentarza.

Zamierzali wyjechać do Nowego Jorku w piątek. Dwa dni wcześniej Mike odbył krótką wyprawę do Szwajcarii, gdzie złożył pół miliona dolarów na zakodowany rachunek bankowy, a potem zatelegrafował do hotelu Plaža, by zarezerwowano mu jego dawny apartament na sobotę, dwudziestego ósmego maja. Poczeka, aż dotrą do hotelu Pierre, potem zawiadomi o wszystkim Dee i zamelduje się w Plaža.

W czwartek po południu Dee wybrała się na rue Antibes. Kupiła perfumy i drobne upominki dla przyjaciół. Mike natomiast udał się do pewnego producenta, którego nigdy nie darzył sympatią, lecz ten zaprosił go do siebie na remika. Mike zawahał się, producent bowiem notorycznie wygrywał, w końcu jednak skinął głową. Czemu nie? To będzie ostateczny sprawdzian szczęścia.

Opuścił jego apartament późnym popołudniem, bogatszy o trzydzieści tysięcy dolarów. Wstąpił do Cartiera i kupił dla Dee cienką platynową papierośnicę, zdążono nawet wygrawerować naprędce napis. Następnego dnia w drodze na lotnisko rzucił jej papierośnicę na kolana. Napis mówił: DEE, KOBIECIE, DZIĘKI KTÓREJ LOS ZNOWU SIĘ DO MNIE UŚMIECHNĄŁ, W DOWÓD WDZIĘCZNOŚCI. MIKE. Pochyliła się i pocałowała go w policzek. Może powinien jej już teraz wszystko powiedzieć i mieć to z głowy?... Zaraz jednak zmienił zdanie, bo zabójstwem byłoby siedzieć w samolocie jak w pułapce przez sześć

godzin, nie mając nic do roboty poza odświeżaniem wspomnień o ich nijakim małżeństwie. Poza tym to nie była jej wina — kupiła sobie i usankcjonowała prawem mężczyznę do towarzystwa, a teraz nadszedł czas, by znalazła sobie nowego, gdyż dotychczasowy wracał między ludzi. Wyjechali z Cannes do Nicei, gdzie wsiedli do samolotu. Mikę usadowił się po drugiej stronie przejścia, naprzeciw Dee. Miał ze sobą kawior i szampana, które kupił za własne pieniądze. Zastanawiał się z początku, ten rytuał bowiem był zarezerwowany wyłącznie dla January, ale w końcu to było dla niej, przecież wracał do niej i do wolności.

Jak tylko unieśli się w powietrze, otworzyli szampana i kawior. Mieli nową osobę do obsługi — młodego Francuza, którego zatrudnili w Cannes jako szofera. Marzył, by zobaczyć Amerykę, toteż Mikę zaprosił go, żeby z nimi poleciał, a Dee powiedziała, że w Pałacu Zimowym zawsze znajdzie się posada ogrodnika lub szofera. Chłopak nazywał się Jean-Paul Vallon i całe swe dziewiętnastoletnie życie spędził w Cannes, nigdy nie był nawet w Paryżu. Odprowadziła go matka, ciotka, trzech kuzynów, siostra i szwagier. Nikt z nich w ogóle jeszcze nie siedział w samolocie, a bogactwo Dee, wyrażające się tym, że ma własny odrzutowiec, wręcz ich przygniatało. Dee uniosła kieliszek i uśmiechnęła się do ?i???

— Za Cannes... i za twoich przyjaciół. Mikę również uniosł kieliszek.

— Za Marbellę... za twoje życie i twoich przyjaciół. Uśmiechnęła się i upiła szampana. Mikę podniósł do ust kieliszek,

ale nie mógł się zmusić, by przełknąć trunek. Pomyślał nagle, że czyni źle pijąc Dom Perignona z kimś innym niż January. Z kieliszkiem w ręku patrzył przez iluminator. Nie będzie łatwo powiedzieć o tym Dee, w gruncie rzeczy nic nie zawiniła. Jest po prostu sobą, tyle że jemu to nie odpowiada.

Dee otworzyła papierośnicę i wyjęła papierosa. Patrzyła przez iluminator w dół na chmury. Napis na papierośnicy był prześliczny, a Mikę taki dobry, taki miły!... Naprawdę mu na niej zależało. Mimo to nie mogła dłużej tak żyć, nie zamierzała leżeć bezsennie noc po nocy wymyślając różne wymówki, by zobaczyć się z Karłą. Nie, gdy tylko zmieni testament, musi mu o tym powiedzieć, a potem oznajmi, że ma zamiar żyć własnym życiem, a on może robić to samo pod warunkiem, że nie wywoła jakiegoś skandalu i będzie zawsze pod ręką, ilekroć okaże się jej potrzebny. Jeżeli na to przystanie, testamentowy zapis dla January nie zostanie zmieniony. Zerknęła na wyraźny profil ?i???. W ten sposób będzie go jakby kastrowała, lecz nie miała innego wyjścia. Przyglądała się papierośnicy —

jeszcze od żadnego mężczyzny nie dostała tak kosztownego prezentu. Pogładziła ją delikatnie. Mikę wydał na nią mnóstwo pieniędzy, może wszystko, co wygrał. Oczy zaszyły jej łzami. Boże, dlaczego zawsze trzeba kogoś ranić? Zaciągnęła się mocno papierosem, a potem zdusiła go w małej popielniczce. Dała mu udany rok, zrobiła, co tylko mogła dla jego córki... January będzie kiedyś bogatą kobietą, jeśli Mikę przyjmie jej warunki. Sumienie nie dawało jej wszakże spokoju; znowu spojrzała na papierośnicę. Tylko zakochany mężczyzna mógł napisać: „Kobiecie, dzięki której los znowu się do mnie uśmiechnął”. Nie miała jednak powodu, by czuć się winną. Czy mężczyzna na jej miejscu byłby tak wielkoduszny wobec kobiety? Pewnie, że nie! I też nie czułby się winny. Karla wyleciała z Londynu do Nowego Jorku trzy dni temu. Rozmawiały przez telefon blisko godzinę. Zinaida była pod opieką panny Roberts i Karla cieszyła się, że wraca do Nowego Jorku i zobaczy Dee.

— Dee, proszę cię, wracaj jak najszybciej — mówiła niskim głosem. Już na samo jej wspomnienie Dee omdlewała ze szczęścia. Zamknęła oczy, odchyliła głowę do tyłu, na oparcie fotela, i przywołała w myśli obraz Karli. Karla należała teraz do niej. Naprawdę należała do niej. Samolot nagle się przechylił, lecz Dee nadal siedziała z zamkniętymi oczami. Szampan ?i??? wylał się i Jean-Paul pospieszył, by go zetrzeć. Mikę wytarł aktówkę, którą trzymał przy sobie — był w niej kontrakt na rozpowszechnienie filmu i sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów w gotówce. Wystarczy na otwarcie biura i uruchomienie reklamy. Jean-Paul napełnił ponownie kieliszek ?i???, choć ten dał znak, że nie chce. Zabrał chłopcu butelkę i nalał szampana Dee.

— I jeszcze dla ciebie, Jean-Paul, jest po temu wspaniała okazja: to twoja pierwsza podróż do Ameryki. Od tej chwili, gdy spotka cię w życiu coś szczególnego, kup butelkę i zrób z tego rytuał — rytuał szczęśliwego trafu.

Chłopak patrzył uważnie, jak Mikę napełnia mu kieliszek. Kolejny przechył samolotu sprawił, że część trunku wylała się na jego nowe ciemne spodnie. Mikę wybuchnął śmiechem.

— To na szczęście, Jean-Paul.

Samolot ponownie się przechylił, opadł jakieś pięćdziesiąt stóp, zaczęło nim rzucać. Oczy chłopca stały się szkliste ze strachu. Mikę uśmiechnął się do niego.

— Przypnij się pasami, chłopcze. Wygląda na to, że trafiliśmy na kiepską pogodę.

Potem odchylił się do tyłu i zamknął oczy. Samolot podskakiwał i jeszcze

raz pochylił się na bok. Mike myślał o January, gdy nagle usłyszał, że silnik odrzutowca pracuje nierówno, jakby ktoś bezskutecznie usiłował uruchomić motocykl. Wyprostował się i nasłuchiwał czujnie, Dee spojrzała na niego pytająco. Odpiął pasy i przeszedł do kabiny pilota. Obaj piloci walczyli zaciekle ze sterami, z jednego silnika dobywał się dym — samolot zaczął tańczyć jak oszalały.

— Wyłącz silnik! — zawołał ochryple Mike.

— Nie mogę! — odkrzyknął pilot. — Jest zablokowany. Nadaj SOS — rzucił koledze. — Niech pan wraca na miejsce, panie Wayne. Czeka nas chyba awaryjne lądowanie.

Mike wrócił na miejsce. Dee patrzyła na niego lękliwie. Młody Francuz wyjął różaniec, twarz miał poszarzałą i spoglądał na "i???" z nadzieją w oczach.

Mike spróbował się uśmiechnąć.

— Wszystko w porządku... Mamy pewien kłopot z silnikiem, musimy lądować, by go naprawić. Tylko spokojnie.

W tym momencie usłyszeli głos pilota.

— Proszę państwa, czeka nas awaryjne lądowanie. Proszę odpiąć pasy, zdjąć buty i uklęknąć na podłodze. Jeżeli macie państwo okulary, proszę je zdjąć i schować głowy między rękami.

Jean-Paul zaczął szlochać.

— Nigdy nie zobaczę Ameryki, wszyscy zginiemy.

Dee milczała, twarz miała napiętą i bladą. O Boże, o takich rzeczach czyta się w gazetach, że zdarzają się innym. To nie może przytrafić się właśnie jej... nie teraz... właśnie teraz, gdy znalazła sobie cel w życiu... Och, nie teraz!

Mike klęknął przyciskając do piersi aktówkę. Następnie pochylił się i podniósł z podłogi butelkę szampana, przyłożył ją do ust i pociągnął duży łyk. Teraz była prawdziwa okazja... cholerna okazja. Zanim samolot eksplodował w powietrzu, pomyślał o January. Nigdy nie zdoła jej przeprosić i powiedzieć, jak bardzo ją kocha. W chwili wybuchu ostatnie, co mu przyszło do głowy, to zakodowany rachunek bankowy w Szwajcarii i że szczęście nie mogło wybrać lepszego miejsca, by go opuścić.

January zamknęła oczy, gdy boeing 747 zaczął schodzić do lądowania na lotnisku Kennedy'ego. Nie mogła znieść widoku Nowego Jorku wiedząc, że Mike nie będzie na nią czekał, że już nigdy nie będzie na nią czekał na żadnym lotnisku.

W niecałą godzinę po tym, jak jego samolot eksplodował nad Atlantykiem, wieść natychmiast nadano w nowojorskiej telewizji, przerywając audycje. Na szczęście George Milford skontaktował się z nią w hotelu Beverly Hills, zanim dowiedziała się o tym z telewizji.

Wszystko było takie nierealne! Gdy odłożyła słuchawkę, słońce nadal zalewało pokój, a w sąsiednim pokoju Tom walił w maszynę do pisania. Mike nie żył... świat zaś trwał nadal.

Słuchała w milczeniu, jak George Milford opowiadał jej wszystkie szczegóły, milczała, gdy David składał jej przez telefon kondolencje. „Czy mamy przyjechać i zabrać cię stamtąd? Czy mamy załatwić formalności? Czy mamy...” W trakcie kolejnego „Czy mamy?...” odłożyła słuchawkę. Przez chwilę siedziała nieruchomo i zastanawiała się, dlaczego ptaki nadal śpiewają, czemu ona jeszcze oddycha.

Nie pamiętała, kiedy zaczęła krzyczeć. Wiedziała tylko, że zaczęła krzyczeć i nie mogła przestać... Pamiętała, iż Tom objął ją mocno i błagał, by wyjaśniła, co się stało. Nagle rozdzwoniły się we wszystkich pokojach telefony, aż w końcu Tom poprosił telefonistkę, żeby więcej nie łączyła. Z jego twarzy wyczytała, że już wie... A to cholerne słońce cały czas świeciło, ptaki się nawoływały, kierownik zaś dyrygował służbą krzątającą się wśród gości na basenie.

Pamiętała, że przyszedł uprzejmy lekarz nazwiskiem Cutler i dał jej zastrzyk. Był to zupełnie inny zastrzyk niż te, które dawał jej doktor Alpert. Ten był łagodny, kojący, sprawił, że wreszcie przestała krzyczeć, że wszystko wokół się uspokoiło — nawet słońce przybladło. Czuła się, jakby szybowała w powietrzu, a ptaki śpiewały gdzieś w dali. Potem pogrążyła się we śnie.

Kiedy się obudziła, pomyślała, że to wszystko jej się chyba tylko śniło, że był to zwariowany koszmar. Jednakże Tom nie siedział nad maszyną do pisania, lecz na brzegu łóżka, a gdy spytała, czy to był sen, odwrócił głowę.

Przez całą noc tulił ją mocno w ramionach. Nie płakała, bała się, że gdy raz zacznie, może już nigdy nie przestać. Zamknięcie tego w sobie równało się z nieprzyjmowaniem do wiadomości, że to wszystko naprawdę się zdarzyło.

Tom wyłączył w końcu wszystkie telefony. Lindzie udało się połączyć i ofiarowała się, że przyjedzie i zabierze January do domu, to samo proponowali i George, i David Milford, January jednak nie chciała, by ktokolwiek po nią przyjeżdżał. Tom zajął się wszystkim i zarezerwował jej miejsce w samolocie TWA na następny dzień w południe, po czym wysłał

do George'a i Davida telegram z informacją o dacie i godzinie przylotu. Odwiózł ją na lotnisko i postarał się, by mu pozwolono odprowadzić ją do samolotu przed pozostałymi pasażerami. Usiadła na samym przodzie w wielkim pustym samolocie i nagle wpadła w panikę.

— Wracaj ze mną, Tom, sama tego nie zniosę.

— Nie będziesz sama — powiedział łagodnie — zawsze jestem przy tobie, pamiętaj o tym przez cały czas, a na lotnisku będą już na ciebie czekać George i David Milford.

— Och, Tom, nie chcę, żeby tak było. Tom spróbował się uśmiechnąć.

— Nie zawsze jest tak, jak chcemy, ale tak, jak być musi. Nie zapominaj, że jestem żonaty, a David i jego ojciec wierzą, że tylko pisałaś o mnie artykuł. Nie zależy mi na tym, co oni sobie pomyślą, lecz martwię się o ciebie, w końcu na lotnisku będą czekali reporterzy.

— Reporterzy? — spojrzała na niego oszołomiona.

— No cóż, twój ojciec był kiedyś cholernie barwnym facetem, a Dee Milford Granger jedną z najbogatszych kobiet świata. To są nowinki, a publiczność jest chorobliwie ciekawa...

— Tom — wyciągnęła rękę i chwyciła jego dłonie — proszę, pojedź ze mną.

— Chciałbym, kochanie, ale w niczym nie będę mógł ci pomóc.

Musiałbym schować się w hotelu, kiedy ty będziesz załatwiać wszystkie formalności. Tylko tego potrzeba dziennikarzom, aby akurat wtedy był przy tobie żonaty kochanek. Poza tym jestem bardzo spóźniony w pracy i wytwórnia już siedzi mi na karku. Wygląda na to, że byłem sumienniejszym kochankiem niż pisarzem.

Przytuliła się do niego, Tom zaś obiecał, że będzie przy niej myślami i będzie czekał.

— Załatwiał swoje sprawy i dzwoń do mnie, o każdej porze... Dzwonь ciągle, kiedy tylko będziesz mnie potrzebowała. Będę tutaj.

Samolot kołował nad lotniskiem czekając na pozwolenie lądowania.

January otworzyła torebkę, wyjęła wycinek z „Variety” i jeszcze raz przeczytała. Po raz kolejny zadała sobie to samo pytanie: dlaczego przysłał jej to bez jednego słowa? Czy dlatego, że nadal się gniewał? Gdyby tak było, to w ogóle by jej tego nie wysłał. Na pewno w ten sposób dawał do zrozumienia, że wszystko jest w porządku. To musiało znaczyć właśnie to! O Boże... musiało!...

Samolot dotknął pasa startowego, łagodnie lądując. Pasażerowie odpinali pasy, w głośnikach rozległy się przyciszone dźwięki muzycznej papki.

Wszyscy wstawali, chociaż stewardesa prosiła, by nie opuszczano miejsc,

aż maszyna nie skończy kołować. Każdy brał bagaż podręczny, gdzieś z tyłu płakało dziecko. Podjechał trap, stewardesy stały już przy otwartych drzwiach, zegnały wszystkich z serdecznym uśmiechem, dziękując za lot liniami TWA. January szła do wyjścia tak samo jak inni pasażerowie. To niesamowite, nastąpił koniec świata, ona zaś nadal istniała, wykonywała zwykłe czynności, na przykład przez cztery i pół godziny siedziała w samolocie, podłubała nawet w jedzeniu, a teraz schodziła po trapie jak inni. Spozstrzegła fotografów, ale nie przyszło jej do głowy, że czekają właśnie na nią, dopóki nie zaświecono jej fleszami w twarz. Otoczyli ją ciasnym kręgiem i dopiero David z ojcem, przepchnąwszy się przez tłum, zaprowadzili January do osobnego pomieszczenia na lotnisku, podczas gdy szofer odbierał jej bagaż.

Potem jechali do miasta tą samą drogą, którą niegdyś jeździła z Mikiem. Ta sama droga, te same pozostałości Targów Światowych. Wszystko było jak dawniej... tylko Mikę odszedł.

— ...dlatego myślimy, że tak będzie dla ciebie najlepiej — kończył George Milford.

— Najlepiej? Co będzie najlepiej? — spojrzała na obu mężczyzn. Głos Davida był łagodny.

— Najlepiej będzie, jeżeli zatrzymasz się w hotelu Pierre. Trochę potrwa, zanim testament zostanie uwierzytelniony. W końcu Pałac Zimowy, posiadłość w Marbelli i apartament w hotelu Pierre zostaną sprzedane, pieniądze zaś przekazane na fundację, lecz dopóki to nie nastąpi, jesteś wszędzie mile widziana. W hotelu Pierre będzie ci wygodnie.

— Nie... mam własne mieszkanie.

— Ale w hotelu będziesz miała zagwarantowany spokój.

— Spokój?

— Obawiam się, że gazety będą to jeszcze przez kilka dni rozdmuchiwać

— wyjaśnił George Milford. — Wiesz, kiedy rozeszły się wieści, dziennikarze zadzwonili do mnie, pytając o majątek Dee, i niestety, wyrwało mi się całkiem nieopatrnie, że dziedziczysz dziesięć milionów.

— Dziesięć milionów? — popatrzyła na nich. — Dee zostawiła mi dziesięć milionów dolarów? Dlaczego? Prawie jej nie znałam.

George Milford uśmiechnął się.

— Bardzo kochała twojego ojca. Jestem pewien, że chciała mu zrobić przyjemność. Powiedziała mi, jak bardzo Mikę cię kochał... I właśnie dlatego powinnaś zamieszkać w hotelu Pierre. W końcu ojciec bardzo tego chciał.

— Skąd wiesz, czego chciał? — spytała. — Prawie wcale go nie znałam.

— January — pod koniec znałem go całkiem dobrze — powiedział łagodnie David. — Sporo rozmawialiśmy w Palm Beach w Wielkanoc, kiedy ty nie przyjechałaś. Powiedział mi, że ma nadzieję, że się w końcu pobierzemy... Wyjaśniłem mu, co do ciebie czuję, i radził mi poczekać, nie próbować cię ponaglać. To były jego słowa. Nigdy nie chciał cię do niczego zmuszać. Mierziła go myśl, że nigdy się o tym nie dowiesz, tak samo jak nie wspomniał ani razu, jak bardzo go rozczarowałaś, gdy wyprowadziłaś się z hotelu Pierre.

Poczuła, że łzy spływają jej po policzkach. Pokiwała głową w ciemnościach: — Dobrze, Davidzie, oczywiście, że zamieszkałam w hotelu Pierre.

Przez następne cztery dni dzięki librium i pigułkom nasennym January zachowywała się jak automat. Dzień przed wypadkiem dostała zastrzyk od doktora Alperta. Jego działanie wygasło w czasie pobytu w Nowym Jorku, a udreka psychiczna przewyższała znacznie jakiegokolwiek reakcje fizyczne. January niemalże z ulgą powitała bóle głowy, ucisk gardła oraz rwanie w kościach — rozumiała ten rodzaj bólu i wiedziała, że przejdzie, nie mogła się natomiast pogodzić z nieprawdopodobną pustką w świecie, w którym nie było „i”?

W jej pobliżu, jak najbardziej oddana pielęgniarka, stale była Sadie. Bez Dee czuła się zagubiona. Miało się wrażenie, że cały czas nasłuchiwała, czy nie dojdzie do jej uszu krótki rozkaz pani. Sadie była z Dee od trzydziestu lat i teraz potrzebowała kogoś, do kogo mogłaby „przyłgnąć”, toteż skierowała tę potrzebę na January. Przynosiła jej tace z jedzeniem, które January ledwo ruszała, odbierała telefony i wszystkich, z wyjątkiem Milfordów, trzymała od niej z daleka, stała na straży jak posepny wartownik: cicha, smętna, wyczekująca.

David usiadł obok January na mszy żałobnej za dusze Dee i „i”?. Jej twarz była bez wyrazu, tak jakby spała z otwartymi oczami. Ojciec Davida siedział po drugiej stronie z żoną, która nerwowo ściskając chusteczkę do nosa, wyglądała na nieobecną. Kościół był nabitý ludźmi, a obecność całej śmietanki towarzyskiej przyciągnęła tłumnie dziennikarzy. Towarzystwo międzynarodowe reprezentowały autentyczne koronowane głowy. Sporo przyjaciół Dee z Europy wynajęło prywatne samoloty, aby uczestniczyć w uroczystości. Wiele sław show businessu, przeczuwając, iż będzie tu telewizja, doszło nagle do wniosku, że muszą złożyć Mike'owi ostatnie uszanowanie. Największą sensację wzbudziło jednak pojawienie się Karli: gdy przybyła, tłum ciekawskich gapiów mało nie przedarł się przez kordon policji.

David nie widział Karli, słyszał tylko dobiegające z zewnątrz okrzyki wielbicieli skandujących jej imię. Wiedział, że siedzi gdzieś z tyłu, i modlił się, by jej nie zobaczyć. Po tamtej nocy, która wszystko między nimi zniszczyła, zmusił się, by wyrzucić z pamięci myśli o niej. Stosował nawet swego rodzaju autosugestię, żeby wypędzić Karłę z myśli. Ilekroć przypominał sobie jej imię, zawsze powtarzał słowo „nienawiść” — i zaraz myślał o tym, co mu się z nim kojarzyło, a więc o Hitlerze, zebrzących dzieciach, nędzy. Liczył, że z czasem co innego zaprzątnie jego umysł. Zajął się prowadzeniem nowych rachunków, wziął dodatkową pracę, dbał też o to, aby w żadnym razie nie sypiać samotnie. Spotykał się na przemian z Kim i Valerie, przepiękną Euroazjatką, a kiedy się dowiedział o katastrofie samolotu, rzucił wszystko i zajął się natychmiast January, poświęcając jej całą „troskę i uwagę”.

Od tej chwili istniała tylko January, jego smukła, blada i piękna dziewczinka. Gdy przybyli do kościoła, obkoczyli ich natrętni fotoreporterzy i wtedy spłoszona January przytuliła się do niego. Była naprawdę piękną dziewczyną; piękną, zagubioną dziewczynką — dziewczynką z dziesięcioma milionami dolarów. Wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni w rękawiczce. Podniosła głowę i David miał nadzieję, że jego leciutki uśmiech zrozumiała jako oznakę sympatii i lojalności.

Msza odprawiana była monotonnym głosem. David wiedział, że kościół jest wypełniony po brzegi, ludzie stali z tyłu w trzech rzędach, ktoś powiedział, że jest także gubernator. Gdzie mogła siedzieć Karla? Ze zdziwieniem stwierdził, że dziś — właśnie w tej chwili — po raz pierwszy pozwolił sobie na wspomnienie Karli. Usiłował ją wyrzucić z myśli, lecz nic z tego nie wyszło. W jakiś dziwny sposób w tym wypełnionym kościele czuł jej obecność. Śmieszne, ale naprawdę ją czuł. I teraz przestała nagle pomagać nawet autosugestia. Siedział bezradny, pozwoliwszy myślom wymknąć się spod kontroli. Przyjechała sama czy też był z nią Borys lub ktoś inny z grona zaufanych osób? A może miała kogoś nowego? Przestań! Myśl o January! — powiedział sobie. Myśl o Dee! Myśl o rodzinie. Był tu jako jej najbliższy krewny; najbliższy krewny nie uwzględniony w testamencie. Mój Boże, dlaczego ten samolot musiał się rozbić! Czy nie mógł się roztrzaskać później, po zmianie testamentu? Przecież chciała to zrobić. Dlaczego tak długo zwlekała i zadzwoniła do ojca dopiero w przeddzień wyjazdu staruszka do Europy? Telegrafowała również z południowej Francji z informacją, że po powrocie do kraju chce poczynić duże zmiany. Dlaczego?

Czy Dee zamierzała przywrócić go do łask? Czy chciała wydziedziczyć

January? Co tam, i tak żadne, największe nawet spekulacje nie miały znaczenia. Testament był nie do podważenia, January zaś stała się nową bogatą panną w mieście.

Usłyszał organy, po kościele rozszedł się szmer wielu głosów odmawiających „Ojcze nasz”. David schylił głowę i machinalnie wstał razem z innymi. Gdy rodzice wstali z ławki, nie prostując się ujął January pod rękę i ruszył z nią między rzędami ławek, z łagodnego półcienia kościoła zmierzając w kierunku rozwartej jamy światła dziennego, gdzie czekali już gapie i reporterzy telewizyjni.

Zobaczył ją, kiedy mijał trzeci rząd od tyłu. Na głowie miała czarny szyfonowy szal i szykowała się właśnie, by dać nura do wyjścia, lecz zanim włożyła ciemne okulary słoneczne, ich oczy spotkały się na jedną krótką chwilę. Za moment już jej nie było, torowała sobie drogę między ławkami w nadziei, że uda jej się uciec bocznym wyjściem. David trzymał January pod rękę i dalej kroczył uroczyście do limuzyny, a widząc, że są fotografowani do wiadomości o szóstej, przybrał szczególnie przygnębiony wyraz twarzy.

Odwiózł January do hotelu Pierre. Przez następne trzy godziny przez salon przewijała się lawina znanych osobistości i towarzystwo kawiarniane, rozlegał się brzęk kieliszków. Pilnowali wszystkiego pracownicy ochrony osobistej, bo składanie kondolencji przerodziło się w uroczysty koktajl. David stał przy January, dopóki nie zauważył u niej wyraźnych objawów zmęczenia. Sadie wyprowadziła ją do sypialni, co oczywiście nie przerwało spotkania, napływali bowiem nowi goście. David obserwował matkę odgrywającą rolę pani domu i uznał, że nawet staruszek świetnie się chyba bawi. Było w tym coś barbarzyńskiego. Spojrzał na błyszczące srebrne ramki na pianinie. W wielkim salonie hotelu Pierre można było spotkać wszystkie znane twarze, wszystkie z wyjątkiem jednej. Jego oczy spoczęły na zdjęciu Karli. Przyjrzał mu się z bliska — oczy patrzyły na niego z dystansem, z tym samym wyrazem osamotnienia, które widział dzisiaj.

Spostrzegł wychodzącą z sypialni Sadie. Podeszła do niego na palcach i szepnęła, że January zażyła środek uspokajający i właśnie wypoczywa. Kiedy przekonał się, że nikt na niego nie patrzy, wymknął się z apartamentu.

Dobrze wiedział, dokąd zmierza. Myślał, że już nigdy tam nie pójdzie, nigdy nie spotka się z portierem i windziarzem, teraz jednak nie miało to znaczenia. Po tym, gdy spojrział dziś w jej oczy, zrozumiał, że musi stanąć przed nimi wszystkimi — musi zobaczyć Karłę!

Niemniej odetchnął z ogromną ulgą widząc, że przed budynkiem stoi nie znany mu zupełnie portier. No tak, przecież nigdy tu nie przychodził w południe. Mężczyzna zatrzymał go i stwierdził niedbale: — Każdy gość musi być zapowiedziany.

David zawahał się na moment. Jeżeli Karła odpowie, że nie chce go przyjąć, będzie mu głupio przed tym obcym portierem.

Teraz jednak wszystko wydawało mu się mało ważne, podał więc swoje nazwisko i czekał, aż mężczyzna wejdzie ociężałym krokiem do środka i podniesie słuchawkę telefonu. Ten niezgrabny obcy człowiek w obszytym galonami uniformie miał prawo z nią rozmawiać... a jemu może nie będzie to dane. Czekał paląc papierosa; czas dłużył mu się w nieskończoność. Może nie wróciła do domu? Jeśli portier powie, że wyszła, może będzie mówił prawdę, ale David nigdy się nie dowie, czy tak było w rzeczywistości.

Portier powrócił wolnym krokiem, jakby go bolały podbicia stóp. David zgasił papierosa.

— Apartament piętnaście A — powiedział — winda naprzeciw wejścia. Przez chwilę stał jak wryty, a potem ruszył wielkimi krokami przez hol. Nie czas był na nerwy, wdzięczny był windziarzowi, że już czekał. Gdy wysiadł z windy, Karła stała w otwartych drzwiach swego mieszkania.

— Wejdz — powiedziała cicho.

Wszedł za nią do środka. Światło słoneczne nadawało ciemnej East River żółtoszary odcień. Spostrzegł holownik, który sunął powoli naprzód, zostawiając za sobą niewielkie fale.

— Nie wiedziałem, że masz taki widok z okna — stwierdził.

— To chyba dlatego, że zawsze bywałeś tu wieczorem — odparła łagodnie Karła.

— A może po prostu nigdy nie patrzyłem.

Milczeli przez chwilę, wreszcie David powiedział; — Karlo... nie mogę żyć bez ciebie.

Usiadła i zapaliła angielskiego papierosa, a po chwili, jakby po namyśle, wyciągnęła do niego paczkę. Odmówił i usiadł obok niej.

— Nie wierzysz mi, prawda? Pokiwała powoli głową.

— Wierzę, że tak myślisz... teraz.

— Karlo, przepraszam cię za ten wieczór — powiedział sztywno i nagle zaczął z siebie wszystko wyrzucać. — O Boże, musiałem chyba oszaleć.

Nie usprawiedliwia mnie nawet to, że byłem pijany, bo upiłem się specjalnie. Chciałem dodać sobie odwagi, by tu przyjść i zrobić tę scenę.

— Spojrzał na swe ręce. — Po prostu czułem, że mnie to wszystko osacza,

ten ciągły brak czasu, zastanawianie się, jak długo możemy być razem, kiedy znowu mnie nagle opuścisz. Pozbierałem się dopiero dzisiaj, jak cię zobaczyłem i pojąłem, o co chodzi. Ja cię kocham, Karlo, i chcę być z tobą... oficjalnie. Chcę się z tobą ożenić, jeśli mi nie odmówisz, albo nadal będziemy kochankami, jeżeli tak będziesz chciała. Całe życie martwiłem się, czy odziedziczę pieniądze Dee, a teraz wygląda na to, że resztę życia spędzę próbując zdobyć pieniądze January. To właśnie zamierzałem, dopóki nie zobaczyłem cię dziś w kościele, bo sądziłem, że nie mam nic lepszego do roboty. Ale kiedy cię znowu zobaczyłem...

Karla zakryła mu ręką usta.

— Davidzie, cieszę się, że znowu cię widzę, i przepraszam za tamten wieczór.

Ujął jej dłonie i przycisnął do ust.

— Nie, to ja przepraszam, wcale nie myślałem tego, co wówczas nagadałem. Ja... — poczuł, że się czerwieni — ani trochę nie wierzę w to, co mówiłem o Heidi Lanz. Wcale nie myślałem, że jest u ciebie.

— To wszystko nieważne — powiedziała Karla. — Heidi... — uśmiechnęła się. — Poznałam ją dawno temu, gdy przyjechałam po raz pierwszy do Ameryki. Nie widziałam jej od wieków, oczywiście nie licząc starych filmów w telewizji.

— No tak, ale ja ją widziałem tego dnia w klubie „21” i przyszło mi do głowy...

Karla znowu położyła mu palce na ustach i uśmiechnęła się do niego.

— Proszę cię, Davidzie, to wszystko nie ma znaczenia, Heidi czy...

— Masz rację — przyznał — nic się nie liczy z wyjątkiem nas. Karla wstała i przeszła się po pokoju. Uśmiechała się, lecz w oczach miała smutek.

— Nie, Davidzie, wcale nie jesteśmy najważniejsi. Prowadziłam bardzo samolubne życie, zawsze chciałam zrobić wiele rzeczy, ale wydawało mi się, że jest jeszcze dużo czasu. Dopiero śmierć Dee nauczyła mnie, że wcale tak nie jest. Nigdy nie wiem, ile lat jeszcze przed nami. Mój stary przyjaciel, Jeremy Haskins, dobiega osiemdziesiątki i ilekroć mam wiadomość z Londynu, zawsze wstrzymuję oddech. Kto by pomyślał, że Jeremy przeżyje Dee?...

Podszedł do niej i próbował ją objąć, lecz wysunęła się z jego uścisku, wziął ją więc za ramiona i spojrzał jej w oczy.

— Karlo, właśnie dlatego jestem tutaj. Właśnie dlatego. Kiedyś mówiliśmy o dzielącej nas różnicy wieku, teraz to wszystko wydaje się takie głupie. Liczy się tylko to, by być razem, aby należeć do siebie.

— Nie, nie to jest najważniejsze. — Odwróciła się i wskazała mu miejsce na kanapie. — Usiądź, chcę, żebyś mnie wysłuchał. Tak, było nam razem bardzo dobrze, ale to już przeszłość. Teraz chcę ci powiedzieć, co naprawdę się liczy. Opowiem ci o dziewczynie, która ma na imię Zinaida... David zgniótł pustą paczkę po papierosach i patrzył na Karłę stojącą przy kominku. Parę razy czuł łzy napływające do oczu, gdy opowiadała o trudzie włożonym w wychowywanie dziecka. Spokój, z jakim mówiła o zgwałceniu zakonnicy w klasztorze, przydawał całej opowieści jeszcze większej grozy. Skończyła i dodała: — Sam widzisz, jak niewielkie znaczenie ma to, co jest między nami. Do tej pory pozwalałam się nieść życiu, pozwalałam, by inni opiekowali się Zinaidą, lecz teraz wszystko się zmieni.

— Czy Dee wiedziała o twoim dziecku? — spytał David.

Po krótkim wahaniu Karla zdobyła się na uśmiech: — Oczywiście że nie, a dlaczego miałyby wiedzieć. Przecież nie byliśmy sobie takie bliskie, wypełniałam tylko jedną z wielu srebrnych ramek na jej pianinie.

— Gdyby wiedziała, może by ci coś zapisała w testamencie.

Karla wzruszyła ramionami.

— Nie brakuje mi pieniędzy, muszę tylko zmienić styl życia. Muszę wystawić to mieszkanie na sprzedaż, co da mi niezłą sumkę. Jest taka piękna grecka wyspa Patmos, bardzo spokojne miejsce, rzadko odwiedzane przez turystów. Zamierzam kupić tam dom i zamieszkać w nim z Zinaidą i Harringtonami.

— Przywieź ją tutaj — poprosił błagalnym tonem David — możemy mieszkać wszyscy razem.

— Och, Davidzie, nic nie rozumiesz. Zinaida jest bardzo piękna, ale to dziecko gotowe skakać po ulicach lub wybuchnąć płaczem u Schwarza, gdybyś nie chciał jej kupić wszystkich zabawek, na jakie by miała ochotę. To tylko dziecko, trzydziestegoletnie dziecko, a ja nie jestem tak zupełnie prywatną osobą i dobrze wiesz, jak muszę walczyć, by zachować prawo do prywatnego życia. Nie będzie fair wobec Zinaidy, jeżeli wydam ją na łup fotografów, którzy będą ją wszędzie ścigać. Jej życie stanie się farsą. Natomiast na Patmos... tam możemy pływać, chodzić na spacer, bawić się razem. Nikt mnie tam nie zna i dlatego będziemy naprawdę same. Jeremy już wysłał człowieka, żeby wszystko załatwił, a jutro jadę wybrać dom.

— Karlo, wyjdź za mnie! Proszę! Masz dość pieniędzy, by utrzymać Zinaidę, ja zarabiam wystarczająco dużo na nas dwoje, możemy więc żyć i...

Pogłaskała go delikatnie po twarzy.

— Tak, jestem pewna, że tak, i spędzilibyśmy razem cudowny rok.

— Lata — poprawił David.

— Nie, Davidzie, najwyżej rok. Potem dowiedziałbyś się, że twoja uroczą January wyszła za męża, i zacząłbyś myśleć o jej dziesięciu milionach dolarów i o tym, jak mógłbyś żyć... Nie, Davidzie, to by nie trwało długo. Moje miejsce jest przy Zinaidzie, muszę ją nauczyć wielu rzeczy, przede wszystkim tego, że jestem jej matką, bo czuje się bardzo zagubiona. Natomiast twoje miejsce jest przy January; widziałam ją dzisiaj — ona też jest zagubiona i z pewnością cię potrzebuje.

— Ale ja nie mogę się obejść bez ciebie — powiedział. Wyciągnęła do niego ręce i przez chwilę stali przytuleni. David okrył całą jej twarz pocałunkami, lecz Karła zaraz odsunęła się od niego.

— Nie, Davidzie...

— Karlo — powiedział błagalnie — skoro mnie odrzucasz, pozwól mi dziś zostać po raz ostatni...

Pokręciła głową.

— Byłoby nam obojgu jeszcze ciężiej. Do widzenia, Davidzie.

— Znowu mnie odprawiasz? — spytał.

— Tak, ale tym razem z miłości.

Kiedy David ruszył do drzwi, Karła rzuciła się nagle za nim i objęła go mocno.

— Och, Davidzie, bądź szczęśliwy, proszę, przez wzgląd na mnie... bądź szczęśliwy.

Poczuł, że łzy płyną po jej twarzy, nie odwrócił się jednak i nie spojrzął za siebie, gdy wychodził, ponieważ zdawał sobie sprawę, że jego oczy też są pełne łez.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

January była zbyt otepiała, aby cokolwiek pamiętać z całej mszy.

Wiedziała tylko, że stał koło niej David, a cała impreza sprawiała wrażenie niemej kroniki filmowej. Doktor Clifford, lekarz domowy pani Milford,

dał jej środki uspokajające i January wzięła potrójną dawkę. Miała świadomość, że kościół jest wypełniony ludźmi, i cały czas powtarzała sobie w myśli: „Mike byłby zadowolony, że może grać przy nabitej sali.” Czuła się jednak dziwnie oddalona od kamer telewizyjnych, fleszy aparatów, które świeciły jej prosto w twarz, gdy wychodziła z kościoła, od cizby gapiów wykrzykujących jej imię.

Zdziwiły ją tłumy w apartamencie w hotelu Pierre i była zaskoczona tym, że powinna tych ludzi witać jak zaproszonych gości. Gdy już miała dosyć, wymknęła się do sypialni i zażyła jeszcze kilka tabletek na uspokojenie.

Następne dni przeżyła jak w transie — poważne rozmowy, podpisywanie dokumentów w biurze George'a Milforda i David, który zawsze był obok. Dee zostawiła jej dziesięć milionów dolarów! Kwota była zbyt wielka, by wzbudzić w niej konkretne emocje. Czy może przywrócić do życia? Czy może cofnąć ten wieczór w bungalowu numer pięć?

Każdy dzień jakoś wreszcie się kończył. David zabierał ją co wieczór do domu rodziców na obiad i udawało jej się nawet wdać w coś na kształt rozmowy z Margaret Milford, która starała się z tremą uprzedzić każde jej życzenie. Przez cały czas January nie bez powodu była wdzięczna Davidowi. Niekiedy, otoczona samymi obcymi twarzami, wciąż napastowana przez wszędobylskich dziennikarzy, miała wrażenie, że za chwilę utonie. Wówczas mogła zawsze przyłgnąć do Davida, odprężyć się na widok znajomej twarzy. No i miała też Sadie, wiernie czekającą na jej powrót do hotelu. January spała teraz w głównej sypialni po tej stronie łóżka, którą, jak twierdziła Sadie, zajmował Mike. Tego Sadie była pewna, przynosiła bowiem Dee poranną kawę do łóżka.

Sadie wydzielała jej także codzienną porcję tabletek nasennych przepisanych przez doktora Clifforda. January dostawała dwa seconale ze szklanką ciepłego mleka. Pod koniec tygodnia przekonała się, że jeśli doda Jacka Daniela do mleka, to śpi bez przerwy. Przechodząc przez to wszystko dzwoniła stale do Toma. Nigdy nie wiedziała, kiedy ostatnio do niego telefonowała ani jak często to robiła. Dzwoniła, jak tylko się obudziła, bez względu na to, czy było rano, czy środek nocy. Gdy tylko poczuła się samotna, podnosiła słuchawkę i łączyła się z Tomem, a on zawsze ją pocieszał, choć czasami sprawiał wrażenie znękanego lub zaspanego. Parę razy zwrócił jej delikatnie uwagę, by nie piła.

Największą przyjemność sprawiało jej spanie, a to z powodu snu, który nawiedzał ją co noc. Niewyraźny obraz pięknego mężczyzny o zielononiebieskich oczach, który po raz pierwszy przyśnił jej się dawno

temu, kiedy poznała Toma. Wówczas sen był niepokojący, ponieważ mężczyzna przypominał jej w jakiś sposób ?i???. Gdy zostali z Tomem kochankami, zapomniała o śnie, a kiedy brała zastrzyki doktora Alperta nigdy nie miała żadnych marzeń sennych, bo w ogóle nie zapadała w głęboki sen. Powrócił, gdy po raz pierwszy wzięła seconal z mlekiem, do którego dołała Jacka Daniela. Był to bardzo dziwny sen. Trzymał ją w ramionach Mike i mówił, że żyje, że to wszystko pomyłka, że rozbił się zupełnie inny samolot, a jemu nic się nie stało. Nagle wypuszczał ją z objęć i patrzyła, jak spada do oceanu... coraz niżej... niżej... niżej... Próbowała polecieć za nim, lecz wtedy chwycił ją para silnych ramion. To był Tom. Trzymał ją mówiąc, że nigdy jej nie opuści, gdy zaś przytuliła się do niego wyznając, jak bardzo go potrzebuje, spostrzegła, że to wcale nie Tom, że jest tylko do niego podobny, przypomina również ?i???, choć ma inne oczy — najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziała. Nawet po przebudzeniu nadal widziała te oczy...

Poprosiła doktora Clifforda o następną dawkę środków nasennych, ale poradził jej, by spróbowała spać bez nich.

— Gdyby pani była wdową lub staruszką i została zupełnie sama na świecie, dawałbym pani dłużej środki nasenne, aby pomogły znieść samotność, lecz jest pani piękną młodą dziewczyną, ma pani narzeczonego, który jest w pani zakochany, i dlatego trzeba wreszcie zacząć normalnie egzystować.

Spędziła bezseną noc. Kiedy rozboleła ją głowa i opuchło jej gardło, wstała i w rozpacz ruszyła po aspirynę do apteczki Dee, gdzie natrafiła na żyłę złota — jedną buteleczka za drugą z pigułkami nasennymi. Na żadnej nie zauważyła etykiетки doktora Clifforda, najwyraźniej Dee miała własnego „lekarza od pigułek”. Były tam pastylki odchudzające (poznała je, gdyż Linda czasami takie zażywała), dwie buteleczki z żółtymi pigułkami nasennymi, trzy słoiczki seconalu, jeden tuinalu i kilka pudełeczek francuskich czopków. Zabrała je wszystkie z apteczki i schowała.

Teraz sen wracał do niej co noc, czasami tylko same oczy. Zdawało się, że próbują ją pocieszyć, natchnąć nadzieją, powiedzieć, że czeka na nią wspaniały świat... Po przebudzeniu jednak czekała na nią samotność ciemnego pokoju i pustego łóżka. W takich chwilach dzwoniła do Toma i rozmawiała z nim, dopóki język nie zaczynał jej się plątać i nie zapadła znowu w sen.

Gdzieś w połowie trzeciego tygodnia pigułki przestały działać. Zasypiała natychmiast, lecz budziła się po kilku godzinach. Pewnej nocy

uświadomiła sobie, że nie miała swego marzenia sennego, a sen, w który zapadła, był po prostu kilkugodzinną nicością. Poszła do szafki, w której trzymała pigułki, i zażyła jeszcze jeden seconal z jedną żółtą tabletką. Choć czuła się pijana, nadal nie mogła usnąć. Zatelefonowała do Toma. Odpowiedział dopiero po kilku dzwonekach i sprawiał wrażenie podpitego.

— January, na miłość Boską... jest druga nad ranem.

— No cóż, przynajmniej nie oderwałam cię od pisania.

— Ale mnie obudziłaś. Kochanie, jestem okropnie spóźniony, wytwórnia siedzi mi już na karku, muszę to wreszcie skończyć.

— Tom, za kilka dni załatwię wszystkie sprawy i wracam.

W słuchawce zapadła na chwilę cisza, a potem Tom powiedział: — Wiesz co? myślę, że najlepiej będzie, jeżeli poczekaś.

— Na co?

— Aż skończę scenariusz. Jeżeli tu przyjedziesz, nie będziesz mogła ze mną mieszkać.

— Dlaczego?

— Na litość Boską, nie czytasz gazet?

— Nie.

— Stale o tobie piszą. Te dziesięć milionów zrobiło z ciebie nagle sławę.

— Mówisz zupełnie jak Linda. Ona... ona zawsze mówi, że ja jestem... — urwała, gdyż język zaczął jej się plątać i nie mogła sobie przypomnieć, co chciała powiedzieć.

— January, brałaś coś?

— Tabletki nasenne.

— Ile?

— Tylko dwie.

— No dobrze, idź spać. Niedługo skończę ten scenariusz i wszystko omówimy.

Usnęła ze słuchawką w ręku. Kiedy Sadie obudziła ją następnego dnia w południe, nie mogła sobie niczego przypomnieć z ich rozmowy, wiedziała jedynie, że coś poszło nie całkiem tak.

Parę dni później zaprosiła do siebie na obiad Lindę. Jedzenie było znakomite, Sadie schłodziła butelkę najlepszego wina Dee, lecz brakowało czegoś z ich dawnej zażyłości. Linda zapuściła włosy poniżej ramion, dłubała bez apetytu w jedzeniu, a trykot, który miała pod ubraniem, sprawiał, iż wyglądała szczuplej niż zwykle.

— Chcę być kościsto chuda — powiedziała — to mój nowy image. Jak ci się podobają moje okulary?

— Wspaniale, choć nie wiedziałam, że są ci potrzebne.

— Zawsze nosiłam szkła kontaktowe, ale w tej chwili bardziej się sobie podobam właśnie tak. Spotykam się teraz z Benjaminem Jamesem... — Zawiesiła głos czekając na reakcję January, a gdy nie było żadnej, dodała: — Posłuchaj, moja droga, daleko mu do Toma Colta, ale otrzymał wiele nagród, choć nie tak prestiżowych. Panuje opinia, że jest zbyt ambitny literacko, aby mu się powiodło. Ostatni wybór jego wierszy sprzedał się w nakładzie zaledwie dziewięciuset egzemplarzy, za to pewna grupa awangardowa uważa go za geniusza, a co najważniejsze, jest dla mnie bardzo dobry.

— Lindo, nie chcesz mieć kogoś na stałe?

— Już nie. Kiedy zobaczyłam twoje zdjęcia w gazetach... — przerwała i rozejrzała się po pokoju. — Gdy widzę, jak tu jest urządzone, to wszystko jedynie potwierdza mój pogląd, że są tylko dwa sposoby na powodzenie: pieniądze lub sława. Jeśli posiadasz choć jedną z tych rzeczy, możesz mieć każdego mężczyznę, którego zapragniesz. Kiedy zdobędę sławę, nie będzie mi potrzebny żaden mężczyzna na stałe.

— Dlaczego?

— Bo jak osiągnę sukces, w moim układzie będzie miejsce tylko dla jednej gwiazdy: dla mnie. Zanim to nastąpi, muszę mieć Benjamina, który jest w stanie mi pomóc, ale potem niczego nie będę potrzebować od żadnego faceta. Nie chcę być częścią mężczyzny, zamierzam być po prostu Lindą Riggs. Benjaminowi piorę skarpetki i gotuję, ponieważ jest inteligentny i zna mnóstwo ustosunkowanych osób. Potrzebuję go teraz, do wyborów, bo we wrześniu zaczynam pracować dla mojego kandydata i wtedy dam z siebie wszystko.

— Dla kogo? *

— Dla Muskiego. Benjamin mówi, że Muskie nie może przegrać.

— Po chwili namysłu spytała. — A teraz powiedz, jak jest z tobą i Tomem Coltem?

— Kończy zarys scenariusza.

— Jeśli dobrze zrozumiałam, wracasz potem do niego.

— Nie.

— Nie mów mi, że wszystko skończone! Chociaż, w zasadzie, cóż ci teraz po nim.

— Nie skończyliśmy ze sobą i potrzebuję go bardziej niż kiedykolwiek — odparła January — ale ten rozgłos wokół mojej osoby... cóż, Tom sądzi, że stałam się za bardzo znana, aby... no... wrócić tam i mieszkać z nim.

— No to wynajmij wielki dom, rezydencję. Mój Boże, możesz teraz robić, co ci się żywnie podoba: zatrudnić rzecznika prasowego, bywać na

wszystkich ważnych przyjęciach, sama je wydawać... Masz dziesięć milionów dolarów, więc może Tom okaże się bardziej elastyczny, jeśli chodzi o rozwód.

— Rozwód?

— Posłuchaj, January, powiedzmy sobie wprost: jesteś typowym kobieciątkiem, potrzebujesz mężczyzny i podświadomie chcesz, żeby ten związek był legalny. Próbujesz to pragnienie pogodzić z życiem na kocią łapę, ale nie czujesz się z tym dobrze. Mówiłaś mi kiedyś, że Tom pisze scenariusz, żeby mieć pewność zysku i móc zapłacić za mieszkanie, a więc dla pieniędzy. No cóż, teraz nie musi już się martwić o to, ponieważ ty możesz mu kupić mieszkanie. A jeżeli chcesz być naprawdę wspaniałomyślna wobec jego żony, to jesteś w stanie zapłacić jej tak wielkie odstępne, że poda ci go razem z dzieckiem na srebrnym półmisku. A skoro Tom ma taki kaprys, że chce odgrywać rolę tatusia, możesz mu przecież zaproponować, że sama urodzisz dziecko. Chodzi mi o to, że należysz do tych kobiet, którym właśnie tego potrzeba, nie?

— Chcę wyjść za mąż, tak, naprawdę chcę. Mogę też dać Tomowi dziecko... pewnie, że mogę, czemu nie? Masz rację, Lindo, porozmawiam z nim o tym dziś wieczorem.

Linda sięgnęła po torebkę i spojrzała na zdjęcie stojące na pianinie.

— Czy Dee naprawdę знаła tych wszystkich ludzi?

— Tak.

— No widzisz, jest właśnie tak, jak powiedziałam: gdy masz pieniądze lub sławę, możesz zdobyć cały świat.

January uśmiechnęła się.

— Nie chcę całego świata. Chcę tylko wiedzieć, że mam po co rano wstawać z łóżka.

Myślała o tym po wyjściu Lindy. Nie spała dobrze ubiegłej nocy, gdyż czekała na swój sen, lecz nie przyszedł. Obudziła się z uczuciem kompletnego osamotnienia, tak jakby ktoś ją odrzucił. Ostatnio sny miała bardziej realne niż myśli na jawie. Piękny nieznajomy o niebieskich oczach był serdeczny i współczujący. Nie mogła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek rozmawiali, dotykali się, wiedziała jedynie, że zjawi się, gdy tylko ona uśnie. Później przyłapała się na tym, że kładzie się po południu i próbuje uciec w sen. Doktor Clifford miał jednak rację: musi spojrzeć w oczy rzeczywistości. Tom istnieje naprawdę, pracuje w bungalowie numer pięć, pisze scenariusz, aby zapłacić za ich mieszkanie, a ona powinna je właśnie meblować, robić coś. Tak, miała po co wstawać rano z łóżka.

Podniosła słuchawkę i zaczęła wykręcać numer, ale przypomniała sobie o

różnicy czasu. Była jedenasta, zatem ósma w Los Angeles, i Tom szykował się właśnie do wieczornej pracy. Zawsze pisał między ósmą a jedenastą, co znaczyło, że January musiała trzy godziny odczekać... Próbowała oglądać telewizję, przerzucając się z kanału na kanał: najpierw Johnny, potem Merv, Dick, stary film, nic jej nie zainteresowało. Dla zabicia czasu rozebrała się i weszła do wanny, potem wyciągnęła na łóżku. Zdawała sobie sprawę, że zapadła w sen, ponieważ była świadoma tego, że śni, lecz tym razem to nie był „jej sen”, tylko jakiś koszmar. Widziała wodę i światło księżyca, później ujrzała spadający samolot, samolot ?i???. Opadał korkociągiem w dół, coraz niżej i niżej, aż zniknął w srebrnej poświacie rzucanej przez księżyc na ocean. Przeraziła się, jakby sama spadała. Naraz poczuła, że coś ją przytrzymało i jest bezpieczna. I znów zobaczyła niebieskie oczy — siedł do niej z daleka; rozpaczliwie pragnęła ujrzeć jego twarz, ale była ukryta w cieniu, mimo to January miała pewność, że jest piękna.

— Naprawdę chcesz do mnie przyjść? — szepnął.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, mężczyzna zniknął, a ona się obudziła. Ta wizja była zbyt realna. Rozejrzała się po sypialni, jakby spodziewała się, że będzie tam stał. Kimkolwiek był, uważała go za najpiękniejszego mężczyznę na świecie, choć nie widziała nigdy jego twarzy — czuła tylko, że jest piękny. Przecież to śmieszne: on nie istnieje naprawdę, stworzyła go w swoich snach. Może traci zmysły? Czy nie tak właśnie to się objawia? Ludzie zaczynają mieć wizje, słyszą głosy, których w istocie nie ma... Naprawdę się przestraszyła, bo nadal słyszała głos — w ciemnościach słyszała brzęczenie.

Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że ten głos to dzwonek telefonu, a więc bardzo konkretny dźwięk — właśnie on ją obudził. W ciemności świecąca tarcza zegara radiowego wskazywała za pięć drugą. Kto mógł do niej dzwonić o tej porze? Nikt z wyjątkiem Toma!

Chwyciła słuchawkę i usłyszała jego głos, wcale nie była zaskoczona — raczej podniecona. W tej chwili potrzebowała go bardziej niż kiedykolwiek dotąd, potrzebowała ukojenia przez mężczyznę z krwi i kości, a nie z wizji sennej.

— Och, Tom, tak się cieszę, że dzwonisz. Chciałam do ciebie zatelefonować, jak tylko skończysz dziś pracować.

— Skąd te nagłe skrupuły? — zaśmiał się Tom. January sięgnęła w ciemności po papierosa.

— Nie wiem, o co ci chodzi.

— January, przez ostatnie trzy tygodnie dzwoniłaś do mnie z

częstotliwością dwadzieścia razy dziennie między dziewiątą rano a piątą nad ranem — a teraz nagle się zreflektowałaś.

— Och, Tom, tak mi przykro, nie zdawałam sobie sprawy... Po prostu ilekroć jest mi bardzo źle lub czuję się zagubiona, wyciągam do ciebie ręce. Tom, ja już dłużej nie wytrzymam, jutro wyjeżdżam.

— Nie rób sobie kłopotu, January, wystarczy, że przejdiesz na drugą stronę ulicy.

— Nie" rozumiem.

— Jestem w hotelu Plaża. Właśnie przyjechałem.

— Tom! — usiadła na łóżku i zapaliła światło. — Och, Tom, wrzucę spodnie i zaraz tam będę.

— Spokojnie, kochanie! Jestem wykończony, a jutro o dziewiątej mam spotkanie z wydawcą.

— No to kiedy cię zobaczę? Nie mogę czekać!

— Na lunchu.

— Na lunchu? Och, Tom, po co komu lunch? Chcę być tylko z tobą, chcę...

— Kochanie, w wydawnictwie mam spotkanie z moim prawnikiem, bo musimy omówić szczegóły kontraktu na następną książkę. Będę potrzebował potem trochę wytchnienia i kilku drinków, dlatego spotkajmy się w Toots Shor's, powiedzmy, o wpół do pierwszej.

— Tom — powiedziała cicho — chcę zobaczyć się z tobą już teraz. Nie wytrzymam wiedząc, że jesteś zaledwie po drugiej stronie ulicy. Proszę, pozwól mi przyjść.

Tom westchnął.

— Czy zdajesz sobie sprawę, dziecino, że mówisz do pięćdziesięcioośmioletniego mężczyzny, który odczuwa różnicę czasu i musi się wyspać?

— Pięćdziesięciosiedmioletniego — poprawiła go.

— Pięćdziesięcioośmioletniego, niedawno miałem urodziny.

— Och, Tom, powinieneś był mi powiedzieć! Tom wybuchnął śmiechem.

— Nie jest to rzecz, którą chciałbym rozgłaszać. Do zobaczenia jutro, kochanie, o wpół do pierwszej. I na miłość Boską, January, nie przynieś mi tortu urodzinowego...

Gdy weszła do Toots Shor's, Tom stał przy barze w tłumie innych gości. Spotkał kilku starych przyjaciół i stawiał im właśnie drinki. Zobaczywszy ją, wyciągnął do niej ramiona, a ona wtuliła się w nie, podczas gdy Tom robił jej miejsce przy zatłoczonym barze. Przedstawił ją wszystkim wokół, a potem patrząc na nią, wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- No chłopaki, od tej chwili wypadam z obiegu. — Pocałował ją delikatnie w policzek i spytał: — Białe wino?
- Nie, to co ty.
- Jack Daniel dla pani, mocny, z wodą.
- Tom, wyglądasz fantastycznie, opalony i...
- Skończyłem wreszcie scenariusz, to znaczy jego szkic, i kilka ostatnich dni spędziłem na basenie u mojego producenta, a w końcu się dowiedziałem, że muszę przerobić zakończenie.
- Tom, nie możesz zmienić zakończenia.
- Jeżeli sam tego nie zrobię, to zlecą to komuś innemu.
- To znaczy, że nie masz nic do powiedzenia?
- Absolutnie nic. Od chwili kiedy wziąłem pieniądze, książka należy do nich. A skoro biorę pieniądze za scenariusz, to znaczy, że zgodziłem się napisać taki, jaki im się będzie podobał.
- Co by było, gdybyś odmówił?
- Przede wszystkim nie zapłaciliby mi, a poza tym wzięliby faceta, który zrobiłby dokładnie to, co mu każą. — Wypił do końca drinka i dodał: — Nie smuć się, to normalka; wiedziałem, w co się pakuję, gdy podpisywałem umowę, nie przypuszczałem tylko, że może to być takie bolesne.
- Skinął na kelnera, dając do zrozumienia, że chce już usiąść. January poczekała, aż zajmą miejsca przy stoliku i Tom zamówi następnego drinka, i dopiero wtedy powiedziała: — Daj sobie z tym spokój, Tom, niech zrobi to ktoś inny, nie warto tak się ranić. Tom pokiwał głową.
- Teraz nie mogę, bo w ten sposób mam nad wszystkim jakąś kontrolę. Część scenariusza jest naprawdę doskonała. Skoro już muszę pójść na kompromis, to chcę chociaż być na miejscu i pilnować przestrzegania umowy.
- Ale napisałeś tylko szkic scenariusza po to, żeby zapłacić za mieszkanie w Nowym Jorku, i...
- Zgodziłem się, bo mam udział w zyskach, pamiętasz? Jestem tam, by chronić moją książkę.
- Powiedziałaś też, że dzięki temu będziesz miał pieniądze na mieszkanie. Teraz nie musisz się martwić ani o to, ani... to znaczy... no więc...
- Tom ujął ją za rękę.
- January, zrezygnowałem z mieszkania.
- Co?!
- Posłuchaj, dużo myślałem, kiedy ciebie nie było, i dużo również

zrobiłem. Zrozumiałem, że nigdy nie będę naprawdę pisał, jeśli zostanę z tobą.

— Tom... nie mów takich rzeczy!

Kelner podał im menu i Tom zaczął je studiować. January miała ochotę krzyczeć! Jak on może patrzeć na jedzenie! Jak może myśleć o czymkolwiek, kiedy wchodzi w grę ich wspólne życie.

— Radzę ci wziąć małże — powiedział Tom — są malutkie, takie jak lubisz.

— Nic nie chcę.

— Poproszę dwa hamburgery — zwrócił się do kelnera — z gorącym sosem. Dla mnie proszę nie wysmażony. A dla ciebie, January?

— Wszystko jedno.

— Dla pani proszę tak samo.

Gdy tylko kelner odszedł, January rzuciła się do Toma.

— Tom, co chcesz przez to powiedzieć?! Oczywiście, że możesz przy mnie pisać. Pewnie trudno ci pracować, jak jesteśmy razem w bungalowie, ale gdybyśmy mieli duże mieszkanie w Nowym Jorku, wcale bym ci nie przeszkadzała, zawsze trzymałabym się na dalszym planie. Nie będę ci zawadzać, obiecuję.

Tom westchnął.

— Niestety, robisz to, kochanie. Cholernie dużo kochałem się w swoim życiu i myślałem, że zawsze będę mógł kochać się i pić, lecz z każdym rokiem praca wydaje mi się coraz trudniejsza, a miłość coraz mniej ważna. Uświadomiłem sobie właśnie, że mam pięćdziesiąt osiem lat i nie napisałem nawet połowy książek, które obiecywałem sobie napisać. Nie sądzę, abym jeszcze kiedyś pozwolił sobie na luksus miłości.

Starła się powstrzymać łzy, które cisnęły jej się do oczu i sprawiły, iż głos stał się chrapliwy.

— Tom... nie kochasz mnie już?

— Na Boga, January, jestem ci cholernie wdzięczny. Dałaś mi coś naprawdę cudownego i nigdy ci tego nie zapomnę. Posłuchaj, to, co nas łączyło, było wspaniałe, ale kiedyś i tak musiałyby się skończyć. Być może za kilka miesięcy... Dlatego lepiej zerwać już teraz.

— Tom, powiedziałeś swego czasu, że nigdy nie będziesz mógł żyć beze mnie. Czy to były tylko ciche słowa?

— Cholera! dobrze wiesz, że wtedy tak myślałem.

— Wtedy?

Pikolak podszedł do ich stolika, by nalać wody do szklanek. Czekali w milczeniu, aż odejdzie. Potem Tom pochylił się i wziął ją za rękę.

— Kochanie, kiedy to mówiłem, naprawdę tak myślałem... wtedy. Nie były to słowa, które się bełkocze leżąc z dziewczyną w łóżku, naprawdę mówiłem to, co myślę, ale wszystko się zmienia...

— Nic się nie zmieniło — powiedziała z naciskiem.

— No dobrze, powiedzmy, że to ja się zmieniłem, że ten rok, który mi przybył, przyniósł wiele zmian. Kochanie, jesteś w tym wieku, że masz przed sobą jeszcze całe życie, masz czas. Mój Boże, to wspaniałe słowo — czas. I ty go masz. Masz czas na miłość, na marzenia, zwariowane wybryki. I właśnie ja byłem jednym z nich.

— Nie!

— Może będę dla ciebie kimś naprawdę ważnym, gdy zestarzejesz się na tyle, by obejrzeć się za siebie. Możliwe, że będę wtedy dla ciebie kimś najważniejszym. Kochanie, pomyśl tylko, za trzydzieści siedem lat, w roku dwutysięcznym, będziesz miała tyle lat co ja teraz. — Przerwał i uśmiechnął się do niej. — Trudno to sobie wyobrazić, prawda? Podam ci jeszcze kilka nieprawdopodobnych przykładów: w roku dwa tysiące ósmym, jeżeli go w ogóle dożyję, będę miał dziewięćdziesiąt pięć lat. Kelner przyniósł im hamburgery. January zmusiła się do uśmiechu, gdy je podawał. Kiedy odszedł, a Tom zabrał się do jedzenia, January dotknawszy jego ręki, rzekła cicho, z pośpiechem:

— Tom, mówiłeś, że nawet gdybyśmy mieli przed sobą rok, może dwa... tyle, ile uda nam się wyrwać od życia, to i tak będzie warto.

Tom pokiwał głową.

— Tak, właśnie tak mówiłem.

— A więc spróbujmy, nie odrzucaj mnie, dopóki wszystko samo się nie skończy.

— Ale, do cholery, January, właśnie się skończyło! Czy nie widzisz, że nie można tego dłużej ciągnąć? Muszę wrócić do Los Angeles i dalej pracować, muszę napisać jeszcze więcej książek, muszę...

— Tom... — January z trudem przełykała ślinę. Starła się mówić cicho, zdawała sobie bowiem sprawę, że ludzie przy sąsiednim stoliku próbują podsłuchiwać. — Tom, proszę, zrobię wszystko, co mi każesz, tylko nie zrywaj ze mną teraz. Nie mogę żyć bez ciebie, jesteś wszystkim, co mam, i bardzo mi na tobie zależy.

Tom popatrzył na nią i uśmiechnął się smutno.

— Dwadzieścia jeden lat, wielki majątek, obdarzona urodą i zdrowiem... I ja jestem wszystkim, co masz?

— Wszystkim, czego pragnę.

Teraz jej oczy były pełne łez. Tom milczał przez chwilę, w końcu skinął

głową.

— No dobra, spróbujmy. Na pewno nie będzie łatwo, ale spróbujmy. Obiecałem ci kiedyś, że nigdy cię nie opuszczę, że dopóki ty zechcesz być ze mną, dopóty będziemy razem. I dotrzymam obietnicy.

— Och, Tom...

— A teraz zjedz hamburgera, bo musisz pędzić do domu i szybko się spakować. Jutro mam być z powrotem w Los Angeles.

Zaczęła skubać mięso, starając się porozrzucić je po talerzu. Restauracja powoli zapełniała się ludźmi, niektórzy znajomi Toma przystawali przy ich stoliku, chwalili książkę i gratulowali mu, że nadal utrzymuje się na pierwszym miejscu, pytali o film, o obsadę. Przez cały czas udawało jej się uśmiechać, gdy Tom przedstawiał ich sobie. Niekiedy ktoś robił Tomowi żartobliwe przytyki, pytając January, co widzi w takim brzydkim starcu, ona wiedziała jednak, że te żarty wynikają z niekłamanego podziwu i uwielbienia dla Toma.

Kiedy kelner podał im kawę, zostali nareszcie sami. Pierwszy odezwał się Tom.

— No cóż, jeśli sądzisz, że dasz radę, wracamy do bungalowu. January wsunęła mu rękę pod ramię.

— Czy nadal tam pada?

— Nie, w każdym razie nie padało, jak wyjeżdżałem. Znowu westchnął

— Nie jesteś zbyt zadowolony, że chcę z tobą jechać? — spytała.

— Nie o to chodzi, to ten pieprzony scenariusz.

— Nie rób go, Tom.

— Może nie słuchałaś mnie dość uważnie, kiedy ci wyjaśniałem...

— Słyszałam każde twoje słowo. Pamiętam też, że masz pięćdziesiąt osiem lat i chcesz napisać wszystkie książki, które sobie zaplanowałaś. Dlaczego więc masz się zakopać jeszcze na pół roku, by cię i masakrować własną pracą? Zaczynaj robić to, na co naprawdę masz ochotę.

— Jest jeszcze taki drobiazg jak siedemdziesiąt pięć tysięcy dolców zainwestowanych w ten film.

— Tom, dużo o nas myślałam, kiedy byliśmy z dala od siebie. Widzisz, mam dziesięć milionów dolarów. Dam twojej żonie milion w zamian za rozwód, drugi milion zapiszę jako majątek powierniczy twojemu dziecku. Uwolni cię to od poczucia winy i odpowiedzialności. Możemy być razem, wziąć ślub, mieć ze sobą dziecko, tyle dzieci, ile zechcesz... I nadal będziesz mógł pisać.

Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

— Po raz pierwszy mówisz jak prawdziwa milionerka.

— Co przez to rozumiesz?

— Wszystko i każdego można wystawić na licytację, tak? Każdy ma swoją cenę: jeden milion, dwa miliony, nieważne, czego naprawdę chce biedny sukinsyn, którego ty kupujesz — jest twój, bo stać cię, by za niego zapłacić.

— Tom, to nieprawda! Ja tylko chcę, żebyś został moim mężem, pragnę, byśmy zawsze byli razem. Mam dość pieniędzy, abyś nie musiał się zamykać z maszyną i pisać pod dyktando producenta czy reżysera, chcę, żebyś mógł pisać tak, jak sam masz ochotę, a nade wszystko pragnę, byśmy żyli razem, kochali się i byli szczęśliwi.

Tom ze smutkiem pokręcił głową.

— January, czy nie widzisz, że to bez sensu? Nie ma szans, żeby między nami było tak jak dawniej. Zjawiłaś się, kiedy akurat grzęzłem.

Potrzebowałem cię, mój Boże. Jak bardzo cię potrzebowałem! I dzięki tobie pan w średnim wieku mógł jeszcze poudawać, że jest ogierem. Będę ci za to zawsze wdzięczny. Znaleźliśmy razem we właściwym czasie coś specjalnego, dałaś mi ciepło i poczucie dumy, gdy ja się prostytuowałem w trakcie tournée po kraju. Ja z kolei zastąpiłem ci tatusia. A więc jesteśmy kwita i teraz ja wrócę do pisania, ty zaś do pieniędzy, które zdobył dla ciebie tatuś. Wracaj do życia młodej dziewczyny, ono czeka na ciebie.

— Nie! Wiem, Tom, że nie to miałeś zamiar powiedzieć. Jesteś po prostu przygnębiony. Nie chcę innego życia, chcę być tylko z tobą i...

— Ale moim życiem jest pisanie! Nie możesz tego zrozumieć? Pisanie stawiam na pierwszym miejscu, zawsze tak było.

— Dobrze, w porządku, przecież możesz pisać, możesz pisać, jje tylko zechcesz. Chcę, żebyś pisał. Kupię dom na południu FranCjj3 z dala od wszystkich. Nigdy już nie będziesz musiał robić scenariuszy} nikt więcej cię nie zmusi, żebyś pisał to, czego nie chcesz, a ja będę siedzieć cicho. Zatrudnię służbę, aby ci we wszystkim usługiwają Jeżeli lubisz pisać w Nowym Jorku, kupię ci największe mieszkanie jakie kiedykolwiek widziałeś. Ja...

— Przestań, January, mówisz do Toma Colta, nie do "i"? Wayne'a.

January przez chwilę milczała, a kiedy się odezwała, mówiła z trudem, patrząc w stół.

— Co chciałaś przez to powiedzieć?

— To, co słyszałaś. Nie jestem twoim ojcem i nie pozwolę, żeby utrzymywała mnie bogata kobieta.

Wstając, potrąciła stolik. Wiedziała, że kawa się wylała, lecz na\vet nie

spojrzała za siebie, gdy opuszczała restaurację.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

January przespała trzy dni. Sadie skrupulatnie przychodziła z tacami i próbowała przymilaniem się nakłonić ją, by coś zjadła, January jednak odprawiała ją machnięciem ręki albo mruzczała niewyraźnie, że nie czuje się dobrze. Dopiero gdy Sadie postraszyła, że zawoła doktora Clifforda, zmusiła się, by coś przełknąć, i oznajmiła, że to tylko bolesny okres.

Wyjaśnienie to uspokoiło Sadie, która przekazała z kolei Davidowi, że „panna January przechodzi właśnie trudne dni miesiąca”.

W końcu osiągnęła etap, w którym pigułki nasenne przestały ją przenosić w miękki sen bez treści. Czwartego dnia leżała w półśnie, zbyt ospała, żeby czytać, i nazbyt wypoczęta, aby spać. Wiedziała też, że następnego wieczora musi iść z Davidem na obiad do Milfordów, gdyż „trudnych dni miesiąca” nie może być więcej niż pięć.

Za każdym razem gdy sięgała po pigułkę w poszukiwaniu miękkiego stanu nieświadomości, którą zsyłała, tłumaczyła sobie, że to tylko „na teraz”, by pomogła jej uporać się z bólem zadany przez Toma. Wcale nie chciała umrzeć, po prostu nie mogła sobie poradzić z przytłaczającą depresją, w jaką popadła, kiedy uświadomiła sobie, co się wydarzyło. I Mikę, i Tom odeszli... a teraz nawet „sen” ją opuścił.

Przyłapała się na tym, że na nowo przeżywa ostatnie tygodnie spędzone z Tomem. Gdzie popełniła błąd? Co takiego zrobiła? Pamiętała szczerą w jego głosie, czułość w oczach, gdy mówił; „Już nigdy nie będę mógł żyć bez ciebie.” Jak mógł tak mówić w lutym, w czerwcu zaś stwierdzić, że wszystko między nimi skończone? Musi jednak spróbować żyć dalej.

Przypomniała sobie dni, kiedy tak ciężko walczyła, by nauczyć się chodzić, a teraz leży w łóżku i co dzień kupuje sobie po kawałeczku śmierć poprzez pigułki nasenne. Powiedziała sobie, że Bóg ją ukarze, lecz potem schowała głowę w poduszkę, wydawało jej się bowiem, iż Bóg już wystarczająco ją ukarał w ciągu dwudziestu jeden lat.

Miała zdrowie i pieniądze, tylko że dla niej były to teraz jedynie słowa...

Usłyszała, że w domu dzwoni telefon, i czekała, aż Sadie odbierze, lecz nie przestawał dzwonić, toteż w końcu sama sięgnęła po słuchawkę u siebie w tej samej chwili co Sadie. Słyszała, jak Sadie oznajmia, że panna January nie przyjmuje żadnych telefonów. Raptem rozpoznała głos i przerwała: — W porządku Sadie, odbiorę. Hugh! Gdzie jesteś?

— Leżę właśnie na wydmie, a mój prywatny telefon podłączyłem do jednej z gwiazd.

January zdołała się roześmiać, jego głos był tak rześki, tak dobry.

— Ty wariacie!... Gdzie jesteś?

— W holu twojego hotelu. Właśnie przechodziłem i pomyślałem, że może miałabyś chęć wyjść coś przekazać.

— Nie, leżę w łóżku, ale wejdź na górę.

Hugh usiadł na krześle przy łóżku. W zderzeniu z jego niebywałą energią pokój stał się nagle ciasny i duszny.

— Czy masz na coś ochotę? — spytała January. — Poproszę Sadie, żeby przygotowała ci drinka i befsztyk przy okazji. Lodówkę ma zawsze pełną.

— Nie, dziękuję. Dlaczego nie wrzucisz czegoś na siebie i nie pójdziesz ze mną na hamburgera?

Pokręciła przecząco głową i sięgnęła po papierosa.

— Nie czuję się najlepiej... Comiesięczna dolegliwość.

— Gówno prawda.

— Naprawdę, Hugh.

— Jak byłaś z Tomem, nigdy nie kładłaś się do łóżka bez względu na to, jaki był dzień miesiąca, chyba że chciałaś mu dogodzić.

Zobaczył, że się skrzywiła, lecz mówił dalej:

— Zanim Tom wyjechał na Wybrzeże, poszedłem z nim na drinka.

Opowiedział mi, co zaszło w Toots Shor's.

January w milczeniu studiowała popiół na końcu papierosa.

— January, to musiało się skończyć — powiedział cicho — i tak nic by z tego nie wyszło. Musisz zrozumieć, że dla Toma najważniejsze jest pisanie, zawsze tak było. Osobiście uważam, że on tak naprawdę nie potrafi kochać żadnej kobiety.

— Kochał mnie — stwierdziła z uporem. — On... on nawet rozdzielił mnie z ojcem.

Hugh pokiwał głową.

— Mówił mi o tym. Powiedział, że to było najgorsze, co w życiu zrobił. Żałował, że tak postąpił, jak tylko się zastanowił, ale było już za późno. Uświadomił sobie, że od tej chwili ma wobec ciebie zobowiązanie, Tom zaś nie lubi być niczym związany, oczywiście z wyjątkiem pracy. Mówił, że to ty wszystko skończyłaś, bo odeszłaś od niego.

— Nie miałam wyboru.

— W porządku, ale Tom uważa, że pozbył się kłopotu; wychodząc z restauracji zostawiłaś mu wolną rękę.

— Ależ, Hugh... Tom naprawdę mnie kocha! Wiem, że mnie kocha.

Powiedział mi, że nie może żyć beze mnie.

— Nie wątpię, że tak powiedział, i prawdopodobnie był o tym wówczas przekonany. Sam też to mówiłem kobietom i także byłem o tym w danej chwili przeświadczony. Mężczyźni zawsze traktują poważnie swe słowa w chwili, gdy je wypowiadają. Gdyby tylko kobiety zdawały sobie z tego sprawę i nie traktowały naszych deklaracji jak kontraktu na całe życie!... Posłuchaj, Tom jest pisarzem... i pijakiem. Stał się dla ciebie całym światem, ale nie mógł się na to zgodzić.

— Dlaczego mi o tym mówisz?

— Bo martwię się o ciebie, podejrzewałem, że będziesz to bardzo przeżywać. — Rozejrzył się po pokoju. — Nie spodziewałem się jednak, że zastanę cię leżącą jak trup. Chryste Panie, i jeszcze te kwiaty!... Brakuje tylko cichej muzyki organowej.

— Tom wróci do mnie — powiedziała January z uporem.

— Wszystko skończone, January. Skończone! Na zawsze! Koniec! Jestem pewny, że Tom może wróciłby do ciebie, gdybyś klęknęła i zmusiła go, by to zrobił z poczucia winy. Jeżeli chcesz, aby wrócił w ten sposób... ruszaj. Lecz jeśli to zrobisz, nie jesteś taka, jak myślałem. Otrząśnij się z tego, przecież masz wszystko, o czym może marzyć dziewczyna.

— Mam dziesięć milionów dolarów — rzekła — mieszkam w cudownym miejscu, a moja szafa jest pełna ubrań. — Łzy popłynęły jej po twarzy. — Nie pójdę przecież do łóżka z dziesięcioma milionami, nie mogę przytulić tego apartamentu.

— Nie, ale możesz udowodnić, że naprawdę kochałaś ojca.

— Udowodnić, że go kochałam?

— Tak. — Hugh przysunął się do niej blisko. — Posłuchaj, ta Dee Milford Granger była miłą kobietą, lecz z tego co wiem, Mikę Wayne zawsze sypiał z najpiękniejszymi dziewczynami. Przy nim Tom Colt jest tylko amatorem. I nagle Mikę Wayne żeni się z tą bogatą kobietą, ty zaś dziedziczysz po niej dziesięć milionów dolarów. Okay... powiedz, czy myślisz, że ci je zostawiła, bo kochała twoje wielkie brązowe oczy? January pokręciła przecząco głową.

— Nie... Nadal nie wiem, dlaczego mi je zostawiła.

— Dobry Boże! Tak bardzo jesteś zajęta leżeniem i roztkliwianiem się nad sobą, że nawet nie próbujesz zadać sobie trudu, aby wszystko przemyśleć. Moja droga, twój ojciec zarobił dla ciebie te dziesięć milionów, może pracował na nie tylko przez rok, ale jestem pewien, że to były jego najciężej zarobione pieniądze. — Patrzył, jak łzy płyną jej po twarzy. — Przestań płakać — warknął — to go nie przywróci do życia.

Wyłaż z łóżka, wyjdź z tego hotelu i zabaw się. Jeżeli tego nie zrobisz, to znaczy, że Mike Wayne zmarnował ostatni rok swego życia. Jest mu na pewno ciężiej niż tobie, gdy widzi, że tu leżysz i płaczesz za mężczyzną, który cię nie chce.

January wyciągnęła ręce i uściskała go.

— Hugh, dzisiaj jest już za późno... Przed twoim przyjściem wzięłam dwie pigułki nasenne, ale co byś powiedział na jutro? Zaprosisz mnie na obiad?

— Nie.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Chciałem cię dzisiaj gdzieś wyciągnąć, żeby powiedzieć wprost, co o tobie myślę — oświadczył — ale już ci wszystko wyjaśniłem.

— Ale to nie znaczy, że nie możemy być przyjaciółmi?

— Przyjaciółmi tak. Jestem twoim przyjacielem, lecz nie staraj się zrobić ze mnie kolejnej namiastki ojca czy Toma.

Uśmiechnęła się i powiedziała z przekorą w głosie: — Dlaczego?

Uważam, że jesteś bardzo atrakcyjnym mężczyzną.

— Jestem w doskonałej formie i w najlepszym wieku, w dodatku poznałem bardzo miłą wdowę, która ma czterdzieści jeden lat, jest bardzo ładna i gotuje mi obiady mniej więcej trzy razy w tygodniu. Czasami zabieram ją na przedstawienie do Nowego Jorku i w ogóle jestem bardzo szczęśliwy.

— Dlaczego mi to mówisz?

— Ponieważ wiem, że jesteś na głębokiej wodzie, więc chwytasz się pierwszej lepszej przepływającej koło ciebie deski... a to niedobrze. Gdybyś zapragnęła, żebym był dla ciebie czymś więcej niż przyjacielem, mógłbym zmięknąć, a to zabiłoby już na zawsze twojego staruszka. Nie przeszedł w końcu przez to wszystko po to, żebyś związała się z podstarzałym eks-astronautą.

— Myślę, że chciał, abym się związała z Davidem.

— Z Davidem?

— Te kwiaty... — wskazała róże.

— Podoba ci się?

— Nie wiem... Z początku myślałam, że tak, ale potem... cóż, potem poznałam Toma i...

— Spróbuj jeszcze raz, spróbuj wiele razy. Czy to będzie David, czy Peter, czy Joe, czy ktokolwiek inny... Wyjdź z domu, poznaj ich, świat stoi przed tobą otworem. Twój staruszek wskazał ci drogę. Wyjdź i bierz ten świat, aby Mike mógł spoczywać w spokoju.

January zaczęła się spotykać co wieczór z Davidem. Jego matka twierdziła, że ani Dee, ani Mike nie chcieliby, żeby nosiła po nich długo żałobę, zmuszała się więc, by wysiedzieć do końca przy ryczącej muzyce w Le Club, uśmiechać się w gwarnej atmosferze Maxwell's Plum i Unicornu, w niedzielę wieczorem chodzić do Gina, poznawać nowych ludzi: dziewczęta, które zapraszały ją na lunch, i młodych mężczyzn, przyjaciół Davida, którzy przyciskali ją zbyt mocno na parkiecie. Śmiała się, rozmawiała, przyjmowała zaproszenia na lunch, cały czas wiedziała jednak, że czeka tylko, aż wieczór dobiegnie końca, aby mogła zażyć dwie czerwone pigułki i zasnąć.

Jeden dzień zlewał się z drugim. Niekiedy nowo poznane piękne dziewczyny dzwoniły z prośbą, żeby poszła z nimi na lunch. Zmuszała się, by przyjmować zaproszenia. Siedziała w restauracji „21”, Orsini's, La Grenouille, słuchała ploteczek o najnowszych romansach, nowych sklepach, o najmodniejszych kurortach. Zaproszono ją na weekend do Southampton i na wycieczkę po wyspach greckich (trzy pary zamierzały wynająć jacht i David był przekonany, że mógłby dostać cztery tygodnie urlopu, gdyby January zdecydowała się jechać). No i oczywiście zawsze do dyspozycji miała Marbellę, rezydencję Dee pełną służby.

Tak, na zewnątrz był pogodny świat i czekało ją olśniewające lato. Była już połowa czerwca i January zdawała sobie sprawę, że powinna coś zaplanować. Wszyscy mówili, że nie może siedzieć w rozgrzanym mieście, przecież żadna cywilizowana osoba nie zostaje latem w Nowym Jorku. Słuchała, potakiwała, wiedząc, że David, cierpliwy i życzliwy, trzyma swe plany w zawieszaniu, czeka, aż ona podejmie decyzję, jakiegokolwiek postanowienie — i nigdy nie narzeka. Dzwonił do niej codziennie i co wieczór gdzieś ją zabierał.

Inni też telefonowali dzień w dzień — pewien książę, przystojny gwiazdor filmowy, młody Włoch, którego rodzina należała do elity towarzyskiej, czy też makler pracujący w firmie rywalizującej z przedsiębiorstwem Davida.

Dzwonili, przysyłali kwiaty, January posyłała bileciki z podziękowaniami, nikt jednak nie potrafił jej wyrwać z letargu. Z gazet się dowiedziała, że Tom przekazał plan scenariusza i wyjechał na dziesięć dni do Big Sur. Czy zabrał żonę? A może miał kogoś?

Nawet Linda wyjeżdżała. Wynajęła na lipiec domek w Quogue. Spędzała długie weekendy z Benjaminem, który mał tam być przez cały miesiąc i pisać.

Każdy dokądś się wybierał. Przeczytała w prasie, że Karla kupiła dom na

greckiej wyspie Patmos. Tak, każdy żył normalnie, świat istniał bez „i”?, bez Dee i jej pieniędzy. Świeciło to samo słońce, a wszyscy ludzie ze srebrnych ramek na pianinie Dee uśmiechali się, działali, czuli...

Ona też chciała coś czuć, chciała budzić się rano i witać z radością nowy dzień. Czasami otworzywszy oczy, przez kilka pierwszych sekund, zanim odzyskała w pełni świadomość, czuła się dobrze. Potem rzeczywistość na powrót się w nią wdzierала i znowu zaczynało ją ogarniać przygnębienie. „i”? nie było, Tom odszedł, nawet sen ją opuścił. Mężczyzna o pięknych oczach zniknął tak jak ojciec i Tom.

Hugh zadzwonił kilka razy, rozmawiał z ożywieniem, przekonywał ją, że jest piękny dzień i musi wyjść, starać się być szczęśliwa. Co innego próbować, a co innego naprawdę to zrealizować.

Szafa była wypełniona ubraniami na wyjazd do Marbelli i St. Tropez. Codziennie chodziła z nowymi koleżankami po zakupy i dokonywała identycznych sprawunków. Na szyi nosiła duży wisior, pantofle od Gucciego, okrągłe złote kolczyki od Cartiera, torbę na ramię od Louisa Vuittona. Wiedziała, że zaczyna wyglądać i ubierać się tak samo jak Vera, Patty i Debbie, gdyż pewnego dnia Vera pokazała jej ich wspólne zdjęcie w „Women's Wear” i January musiała poszukać swego nazwiska, by rozpoznać siebie wśród innych dziewcząt.

Wyciągnęła się na łóżku. Powiedziała Sadie, że przez najbliższe pół godziny będzie wypoczywać, nie mogła jednak usnąć, zastanawiała się, gdzie David zechce pójść na obiad. Nie pokazała się dotychczas w żadnej ze swych nowych kreacji, może więc tego wieczoru włoży coś specjalnego.

Zobaczyła, że mruga sygnalizator świetlny w aparacie telefonicznym — zawsze zapominała podkręcić sygnał. Podniosła słuchawkę właśnie w chwili, gdy David mówił Sadie, by jej nie przeszkadzała, skoro wypoczywa.

— Proszę przekazać, że muszę odwołać dzisiejsze spotkanie. Mamy w biurze mały kryzys. Proszę powiedzieć, że zadzwonię jutro.

January przeszła do łazienki. Była godzina piąta. Uznała, że może teraz wziąć kąpiel, a potem skorzystać z tacy z jedzeniem. Puściła wodę do wanny i wlała płyn do kąpieli. Czy David rzeczywiście musiał zostać w pracy, czy po prostu nie miał ochoty na jeszcze jeden monotony wieczór z nią?

Znieruchomiała. Jeszcze jeden monotony wieczór z nią... Tak pomyślała. A przecież dotąd był to zawsze „jeszcze jeden monotony wieczór z Davidem”. Odniosła naraz wrażenie, że rozumie, jak on się czuł.

Pewnie, że była monotonna i nudna. Przez cały czas nic innego nie robiła, tylko starała się przetrwać wieczór, opanowując ziewanie. Dlaczego David miałby chcieć spędzać z nią każdy wieczór? Wystarczy trochę pomyśleć. Patty nie dzwoniła już od dwóch dni, a Vera powiedziała dzisiaj coś w tym duchu, że nie będzie miała więcej czasu na lunch, bo zbyt ją absorbują ostatnie zakupy przed wyjazdem. Tak, była kulą u nogi, ogromną kulą... I niebawem wszyscy ją opuszczą.

Wróciła do sypialni i wyjrzała na park. Za oknem był świat, który Mike dał jej na srebrnym półmisku, lecz ona nie potrafiła się dźwignąć, by go wziąć. Co się stało z całą bezgraniczną energią, jaką miała, gdy pracowała w „Glossie”, gdy była z Lindą... z Tomem?

Stała nieruchomo. Oczywiście! Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślała? Zamiast proszków nasennych potrzebowała zastrzyków! Tom mówił, że jej szkoda, lecz nie mogą być gorsze od środków nasennych i beczynności przez nie wywołanej. Spojrzała na zegarek — wpół do szóstej. Doktor Alpert powinien być jeszcze w gabinecie. Wypuściła wodę z wanny i dała nura w głąb szafy po dzinsy, które Sadie próbowała kiedyś wyrzucić. Włożyła spodnie, wciągnęła podkoszulek, chwyciła okulary słoneczne, torbę i wybiegła z pokoju.

Nie traciła czasu na telefon do doktora Alperta, by nie kazano jej przyjść nazajutrz; musiał ją przyjąć już teraz.

Z początku sądziła, że pomyliła adres, gabinet wyglądał bowiem jak miejsce zjazdu klubu motocyklistów. Siedzieli tam niedbale chłopcy i dziewczęta w dzinsach i podkoszulkach bez rękawów, w całym pokoju unosił się ciężki zapach marihuany. Recepcjonistka spojrzała na January ze zdziwieniem, potem jej twarz rozjaśnił uśmiech. Wyciągnęła do niej rękę: — Moje gratulacje... to znaczy bardzo mi przykro z powodu ojca, ale gratuluję fortuny. Stale o pani czytam.

— O mnie?

— Oczywiście, jest pani codziennie w kronice towarzyskiej. Wybiera się pani w końcu do Marbelli czy do St. Tropez? Czytałam, że jest pani w zasadzie zaręczona z Davidem Milfordem.

January nie potrafiła odpowiedzieć. Od powrotu z Kalifornii nie przeczytała ani jednej gazety. Wiedziała, że rozpisywano się o pogrzebie, lecz dlaczego kroniki towarzyskie pisały o niej? Czy dziesięć milionów dolarów sprawiło, że świat zaczął się nagle interesować tym, gdzie jada lunch i jakie są jej plany wakacyjne?

Rozejrzała się po zatłoczonej poczekalni.

— Nie byłam umówiona — powiedziała.

— Och, jestem pewna, że jakoś panią wkęcimy — odparła recepcjonistka. — O tej porze panuje tu teraz istna gorączka, bo widzi pani, cała obsada znanego broadwayowskiego showu przychodzi co wieczór w tym samym czasie. — Skinęła w stronę aktorów siedzących w poczekalni. — Ale dla pani coś wymyślimy. Doktor Preston Alpert wrócił do nas z Wybrzeża, mamy więc obu lekarzy.

— A co się stało z jego sławnymi klientami, których tam miał?

— Och, doktor Alpert nie miał tam w zasadzie gabinetu. Pojechał na Wybrzeże, ponieważ Freddie Dillson nie mógł śpiewać, jeżeli nie stał za kulisami.

— Ale w ubiegłym tygodniu... widziałam w telewizji w wiadomościach... widziałam, jak Freddiego zabrała karetka.

Recepcjonistka pokiwała ze smutkiem głową.

— Kompletnie się załamał... w samym środku przedstawienia. I to po tym, jak doktor Alpert tak się nad nim napracował! Siedział z nim na Wybrzeżu prawie siedem tygodni i próbował doprowadzić go do formy, ale Freddie stracił już głos.

— A był taki wspaniały — powiedziała January — w Szwajcarii ciągle słuchałam jego płyt.

— Żeby go pani widziała wtedy, jak tu przyszedł dwa lata temu!... Żona go zostawiła, a on wielki hazardzista, był bez grosza. Zajął się nim doktor Preston Alpert i wkrótce miał efektowny comeback w Waldorf. Potem występował w Las Vegas, ale się załamał, dlatego doktor pojechał, żeby go utrzymać w formie podczas premiery w Los Angeles. I udało mu się, lecz nie mógł z nim tam siedzieć w nieskończoność, przecież nie jest niańką.

— Jeśli jednak potrzebował zastrzyków? Recepcjonistka wzruszyła ramionami.

— Moja droga, doktor Alpert nauczył dwóch poważnych senatorów, jak się robi zastrzyki dożylnie, a Freddie nie mógł po prostu patrzeć na igłę. Chcę powiedzieć... no, załóżmy, że ktoś ma cukrzycę... nie wolno bać się igły.

— Jeżeli można, wolałabym, żeby mnie przyjął doktor Simon Alpert — poprosiła January.

— Hm, jest zajęty aktorami, ale zobaczymy, co się da zrobić. Wie pani co? Chodźmy, wpuszczę panią do wewnętrznej poczekalni, gdzie zapraszamy ważniejszych pacjentów.

Szła za recepcjonistką wzdłuż korytarza. Riedy mijiała jedną z klitek, natknęła się na młodego człowieka, który właśnie wychodził obciążając rękaw. Zobaczywszy ją, zatrzymał się i przez chwilę patrzyli na siebie ze

zdziwieniem, wreszcie objął ją ramionami.

— Cześć, dziewczeczko. Co tu robisz?

— Keith! — uścisnęła go z entuzjazmem. Był szczuplejszy i miał dłuższe włosy. January nagle bardzo się ucieszyła, że go widzi. — A co ty tutaj robisz?

— Przychodzę tu co wieczór. Gram w Gąsienicy. Widziałaś to oczywiście?

— Nie, nie było mnie w Nowym Jorku.

— Czytałem o tobie. To ci dopiero, ale miałaś fart... Na co ci te zastrzyki? Wzruszyła ramionami.

— Mam chyba za mało czerwonych krwinek.

— No tak, w każdym razie jeżeli zechcesz obejrzeć sztukę... przerwał. — Powiedz... — pokręcił głową. — Och... nieważne.

— O co chodzi?

— U Christiny Spencer jest dziś wielkie przyjęcie. Stałaśby ze szczęścia na rzęsach, gdybyś przyszła... Ale podejrzewam, że jesteś już na pewno umówiona.

— Nie, jestem wolna.

— Cały wieczór?

— Jak tylko dostanę zastrzyk.

— Chcesz zobaczyć przedstawienie?

— Z rozkoszą.

— Wspaniale, poczekam na ciebie. Załatwię ci miejsce z przodu, tylko że tym razem nie będę mógł siedzieć koło ciebie.

— A ja tym razem nie ucieknę — odparła.

— Będzie trochę golizny — powiedział ostrzegawczo.

— Jestem już duża, Keith.

— Fajnie, weź swój zastrzyk szczęścia. Poczekam na ciebie.

—

—

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Siedziała zahipnotyzowana szaloną akcją spektaklu. Keith miał w nim jedną pieśń, którą wygłosił, i ku jej wielkiemu zdziwieniu wcale nie był nadzwyczajny. Nie wiedzieć czemu oczekiwała, iż Keith wzbudzi na scenie większy podziw, tymczasem jego żywiołowa osobowość nie ujawniła się w sztuce. Był pewien fragment, w którym aktorzy

występowali nago. Keith też był na scenie wraz z prawie całym zespołem. January uświadomiła sobie nagle, że każdy ma penis tej samej wielkości, mniej więcej tak jak David. Może to był standard. Wyglądało na to, że wszyscy mężczyźni zeszli z taśmy montażowej z takimi samymi członkami, tylko Tom miał inny. A to dobre, naprawdę go żałowała. Być może spowodował to zastrzyk? A może potrafiła wreszcie patrzeć na wszystko z odpowiedniej perspektywy? Zaczęła chichotać. Coś podobnego! Po scenie dryfuje gromada męskich członków, a ona filozofuje na temat życia.

Pomyślała o "i"??. Wiedziała, że odszedł, i naraz pogodziła się z tym faktem. Po raz pierwszy mogła myśleć o "i"?? nie czując w sobie pustki. Mike żył pełnią życia i — jak by sam powiedział — odszedł z klasą. Mike żył naprawdę i potrafił cieszyć się każdą chwilą... no, może tylko ostatni rok był inny. Tak jak powiedział Hugh, w ostatnim roku żył dla niej, aby mogła mieć wiele, wiele dobrych lat.

Dzięki Bogu za Hugh'a i za doktora Alperta! Możliwe, iż zastrzyki szkodzą — tak przynajmniej twierdził Tom — ale nie mogą być gorsze od Jacka Daniela, którego stale w siebie wlewał. Miał pięćdziesiąt osiem lat i chociaż wciąż pił burbona, nadal mógł pisać i był, jak powiedziała Linda, supergwiazdą. Jakże mając tak mały członek mógł sobie pozwolić na ten luksus, aby odeszła od niego? Raptem zdała sobie sprawę, że to wszystko jest śmieszne. Jakże to, że z nim zerwała, mogło ją pograżyć w takim smutku? Czowała, że żyje i pragnie siedzieć na widowni, pstrykała palcami w rytm muzyki, potrafiła myśleć jasno.

Siedziała w trzecim rzędzie, oglądała Gąsienicę i świetnie się bawiła, nie leżała w łóżku w hotelu i nie zażywała pigułek nasennych. Na zewnątrz był świat, świat, w którym ludzie skakali po scenie, dziewczęta obnażały piersi w szalonym rock-and-rollu... i wszystko wydawało się po prostu wspaniałe.

Po spektaklu postanowili udać się na przyjęcie piechotą. Miejski dom Christiny Spencer znajdował się na Wschodniej Sześćdziesiątej, noc była ciepła i bezchmurna. January trzymała kurczowo Keitha za rękę, chciało jej się skakać, biec... Popatrzyła na ciemne niebo.

— Och, Keith, jak to wspaniale, kiedy człowiek czuje się naprawdę dobrze!

Keith pokiwał głową.

— Doktor Alpert dał ci prawdopodobnie pełną dawkę. Był dzisiaj bardzo ożywiony i myślał widocznie, że należysz do zespołu.

January zachichotała.

— Czy to dlatego nawet ze mną nie porozmawiał? Wiesz, było mi przykro, że nie powiedział mi chociaż „Witam w domu” albo „Cieszę się, że panią widzę”.

Keith popatrzył na nią z uśmiechem.

— Czujesz się wspaniale, tak?

— Wydaje mi się, że słyszę, jak rosną drzewa, czuję nadchodzące lato... w i d z ę, jak rozwijają się liście. Spójrz na to drzewo, Keith. Czy ty nie widzisz, że liść staje się coraz większy?

Keith uśmiechnął się do niej.

— Jasne! To bardzo ważne, żeby widzieć i odczuwać to wszystko. Taki czerwcowy czwartek jak dzisiaj jest tylko jeden. Jutro będzie piątek i dzisiejszy czwartek już nigdy nie wróci.

— Dlaczego odszedłeś od Lindy? — spytała nagle January.

— Za dużo ode mnie żądała.

Skinęła głową ze zrozumieniem. Nie można wymagać wszystkiego od drugiej osoby. Właśnie dlatego Tom wyrzucił ją ze swego życia.

Zatrzymała się i popatrzyła w niebo i w tejże chwili wydało się jej, że stoi na krawędzi, że może zobaczyć przyszłość, wszystko zrozumieć...

Odwróciła się do Keitha.

— Keith — spojrzała na niego — czy możesz uwolnić się od tych zastrzyków?

— Nie, bo bez względu na to, jak trudno jest wszystko osiągnąć, niedobrze, gdy tracisz napęd, ponieważ spadasz na dno i znikają kolory. Patrzysz w górę i okazuje się, że słońce jest zakurzone, liście brązowe, a na ulicach leży pełno gówna. Jeżeli chcesz żyć w brudnym, zmęczonym świecie, możesz przestać się szprycować. Każdy ma prawo żyć po swojemu. Dewoty podkrecają się jednym, czciciele natury czym innym, a ja potrzebuję haju. I dopóki to sprawia, że wszystko wkoło jest zielone i pomarańczowe, dopóty jest dobrze. Może pewnego dnia nie będę potrzebował kopa, żeby widzieć świat w technicolorze, i może wówczas zaniecham, ale dlaczego miałbym rezygnować już teraz?

Zatrzymali się na wysadzonej drzewami ulicy przed domem z piaskowca.

Stało tu kilka limuzyn. Keith wprowadził January do środka. W holu spotkali sławnego gwiazdora rockowego, w salonie, do którego się przepchali, ujrzeli wiele znanych twarzy wykonawców muzyki pop, gwiazd kina undergroundu, piosenkarzy bijących rekordy w sprzedaży swoich płyt, kilka młodych aktorek filmowych. Mnóstwo było dzinsów, aksamitnych żakietów, przezroczyстых bluzek, pasiastych marynarek, gdzieś tam migwały stroje indiańskie.

Posuwistym krokiem podeszła do nich Christina Spencer. Często ją fotografowano, lecz January zauważyła, że w rzeczywistości ma zęby bardziej wystające niż na zdjęciach, za to figurę jeszcze wspanialszą. Musiała być dobrze po pięćdziesiątce, a jej twarz nosiła ślady przebytych operacji plastycznych. Była we wciętej w talii sukni z kwiecistego jedwabiu, z której głębokiego dekoltu wystawały pełne piersi; ciało miała jak dwudziestolatka.

Christina bardzo ciepło powitała January.

— Znałam twojego ojca, kochanie, spędziliśmy kiedyś w Acapulco kilka cudownych nocy. To było tuż przed poznaniem Geoffreya.

Keith odciągnął January do tyłu.

— Osobiście uważam, że ona zabiła Geoffreya — szepnął. — Miała trzech mężów i każdy umarł zostawiając jej duże pieniądze. Wspiera finansowo Gąsienicę, ale ma takie szczęście, że na pewno straci.

— Myślałam, że jesteś jej kochankiem — wyznała January.

— Och, przeleciałam ją, ale ona puszcza się na lewo i prawo. Co tydzień ma chęć na nowego młodego kochanka, by udowodnić sobie, że ten brazylijski lekarz, który jej poprawił urodę, wykonał niezłą robotę. Nie jest zła, i psiakrew, każdemu pozwala na wykrecanie własnych numerów. Być może jestem jej najlepszym chłopakiem, ale dzisiaj sądzi, że zabawiam się z tobą. I wcale się nie wścieka.

Do Keitha podeszła jakaś dziewczyna.

— Kochanie, na górze jest pierwszorzędna sangria dla wtajemniczonych.

Keith zaprowadził January po schodach do ciemnego salonu, gdzie wszyscy siedzieli na poduszkach. Pociągnął ją na podłogę, z kieszeni wyjął cienkiego papierosa, zapalił go i podał January. Zaciągnęła się głęboko i wypuściła dym cienką strużką.

— Jezus Maria, dziewczyno, palisz, jakby to był chesterfield.

— Zaciągnęłam się — odparła.

— Jak palisz trawkę, nie powinnaś wypuszczać dymu. Musisz go połknąć razem z powietrzem.

Ujął papierosa w palce i zademonstrował technikę palenia. January spróbowała, nie mogła jednak zatrzymać dymu w płucach. Wreszcie Keith powiedział: — Nie ruszaj się, zaraz ci pomogę.

Pochylił się nad nią, jakby chciał ją pocałować, wtłoczył jej dym do ust i jednocześnie zatkał nos.

— Teraz przełknij.

Zakrztusiła się, ale zatrzymała większość dymu głęboko w płucach. Keith powtórzył to jeszcze dwukrotnie, aż January poczuła zawrót głowy i

pierwsze omamy. Wtedy zapalił kolejnego papierosa, którym zaciągała się już poprawnie. Podeszła do nich piękna dziewczyna z dzbanem.

— Tu są papierowe kubki, chcecie dobrego kompociku? Keith skinął głową i wziął od dziewczyny kubeczek.

— January, to jest Arlene.

— Napij się wina, to cię podkręci. Anita leży nawalona w sąsiednim pokoju.

January upiła mały łyczek.

— Jest doskonale — pochwaliła.

— Pij powoli — przestrzegł Keith. — To silny towar.

— Co? — odstawiła kubek.

— Spokojnie. Zawiera dość kwasu na niezły odlot. Zaufaj mi, popatrz, jutro mamy wszyscy przedstawienie, ja też piję... Po prostu pociągaj małymi łyczkami.

January rozejrzała się: dokoła unosił się słodkawy zapach marihuany, wszędzie rozbrzmiewała piskliwa muzyka, każdy sączył sangrię.

Wzruszyła ramionami. Czemu nie? Wszyscy tutaj już to brali i widziała, że są chętni, by znowu wziąć. Na pewno wrażenie jest fantastyczne. A poza tym, jak powiedział Keith, jest tylko jeden taki czerwcowy czwartek, tylko raz w życiu.

Skończyła wino, podała Keithowi pusty kubek i oparła się na jego ramieniu. Nie czuła nic szczególnego, po prostu była całkowicie rozluźniona. Po zastrzyku był napięta i ożywiona, naładowana energią, teraz miała w sobie kojącą błogość. Świat był taki śmieszny... taki spokojny... cały świat wydawał jej się spokojny... Poczwała ciepło i ujrzała słońce, a potem rozbłysły wszystkie kolory tęczy, zawisając nad wodą. Widziała fale i ocean, łagodne niebieskie fale, i w tej chwili pojęła z niezwykłą ostrością, że Mikę na pewno nie czuł strachu, gdy samolot spadał do wody, że niemal z wdzięcznością przyjął zsuniecie się w miękką otchłań morza... Bo mógł wreszcie odpocząć, tak jak ona teraz z głową na ramieniu Keitha... Mikę nie umarł... nic nie umiera, życie istnieje zawsze i ludzie są dobrzy... a wargi Keitha ciepłe... Keith ją całuje, rozpina guziki bluzki. January nie ma stanika, ale to nic, wszystko dzieje się teraz w zwolnionym tempie... Może nie powinna całować się z Keithem, przecież Linda go kochała kiedyś... kiedyś... Wszystko było tak odległe i nic nie trwało wiecznie.

Odchyliła się do tyłu na poduszkach, usta Keitha dotykały jej piersi.

Zobaczyła dziewczynę, która tańczyła sama zupełnie nago, jakiś chłopak również tańczył nago tuląc w ramionach drugiego chłopca. Arlene

przepełniła przez pokój i przekreśliła wyłącznik, po ścianach rozlały się psychodeliczne światła. January przekreśliła się i położyła głowę na kolanach Keitha. Siedział patrząc przed siebie i głaskał jej piersi. Spojrzawszy mu w twarz zrozumiała, że jej nie widzi, że włosy Keitha ciemnieją... Wszystko było ciche, tak ciche, że nawet poprzez dźwięki muzyki mogła usłyszeć bicie swego serca. Odniosła nagle wrażenie, że może zobaczyć przeszłość i przyszłość. Przyszłość bez "i"? Zdawało się jej, że Bóg otworzył na chwilę niebo i nagle go ujrzała, jego niebieskie oczy. Wrócił! Wyciągnęła ręce. Tak długo go nie było, teraz wrócił, a ona przecież nie śpi. Oczy miał takie niebieskie... Może to był Bóg? Czy Bóg ma niebieskie oczy?...

Usłyszała czyjeś głosy, płynące skądś z daleka. Jeden należał do młodego człowieka stojącego obok Keitha. To Norton... tak... Miał swój wielki numer w przedstawieniu. Norton uśmiechał się do niej, lecz ona patrzyła obok niego, tam gdzie odszedł Bóg... Oczy Nortona były brązowe... bursztynowe... złotobrazowe.

— Hej, człowieku, cycuszki ma małe, ale śliczne, takie maleńkie różowe suteczki... Lecę na różowe suteczki. O rany, mogę je wziąć?

I zaczął pieścić pierś January, podczas gdy Keith przykleknawszy gładził drugą. Każdy z nich całował jedną, było to miłe i takie przyjacielskie.

January tuliła obie głowy, wszyscy się kochali, było tak spokojnie.

Przyszła Christina, zdjęła górę sukni, jej piersi zwisały. Dlaczego? Były takie ładne i okrągłe w dekolcie sukienki. Christina pochyliła się i szarpnęła Nortona za rękę.

— Norton, chodź ze mną i Arlene. Pociągnęła go, by wstał.

Podszedł do nich inny chłopak, uśmiechnął się do Keitha.

— Cześć, stary, ona jest doskonała.

Klęknął i zajrzał January w oczy.

— Jestem Ricky.

Uśmiechnęła się i dotknęła jego nóg.

— To ty tańczyłeś...

Ricky był bez ubrania. Na przedstawieniu też niewiele miał na sobie, ale teraz był zupełnie goły. Zaczął poruszać całym ciałem, wykonując ten sam taniec co na spektaklu. Wyciągnął do niej rękę, chciał, żeby z nim zatańczyła. Wstała powoli... Czowała, że może zrobić wszystko, nawet przefrunąć przez pokój, poszybować nad ich głowami.

— Nie możesz tańczyć w ubraniu — powiedział Ricky.

Z uśmiechem zrzuciła dzinsy na podłogę, potem wyswobodziła się z fig.

Kiedy Ricky powiódł dłońmi wzdłuż jej ciała, January obdarzyła go uśmiechem. Czowała się wolna. Poruszała się zmysłowo w rytm jego ruchów, nadążając za wszystkimi obrotami. Tańczyli w odległości stopy od siebie, zatopiwszy w sobie wzrok. Wreszcie Ricky przysunął się bliżej, a wtedy wszyscy zaczęli klaskać do taktu. January uniosła ręce nad głowę, przyłączając się do klaskania. Klap, klap, klap... Ricky strzelał palcami w tym samym rytmie. Keith podszedł od tyłu i podniósł ją, czuła, że jest lżejsza od powietrza. Ktoś rozsunął jej nogi, wszyscy klaskali powoli, rytmicznie: klap, klap, klap. January też klaskała... Ujrzała zbliżający się do niej potężny członek. Klap, klap, klap... Członek Ricky'ego... klap, klap, klap... Słyszała jednostajny śpiew, członek wszedł w nią. Wszyscy śpiewali monotonie... jeb, jeb, jeb... Keith poruszał jej ciałem w tył i w przód, ktoś trzymał również Ricky'ego... jeb, jeb, jeb... To nic złego, członek w nią wchodził, wsuwał się i wysuwał, wsuwał i wysuwał, wsuwał i wysuwał... Klap, klap, klap... jeb, jeb, jeb... Wszyscy są przyjaciółmi . jeb, jeb, jeb... Dokoła rozlewała się coraz większa jasność, Christina całowała jej piersi — jaki to miły przyjacielski gest... Biedna Christina z workowato obwisłymi piersiami! January widziała, jak w końcu pokoju kilka dziewcząt wolnymi rytmicznymi ruchami też zdejmuje ubranie. Inny chłopak podszedł i całował jej piersi, wszyscy kochali wszystkich. Było to miłe i dobre... klap, klap, klap, rytualne klap, klap, klap, jeb, jeb, jeb... ssij, ssij, ssij... wszyscy ją kochali. Och, jakie to było cudowne!... Odpływała... jeszcze nigdy nie czuła czegoś takiego! Członek Ricky'ego, czyjeś usta na niej i na członku Ricky'ego jednocześnie, Christina przy jej piersiach... Poczowała nadchodzący orgazm, ujrzała, że Keith trzyma coś tuż przy jej nosie... jeb, jeb, jeb... — Wciągnij głęboko, January, to kwas.

Pociągnęła mocno nosem, poczuła, że głowa gdzieś jej odpływa, a orgazm trwa w nieskończoność. Pragnęła, by nigdy nie ustał, by trwał i trwał, trwał i trwał...

— Och, Mike, kocham cię — zawołała i straciła przytomność.

Gdy otworzyła oczy, leżała zwinięta w kłębek i przytulona do Keitha na futrzanym dywanie. Obok na podłodze zobaczyła swoją bluzkę i dzinsy. Usiadła. Głowę miała jasną i pomyślała o dziwnym śnie, potem spojrzała na siebie. Całkiem już przytomna przypatrzyła się sobie. Była naga! Ricky, również nagi, spał rozciągnięty na podłodze. Wstała i wciągnęła dzinsy. To nie był sen, uczestniczyła w jakimś szaleństwie... w jakimś rytuale. Podniósłszy bluzkę, przeszła pomiędzy śpiącymi. Musiała znaleźć buty. Zegar w holu wybił godzinę, powędrowała więc w tamtym

kierunku i zobaczyła dwie nagie dziewczyny w uścisku. Kiedy ją spostrzegły, znieruchomiały z uśmiechem. January również się uśmiechnęła, wtedy dziewczęta podeszły i każda pocałowała ją delikatnie w policzek. Uśmiechnęła się znowu w odpowiedzi na ten gest, wyrażający przyjaźń i miłość, i na chwilę ujrzała przed oczami cudowny blask, feerię barw, poczuła ciepło w całym ciele. Wiedziała jednak, że musi iść do domu. Na podłodze poniewierało się mnóstwo sandałów, musiała znaleźć pasującą parę. Odszukała potem torbę i przewiesiła ją przez ramię. Podeszedł do niej Keith.

— Dokąd idziesz? Uśmiechnęła się i włożyła bluzkę.

— Do domu.

Podał jej kostkę cukru.

— Possij sobie, to coś wspaniałego.

Potem wepchnął jej kopertę do torby przewieszanej przez ramię.

— Co mi tam schowałeś? — spytała ssąc kostkę.

— Prezent — powiedział i zaczął rozpinać jej bluzkę. January miała wrażenie, że znowu odpływa, w głowie zaczęło jej szumieć, lecz wyrwała się z uśmiechem.

— Nie... należysz do Lindy.

Wróciła do holu, gdzie dwie dziewczyny, nadal w objęciach, spojrzały na nią. Jednocześnie podniosły ręce i przyciągnęły ją do siebie, potem pocałowały i rozpięły jej bluzkę. Jedna przesunęła ustami po jej piersiach, obydwie zaczęły ją pieścić. To było cudowne... te dziewczyny, których nigdy w życiu nie widziała, chciały jej zrobić przyjemność, chciały okazać przyjaźń. Poczuła, że rozsuwają jej zamek spodni, że dotyka ją delikatna ręka... Nie, było w tym coś niewłaściwego, przecież to mógł robić tylko członek... albo mężczyzna... Odsunęła się i z uśmiechem pokręciła przecząco głową. Dziewczęta odwzajemniły uśmiech, jedna zapięła jej bluzkę, druga pomogła zasunąć zamek spodni, pomachały jej i odeszły kochać się razem. Przyglądała im się przez chwilę jak baletowi — były piękne. W końcu ruszyła do drzwi.

Wyszła na zewnątrz, letnia noc była chłodna, powietrze czyste. Czuła większe zawroty głowy niż poprzednio, mogła widzieć ponad czasem i przestrzenią, poprzez budynki, poprzez dom z piaskowca, który przed chwilą opuściła i gdzie ludzie nadal się kochali — piękni, szczęśliwi. Świat był cudowny, wspaniały, jutro opowie o nim Mike'owi... Nie, Mike odszedł. No dobrze, opowie mu, kiedy znowu go zobaczy, bo na pewno go zobaczy, wszyscy przecież są wieczni. Mike wiedział, że go kocha, ponieważ wszyscy winni się kochać, wszyscy powinni kochać wszystko

— nawet drzewo, a drzewo odwzajemni wówczas miłość. Zatrzymała się przy drzewie i objęła je ramionami.

— Jesteś tylko młodym cieniutkim drzewkiem, ale nie bój się, pewnego dnia będziesz wielkim drzewem. Kocham cię! — przytuliła się do niego.

— Takie słabe drzewko jesteś!... Całą ulicę wysadzili takimi młodymi, słabymi drzewkami. Wiecie co, drzewka? Wszystkie tu pozostaniecie, kiedy nas już dawno nie będzie, i może kto inny wam powie, jak bardzo was kocha. Nie macie tej nadziei? Powiedz mi, drzewko, czy to, które rośnie obok, powiedziało ci, że chce należeć do ciebie na zawsze?... spleść swe gałęzie z twoimi?... stanowić z tobą jedność?... Czy nie chciałobyś tego? Czy we dwójkę nie stworzylibyście jednego naprawdę wielkiego, silnego i szczęśliwego drzewa? — westchnęła. — Ale nie, musisz tu stać samo, takie cienkie i samotne... Może wiatr przyniesie ci kilka liści sąsiada, może dzięki wiatrowi potrafiacie szeptać do siebie, rozmawiać i być razem, mimo że rośniecie oddzielnie. Czy natura chce, żeby tak właśnie było? Możliwe, że ludzie też tak powinni żyć. Och, moje drzewko, jak to miło należeć do kogoś!...

Zostawiła drzewo i poszła dalej chwiejnym krokiem. Zdawała sobie sprawę, że tak idzie, podobnie jak dziecko wie, gdy świadomie próbuje stąpać w ten sposób, by nie wejść na popękane kafelki. Spojrzała w niebo, każda z gwiazd też była oddzielnie. Czy czują się samotne? Nagle zobaczyła, że jedna spada, zamknęła oczy i wypowiedziała życzenie. Może ojciec ogląda właśnie z oceanu tę samą gwiazdę? A może jest na którejś i zaczyna nowe życie?

— Świeć, świeć, mała gwiazdeczko! — Roześmiała się, to było głupie, przecież gwiazda nie jest wcale mała. Jest wielkim słońcem.

— Tak bardzo chciałabym wiedzieć, jaka jesteś!

Dobrze wiedziała, czym jest gwiazda. Skoncentrowała uwagę na jednej, która jakby do niej mrugała. Choć lśniła jasno, January była świadoma, że aksamitne niebo zaczyna blednąć, że niebawem nadejdzie ranek i skończy się ten wyjątkowy czerwcowy czwartek, który nigdy nie wróci. Teraz był już bardzo wyjątkowy piątek. Ruszyła przed siebie, czasami zataczając się, czasami podskakując. Czerwone światło na Madison Avenue! I właśnie te światła mówiły ludziom i samochodom, co mają robić, kiedy ruszyć, a kiedy się zatrzymać. To był świat świateł nakazu i zakazu. Komu są potrzebne? Ludzie nie powinni robić sobie przykrości. Przed czym wszyscy starali się ją ustrzec? Dlaczego jedni drugim wpajają strach? Ludzi nauczono strachu i posłuszeństwa — bać się obcych, bać się samochodów, słuchać świateł. Komu są potrzebne światła? Świat byłby o

wiele lepszy bez świateł zakazu. Ludzie zatrzymywaliby się i ruszali równie dobrze bez świateł, ponieważ ludzie uważają. Stała na środku ulicy, odrzuciła głowę do tyłu i zapatrzyła się w niebo. Na niebie nie było sygnałów zakazu... i z tego wielkiego nieba samolot "i???" spadł na dół, spadł z miękkiego nieba do miękkiej wody. Teraz Mikę też patrzy na niebo i nic już nie może zrobić mu krzywdy, tak samo jak właśnie w tej chwili nic nie może zrobić jej krzywdy, nikt jej nie zrani, bo właśnie teraz jest częścią nieskończoności. Nic złego nie może się stać, nawet śmierć nie jest końcem, tylko częścią innego bytu. Była tego pewna. Patrzyła w niebo, czekając na odpowiedź, aż usłyszała pisk hamulców — taksówka zatrzymała się tuż przed nią i wysiadł z niej kierowca.

— Ty głucha pijaczko!

— Proszę tak nie mówić — uśmiechnęła się i objęła go za szyję.

— Proszę się nie złościć, przecież ja kocham pana. Odsunął się i spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Mogłem cię zabić! Chryste Panie!... Jesteś jedną z tych... jesteś nawalona do utraty zmysłów!

— Kocham cię — powiedziała i przytuliła głowę do jego policzka.

— Wszyscy powinni się kochać. Kierowca westchnął.

— Mam dwie córki w twoim wieku, pracuję po całych nocach, żeby mogły się uczyć. Jedna chodzi na studium nauczycielskie, druga uczy się na pielęgniarkę. A ty, hippisko? Czego ty się do cholery uczysz?

— Kochać... wiedzieć... czuć...

— Wsiadaj, zawiozę cię do domu.

— Nie, chcę pospacerować... odpłynąć... czuć.

— Wsiadaj, nic nie wezmę za kurs. Uśmiechnęła się do niego.

— Widzisz, ty mnie naprawdę kochasz.

Pociągnął ją za rękę i posadził obok siebie na przednim siedzeniu.

— Nie ufam ci, by sadzać cię z tyłu. No, gadaj, gdzie twój dom?

— Tam, gdzie serce.

— Posłuchaj, skończyłem pracę o czwartej, ale miałem jeszcze wezwanie na lotnisko; jest za piętnaście piąta rano, mieszkam w Bronksie. Moja żona czeka teraz z kawą i już mnie widzi z nożem na gardle. Weź to pod uwagę. Gdzie chcesz jechać?

— Do hotelu Plaża. Tam mieszka mój tatuś.

Ruszył w kierunku hotelu Plaża. Minęli zaledwie kilka przecznic, gdy January dotknęła jego ręki.

— Nie, nie jadę do Plaża, nie ma go tam w tej chwili. Mężczyzna, którego kochałam, mieszkał w Plaża... teraz jest w hotelu Beverly Hills.

— No to gdzie w końcu chcesz jechać?

— Do hotelu Pierre.

— Kim ty jesteś, wielbicielek hoteli? No mów, gdzie cię zawieźć. January spojrzała na tabliczkę z nazwiskiem.

— Panie Isadore Cohen, jest pan pięknym mężczyzną. Proszę mnie zawieźć do hotelu Pierre.

Ruszyli Piątą Aleją.

— Jak masz na imię, hippisko?

— January.

— No tak, oczywiście — odparł.

Kiedy Isadore Cohen wprowadził ją do hotelu Pierre, zaczynało właśnie padać. Spojrzała na ciężkie, szare niebo.

— A gdzie się podziały gwiazdy? Gdzie odeszła moja piękna noc? — spytała.

— Przeszła w poranek — mruknął Isadore Cohen — brzydki, mokry poranek... No, a teraz wracaj, gdzie twoje miejsce.

Odwróciła się i pomachała mu na pożegnanie, gdy wsiadł do taksówki.

Nie chciał pieniędzy, lecz i tak zostawiła na siedzeniu banknot dwudziestodolarowy. Przeszła na palcach do sypialni i zaciągnęła zasłony.

Sadie jeszcze spała. Cały świat spał z wyjątkiem drogiego, miłego pana Cohena, który wracał właśnie do domu w Bronksie. Był cudownym człowiekiem. Wszyscy byli wspaniali, jeśli miało się czas, by ich zrozumieć. Tak jak Keitha. Teraz, gdy go znała, uważała, że też jest wspaniały. Rzuciła torbę na krzesło i rozebrała się powoli. Torba zsunęła się na podłogę, pochyliła się więc i podniosła ją delikatnie.

— Panno torbo, jesteś od Louisa Vuittona i wydawało mi się, że jesteś brzydka, ale powiedzieli, żeś bardzo modna. — Obejrzała dokładnie torbę. Vera zmusiła wręcz January, by ją kupiła u Saksa. („Ale ja nie noszę brązów — powiedziała January. — Torba od Louisa Vuittona nie jest po prostu brązowa — upierała się Vera. — Pasuje do wszystkiego.”)

Do cholery, za sto trzydzieści dolców będzie ją nosić do wszystkiego.

Zaśmiała się po chwili. Co znaczyło sto trzydzieści dolarów, skoro miała dziesięć milionów? Niepojęta była myśl, iż jest posiadaczką dziesięciu milionów dolarów, tak samo jak nie czuła, by to mieszkanie należało do niej, ono było nadal Dee. Ciekawe, czy Mikę miał kiedykolwiek uczucie, że to pomieszczenie jest również jego. Ale torba od Louisa Vuittona, która kosztowała sto trzydzieści dolarów, należała do niej. Taką kwotę potrafiła ogarnąć; Usiadła na brzegu łóżka i pogłaskała torebkę, potem położyła ją na poduszce i wczółgała się do łóżka.

Nie była śpiąca, pomyślała więc o pigułce nasennej. Sięgnęła po buteleczkę do szuflady nocnego stolika, lecz odłożyła ją z powrotem. Po co ma ją brać? Czuła się przecież tak wspaniale... Keith powiedział: „Już nigdy nie będzie takiego czwartku” — tylko że teraz był piątek i już nigdy nie będzie takiego piątku. Leżała spokojnie, rozkoszując się cudownym uczuciem lekkości w całym ciele. Wiedziała, że nie uśnie, nie mogła, w końcu uświadomiła sobie jednak, że zasnęła, gdyż powrócił sen. Najpierw oczy — takie czyste i niebieskie. Twarz była niewidoczna, zawsze była niewidoczna, lecz January zgadywała, że jest piękna. Nie знаła tego człowieka, mimo to wyczuwała instynktownie, że pragnie być przy nim. Wyciągnął do niej rękę i zdała sobie sprawę, że musi pójść do niego. Czuła, że wstaje z łóżka i idzie w jego ramiona, choć zarazem wiedziała, że na pewno jest w łóżku i to wszystko jej się śni. No właśnie, był to obraz senny, ponieważ widziała, jak wstaje z łóżka, przyglądała się, jak idzie za jego rozłożonymi ramionami, ale nigdy nie mogła podejść dostatecznie blisko, on zaś czekał. Poszła za nim do salonu, do okna, lecz był teraz za oknem! Otworzyła je — niebo było ciemne, pełne gwiazd. Wiedziała, że to sen, bo jeszcze przed chwilą, gdy kładła się do łóżka, świtało, był szary, lepki świt — a więc leżała nadal w łóżku, nie stała naprawdę w oknie i nie patrzyła w gwiazdy i tego mistycznego mężczyznę. Tym razem postanowiła ujrzeć jego twarz, wychyliła się więc przez okno. — Czy chcesz mnie? — zawołała.

Wyciągnął rękę.

— Jeżeli przyjdę do ciebie, będziesz musiał naprawdę mnie kochać — powiedziała. — Nie zniosę, gdybym miała się w tobie zakochać, a ty byś zniknął, nawet jeśli jesteś tylko snem.

Nic nie odpowiedział, ale jego oczy mówiły, że nigdy jej nie zrani. Teraz już wiedziała, że musi jedynie zeskoczyć z okna, by znaleźć się w jego ramionach. Przełożyła nogę przez parapet i w tej chwili poczuła, że ktoś szarpie ją do tyłu, odciąga ją od niego!... Broniła się, aż w końcu oprzytomniała — to Sadie z krzykiem wciągała ją do środka! January spojrzała w dół, na ulicę... Zdążyła już wysunąć się do połowy przez okno! — Panno January! Och, panno January! Dlaczego?... Dlaczego? — Sadie trzęsła się ze strachu.

January przywarła do niej, a potem zmusiła się do słabego uśmiechu.

— Już dobrze, Sadie, to był tylko sen.

— Sen! Chciała pani wyskoczyć przez okno. Dzięki Bogu, że byłam właśnie w kuchni i usłyszałam, jak pani je otwiera.

January wyjrzała na zewnątrz. Na ciemnym niebie świeciły gwiazdy.

— Która godzina?

— Dziesiąta. Szykowałam sobie właśnie kawę i miałam obejrzeć wiadomości. Chciałam obudzić panią w południe, ale mruzczała coś pani o całonocnej zabawie. O siódmej telefonował pan Milford, powiedziałam mu, że jeszcze pani śpi. Był bardzo zaniepokojony i dzwonił co godzinę.

— Nie martw się, Sadie, wzięłam... trochę pigułek nasennych nad ranem, bo ostatniej nocy nie mogłam usnąć. Widzę, że spałam całą dobę.

— Czy zadzwoni pani do pana Milforda? Był bardzo niespokojny. January pokiwała głową i przeszła do sypialni.

— Czy mogę coś pani przynieść, panno January?

— Nie, nie jestem głodna.

Podniosła słuchawkę i zaczęła wykręcać numer Davida. Nagle w pokoju zapanowały ciemności, a przed oczyma rozbłyły jej jaskrawe światła i znowu go ujrzała na jedną chwilę, niebieskie oczy śmiały się z niej jak z tchórza!

— Omal mnie nie zabiłeś! — zawołała. — Zabiłabym się! Czy tego chciałeś?

Do pokoju wpadła Sadie. January patrzyła na telefon, który buczał przeciągle.

— Panno January, pani krzyczała!

— Nie. Ja... ja krzyczałam na telefonistkę, bo już po raz drugi połączyła mnie ze złym numerem. Nie martw się, Sadie, proszę. Zadzwonię teraz do pana Milforda, możesz się położyć.

Potem wykręciła numer. Sadie stała chwilę niezdecydowana, dopóki nie usłyszała, jak January mówi: „Cześć, Davidzie”. Dopiero wtedy dyskretnie opuściła pokój.

David był naprawdę zaniepokojony. January starała się, żeby jej głos brzmiał bez troski, lecz w pokoju znów zapanowały ciemności i powrócił rozpryskujący się sznur barw.

— Poszłam na zabawę — powiedziała mrugając mocno oczami, aby kolory zniknęły.

— Musiała się skończyć bardzo późno — stwierdził — bo spałaś cały dzień.

January zamknęła oczy, żeby nie widzieć błyskających światła.

— Faktycznie, późno. Byłam u... u przyjaciół ojca... aktorzy... reżyserzy...

— Kolory znikły i January poczuła się już dobrze. Mówiła znowu mocnym głosem. — Przyjęcie było bardzo późno, zaczęło się po północy. Jak wróciłam do domu, wcale nie byłam śpiąca, więc czytałam do rana, potem zażyłam dwie tabletki nasenne... i... no... wiesz, co dalej.

— W jaki sposób uśniesz teraz?

— To proste, poczytam jakąś nudną książkę, wezmę coś na sen i do jutra w moim harmonogramie wszystko będzie grało.

— January, nie podoba mi się ta twoja zabawa ze środkami nasennymi, jestem przeciwko wszelkim proszkom, nigdy nie wziąłem nawet aspiryny.

— Hm, od jutra też nie wezmę ani jednej.

— To moja wina, bo zostawiłem cię samą, a ty nie powinnaś być teraz sama... nigdy. January, nie czekajmy, aż minie lato, zróbmy to już teraz.

— Co mamy zrobić?

— Pobierzmy się.

January zamilkła. Od czasu tej pierwszej nocy David nigdy jej nie prosił, by poszła z nim do łóżka, a po wypadku ?i??" jego stosunek do niej uległ znacznej zmianie: David był delikatny, uważny, i zawsze troskliwy.

— January, jesteś tam?

— Tak...

— To co? Wyjdziesz za mnie?

— Davidzie, ja... — zastanowiła się przez chwilę. Nad czym tak myśli? Na co czeka? Na następnego Toma, by przyszedł i ją zniszczył? Na związanie się z Keithem i jego przyjaciółmi? Dopiero teraz zaczęła w pełni odczuwać wpływ tego, co zaszło. Nawet sen okazywał się groźny, przecież o mało nie wyskoczyła oknem. Przeraziła się nagle. Co się z nią działo? Co się stało z tamtą dziewczyną, która niegdyś była... którą była nadal? I ta dziewczyna pozwoliła, by kochał się z nią obcy człowiek na środku pokoju wypełnionego ludźmi! Wtedy wszystko wydawało się tak naturalne. Dostała dreszczy, poczuła się zbrukana, zgwałcona.

— January, jesteś jeszcze?

— Tak, Davidzie. Ja... po prostu myślę.

— January, proszę. Kocham cię... chcę się tobą opiekować.

— Davidzie... — przytuliła się do słuchawki. — Potrzebuję cię... tak, zgadzam się.

— Och, January! Obiecuję, że nigdy nie będziesz tego żałować.

Posłuchaj, uczcimy to jutro wieczór na obiedzie. Zaproszę kilku przyjaciół: Verę i Teda, Harriet i Paula, Muriel i Burta, Bonnie i...

— przerwał. — Gdzie pójdziemy? Do Lafayette czy do Sing of the Dove?

— Nie, chodźmy do Raffles. Byliśmy tam na pierwszej randce, pamiętasz?

— January, jesteś sentymentalna. Nigdy bym cię o to nie posądzał.

— Wielu rzeczy musimy się o sobie dowiedzieć — odparła January. — Davidzie, czy zdajesz sobie sprawę, jak słabo się znamy?

— To nie moja wina — odparł. — Ja... no cóż... nie zapraszałem cię do siebie ani nie prosiłem, żeby zostać u ciebie, bo myślałem, że jesteś wystraszona.

— Och, Davidzie, nie o to mi chodzi. Obcy ludzie też mogą iść ze sobą do łóżka.

— Wiem, że nie jestem zbyt wylewny — tłumaczył się David.

— Chodzi mi o to, że jak mi na kimś zależy, nie potrafię chyba tego okazać, ale January, ty też nie potrafisz. Wiesz, jak nazywają cię moi przyjaciele? „Jaśnie Oziębłość”. Nawet gazety to podchwyciły. Wczoraj napisano tak o tobie w kolumnie towarzyskiej.

— Czy naprawdę sprawiaam wrażenie oziębłej?

— Zależy kiedy — odparł David. — Ale na miłość Boską, dlaczego miałabyś być inna po tym wszystkim, co przeszłaś w ciągu niecałego roku?

— Masz rację, tyle się wydarzyło... — Przypomniała sobie ich pierwszy wieczór w Raffles. Wszystko wydawało jej się takie nierealne. Czy naprawdę ma spędzić resztę życia z Davidem? Czy ma żyć, spać w tym samym łóżku?... Ogarnął ją strach. — Davidzie, nie mogę. To nie fair.

— Co jest nie fair?

— Wyjść za ciebie. Ja... ja cię tak naprawdę nie kocham. David milczał przez chwilę, potem powiedział:

— January, czy kochałaś kogoś naprawdę?

— Tak.

— Oprócz ojca?

— Tak... Zawahał się.

— Czy to skończone?

— Tak — odparła bardzo cicho.

— A więc nie mów mi o tym.

— Ale, Davidzie, jeżeli wiem, że potrafię kogoś kochać w określony sposób i nie czuję tego samego do ciebie, to czy to jest wobec ciebie w porządku? No... och, nie bardzo wiem, jak to wyrazić...

— Rozumiem, bo ja też kogoś kochałem i też inaczej niż ciebie. Ale nie ma dwóch takich samych miłości. Jeżeli za każdym razem będziesz szukała identycznego uczucia, to już nigdy nie pokochasz, bo żadna nowa miłość nigdy nie jest po prostu kontynuacją starej.

— Skąd wiesz? — spytała.

— Kiedyś na przyjęciu u matki rozmawiałem ze znanym psychoanalitykiem, doktorem Arthurem Addisonem. Matka chodziła do niego, gdy popadła w niewielką depresję w okresie przejściowym. Nie

bardzo wierzę w psychiatrów, no, chyba że ktoś ma naprawdę źle w głowie, muszę jednak przyznać, że jej pomógł. Od tej pory stał się wielkim przyjacielem domu. Słuchaj, January, taka miłość, o której mówimy, zdarza się tylko raz w życiu. Skoro więc oboje przez nią przeszliśmy, to to, co mamy teraz, jest dla nas obojga czymś nowym. Możemy z tego zbudować nowe życie i zapomnieć o tym, co było kiedyś.

— Myślisz, że nam to się uda?

— Oczywiście, tylko neurotyk trzyma się tego, co odeszło, a ty, jak się zorientowałem, jesteś bardzo zrównoważoną dziewczyną. Idź teraz spać i spróbuj śnić o mnie.

Odłożywszy słuchawkę January zaczęła rozmyślać o ich rozmowie. David miał rację — nie może ani przywrócić Mike'owi życia, ani odzyskać tego, co ją łączyło z Tomem. Ten etap życia jest już zakończony, lecz jak zdoła odgrodzić się od wspomnień? Może mężczyźni jest łatwiej. Och, gdyby mogła po prostu wymazać ostatnią noc! Uczucie miłości do wszystkich odeszło i teraz czuła jedynie wstręt i obrzydzenie do Keitha, jego przyjaciół, a przede wszystkim do siebie. Ukoronowaniem zaś wszystkiego była próba wyskoczenia przez okno. Gdyby Sadie nie weszła w porę, już by nie żyła. A może nie? Czy coś było na zewnątrz? Czy coś ją wołało? Wyjrzała przez okno, popatrzyła na gwiazdy, potem pobiegła do szafy i odszukała jeszcze jedną parę dżinsów. Włożyła koszulę, wzięła sweter i chwyciła torbę. Było dopiero wpół do jedenastej. Pojedzie na plażę i omówi to z Hughem. Wszystko mu opowie: o zastrzykach szczęścia, o przyjęciu, orgii i o niebieskookim mężczyźnie. Powie mu też, że o mało nie wyskoczyła przez okno.

Wykradła się z apartamentu, żeby nie obudzić Sadie. Wiedziała, że Dee trzyma samochody w garażu na Zachodniej Pięćdziesiątej Szóstej, przeszła więc tam pieszo.

Mimo że na Pięćdziesiątej Szóstej było kilka garaży, od razu trafiła na właściwy, co potraktowała jako dobry znak. Nocny parkingowy natychmiast ją rozpoznał i podstawił jaguara. Wyjechała z garażu i ruszyła w kierunku śródmieścia. Przypomniała sobie, że kierowca Toma wybrał Midtown Tunnel, którym dojechał do autostrady Long Island. Samochód prowadził się znakomicie.

Na drodze panował niewielki ruch, toteż obliczyła, że w Westham-pton powinna być o pierwszej. Może należało zadzwonić do Hugh'a, ale wówczas mógłby ją poprosić, by poczekała do rana, ona zaś musiała porozmawiać z nim natychmiast. Przecięła Expressway i zatrzymała się przed stacją benzynową. Obsługujący napełnił bak i wskazał drogę do

Westhampton. Benzyna pochłoneła całe pieniądze, a ostatnią ćwierćdolarówkę dała jako napiwek. Bak jednak był pełny, droga dobra i niebawem zobaczy Hugh'a. Coś jej podpowiadało, że wszystko się dobrze ułoży, gdy tylko z nim porozmawia.

Przed domkiem Hugh'a zatrzymała się piętnaście po pierwszej. Nacisnęła dzwonek — zadzwieczał głucho w pustym mieszkaniu. O Boże, czyżby trafiła akurat na noc, którą Hugh spędzał ze swą wdową? Wsiadła do samochodu, postanowiwszy poczekać. Patrzyła na wydmy; wydawały się jej dziś tak dalekie, tak wysokie i nieprzyjazne. Bzdura, to tylko kupy piachu. Hugh często tam sypiał. Oczywiście! Może teraz też tam jest! Wsiadła z auta i ruszyła w stronę plaży.

Szło się trudno. Dzika trawa rosła w niesymetrycznych łąkach, parę razy potknęła się o pnie drzew wyrzucone przez morze. Do sandałów dostawał się piach, lecz brnęła dalej. Gdy dotarła do wydmy, była wykończona. Stała na szczycie najwyższego wzgórza i rozejrzała się po rozległej plaży — nigdzie śladu życia, nawet ocean wywoływał wrażenie nienormalnie spokojnego. Wydawało się, że fale pluskające o piasek szepczą ciche przeprosiny. Może Hugh był na innej wydmie, w głębi plaży?

Stała i zawołała jego imię, lecz nie było odpowiedzi, słyszała tylko pusty dźwięk własnego głosu, nawet mewa nie krzyknęła. Gdzie podziewają się mewy w nocy? W dzień zawsze pikowały wokół i skrzeczały na siebie. Osunęła się na wydnię i przesypała między palcami chłodny piasek. Gdzie mewy chowają się w nocy? Obejrzała się na dom, ciemny i opuszczony. Łagodna noc, jasne gwiazdy i westchnienia fal zdawały się o wiele bardziej przyjazne niż pusty dom.

Zwinęła sweter w kłęb, podłożyła go pod głowę, potem położyła się na plecach i zapatrzyła w niebo. Wydawało jej się, że schodzi coraz niżej i otula ją jak kocem. Naraz odniosła wrażenie, że właśnie to jest cały świat, a ziemia jest tylko podłogą. Co jest w górze? Inne planety, inne światy? Znowu obejrzała się na dom. Hugh pewnie spędza tę noc u wdowy. Mogła wrócić do samochodu i przespać się do jego powrotu, lecz nie czuła senności, a na wydmie było tak spokojnie. I te gwiazdy... Mędrzy Wschodu też patrzyli na te same gwiazdy tej nocy, kiedy narodził się Jezus. Galileusz patrzył na nie... również Kolumb im zaufał, gdy szukał drogi do Indii. Ilu ludzi kochało się pod gwiazdami? Ile dzieci wypowiadało na ich widok życzenia i podobnie jak ona modliło się do Boga, który w ich wyobrażeniach siedział wysoko nad gwiazdami, w co i ona wierzyła, gdy była mała? Światelko Boga — matka jej tak

powiedziała. Uświadomiła to sobie nagle — światełko Boga! Jej matka! Do tej pory matka była dla niej zawsze tylko mglistym wspomnieniem. Milcząca kobieta, zawsze „w bezruchu”, zawsze piękna, gdy wstawiała po chorobie z łóżka... Wielkie brązowe oczy patrzyły z uwielbieniem na ojca, nigdy na nią. Nie mogła sobie w zasadzie przypomnieć, by kiedykolwiek patrzyła w te oczy... Tak! Raz! Teraz właśnie wróciło wspomnienie chwili, gdy wtuliła się w ramiona matki i widziała jej wielkie brązowe oczy patrzące na nią z czułością. Śniło jej się coś koszmarnego i krzyczała ze strachu. Natychmiast przybiegła niańka, lecz tym razem zjawiała się również matka. I wyjątkowo matka, nie niańka, zdołała ją tej nocy uspokoić. Zobaczywszy jej lęk przed pozostaniem samotnie w ciemnościach z powodu snu, który może powrócić, przytuliła ją tłumacząc, że nic złego nie może się stać nocą. Światło sprawia, że rzeczy wyglądają czasami źle, noc zaś jest łagodna i dodaje otuchy. Usiadły przy oknie, patrzyły razem w gwiazdy i matka powiedziała: — Gwiazdy to światełka-drogowskazki Boga. Świecą, abyś pamiętała, że On patrzy na ciebie, zawsze gotów przyjść ci z pomocą... i kochać cię.

Myślała o tym spoglądając na gwiazdy. Była to naprawdę piękna historia dla przestraszonych dziewczynki. Jaka była jej matka? Zapragnęła naraz być starszą i móc ją pocieszyć. Matka kochała ?i???, ? on miał inne dziewczyny. Bóg wie, ile wycierpiała. January pamiętała, jak się czuła, gdy Tom został raz dłużej nad morzem u żony. Łzy napłynęły jej do oczu. Biedna, biedna mama zakochana w ?i???, zostawiona sama z dzieckiem, podczas gdy on siedział w Kalifornii prawdopodobnie z dziewczyną w bungalowie numer pięć. Kiedy leżała tu teraz, odniosła naraz wrażenie, że się rozdwa, że jest dziewczyną ?i???, tak bardzo samotną, zbyt często wzdychającą. Zawołała: — Mamo... nie powinnaś tego robić. Jego dziewczyna też na pewno cierpiała. Wiedziałaś w końcu, że i tak zawsze do ciebie wróci, i miałaś też mnie. Dlaczego mnie zostawiłaś? Czyżbyś mnie nie kochała?

Jej głos zagrzmiał głośno w ciemności nocy. Gwiazdy patrzyły na nią, już nie ciepłe i przyjacielskie, lecz surowe i zimne, jakby gniewały się, że wtargnęła w ich zacisze. Wisiały daleko, bezpiecznie, pewne, że zawsze tam będą, i śmiały się z ludzkiego pyłku na plaży. Nie były światełkami-drogowskazami Boga, ale światami, słońcami i meteorytami. Teraz nawet kosmiczne śmieci przepływały w tych aksamitnych ciemnościach. Nagle zobaczyła spadającą gwiazdę, potem drugą. Księżyc zszedł nisko, jak matka panująca nad niebem z gwiazdami, swoimi dziećmi. Smutno było dowiedzieć się, że księżyc nie jest srebrny i błyszczący, że to pustynny

glob, porysowany, popekany, mniejszy od Ziemi... pyłek na niebie. Ludzie, którzy na nim wylądowali, pozbawili go tajemniczości i zabrali mu cały romantyzm.

January czuła się wciąż ożywiona, kolory widziała nadal ostre. Niebo miało czarną barwę, dostrzegła jednak niebieską i purpurową poświatę. Spojrzała w stronę domu Hugh'a — wisiał nad nim księżyc, a jego lśniący blask rozświetlał ciemne okna. Może Hugh zabrał dziś swą wdowę do Nowego Jorku?

Otworzyła torbę i szukając po omacku papierosa, natrafiła na kopertę. Wyjęła ją — zwykła biała, pognieciona, gruba koperta, którą Keith wcisnął jej do torby, gdy wychodziła. Rozerwała ją. Leżała w niej mała plastikowa ampułka z dwiema kostkami cukru i liścik. Przyświeciła sobie zapalniczką: „Droga dziewczyczko, kocham cię. Nie mogę cię zabrać do Marbelli ani na południe Francji, jeżeli jednak zostaniesz moją dziewczyną, będę cię zabierał na wycieczki do innego świata. Na początek — masz dwie. Uściski, Keith.”

Otworzyła ampułkę i ścisnęła kostki w dłoni. Zamachnęła się, by je wyrzucić, ale coś ją powstrzymało. Dlaczego miałyby nie wziąć jednej? Jeśli to zrobi, minie całe przygnębienie, będzie mogła wyciągnąć ręce i dosięgnąć gwiazd. Schowała kostki z powrotem do fiolki i wrzuciła do torby. Nie, zażywanie „kwasu” niczego nie rozwiąże. Problem i tak będzie na nią czekał po skończonym odlocie. Jakie jest więc wyjście? Czy próbować się przystosować, nauczyć się kochać Davida, opanować zasady tryktraka, codziennie jeść lunch, kupować ubrania? Nie! Nie chciała życia, w którym nie będzie dołowania. Nawet upadki miały sens, gdy się wiedziało, że po nich przyjdą wzloty. I to nie haje spowodowane zażyciem „kwasu” — ale prawdziwe, takie, jakie czuła, gdy Mikę kroczył do niej na lotnisku w Rzymie albo gdy słyszała, jak Tom mówił, że nie może bez niej żyć.

Tylko że obaj odeszli — Tom i Mikę...

Znowu wyjęła ampułkę. A co się stanie, jeśli weźmie obie naraz? Może uda się w podróż, która będzie trwać wiecznie? Może już nigdy nie wróci? Wzdrygnęła się. Nie wiadomo skąd powiał wiatr, przyniósł chłód i nasypał jej w twarz piasku. Wstała i otrzepała ubranie, teraz naprawdę wiało.

Włożyła sweter, aż naraz wiatr ustał, tak samo niespodziewanie, jak zaczął wiać, i zapanowała niezwykła cisza, którą pamiętała z Kalifornii sprzed niedużego trzęsienia ziemi, kiedy to świerszcze przestały cykać i nawet liście nie szumiały. Spojrzała na ocean — był szklisty, wisiał nad nim księżyc wyznaczający jasną drogę na ciemnej wodzie. To niemożliwe!

Przed chwilą księżyc wisiał nad domem Hugh'a. Odwróciła się i spojrzała za siebie. Oczywiście, że był tam — blade przyjazne światło nad ciemnym pasmem domów wzdłuż plaży. Znowu zwróciła wzrok na ocean... Tam też był! Czysty i jasny... drugi księżyc!

To na pewno halucynacje! Wszystko przez tę kostkę cukru, którą Keith dał jej na przyjęciu. Zerwała się na równe nogi i odwróciła od „nowego księżyca”; zaczęła uciekać, ale czuła się jak w koszmarze sennym, kiedy się ucieka, a jednocześnie nie rusza z miejsca. I teraz właśnie tak się z nią działo. Poruszała nogami, oddychała coraz szybciej, lecz nadal stała na szczycie wydmy... uwięziona między dwoma księżycami.

Odwróciła się i popatrzyła za siebie. Nowy księżyc zniknął, ocean był czarny i pusty, gwiazdy jeszcze odleglejsze niż kiedykolwiek. Ogarnął ją lęk i ponownie zaczęła biec. Tym razem jej nogi się poruszały. Potknęła się i ześlizgnęła w ciemności. O Boże, „kwas” był naprawdę niebezpieczny, przez niego o mało nie wyskoczyła dziś przez okno, a teraz sprawił, że widziała dwa księżyce. To musi być to, co nazywają nawrotem halucynacji. A może wzięła jeszcze jedną kostkę?

Albo obie?... Och, czyżby naprawdę je wzięła? Obejrzała się za siebie, widziała na wydmie swą torebkę, tam, gdzie jej upadła, oświetlał ją bowiem blask księżyca, blask bijący od drugiego księżyca! Znowu tam był!

Może rzeczywiście wzięła te kostki cukru! Nie, była przecież pewna, że je odłożyła. Może jednak nie? Obojętne, miała przywidzenia, widziała dwa księżyce... Teraz wszystko jest możliwe, jakaś siła gotowa ją nawet wciągnąć w ocean. Och, już nigdy nic nie weźmie, wyjdzie za Davida, urodzi mu dziecko, będzie miała dziecko i będzie je kochała. Być może nigdy nie poczuje do Davida tego co do „i”?... nie, do Toma, ale przecież wyjdzie za człowieka, którego Mikę akceptował. Urodzi małego chłopczyka podobnego do „i”?... i dziewczynkę. Będzie ich kochała i będzie dobrą matką, naprawdę. Och, Boże, tylko spraw, żeby mogła się dostać do domu.

Dlaczego dom był tak daleko? Zeszła z wydmy w dolinę i zaczęła się wspinać na następną.

Drugi księżyc nie znikł. Odwróciła się i zobaczyła go wiszącego nad oceanem. Nagle przeleciał z szybkością błyskawicy po niebie, zawrócił, okręcił się, zawirował, jakby wykonywał specjalnie dla niej jakiś niesamowity taniec, i wystrzelił ku niebu, aż wreszcie stał się maleńki jak gwiazda, tak że w końcu była pewna, iż jest jedną z nich. Po chwili powrócił do normalnej wielkości i znowu rzucał blask, oświetlając

doskonale drogę na wodzie.

Patrzyła na niego przez chwilę — to nie mógł być omam. Księżyc był prawdziwy, przecież mając halucynacje, człowiek nie zdaje sobie z tego sprawy — pamiętała, jak chciała wyskoczyć przez okno, bo myślała, że to sen. A może to też był sen? Może wcale nie była na plaży, tylko w domu, w łóżku? Może w ogóle nie mieszkała w hotelu Pierre? Może i to było częścią snu? Może nadal była z Tomem, a Mikę wcale nie zginął? Może zastrzyki szczęścia przemieniły wszystko w jeden nie kończący się koszmar senny? Kiedy się obudzi, znajdzie się w bungalowie numer pięć, będzie tam Tom, zostawi go i jak najszybciej pogodzi się z Mikiem. A może wcale się nie bili? Może bójka również była częścią jej koszmarnego snu — wówczas nie musiałyby opuszczać Toma. Niewykluczone, że nigdy nie poznała Toma, nadal przebywała w Szwajcarii, wracała do zdrowia, jechała do domu, do "i???", on zaś nie poznał Dee i nic z tych rzeczy się nie wydarzyło... Być może w takim razie nie było też Franca i wypadku motocyklowego. Może więc w ogóle jeszcze się nie urodziła, nie potrafiła bowiem dokładnie powiedzieć, kiedy zaczął się cały ten koszmar.

Chociaż nie wszystko było koszmarem, przeżyła też chwile naprawdę cudowne. Szkoła panny Haddon była całkiem znośna ze względu na wspaniałe weekendy, na które czekała z niecierpliwością, na soboty, w które biegła w ramiona "i???". Nawet klinika nie była taka okropna, ponieważ ją odwiedzał, a ona na niego czekała w nadziei na wyzdrowienie; miło wspominała zwłaszcza ostatni miesiąc przed powrotem do domu, gdy wiedziała, że będzie z nim... Przeżyła wtedy cały miesiąc marzeń, marzenia zaś były czasami lepsze od rzeczywistości. Miesiąca cudownych marzeń nie można nazwać koszmarem sennym. Jego kulminacją była wspaniała rzeczywistość — popołudnie, gdy czekał na nią na lotnisku. Wtedy jeszcze nic nie wiedziała o Dee i przez kilka godzin Mikę należał wyłącznie do niej, tak jak w Rzymie, zanim na scenie pojawiła się Melba. Czasami zdarzały się szczęśliwe chwile, prawdopodobnie jej matka też była kiedyś, raz w życiu, szczęśliwa, a potem musiała pogodzić się z rzeczywistością, zaaprobować fakt, że wszystko się skończyło, że wyjątkowe szczęście przychodzi tylko raz... — Nie! — zawołała. — Raz to za mało! Och, mamo, jak mogłaś znosić to wszystko tak długo?

Zamilkła, krzyczała bowiem do upiornego światła; przez cały czas stała jak wmurowana, patrząc na wiszący nad oceanem jasny krąg. Zupełnie przypominał księżyc, z tym że nie było na nim ciemniejszych plam. Nagle przyszło jej do głowy, że istnieje może jakieś logiczne

wy tłumaczenie tego zjawiska, może ogląda UFO, o którym pisują czasem gazety. No dobrze, jeżeli to faktycznie UFO, to na pewno nie ona jedna w Westhampton je widzi. Spojrzała w kierunku ciemnych domów. Czy wszyscy w mieście śpią? Czy Hugh widzi to samo, obojętne gdzie się znajduje? Spędził tyle nocy na wydmach i nigdy nie zdarzyło mu się coś takiego. Musiało zjawić się akurat raz, tej nocy, aby zobaczyć, w jakim utknęła gównie!

Stała skapana w tym dziwnym świetle, sama na plaży. Nie wiadomo dlaczego miała nadzieję, że to jej nie zauważy, jeżeli będzie tkwiła w bezruchu. Śmieszne, przecież i tak nie mogło jej widzieć, cokolwiek to było — wisiało na niebie odległe o tysiące mil.

Może powinna się starać wszystko zapamiętać — jego wielkość, odległość od Ziemi, kierunek wędrówki... Może powinna zdać z tego sprawozdanie. Och, pewnie, jeszcze tego brakowało!

Niemniej to było tam, wisiało dokładnie na wprost. Zaczęła krzyżeć: — Niech się ktoś obudzi! Czy nikt w Westhampton nie wie, że są dwa księżyce?

. z}ja nie miała sensu, ponieważ

Odpowiedziała jej tylko cisza. Ucieczka nie miała sensu, ponieważ czuła się jak przykuta do ziemi. Upadła na piasek, zimny i miękki. Nad nią żarzył się nowy księżyc, jego blask był prawie taki jak słońca — ciepły i dodający otuchy. Wówczas go zobaczyła: szedł ku niej od brzegu morskiego drogą wyznaczoną przez poświatę księżyca, twarz miał ukrytą w cieniu. Wcale jej nie zdziwiło, że ma te same oszołamiająco niebieskie oczy, w które już tyle razy patrzyła.

Obserwowała go, gdy zbliżał się do niej, i nie czuła wcale strachu.

Przypomniał jej się nagle fragment wiersza Johna Burroughsa, Czekanie, który zapamiętała dawno temu w Szwajcarii:

Panie, składam ręce i czekam,

Nie dbam o wiatr, fale ni morze,

Nie walczę już z czasem i przeznaczeniem,

Bo oto idziesz do mnie, mój Boże.

W tej chwili po raz pierwszy w życiu zrozumiała, że skończyło się czekanie. Podeszedł bardzo blisko i aż zabrakło jej tchu w piersiach. To był Mike!

Nie, to nie był Mike. Miał uśmiech ?i???, wyglądał jak Mike... nie był jednak Mikiem. Staął, wyciągając do niej ręce. Zerwała się na nogi i podeszła do niego, on zaś objął ją mówiąc: — Cieszę się, że cię widzę,

January.

— Mike — szepnęła. Pogłaskała ją po głowie.

— Nie jestem Mike.

— Ale wyglądasz jak Mike.

— Bo chcesz, żebym nim był. Przytuliła się do niego.

— To tylko moje halucynacje, więc ode mnie zależy, co się stanie.

Nieważne, kim jesteś, całe życie pragnęłam właśnie ciebie. Chyba zawsze wiedziałam, że do mnie przyjdiesz. Może dlatego kochałam ?i???, że wygląda! jak ty, a może Kocham cię, bo wyglądasz jak Mike. Możliwe, że obaj jesteście tą samą osobą. To i tak nieważne...

Osunęła się na piasek, on zaś przytulił ją mocno. Kiedy spotkały się ich wargi, wiedziała, że właśnie tak powinno być, a gdy ją posiadł, zrozumiała, że na tę chwilę czekała całe życie. Jego pieszczoty były delikatne, choć zdecydowane. Przywarła do niego i tuliła się mocniej, mocniej, aż

— Proszę, nie zostawiaj mnie nigdy — szepnęła. Przytulił ją jeszcze mocniej i obiecał, że nigdy nie pozwoli jej odejść.

—

29 czerwca i\$2

Nowy Jork (Associated Press)

Mija właśnie rok od zniknięcia January Wayne, spadkobierczynie majątku Grangerów. Nie mogliśmy poprosić o parę słów komentarza jej narzeczonego, Davida Milforda, gdyż przebywa na urlopie gdzieś na greckiej wyspie Patmos. Zgodnie z tym, co twierdzą jego przyjaciele, David Milford wciąż wierzy, że jego narzeczona żyje. Osobisty lekarz panny Wayne, doktor Gerson Clifford, powiedział, że była w głębokiej depresji po śmierci ojca i matki. Jego zdaniem, January Wayne weszła do oceanu i utonęła, co potwierdzałoby odnalezienie następnego dnia przy wejściu na plażę jej samochodu.

Tego samego dnia dwaj chłopcy, dziewięcioletni Edward Steevens i ośmioletni Tommy Karol, znaleźli na plaży torebkę, którą zidentyfikowano jako należącą do panny Wayne. Nic w niej nie było z wyjątkiem pustego portfela z kartami kredytowymi i plastikowej ampułki z dwiema kostkami cukru...

Trzecia z kolei powieść popularnej pisarki amerykańskiej,
autorki BEZ ZOBOWIĄZAŃ i DOLINY LALEK.

Jej bohaterka, młodziutka, pełna wdzięku i prostoty January Wayne,
bezsukutecznie szuka mężczyzny, z którym mogłaby dzielić życie.

Kolejne związki szybko się rozpadają,
dla January bowiem niedoścignionym ideałem jest jej ojciec,
znany producent filmowy.

To także jej największa miłość, od której nie może się wyzwolić.

Czy marzenia o własnym szczęściu okażą się silniejsze
od uczucia do ojca?

Piękna powieść o miłości i samotności,
oraz poszukiwaniu celu i sensu życia.

ISBN 83-85348-04-2 (opr. twarda) ISBN 83-85348-95-6 (broszura)